

**Antologia klasycznej
science fiction**

Rakietowe szlaki

Tom 2

**Wybór i wstęp
Lech Jęczmyk**

2011

trident

Wydania oryginalne

„The Ship That Sailed The Ocean of Space” by Barrington J. Bayley. Copyright © 2011 by Barrington J. Bayley. Reprinted by permission of the Estate of Barrington J. Bayley.

„The Minimum Man” by Robert Sheckley. Copyright © 1958 by Robert Sheckley. Reprinted by permission of Robert Silverberg.

„Slow Sculpture” by Theodore Sturgeon. Copyright © 1970 by Theodore Sturgeon. Reprinted by permission of the author and the author’s agent, Ralph M. Vidnanza, Ltd.

„The Pusher” by John Varley. Copyright © 1981 by John Varley. Reprinted by permission of the author.

„Největší vodvaz v dějinách svangu” by Ondřej Neff. Copyright © 2009 by Ondřej Neff. Reprinted by permission of the author.

„Kursant Ploszkin” by Ilja Warszawski. Copyright © 2011 by Ilja Warszawski. Reprinted by permission of the author’s agent.

„Jewo Mars” by Dymitr Bilenkin. Copyright © 2011 by Dymitr Bilenkin. Reprinted by permission of the author’s agent.

„Arka” by Nikolaј Gudaniec. Copyright © 2011 by Nikolaј Gudaniec. Reprinted by permission of the author’s agent.

„Auto-da-fé” by Roger Zelazny. Copyright © 1967 by Roger Zelazny. Reprinted by permission of the author and the author’s agent, Ralph M. Vidnanza, Ltd.

„- Wróciées Sneogg, wiedziaam...” by Marek S. Huberath. Copyright © 1987 for this edition by Marek S. Huberath. Reprinted by permission of the author and Wydawnictwo Literackie, Kraków.

„Rock Driver” by Harry Harrison. Copyright © 1955 by Harry Harrison. Reprinted by permission of the author.

„The Unified Field Theory” by Tim Joseph. Copyright © 2009 by Tim Joseph. Reprinted by permission of the author.

„A New Man” by Andrew Weiner. Copyright © 2009 by Andrew Weiner. Reprinted by permission of the author.

„Windows” by Ian Watson. Copyright © 1985 by Ian Watson. Reprinted by permission of the author.

„Ghost Lecturer” by Ian Watson. Copyright © 1984 by Ian Watson. Reprinted by permission of the author.

„Pawn’s Gambit” by Timothy Zahn. Copyright © 1982 by Timothy Zahn. Reprinted by permission of the author and the author’s agent, Baror International, Inc.

„Winter’s King” by Ursula K. Le Guin. Copyright © 1969 by Ursula K. Le Guin. Reprinted by permission of the author and the author’s agent Virginia Kidd Agency, Inc.

„Nine Hundred Grandmothers” by R.A. Lafferty. Copyright © 1966 by R.A. Lafferty. Reprinted by permission of the author and the author’s agent, Virginia Kidd Agency, Inc.

„War Beneath A Tree” by Gene Wolfe. Copyright © 1980 by Gene Wolfe. Reprinted by permission of the author and the author’s agent, Virginia Kidd Agency, Inc.

„Sober Notses of Morning in a Marginal Land” by Brian W. Aldiss. Copyright © 2011 by Brian W. Aldiss. Reprinted by permission of the author and the author’s agent Curtis Brown Group Ltd.

„Anyone Here from Utah?” by Michael Swanwick. Copyright © 1985 by Michael Swanwick. Reprinted by permission of the author.

Wydanie polskie

Data wydania:

2011

Wydawca:

Agencja „Solaris”

Małgorzata Piasecka

11-034 Stawiguda, ul. Warszawska 25 A

ISBN 978-83-7590-029-3

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

tridentebooks@gmail.com

Stare jest piękne

Wszyscy, którzy przyczynili się do wydania tej książki i wszyscy, którzy ją biorą do ręki, uczestniczą w poważnej wyprawie przez czas. Czytelnik, który przybył na planetę w roku wydania oryginalnego zbioru *Rakietowe szlaki*, ma dziś lat pięćdziesiąt trzy, (jeżeli jeszcze żyje), a ten, który się zameldował na Ziemi w roku wydania pierwszych *Kroków w nieznane*, ma lat czterdzieści jeden.

Parę rzeczy przez ten czas uległo zmianie. Wyobraźcie sobie, że nie było telefonów komórkowych! Co wtedy robiły z rękami nastoletnie panienki? Ludzie spotykali się i rozmawiali! Wydawnictwa były instytucjami kulturalnymi, do których przychodzili osobiście autorzy, tłumacze, recenzenci i historycy. Ci, przy zawsze obecnej kawie opowiadali to, czego nie mogli napisać. Siedziałem w jednym pokoju z szefem redakcji społeczno-politycznej. Kiedyś dwaj autorzy wspomnień jakoś dziwnie sztywno mijali się w drzwiach. Ten, który wszedł, wyjaśnił scenę: – W czterdziestym trzecim strzelał do mnie skurwysyn zza rogu.

Panowało ukryte bezrobocie, ale był czas na myślenie, rozmowę i staranność. A kiedy zacząłem wydawać fantastykę, miałem pełną swobodę, bo nikt się na tym nie znał.

Wtedy nie tylko rozmawiano, ale pisano do siebie listy, na papierze, wkładane do koperty ze znaczkiem. Listy były wrywkowo cenzurowane, gorliwość cenzorów zwiększała możliwość znalezienia w kopercie dolarów. Po roku 1981 cenzura uległa nasileniu. Przychodziły koperty rozcięte i zaklejone ze stemplem *Ocenzurowano*. Często cenzorom nie chciało się wysilać i przychodziły koperty nieotwierane z takim samym stemplem. Raz się zachwyciłem, bo dostałem list ze stemplem *Nie ocenzurowano*. Okazuje się, że mieli i taki stempel.

Najuprzejmiejszy list dostałem od Alice Sheldon, która pod męskim pseudonimem James Tiptree jr napisała między innymi słynne opowiadanie *Houston, Houston, czy mnie słyszycie?* (Został na nim oparty polski film „Seksmisja” Machulskiego). Pani Sheldon pozwoliła na druk, nie chciała honorarium i stwierdziła, że z pewnością w polskim przekładzie opowiadanie będzie lepsze niż w oryginale. Wkrótce dowiedziałem się, że Alice Sheldon, która była psychologiem w służbie CIA, wykorzystwała pistolet służbowy do celów prywatnych i zastrzeliła męża, a potem siebie. Mąż chorował i bardzo cierpiał, chciała mu skrócić cierpienia, a sobie oszczędzić pytań. Taka eutanazja musi budzić szacunek. Podobnie jak to, że w takiej sytuacji odpowiedziała elegancko na list z końca świata.

Atrakcją pracy w wydawnictwie była możliwość osobistego spotkania autorów. Zapewniał to bizantyjski, niezrozumiały dla ludzi z Zachodu system wypłat honorariów tylko w złotówkach i tylko do wydania na miejscu. Brytyjski pisarz Malcolm Bradbury napisał nawet o tym powieść satyryczno-surrealistyczną pod tytułem *Kursy wymiany* (Rates of Exchange).

Amerykanin William Styron zbierał sporo tych „niewymienialnych złotówek” i przyjechał z myślą, że kupi konia wierzchowego, ale na miejscu dowiedział się, że konie są tylko za dolary. Podobnie Brian Aldiss, który chciał kupić nieduży, gustowny jacht. Największe nieporozumienie cywilizacyjno-walutowe nastąpiło w przypadku Dicka, który uznał, że pomysł odbierania honorarium w Krakowie, to chytry plan porwania go do Moskwy.

Dla autorów sowieckich była to natomiast okazja do wyjazdu na Zachód, bo Polska wtedy była dla nich takim prawie Zachodem. Tak poznałem Borysa Strugackiego i Siergieja Sniegowa, a także Wojnowicza, Okudżawę, Hrabala i wielu innych. Pewien pisarz z Syberii (Załygin) na widok czereśni zakrzyknął: – Jakie ładne jabłuszka! Inna niewiasta, tak ubrana, że wstydziłem się z nią chodzić po ulicy, na widok porów w sklepie warzywnym powiedziała z podziwem: – O, macie tu nawet szparagi! To była science fiction w działaniu, podróż przez uskoki czasowe i cywilizacyjne. Nie, żebym żałował tamtego czasu, choć wyższość spotkania osobistego przy szklaneczce herbaty he, he, w porównaniu z kontaktem internetowo-komórkowym nie ulega wątpliwości. Młodzieży proponujemy zajrzenie za kurtynę czasu i kontakt z mieszkańcami innego świata, starszym, wyprawę sentymentalną do krainy dzieciństwa. Proszę zapiąć pasy lub szelki, co tam kto nosi.

Lech Jęczmyk

ROBERT SHECKLEY

Zwiadowca-minimum

De mortuis nil nisi bene. O zmarłych dobrze albo wcale. Sheckley nie żyje, nie będziemy więc wspominać o jego powieściach. A w opowiadaniach jest niezmiennie wspaniały. Możemy zawsze liczyć na oryginalny pomysł, porcję humoru i bezbłędne wykonanie. Ta historia to początek mojej znajomości z Sheckleyem, odtąd byłem jego wiernym czytelnikiem, a on nigdy mnie nie zawiódł.

Zwiadowca-minimum

Każdy ma swoją pieśń. Piękna dziewczyna jest jak melodia, a dzielny astronauta kroczy przez życie w grzmocie puzonów. Mędracy, zasiadający w Radzie Międzyplanetarnej, przywodzą na myśl doskonale zestrojony zespół instrumentów dętych; są geniusze, których życie przypomina zawily kontrapunkt, i inni, których szare bytowanie jest tylko kwileniem oboju na tle nieubłagane odmierzającego rytm wielkiego bębna.

Takie myśli snuły się po głowie Antona Perceverala, kiedy wpatrywał się w błękitnawe żyły na przegubie lewej ręki. W prawej trzymał żyletkę.

Bo jeśli każdy ma swoją pieśń, to jego życie można było porównać do marnie skomponowanej i jeszcze gorzej wykonywanej symfonii pomyłek.

Jego przyjście na świat i lata szkolne upłynęły pod znakiem nadziei. Młody Perceveral wyróżnił się w nauce i awansował do małej eksperymentalnej klasy, złożonej tylko z pięciuset uczniów, gdzie stosowano bardziej zindywidualizowane metody nauczania.

Wkrótce jednak okazało się, że miał widocznie wrodzonego pecha. Prześladowały go całe serie drobnych wypadków. Przedmioty wykazywały dziwną skłonność łamania się w jego rękach, czasami też łamały się jego palce w zetknięciu z przedmiotami. Co gorsza, lgnęły do niego wszystkie możliwe i niemożliwe choroby wieku dziecięcego, włącznie z odrą, świnką algierską, wysypką, wietrzną ospą, zieloną i pomarańczową febrą.

Wszystko to nie wpływało na przyrodzone zdolności Perceverala, ale w zatłoczonym, żyjącym pod znakiem konkurencji świecie same zdolności nie wystarczają – potrzebny jest jeszcze łut szczęścia, którego zabrakło Perceveralowi. Przeniesiono go do zwykłej klasy, gdzie było dziesięć tysięcy uczniów, gdzie zarówno jego kłopoty, jak i możliwość zarażenia się nową chorobą wzrosły.

Był wysokim, chudym okularnikiem, dobrym i pracowitym. Lekarze określili go jako typ niezwykle skłonny do ulegania wypadkom, nie potrafili jednak znaleźć przyczyny tego zjawiska. Ale niezależnie od przyczyn fakt pozostawał faktem. Perceveral był jednym z tych nieszczęśników, dla których życie najeżone jest trudnościami nie do przebycia.

Większość ludzi przemyka się przez dżunglę ludzkiej egzystencji z lekkością pantery. Ale dla Perceverala dżungla roiała się od wilczych dołów, sideł i pułapek, głębokich przepaści i nieprzebytych rzek, trujących grzybów i niebezpiecznych zwierząt. Dla niego wszystkie drogi prowadziły do klęski.

Młody Perceveral przebrnął przez studia pomimo swego niezwykłego talentu do łamania nóg na schodach, skręcania kostek na krawężnikach, miażdżenia łokci w drzwiach obrotowych, rozbijania nosa o szklane drzwi i tysiący innych śmiesznych, smutnych i bolesnych wypadków spadających na urodzonych pechowców. Mężnie opierając się hipochondrii próbował wciąż od nowa.

Po uzyskaniu dyplomu wziął się w garść. Z rozmachem wkroczył na wyspę Manhattan wykuwać swój los. Nie szczędził wysiłków, aby pokonać pecha, by zachować radość życia i optymizm mimo wszystkich trudności.

Ale pech okazał się godnym przeciwnikiem. Perceveral tracił kolejne posady, jego ślad znały zepsute dyktafony i podarte kontrakty, zapomniane dokumenty i zagubione dane; narastające crescendo żeber trzaskających w metrze, kostek zwichniętych w rynsztokach i tłuczonych okularów, korowód chorób, włącznie z zapaleniem wątroby typu J, marsjańską febrą, wenusjańską febrą, nieśpiączką i febrą łachotliwą.

Perceveral wciąż jeszcze opierał się hipochondrii. Marzył o kosmosie, o twardych pionierach zaludniających Marsa, o nowych osadach na odległych planetach, o szerokich przestrzeniach, gdzie z dala od febrycznych plastikowych ziemskich dżungli człowiek może odnaleźć samego siebie. Złożył podanie o pracę do Zarządu Zwiadu Kosmicznego i Osadnictwa i został załatwiony odmownie. W ten sposób pożegnał się z marzeniami młodości – od tej pory miał się kolejno różnych zajęć. Poddawano go analizie, sugestii hipnotycznej, sugestii posthipnotycznej i antysugestii – na próżno.

Wszystko ma swoje granice i każda symfonia ma swój finał. Perceveral stracił wszelką nadzieję w wieku lat trzydziestu czterech, kiedy po trzech dniach wyrzucono go z pracy, której szukał przez dwa miesiące. Pomyślał, że jest to ostatni fałszywy akord utworu, którego w ogóle nie powinno się było rozpoczynać.

W ponurym nastroju przyjął mizerną zapłatę wraz z ostatnim współczującym uściskiem dłoni od ostatniego pracodawcy i zjechał windą na dół. Niejasne myśli o samobójstwie kłębiły się już w jego głowie, przybierając kolejno postaci ciężarówek, kurków od gazu, drapaczy chmur i mostów.

Winda dotarła wreszcie do wielkiego marmurowego korytarza, gdzie policjanci z oddziału specjalnego kierowali tłumem oczekującym na wyjście na ulicę. Perceveral stanął w kolejce, bezmyślnie patrząc na licznik zagęszczenia tłumy, którego strzałka dochodziła prawie do czerwonej linii paniki. Po wyjściu na ulicę dołączył do zwartej grupy idącej w stronę jego osiedla.

Samobójcze myśli nie opuszczały go ani na chwilę, przybierając coraz konkretniejsze formy. Przez całą drogę do domu rozważał kolejne możliwe sposoby. Przy swoim bloku odłączył się od grupy i skręcił w bramę.

Przedzierając się przez tłum dzieci w korytarzach dotarł wreszcie do swojego pokoju. Wszedł, zamknął drzwi na klucz i wyjął żyletkę z maszyny do golenia. Potem położył się w

ubrani na łóżku i oparłszy stopy o przeciwległą ścianę przypatrywał się błękitnawym żyłom na przegubie ręki.

Czy potrafi to zrobić? Czy potrafi to zrobić szybko i zręcznie – bezbłędnie i bez żalu? Czy też spartoli i tę robotę, pozwalając, by go wyjącego zaciągnęli do szpitala, gdzie będzie wystawiony na pośmiewisko i plotki personelu?

Kiedy tak rozmyślał, pod jego drzwi wsunięto żółtą kopertę. Był to telegram, przybywający dokładnie w decydującym momencie. Ten dramatyczny efekt wydał się Perceveralowi nieco podejrzany. Mimo to odłożył żyletkę i podniósł kopertę.

Nadawcą był Zarząd Zwiadu Kosmicznego i Osadnictwa, potężna organizacja, której podlegał każdy ruch człowieka poza granicami Ziemi. Drżącymi rękami otworzył kopertę i przeczytał, co następuje:

Mr Anton Perceveral
Budynek zastępczy 1993
Okręg 43825, Manhattan 212, N.Y.

Szanowny Panie

Trzy lata temu ubiegał się Pan u nas o pracę w kosmosie. Z przykrością byliśmy wówczas zmuszeni odrzucić pańskie podanie. Pozostał pan jednak w naszej kartotece, która jest systematycznie uzupełniana. Z przyjemnością komunikujemy, że jesteśmy gotowi zatrudnić Pana od zaraz na stanowisku, które odpowiada Pańskim zdolnościom i kwalifikacjom. Uposażenie wynosi dwadzieścia tysięcy dolarów rocznie plus wszystkie przywileje pracownika służby państwowej i nieograniczone możliwości awansu. Mamy nadzieję, że przyjmie Pan naszą propozycję. Prosimy o osobiste skontaktowanie się dla omówienia szczegółów.

Z poważaniem William Haskell Zastępca dyrektora ds. personalnych.

Perceveral złożył starannie telegram i wsunął go z powrotem do koperty. Początkowa radość ustąpiła miejsca złym przeczuciom.

Jakież to zdolności i kwalifikacje predestynują go do objęcia posady za dwadzieścia tysięcy rocznie plus dodatki? Może pomyłono go z jakimś innym Antonem Perceveralem?

To raczej nieprawdopodobne. Zarząd nie robi takich omyłek. A jeśli znają jego nieszczęsną przeszłość, to czego mogą od niego chcieć? Czy jest choć jedna rzecz, której każdy mężczyzna, kobieta czy nawet dziecko nie potrafi zrobić od niego lepiej?

Perceveral włożył telegram do kieszeni, a żyletkę do pudełka z przyborami do golenia. Samobójstwo wydało mu się teraz nieco przedwcześnie. Najpierw warto się dowiedzieć, czego chce od niego Haskell.

W siedzibie Zarządu Zwiadu Kosmicznego i Osadnictwa wpuszczono go natychmiast do prywatnego biura Williama Haskella. Zastępca dyrektora, wysoki mężczyzna o grubych rysach, przywitał go z podejrzaną wylewnością.

– Proszę bardzo, niech pan siada, panie Perceveral – powiedział Haskell. – Papieroska? Może coś do picia? Bardzo się cieszę, że pan przyszedł.

– Czy jest pan pewien, że to właśnie o mnie chodzi? – spytał Perceveral.

Haskell zajął do teczki leżącej przed nim na biurku.

– Zaraz sprawdzimy. Anton Perceveral, lat trzydzieści cztery, rodzice: Gregory James Perceveral i Anita Swaans-Perceveral, urodzony w Laketown, stan New Jersey. Zgadza się?

– Tak – powiedział Perceveral. – I ma pan pracę dla mnie?

– Tak.

– Za dwadzieścia tysięcy rocznie plus dodatki?

– Zgadza się.

– Czy może mi pan powiedzieć, co to za praca?

– Od tego tutaj jestem – powiedział Haskell radośnie. – Stanowisko zwiadowcy kosmicznego.

– Słucham?

– Zwiadowcy kosmicznego, czyli pozaziemskiego. Są to ludzie, którzy pierwsi lądują na nieznanymi planetach, pierwsi osadnicy, którzy dostarczają nam najważniejszych danych. Dla mnie są to Drake'owie i Magellanowie naszego wieku. Chyba zgodzi się pan ze mną, że to wielka okazja.

Perceveral wstał z twarzą nabiegłą krwią.

– Jeśli pan skończył te żarty, to może ja już pójdę.

– Dlaczego?

– Ja i kosmiczny zwiadowca! – Perceveral roześmiał się gorzko. – Niech pan nie robi ze mnie balona. Czytuję gazety i wiem, jacy to muszą być ludzie.

– Ciekawe jacy?

– Najlepsi synowie Ziemi – powiedział Perceveral. – Najlepsze mózgi i najlepsze ciała. Ludzie o błyskawicznym refleksie, którzy potrafią dać sobie radę w każdej sytuacji, dostosować się do każdego warunków. Czy nie mam racji?

– Tak – powiedział Haskell – wszystko to było prawdą w początkowym okresie naszej działalności. I pozwoliliśmy, aby ten stereotyp utrwalił się w ludzkich umysłach – to budzi zaufanie. Ale ten typ zwiadowcy jest już od dawna przestarzały. Na takich ludzi czeka wiele innych możliwości, ale zwiadowcami już być nie mogli.

– Czyżby pańscy nadludzie nie zdali egzaminu? – spytał, uśmiechając się ironicznie, Perceveral.

– Oczywiście że zdali. I nie ma w tym żadnego paradoksu. Osiągnięcia naszych pierwszych zwiadowców są do dziś niedoścignione. Ci ludzie potrafili wytrzymać na każdej planecie, gdzie była choćby najmniejsza szansa przeżycia; dzięki swojej odporności i wytrzymałości pokonywali nieprawdopodobne przeszkody. Potrafili sprostać nadludzkiemu wprost wymaganiom. Pierwsi zwiadowcy pozostaną na zawsze symbolem siły i zdolności przystosowawczych gatunku *Homo sapiens*.

– Więc dlaczego przestano ich zatrudniać?

– Dlatego że zmieniła się sytuacja na Ziemi i zmieniły się nasze zadania. Na początku zwiad kosmiczny był wielką przygodą, eksperymentem, miał znaczenie militarne, prestiżowe. Ale to należy do przeszłości. Przyrost naturalny przybrał charakter lawinowy. Miliony ludzi zalały stosunkowo skąpo zaludnione tereny Brazylii, Nowej Gwinei i Australii. Ale wkrótce i tam zrobiło się ciasno. W wielkich miastach gęstość zaludnienia doszła do granicy samoczynnych wybuchów paniki, powodując znane zjawisko zamieszek weekendowych, a liczba ludności wzrastała w dalszym ciągu dzięki postępom geriatry i ogromnemu spadkowi śmiertelności niemowląt. – Haskell potarł czoło. – W ten sposób powstał zaczarowany krąg. Ale etyczne problemy wzrostu ludności to nie moja sprawa. Zadaniem naszego Zarządu było znalezienie nowych terenów osadniczych w możliwie jak najkrótszym czasie. Potrzeba nam planet, które w odróżnieniu od Wenus czy Marsa mogą szybko stać się samowystarczalne, które mogłyby przyjąć miliony ludzi, podczas gdy naukowcy i politycy na Ziemi zastanawiali się nad rozwiązaniem problemu. Aby umożliwić jak najszybciej kolonizację nowych planet, należało skrócić do minimum okres badań wstępnych.

– Wszystko to wiem – powiedział Perceveral – ale wciąż jeszcze nie widzę, dlaczego nie używacie zwiadowców typu optymalnego.

– To chyba oczywiste. Szukamy miejsc, gdzie mogą się osiedlić i żyć zwykli ludzie. Nasi optymalni zwiadowcy nie byli wcale zwykłymi ludźmi. Wprost przeciwnie, stanowili oni jakby odrębny gatunek i nie mogli być miernikiem dla przeciętnych śmiertelników. Są na przykład szare, monotonne planety, gdzie deszcz pada przez okrągły rok, planety, które zwykłego człowieka mogą doprowadzić do szaleństwa, gdy tymczasem nasz optymalny zwiadowca jest zbyt zdrowy, by się przejmować monotonią klimatu. Bakterie zdolne zabić tysiące ludzi, jego przyprawiają o krótkotrwały ból głowy. Niebezpieczeństwa, które mogą stać się przyczyną katastrofy całej kolonii, on omija, nie zdając sobie z nich po prostu sprawy.

– Zaczynam rozumieć – powiedział Perceveral.

– Oczywiście najlepszym sposobem byłoby zdobywanie planet etapami. Najpierw zwiadowca, potem podstawowy zespół badawczy, następnie kolonia eksperymentalna, składająca się głównie z psychologów i socjologów, potem grupy uczonych, mające za zadanie sprawdzenie wyników poprzednich grup i tak dalej. Niestety nie mamy na to czasu ani pieniędzy. Nowe tereny są potrzebne nam już teraz, a nie za pięćdziesiąt lat. – Haskell przerwał i spojrział bez uśmiechu na Perceverala. – Musimy od razu wiedzieć, czy zwykli

ludzie mogą żyć i rozwijać się na każdej z nowych planet. Oto dlaczego zmieniliśmy wymagania w stosunku do zwiadowców.

Perceveral skinął głową.

– Zwykli zwiadowcy dla zwykłych ludzi. Jest tylko jedno „ale”...

– Słucham.

– Nie wiem, na ile jest panu znane moje dotychczasowe życie.

– Zupełnie nieźle – zapewnił go Haskell.

– Być może zauważył pan, że wykazuję pewną skłonność do wypadków. Prawdę mówiąc, miałem trudności z życiem tutaj, na Ziemi.

– Wiem – powiedział Haskell z miłym uśmiechem.

– Więc jak dam sobie radę na obcej planecie? I dlaczego wybraliście właśnie mnie?

Dyrektor Haskell wydawał się z lekka zakłopotany.

– Pan niezbyt dokładnie sformułował istotę naszej polityki mówiąc „zwykli zwiadowcy dla zwykłych ludzi”. Sprawa nie jest taka prosta. Kolonia składa się z tysięcy, często z milionów ludzi, którzy wykazują bardzo różny stopień zdolności przystosowawczych. Humanitaryzm i praworządność wymagają, by wszystkim dać równe szanse. Ludzie muszą czuć się pewnie opuszczając Ziemię, musimy przekonać ich, prawo, a także samych siebie, że nawet najslabszy z nich otrzyma szansę przeżycia.

– Niech pan mówi dalej.

– A zatem – powiedział Haskell szybko – kilka lat temu przestaliśmy zatrudniać zwiadowców typu optymalnego i przeszliśmy na zwiadowców o minimalnych szansach utrzymania się przy życiu.

Perceveral przez chwilę rozważał to, co usłyszał.

– Więc potrzebujecie mnie dlatego, że jeśli w jakimś miejscu ja przeżyję, to znaczy, że może tam żyć każdy.

– To mniej więcej charakteryzuje naszą ideę – powiedział Haskell z uroczym uśmiechem.

– Ale jakie są moje szanse?

– Niektórzy z naszych zwiadowców-minimum doskonale się spisywali.

– A inni?

– Jest oczywiście ryzyko – przyznał Haskell. – I niezależnie od potencjalnych niebezpieczeństw, związanych z daną planetą, są jeszcze inne, wynikające z samej istoty eksperymentu. Nie mogę panu nawet o nich powiedzieć, gdyż pozbawiłoby to nas jedyne go elementu kontroli w tym doświadczeniu. Mogę tylko stwierdzić, że takie niebezpieczeństwo istnieje.

– Niezbyt przyjemne perspektywy.

– To prawda. Ale niech pan pomyśli o nagrodzie oczekującej zwycięzcę! Zostałby pan założycielem nowej kolonii! Pańska wartość jako eksperta byłaby nieoceniona. Miałby pan

zapewnione czołowe miejsce w życiu społeczeństwa. A także ma pan szansę pozbyć się pewnych zakorzenionych kompleksów, odzyskać wiarę we własne siły.

Perceveral skinął głową.

– Proszę mi powiedzieć jedną rzecz. Otrzymałem dzisiaj pański telegram w decydującym momencie. Wyglądało to prawie jak...

– Tak, to było z góry ukartowane – powiedział Haskell. – Przekonaliśmy się, że potrzebni nam ludzie godzą się na nasze propozycje najchętniej, kiedy osiągają pewien określony stan psychiczny. Pilnie obserwujemy tych nielicznych, którzy odpowiadają naszym wymaganiom, czekając na odpowiedni moment.

– Byłoby wam głupio, gdybyście się spóźnili o godzinę.

– Ale gdybyśmy zwrócili się o dzień wcześniej, nasza propozycja mogłaby zostać odrzucona. – Haskell wstał zza biurka. – Może zje pan ze mną lunch, panie Perceveral? Moglibyśmy omówić szczegóły przy lampce wina.

– Dobrze. Ale jeszcze nic nie obiecuję.

– Oczywiście – powiedział Haskell, otwierając przed nim drzwi.

Po lunchu Perceveral oddał się rozmyślaniom, praca zwiadowcy bardzo go pociągała mimo związanego z nią ryzyka. Zresztą nie było to bardziej ryzykowne niż samobójstwo, natomiast o wiele lepiej płatne. Nagroda za zwycięstwo była niemała; kara za przegraną nie wyższa niż ta, jaką zamierzał zapłacić za swoją klęskę na Ziemi.

Nie osiągnął niczego w ciągu swoich trzydziestu czterech lat życia. Co najwyżej zademonstrował jakieś przebłyśki zdolności, przyćmione zresztą skłonnością do chorób, wypadków i pomyłek. Ale Ziemia jest przeludniona, wszyscy są zagonieni. Być może jego pech nie jest wrodzoną cechą, tylko produktem nieznośnych warunków?

Praca zwiadowcy przeniesie go w inne środowisko. Będzie sam, zależny tylko od siebie, odpowiedzialny tylko przed sobą. Ryzyko jest ogromne, ale czy może być coś bardziej niebezpiecznego niż lśniące ostrze we własnej dłoni?

Będzie to największy wysiłek jego życia, ostateczny sprawdzian jego możliwości. Będzie walczył jak nigdy przedtem ze swymi pechowymi skłonnościami. I tym razem rzuci na szalę całą swoją odwagę i determinację.

Zdecydował się.

W ciągu kilku tygodni, przeznaczonych na przygotowania, żył pod hasłem determinacji: wbijał ją sobie do głowy, przesycił nią swoje nerwy i krew, powtarzał bez końca jak buddyjską modlitwę, śnił o niej, czyścił nią zęby i mył ręce, i medytował nad nią, aż jej monotony refren huczał mu w głowie w dzień i w nocy, z wolna zaczynając wywierać wpływ na jego czyny.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy wręczono mu roczne skierowanie na pewną obiecującą planetę. Haskell życzył mu powodzenia i przyrzekł utrzymywać kontakt za pomocą L-

fazowego radia. Perceveral wraz z ekwipunkiem został załadowany na statek zwiadowczy „Queen of Glasgow” i przygoda zaczęła się.

Podczas miesięcy spędzonych w podróży Perceveral uporczywie utwierdzał się w swojej determinacji. Zachowywał jak najdalej idącą ostrożność w stanie nieważkości, wystrzegał się każdego zbędnego ruchu i analizował swoje uczucia.

Ciągła samoobserwacja i czujność zwolniły wprawdzie tempo działania, ale stopniowo wchodziły w krew. Zaczął się formować nowy zespół odruchów pokonujący stare nawyki.

Proces ten jednak nie odbywał się bezboleśnie. Mimo wysiłków zminimalizowania pecha Perceveral nabawił się podrażnienia skóry, uderzył głową o ścianę i stłukł jedną z dziesięciu par okularów, jakie wziął ze sobą, cierpiał na skutek bólów głowy i pleców, miał pokaleczone ręce i zwichnięty palec u nogi.

Czuł jednak, że robi postępy, i jego wiara we własne siły wzrosła poważnie. Któregoś dnia zobaczył wreszcie swoją planetę, która otrzymała nazwę Theta.

Statek wylądował na trawiastej, częściowo pokrytej lasem wyżynie u stóp gór. Teren ten został wybrany automatycznie na podstawie zdjęć satelitarnych, ze względu na korzystne warunki: była tu woda, drewno, owoce i rudy metali – doskonale miejsce na przyszłą kolonię.

Załoga życzyła mu szczęścia i odleciała. Perceveral patrzył długo za statkiem nikającym w chmurach. Potem wziął się do pracy.

Po pierwsze uruchomił robota. Była to wielka, czarna, wielofunkcyjna maszyna, stanowiąca typowe wyposażenie zwiadowców i osadników. Robot nie umiał mówić, śpiewać, deklamować ani grać w karty, jak niektóre droższe modele. Odpowiadał jedynie przeczącym lub potakującym ruchem głowy – nieciekawe towarzystwo na najbliższy rok. Jego zaletą była jednak umiejętność odbierania dość złożonych ustnych poleceń, wykonywania cięższych prac oraz pewna zdolność przewidywania w sytuacjach problemowych.

Z pomocą robota Perceveral założył na równinie obozowisko, czujnie obserwując okolice w oczekiwaniu niespodzianek. Zwiad powietrzny nie wykrył żadnych śladów cywilizacji, ale wszystko może się zdarzyć. Nie było także żadnych danych o faunie planety.

Perceveral pracował powoli i ostrożnie, a niemy robot towarzyszył mu krok w krok. Wieczorem tymczasowy obóz był gotowy. Po włączeniu radaru alarmowego Perceveral położył się do łóżka.

O świcie zerwał go ze snu przenikliwy dźwięk syreny. Ubrał się i wyskoczył na zewnątrz. Powietrze wypełniało gniewne brzęczenie jakby stada szarańczy.

– Przynieś szybko dwie strzelby – powiedział do robota. – Weź też lornetkę.

Robot skinął głową i poszedł swoim kołyszącym się krokiem. Drżąc od porannego chłodu Perceveral rozglądał się, próbując ustalić źródło szumu. Przebiegł wzrokiem wilgotną równinę, zielony skraj lasu i skały poza nim. Żadnego ruchu. Nagle ujrzał na tle wschodzącego słońca coś na kształt niskiej ciemnej chmury. Chmura bardzo szybko zbliżała się w stronę obozu, posuwając się pod wiatr.

Robot wrócił z dwiema strzelbami. Perceveral wziął jedną, zostawiając drugą robotowi i nakazując mu gotowość do strzału. Robot kiwnął głową, jego oczy błysnęły matowo, kiedy zwrócił się w stronę słońca.

Z bliska chmura okazała się ogromnym stadem ptaków. Perceveral przyjrzał im się przez lornetkę. Miały rozmiary ziemskich orłów, ale ich szybki zygzakowaty lot przypominał raczej lot nietoperzy. Nogi miały uzbrojone w potężne szpony, a długie dzioby jeżyły się ostrymi zębami. Stworzenia wyposażone w taką broń musiały być drapieżnikami. Stado z głośnym szumem zatoczyło krąg i nagle, ze wszystkich stron naraz, ptaki zaczęły pikować ze złożonymi skrzydłami i rozcapierzonymi pazurami. Perceveral kazał robotowi strzelać.

Stali plecami do siebie, prażąc w gąszcz atakujących bestii. W powietrzu zawirowała chmura krwawego pierza i całe chmary ptaków spadały skoszone ich ogniem.

Perceveral i robot bronili się dzielnie, utrzymując hordę powietrznych wilków na dystans, a nawet zmuszając je do wycofania się. Nagle strzelba Perceverala odmówiła posłuszeństwa. Broń miała być załadowana z gwarancją siedemdziesięciu pięciu godzin ciągłego ognia. Strzelba nie miała prawa zawieść! Perceveral stał przez chwilę osłupiały, bezmyślnie szcękając spustem. Potem cisnął bezużyteczną broń na ziemię i rzucił się pędem do namiotu, zostawiając robota na placu boju.

Znalazł dwie zapasowe strzelby, ale... broń robota również zawiodła. Otoczony rojem ptaków, walczył wymachując rękami jak cepami. Krople oliwy wyciekały mu ze stawów, chwiał się chwilami bliski utraty równowagi. Kilka ptaków usiadło mu na ramionach, dziobiąc zajadle komórki oczne i antenę. Perceveral chwycił obie strzelby i zaczął szerzyć spustoszenie wśród napastników. Niestety, jedna umilkła prawie natychmiast; modlił się w duchu, by przynajmniej ta ostatnia okazała się dobra.

Poniósłszy dotkliwie straty ptaki odleciały krzycząc i pohukując. Perceveral i robot stali na placu boju po kolana w piórach i zwęglonych ciałach, cudem nie doznawszy żadnych obrażeń.

Perceveral spojrział na cztery strzelby, z których tylko jedna nadawała się do użytku, i wściekły pobiegł do namiotu łączności.

Nawiązał łączność z Haskelllem i powiedział mu o ataku ptaków i o zepsuciu się trzech strzelb. Czerwony ze złości wymyślał ludziom odpowiedzialnym za stan sprzętu. Wciąż jeszcze nie mogąc złapać tchu, czekał na wyjaśnienia i przeprosiny Haskella.

– To miał być jeden z elementów kontroli – powiedział Haskell.

– Co?

– Wspomniałem o tym w czasie naszej pierwszej rozmowy. Sprawdzamy minimalne warunki. Minimalne, proszę pamiętać! Musimy wiedzieć, co oczekuje kolonię złożoną z bardzo różnego elementu ludzkiego. Dlatego szukamy najniższego wyznacznika.

– Wiem o tym. Ale przecież strzelby...

– Drogi Perceveral, założenie nowej kolonii, nawet przy absolutnym minimum zaopatrzenia, jest fantastycznie kosztowną operacją. Wyposażamy naszych osadników we wszystko, co najnowsze i najlepsze w dziedzinie uzbrojenia i narzędzi, ale nie jesteśmy w stanie uzupełniać zapasów sprzętu, który się popsuł, rzeczy, które uległy zużyciu. Jest pewien przydział amunicji, sprzętu i żywności, który będzie ulegał zużyciu, ale osadnicy nie mogą liczyć na dodatkowe dostawy.

– I mnie też tak wyposażyliście? – spytał Perceveral.

– Oczywiście. Dla kontroli daliśmy panu sprzęt o minimalnej wartości. Tylko w ten sposób będziemy się mogli zorientować, jakie szanse mają osadnicy na Thecie.

– Ale to nieuczciwe! Zwiadowcy zawsze dostają najlepszy sprzęt!

– Nie, tak było dawniej, przy zwiadowcach typu optymalnego. Ale teraz szukamy dolnej granicy możliwości i dotyczy to zarówno zwiadowców, jak i sprzętu. Uprzedzałem pana, że będą niespodzianki.

– Tak, to prawda – westchnął Perceveral. – Ale... Zresztą dobrze. Czy chowa pan w zanadrzu jeszcze jakieś?

– Właściwie nie – powiedział Haskell po chwili namysłu. – Zarówno pan sam, jak i sprzęt przedstawicie najniższą jakość. Tego wymaga istota eksperymentu.

Perceveral wyczuł coś wymijającego w tej odpowiedzi, ale Haskell nie chciał wdawać się w szczegóły. Rozmowa zastała zakończona i Perceveral wrócił do chaosu swojego obozowiska.

Zaczął od tego, że przy pomocy robota przeniósł obóz do lasu dla ochrony przed powtórными atakami ptaków. W czasie tej pracy zauważył, że co najmniej połowa lin jest przetarta, baterie elektryczne słabną, a płótno namiotów nadżarte jest pleśnią. W pocie czoła naprawiał to wszystko, zdzierając sobie skórę z rąk i raniąc palce. Potem nawalił mu generator.

Stracił trzy dni, starając się znaleźć przyczynę awarii za pomocą źle wydrukowanej instrukcji obsługi w języku niemieckim, która była dołączona do urządzenia. Zdawało mu się, że wszystkie części są poprzestawiane i nic nie działa. Wreszcie odkrył, że instrukcja dotyczy zupełnie innego modelu. Wszedł z siebie, kopnął generator z całej siły, omal nie łamiąc sobie palca u nogi. Po chwili wziął się jednak w garść i pracował przez następne cztery dni, ustalając drobiazgowo różnice między swoim modelem a opisanym w broszurce, aż wreszcie uruchomił generator.

Ale ptaki i tu go znalazły – pikując pomiędzy drzewami, porywały z obozu jedzenie, zanim zdążył wycelować. Ich ataki kosztowały Perceverala parę okularów i brzydką ranę na szyi. Pracowicie utkał sieci i przy pomocy robota zawiesił je na gałęziach ponad obozem.

Ptaki były zaskoczone. Perceveral nareszcie miał chwilę czasu, aby skontrolować zapasy żywności. Przy okazji stwierdził, że wiele konserw było podłej jakości, a inne zapasy padły

ofiara jakiejś paskudnej pleśni. I jedno i drugie nadawały się tylko do wyrzucenia. Wiedział, że jeśli natychmiast nie podejmie jakichś kroków, zostanie na zimę bez żywności.

Przeprowadził serię analiz miejscowych owoców, traw, jagód i jarzyn. Okazało się, że są wśród nich pożywne i zdrowe. Włączył je do swego menu, po czym dostał dokuczliwej wysypki alergicznej. Pracując uporczywie i wykorzystując wszystkie możliwości podręcznej apteczki wyleczył się z wysypki i przystąpił do prób, mających na celu znalezienie rośliny wywołującej przykre objawy. Ale właśnie kiedy sprawdzał wyniki, do namiotu włązł robot i poprzewracał próbówki, wylewając bezcenne odczynniki. Dalsze próby Perceveral musiał przeprowadzać na sobie – w rezultacie wykreślił z jadłospisu jeden rodzaj jagód i dwie jarzyny. Na szczęście inne owoce były znakomite, a z ziarna można było piec doskonały chleb. Perceveral zebrał nasiona i późną wiosną skierował robota do pracy w polu.

Robot od świtu do nocy pracował w polu, a Perceveral w tym czasie zapoznawał się bliżej z okolicą. Znalazł gładkie, płaskie kamienie ze śladami liter czy cyfr i nawet ze schematycznymi rysunkami drzew, gór i obłoków. Doszedł do przekonania, że na planecie żyły lub nawet żyją gdzieś nadal istoty rozumne. Niestety, nie miał czasu na dalsze poszukiwania w tym kierunku, gdyż w czasie obchodu gospodarstwa stwierdził, że robot zasiał zboże o wiele za głęboko. Ziarno zostało zmarnowane i Perceveral obsiał pola jeszcze raz własnoręcznie.

Zbudował również drewniany szałas i magazyny w miejsce zbutwiałych namiotów. Powoli przygotowywał się do przetrwania zimy. I również powoli narastało w nim podejrzenie, że robot zaczyna nawalać.

Wielka, czarna wszechstronna maszyna nadal wykonywała swoje zadania, ale jej ruchy stawały się nerwowe i traciła panowanie nad swoją siłą. Masywne naczynia pękały w jej uścisku, a narzędzia rolnicze gięły się i łamały. Perceveral zlecił robotowi oczyszczenie pól z chwastów, ale w czasie gdy rękami wyrywał on zielsko, jego wielkie płaskie stopy tratowały kielkujące zboże. Próby rąbania drzewa kończyły się zazwyczaj złamaniem siekiery. Chata drżała w posadach, kiedy robot wchodził, a drzwi nieraz wyskakiwały z zawiasów.

Perceveral zastanawiał się, co począć wobec tych oznak sklerozy robota. Nie mógł go zreperować, gdyż machina była tak skonstruowana, że można ją było rozmontować wyłącznie w macierzystej fabryce, przy użyciu specjalnych narzędzi. Pozostawało jedynie w ogóle zrezygnować z usług robota, ale wtedy Perceveral zostałby zupełnie sam.

Na razie wyznaczał mu coraz to prostsze zadania i więcej prac brał na siebie. Mimo to stan robota stale się pogarszał. Pewnego wieczoru, gdy Perceveral jadł kolację, robot zatoczył się na piec strącając garnek gotującego się ryżu.

Na szczęście Perceveral wyrobił sobie już niezły refleks i błyskawicznie uchylił się, tak że wrząca masa trafiła go w ramię, a nie w twarz.

Tego już było za wiele. Obecność robota stawała się niebezpieczna. Opatrzywszy sobie oparzenia Perceveral postanowił wyłączyć robota i samotnie kontynuować walkę o życie. Zdecydowanym głosem wydał rozkaz wyłączenia.

Robot spojrział tylko w jego stronę i jak gdyby nigdy nic dalej kręcił się po chacie, nie reagując na swoją podstawową komendę. Perceveral powtórzył rozkaz, robot pokręcił głową i zaczął układać drzewo przy kuchni. Coś się zacięło. Trzeba będzie wyłączyć robota ręcznie – tylko że na lśniącej powierzchni maszyny nie było ani śladu kontaktu wyłączającego dopływ energii. Mimo to Perceveral wyjął skrzyneczkę z narzędziami i zbliżył się do robota. Ku jego zdumieniu robot cofnął się, unosząc obronnym gestem ramiona...

– Stój! – krzyknął Perceveral.

Robot cofał się w dalszym ciągu, aż plecami dotknął ściany. Perceveral zawahał się, zastanawiając się, co tu jest nie w porządku. Maszyny nie mogły odmawiać wykonania rozkazu, a gotowość do poświęcenia „życia” była zaprogramowana w każdym robocie.

Perceveral zbliżył się do robota, zdecydowany wyłączyć go za wszelką cenę. Robot pozwolił mu podejść i nagle zadał mu cios swoją pancerną pięścią. Perceveral zrobił unik, próbując trzymanym w ręku kluczem francuskim złamać antenę robota. Ten jednak błyskawicznie wciągnął antenę i powtórnie zadał cios, tym razem trafiając.

Perceveral zwałił się na podłogę i zamknął oczy, przygotowany na śmiertelny cios. Robot stał nad nim, błyskając czerwonymi światełkami oczu i zaciskając stalowe pięści, nagle odwrócił się i wyszedł na dwór, po drodze demolując drzwi. Perceveral doszedł odgłos rąbania drzewa.

Rozłożył apteczkę i opatrzył sobie stłuczony bok. Robot skończył pracę i zameldował się po dalsze rozkazy. Drżącym głosem Perceveral wysłał go do oddalonego źródła po wodę. Robot posłuchał, nie wykazując żadnych agresywnych skłonności, a Perceveral z trudem dowlókl się do namiotu łączności.

– Nie powinien pan próbować go wyłączać – powiedział Haskell, kiedy usłyszał, co się wydarzyło. – On nie ma tego w programie; czy pan nie zauważył? Dla swego własnego dobra nie powinien pan tego więcej robić.

– Ale dlaczego?

– Ponieważ, jak pan się zapewne już domyśla, robot działa jako element kontroli jakości. Pańskiej jakości.

– Nie rozumiem – powiedział Perceveral. – Po co wam kontrola jakości?

– Czy naprawdę trzeba to panu tłumaczyć? – spytał Haskell zniecierpliwiony. – Zatrudniliśmy pana jako zwiadowcę o minimalnych zdolnościach. Nie średnich i nie wybitnych. Minimalnych.

– Tak, ale...

– Proszę mi pozwolić dokończyć. Już pan zapomniał, jak to było przez te trzydzieści cztery lata na Ziemi? Nieustannie prześladowały pana wypadki, choroby i w ogóle wszelkie nieszczęścia. I dlatego wysłaliśmy pana na Thetę. Ale pan się zmienił, panie Perceveral.

– Staralem się.

– Oczywiście – powiedział Haskell. – Spodziewaliśmy się tego. Większość naszych zwiadowców zmienia się w nowym otoczeniu; zaczynając wszystko od nowa biorą się w garść i dokonują rzeczy, które by im się nie udały na Ziemi. Ale to nie jest to, o co nam chodzi i dlatego musimy zrównoważyć zmiany w ich charakterze. Koloniści nie przyjeżdżają na nową planetę po to, by pracować nad sobą. A poza tym w każdej grupie są ludzie nieostrożni, nie mówiąc o starych, słabowitych, roztargnionych, ryzykantach, dzieciach i tak dalej. Nasz standard zwiadowcy o minimalnych zdolnościach gwarantuje szansę utrzymania się przy życiu na nowej planecie. Czy wreszcie zaczyna pan rozumieć?

– Myślę, że tak...

– Dlatego właśnie potrzebna nam jest stała kontrola, aby nie osiągnął pan średniego lub nawet wyższego poziomu zdolności, które są dla naszych celów nieprzydatne.

– I po to jest robot – powiedział Perceveral drewnianym głosem.

– Tak. Robot jest tak zaprogramowany, że działa jako kontroler pańskich możliwości. I odpowiednio reaguje na zmiany. Dopóki pańskie zdolności życiowe utrzymują się poniżej ustalonego poziomu – robot działa normalnie. Ale w miarę jak pan się rozwija, staje się zręczniejszy i bardziej odporny, robot działa coraz gorzej. Zaczyna psuć rzeczy, które pan powinien zepsuć, podejmuje za pana błędne decyzje...

– To jest nieuczciwe!

– Panie Perceveral, zapomina pan, że my nie prowadzimy sanatorium i naszym celem nie jest robienie z pana supermana. Interesuje nas tylko praca, za którą płacimy i którą ma pan wykonać. Pozwolę sobie przypomnieć, że alternatywą tej pracy było samobójstwo.

– Dobra! – krzyknął Perceveral. – Zrobię, co do mnie należy. Chcę tylko wiedzieć, czy wolno mi rozmontować tego cholernego robota?

– Wolno panu – powiedział Haskell ciszej – jeśli pan potrafi. Ale szczerze panu odradzam. To jest zbyt niebezpieczne. Robot nie pozwoli się unieruchomić.

– O tym ja będę decydował, a nie on – powiedział Perceveral i zakończył połączenie.

Wiosna minęła pod znakiem ciągłych kłopotów z robotem. Perceveral kazał mu robić dalekie wyprawy w góry, ale robot nie chciał się zbytnio oddalać. Perceveral próbował więc nie dawać mu żadnych poleceń, ale czarny potwór nie chciał pozostawać bezczynny i sam wyznaczał sobie zadania, szerząc spustoszenie w magazynach i na polach.

Broniąc się Perceveral zlecił robotowi najbardziej nieszkodliwą pracę, jaka mu przyszła do głowy: kazał mu kopać studnię, w nadziei, że się w niej w końcu pogrzebie. Ale zawzięty

robot triumfalnie co wieczór wylaniał się spod ziemi i wlaził do chaty, strząsając piach w jedzenie Perceverala, zarażając go chorobami skóry, tłukąc talerze i szyby w oknach.

Perceveral znosił to, zaciskając zęby z bezsilnej złości. Robot wydawał mu się teraz ucieleśnieniem drugiej, gorszej połowy jego samego – niezdarne i pechowe Perceverala. Obserwując nieszczęsne poczynania robota miał wrażenie, że patrzy na samego siebie w krzywym zwierciadle, na swoją słabość, która przybrała materialne kształty.

Próbował uwolnić się od tej myśli, ale robot coraz bardziej kojarzył mu się z własnymi niszczycielskimi popędami, które wymknęły się spod kontroli i buszują na swobodzie.

Perceveral pracował, a jego zmora czaiła mu się za plecami, zawsze obecna i jak wszystkie twory fantazji niepokonana. Ta zmora żyła z nim, patrzyła na niego, kiedy jadł, była przy nim, gdy spał.

Perceveral wykonywał swoją pracę coraz lepiej. Jednak każdego dnia z niepokojem oczekiwał zachodu słońca i groźby nocy, kiedy to robot stał przy jego łóżku, jakby zastanawiając się, czy nie nadeszła już godzina ostatecznego porachunku. Co rano obmyślał nowe sposoby pozbycia się niszczycielskiej zmory. Z czasem ta nieznośna sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej.

Przez kilka dni padały ulewne deszcze. Kiedy się wreszcie przejaśniło, Perceveral poszedł obejrzeć zasiewy. Robot stąpał ciężko za nim, niosąc narzędzia. Nagle mokra ziemia zapadła się, tworząc szczelinę. Perceveral skoczył i zawisł na stromym zboczu, a robot wyciągnął go na równy grunt, omal mu przy tym nie wyrywając ręki.

Oglądając zapadlinę Perceveral zobaczył, że pod ziemią przebiega tunel. Widać było wyraźne ślady kopania i z jednej strony wylot korytarza biegnącego głęboko pod ziemią.

Perceveral wrócił po broń i latarkę. Tak uzbrojony ześliznął się do zapadliska, oświetlił wnętrze tunelu i zobaczył wielki, pokryty sierścią kształt, kryjący się pośpiesznie za zakrętem. Wyglądało to jak ogromny kret.

Nareszcie odkrył nową formę życia na planecie!

Przez kilka następnych dni ostrożnie badał tunele. Kilkakrotnie mignęły mu szare krecie cienie, ale zawsze kryły się przed nim w mrocznych labiryntach.

Postanowił zmienić taktykę. Zapuścił się zaledwie kilkaset metrów w głąb głównego korytarza i pozostawił tam dar w postaci owoców. Kiedy powrócił następnego dnia, owoców nie było. Na ich miejscu leżały dwie bryłki ołowiu.

Ta wymiana trwała tydzień, aż pewnego dnia, kiedy Perceveral przyniósł kolejną porcję owoców, zjawił się wielki kret. Zbliżał się do Perceverala powoli, wyraźnie zdenerwowany. Sądząc z ruchów raziło go światło latarki, więc Perceveral zasłonił reflektor. Czekał bez ruchu. Kret podchodził wolno na tylnych łapach, ruszając nosem, a małe, pomarszczone rączki miał splecione na piersi. Wreszcie zatrzymał się, wpatrzony w Perceverala wylupiastymi oczami. Potem schylił się i wydrapał na ziemi jakiś znak. Perceveral nie

wiedział, co to znaczy, ale sam gest wskazywał na obecność rozumu, języka i zdolności do abstrahowania. Narysował podobny znak, żeby dać to samo kretowi do zrozumienia.

Tak rozpoczęła się pierwsza próba nawiązania kontaktu między odmiennymi istotami rozumnymi. Robot stał z tyłu, błyskając oczami i obserwując próbę porozumienia się człowieka i kreta. Spotkanie z kretami oznaczało nowe obowiązki dla Perceverala. W dalszym ciągu musiał pracować w polu i w ogrodzie, naprawiać sprzęt i pilnować robota, tylko że wszystkie wolne chwile wykorzystywał na naukę języka kretów, które nie szczędziły wysiłków, by mu w tym pomóc. Stopniowo uczyli się nawzajem rozumieć, polubili się i zaprzyjaźnili. Perceveral dowiadywał się o ich życiu codziennym, o niechęci do światła, o ich podziemnych wyprawach i umiłowaniu wiedzy. Sam z kolei opowiadał im o człowieku.

– A co to za metalowa rzecz? – dopytywały się krety...

– Sługa człowieka.

– Ale ona stoi za tobą i wytrzeszcza oczy. Ta metalowa rzecz cię nienawidzi. Czy one wszystkie nienawidzą ludzi?

– Nie – wyjaśnił Perceveral. – To jest szczególny przypadek.

– My się tego boimy. Czy wszystkie metalowe rzeczy są takie groźne?

– Nie, tylko niektóre.

– Trudno nam jest myśleć i rozmawiać, kiedy ta metalowa rzecz patrzy na nas. Czy tak jest z nimi zawsze?

– Czasami to denerwuje – przyznał Perceveral. – Ale nie obawiajcie się, robot nie zrobi wam krzywdy.

Ale krety nie były zupełnie przekonane. Perceveral przeproszał je za ciężką, chwiejną i natrętną maszynę, mówił o wykorzystaniu maszyn w służbie człowieka i o licznych ułatwieniach życiowych, możliwych dzięki ich zastosowaniu. Ale krety wciąż nie dowierzały i ze strachem cofały się na widok robota.

Mimo to, po długotrwałych negocjacjach, Perceveral zawarł z nimi traktat. W zamian za dostawy świeżych owoców, które były bardzo cenione, a trudno osiągalne w podziemnym świecie, krety zgodziły się na dostarczanie wiadomości o złożach metali oraz o źródłach wody i ropy naftowej na użytek przyszłych osadników. Dalej traktat oddawał całą powierzchnię planety osadnikom z Ziemi, potwierdzając panowanie kretów pod powierzchnią. Takie rozwiązanie zadowalało obie strony i zarówno Perceveral jak i wódz kretów podpisali kamienny dokument z takimi zakreślasami, na jakie tylko pozwolił oporny materiał.

Aby przypieczętować traktat, Perceveral wydał ucztę: wraz z robotem przynieśli kretom w darze mnóstwo pięknych owoców. Wilgotnookie, pokryte szarym futrem stworzenia zebrały się wokół piszcząc ochoczo.

Robot postawił na ziemi kosz z owocami, ale robiąc krok do tyłu pośliznął się na gładkim kamieniu, stracił równowagę i zwałił się jak długi, przygniatając jednego z kretów.

Natychmiast zerwał się na nogi, próbując podnieść go swoimi niezgrabnymi żelaznymi łapskami. Na próżno jednak – biedne stworzenie miało złamany kręgosłup. Pozostałe krety uciekły, unosząc ciało zabitego towarzysza. Perceveral i robot zostali sami w tunelu pośród stosów owoców.

Tej nocy Perceveral długo rozmyślał. Widział przekłątą logikę całego wydarzenia. Przy zastosowaniu kryterium minimalnych szans również kontakty z mieszkańcami innych planet muszą zawierać element niepewności, niedowierzania, a nawet uwzględniać wypadki śmiertelne. Jego spotkania z ludźmi kretami przebiegały widocznie zbyt gładko. Robot po prostu wniósł poprawkę do sytuacji i popełnił błąd, który powinien był zrobić on sam.

Ale chociaż Perceveral rozumiał logikę wydarzeń, nie mógł się z nią pogodzić. Ludzie krety byli jego przyjaciółmi, a on zawiódł ich zaufanie. Nie może być teraz mowy o wzajemnym zrozumieniu, o współpracy z przyszłymi osadnikami. W każdym razie tak długo, dopóki po podziemnych korytarzach będzie się rozbijał robot.

Perceveral postanowił go zniszczyć. Postanowił twardo poddać próbie swoje z trudem zdobyte umiejętności i pozbyć się raz na zawsze tej snującej się za nim zmory. A gdyby nawet miał to przypłacić życiem, to przecież zaledwie rok temu chciał popełnić samobójstwo dla znacznie mniej ważnych powodów.

Ponownie nawiązał kontakt z kretami i omówił z nimi sprawę. Zgodziły się mu pomóc, gdyż nawet te łagodne stworzenia wiedziały, co to zemsta. Wystąpiły nawet z kilkoma projektami, które były zadziwiająco ludzkie, krety bowiem również znały pewne formy wojny. Perceveral przystał na ich plany.

Za tydzień krety były gotowe. Perceveral wziął ze sobą do tunelu robota z kosztami owoców, jakby znowu wydawał ucztę. Gospodarzy nie było nigdzie widać. Perceveral wraz z robotem zagłębiali się coraz dalej w podziemne labirynty, oświetlając sobie drogę latarką, świecił czerwono oczami i trzymał się blisko Perceverala deptając mu niemal po piętach.

Tak doszli do podziemnej groty. W ciemności rozległ się cichy gwizd i Perceveral ruszył przed siebie sprintem. Robot przeczuł niebezpieczeństwo, próbował pójść w jego ślady, ale potknął się, zahamowany przez swoją zaprogramowaną niezdarność, i rozsypał owoce. Z ciemności kryjącej górną część groty spadły liny, oplatając mu głowę i ramiona. Próbował rozerwać mocne sznury, ale coraz ich więcej spadało ze świstem. Oczy robota błyszczały, kiedy zrywał liny z rąk. Z ciemnych korytarzy wypadła chmara kretów – pęta coraz gęściej oplatały robota, który wysilał się tak, że aż mu olej kapał ze stawów rąk i nóg. W ciszy podziemia słychać było tylko świst zarzucanych lin, chrzęst stawów robota i suchy trzask pękających sznurów.

Perceveral włączył się do walki. Wspólnie omotywali robota coraz ciaśniej, tak by się wreszcie nie mógł poruszyć. Mimo to zrzucano wciąż nowe liny, aż upadł jak wielki kokon, z którego wystawały tylko stopy i głowa.

Ludzie krety zapiszczały zwycięsko; swoimi tępymi pazurami usiłowały wydrapać robotowi oczy, a kiedy zasunął stalowe powieki, sypały mu piasek w stawy. Perceveral odepchnął tłum, zamierzał stopić robota w płomieniu swojej strzelby laserowej.

Strzelba jednak odmówiła posłuszeństwa, zanim zdążył się rozgrzać. Wtedy krety przywiązały koniec liny do stóp robota i pociągnęły go korytarzem, który prowadził na skraj głębokiej przepaści. Zepchnąwszy wroga słuchały, jak obijał się o występy granitowych skał.

Gdy kreci lud wiwatował, Perceveral czuł się paskudnie. Wrócił do chaty i nie wstawał z łóżka przez dwa dni, tłumacząc sobie, że nie było to zabójstwo człowieka ani w ogóle żywej istoty – po prostu unieszkodliwił niebezpieczną maszynę. Ale nie potrafił zapomnieć milczącego towarzysza, który ramię w ramię z nim walczył z ptakami, uprawiał jego pole i rąbał dla niego drzewo. I chociaż robot był niezgrabny i psuł wszystko, czego się dotknął, robił to w sposób mu bliski. Początkowo Perceveral czuł się tak, jakby umarła część jego samego. Ale pocieszały go wieczorne odwiedziny kretów, a praca w polu i w magazynach nie zostawiała czasu na rozmyślania. Była jesień, czas zniw. Perceveral wziął się do pracy. Wraz ze zniknięciem robota wróciła jego własna chroniczna skłonność do nieszczęśliwych wypadków. Stawił jej czoło z wiarą we własne siły. Przed pierwszym śniegiem prace związane ze zniwami i zabezpieczeniem zbiorów zostały zakończone. Jego roczna służba na Thecie dobiegała końca.

Wysłał do Haskella szczegółowy raport o perspektywach życia na planecie z jej niebezpieczeństwami i potencjalnymi możliwościami, przekazał treść swojej umowy z kretami i zakończył wnioskiem o przysłanie osadników. Po dwóch tygodniach Haskell odpowiedział:

– Zrobił pan kawał roboty. Dyrekcja zdecydowała, że Theta stuprocentowo odpowiada naszemu standardowi minimum. Natychmiast wysyłamy statek z osadnikami.

– Więc mój zwiad jest skończony?

– Tak jest. Statek powinien przybyć za trzy miesiące. Sprawę możemy uznać za zamkniętą. Gratuluję panu, panie Perceveral. Będzie pan założycielem nowej kolonii!

– Nie wiem, jak panu dziękować, panie Haskell...

– Nie ma mi pan za co dziękować. Wprost przeciwnie. A propos, jak pan sobie poradził z robotem?

– Zniszczyłem go – powiedział Perceveral i opisał wypadek z zabiciem kreta oraz dalszy rozwój sytuacji.

– Hmm – mruknął Haskell.

– Powiedział pan, że to nie jest sprzeczne z przepisami.

– To prawda. Robot był częścią pańskiego ekwipunku – tak samo jak strzelby, namioty i zapasy żywności. I podobnie jak tamte rzeczy był elementem pańskich trudności życiowych. Miał pan prawo zrobić z nim wszystko, co pan potrafi.

– Więc o co chodzi?

– Nic, miejmy nadzieję, że go pan rzeczywiście zniszczył. Modele kontrolujące jakość zwiadowców są bardzo odporne. Mają zaprogramowany instynkt samozachowawczy i są przystosowane do samoczynnej naprawy uszkodzeń. Cholernie trudno zniszczyć takiego na dobre.

– Myślę, że mi się udało – powiedział Perceveral.

– Miejmy nadzieję. Znalazłby się pan w niezłych opałach, gdyby się okazało, że robot wyszedł z tego cało.

– Dlaczego? Może się mścić?

– Oczywiście nie. Robot nie zna uczuć.

– Więc dlaczego?

– Problem polega na tym, że zadaniem robota było przeciwdziałanie wszelkim postępom, jakie pan robił rozwijając swoje zdolności, co osiągał siejąc wokół siebie zniszczenie.

– To prawda. I gdyby wrócił, wszystko zacznie się od nowa.

– Gorzej. Robot był z dala od pana przez dłuższy czas. Jeśli jeszcze działa, to nagromadził całą serię zaległych incydentów. Zanim przystąpi do normalnych obowiązków, będzie musiał rozładować zapas niszczycielskich aktów, których powinien dokonać w ciągu całego tego okresu. Na tym polega niebezpieczeństwo.

Perceveral nerwowo przełknął ślinę.

– I oczywiście będzie się starał rozładować je w jak najkrótszym czasie, aby powrócić do normalnej pracy.

– Oczywiście. Statek przybędzie najwcześniej za jakieś trzy miesiące. Radzę upewnić się, czy robot jest rzeczywiście unieruchomiony. Nie chcielibyśmy stracić pana teraz.

– To miłe z pana strony – powiedział Perceveral. – Zaraz się tym zajmę.

Zabrał niezbędne rzeczy i szedł do podziemnych tuneli. Krety zaprowadziły go na skraj przepaści. Uzbrojony w palnik acetylenowy, piłkę do metalu, łom i młot, zaczął powoli schodzić na dno rozpadliny.

Trafił na miejsce od razu: spomiędzy dwóch wielkich głazów sterczało zgniecione ramię robota, nieco dalej wałały się kawałki rozbitej komórki ocznej. Natknął się także na wielki kłęb poszarpanych i pociętych lin. Ale robota nie było.

Perceveral wdrapał się z powrotem na górę, ostrzegł krety i poszedł przygotować się na spotkanie.

Przez dwanaście dni nic się nie wydarzyło. Pierwszą wiadomość przyniósł wystraszony kret. Robot znowu pojawił się w podziemnych korytarzach, przemierzając mroczne labirynty i błyskając swoim jedynym okiem; widziano, jak kieruje się pewnie w stronę głównego tunelu. Krety oczekiwały go z linami, ale robot nie dał się powtórnie zaskoczyć. Uchylił się przed pętlami i zaatakował krety. Zabił sześć, a pozostałe zmusił do ucieczki.

Perceveral wysłuchał wiadomości i zwolnił posłańca nie przerywając pracy. Ukończył już przygotowania obronne w tunelach, po czym przystąpił do montowania strzelby z czterech

popsutych. Pracował do późna w nocy, sprawdzając troskliwie każdą część, zanim ją wmontował w odpowiednie miejsce. Małe detale wirowały mu przed oczami, palce miał jak z drewna. Posługując się pincetą i lupą, niezwykle starannie zaczął składać broń.

Nagle odezwało się radio.

– Anton? – spytał głos Haskella. – Co z robotem?

– Spodziewam się go łąda chwila.

– Obawiałem się tego. Słuchaj, porozumiałem się w trybie nadzwyczajnym z producentami twojego robota. Musiałem się z nimi wyklócać, ale wreszcie wydebiłem od nich pozwolenie na dezaktywację robota i szczegółowe instrukcje, jak to zrobić.

– Dziękuję – powiedział Perceveral. – A teraz szybko – jak się to robi?

– Potrzebny jest następujący sprzęt: źródło energii o napięciu 220 volt i natężeniu 25 amperów. Dasz sobie z tym radę?

– Tak. Dalej!

– Potrzebna jest też sztabka miedzi, trochę srebrnego drutu i jakiś izolator. Łączy się to w następujący...

– Nie zdążę – powiedział Perceveral – mów szybciej!

Radio zaczęło głośno buczeć.

– Haskell! – krzyknął Perceveral.

Radio zamilkło. Perceveral usłyszał trzask rozbijanej aparatury z sąsiedniego pomieszczenia. W sekundę potem w drzwiach stanął robot. Nie miał lewej ręki i prawego oka, ale uszkodzone miejsca zostały pospawane. Był teraz matowoczarny, z rdzawymi zaciekami na piersi i wzdłuż boków. Perceveral spojrzał na prawie gotową strzelbę i zaczął dopasowywać ostatnie części.

Robot zbliżył się.

– Idź, narąb drzewa – powiedział Perceveral najspokojniejszym tonem, na jaki mógł się zdobyć. Robot zatrzymał się, zrobił w tył zwrot, wziął siekierę i po chwili wahania ruszył do wyjścia. Perceveral zakończył składanie broni, założył pokrywę komory zamkowej i zaczął ją przykręcać.

Robot upuścił siekierę i znów się odwrócił, walcząc ze sprzecznymi rozkazami. Perceveral miał nadzieję, że spowoduje to krótkie spięcie w którymś z obwodów maszyny, ale robot zdecydował się i ruszył na Perceverala.

Perceveral uniósł strzelbę i nacisnął spust. Strumień ognia zaskoczył robota w pół kroku. Jego metalowa powłoka zaczęła się rozżarzać do czerwoności.

I wtedy broń znowu odmówiła posłuszeństwa.

Perceveral zaklął i rzucił ciężką strzelbę, celując w jedyne oko robota. Chybił o milimetr, trafiając w czoło. Ogluszony robot niezdarnie wyciągnął rękę w jego stronę. Perceveral dał nurka pod żelaznym ramieniem i wybiegł z chaty, kierując się w stronę wejścia do podziemi.

Po drodze odwrócił się, by sprawdzić, czy napastnik podąża za nim. Po przejściu kilkuset metrów podziemnym tunelem zatrzymał się i z zapaloną latarką czekał na robota.

Zaplanował sobie wszystko szczegółowo, kiedy odkrył, że robot nie został zniszczony. Jego pierwszą myślą była ucieczka. Ale robot idąc dzień i noc bez przerwy musiałby go wreszcie dogonić. Nie mógł również szukać schronienia w podziemnym labiryncie: musiał przecież zatrzymywać się na posiłki i sen. Robot nie potrzebował żadnych przerw.

Wtedy wpadł na pomysł urządzenia serii pułapek w tunelach i z nimi związał wszystkie nadzieje. Był pewien, że któraś z nich musi spełnić swoje zadanie. Ale nawet teraz drżał na myśl o tej lawinie nieszczęśliwych wypadków, jakie robot nagromadził dla niego: złamania rąk i żeber, zwichnięcia kostek, skaleczenia, infekcje i choroby. Wszystko to robot zwałiłby na jego nieszczęsną głowę w jak najkrótszym czasie, aby móc powrócić do normalnego działania. Na pewno by nie przeżył tej feralnej serii. Jedyna nadzieja w pułapkach!

Wkrótce usłyszał ciężkie kroki i z ciemności wyłonił się robot, który ujrzawszy go przyspieszył kroku. Perceveral puścił się pędem i skręcił w boczny, mniejszy korytarz. Robot pobiegł za nim. Kiedy Perceveral dotarł do upatrzonego występu skały, obejrzał się i zmierzył wzrokiem odległość dzielącą go od robota. Potem szarpnął koniec ukrytego sznura. Sufit korytarza zawalił się, tony piach i kamieni posypały się z góry.

Gdyby robot zrobił jeszcze jeden krok, zostałby pogrzebany, błyskawicznie jednak ocenił sytuację i uskoczył w tył. Obsypał go piasek, a kilka kamieni odskoczyło od jego głowy i ramion, ale głównego uderzenia uniknął. Kiedy spadł ostatni kamyk, robot wspiął się na rumowisko i ruszył w dalszą pogoń.

Perceveralowi zaczynało brakować tchu. Rozczarowało go to, że pierwsza pułapka zawiodła, ale pamiętał, że w zanadru ma jeszcze lepszą. Następna na pewno da radę nieubłaganej maszynie. Biegli teraz wijącym się tunelem oświetlanym tylko od czasu do czasu błyskami latarki Perceverala. Odległość między nimi zmniejszała się stale. Perceveral wybiegł na prosty odcinek korytarza i gwałtownie zwiększył szybkość, aż minął miejsce, które na pozór niczym nie różniło się od otoczenia. Ale kiedy stąpnął na nie robot, ziemia zapadła się. Perceveral obliczył to dokładnie. Pokrywa wytrzymała jego ciężar, ale musiała się zarwać pod robotem.

Robot próbował schwycić się skraju rozpadliny, ale ręka nie znalazła oparcia i ześliznęła się w przygotowaną pułapkę – jamę zwężającą się na dole tak, aby spadając zaklinował się między jej ścianami. Robot jednak zdążył wyrzucić nogi w bok, robiąc prawie szpagat. Stawy zatrzeszczały, kiedy pięty wbijały się w piasek zboczy. Swoją jedyną ręką robot zaczął kopać stopnie. Wkrótce jedna noga zgięła się i znalazła oparcie, potem druga. Powoli robot wydobywał się z dołu i Perceveral znów pobiegł dalej. Brakowało mu tchu i dokuczała kolka w boku. Robot szybko zmniejszał odległość i Perceveral musiał wyęźać wszystkie siły, aby nie dać się dogonić.

Liczył na te dwie pułapki. Pozostała już tylko jedna. Bardzo dobra, ale ryzykowna.

Mimo wzrastającego otępienia Perceveral zmusił się do koncentracji uwagi. Ostatnia pułapka wymagała dokładnego wyliczenia. Minał kamień z białym znakiem i zgasił latarkę. Zaczął liczyć kroki, pozwalając robotowi zbliżyć się tak, że jego żelazne palce miał o centymetry zaledwie od szyi.

– Osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia!

Po dwudziestym kroku Perceveral rzucił się głową naprzód w ciemność. Przez chwilę leciał w powietrzu, po czym zderzył się z powierzchnią wody w płaskim startowym skoku; natychmiast jednak wynurzył głowę i czekał. Robot był za blisko, żeby zahamować. Z wielkim pluskiem wpadł do podziemnego jeziora i po chwili tylko bańki powietrza zdradzały miejsce, gdzie poszedł na dno. Perceveral popłynął w stronę przeciwnego brzegu i wyczołgał się z lodowatej wody. Przez jakiś czas leżał na mokrych kamieniach szczękając zębami.

Potem zmusił się do wysiłku i na czworakach dowlókl się do niszy, gdzie przygotował zawczasu drzewo, whisky, ubranie i koce. Wytarł się, zmienił ubranie i rozpałił małe ognisko. Wyciągnął zapasy żywności i obserwował spokojną toń podziemnego jeziora. Kilka dni badał jego głębokość i stwierdził, że lina o długości stu stóp nie sięga dna. Może jezioro jest bezdenne? Albo łączy się z bystrą podziemną rzeką, która porwie robota. Może...

Nagle dobiegł go słaby dźwięk z głębin – skierował w tę stronę światło latarki. Z wody wyłoniła się najpierw głowa, później ramiona i tułów robota. Widocznie jednak jezioro nie było bezdenne. Robot musiał przejść po dnie i wspiąć się na stromy brzeg po przeciwnej stronie. Zaczął już wdrapywać się na śliskie przybrzeżne skały. Perceveral z trudem wstał i zmusił się do biegu. Ostatnia pułapka zawiodła, jego zmora zbliżała się, aby go zabić. Perceveral skierował się w stronę wyjścia na powierzchnię. Chciał stawić czoło śmierci na otwartej przestrzeni. Biegąc ciężkim truchtem, z nieodstępnym robotem za plecami, wypadł z tunelu wprost na strome zbocze góry. Żołądek podchodził mu do gardła i każdy oddech rozrywał płuca. Biegł z na wpół przymkniętymi oczami, nieprzytomny ze zmęczenia. Pułapki zawiodły. Dlaczego wcześniej nie zdał sobie sprawy z ich daremności? Robot był przecież częścią jego samego, jego własną słabością nastawioną na zniszczenie go. A czyż można oszukać najgorszą część samego siebie? Prawica zawsze wie, co czyni lewica, a najsprytniejsze fortele nie potrafią oszukać tego, kto jest lepszym oszustem.

Trzeba było zupełnie inaczej zabrać się do rzeczy, myślał Perceveral pnąc się pod górę. Droga do wolności nie prowadzi przez oszustwo. To jest...

Robot chwycił go za piętę, przypominając o różnicy między wiedzą teoretyczną i praktyką. Perceveral wyswobodził nogę i zaczął bombardować robota kamieniami. Ten jednak opędzał się od nich i wspinał dalej.

Perceveral przeszedł trawersem stromą płaszczyznę skalną. Droga do wolności, powtarzał sobie, nie prowadzi przez oszustwo. To się nie może udać. Jedyne wyjście to zmienić samego siebie! Droga do wolności to pokonanie nie robota, ale tego, co robot przedstawia – własnej

słabości. Jego umysł pracował teraz jasno i lekko. Jeżeli, myślał, uda mu się pokonać poczucie swojego związku z robotem – wtedy robot przestanie być jego słabością. Będzie po prostu zmorą, nie mającą nad nim władzy. Wystarczy pozbyć się własnego kompleksu – choćby na dziesięć minut – i robot przestanie być groźny.

Zmęczenie znikło, Perceveral poczuł wzmacniający przypływ wiary we własne siły. Śmiało przebiegł rumowisko ostrych głazów, wymarzone miejsce na skręcenie kostki lub złamanie nogi. Rok czy nawet miesiąc temu wypadek byłby nieunikniony. Ale nowy Perceveral szedł skacząc po górach nieomylnie jak kozica.

Kaleki robot posłusznie wziął wypadek na siebie. Pośliznął się i zwałił jak długi na ostre skały. Kiedy się podniósł, aby kontynuować pogoń, widać było, że kuleje. Poruszając się jak w transie Perceveral dotarł do podnóża granitowej ściany i podskoczył do ledwie widocznego występu. Na chwilę zawisł w powietrzu. Potem, kiedy palce zaczęły się już ześlizgiwać, znalazł oparcie dla stopy. Bez wahania podciągnął się w górę. Robot szedł w jego ślady ze zgrzytem metalu. Wspinając się na skałę, na której powinno się coś przydarzyć Perceveralowi, złamał sobie palec. Perceveral przeskakiwał z głazu na głaz. Robot ścigał go ślizgając się i potykając, ale nie zostając w tyle. Perceveral nie przejmował się tym. Nagle pomyślał sobie, że na tę chwilę złożyły się wszystkie lata, w których wykazywał niezwykłą skłonność do wypadków. Koło fortuny odwróciło się. Wyczerpał przeznaczony mu przez naturę zapas nieszczęśliwych zbiegów okoliczności i oto teraz jest przed nimi całkowicie zabezpieczony!

Robot czołgał się w ślad za nim po stromej płaszczyźnie białej skały. Perceveral w przypływie euforii zaczął spychać w dół głazy i krzyczeć, aby spowodować lawinę. Kamienie zaczęły się toczyć po stoku, z góry doszedł głośny łoskot. Perceveral schronił się za blokiem skalnym, umknął przed wyciągniętym ramieniem robota i... znalazł się w ślepym zaułku.

Był w małej, płytkiej grocie, na wprost niego stał robot tarasując wyjście, z żelazną pięścią gotową do ciosu. Perceveral nie mógł powstrzymać się od śmiechu na widok biednego, niezgrabnego, pechowego robota. Żelazna pięść z całą siłą wystrzeliła do przodu. Perceveral zrobił unik, ale mógł się nie trudzić. Niezdarny robot i tak chybił o kilka centymetrów. Można się było tego spodziewać po tym śmiesznym, pechowym stworzeniu.

Potężny zamach zachwiał równowagą robota stojącego na skraju skały. Każdy normalny człowiek czy robot łatwo odzyskałby równowagę, ale nie on. Upadł na twarz, rozbijając jedyne oko, i zaczął się staczać w dół.

Perceveral wyjrzał z groty i natychmiast schował się z powrotem. Na pomoc przyszła mu lawina, tocząc zmniejszający się czarny przedmiot po białym stoku i grzebiąc go wreszcie pod zwałami kamieni.

Perceveral przyglądał się temu z chichotem. Po chwili jednak zaczął się zastanawiać, co tu właściwie zaszło.

I wtedy dopiero przebiegł go dreszcz przerażenia.

W kilka miesięcy później Perceveral stał przy trapie wielkiego statku „Cuchulain”, patrząc na wysiadających osadników. Byli to najróżniejsi ludzie. Wszyscy oni przybyli na Thetę, aby szukać nowego życia. Każdy z nich był bardzo ważny, przynajmniej dla siebie samego, i każdy zasługiwał na szansę życiową niezależnie od swoich możliwości.

I to on, Anton Perceveral, na własnej skórze wypróbował dla nich warunki życia na Thecie, to on dał nadzieję nawet najmniej zdolnym spośród nich – pechowcom – którzy również chcieli żyć. Odwrócił się od strumienia wysiadających pionierów i wszedł na statek innym wejściem. Zapukał do kabiny Haskella.

– No i jak, Anton – spytał Haskell – co o nich sądzisz?

– Wyglądają na sympatycznych ludzi – odpowiedział Perceveral.

– Masz rację. Uważają cię za swojego przywódcę. Jesteś im potrzebny. Zostaniesz tutaj?

– Uważam Thetę za swoją ojczyznę.

– A więc załatwione. Trzeba tylko...

– Chwileczkę – przerwał Perceveral – jeszcze nie skończyłem. Uważam Thetę za swoją ojczyznę. Chcę się tutaj osiedlić, ożenić, wychować dzieci. Ale jeszcze nie teraz.

– Jak to?

– Spodobał mi się zawód zwiadowcy. Chciałbym jeszcze popracować na jednej czy dwóch planetach. Potem osiedlę się na Thecie.

– Obawiałem się, że tak będzie – powiedział Haskell z westchnieniem.

– Dlaczego? Czy są jakieś przeszkody?

– Nie. Ale niestety nie będziemy mogli już korzystać z twoich usług jako zwiadowcy.

– Dlaczego?

– Wiesz doskonale, kogo szukamy. Potrzebni nam ludzie o minimalnych zdolnościach życiowych. A ciebie już w żaden sposób nie da się podciągnąć pod tę kategorię ludzi.

– Przecież jestem tym samym człowiekiem! Oczywiście, że zmieniłem się na tej planecie. Ale byliście na to przygotowani i mieliście robota, który wnosił poprawki. A pod koniec...

– Właśnie, właśnie.

– Pod koniec mnie poniosło. Myślę, że byłem pijany czy coś takiego. Nie wyobrażam sobie, jak mogłem to zrobić.

– Faktem jest, żeś to zrobił.

– To prawda, ale przecież i tak ledwo udało mi się przeżyć. O włos! Czy to nie dowodzi, że wciąż jeszcze prezentuję minimalne wartości?

Haskell wyduł wargi i zamyślił się.

– Anton, prawie mnie przekonałeś. Ale obawiam się, że nadaremnie tracisz czas. Naprawdę nie mogę cię już uważać za materiał na zwiadowcę-minimum. Obawiam się, że będziesz musiał pogodzić się z losem i zostać tutaj.

Perceveral wtulił głowę w ramiona, skinął ze smutkiem i podał na pożegnanie rękę Haskellowi. Cofając ją zawadził rękawem o kałamarz i strącił go z biurka. Schylił się, aby złapać kałamarz, i uderzył głową w kant biurka, wylewając atrament na siebie. Wstając zaczepił nogą o krzesło i przewrócił się jak długi.

– Anton – spytał Haskell – czy ty udajesz?

– Niech to cholera, niestety nie.

– Hmm, to ciekawe. Nie chcę ci robić nadziei, ale może...

Haskell spojrzał na zarumienioną twarz Perceverala i wybuchnął śmiechem.

– A niech to diabli! Prawie mnie nabrałeś. No, czas na ciebie. Osadnicy wznoszą obelisk ku twojej czci i pewnie chcieliby, żebyś wziął udział w uroczystości.

Zawstydzony, ale uśmiechnięty, Anton Perceveral wyszedł na spotkanie swego nowego życia.

Przełożył Lech Jęczmyk

O autorze

Robert Sheckley (1928-2005) amerykański pisarz science fiction, jeden z najbardziej znanych pisarzy lat 50. i 60. Rozpoznawalny zwłaszcza dzięki znakomitym opowiadaniom, bo powieści miewał nadzwyczaj nieudane. Chociaż przyciągały filmowców, jak *Dziesiąta ofiara* (film z Marcello Mastroiannim i Ursulą Andress pod tym samym tytułem) czy *Nieśmiertelność na zamówienie* (film Freejack z Mickiem Jaggerem).

Debiutował w 1952 roku opowiadaniem „The Final Examination”. Związał się z *Galaxy*, które poszukiwało żartobliwych opowiadań z wartką akcją. W ciągu kilkunastu lat opublikował 3 powieści w odcinkach i 106 opowiadań, część pod pseudonimem Finn O'Donnevan i Phillips Barbee. W czasopismach opowiadania, jakie pisał Sheckley zawsze były bardzo potrzebne. Kupowały jego teksty *Analog*, *F&SF* oraz *Playboy*.

Tym, co do dzisiaj podoba się w opowiadaniach Sheckleya jest niewymuszony humor, lekkość stylu, zwięzłość oraz zaskakująca puenta, dość rzadko spotykane umiejętności wśród współczesnych pisarzy. W jego rękach klasyczne tematy SF: podróż w czasie, kontakt z Obcymi, wojna w kosmosie, przeludnienie, artefakty zmieniały się w prawdziwe perełki literackie.

W Polsce znany z kilku słabych powieści i kilku zbiorów najlepszych opowiadań, w tym: *Pielgrzymka na Ziemię*, *Bilet na Tranai*, *Diabelska maszyna*, *Obywatel Galaktyki*.

Co ciekawe, jego błyskotliwe i niezwykle popularne opowiadania nie podobały się krytyce i był pomijany w konkursach literackich, jako jedyny z amerykańskiej czołówki pisarzy SF nigdy nie otrzymał nagrody Hugo czy Nebula.

JOHN VARLEY

Pchacz

Varley buduje ryzykowną sytuację: bohater zachowuje się jak stary lubieżnik pedofil, polujący na małą dziewczynkę. Kiedy już chcemy dzwonić po policję, przypomina nam, że znajdujemy się w świecie science fiction, w którym możliwości jest znacznie więcej.

Pchacz

Wszystko się zmienia i Ian Haise był na to przygotowany. A jednak rzeczy, które określa sposób ich użytkowania i funkcje, pozostają takie same. Ian zawsze ich szukał i rzadko kiedy się mylił.

Plac zabaw nie bardzo przypominał place zabaw, na których się bawił jako dziecko. Ale wszystkie place zabaw powstają z myślą o dzieciach. Zawsze mają coś do huśtania się, zjeżdżania i wspinania. Ten plac także miał wszystkie te rzeczy i wiele innych. W jednej jego części rosło dużo drzew. Nie zabrakło też basenu kąpielowego. Różne rzeźby o nieziemskich kształtach tworzyły świetne kompozycje. Były tam i zwierzęta: karłowate nosorożce i eleganckie gazy, sięgające zaledwie kolan. Wydawały się nienaturalnie łagodne i wcale się nie bały.

Ale przede wszystkim na placu można było spotkać dzieci.

Ian lubił dzieci.

Siedział w cieniu na drewnianej ławce blisko drzew i nie spuszczał z nich wzroku. Dzieci małe i duże, chłopcy i dziewczynki o różnym kolorze skóry. Czarne przypominały ruszające się ziarenka kawy, natomiast białe małe króliki. Były też dzieci brązowe o kędzierzawych włosach i ciemniejsze ze skośnymi oczami i prostymi czarnymi włosami, a także białe, które opaliły się na brązowo i ich skóra była ciemniejsza od skóry niektórych brązowych.

Cała uwaga Iana skupiła się na dziewczynkach. Kiedyś, dawno temu, próbował z chłopcami, ale nic z tego nie wychodziło.

Przez chwilę śledził jakieś czarne dziecko i usiłował odgadnąć jego wiek. Dziewczynka mogła mieć osiem, najwyżej dziewięć lat. Stanowczo za mało. Inna, sądząc po okrągłościach pod bluzką skończyła pewnie trzynaście. Czemu nie, ale wolałby młodszą. Bardziej naturalną i mniej podejrzliwą.

W końcu znalazł dziewczynkę, o jaką mu chodziło. Miała brązową skórę i zadziwiająco jasne włosy. Dziesięć lat? Chyba raczej jedenaście. W każdym razie wystarczająco młoda.

Nie spuszczał z niej wzroku i jak zwykle, kiedy kogoś wybierał, zrobił dziwną rzecz. Nie wiedział dokładnie, na czym ona polegała, niemniej rezultat prawie zawsze był ten sam. Wystarczyło nie spuszczać z dziewczynki wzroku, wodzić za nią oczami gdziekolwiek szła i cokolwiek robiła i nie pozwolić sobie na najmniejsze rozproszenie uwagi. Już po paru

minutach ta dziewczynka zaczęła się rozglądać aż wreszcie spojrzenia ich spotkały się. Przez chwilę przyglądała się Ianowi, po czym wróciła do zabawy.

Odprężył się. Być może nie było w tym nic nadzwyczajnego. Już przedtem zauważył, że jeśli jakaś dorosła kobieta poczuje jego spojrzenie, przeważnie odrywa się od swego zajęcia i zaczyna szukać go wzrokiem. Prawie zawsze właśnie tak się działo. Znajomi mężczyźni opowiadali mu o podobnych spostrzeżeniach. Czyżby więc czuły spojrzenia mężczyzn? Kobiety uważały to za nonsens, albo za rodzaj reakcji na obiekty pozostające poza zasięgiem wzroku u ludzi bez trudu odbierających seksualne sygnały. Po prostu taka podświadoma obserwacja penetrująca świadomość, nic z tajemniczości ESP.

Całkiem możliwe. W każdym razie Ian z łatwością nawiązywał kontakt wzrokiem. Czasem widział, jak obserwowane przez niego dziewczęta pocierają dłonią kark, albo zaczynają się garbić. Czyżby całkiem nieświadomie rozwinęły w sobie pewien rodzaj ESP?

Teraz patrzył tylko na nią. Nie przestawał się uśmiechać i gdy tylko podnosiła na niego wzrok – co robiła zresztą coraz częściej – widziała sympatycznego mężczyznę o szerokich barach, siwiejących włosach i ze złamanym nosem. Miał bardzo silne ręce, które trzymał zaciśnięte na kolanach.

Robiła wszystko, żeby znaleźć się bliżej niego.

Gdyby ktoś ją obserwował, nigdy nie przyszłoby mu na myśl, że dziewczynka krąży wokół Iana. Prawdopodobnie sama nie zdawała sobie z tego sprawy. Po drodze ciągle coś ją zatrzymywało, raz potknęła się, to znów skoczyła na miękkie gumowe maty, potem zaczęła przepędzać stado hałaśliwych gęsi. Wciąż jednak zbliżała się do Iana i było oczywiste, że i tak usiadzie na drewnianej ławce obok niego.

Niespokojnie rozejrzał się dokoła. Już przedtem zauważył na placu zabaw kilku dorosłych. Ich widok zdziwił go, kiedy przyjechał. Nowe genetyczne techniki zmniejszyły liczbę niezrównoważonych i groźnych osobników do tego stopnia, że rodzice bez strachu pozwalali swym dzieciom bawić się bez żadnej opieki. Dorośli na placu zabaw zajęci byli wyłącznie sobą. Nikt jakoś nie zainteresował się nim od chwili przyjazdu.

Nie przejął się tym zbytnio. O ile bardziej ułatwi mu to całe zadanie. Miał oczywiście na wszelki wypadek gotowe odpowiedzi, niemniej wolałby uniknąć żenujących pytań, jakie przedstawiciele prawa zadają samotnym mężczyznom pętającym się po placach zabaw.

Pomimo istnienia programujących technik dziwił się zaniepokojony, że rodzice nie boją się o swoje dzieci. Stopień zaprogramowania objawiał się przecież dopiero w momencie popełnienia czynu. Prawdopodobnie codziennie rodzili się nowi zbrojenci. Nie wyróżniali się oczywiście niczym szczególnym aż do chwili, kiedy jakiś dziwny odruch potwierdzał ich odrębność.

Pomyślał, że ktoś bezwzględnie powinien udzielić rodzicom porządnej lekcji.

– Kim jesteś?

Ian zmarszczył brwi. Oglądana z bliska nie miała oczywiście jedenastu lat. Wątpliwe, czy miała dziesięć. No, najwyżej osiem.

Czy osiem wystarczy? Jak zwykle postanowił zachować maksimum ostrożności. Znów rozejrzał się dookoła szukając wścibskich oczu. Nie zobaczył nikogo.

– Nazywam się Ian. A ty?

– Nie chodzi mi o twoje imię, ale kim jesteś.

– To znaczy, czym się zajmuję?

– Właśnie.

– Jestem pucerem.

Chwilę zastanawiała się, a potem uśmiechnęła. Miała już trzonowe zęby, które szczerze wypełniały jej małą buzię.

– Czy to ma coś wspólnego z pucybutem?

– A to świetne! – roześmiał się. – Musisz dużo czytać.

Milczała, niemniej wydawała się zadowolona.

– Nie, nie mam nic wspólnego z dawnym pucybutem. Domyślałaś się tego, prawda? – Uśmiechnął się, a dziewczynka zaczęła chichotać. Jej ręce, jak zwykle u małych dziewczynek, były w ciągłym ruchu. „Dobrze wie, że jest ładna, pomyślał, chociaż nie zdaje sobie jeszcze sprawy, ile w niej niedozwolonego seksu”. Była dojrzałym nasieniem i jej uśpiony erotyzm w każdej chwili mógł dojść do głosu. Jej ciało było kościstą powłoką, wewnątrz której powoli rozkwitała kobieta.

– Ile masz lat? – zapytał.

– To tajemnica. Co stało się z twoim nosem?

– Złamałem go dawno temu. Założę się, że skończyłaś dwanaście lat.

Chichocząc pokręciła głową. A więc jedenaście, i to niedawno skończone.

– Chcesz cukierka? – Zanurzył rękę w kieszeni i wyciągnął papierową torbę w białe i różowe paski.

Dziewczynka nagle spowaźniała i pokręciła głową.

– Mama nie pozwala mi brać słodyczy od nieznajomych.

– Ale my się już znamy. Jestem Ian, pucer.

Był to argument nie do odparcia. Kiedy jeszcze się wahała, sięgnął do torebki i wyciągnął czekoladowy cukierek; wydawał się nieprzyzwoicie gruby i lepki. Zanurzył zęby w słodkiej masie i zmusił się do żucia. Nienawidził słodyczy.

– Dobrze – powiedziała i wyciągnęła rękę w stronę cukierków. Ale Ian cofnął torebkę. Spojrzała na niego z niewinnym zdziwieniem.

– Właśnie coś sobie przypomniałem – rzucił. – Nie wiem, jak się nazywasz, więc się nie znamy.

Zamrugnął oczami i zrozumiała, do czego zmierzał. Wypróbował to już przedtem. Mrugnięcie zawsze pomagało.

– Nazywam się Światłość Promiennej Gwiazdy Smith.

– Niezwykle imię dla ładnej dziewczynki – powiedział zaskoczony, że tak bardzo zmieniły się imiona. Zamilkł i potrząsnął głową. – Ależ nie. Ty jesteś Światłość... Gwiazdy. Przez dwa z... Kapitan Światłość Gwiazdy z Gwiezdnego Patrolu.

Przez moment wydawała się trochę zbита z tropu. Czyżby była inna niż myślał? A może miał do czynienia z piękną panną Bojaźliwa Światłość albo Panią Stateczna Światłość. Chociaż brud za jej paznokciami zdawał się temu przeczyć.

Wycelowano wskazujący palec w jego pierś i ruszając kciukiem tam i z powrotem zaskrzeczała głosem kaczora Donalda. Złapał się za serce osuwając się na ziemię. Dziewczynka wybuchnęła śmiechem nie zapominając jednak o wymierzonej w jego pierś broni.

– Lepiej już daj mi tego cukierka, jeśli nie chcesz, żebym zastrzeliła cię po raz drugi.

Ciemności zapadły nad placem zabaw i większość dzieci poszła już do domu. Siedziała obok niego na ławce i machała nogami. Jej nagie stopy niemal dotykały ziemi.

Zapowiadała się na całkiem piękną kobietę. Widział to wyraźnie w rysach jej twarzy. Co do ciała... kto wie?

Nie żeby mu strasznie na tym zależało.

Miała na sobie byle jaką odzież, tu i ówdzie prześwitującą, jakby poczucie wstydu było jej zupełnie obce. Zresztą wiele dzieci nie nosiło w ogóle żadnej odzieży, co zaszokowało go zaraz po przyjeździe. Wprawdzie zdążył się już do tego prawie przyzwyczaić, niemniej uważał, że jest to duża nieostrożność ze strony rodziców. Czyżby naprawdę myśleli, że świat jest tak bezpieczny, by jedenastoletnie dziewczynki biegały prawie nago w miejscu publicznym?

Siedział i z roztargnieniem słuchał jej paplaniny o kolegach – wielu nie cierpiała, a podziwiała tylko nielicznych.

Od czasu do czasu we właściwych momentach wtrącał swoje „uhu” i „hm”.

Wydawała się nad wiek rozgarnięta. Urocza jak tylko potrafi być dziecko w tym wieku, jednocześnie urocze i zdradliwe niczym grzechotnik. Jej przymilność była jednak pozorna, tak naprawdę myślała głównie o sobie. Jej lojalność prawdopodobnie okaże się niestała, łatwo darowana i równie łatwo zapomniana.

Czemu zresztą nie? Była przecież taka młoda i mogła robić, co jej się podobało.

Czy ośmieli się ją dotknąć?

Istne szaleństwo. Było w tym coś chorobliwego, zresztą wszyscy go przestrzegali. No i działało tak rzadko. Dlaczego niby miało mu się udać właśnie z nią? Poczul ciężar klęski.

– Czy dobrze się czujesz?

– Co mówisz? Ależ oczywiście, czuję się świetnie. Czy twoja mama nie zacznie się o ciebie niepokoić?

– Mogę tu zostać wiele, wiele godzin – mówiąc to wyglądała tak dorośle, iż prawie uwierzył w to kłamstwo.

– Hm, mam już dość siedzenia na tej ławce. Cukierki też się skończyły. – Uważnie przyjrzał się jej twarzy. Resztki czekolady utworzyły wokół jej ust wielkie koło, przerywane w miejscach, które delikatnie potarła dłonią lub ramieniem. – Co tam jest z tyłu?

Odwróciła się.

– Ach, tam? Basen.

– Może byśmy tam poszli? Opowiem ci pewną historię.

Perspektywa bajki wcale nie przyspieszyła jej wyjścia z wody. Nie wiedział, czy to dobrze czy źle. Wiedział, że nie jest głupia, dużo czyta i ma wyobraźnię. Przejawiała także własną inwencję. Nieźle jak na małą dziewczynkę. Siedział w parku pod krzakami daleko od wody i obserwował ją, jak pływała w basenie z trójką innych dzieci tamtego późnego wieczora.

Wróci do niego, czy też nie wróci? Cokolwiek zrobi, nie zmieni to wcale jego życia, może natomiast wpłynąć na całą jej przyszłość.

Wynurzyła się z ciemnego basenu ociekająca wodą i znacznie czystsza. Narzuciła na siebie swoje łażki, jak gdyby mogły ją uchronić przed chłodem, i dygocząc z zimna podeszła do niego.

– Strasznie zmarzłam – powiedziała.

– Okryj się – zdjął z siebie kurtkę. Kiedy ją ubierał, przyglądała się jego rękóm i palcami wyczuła twardość muskularnego ramienia.

– Musisz być bardzo silny – zauważyła.

– Tak, dość silny. Pracuję ciężko jako pucer.

– Kto to jest właściwie pucer? – zapytała, próbując stłumić ziewnięcie.

– Siadaj na kolanach i posłuchaj.

Była to wspaniała historia i każde kochające przygody dziecko wysłuchałoby jej z zachwytem. Wiele pracował nad tym opowiadaniem, ulepszał je, bez końca nagrywał na taśmę, aż nabrało melodii i właściwych kolorów i aż znalazł odpowiednie, nie za trudne słowa, które kryły w sobie ogień i werwę.

I znów nabrał otuchy. Na początku opowieści dziewczynka wydawała się znudzona, ale stopniowo udało mu się przyciągnąć jej uwagę. Chyba nikt jeszcze w ten sposób nie opowiadał jej żadnych historii. Zazwyczaj siadywała przed ekranem i chłonęła wzrokiem i słuchem przedstawiany film. Ale teraz w każdej chwili mogła przerwać jakimś pytaniem i doczekać się odpowiedzi – było to całkiem nowe przeżycie, którego nie dało się nawet porównać z czytaniem. Tradycyjnie opowiedziana historia wciąż potrafiła zadziwić kolejne pokolenie elektronicznego wieku.

– To naprawdę cudowne – powiedziała, kiedy przekonała się, że skończył.

– Podobało ci się?

– Bardzo, ale to bardzo. Gdy dorosnę, chcę zostać pucerem. To była naprawdę pierwszorzędna historia.

– Hm, chociaż właściwie chciałem ci opowiedzieć coś całkiem innego. Dowiedziałaś się tylko, co znaczy być pucerem.

– Czy to znaczy, że znasz jeszcze jakąś historię?

– Oczywiście – rzucił okiem na zegarek. – Obawiam się jednak, iż jest na nią za późno. Już prawie ciemno i wszyscy poszli do domu. Ty też pewnie musisz już iść?

Zawahała się. Była w rozterce między tym, co powinna zrobić, a tym, czego naprawdę chciała. Jeśli jednak była taka, za jaką ją brał, właściwie nie powinna mieć żadnych wątpliwości.

– Ale może... może... przyjdę tutaj jutro i...?

Pokiwał przecząco głową.

– Mój statek odlatuje rano – oświadczył. – Nie będę miał czasu.

– No to opowiedz mi teraz! Zostanę tutaj. Opowiedz, opowiedz, dobrze?

Nieśmiało opierał się, protestował, ale w końcu dał się namówić. Czuł się świetnie. A więc złapał ją niczym pięciofuntowego pstrąga na dwudziestofuntową żyłkę, Tylko że nie był to sport, gdyż traktował całą sprawę niezwykle poważnie.

W końcu pokazał, co miał najlepszego.

Czasami żałował, że nie była to jego własna opowieść, nie potrafił jednak wymyślić zastępczej historii. Zaprzestał nawet prób. Po prostu ściągał pomysły z każdej usłyszonej bajki czy też opowieści fantastycznej. W genialny sposób dostosował zapamiętane fragmenty do znanego jej świata i nie zapominał, że historia swą dziwnością powinna przykuć uwagę dziewczynki.

Jego bajka była naprawdę cudowna. Opowiadała o zaczarowanych zamkach na szczytach szklanych gór, mokrych pieczarach na dnie morza, gwiazdnych flotach statków kosmicznych i błyszczących jeźdźcach, którzy na swych koniach przemierzali galaktykę. Były w niej także różne nieznanne potwory, ale i dobre duchy; zatruty napój i pokryte łuskami bestie, które wyjąc w bezkresnym wszechświecie groziły planetom.

Pośród tego wszystkiego żyli sobie Księżę i Księżniczka. Spotkały ich straszne przygody, ale wspólnie zwalczyli trudności i kłopoty.

Za każdym razem bajka była trochę inna. Uważnie śledził wyraz oczu dziewczynki. Kiedy jej spojrzenie zaczynało gdzieś błądzić, opuszczał całą partię bajki. Kiedy jej źrenice rozszerzały się, wiedział jaki fragment trzeba będzie dodać. Przerabiał opowieść w zależności od reakcji dziecka.

Dziewczynka zaczęła być senna. W końcu wcześniej czy później podda się. Chciał wprowadzić ją w pewien trans, w stan półsnu. Wtedy bajka się skończy.

– ...i chociaż lekarze robili wszystko, co było w ich mocy, nie mogli uratować Księżniczki. Umarła tamtej nocy, a Księżę był bardzo daleko.

Jej wargi przybrały kształt litery o. Zazwyczaj bajki miały całkiem inny koniec.

– Czy to wszystko? Umarła i nigdy nie spotkała swego Księcia?

– No, niezupełnie. Ale dalszy ciąg prawdopodobnie nie jest prawdziwy i nie powinienem ci go opowiadać. – Ian czuł miłe zmęczenie. Zaszło mu trochę w gardle i jego głos stał się ochryply. Czuł ciepły ciężar na kolanach.

– Sam wiesz, że musisz mi opowiedzieć – obruszyła się. Pomyślał, że ma rację i zaczerpnął powietrza.

– Dobrze już, dobrze. Na pogrzeb przyjechali wszyscy najsłynniejsi ludzie z tamtej części galaktyki. Wśród nich największy Czarodziej, jaki kiedykolwiek żył na tym świecie. Nazywał się... chociaż nie wolno mi ujawniać jego imienia. Nigdy by mi tego nie darował. Czarodziej zbliżył się do mar Księżniczki... to znaczy...

– Wiem, Ian, wiem. Mów dalej!

– Nagle zmarszczył brwi i pochylił się nad jej białą twarzą. „Co to ma znaczyć”, zagrzemiał. „Dlaczego nikt mi nic nie powiedział?”. Na zgromadzonych padł blady strach. Czarodziej był bardzo niebezpiecznym człowiekiem. Pewnego razu, kiedy go ktoś obraził, jego zaklęcie przekreśliło ludziom głowy i musieli chodzić ze wstecznymi lusterkami. Trudno było przewidzieć, co zrobi w przystępie furii.

„Ta Księżniczka ma na sobie Gwiazdzisty Klejnot”, powiedział prostując się i groźnie wodząc dookoła wzrokiem, jak gdyby otaczali go sami głupcy. Jestem pewien, że tak właśnie myślał i być może miał rację. Zaczął im bowiem tłumaczyć, czym jest Gwiazdzisty Klejnot i jakie jest jego działanie, no i okazało się, że wszyscy słyszeli o nim po raz pierwszy. W tym miejscu jednak mogę się mylić, bo chociaż Czarodziej uchodził za mądrego i wszechwładnego człowieka, znany był również jako wielki łgarz. Powiedział, że Gwiazdzisty Klejnot potrafi przechwycić osobowość człowieka w momencie jego śmierci. Cała mądrość, moc, wiedza, uroda i siła zmarłego zamykają się w klejnocie na czas nieokreślony.

– Chwilowo uśpione – westchnęła Światłość.

– Właśnie. Słowa Czarodzieja bardzo wszystkich zdziwiły. Zasyrywali go tysiącem pytań, ale odpowiedział tylko na niektóre, a i to niechętnie. W końcu opuścił zebranych fukając ze złością. Późno w nocy ludzie szeptali sobie o rzeczach, które usłyszeli. Niektórzy zaczęli żywić nadzieję, iż Księżniczka jeszcze kiedyś ożyje. Wróci Księżę i w jakiś sposób przeleje całą osobowość Księżniczki w jej zamrożone ciało. Inni uważali, że jest to niemożliwe – zamknięta w klejnocie dusza Księżniczki zawsze już będzie trwać w półśnie.

Przeważała jednak następująca opinia:

Księżniczka prawdopodobnie nigdy już nie ożyje, ale jej zamkniętą w Gwiazdzistym Klejnocie duszę może przejąć inna kobieta, jeśli tylko znajdzie się właściwa. Nie ulegało kwestii, że tą kobietą powinna być młoda panienka, piękna, bardzo inteligentna, pełna

wdzięku, kochająca, miła... no tak, lista wymagań wydawała się bardzo długa. Nikt nie wierzył w znalezienie takiej osoby. Wielu nie chciało nawet próbować.

W końcu jednak zdecydowano, że Gwiazdzisty Klejnot należy przekazać wiernemu przyjacielowi Księcia, który przemierzy całą galaktykę w jej poszukiwaniu i jeśli tylko istnieje taka panienka, na pewno ją znajdzie.

I ten przyjaciel, żegnany przez wiele światów, które opuszczał, wyruszył w podróż ślubując, że znajdzie taką panienkę i odda jej Gwiazdzisty Klejnot.

Ian znów przerwał i przełknął ślinę. Zapadła cisza.

– Czy to już koniec? – spytała szeptem.

– Niezupełnie – przyznał. – Coś mi się wydaje, że cię okłamałem.

– Okłamałeś mnie?

Rozpiął kurtkę, którą zarzucił przedtem na ramiona dziewczynki. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni tuż obok kościstej piersi dziecka. Po chwili na jego dłoni zamigotał purpurowym światłem owalny, z jednej strony płaski kryształ.

– On świeci – powiedziała patrząc na kamień szeroko otwartymi oczami, z uchyloną ze zdziwienia buzią.

– Masz rację. To znaczy, że ty jesteś tą wybraną.

– Ja?

– Tak. Weź go sobie – podając jej kamień potarł go lekko paznokciem kciuka. Czerwone światło rozlało się w jej dłoniach, przepłynęło między palcami, zdawało się wsączać w skórę. Kiedy znikło, kamień wciąż migotał, teraz jednak przyćmionym blaskiem. Ręce dziewczynki drżały.

– On jest bardzo, bardzo gorący – szepnęła.

– To duch Księżniczki.

– No a Księżę? Czy ciągle jeszcze jej szuka?

– Nikt tego nie wie. Myślę, że błędzi w przestworzach i pewnego dnia wróci po nią.

– I co się wtedy stanie?

Ian spojrzał w bok.

– Trudno przewidzieć. Wydaje mi się, że chociaż jesteś piękna i masz Gwiazdzisty Klejnot, będzie usychał ze zgryzoty. Tak bardzo ją kochał.

– Zaopiekuję się nim – obiecała.

– To go pocieszysz. Ale martwi mnie teraz jedna rzecz. Nie mam odwagi powiedzieć Księciu o śmierci Księżniczki. Boję się jednak, że Gwiazdzisty Klejnot uzmysłowi mu tę prawdę pewnego dnia. Jestem niespokojny, co stanie się z Księciem, jeśli cię spotka. Może powinienem ukryć ten kamień w najodleglejszej części galaktyki, w jakimś niedostępnym miejscu? W ten sposób przynajmniej nigdy by się nie dowiedział. Tak byłoby chyba lepiej.

– Ale ja mu pomogę – powiedziała poważnie. – Obiecuję. Będę na niego czekać i kiedy się pojawi, zajmę miejsce Księżniczki. Sam zobaczysz.

Przez chwilę przyglądał się jej uważnie. Być może, rzeczywiście tak się stanie. Długo patrzył jej w oczy i w końcu zauważyła, że jest zadowolony.

– Zgoda. Możesz go zatrzymać.

– Będę czekać na Księcia – obiecała. – Zobaczysz.

Była bardzo zmęczona i senna.

– Powinnaś już iść do domu – poradził.

– Chciałabym się na chwilę położyć – poprosiła.

– Dobrze – uniósł ją łagodnie i położył na ziemi. Stał i patrzył na nią, potem ukląkł i pieszczotliwie zaczął głaskać jej czoło. Powieki dziewczynki podniosły się ociężale, po czym znowu opadły. Nie przestawał jej głaskać.

Kilkaście minut później opuścił plac zabaw, sam.

Niepokój nie dawał mu spokoju i tym razem męczył go bardziej niż kiedykolwiek. Dziewczynka okazała się znacznie sympatyczniejsza niż mu się na początku wydawało. Któż mógł przewidzieć, że w tym umorusanym dziecku kryje się tak romantyczne serce?

Kilka ulic dalej znalazł budkę telefoniczną. Wystukawszy nazwisko dziewczynki odczytał piętnastocyfrowy numer, pod który zadzwonił. Zasłonił ręką obiektyw kamery.

Na ekranie pojawiła się twarz kobiety.

– Pani córka jest teraz w południowej części placu zabaw obok basenu pod krzakami – powiedział i podał adres placu zabaw.

– Tak bardzo denerwowaliśmy się! Czy ona... kto mó...

Przerwał rozmowę i wyszedł z budki. Trzy miesiące do Amity i tyle samo na powrót. Nie miał pojęcia, ile to było w milach, po dziesiątym czy jedenastym zerze całkiem stracił orientację.

Amity Zastrane miasto. Nie chciało mu się nawet opuszczać statku. Planetę zamieszkiwały stworzenia przypominające trochę dziesięcotonowe larwy, a trochę obdarzone rozumem zielone łajno. Ubikacje były tam czymś całkiem nowym, tak samo budki z lodami, sorbet, pączki i miętówki. Kanalizacja jakoś się nie przyjęła, ale słodyczne – wymyślne desery wszystkich narodów Ziemi – chwyciły. No i jeszcze ten worek uspokajającej poczty dla na wpół zapomnianej ambasady ludzi. Ładunek, jaki Ian miał zabrać z powrotem zawierał szary szlam, który mógł się okazać niezwykle cenny na Ziemi oraz pakiet rozpaczliwych listów do domu. Ian nie musiał ich czytać, żeby wiedzieć, jaka jest ich treść. Wszystkie były jednym wielkim krzykiem: „Zabierzcie mnie stąd!”.

Siedział na tarasie widokowym i obserwował jedną z rodzin Amity, która psując powietrze torowała sobie drogę w stronę lądowiska. Zatrzymywali się co chwilę, żeby wydalić z siebie coś, co wyglądało jak dziwna kupa gówna. Droga była brązowa, ziemia obok niej też była brązowa i w dali niewyraźnie majaczyły brązowe wzgórza. W powietrzu unosiła się brązowa mgiełka i nawet słońce wydawało się żółto-brązowe.

Przypomniął sobie zamek na szczycie szklanej góry, Księcia, Księżniczkę i białe lśniące konie galopujące między gwiazdami.

W drodze powrotnej robił to co zwykle – harował w gigantycznych rurach silnika międzygwiazdowego. Na metalowe ściany działały z zewnątrz siły, które trudno sobie wyobrazić. Na powierzchni ścian zbierała się warstwa plazmoidów, był to jednak proces powolny i prawie niezauważalny, trzeba go było jednak stale kontrolować, bowiem nawarstwiająca się skorupa niszczyła silniki. Praca Iana polegała na usuwaniu plazmoidów. Nie każdy nadawał się na astrogatora.

Była to uczciwa praca i Ian zdecydował się na nią dawno temu. Życie upływało na ciągnięciu g albo popychaniu c. A kiedy czuleś się zmęczony, brałeś się do jakiegoś z. Jeśli można mówić o języku pucerów, to tak właśnie brzmiał.

Plazmoidy przypominały czerwone kryształy w kształcie łez. Kiedy odrywał je od ściany, były płaskie z jednej strony. Wysyłały światło gorące jak środek słońca.

Jak zwykle nie miał ochoty opuścić statku. Wielu pucerów decydowało się na pozostanie w środku. Pewnego dnia i on tak zrobił. Przez chwilę stał i rozglądał się dookoła. Wiedział, że nowy świat wchłonie go stopniowo, że powoli musi się przyzwyczaić do zmian. Nie przeszkadzały mu wielkie zmiany. Budowle wydawały się meblami świata i sposób ich ustawienia był mu obojętny. Ale drobne zmiany doprowadzały go do szewskiej pasji. Na przykład uszy. Zauważył, że tylko nieliczni ludzie mieli jeszcze małżowiny uszne. Za każdym razem, kiedy tu wracał, coraz bardziej czuł się jak pisklę, które wypadło ze swego gniazda. W końcu wróci tu, żeby się przekonać, iż wszyscy mają po trzy pary oczu i sześć palców, a małe dziewczynki nie chcą już słuchać bajek.

Stał rozdygotany starając się oswoić ze sposobem, w jaki ludzie malowali sobie twarze. Język, który słyszał wokół, przypominał trochę hiszpański; od czasu do czasu wyłowił jakieś angielskie lub arabskie słowo. Złapał za ramię kumpla z załogi i zapytał go, gdzie wylądowali, ale ten też nie wiedział. Zagadnął więc kapitana i dowiedział się, że mogła to być Argentyna, chociaż może raczej była nią, kiedy stąd odlatywali.

Zastanawiał się, dlaczego budki telefoniczne są mniejsze.

Miał cztery nazwiska w notesie. Usiadł przed telefonem i dumał, do kogo najpierw zadzwonić. Jego wzrok zatrzymał się na Światłości Promiennej Gwiazdy Smith. Wystukał jej nazwisko i po chwili odczytał numer telefonu i adres w Nowosybirsku.

Sprawdził zabrany ze sobą rozkład jazdy – zrezygnował na razie z rozmowy telefonicznej – i znalazł antypodyczny pojazd, który odjeżdżał o właściwej godzinie. Wytrzeł dłonie w spodnie, nabrał w płuca powietrza, podniósł wzrok i ujrzał ją tuż przed budką telefoniczną. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Wydał jej się znacznie niższy niż kiedyś, ale tak samo mocno zbudowany. Mężczyzna o wielkich dłoniach, szerokich ramionach i dziobatej twarzy, która byłaby odpychająca, gdyby nie łagodny wyraz oczu. Przed nim stała trzydziestokilkuletnia kobieta, tak piękna, jak tego oczekiwał. Czas nie zdążył jeszcze

zniszczyć jej urody. Pomyślał, że z pewnością stara się nie przytyć i robi wszystko, aby ukryć zmarszczki pod oczami, ale dla niego nie było to ważne. Jedna sprawa tylko się liczyła i musi ją wyjaśnić jak najszybciej.

– Nazywasz się Ian Haise, prawda? – przemówiła w końcu.

– To prawdziwe szczęście, że sobie przypomniałam – ciągnęła. Zauważył dobór słów. Nie powiedziała – zbieg okoliczności.

– Było to dwa lata temu. Znowu przeprowadzaliśmy się i robiąc porządki znalazłam tamten plazmoid. Nie myślałam o tobie przez... chyba piętnaście lat.

Powiedział coś nie na temat. Siedzieli w restauracji, w kabinie niedaleko szklanej ściany, za którą nieustannie lądowały i startowały statki kosmiczne.

– Mam nadzieję, że nie miałas przeze mnie kłopotów – zaniepokoił się.

Machnęła ręką.

– Trochę może miałam, ale to było tak dawno temu. Nigdy nie chowam długo urazy. Zresztą wtedy wydawało mi się to warte wszelkich kłopotów.

Opowiedziała mu, jak wielki niepokój wzniesił w jej rodzinie, o zainteresowaniu policji, przesłuchaniu, ogólnej konsternacji i końcowym poczuciu bezradności. Właściwie nikt nie wiedział, jak rozumieć jej przygodę. Dość szybko domyślili się, kim był i doszli do wniosku, że musiał opuścić Ziemię na bardzo długo.

– Nie naruszyłem żadnego prawa – zaznaczył.

– Właśnie tego nie mogli zrozumieć. Powiedziałam im, że rozmawialiśmy, opowiedziałeś mi długą bajkę, a potem zasnąłam. Jakoś nikt nie pytał, o czym była ta bajka, więc niczego nie zdradziłam. Nie wspomniałam też... o Gwiazdzistym Klejnocie – uśmiechnęła się. – Byłam nawet zadowolona, iż wcale o to nie pytali. Oczywiście postanowiłam nic im nie mówić, chociaż trochę się bałam, że prawda i tak wyjdzie na jaw. Podejrzewałam, iż działali z polecenia... no, jak nazywali się ci łajdacy w twojej bajce? Całkiem zapomniałam.

– Nieważne.

– Masz rację. Ale coś jednak jest ważne, prawda?

– Tak.

– Więc powiedz, co? Spróbuj odpowiedzieć na pytanie, które przez dwadzieścia pięć lat nie dawało mi spokoju. Męczyło mnie od chwili, kiedy przekonałam się, iż ofiarowany przez ciebie kamień był po prostu częścią skorupy pokrywającej silniki statków kosmicznych.

– Czyżby? – zdziwił się i spojrzał jej w oczy. – Tylko nie zrozum mnie źle. Ja nie mówię, że to było coś więcej, ale chcę, żebyś ty sama odpowiedziała na to pytanie.

– Tak, myślę, iż to było coś więcej – powiedziała po chwili namysłu.

– Cieszę się.

– Przez długie lata uparcie wierzyłam w tę historię. A potem przestałam w nią wierzyć.

– Tak nagle?

– Nie. Stopniowo. Nie sprawiało to wielkiego bólu. Wydaje mi się, że po prostu doroślałam.

– Ale zapamiętałaś mnie.

– Wymagało to jednak pewnego wysiłku. Kiedy miałam dwadzieścia pięć lat poszłam do hipnotyzera i przypomniałam sobie twoje nazwisko i nazwę twego statku. Czy zdawałeś sobie sprawę...

– Tak, powiedziałem ci je naumyślnie.

Pokiwała głową i znów zapadła cisza. Kiedy podniosła wzrok, w jej spojrzeniu było teraz więcej sympatii, a mniej nieufności. Chociaż wciąż czaiło się pytanie.

– Ale dlaczego?

Pokiwał głową, a potem spojrzał w stronę statków kosmicznych. Nagle zatęsknił, żeby się znaleźć na jednym z nich i zabrać się do pchania c. Nie udało się. Czuł to przez skórę. Stanowił dla niej prawdziwą zagadkę, coś, co należy wyprostować; był w jej życiu irytującym epizodem, który domagał się wyjaśnienia, po to, aby go potem szybko wymazać z pamięci.

Do diabła z tym wszystkim.

– Chciałem kogoś mieć – przyznał się. Kiedy na nią spojrzał, zobaczył, że kręci głowę z niedowierzaniem.

– Nie kpij ze mnie, Haise. Jesteś dużo mądrzejszy, niż ci się wydaje. Dobrze wiedziałeś, że kiedyś wyjdę za mąż i będę miała swoje własne życie. Wiedziałeś, iż nie zrezygnuję z niego w imię jakiejś ledwie zapamiętanej bajki sprzed trzydziestu lat. A więc dlaczego?

Czy nigdy nie zrozumie jego dziwnej tęsknoty?

– Czym się zajmujesz? To znaczy, kim jesteś? – pod wpływem dawnego wspomnienia szybko zmienił pytanie.

Zdziwienie malowało się na jej twarzy.

– Jestem misteliologiem – powiedziała.

Bezradnie rozłożył ręce:

– Nie mam pojęcia, co to jest.

– No tak, kiedy tu ostatnio byłeś, ten zawód jeszcze nie istniał.

– Muszę przyznać – ciągnął wyraźnie zagubiony – że nie mogłem przewidzieć, co będziesz robić w przyszłości, jaką się staniesz i co nieprzewidzianego może cię spotkać. Zależało mi tylko na jednym – chciałem, żebyś mnie zapamiętała. W przeciwnym bowiem razie... – spojrzał na rozciągającą się przed nim Ziemię. Długie, długie lata, a dla niego tylko sześć miesięcy. Planeta pełna obcych ludzi. Amity mogła roić się od obcych, ale Ziemia była domem, jeśli słowo to miało dla niego coś jeszcze znaczyć.

– Chciałem móc porozmawiać z kimś, kto będzie w moim wieku – wyjaśnił. – To wszystko. Chciałem po prostu mieć tutaj przyjaciela.

Widział, jak próbuje zrozumieć, co znaczą jego słowa. Nie udało jej się, chociaż może wydawało jej się, że zrozumiała.

– Chyba go znalazłeś – powiedziała, uśmiechając się. – W każdym razie chciałabym cię lepiej poznać ze względu na twoje wielkie starania.

– Nie wymagało to wcale wielkiego wysiłku. Tobie wydaje się, że spotkaliśmy się wiele lat temu, ale dla mnie upłynęło tylko sześć miesięcy, odkąd trzymałem cię na kolanach.

– Jak długo trwa twój urlop? – zapytała.

– Dwa miesiące.

– Czy chciałbyś się u nas zatrzymać? Mamy dużo miejsca w domu.

– Myślisz, że twój mąż się zgodzi?

– Jestem przekonana, że ani mąż, ani żona nie będą mieli nic przeciwko temu. To właśnie oni tam siedzą i udają, że nas nie widzą.

Spojrzenie Iana skrzyżowało się ze wzrokiem kobiety około trzydziestki; siedziała w towarzystwie mężczyzny w wieku Iana, który odwrócił się i patrzył na Iana podejrzliwie, ale nie wrogo. Kobieta uśmiechnęła się, twarz mężczyzny nie zdradzała żadnych uczuć.

A więc Światłość miała żonę. No cóż, czasy się zmieniają.

– Ci dwaj w czerwonych koszulach to policjanci – szepnęła Światłość. – Tak samo mężczyzna przy ścianie i tamten w końcu baru.

– Od razu rozpoznałem tych dwóch – powiedział Ian, a kiedy spojrzała na niego zdziwiona, wyjaśnił: – Gliniarze zawsze rzucają się w oczy. Jest to jedna z rzeczy, która nigdy się nie zmienia.

– Przybywasz z bardzo daleka, prawda? Założę się, że masz do opowiedzenia cudowne historie.

Ian zamyślił się i skinął potakująco głową.

– Niektóre są całkiem niezłe.

– Powiem policjantom, żeby poszli sobie do domu. Chyba nie gniewasz się, że ich tutaj sprowadziliśmy?

– Ależ bynajmniej.

– Pogadam więc z nimi i potem możemy już iść. Aha, powinnam zadzwonić do dzieci i zawiadomić je, że wracamy – roześmiała się i pochyliwszy nad stołem dotknęła jego ręki. Widzisz, ile się może wydarzyć w ciągu sześciu miesięcy? Mam troje dzieci, a Gillian dwoje.

Spojrzał na nią z zainteresowaniem.

– Czy są wśród nich dziewczynki?

Przełożyła Małgorzata Targowska

O autorze

John Varley (ur. 1947) jeden z najbardziej znaczących amerykańskich autorów SF. Urodzony w Austin, studiował na Michigan State University. Zadebiutował opowiadaniem „Picnic on Nearside” w 1974. Od tamtej pory utrzymuje się wyłącznie z pisania.

Szczególnie upodobał sobie formę literacką dłuższego opowiadania i krótkiej powieści. Przełom lat 70. i 80. należał do niego, większość publikowanych utworów albo zgarniała najważniejsze nagrody, albo była do nich nominowana.

Sławę przyniosły mu nowele: „Gotta Sing, Gotta Dance”, „The Phantom in Kansas”, „W pałacu władców Marsa”, „Barbie Murders”. Mikropowieść *Uporczywość widzenia* otrzymała w 1979 roku Hugo i Nebulę. „Pchacz” dostał Hugo w 1982, „Naciśnij ENTER” w 1985.

Jednocześnie wielką popularnością cieszyła się trylogia Gea: *Tytan*, *Czarodziejka*, *Demon*.

John Varley chętnie mierzył się z wyeksploatowanymi – zdawałoby się – motywami science fiction i tak je przerabiał, że wydawały się nowatorskie. Opowiadanie „Porwanie” dało początek powieści *Millenium*, następnie sfilmowanej.

Ostatnio Varley pisze już mniej, ale jego starsze opowiadania wciąż pojawiają się w różnych antologiach retrospektywnych. Obecnie mieszka w Los Angeles.

ONDŘEJ NEFF

Największy świr w dziejach swangu

Takie opowiadania – wariackie, zakręcone, szalone jak literacka Samosierra zdarzają się równie rzadko jak diamenty wielkości kurzego jaja. Przychodzi mi do głowy jeszcze tylko jedno – Armera „Przez wszechświat sobie gnam”. Albo filmy „Deszczowa piosenka” czy „Żółta łódź podwodna”.

Największy świr w dziejach swangu

Największym świrem w dziejach swangu był Grapo Wolinski. Nie zalewam, znaliśmy się już od poprawczaka, mieliśmy wspólne laski, razem jaraliśmy trawkę, a kiedy skończyliśmy dwanaście lat i wykopali nas z poprawczaka, ciągle trzymaliśmy się w kupie, bo akurat zaczął rządzić swang i obaj w to wdepnęliśmy. Tyle że ja, to chyba jasne, od razu odpadłem, bo do swangu człowiek musi się urodzić a ja byłem z innej bajki. Ale Grapo hulał dalej i po dwóch latach wymiatał, w kablówce wszędzie była jego facjata, trafił nawet na okładki czasopism dla grzybów, co to nie oglądają kablówki tylko czytają. Zresztą ja też się nauczyłem czytać i muszę przyznać, że daję radę. Od czasu, kiedy wszyscy się rajcują mango jango, czy jak to te złamasy nazywają, kablówka to totalny shit.

Ale wracam do Grapo Wolinskiego. Ten Grapo to był taki gość, co to nie zapomina starych ziomali nawet jak jest na topie, jak go zaprosili do Białego Domu, żeby nauczył swangować bachory prezydenta i kiedy Ojciec Święty z Rzymu mu powiedział, że da mu czapkę kardynała, jak pozwoli się ochrzcić i powie w kablówce, że bez boskiej pomocy w tym całym swangu to on, Grapo Wolinski, byłby totalnym cieniasem. Aż mnie zaskoczyło, jaki jest wporzo, bo nie widzieliśmy się dobry rok, aż kiedyś kolesie wzięli mnie do hali, w której swangował Grapo. Przepisnąłem się do samego krakersa i tam mnie Grapo wyczałł, wypiął się na tych wszystkich trenerów i ważniaków, co się wokół kręcili, podszedł do mnie i wrzasnął:

- Marek, jak leci?
- Daję radę – powiedziałem, żeby sobie nie pomyślał Bóg wie co.
- Dobra, będziesz kierowcą mojego rolls royce’a.

I tyle, olał mnie, wrócił na środek krakersa i swangował tak, jak nie potrafił nikt inny, nawet Rockymount, którego spalili w Rio, chociaż niektórzy mówili, że ten asfalt był najlepszym swangarzem wszech czasów.

Kurde, jak się tak na was gapię, to wy nawet nie czaicie, co to swang?

Tylko się nie nabijajcie i nie mówcie, że swang był funem dla wapniaków, jak czasami pieprzą te szczyle, fani mango jango. To fakt, że w swangu nie lała się krew, jak w mango jango, ale dawka dwudziestu pięciu tysięcy wolt to też nie w kij dmuchał, a czasami napięcie rosło nawet do miliona wolt, jak wtedy w Rio, kiedy Rockymounta trafiło w klatę, a to już były czasy, kiedy działało Koło Muzofortuny!

No to swang.

Czaicie? Grapo Wolinski. Facet w najlepszym wieku. Czternaście lat i siedem miechów. Dwa lata go pakowali. Metr dziewięćdziesiąt sześć i takie bary, że przez drzwi musiał przechodzić bokiem, na kłacie mógłby mu wylądować helikopter a on by nawet nie jęknął, miał taką parę, że mógłby go podnieść, już widzę, jak ten śmigłowiec ląduje, płozy zapadają się w złote pióra, jakie Grapo miał na piersiach i brzuchu, a w podmuchu rotora te włosy falują, ten koleś miał najpiękniejsze pióra, jakie można sobie wyobrazić, w czasach Grapo dziewięciu na dziesięciu to byli blondyni z trwałą, z wyjątkiem tych po dwudziestce, i tych starszych, żółtych z podkurzenia, że przestali śmigać.

Ale największą parę miał w biodrach i nogach. Doktor mówił, że Grapo od urodzenia miał nadzwyczaj mocne stawy biodrowe i krzyż a poza tym nienormalny system nerwowy. Nie wyczałem do końca, ale według lekarzy sygnały po nerwach Grapo śmigały co najmniej pięciokrotnie szybciej, niż u innych. Miał w sumie krótki tułów, a nogi jak bocian. Mega power miał w zadku. Czaicie, że zanim zaczął naprawdę śmigać i kiedy jeszcze swangowaliśmy razem, Grapo ścisnął półdupkami linę i dwóch koleś nie potrafiło jej wyrwać? Jaki power musiał mieć po tym pakowaniu hormonami! Pewno mógłby dupą drut ciachnąć.

Teraz zaczajcie, jak Grapo wygląda na krakersie.

Idzie przez salę a ludzie drą ryje jak opętani, no a jak. Kołysze się na nogach i stąpa jakby chodził po cienkim lodzie. Idzie całym ciałem. Kolebanie nóg przenosi się na brzuch i mięśnie pleców aż do szyi, przez bicepsy do przedramienia i czubków palców. Każdy ruch Grapo, choćby skinięcie małym palcem, promieniuje na całe ciało, jak kamień wrzucony do wody, kiedy fala dociera aż tam, gdzie szumią szuwary. Uśmiecha się. Grapo zawsze miał banana, nawet jak go popieściło pięćset wolt, widziałem w Baltimore na własne oczy. Miał drań dużą gębę. Uwierzycie, że niektórzy fani nacinali sobie usta nożem, żeby być jak Grapo? Nad tym bananem w sumie mały nos, zadarty, trochę szeroki, a nad tym zarośnięte masywne łuki brwiowe. Deszcz nigdy mu nie mógł napadać w gały, no chyba żeby leżał na plecach. Oczy miał schowane w głębokich jamach, ale ponieważ były bladobłękitne, jarały się jak stalowy czajnik wrzucony do studni. Czoło miał niskie. Zresztą wtedy w gazetach pisali, że Grapo to dałn, troglodyta czy co, ale to pewno napisał jakiś dupek, który sam na krakersie nie wytrzymałby nawet sekundy i spaliłby się jak chusteczka do nosa, bo wpakowaliby w niego co najmniej milion wolt, nie ściemniam.

Krakers to był kwadrat w kolorze piasku, trzy razy na trzy metry, z wielkim logo Harpera, największego producenta krakersów i ciastek w tym zakątku galaktyki, a gośki od swangu twierdzili, że bez sponsoringu Harpera swang nigdy by nie wyparł powerberka. Powerberka chyba już nikt nie pamięta, sam go widziałem jako szczyl. Głupawy fun, kręciło się jakieś koło i biegało w nim kilku jackassów, czasami obili sobie mordy, czasami któryś, jak miał

pecha, się przekreślił, a osiemdziesiąt milionów dupków oglądało kablówkę i stawiało kasę, no mówię, totalna żenada. A dzięki Harperowi po powerberku przyszedł swang.

Grapo tanecznym krokiem wchodził na krakers i machał do fanów, którzy ryczeli tak, że gały wychodziły im z orbit, a gdzieś w górze, pod sufitem hali, w małej szklanej reżyserce, siedział dupek technik z ręką na sensorowym włączniku wielkości tabletki aspiryny. Wystarczyło, że go dotknął, a salę wypełniała czerwona poświata, ruszała muza i w osiemdziesięciu milionach domów na plazmie pojawiała się rubinowe światełko.

W tej chwili dwieście milionów ludzi chwyciło za konsole, wystukiwało na klawiaturze wysokość stawki i wszystko hulało. Każdy widz miał tylko jeden wolt. Musiał obczaić, w którym miejscu Grapo stanie w następnej chwili, i tam obstawiał tego swojego wolta. Jeden cios za dolca. Ale przestrzeń nad krakersem była podzielona na sektory i napięcie w sektorach nawzajem się znosiło. Parzyste sektory niwelowały nieparzyste i na odwrót. Grapo musiał pracować tak, żeby utrzymać ludzi w niepewności i zmusić ich, żeby swoje zakłady rozkładali równomiernie. Gdyby wyczaili, w które miejsce swangarz chce się ruszyć, władowaliby tam swoje zakłady, naruszyliby równowagę między sektorami i mogłoby się stać, że swangarza by trafiły centralnie miliony woltów, a taki cios by go dosłownie odparował, to chyba jasne.

Zapomniałem o muzie. Swangarz pracował przy muzyce, inaczej ludziska by się nudzili. To chyba jasne, że rosło ryzyko, bo rytm trochę dyktował ruchy swangarza. Ale Grapo należał do swangarzy, którym lepiej się pracowało przy muzyce, bo ich inspirowała.

W sprawie muzy od początku swangu były przepychanki. Najpierw wybierał ją szef transmisji swangu. Ale łebki w domu przy kablówce zamówiły sobie diagramy ruchów wszystkich topowych hitów. No i zaczęły się schody. Ludziska z konsolami spalili Briggsa w Carnegie Hall, trzydzieści milionów wolt zafasował Sparkers i nie było czego zbierać, Spassolini dostał niewiele mniej, ale skończyło się o wiele gorzej, bo zjarało mu dolną część ciała i jak go sanitariusze wynosili, jeszcze żył, jucha leciała mu z gęby i darł się „wy kurwy, skurwysyny pojebane”. No, przypał. Swangarze założyli potem związek ochronny Wars, kupili prawników i ciągle byli w konflikcie z organizatorami, z Harperem i widzami i kablówkami, i lobbowali za zakazem używania konsol, ale to od początku nie miało szans. Każde swangowanie zaczynało się od kłótni adwokatów z dyrektorem show. Ludziska w domu przy kablówkach już się z tym liczyli, i jak swang miał się zacząć o dwudziestą zero zero, spokojnie szli do kibla albo na grilla albo do wyra i tylko kątem oka zerkali na plazmę, gdzie stał wkurwiony szef transmisji, a adwokat Warsu machał mu przed oczyma kwitami i darł się: „Mam dowody, że reżyser muzyki działa w porozumieniu z mafią!”. Za adwokatem stało dwóch ochroniarzy, co to oczy mieli naokoło głowy, a potem pojawiał się moderator, któremu asystentka co chwilę donosiła kartki z niusami, i nawijał z prędkością karabinu maszynowego:

– Drodzy widzowie, zanim przez łącza satelitarne dołączą do nas widzowie Afryki Południowej, Australii, Indonezji i Japonii, pozwólcie mi podsumować przebieg przygotowań

zawodów swangu. Ale zanim zacznę, wzmocnię się krakersami Harpera i popiję herbatą Masculine Force!

Mnóstwo swangarzy mówiło, że Wars jest do dupy, ale nie mieli racji.

Wars sporo załatwił zwłaszcza w sprawie muzy. Skminili przede wszystkim Koło Muzofortuny.

No nie, wy nawet nie czaicie, czym było Koło Muzofortuny! Stało za krakersem, między trybunami dyrektorów i organizatorów. Przypominało stroboskopową kulę, ale dość skomplikowaną, na paskach biegnących od obwodu do środka były zapisane hity. Dyrektor rozkręcał kulę i w zależności od oglądalności i wysokości zakładów koło zmieniało prędkość, promień lasera łykał zapis, ale przede wszystkim zmieniała się muza, więc już nikt nie mógł z góry przewidzieć diagramu ruchu. Szkoda, że zanim wprowadzili Koło Muzofortuny, paru koleś się przekręciło, a najbardziej żał Spassoliniego, wymiatał prawie tak jak Grapo, chociaż był makaroniarzem.

No to zacząłem jeździć dla Grapo. Nie było to życie jak w bajce. Po każdym zawodach fani przez kilka dni oblegali rezydencję, a jakbyśmy chcieli wyjechać, nasza ochrona musiałaby torować drogę kałachami. Grapo nawet kombinował, że wykopie tunel, żeby mógł wychodzić, jak będzie miał feeling, ale potem dał se na luz, bo i tak ktoś by go puścił kantem i znowu byłaby wtopa, tyle że Grapo byłby lżejszy o niezłą kasę wydaną na ten tunel. Ale nawet w sezonie ogórkowym, kiedy nie było zawodów, przed bramą stały patrole kilkudziesięciu fanów.

Każdy wyjazd był drogą przez piekło. Jak koleś wyczaili naszego rollsa z różową karoserią pokrytą srebrnymi gwiazdami, lecieli do nas, machali, rzucali kwiatami albo kamieniami i butelkami, i zawsze znalazł się jakiś oszołom, który się rozebrał albo wyciągnął giwerę i do nas strzelał, i seryjnie nie kumam, po co to robił, bo zamachy już dawno były wczorajsze i w kablówkach nic o nich nie mówili. Czasami Grapo to wkurwiało i skarżył się panu Langeyowi, naszemu menedżerowi, że niby sprzeda rezydencję i łyknie apartament w hotelu Plaza i będzie śmigać zwykłym cadillakiem.

– Grapo, nie możesz tego zrobić – mówił pan Langey.

– Z własną kasą mogę robić, co chcę, choćby ją spuścić w kiblu!

– Zrób to, będzie niezły skandal – ucieszył się pan Langey. – Ale najpierw poinformuj pana Longo – to rzecznik prasowy Harpera. – Ludzie lubią, jak celebryta robi różne rzeczy, choćby jak spuszcza pieniądze w klopie. Będzie niezła sensacja. Ale jak się przeniesiesz do hotelu i sprzedasz różowego rollsa, każdy pomyśli, że się kończysz.

– Gównu – powiedział Grapo. – Jestem w lepszej formie niż kiedykolwiek, i pan dobrze o tym wie.

– Wiem – uśmiechnął się pan Langey. – I dlatego bądź grzeczny i zostaw sobie swojego rolls roycea i swoją rezydencję, trzystuletni ogród i armię bodygardów. To część show, chłopcze. Gwiazda pierwszej wielkości ma wobec widzów pewne zobowiązania.

Ale Grapo ciągle sprawiał panu Langeyowi kłopoty. Seryjnie, to był pojeb. Nikt nigdy nie wiedział, co mu odbije. Z rollsem pan Langey oczywiście miał rację. Ludzie chcieli mieć swoją gwiazdę w różowej bryce. Grapo był na topie. Podczas zawodów zakłady wynosiły sto osiemdziesiąt do jednego i wystarczyło, żeby ktoś w domu przed kablówką przypadkiem wpieprzył Grapowi zajebanych trzysta wolt, już zgarniał sto pięćdziesiąt tysięcy dolców! Właśnie ze względu na ten stosunek sto osiemdziesiąt do jednego oglądalność czasami wychodziła ponad sto milionów. I nie liczę nie obstawiających, ale pan Harper i pozostali sponsorzy owszem, bo im chodziło o to, żeby te setki milionów wpieprzały krakersy Harpera i chleptały herbatę Masculine Force.

No i wtedy nadeszła ta pechowa sobota, kiedy swangował Andy Nepeta, zajebisty swangarz, który czasem wkurzał Grapo, bo któregoś dnia mógł być lepszy niż on, ale Grapo i tak go lubił, bo był świrem i kumple byli dla niego ważniejsi niż sława i kasa.

Nepeta był Indiańcem, ponoć Apaczem, i mówili, że czai rytm. Jego menedżer odkrył go w Las Vegas, gdzie wieczorami tańczył, a w nocy był żigolakiem dla tych trzydziestoletnich lasek, co to w Vegas ich pełno. Andy na szczęście nie miał jeszcze dwunastu lat, więc nie było za późno na hormony i w ciągu roku napakowali go do prawie takich rozmiarów, jak Grapo Wolinskiego. Andy był muzycznie i tanecznie lepszy niż Grapo, to fakt, ale to głównie warte, obstawiali go najwyżej osiemdziesiąt siedem do jednego, a Grapo, jak mówiłem, dochodził do stu osiemdziesięciu do jednego i nigdy nie zszedł poniżej stu dwudziestu.

Nepeta wpadł na krakersa, moderator walnął herbatę Masculine Force i z uśmiechniętym ryjem ogłosił, że zakłady wzrosły do dziewięćdziesięciu trzech do jednego, sporo obstawia Hongkong i Japonia i że czekamy na Afrykę Północną, ponieważ dzisiaj, szanowni widzowie, Andy Nepeta mógłby przekroczyć fantastyczną granicę stu do jednego i zaatakować niekwestionowaną dotąd pozycję Grapo Wolinskiego, który jednak nie spoczywa na laurach, lecz trenuje wzmacniając się krakersami Harper.

W tym momencie wpadł adwokat Warsu, że niby światła są za nisko i oślepiają Andy'ego, „panowie, mój klient walczy o życie”, burdel się rozkręcał, szef transmisji groził zerwaniem umowy i przerwaniem transmisji. W końcu się dogadali, oświetleniowiec podciągnął halogeny, a adwokat wyjął z kieszeni luksometr i zmierzył natężenie światła, żeby wszyscy widzieli, że jest wielkim przydupasem i nie da się zbyć byle czym.

Nepeta w tym czasie stał pośrodku krakersa – no – stał. Przypominał kroplę wody na rozpalonym blaszanym dachu. Skóra lśniła mu od potu, no mega widok, stał tak tylko w bokserkach, super ciacho, na nogach miał tenisówki, tylko on swangował w trzewikach, inni pracowali na bosaka.

Szef transmisji zakręcił Kołem Muzofortuny, podniósł rękę, technik w reżyserce pod sufitem dotknął sensora wielkości tabletki aspiryny i już wszystko śmigało.

Dużo zależy od pierwszej sekundy, bo wszyscy widzowie chcą skorzystać na przejściu z bezruchu do tańca i chwytają za konsole. Wpakowali na krakersa osiemdziesiąt milionów

woltów, i gdyby Nepeta był cieniem, od razu by wyparował. Ale cieniem na krakersa nie wpuszczali. Oni swoje nauki pobierali w wędrownych budach, gdzie zakłady obstawiali tylko widzowie na trybunach a swangarz mógł dostać góra pięćset wolt, i to jeśli był palantem. Ale Andy Nepeta palantem nie był i te miliony woltów się wzajemnie zniosły. Jasne, że leciały iskry i Andy'emu najeżyły się włosy, ale to była część show, każdemu przy swangu pióra stały na irokeza, tylko nie Grapo, bo miał kręcone, a poza tym był świrem i debeściakiem. Po pierwszej wiązce już się znaleźli jacyś wygrani, a w rogu ekranu wyskakiwały cyfry i nazwiska, dziesięć tysięcy dolców, piętnaście, pięć, w zależności od tego, ile kto obstawił, jak był szybki i ilu spryciarzy przykleiło się do jego zakładu.

Koło Muzofortuny zasuwawało tak szybko, jak jeszcze nie widziałem przy innym swangu niż Grapo. Szef transmisji zupełnie od tego zgłupiał, popieprzał od jednego technika do drugiego siorbiąc herbatę Masculine Force z reklamowego kubka i wsuwał krakersy trzymając opakowanie napisem do kamery.

Muza była spoko, świeże hity, do których jeszcze nikt nie miał na konsole diagramów ruchu, więc nic nie mogło się stać nawet bez Koła Muzofortuny. Andy Nepeta był mega tancerzem, każda laska musiała odlecieć, jak go widziała w tych bokserkach, nawet szmule, które mieliśmy w chacie, wrzeszczały i orały sobie pazurami twarze, jedna walnęła się na glebę i tak tłukła facjatą o podłogę, że musiałem dać jej z lacza. Andy centralnie trzymał formę, w ogóle się nie dziwiłem, że zakłady przebiły sto do jednego, wszyscy świrowaliśmy, Grapo zaczął swangować ot tak, na podłodze przed plazmą, i darł się:

– Puście mnie tam, ja tego indiańca wyjebię, kurde, jak on naparza, ja go dorwę!

Pan Langey też był z nami i się wkurwiał. Jedyne on nie dał się porwać i tylko przytupywał nogą w brązowo-białym kamaszu ruszając w rytm wykałaczką, ale jego się nie liczy, bo to stary dziad koło trzydziestki. Luknął w prawo i skinął na ochroniarzy, żeby uspokoił Grapo, gdyby go za bardzo poniosło, bo byłaby niezła jazda, jakby Grapo w amoku przetrącił grzbiet jakiejś lasce tylko dlatego, że odleciała przy swangu Andy'ego Nepety. Ochroniarze się podkurzyli, bo Grapo miał mega power, i nawet ochronie trudno było opanować czołowego swangarza, zwłaszcza że pan Langey zakazał chwytów, które by mogły Grapo uszkodzić, a inne na niego nie działały.

Centrum włączyło obwody Afryki Północnej, a w tabeli pojawiła się fantastyczna liczba sto czterdzieści do jednego, a to już, ludziska, była zajebista kaszka.

– Już nie pójdzie wyżej – powiedział spokojnie pan Langey. – Raczej zaczniesz opadać.

Miał rację. Ledwo skończył mówić, tabela pokazała sto trzydzieści osiem, potem sto trzydzieści sześć. Show chyba już niektórym zaczął się nudzić, albo wpakowali już za dużo kasy. Jak mówię niektórym, rozumiem przez to miliony, bo wszystko, co dotyczy czołowego swangu, porusza się w obszarach siedmiocyfrowych liczb.

Nagle Grapo wrzasnął, podskoczył do plazmy i zaczął w nią walić pięściami. Nie zaczęliśmy, co się stało, Grapo zakrywał ekran plecami, ale w pokoju obok też była

kablówka i jak tam wpadliśmy, na ekranie zobaczyliśmy pośrodku krakersa czarną dziurę, moderatorowi trząśł się głos, kiedy mówił, że Andy Nepeta zawahał się w czwartej minucie dwudziestej ósmej sekundzie i szóstej dziesiątej sekundy i wpadł na ścianę energetyczną o napięciu czterdziestu pięciu milionów wolt i wyparował. Szczęśliwcem, który wygrał sumę przekraczającą dziewięć milionów dolarów, jest panna Lilian Bettson z Denver.

W kablówce pokazywali zwolniony replay pechowego kroku Andy'ego, to była trudna figura Rockymounta, obrót w wyskoku z wymachem ramion. Grapo, zanim się porządnie nauczył, ćwiczył go miesiącami, a ja zrezygnowałem ze swangu w chwili, kiedy wyczałem, że na obrót Rockymounta jestem za dużym cieniem. Widzowie w hali mogli zobaczyć tylko, że Andy nagle zniknął i zamiast niego na krakersie pojawiła się dziura i fetor, ale my na spowolnionym replayu widzieliśmy, jak postać Andy'ego spowija błękitna aura, koleś w ogóle nie czaił, że coś się dzieje, uśmiechał się sztywno a w oczach miał obrót Rockymounta, nie ściemniam, ta figura da popalić nawet takiemu mistrzowi, jak Grapo. Jest nieobliczalna ruchowo i tylko palant by w tej chwili obstawiał, każdy to wie, nawet ten, co swang zna tylko z reklam, przy obrocie Rockymounta swangarz jest najbezpieczniejszy, więc, do kurwy nędzy, jak to się mogło stać?

W prawym górnym rogu plazmy pojawił się szybko rosnący kwadracik, który wypełnił ćwierć ekranu, na pozostałej powierzchni ciągle puszczały replay, w którym umierał Nepeta, a w kwadraciku brechtala się jakaś laska.

No to jest Lilian Bettson z Denver.

Dzisiaj bym ją nawet wysmyczył, ale wtedy była za stara, jakaś dziewiętnastka, dwudziestka. Rechotała pełną gębą, aż trzęsły się jej loki à la Grapo Wolinski.

– Dziewięć milionów... dziewięć milionów... – przymykała oczy, z rozkoszą, jakby się bzykała.

Patrzyliśmy, jak diabelska energia trawi Andy'ego Nepetę. Wydawało się, że ścisza go przezroczysta prasa, ale nie pojawiła się krew. Andy czerniał i znikał, w krakersie rosła dziura a nad nią wisiał słup czarnego dymu, a ponieważ replay był poklatkowy, dym się nie ruszał i zachowywał kształt ciała swangarza podczas obrotu Rockymounta.

– Co pani zrobi z wygraną? – spytał dziennikarz.

Lilian znowu zarechotała.

– Ach Boże... kupię sobie taaaaką górę krakersów Harpera, każę sobie w niej wydrążyć jaskinię, wokół będzie morze herbaty Masculine Force a ja w tej jaskini...

Nawijała według scenariusza, który na kolanie nabazgrał rzecznik Harpera, pan Longo. Chłopcy musieli się nieźle spiąć, żeby na czas dostarczyć jej tekst.

Grapo podbiegł i chwycił mnie za rękę. Pan Langey skakał wokół niego jak york, Grapo był wkurwiony i wyglądał, że aż strach się bać.

– Chodź za mną – powiedział i zaciągnął mnie do sali treningowej, gdzie stał taki sam krakers, jak ten, na którym przed chwilą niejaka Lilian Bettson z Denver zjarała drugiego najlepszego swangarza na świecie.

Posadził mnie przed konsolą, puścił muzykę i zaczął swangować.

Nie szło mu najlepiej, ale machał do mnie i krzyczał:

– Dawaj, Marek, bez krępacji!

Ustawiłem wiązkę na dwieście wolt i odpaliłem program. Błyskawice waliły w krakersa, jak w lipcowe oberwanie chmury, kiedy ludzie uciekają w ulewie z basenów, zostawiając cały sprzęt: przenośne DVD, edusofty i seksiorki i spieprzają, żeby się schować pod jakimś dachem, gdzie leją grzańca. Grapo oczywiście został na krakersie, każdy swangarz zostaje i jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby któryś się skitrał i się zmył.

Ludzie, ja też byłem swangarzem, a to, że z tym skończyłem nie znaczy, że można mnie mieć za totalnego cieniasa. Jeszcze dziś bym zapełnił niejedną Municipal Hall gdzieś w Zadupiu Dolnym, i pewno znalazłoby się z pięć tysięcy ludzi, którzy by przyszli na mój show, zwłaszcza jakby na posterze napisali, że zaczynałem z Grapo Wolinskim. Znam się na swangu, a na zakładach mógłbym zbić niezłą kasę. Czemu nigdy nie obstawiałem? Bo było mi głupio i zbyt dobrze wiedziałem, jak człowiekowi daje popalić taki trzystuwoltowy cios. Ale wtedy, kiedy Grapo stał na krakersie treningowym, wczułem się i go nie oszczędzałem. Wiązka minęła go o włos i gdybym go dorwał, przeciąłbym go na pół i możliwe, że jednego dnia swang straciłby dwie swoje gwiazdy, jedną podczas show, drugą na treningu.

Typowałem rogi i punkty węzłowe. Potem naprawdę wrednie waliłem w konsolę. Włożyłem w to doświadczenie i znajomość reguł fizyki, bo swangarz to właściwie masa, chociaż wygląda jak człowiek i potrafi się uśmiechnąć, wachać kwiatki i beczeć, kiedy przypomni sobie mamę, której nie widział, odkąd go wzięli do poprawczaka a dzisiaj już nawet nie pamięta, jak wyglądała. Swangarz waży tyle i tyle, a kiedy skoczy, to siła bezwładu wynosi tyle i tyle, i tyle na ten temat, wszystko to miałem obczajone, a jak się w to jeszcze włożyło intuicję, to takie inne kumanko, ściagałem Grapa, jak już mówiłem, naprawdę wrednie. Nieźle ode mnie oberwał, zauważyłem, że ledwo dyszy, i gdybym siedział przy kablówce i obstawiał, przez ten czas zarobiłbym pewno z pół miliona, a wieczorem już by o mnie mówili w sportowych niusach i jakiś ważniak znowu by ściemniał, że swang z przyczyn humanitarnych należałoby zakazać.

Ale ciągle nie wyczałem tej pułapki, którą na Andy'ego zastawiła Lilian Bettson z Denver.

Na naszym symulatorze też można było nastawić sporo tricków i powaga, próbowałem, ale Grapo był mistrzem i zwiewał przed wszystkimi zasadzkami, chociaż był trochę nieswój i szło mu o wiele gorzej, niż przed chwilą Andy'emu Nepecie.

Czaicie bazę?

Byłem pro i pomagała mi technika Texas Instruments, a Grapo jechał na jedną trzecią powera, a i tak nie byłem w stanie go dorwać, na dodatek nie zrobił obrotu Rockymounta!

Skinął, żebym przestał. Wyłączyłem symulator, a on usiadł na krakersie tak zrypany, że zapach krwi docierał nawet do mnie.

– Niemożliwe – sapał – albo to był największy przypadek, albo jest w tym jakiś przekręt.

– Co pan przez to rozumie, panie Wolinski? – spytał pan Langey, który przyszedł do sali treningowej i nas obserwował.

– To jakiś szwindel – odpowiedział Grapo. – Jak wtedy, kiedy ludzie zaczęli kupować te programy do konsol i obliczali diagramy ruchów i dorwali tego Włocha, Spassoliniego.

Pan Langey uważnie słuchał a potem cicho powiedział:

– Ale dzisiaj mamy Koło Muzofortuny. Nikt nie może przewidzieć melodii. Manipulacja jest wykluczona.

– No to jest jakaś inna przewalka!

– Panie Wolinski, ma pan jakieś konkretne podejrzenia? Chce pan zgłosić, że panna Bettson popełniła przestępstwo?

Grapo na to nie wpadł, ale jak pan Langey tak ładnie to powiedział, załapał, chciał dzwonić do dyrektora FBI i ministra sprawiedliwości i nie wiadomo, kogo jeszcze.

W końcu pan Langey połączył się z biurem detektywa Rowdera i zlecił mu, żeby prześwietlił Lilian Bettson i sprawdził, kto zacz, zanim Grapo rozkręci śledztwo po oficjalnej linii, bo ta miła panią jest teraz na topie i wstawiliby się za nią najlepsi adwokaci, choćby za darmo, dla reklamy.

Bo wszyscy kumaliśmy, że w tym tygodniu Lilian Bettson stanie się ulubienicą całego świata.

I faktycznie. Jeszcze tego wieczora Lilian znowu pojawiła się w kablówce. Nawijała o krakersach Harpera dwadzieścia minut longiem – a to był zarypiaszczco długi czas antenowy, jak się weźmie, że kandydaci na prezydenta podczas kampanii dostają po kwadransie. Ale następnego dnia w kablówce tylko mignęła, a trzeciego Lilian Bettson zapadła się pod ziemię.

Gapiliśmy się na kablówkę cały wieczór. Grapo powiedział:

– Czaję to jeszcze mniej niż ten trick z obrotem Rockymounta. Co robią reporterzy? Gdzie wywiad z jej matką? Dlaczego poważny Bettson senior nie kiwa głową i nie pieprzy o krakersach Harpera, że to podstawa diety jego córki? Gdzie się pochowały kumpele z budy, czemu nie ryczą, że my idiotki też mogłybyśmy żreć więcej tych pieprzonych krakersów?

Wstał i walnął pięścią w ekran.

– Gdzie jesteście, dupki?

Pan Langey już wciskał klawisze telefonu. Kiedy odezwał się dyrektor spółki CBS, przekazał słuchawkę Grapo.

Niczego konkretnego się nie dowiedzieliśmy. Dyrektor CBS powiedział:

– Nasi widzowie nie są zainteresowani Lilian Bettson.

Dyrektor NBC i szefowie trzech kolejnych stacji kłapali to samo niczym papugi.

– Nie są zainteresowani? – parsknął Grapo sarkastycznie. – Ludziska nie gadają o niczym innym!

– Ktoś nie chce, żeby prawda trafiła do ludzi – powiedziałem patrząc panu Langeyowi w oczy.

Nie odwrócił wzroku i zupełnie spokojnie odpowiedział pytaniem:

– Jak pan myśli, Foster, kto to może być?

– A kto jak nie ten wszarz, rzecznik Longo?

– Sugeruję, by asystenta prasowego pana Harpera wyłączyć ze swoich komentarzy – odciął się pan Langey lodowato, ale świr Grapo Wolinski uczeplił się tego i już sięgał po telefon. Pan Langey chciał mu wyrwać aparat, ale ta trzydziestoletnia ruina nie może stawać w szranki ze świetnym swangarzem. Grapo tylko machnął ręką i pan Langey już siedział w kącie trzymając się za policzek i kopiąc żgicelkami w tych swoich trzewiczkach z brązowo-białej skóry.

Po chwili wkurzony Grapo Wolinski przedarł się przez wszystkie barykady sekretarek i sekretarzy i dorwał pana Longo do telefonu. Rzecznik prasowy cierpliwie go wysłuchał i powiedział:

– Czyli nie jest pan troglodytą, jak uważa „Time”. Ma pan rację. Firma Harper faktycznie nie jest zainteresowana popularnością panny Lilian Bettson.

– Czemu, do kurwy nędzy?

– Chmura dymu ze spalonego mężczyzny nad napisem Harper nie przyczynia się do poprawienia wizerunku naszej firmy. A samą pannę Bettson może pan skarżyć do woli. To pańskie prawo, panie Wolinski, a o ile pańskie podejrzania są udokumentowane faktami, to wręcz pański obywatelski obowiązek!

Słuchałem go na drugiej linii i ciary przebiegały mi po plecach. To skandaliczne, ile pewności siebie dodaje facetowi duży szmal, ale taki naprawdę duży, nie tych kilka zasranych milionów, na których siedzieliśmy my!

Grapo trzasnął słuchawką. Kręcił głową, jakby nie wierzył własnym uszom. Potem powiedział:

– Dupek! Niby chmura dymu szkodzi wizerunkowi firmy Harper. To po co Harper finansuje swang? Po co tańczymy na krakersie jak pojeby? Po co te miliony ludzi raz na trzy miesiące gapią się na transmisję swangu? Tylko dla tej chmury dymu, dla niczego innego! Każdy ma nadzieję, że wreszcie dziś wieczorem coś się stanie i cała reszta mu zwisa. A jak wreszcie doczekali się swojego, pan Harper blokuje informacje?

– Proszę się liczyć ze słowami – ostrzegł go pan Langey. Już wstał i wokół lewego oka zaczęła mu podchodzić śliczna śliwka.

– Ty też się wal – odpowiedział Grapo. To był naprawdę świr. – Poczekam, co znajdzie Rowder, a potem wszystko rozpirzę tak, że się nogami pozakrywacie.

Ale pan Langey siedział na takiej samej górze kasy, jak pan Longo i wszystko mu powiewało, natomiast Grapo Wolinski, jeśli chodzi o szmal i władzę, był mały pikus.

Wyczałem, że pan Langey to prawdziwy twardziel nawet ze śliwą pod okiem i po łomocie nie musiał wygładzać marynarki i poprawiać spodni. Te ciuchy po prostu mu pasowały, o to tu chodzi, szmaty, jak się już przekonałem, dobrze leżą tylko na prawdziwych lansiarzach.

– Pan Harper mi płaci, żebym dbał o pańskie interesy, panie Wolinski. We wszystkich kwestiach: treningu, finansów i prawa. Jestem pańskim menedżerem. Zaniedbałbym swoje obowiązki, gdybym pana nie ostrzegł. Ostrzegam więc pana, panie Wolinski. Proszę zapamiętać o tej sprawie i zająć się treningiem. Za pół roku show w Filadelfii.

Jak myślicie, co mu ten świr Grapo odpowiedział?

– Spieprzaj dziadu – tak mu powiedział.

I tyle. Pan Langey nawet nie mrugnął, spakował parę papierów do teczki z krokodyla, wsiał z teczką do morgana i pojechał. Wszystkie swoje rzeczy osobiste zostawił w rezydencji Grapo, szczoteczkę do zębów, edusofty i wypasioną seksiorkę, całą w skórze, chromowanej stali i mahoni.

Nie będę długo nawijał. Detektyw Rowder nas nie pocieszył. Lilian Bettson zniknęła. Możliwe, tłumaczył, że ta dziewczyna była tylko figurantką pod fałszywym nazwiskiem. W chwili obecnej w Denver mieszka pięćdziesiąt sześć Lilian Bettson i tysiące kolejnych w pozostałych miastach Stanów. Ale to nie wszystko. Dziesiątki tysięcy lasek zmieniły nazwisko na Lilian Bettson i każda się chwali, że jest Tą, Która Spaliła Nepetę.

– Tak to wygląda, Wolinski – oświadczył na koniec Rowder. Przyjechał do rezydencji osobiście i nawet kazał sobie zrobić fotkę. – W końcu znajdziemy tę prawdziwą dziewczynę, bez względu na to, jak się nazywa, żywą lub martwą. Ale to będzie kosztować morze pieniędzy i mnóstwo czasu i pracy.

– Proszę się za to brać. Niech to kosztuje cały mój szmal. Lubilem Andy’ego Nepetę i jeśli ktoś go wykończył jakimś przekrętem, chcę mu dopieprzyć.

Rowder wyglądał na wporzo gostka. Był starszym panem, co najmniej dwadzieścia, może dwadzieścia dwa lata. Zaczął od niczego, a teraz szefował największej agencji detektywistycznej na Wschodnim Wybrzeżu i armii wtyczek – w sumie dziesięciu tysiącom koleś. Było z niego niezłe ciacho. Najbardziej podobała mi się jego delikatna jak skórka brzoskwini cera, bez zarostu, tylko trochę, prawie nic. Jak facetowi zaczynają rosnać wąsy, jest skończony.

Gorzej, że postawił się nam Wars. Adwokat, który był wtedy na show, przysiągł przed komisją, że wszystko było w porządku i że Wolinski jest albo szaleńcem, albo ktoś mu za to płaci. Grapo udzielił mnóstwa wywiadów, ale interesowały się nim tylko te gazety dla grzybów, jak „New York Times”, „Wall Street Journal”, „Time” i „Newsweek”, a nie kablówki i komiksowe plastgazety, co to ludzi kręca. Udawały, że Grapo Wolinski nie

istnieje. Babraliśmy się w tym wszystkim trzy miesiące, a potem w Houston wystąpił Ralph Bakshi, nowa gwiazda swangu, która pięła się na szczyty po śmierci Andy'ego Nepety.

Gapiliśmy się na kablówkę, Grapo był poważny, masakrycznie się postarzał przez ten kwartał, chociaż nie przestał trenować.

– Filuj, Marek – powiedział – jak stawki skoczą najwyżej, Bakshi spłonie jak papierowa chusteczka.

Ten Bakshi był niezły, seryjnie, i już myślałem, że zejdzie z krakersa cały i zdrowy, kiedy moderator ogłosił, że przyłączyły się obwody wschodnioazjatyckie i zakłady wynoszą sto pięćdziesiąt do jednego, a potem jebnęło i z nowej gwiazdy swangu została tylko dziura w krakersie i słup dymu nad nią.

Grapo Wolinski nawet nie poczekał na replay, tylko powiedział:

– Wyczaj, kto tym razem zgarnął szmal.

Wstał i poszedł zadzwonić do kilku ludzi, Harpera, szefa Warsu, NBC i w kilka innych miejsc i nie ściemniam, że słuchanie go to był zarypiaszczy odlot, bo tylu pięknych wiązanek nie słyszałem nigdy wcześniej i chyba już nie usłyszę. Dziwne, że żaden z tych ważniaków nie jebnął słuchawką, nawet pan Harper. Już kablówka pokazywała zwycięzcę, niezłą laskę, czarną jak smoła – znaczy włosy, bo w ogóle to biała, to chyba jasne. Nazywała się Kelly Spiridio i nawijała, że za tych dwanaście milionów kupi tatusiowi fermę drobiu, a sama sobie nic nie zostawi, tylko że spełni swoje marzenie z dzieciństwa i kupi sobie cyberlalkę, która raczkuje, gaworzy, a w nocy płacze.

Gapię się na nią i sobie mówię, kurde, tę laskę chyba znam, na pewno ją gdzieś... ale gdzie?

Potem zacząłem, że ją znam z poprawczaka i że kilka razy nawet się bzyknęliśmy na jakichś melanzach, jakie tam bywają.

Sytuacja rozwijała się pomyślnie.

Nie powiedzieliśmy panu Rowderowi, że znam Kelly, i zacząłem śledztwo na własną rękę. Po śmierci Bakshiego w Warsie się zagotowało, obrócili się jak chorągiewka i udawali, że stoją po naszej stronie. Kablówka też zmądrzała. NBC nakręciła program o Grapo. W studiu zainstalowaliśmy naszego treningowego krakersa z symulatorem i pokazaliśmy, jak Grapo przygotowuje się do Filadelfii i jak w niego ładuję podczas treningu. To był niezły odlot, bo technicy wymyślili nowy trick i ciosy były teraz widoczne i każdy się gapił, jak wyładowania spadają z elektrody nad krakersem, znoszą się nawzajem i łączą się w coraz silniejsze wiązki, w każdej było dziesięć tysięcy wolt, tylko tu i ówdzie nad krakersem sterczał sznurek cienki jak ołówek. Czasami Grapo ocierał się o któryś i widzieliśmy, jak wyładowanie rozlewa się po jego ciele, reżyser puszczał to znowu na slow motion, małe błyskawice pełzały po skórze jak węże, wgryzały się w nerwy i pory Grapo, reżyser robił zbliżenie i miliony widzów tylko lukały, jak te węże żarły mięso Wolinskiego, ale on to olewał i tańczył dalej, węże mu wlażyły pod skórę i do mięśni i do mózgu a on się ciągle

śmiał, te jego długie kulasy unosiły się nad krakersem, a potem zrobił perfekcyjnego Rockymounta, depnąłem wtedy reostat do dechy, wiązki śmiertelnie błysnęły a Grapo tańczył między nimi z podniesioną głową i z bananem na twarzy.

Nie wiem, jak to wyglądało na plazmach, ale w studiu wszyscy darli mordy z zachwytu, padali sobie w objęcia i nawijali longiem, że to najlepszy program w dziejach kablówki.

Posadzili Grapo w fotelu, pot łał się z niego i moczył tę delikatną sierść na kłacie, dziennikarz, sam słynny A. A. Doctor Smithson zadawał mu pytania, Grapo się szczyrzył i radził widzom, jak obstawiać, jakie ciosy, gdzie i w której chwili, i w ogóle, jak to załatwić, żeby gracz zastawił sidła i wrzucił swangarzowi choćby pięćdziesiąt milionów wolt. Mówił cicho i kłął tylko wtedy, kiedy to było konieczne.

– Czemu pan nam to opowiada, Grapo? – spytał A. A. Doctor Smithson. – Nie boi się pan, że widzowie skorzystają z pańskich rad podczas show w Filadelfii?

– Czy się boję? – spytał Grapo brechtając się jak prawdziwy świr. – Boję, ale ja jestem najlepszym swangarzem i wyjdę cało z każdej jatki.

– Andy Nepeta też tak myślał – zauważył A. A. Doctor Smithson. – A Ralph Bakshi na pewno nie wszedłby na krakersa, gdyby wiedział, co go tam czeka.

W tym momencie Grapo przestał się uśmiechać i twardo spojrzał w kamery. Reżyser zrobił zbliżenie i ludziska mieli Grapo w domu jak żywego, plastycznego, błyszczącego od potu.

– Oskarżam Lilian Bettson i Kelly Spiridio o świadomy współudział w planowanym zabójstwie. Oskarżam wszystkich, którzy są zaangażowani w te akty przemocy, o spisek przeciwko życiu obywatela Stanów Zjednoczonych. Przysięgam, że do czasu show w Filadelfii odkryję spisek, przekażę winowajców organom ścigania i wystąpię przed widzami bez obaw, a teraz ich wzywam, by nie wahali się użyć wszystkiego tego, czego ich dzisiaj nauczyłem.

To był zajebisty wieczór, powaga. W studiu wszyscy się najarali, dymu z trawki było tyle, że nawet kamery odleciały. Wpadła na chwilę Paula, ta nowa śpiewaczka. Fajna laska, ale na mój gust za młoda, bo ma coś koło dziesięciu lat. Słyszałem ją parę razy, ale nie wiem, co te szczyły w niej widzą. Ma komiczną wymowę. Ten hit, który na pewno czaicie, co się zaczyna „Wola istnienia, moc przenoszenia”, śpiewa „Wolaj snienia, mocze noszenia”, sami widzicie, jaki obciach. Ale laska była z niej niezła i wszyscy bili brawo, kiedy usiadła Grapo na kolanach i cieszyli się, jak się lansuje. Nawet dyrektor programowy NBC osobiście przyszedł i obiecał, że pójdzie Grapo na rękę i że mu życzy, żeby zrobił z tym burdelem porządek.

– Tesz czyczę – krzyczała Paula i wszyscy się uchachali.

Tylko stary Harper się wkurzał, to chyba jasne.

Zakazał Grapowi umieszczania napisu Harper na krakersie i wszystkim spółkom telewizyjnym i portalom zagroził, że zabierze im reklamę, jeśli nie staną przeciwko Grapowi.

Giełda się zatrzęsła a „Wall Street Journal” wydrukował wstępniak o „krakersowej wojnie”. Ale trafiła kosa na kamień. Jak tylko Harper ograniczył reklamy, wśliznęła się nowa firma Bago Bajo z kripsami, nowymi snackami, i wszyscy zaczęli się nimi zażerać a Paula zaśpiewała hit „stare grzyby nic nie czaaaajo, bo nie jedzoo Bago Baaajo”. Niewiele było trzeba, a Harper poszedł w odstawkę, inicjały BB były na ścianach domów, świeciły na niebie i fosforyzowały na dnie morza. Grapo Wolinski trenował, a ja znalazłem Kelly Spiridio.

W sumie to było tak: Kelly Spiridio znalazła mnie.

Obudziła mnie telefonem o trzeciej w nocy.

– Siema, Marek, tu Kelly.

Nie wpadłem na to, że to ta sama Kelly, której szukam.

Wszędzie zarzuciłem sieci i wtopiłem niezły szmal, żeby ją odnaleźć i już załapałem doła, a tu ona sama dzwoni, że niby siema. No to siema, czemu nie.

– Mówią, że szukasz mnie i Lilian Bettson.

– No – powiedziałem. O trzeciej w nocy na nic mądrzejszego mnie nie było stać.

– Lilian nie żyje. Zabili ją. A ja się boję, Marek!

– Skąd dzwonicz?

– Znasz Diamond Mansion?

Miałem wrażenie, jakbym stał na krakersie i dostał taki sam cios, jaki spalił Nepetę. Diamond Mansion to ta nędzna buda, gdzie mieszka Harper.

– Co tam robisz?

– Zabawiam starego Harpera. Kończę... już muszę. Marek, przyjeżdżaj! Natychmiast!

Rozłączyła się, może ktoś ją nakrył.

Obudziłem Grapo i naszych ochroniarzy, narzuciliśmy ciuchy na gołe ciała, bodygardzi wzięli gnaty i po chwili nasz rolls royce gnał przez ulice, w srebrnych gwiazdach odbijały się neony, knajpy były jeszcze otwarte, a z klubów dochodził głos Pauli śpiewającej „stare grzyby nic nie czaaaajo, bo nie jedzoo Bago Baaajo”, widać laska już się wylansowała.

– Ta Paula zaczyna mnie wkurzać – powiedziałem, byle coś powiedzieć.

– Mnie bardziej wkurza to mango jango – powiedział jeden z obstawy. – Zaczyna być na topie. Ale te szczyle na to mówią moongo joongo.

– Jakie szczyle?

– No te, co słuchają piosenek Pauli i wpięprzają Bago Bajo.

– Co tam – powiedział drugi ochroniarz – olewka, Paulę kupują tylko te gnojki poniżej dziesiątki. Gówniażeria.

– Mango jango? – nie czaiłem. Bez ścierny, wtedy naprawdę nie wiedziałem.

– Totalna masakra – odezwał się Grapo Wolinski. – Wymyślili to w Nowym Orleanie. Ring, a na nim las stalowych belek, ostrych jak brzytwa, wszystkie w rotacji. Widzowie mają podobne konsole jak do swangu, ruszają joystickami i sterują tymi belkami, rotacją i kierunkiem ruchu. A pomiędzy nimi koleś na rolkach, który musi dotrzeć do takich świateł,

które się zapalają na zmianę, jak chcą widzowie. Żółte światło to mango, czerwone jango, stąd ta nazwa. Kilku kolesi już się na tym przejechało. Belki pocięły ich na plasterki salami.

– W dupę jeża – powiedziałem – że też kogoś rajcują takie jatki.

– Mówią, że stoi za tym Bago Bajo – dodał Grapo z dziwną miną.

Durny ochroniarz rzucił:

– Powinieneś się nauczyć jeździć na rolkach, Grapo – to oczywiście Grapem jebnęło i kto wie, co by się stało, ale już dojechaliśmy do Diamond Mansion, zahamowałem i mówię, że szanowni państwo, jesteśmy na miejscu, i co dalej?

– Dobre pytanie – odpowiedział Grapo. – Jakoś mi to nie pasi. Pachnie wtopą. Coś wam powiem. Tak kumam, że za tymi morderstwami stoi pan Harper. Tak to czaję od początku, a jak zadzwoniła ta laska, jestem tego pewny.

– Dorwiemy go i pokroimy na kawałki – zaproponował ten durny ochroniarz, który przed chwilą o mało nie dostał wpierdolu za głupie gadki o rolkach i mango jango.

Diamond Mansion wyglądało jak chałupa, z której wszyscy się wyprowadzili albo jeszcze nie wprowadzili. Było masakrycznie monstrualne, zwłaszcza że nic się tam nie działo, i za kamiennym murem wyglądało jak jakaś twierdza albo góra, albo co.

– Shit – powiedział Grapo Wolinski po krótkim namyśle. – Jeśli to zasadzka, wpakowaliśmy się w gówno, które przyszykował nam pan Harper.

– To mamy pękać tylko dlatego, że tu śmierdzi? Nie wiem jak ty, ale dla mnie od początku było jasne, że wycieczka do Diamond Mansion to nie spacer po różanym ogrodzie – powiedziałem.

– Za dużo gadasz, a za mało czaisz – zbył mnie Grapo. Coś szykował, ale nie potrafiłem skumać, co. To pod adresem tych, którzy teraz gadają o swangarzach, że byli kretynami. Grapo był świrem, ale też cwaniakiem na maksa.

– Ta laska dzwoniła do ciebie. To jasne, że to ty pójdziesz po nią do Diamond Mansion.

– Sam? Chyba cię pojebało! Harper mnie połknie na kolację.

– Życz mu ode mnie smacznego – powiedział Grapo.

Chyba kumacie, że nie chciało mi się wysiadać z rollsa. W takiej bryce jest ślicznie jak w salonie, a tam na dworze mogło się skończyć wtopą. Ale jak Grapo wbił sobie coś do czachy, nie było rady.

Brama była niedomknięta, wystarczyło pchnąć i się otworzyła. Obejrzałem się. Rolls stał, różowiotki, połyskiwały na nim gwiazdy i nocne niebo zaczęło go naśladować i też założyło różowe ciuchy, zwłaszcza na wschodzie, gdzie wspinało się pod górkę stare styране słońce. Głęboko wciągnąłem powietrze. Z parku dobiegał zapach magnolii, a skądś smród trawki, o mało nie odleciałem. Tuż za bramą była portiernia, gdzie na krześle z otwartą gębą kimał portier nawalony jak stodoła i chrapał tak, że się budził. Wiercił się i cmokał, żeby uciszyć samego siebie.

Wmaszerowałem po głównej alei i wtedy obudziły się ptaki i zaczęły się drzeć jak opętane. Centralnie złapałem cykora, chciałem nawiewać, ale te ptaki chyba obudziły się tak po prostu, bo tak miały ustawiony timer, tak to już jest z ptakami.

To było wejście smoka, nie zalewam. Nigdzie żywej duszy, o ile nie liczyć tego miliona drożdów i skowronków czy cholera wie co się wydzierało w tej różowej ciemności. Na schodach do domu siedział ochroniarz z gnatem przy pasie, też naćpany tak, że prawie schodził. Rajcowało mnie to jak psa stokrotki. Pan Harper to przecież nie żaden oszołom i nie pozwoliłby sobie na zaćpaną ochronę. Więc jeśli ktoś tu ćpał, to dlatego, że pan Harper sobie tego życzył. Ta myśl bynajmniej mnie nie pocieszyła. Pomyślałem o Grapo i dopiero teraz mnie olśniło, że mój sławny kumpel zrobił ze mnie owieczkę ofiarną, i o mało się nie rozryczałem. Miałem ochotę wrócić, ale Grapo nasłałby na mnie swoich ochroniarzy i byłbym u niego skończony. A jeśli pójdę dalej, mam przynajmniej jakąś szansę. Chyba.

Była to tak prosta droga, jak tylko można sobie wyobrazić. Aż dziw, że na ziemi nie było strzałek z napisem „Tędy proszę”, jak w hotelu strzałki do kibla. Szedłem przez korytarz, z obu stron sterczały wysokie, białe drzwi z małymi mosiężnymi klamkami na wysokości brody. Nigdy nie zrozumieję, dlaczego w wypasionych chatach klamki montują albo wysoko, albo bardzo nisko, a nigdy normalnie.

Drzwi w końcu korytarza były otwarte i za nimi znalazłem schody do piwnicy, oświetlone LED-ami. Jeden z paneli śmierdział i trzeszczał i jasne było, że za chwilę padnie. To raczej dowód upadku władzy Harpera, obok tych naćpanych strażników. Trochę mnie to uspokoiło, bo niemal uwierzyłem, że ci dwaj ochroniarze nawalili się na rozkaz Harpera.

Na dole mnie wmurowało, bo zobaczyłem olbrzymią salę z żółtym krakersem pośrodku i z wielkim Kołem Muzofortuny. Doskonała hala, tak samo dobra, jak w Filadelfii.

Kelly Spiridio leżała na krakersie, dokładniej ujmując na skraju krakersa, w piersi miała wbitą kosę, tak wielką, że mogłaby słoniowi robić za brzytwę.

Wzdrygnąłem się, ale nie tak bardzo, jak myślicie. W sumie tego się spodziewałem i raczej byłby zaskok, gdyby ta biedna Kelly tam nie leżała. I jak się na nią tak gapiłem, coś mi zaczęło we łbie świtać.

W młodości nie byłem zbyt grzeczny i tu i ówdzie parę trupów widziałem i mogę przyznać, a co tam, i tak nikt mi nie udowodni, że nawet osobiście parę razy zrobiłem ten trik, który zamienia żywego w martwego. I w sprawie trupów trochę czaję. A taki trup to dziwna rzecz. Nie jest zbyt coolerski no i śmierdzi, bo jak zaczyna być naprawdę gorąco, ten żywy, z którego za chwilę będzie martwy, zazwyczaj się zesra i wszystko po nim cieknie, możecie spytać kogoś, kto się zna, ale on wam też raczej tego nie powie, bo o takich rzeczach ludziska niechętnie gadają.

Ale Kelly była ładnym trupem.

Jak wymalowana. Jak prosto ze spa. Jak barbie.

Już chciałem do niej podejść, żeby zerknąć, jak to naprawdę wygląda, kiedy nagle odpaliły jakieś maszyny. Agregaty chłodzące czy co, ruszyło Koło Muzofortuny, a pośrodku krakersa pojawił się Grapo Wolinski.

Wyglądał tak samo mało żywo jak Kelly Spiridio martwa. To była raczej karykatura, holograficzny obraz, plastyczna wideokukła. Ale swangował bezbłędnie, z każdą chwilą coraz lepiej. Zapaliło się za mną rubinowe światło – promień lasera. Wbił się w Koło Muzofortuny i muzyka hulała, holo-Grapo swangował, jakby nie widział trupa, no po prostu show dla bogów.

– Stop! Wszystko stop! – ktoś krzyknął i po głosie poznałem pana Langeya. – Wolinski nie przyszedł. Wysłał kierowcę.

Do sali wpadł pan Harper bluzgając tak, że gdybym był grzeczną panienką, załapałbym cegłę.

– Co z nim zrobimy? – spytał pan Langey.

– Wykopiemy go stąd i tyle.

– Podejrzewam, panie Harper – zaczął pan Langey ostrożnie, ale w tym momencie do pana Harpera podeszła laseczka w szlafroku i miauknęła:

– Obiecywałeś niezły melanz, a tu kicha, kociaczku.

Rozpoznałem Lilian Bettson z Denver. Kelly musiała być blisko! A kiedy Lilian zauważyła tego niby-trupa, opadła jej szczeka, zaczęła się brechtac i stwierdziła, że Kelly odleci, kiedy to zobaczy.

W tej chwili wszystko zajarzyłem. Chyba powinienem był trzymać gębę na kłódkę, ale się wkurwiłem. Zacząłem nawijać:

– Panie Harper, najlepiej będzie, jak mnie pan puści wolno, bo nie jestem idiotą i widzę, co tu jest grane. To symulator nowej generacji, i niech mnie pojebie, ale ten pieprzony laser czyta Koło Muzofortuny jak ja napis na wagonie metra. To tym sprzętem pan załatwił Andy’ego Nepetę i Ralpa Bakshi. A teraz układa pan program na Filadelfię? Co?

– Dokładnie tak, młody człowieku – powiedział pan Harper.

– Gdyby Grapo to zobaczył, zrobiłby tu zadymę, a pana posiekał na plasterki!

– Niewątpliwie by spróbował – przytaknął pan Harper a Lilian przycisnęła się do niego biodrem, żeby widział, że do niego należy, i luzacko powiedziała:

– I właśnie o to chodzi, matole, o to chodzi, żeby twój Grapo po raz ostatni porządnie dał czadu.

– Zamknij się, głupia dziwko! – wrzasnął pan Harper.

Pan Langey westchnął.

– Panno Lilian, pani prostolinijność...

– Zostawcie ją, to moja sprawa – warknął nerwowo pan Harper. Nieźle mi buzowało pod czajnikiem. To chyba jasne! Ta świnią Harper chciała sprowokować Grapo do skandalu, może nawet do przemocy. Grapo, cwaniak, wyczył to i wysłał mnie do środka nie dlatego, że

skrewił. Wiedział, że pan Harper mnie olewa i że w Diamond Mansion nie może mi się stać!

– Spadaj – powiedział pan Harper.

Zacisnąłem zęby, żeby się nie odciąć, odwróciłem się na pięcie i wyszedłem. Na schodach spotkałem Kelly Spiridio z oczyma jak ćwierćdolarówki. Minęła mnie, jakbym był bałwanem przeznaczonym do eksportu na Saharę.

Przez korytarze szedłem szybko, a na dworze już biegłem. Przy portierni odwróciłem się i wrzasnąłem na fasadę budynku, błyszczącą w świeżo upieczonym słońcu:

– Teraz wszystko powiem Grapo a on wam spuści taki łomot, że się posracie!

Cieszyłem się i najchętniej bym wleciał w górę do trznadli na korony tych starych milionerskich więzów, żeby sobie z nimi pośpiewać. Ale musiałem jak najszybciej wszystko wyśpiewać Grapo.

Przed bramą stanąłem wryty jak łyżka w gęstej śmietanie. Rolls był w chuju, tym samym Grapo był w chuju.

No i, jak się wkrótce okazało, ja również.

Do rezydencji dotarłem po dwóch godzinach i zastałem tam jakichś obcych koleś, którzy mnie wywalili z oczywistością pokojówki wyganiającej mola. Mówili, że dom zmienił właściciela. Na piechotę dotarłem do stacji benzynowej, skąd sprzedawca pozwolił mi zadzwonić. W agencji mi powiedzieli, że pan Wolinski wypowiedział umowę i działa na własną rękę. W kablówce nie chcieli mnie połączyć nawet ze strażą pożarną, a ja oczywiście nie znałem kodów VIP-ów, którzy mogli coś o Grapo wiedzieć. Numeru pana Rowdera nie miałem. Już w tym momencie powinno do mnie dotrzeć to, co dotarło do mnie pod wieczór, po męczących poszukiwaniach: Grapo zniknął wraz z różowym rolls royceem i wszystkimi gwiazdkami na jego masce.

Zniknął, a ja musiałem go znaleźć, żeby mu powiedzieć, co wykumał pan Harper za pomocą sprzętu, który sobie zainstalował w piwnicy Diamond Mansion.

Sprzedalem zegarek z dostępem do kablówki i platynowy łańcuszek identyfikacyjny no i seksiorke i miałem na dwa miesiące poszukiwać.

Uczepiłem się pana Rowdera, szefa tej agencji detektywistycznej, która dla Grapo szukała Lilian Bettson. Połowa szmalu poszła na to, żeby pana Rowdera ściągnąć do telefonu. Wyśpiewałem, co wiedziałem, i wiecie, co mi Rowder powiedział?

– Moja agencja absolutnie nie jest panem zainteresowana.

Tak powiedział i się rozłączył.

W pewnym barze na przedmieściach przypadkiem spotkałem jednego dziennikarza. Znałem go z lepszych czasów, kurde, przecież lepsze czasy były pięć dni temu! Postawił mi parę drinków, a ja przez cały wieczór mu opowiadałem, jak wszystko się popieprzyło i niemal na kolanach go błagałem, żeby mi pomógł odnaleźć Grapo. Obiecał mi i umówiliśmy się na następny wieczór.

Przyszedł punktualnie, dziennikarze zazwyczaj się nie spóźniają, ale już z daleka widziałem po jego minie, że mam przerąbane.

– Marek, przyszedłem tylko dlatego, że obiecałem – powiedział. – Ale poza tym mogę ci powiedzieć tylko tyle, że to wszystko wielka ściema.

– Panie Alex, seryjnie, ja nie zalewam!

On się nazywał Alex, ten dziennikarz, zapomniałem o tym powiedzieć.

– Grapo Wolinski wystąpi w Filadelfii i wywiąże się z umowy – powiedział dobitnie. – Nie wypadł ze stawki. Tylko na chwilę wyjechał, żeby go ludzie nie męczyli, i trenuje. Byłem nawet u Harpera. Wziął mnie do piwnicy. Ma tam krakersa, jasne, skoro jest sponsorem tego całego cyrku, ale nie widziałem żadnego laserowego sprzętu, a rozglądałem się uważnie.

– Przeniósł go gdzieś indziej! – wrzasnąłem tak, że ludziska na ulicy się obejrżeli. – Wie pan, ile pan Harper ma takich willi i rezydencji?

– Marek, to bajka na mój gust zbyt skomplikowana – powiedział Alex patrząc na mnie ze współczuciem. – Żal mi cię, chłopie, ale na podstawie tego, czego się dowiedziałem, straciłeś zaufanie Grapo. I weź to sobie do serca. Dla niego jesteś skończony.

Postawił mi jeszcze dwie kolejki i zostawił mnie tam, przy barze, i nawet się nie obejrzał wychodząc.

Nie miałem już prawie żadnej kasy, splukałem się błyskawicznie, łapówki i rozmowy w roamingu i ten cały bajzel kosztowały mnie majątek. Za ostatnie grosze pojechałem do Diamond Mansion. Zrobiłem zadymę na portierni, lutnołem tego i owego i w ten sposób zgarnęły mnie gliny i zapudłowały za włóczęgostwo i awantury. Sędzia wlepił mi dwa miesiące do pół roku i kiedy ogłaszał ten wyrok, ryczałem.

Jak mam dotrzeć do Grapo Wolinskiego, żeby go ostrzec, skoro siedzę w pierdłu?

Mniejsza o mnie, za pół roku wyjdę, ale wtedy Grapo już od trzech miesięcy z kawałkiem będzie trupem i nie zostanie po nim nawet pyłek, żeby go wsadzić do urny. Ten sprzęt Harpera hula bezbłędnie, już dwa razy sprawdził się w akcji.

Czaicie, jak w tym pudle wszystkim włożyłem w dupę? Kolesie prawie mnie za to zajebali, ale wiedzieli, kim jestem, aż trafiłem do bossa więziennej mafii, a on mi skminił rozmowę z naczelnikiem. Nie myślcie, dobrzy ludzie znajdują się wszędzie.

Uważnie wysłuchał, co miałem mu do powiedzenia.

– W sumie akta masz na razie czyste – powiedział łagodnie. – Chcę ci pomóc. Wyślę cię do Filadelfii na ten show. Ale pojedzie z tobą kurator. W końcu poruszam się w granicach prawa określonych przez sąd – dodał raczej do siebie, żeby uspokoić sumienie. Bóg wie, gdzie przychodzą na świat naczelnicy pierdli, ale sumienie pewno działa u nich jak kocioł parowy. Czasami...

Miesiąc przed show Grapo pojawił się w kablówce. Niemal wrzasnąłem, kiedy miałem go w celi jak żywego, plastycznego tak, że niemal można go było dotknąć.

– Swang nie umarł – powiedział dziennikarzowi. – Mango jango długo nie pożyje. To brutalna zabawa, działająca na najniższe instynkty młodszych grup widzów. Ale mówię panu, jak tylko szczyły z czasem trochę zmądrzeją, te jatki wyjdą im bokiem i wrócą do starego, dobrego swangu. Żeby było jasne, swang to sztuka, która potrzebuje inspiracji! Potrzebuje jej swangarz na krakersie i widz w domu w fotelu, kiedy obstawia zawody.

No, szacun dla Grapo.

Pojawiał się w niusach kablówki coraz częściej. Dziennikarze mówili, że trenuje w tajnym miejscu i że jest w życiowej formie. Podczas show widzowie zobaczą niespodziankę i będzie to swang, jakiego jeszcze nie było.

Słuchałem tej nawijki myśląc o masakrycznym promieniu lasera, liżącym Koło Muzofortuny, i o tym sprzęcie, który sobie zrobił własnego Grapo Wolinskiego i ćwiczy z takim uporem, jak potrafi tylko maszyna, żeby go w jednej chwili spalić i rozprzycz molekuły jego ciała po wszystkich kątach krakersa.

Dzień przed show wyfasowałem cywila i z kuratorem, czarnym, napakowanym, co się nazywał Riff Moore, pojechaliśmy ekspresem do Filadelfii.

Mieliśmy dobre miejsca w hali, gdzieś pośrodku głównej trybuny. Ugadałem kuratora Riffa, żeby poszedł ze mną do szatni. Fuknął, ale poszedł. Szatni pilnowała zupełnie nowa ekipa, nie znałem żadnego z koleś. Może nawet udałoby mi się ich zbajerować, ale Riff mnie odciągnął i zagroził, że jak się nie uspokoję, natychmiast wracamy do pudła. Było jasne, że trudno będzie się z nim dogadać.

Kiedy wracaliśmy do hali czułem się, jak w betonowych trzewikach. Usiadłem i wbiłem wzrok w krakersa życząc sobie, żebym mógł jakoś zerwać połączenie między Filadelfią a piwnicą, w której siedzi teraz pan Harper przy swoim sprzęcie, widzi jednego krakersa przed sobą a drugiego, tego naszego, na swojej plazmie. Pod ręką ma sensor, pewno nie większy od tabletki aspiryny, i jak go dotknie, Grapo Wolinski się przekręci.

Wtedy nadszedł Grapo.

Kroczył przez salę, a ryk był tak potężny, że można go było kroić. Grapo kolebał się na nogach i jak tak szedł, ludzie milkli i gapili się jak zaczarowani na tę harmonię mięśni i kończyn. Gdyby szedł po pękającym pod nim lodzie, chybaby się uniósł w powietrze. Był w fantastycznej formie. Uśmiechał się i rozglądał po ludziach. Mnie też chyba przyuważył, ale nie dał po sobie nic poznać. Ależ miał wielką gębę! Wielką, ale piękną! Gdybym był laską... ale co tam będę nawijał. Powinniście byli go widzieć. Błękitne oczy świeciły pod tym balkonem, który miał tam, gdzie inni mają czoło, a pod tym nos, szeroki u nasady i śmiesznie zadarty. Całe szczęście, że miał ten balkon zamiast czoła, bo przy niekorzystnym wietrze deszcz wpadałby mu do nosa.

Adwokat Warsu zaczął coś pieprzyć, a wokół mnie wszyscy szeleścili i wtrząłali to nowe świństwo, o którym śpiewała Paula i nigdzie nie było napisu Masculine Force ani Krakery Harpera i zaczęło mnie to podkurwiać.

Show się zaczął.

Grapo wskoczył na krakersa i zamachał do widzów i techników na górze w szklanej reżyserce.

Wszyscy gapili się na Grapo, kurator Riff Moore też nie mógł od niego oderwać oczu i w tym momencie go lutnąłem.

Musiałem. Ten paker by mnie nie puścił do Grapo. Na pewno zmiażdżyłem mu kręgi szyjne, ale wszyscy miażdżyli Bogo Bajo i w tym chrupaniu nikt nie usłyszał jednego chrupnięcia niepozornych kręgów szyjnych.

Zacząłem przepychać się do przodu.

Ludzie chcieli mnie zjeść jak Bago Bajo, ale nie zapominajcie, że ja też kiedyś swangowałem i umiem się precyzyjnie przecisnąć przez bandę amatorów jak wiatr przez kraty. Ale nie szło mi to zbyt szybko, a show już się rozkręcił w najlepsze.

Grapo był zajebisty. Grapo był debeściak i nigdy już nie zobaczę niczego piękniejszego od jego swangu wtedy, w Filadelfii. Jeden cios za dolara i na krakersa sypały się miliony. A do tego odezwały się głośniki i moderator powiedział, że za zgodą Grapo Wolinskiego operator włączy chromowyładowania, czyli kolorowe elektryczne błyskawice, które zobaczą wszyscy widzowie w hali i w domu przed kablówką, ale dla swangarza pozostaną niewidzialne.

Ale dali czadu!

Było jak wtedy w studiu. Grapo znalazł się w lesie, a każde drzewo oznaczało śmierć. Każde drzewo żyło, kręciło się, zmieniało miejsce, wirowało, znikalo i znowu wyrastało z szybkością, jaką może rozwinąć tylko prąd i światło. Na tablicy wyskakiwały zakłady. Moderator ogłosił, że przyłączyła się Japonia i Ameryka Południowa i nie spodziewają się już dalszych obwodów, a zakłady przekroczyły bajeczną granicę dwustu do jednego, widziałem, że Grapo się koncentruje, i już był w powietrzu, a ja się darłem, bo szybciej niż inni wyczytałem, że to nie jest skok Rockymounta, że to wynalazł Grapo, to zupełnie nowa figura, to skok Wolinskiego!

Cała sala rozbłysnęła czerwienią i z sufitu jebnęła błyskawica gruba jak cysterna, ale Grapo nie był w tym kwadracie, do którego by trafił po zwykłym obrocie Rockymounta! Uśmiechał się z drugiej strony krakersa a potem zrobił rzecz, na jaką nie odważył się do tej pory żaden swangarz.

Zeskoczył z krakersa na ziemię.

To był ryk!

Zerwał w ten sposób umowę i w tym momencie tuziny adwokatów już śliniły ołówki, żeby napisać zaskarżenie, a firmy NBC i CBS i wszystkie inne pękały z wściekłości, za kilka dni Grapo Wolinski będzie żebrakiem, bo sądy go oskubią do suchej nitki za niewywiązanie się z umowy i pewno jeszcze go zapudłują!

Skorzystałem z okazji i przedarłem się do niego.

Zauważył mnie i wyszczerzył zębiska.

Pochylił się do mojego ucha, żebym go usłyszał, i powiedział:

– Daj se siana, Marek! To już nie dla ciebie!

Rzuciło się na mnie pięciu ochroniarzy. Wykręcili mi ręce w tył i odwlekli do pierwszych ławek.

Grapo machał rękoma, moderator też robił wszystko, żeby uciszyć halę. Ale do Grapo już podszedł elegancik, jeden z asystentów pana Rowdera, trzymając jakieś kwity. Podał je Grapo. Wszyscy wiedzieli, że Grapo właściwie nie potrafi czytać, i byli ciekawi, co z nimi zrobi, i milkli jeden za drugim, aż zapanowała cisza.

Grapo z powagą otworzył teczkę z papierami i luknął do niej. Czyżby się doszkolił?

– Ludziska! – krzyknął, a bezprzewodowe mikrofony przekazały jego głos do głośników. Dudnił pod stropem jak trąba sądu ostatecznego.

– Ludziska! Widzieliście wiązkę, która miała mnie rozdeptać jak pluskwę. To nie była zwykła wiązka. Nie trafił mnie nikt z was, ani nikt z państwa, drodzy widzowie kablówek!

Uniósł papiery nad głowę i ciągnął:

– Tutaj mam materiały dowodowe, które poświadczą prawdę przed każdym sądem. Podobnie jak Nepeta i Bakshi miałem zostać ofiarą zbrodniczego spisku. Gdybym się nie przygotował, na krakersie zobaczylibyście tylko dziurę i słup dymu. Ale ja byłem przygotowany!

Nawijał jak z książki. Na pewno do tego wystąpienia długo się przygotowywał, długo i z takim samym uporem, z jakim trenował swang!

– Powiem wam, że to miały być ostatnie zawody swangu. Swang miał ustąpić mango jango. Wszystko zostało ukartowane. Ten, kto to wszystko wymyślił, spisał swang na straty, tak samo jak krakersy i herbatę Masculine Force, bo przestało mu się to opłacać, i wymyślił mango jango i to świństwo Bago Bajo i...

Na widowni podniósł się szum. Na początku niemal niesłyszalny, ale narastał i zacząłem, co mi tu od samego początku nie pasowało. Rozejrzałem się wokół, na tyle, na ile mi ochroniarze pozwolili. To nie byli widzowie swangu! Byli młodsi i mieli inne facjaty. Nie potrafiłem w nich czytać, ale widziałem, że mają na nich wymalowaną nienawiść.

Huk w tym momencie zagłuszyłby nawet Niagarę. Ale to był dopiero początek.

Nie wiem, kto zaczął. Może stało się to przypadkiem, komuś coś wpadło do głowy a reszta się przyłączyła. Ale po kilku minutach cała hala skandowała:

– Chcemy mango jango! Chcemy mango jango! Chcemy mango jango!

Grapo Wolinskiemu uśmiech zamarł na ustach. Przycisnął kwity do piersi, ciągle błyszczącej od potu. Widziałem, jak włoski ocierają się o krawędzie kartek.

A potem:

– Grapo, stary dziad! Grapo, stary dziad!

To już nie mógł być przypadek. Ten slogan musiał ktoś wymyślić, nauczył go kilku szczyli, a oni porwali resztę.

Grapo spojrział na krakersa. W jego głębokich oczach coś błysnęło. Nie czailem, co jest grane, to błyszczało inaczej niż jego uśmiechnięte oczy!

Krakers rozbłysnął gęstwiną wyładowań elektrycznych. Waliły w żółty kwadrat w takim samym rytmie, w jakim darła się sala. Te wyładowania też skandowały „Grapo, stary dziad!” Jeden cios za dolara. Cały świat obstawiał ciosy, żeby ośmieszyć Grapo Wolinskiego.

Wtedy Grapo Wolinski uśmiechnął się po raz ostatni, znowu tak pięknie, jak zwykle, uśmiechem, za który kochały go miliony fanów na świecie. Patrzył na nas, może na mnie, i nie zauważył, że do sali wjechała grupa napakowanych dresiarzy na rolkach, a faceci w niebieskich kombinezonach wnosili ostre stalowe belki do mango jango. Pomachał, potem się odwrócił do krakersa i wolnym, luzackim krokiem wszedł do elektrycznego lasu śmierci, razem z tymi papierami.

– Bonus wieczoru! – krzyczał moderator. – Jeszcze dziś zobaczymy największe gwiazdy mango jango, a zanim chłopcy się przygotowują, Paula zaśpiewa nam swój najnowszy hit!

Głos Pauli, dochodzący skądś ze sprzętu, jęknął:

„Stare grzyby nic nie czaaaajo, bo nie jedzoo Bago Baaajo”.

Grapo Wolinski zniknął, a w miejscu, gdzie stał po raz ostatni, ziała w krakersie okrągła dziura i słup dymu nad nią unosił się jak bazaltowy pomnik.

To był jednak centralny świr, ten Grapo Wolinski.

Co się stało potem, kiedy znaleźli ciało mojego kuratora, nie potrafię opowiedzieć. Siedzę teraz w celi śmierci i kończę te notatki, żebyście wiedzieli, co to był swang, i byli na niego przygotowani, kiedy znowu wróci. Siedzę i zastanawiam się, co Grapo miał na myśli, kiedy kazał mi spadać, czy naprawdę mnie olewał, czy też nie chciał mnie w to wszystko wrabiać.

W jego przypadku wszystko było możliwe.

Czy w całym swangu był kiedykolwiek większy świr niż on?

Przełożyła Joanna Czaplinska

O autorze

Ondřej Neff (ur. 1945) czeski pisarz, syn bardzo znanego pisarza historycznego Vladimira Neffa, z wykształcenia dziennikarz. Po studiach pracował kilka lat jako fotografik, napisał dwie książki o fotografii. Tą drugą, obok pisania, pasją zajmuje się nadal, redagując internetowy magazyn fotograficzny „DigiNeff”.

Pierwszą książkę opublikował w 1978 roku krytyczną *Przedziwny świat Juliusza Verne*. Był redaktorem naczelnym czeskiego odpowiednika „Nowej Fantastyki”, czyli magazynu „Ikarie”.

W Polsce znany tylko z opowiadań, drukowanych w „Nowej Fantastyce”, „Problemach”, w nielicznych antologiach.

HARRY HARRISON

Skalny nurek

„Skalny nurek” z roku 1951 to pierwsze opowiadanie Harrisona. Pierwsze i, jak wielu sądzi, najlepsze. Jest tu i pomysł (nie kosmos, nie ocean, ale skorupa ziemska jako teren podboju) i wciągający dramat. To był bohaterski okres science fiction i Harrison doskonale się w niego wpisał. Niedawno czytałem znakomity reportaż o tym, jak się to robi dzisiaj. W ziemię opuszcza się setki sond na żadaną głębokość, „nurek” siedzi wygodnie w polowym laboratorium przed ekranem komputera i może poruszać się w głębi ziemi we wszystkich kierunkach, przy czym każdy rodzaj skały ma inną barwę. Podobno wrażenie jest niesamowite, doznania piękne, ale... opowiadania z tego nie będzie.

O przenikaniu w głąb Ziemi, tym razem w statku, pisał też później Barrington Bayley („Rejs po promieniu”).

Skalny nurek

Wicher przewalał się grzbietem wzgórza i wiał lodowatym strumieniem w dół zbocza szarpiąc brezentowym ubraniem Pete'a, siekąc go twardym jak stalowe opiłki lodowym pyłem. Pete schylił głowę i ciężko opierając się wichrowi szedł pod górę do granitowego grzebienia.

Zamarzał na śmierć. Nie ma takiej ilości ubrań, która by utrzymała człowieka przy życiu w temperaturze minus pięćdziesiąt stopni. Drętwota obejmowała mu ręce. Kiedy ocierał zmarznięty oddech z wąsów, nie czuł ich dotyku. Skórę miał zbielełą i błyszczącą w miejscach, gdzie owiewało ją powietrze Alaski.

– Taka moja praca. – Popękane wargi ułożyły się w cień uśmiechu. – Jeśli jacyś nierejestrowani nurkowie poszli dzisiaj za mną, to mocno zmarzną, nim wrócą.

Granitowy grzebień zasłaniał go, gdy ręką szukał wyłącznika przy pasie. W małym stalowym pudle zawieszonym na plecach rozległo się przesywające wycie coraz bardziej wzrastające w siłę. Świst wypuszczonego z butli tlenu ustał, gdy Pete zatrzasnął czołową płytkę hełmu. Wdrapał się na granitowy wierzchołek wystający spod zmarzniętego śniegu.

Był teraz narażony na pełne uderzenia wiatru, ale już go nie czuł, płatki śniegu mogły swobodnie przenikać przez jego ciało. Wolno wszedł w skałę. Czubek jego hełmu chwilę jeszcze wyglądał jak butelka wystająca z wody, potem skrył się pod śniegiem.

Pod ziemią było ciepłej. Wiatr i mróz zostały na powierzchni. Pete na chwilę stanął i otrząsnął z ubrania śnieg. Ostrożnie wyjął z torby latarkę ultraświatlną i zapalił ją. Snop światła, polaryzowany do jego własnej przenikającej masy częstotliwości, sięgnął przez warstwę otaczającej go ziemi jak przez mętną żelatynę.

Pete był skalnym nurkiem od jedenastu lat, ale po dziś dzień nie przestało go zdumiewać niewiarygodne otoczenie, w jakim się znajdował, gdy zszedł pod ziemię. Nie zastanawiał się wiele nad cudem penetratora. Po prostu instrument, dobry instrument, coś, co Pete mógł rozebrać i zreperować, jeśli zachodziła potrzeba. Najważniejsze jednak było to, co ten instrument mógł uczynić w otaczającym go świecie.

Płyta granitowa opuszczała się powoli w smutnym morzu czerwonej mgły. Mgła ta składała się z wapienia i innych skał ścielących się wszędzie w zamrożonych warstwach. Między nimi, jakby zawieszzone w powietrzu, znajdowały się granitowe bloki i inne minerały różnych kształtów. Pete ostrożnie uchylał głowę, aby nie uderzyć o nie.

Jeśli wstępne pomiary były bezbłędne, ten skalisty grzebień powinien zaprowadzić go do poszukiwanej żyły. Pete od roku już badał strukturę geologiczną tych okolic i wreszcie trafił, jak miał nadzieję, na miejsce, z którego brała początek główna żyła poszukiwanej wody.

Szedł ciągle w dół, lekko pochylony do przodu, gdyż musiał prawie się przedzierać przez gęste ciasto wapnia. Mijały go skaliste fale podobne do silnego strumienia wody. Coraz trudniej mu było chodzić pod ziemią. Kryształ jego penetratora z dnia na dzień odchyłał się od optymalnej częstotliwości. Z coraz większym wysiłkiem przepychał atomy swojego ciała między atomami otaczającej go materii. Obrócił głowę i zamrugał parę razy, żeby dostroić wzrok do dwucalowego ekranu oscyloskopu umieszczonego w hełmie. Uśmiechnęła się do niego mała zielona twarz – wykres drgań na ekranie przypominał rząd wyszczerzonych, połamanych zębów.

Zacisnął szczęki widząc różnicę między właściwym pomiarem a wykresem na gładkiej powierzchni lampy oscyloskopowej. Jeśli kryształ wysiądzie, penetrator przestanie funkcjonować i Pete'a czeka lodowa śmierć na powierzchni albo jeszcze gorsza pod ziemią. Zostanie zaklęty w kamieniu na wieki jak mucha w bursztynie. I jak mucha stanie się częścią skały. Przypomniawszy sobie straszny koniec Miękkogłowego i zadygotał.

Miękkogłowy Samuels należał do starej gwardii zahartowanych skalnych nurków, którzy odkryli bogactwa mineralne pod wiecznymi śniegami Alaski. Miękkogłowy opuścił się pod ziemię dwieście jardów granitowym uskokiem i dosłownie wylądował na łonie jednego z najbogatszych pokładów Białej Sowy. Odkrycie to wywołało gorączkę 1963 roku. Żadne pieniądze hordy ruszyły na północ od Dawson, Miękkogłowy pojechał na południe z majątkiem. Wrócił po trzech latach mając zaledwie dość pieniędzy na bilet lotniczy w jedną stronę i bezgraniczną pogardę dla ludzkości.

Wrócił do gromadki starych przyjaciół, zadowolony, że może z nimi siedzieć dokoła polowego piecyka. Niewiele mówił o trzech latach spędzonych w cywilizowanym świecie i nikt mu zresztą nie zadawał żadnych pytań. Jedynym znakiem, że się zmienił podczas długiej nieobecności, było nerwowe przygryzanie cygara, kiedy do pokoju wszedł jakiś obcy. Północnoamerykańska Spółka Górnicza zaangażowała go do nowej brygady nurków i Miękkogłowy znowu zaczął wędrować po podziemnych przestrzeniach.

Któregoś dnia zszedł pod ziemię i więcej nie wyszedł. „Gdzieś o coś zaczepił” – mówiono, ale nikt nie wiedział na pewno, póki w roku 1971 nie natknął się na niego Pete.

Pete pamiętał tę chwilę, jakby to było dziś. Czuł się wtedy strasznie zmordowany i śpiący, gdyż przewędrował tego dnia szmat skały. I natknął się na Miękkogłowego. Miękkogłowy stał po wieczność zaklęty w piaskowcu. Twarz wykrzywił mu wyraz przerażenia, pochylał się chcąc złapać skrzynkę kontrolną. Przez straszliwy ułamek sekundy Miękkogłowy musiał wiedzieć, że coś się popsło w jego penetratorze, potem zamknęła się w nim i wokół niego skała. Od siedmiu lat stał już w tej pozycji, którą miał zajmować po wieczność, atomy jego ciała stopione z atomami otaczającej go skały.

Pete zaklął pod nosem. Jeśli w najbliższym czasie nie poszczęści mu się na tyle, żeby mógł sobie kupić nowy kryształ, stanie się również częścią bezczasowej galerii zaginionych nurków. Zbiornik tlenowy też był dziurawy, zasilacz mocy zdezelowany. Zniszczony kombinezon był już okazem muzealnym. Był połatany jak stara dętka samochodowa, a mimo to nie trzymał powietrza, jak powinien. Wystarczyło tylko się o coś mocniej uderzyć, jeden raz się uderzyć.

Światelko na hełmie odbiło się niebieskim promieniem od jakichś kryształów w ścianie. To mógł być ytt! Pete skręcił w lewo z granitowej ławy, jaką dotychczas szedł, i wstąpił w rzadszą warstwę piaskowca. Włączywszy ręczny neutralizator do skrzynki zasilania wziął do ręki spory kawałek minerału. Świecąca gałka neutralizatora wyrównała częstotliwość drgań trzymanej w ręku próbki do swojej własnej częstotliwości. Pete docisnął podobny do rybiego pyszczka otwór analizatora spektralnego do skały i nacisnął spust. Krótki gorący atomowy płomień wbił się w twardą powierzchnię rozpuszczając ją w mgnieniu oka w parę.

Z analizatora wysunął się języczek taśmy, z której Pete uważnie odczytał wykres spektrograficzny. Znowu się omylił: ani śladu znajomych linii yttrotantalitu. Zniechęconym ruchem schował do torby sprzęt probierczy i poszedł dalej gumiąstą skałą.

Yttrotantalit był rudą, a tantal metalem z niej wytapianym. Ten rzadki metal był głównym składnikiem piezoelektrycznych kryształów, które umożliwiały konstrukcję penetratorów wibracyjnych masy. Z yttu był tantal, z tantalu kryształy, kryształy sterowały wibratorami, wibratory były sercem penetratorów, których używało się w podziemnych wędrówkach poszukując yttu... Zamknięte koło. Obracająca się klatka, w której biega wiewiórka. Pete był tą wiewiórką, i w chwili obecnej bardzo nieszczęśliwą wiewiórką.

Ostrożnie pokręcił reostat penetratora zwiększając nieco moc obwodów. Oczywiście wyczerpywało to bardziej kryształ, ale umożliwiało łatwiejsze przenikanie przez galaretowatą skałę.

Myślami stale wracał do małego kryształka, od którego zależało jego życie. Była to cieniutka płytka podobna do kawałka zakopconego szkła, wypolerowana do odpowiedniej grubości z minimalną tolerancją. Kiedy przepuszczano przez nią prąd, drgała z częstotliwością, która umożliwiała jednej masie przesuwanie się między molekułami innej masy. To źródło nieuchwytnego drgania kontrolowało z kolei silniejsze obwody, które umożliwiały Petebwi i całemu jego wyposażeniu poruszanie się przez ziemię. Gdyby kryształ zawiódł, atomy jego ciała powróciłyby na płaszczyznę częstotliwości normalnego świata i stopiłyby się z atomami ziemi, przez które przechodził... Pete poruszył głową, jakby chciał otrząsnąć się z nieprzyjemnych myśli, i przyspieszył kroku idąc w dół po granitowej ławie.

Już od trzech godzin szedł przez tę oporną masę piaskowca i mięśnie nóg paliły go jak kawały rozżarzonego żelaza. Za parę minut będzie musiał zawrócić, jeśli ma sobie zostawić margines czasu. Ale od godziny napotykał na ślady yttu, i to coraz silniejsze. Główna żyła musiała być bardzo bogata – żeby ją wreszcie znaleźć!

Najwyższy czas ruszyć w powrotną drogę! Pete wziął ostatnią próbkę skały. Zaznaczył miejsce, na które trafił, i jutro dalej będzie szukał. Zapalił lampę testową i podstawił pod nią próbkę.

Spociał się nagle z wrażenia, serce zaczęło mu bić gwałtownie. Zamrugał nerwowo i jeszcze raz spojrzął. Znalazł ytt! Żyłki tantalu odcinały się ostro od jaśniejszych składników rudy. Ręka mu drżała, kiedy otwierał kieszeń na kolanie. Miał przy sobie porównawczą taśmę filmową z rejonu Białej Sowy, najbogatszego obozu na Alasce. Nie było najmniejszej wątpliwości! Znalazł rudę jeszcze bogatszą w tantal.

Z miękkiego woreczka wyjął dwa półszlachetne kryształy i delikatnie położył kryształ B w dziurze, którą zrobił wyjmując próbkę. Nikt nigdy nie znajdzie tego miejsca nie posiadając drugiej połowy tego samego kryształu doszlifowanego jak najdokładniej do tej samej ultrakrótkiej częstotliwości. Połówkę A kładło się do obwodu generatora sygnałów i wtedy połówka B odbijała echo tej samej częstotliwości, odbierane z kolei przez mikroodbiornik. W ten sposób kryształ jednocześnie zabezpieczał prawo Petea do odkrytej żyły i umożliwiał mu powrót w to samo miejsce.

Ostrożnie schował kryształ A w miękko wyściełane pudełeczko i ruszył w powrotną drogę pod górę granitowej ławy. Marsz był bardzo ciężki. Stary kryształ jego penetratora wykazywał olbrzymie odchylenie i Pete z trudnością przepychał się przez kleisty piaskowiec. Niemal odczuwał na sobie masę półmilonowej warstwy skał czających się, aby go na wieki uwięzić w swoim uścisku. Jedyne miejsce na powierzchni wiodła po granitowej ławie, która ukośnie prowadziła pod górę.

Kryształ jego penetratora był w ciągłym użytku już od pięciu godzin. Gdyby Pete mógł go tylko na chwilę wyłączyć, cała aparatura odpoczęłaby. Ręka mu drżała, kiedy poprawiał paski nośne stalowej skrzynki na plecach. Zwolnił kroku i podciągnął paski.

Przekręcił ręczny neutralizator na najwyższą moc i trzymał jarzący się drążek na odległość ramienia. Z czerwonej mgły wyłonił się nagle osiemnastostopowy gładz wapienia, dostrojony już do jego własnej częstotliwości. Gigantyczny gładz powoli się zapadł. Pete podszedł, wyłączył neutralizator, wstąpił w wapień... Rozległ się suchy trzask, kiedy molekule gładzu wtopiły się w otaczającą go skałę.

Pete znalazł się w sztucznej komorze i wyłączył penetrator.

Z szybkością, która nigdy nie przestawała go dziwić, mgliste otoczenie zamieniało się w twardą skałę. Światło umieszczone na helmie odbijało się od ścian komory – komory bez wyjścia, pół mili pod zmarzniętą ziemią Alaski.

Pete z uczuciem ulgi zdjął z pleców ciężką skrzynkę i rozprostował zmęczone mięśnie. Musiał oszczędzać tlen. Z tego też powodu wybrał to właśnie miejsce do odpoczynku. Sztuczna pieczara znajdowała się w żyłce RbO. Był to tani minerał powszechnego użytku. Nie

warto go było wydobywać tak daleko na północy. RbO to największy przyjaciel skalnych nurków.

Pete pogrzebał w plecaku szukając tlenownicy. Wyjął ją, na pasie zawiesił jej zasilacz. Elektrody tlenownicy wetknął w żyłę RbO. Mleczne światło rozświetlało pieczarę, odbijając się jaskrawo od płatków białego śniegu. To tlen wyzwolony przez tlenownicę padał na ziemię, po drodze parując. Komora otrzymała życiodajną atmosferę, dzięki której Pete mógł otworzyć przyłbicę hełmu i zabrać się do śniadania.

Ostrożnie pociągnął nosem. Powietrze było dobre, chociaż ciśnienie niskie – około dwunastu funtów na cal. Stężenie tlenu troszkę za wysokie. Zadowolony zachichotał jak pacjent na fotelu dentystycznym oszołomiony rozweselającym gazem. Bezgłośnie nucił, rozrywając opakowanie śniadania.

Zimną wodą z manierki popił niezbyt smaczne kanapki i uśmiechnął się na myśl o grubym soczystym befsztyku. Jego odkrycie zostanie sprawdzone i właścicielom kopalni oczy wyjdą na wierzch, kiedy przeczytają raport analityka. Oj, przyjdą do niego! Pełni godności, szczerzy, pokorniejący, a w wymanikiurowanych palcach będą trzymać kontrakty! A on sprzeda temu, który ofiaruje mu najwięcej. Sprzeda całą żyłę. Niech dla odmiany ktoś inny popracuje. Wyrównają teren nad granitowym grzebieniem, wielkie ciśnieniowe buldożery będą przeciskać się pod ziemią wożąc tam i z powrotem górników do podziemnych kopalń. Oparł się plecami o nierówną ścianę komory i skrzywił twarz w uśmiechu. Już widział siebie: jest wykąpany, ogolony, sam ma także wymanikiurowane dłonie, wchodzi właśnie do Klubu Górników...

Ponętny obraz zniknął, kiedy dwaj ludzie w wydętych kombinezonach nurków wyszli ze ściany. Sylwetki ich były przezroczyste, stopy za każdym krokiem zapadały się w ziemię. Obaj mężczyźni nagle wskoczyli w powietrzną bańkę i w locie wyłączyli swoje aparaty. Sylwetki ich przestały być przezroczyste, ciężko łupnęli o ziemię. Otworzyli ochronne płyty hełmów i wciągnęli w płuca powietrze.

Niższy uśmiechnął się.

– Ładnie tu pachnie, co, Mo?

Mo miał jakieś kłopoty ze zdjęciem hełmu, głos jego dobywał się przez fałdy materiału.

– Racja, Algie. – Wreszcie zdarł hełm szybkim ruchem.

Na ten widok rozszerzyły się oczy Pete'a, Algie uśmiechnął się nieprzyjemnym uśmiechem.

– Mo nie jest przystojny, ale można go z czasem polubić.

Mo był olbrzymem – miał z siedem stóp wzrostu, głowę jajowatą, ogolony był gładko, twarz błyszczała potem. Musiał już urodzić się taki brzydki, a lata nie poprawiły jego urody: spłaszczony nos, z jednego ucha został tylko strzęp, a górną wargę przecinała biała blizna, odsłaniając dwa żółte zębiska.

Pete powoli zamknął manierkę i schował ją do plecaka. Ci dwaj mogli być oczywiście porządnymi nurkami, ale nie wyglądali na takich.

– Czym wam mogę służyć? – spytał.

– Niczym, niczym, kolego – odpowiedział niższy. – Przechodziliśmy obok i zobaczyliśmy błysk tlenownicy. Pomyśleliśmy sobie, że to może któryś z naszych kolegów, więc podeszliśmy bliżej. Tak, w dzisiejszych czasach szukanie żyły to ciężka robota, co? – Mówiąc, rozglądał się po komorze i nic nie uchodziło jego uwagi.

Mo z jękiem usiadł pod ścianą.

– Macie rację – odparł Pete ostrożnie. – Od miesiący nie mam szczęścia. Wy tu od niedawna? Nie widziałem was w obozie?

Algie nie odpowiedział. Wzrok miał wlepiony w wypchaną próbkami torbę Petea.

Otworzył długi składany nóż.

– Co tam masz w tej torbie? – spytał.

– Niskoprocentową rudę, którą zabrałem przechodząc. Dam ją do zbadania, ale wątpię, żeby była coś warta. Pokażę wam.

Pete ruszył w stronę torby z próbkami. Przechodząc koło Algiego schylił się, szybko złapał trzonek noża i kolanem kopnął mocno niższego z dwóch przybyszów. Algie ciachnął nożem, ale Pete kantem dłoni uderzył go z całej siły w grdykę.

Nie czekając, aż Algie upadnie, rzucił się w stronę plecaka.

Jedną ręką wyciągnął z niego stary wojskowy pistolet, drugą złapał sygnałowy kryształ i podniósł okuty stalą but, by rozgnieść kryształ w proch.

Nie zdążył. Potężna dłoń chwyciła go w kostce zatrzymując w połowie ruchu. Usiłował obrócić się z rewolwerem, ale wielka dłoń złapała go w przegubie. Wrzasnął z bólu. Z pozbawionych czucia palców broń wypadła na ziemię.

Przez pięć minut wisiał głową w dół, podczas gdy Mo pertraktował z nieprzytomnym Algim, pytając go, co dalej robić. Algie wreszcie odzyskał świadomość, usiadł klnąc głośno i rozcierając szyję. Powiedział Mo, co robić i siedział dalej, uśmiechając się, póki Pete nie stracił przytomności.

Raz, dwa, jeszcze raz, jeszcze raz, głowa kiwała mu się śmiesznie w takt uderzeń, jakie obrywał. Nie mógł nic poradzić, nie mógł się bronić. Ich uderzenia wstrząsały całym jego ciałem. Gdzieś z bardzo daleka słyszał głos Algiego:

– Wystarczy, Mo, wystarczy. Już przytomnieje.

Pete wsparł się z wielkim wysiłkiem o ścianę komory i otarł krew przesłaniającą mu oczy.

Zobaczył przed sobą twarz niższego z dwóch mężczyzn.

– Mamy z tobą za dużo kłopotu. Weźmiemy twój kryształ i odszukamy twoją żyłę. Jeśli będzie taka dobra jak te próbki, co je tu masz, bardzo się ucieszymy. Wtedy zorganizujemy małą uroczystość, podczas której cię ukatrupimy. Jeśli nie znajdziemy żyły, też cię

ukatrupimy. I w jednym, i w drugim wypadku nie zapomnimy o tobie. Nie wiesz o tym, że nikomu jeszcze nie uszło płazem uderzenie Algiego?

Włączyli penetrator Pete'a i pół przenieśli, pół przeciągnęli go przez ścianę. W odległości dwudziestu stóp weszli w drugą komorę podziemną, znacznie większą niż poprzednia. Wypełniał ją prawie w całości stalowy korpus penetratora traktorowego.

Mo pchnął Petea na ziemię i jednym kopnięciem nogi rozwalił jego penetrator. Potem przeszedł przez ciało Petea i wsiadł na traktor. Algie włączył wielki agregat. Pete widział usta Algiego wykrzywione w niemy uśmiechu, kiedy podobna do wielkiego ducha maszyna ruszyła przed siebie i weszła w ścianę.

Pete obrócił się i przyjrzał szczątkom swojego penetratora. Nic z niego nie zostało. Skutecznie go załatwili. W podziemnym grobowcu nie było nic, co mogłoby uratować Petea. Nawet radio zostało w tamtej komorze. Gdyby je miał przy sobie, mógłby zawiadomić bazę wojskową i za dwadzieścia minut przybyłby tu patrol. Tak, ale między nim a radiem pozostawało dwadzieścia stóp skały.

Przez całą komorę przechodziła jasna żyła. Trzystopowa żyła RbO. Na pewno ta sama, która przechodziła i przez jego komorę.

Chwyił się za pas. Tlenownica ocalała! Przycisnął elektrody do żyły i przyglądał się srebrzystemu śniegowi, który zaczął padać. Pracował na całej szerokości żyły, na ziemię padały kawałki rozsadzonej rudy. Jeśli zasilanie tlenownicy wytrzyma, jeśli tylko tamci dwaj nie wrócą za wcześnie...!

Z każdym błyskiem tlenownicy odpadało na bok więcej odłamków. Akumulatory potrzebowały 3,7 sekundy na ponowne naładowanie. I potem nowy błysk. Pete pracował z pasją, lewą ręką odsuwając za siebie odłamki.

Natarcie elektrodami prawą ręką, odepchnięcie odłamków lewą, natarcie i odepchnięcie, natarcie i odepchnięcie. Śmiał się i płakał jednocześnie, gorące łzy spływały mu po policzkach. Zapomniał, że wyzwała olbrzymie ilości tlenu. Ściany kołysały się dookoła niego jak pijane.

Zatrzymał się na chwilę, aby zamknąć hełm. Spojrzał raz za siebie, w wykopany tunel. Potem znowu zabrał się do roboty. Rozwalał oporną skałę, pokonując zawroty głowy, leżał na boku wypychając za siebie odłamki skały i ubijając je stopami.

Znajdował się teraz zamknięty w maleńkim korytarzyku głęboko pod ziemią. Niemal czuł wagę półmilowego płatu skały wyduszającego mu oddech z płuc. Gdyby tlenownica go zawiodła, zostałby gnijąc we własnoręcznie wygrzebanym grobie. Starał się o tym nie myśleć i skoncentrować wyłącznie na celu.

Czas stanął, Pete przebijał się przez wieczność wysiłku. Ramiona jego pracowały jak ramiona tłoków, a pokrwawione palce odrzucały rozwalone kawałki skały.

Parę sekund odpoczywał, wciągając łapczywie powietrze. Osłabiona już ścianka pękła i odskoczyła z hałasem. Powietrze świsnęło przez poszarpaną krawędź powstałego otworu: wyrównało się ciśnienie w obu komorach. Zwyciężył!

Słabo już pracującą tlenownicą powiększał właśnie otwór, kiedy przed nosem pojawiły mu się czyjeś nogi. Z niskiego sklepienia wyjrzała skręcona w złym grymasie twarz Algiego, który nie miał tu jednak miejsca, by się cały wcisnąć i wyłączyć penetrator. Potężny Algie mógł tylko wymachiwać pięścią przed twarzą Petea.

Z tyłu doszedł Petea łoskot rozgarniania kamieni. To przepychał się Mo. Pete nie mógł się obrócić i walczyć, ale zdążył kopnąć wielkoluda w bezkształtny nos, nim ten złapał go za nogi.

Potem Pete został wyciągnięty jak dziecko z wykopanego przez siebie korytarza i rzucony w kąt wielkiej komory. Pete ciężko oddychał. Był tak blisko zwycięstwa!

Algie pochylił się nad nim.

– Jesteś za chytry. Teraz cię zabiję, żebyś nie sprawiał mi więcej kłopotu.

Wyciągnął z kieszeni skradzioną Petebwi jedenastkę, zarepetował.

– Aha, przy okazji: znaleźliśmy twoją żyłę. Wzbogacimy się na niej jak jasna cholera. Jesteś zadowolony?

Algie nacisnął jęczyczek spustu i Pete poczuł uderzenie w udo. Mały człowieczek stał nad Pete'em wykrzywiając twarz w uśmiechu.

– Wpakuję ci te wszystkie pociski tam, gdzie od razu cię nie zabiją. Nie od razu. Jesteś gotowy na następny?

Pete podciągnął się na łokciu i dłonią pchnął lufę pistoletu. Algie jeszcze szerzej się uśmiechnął.

– Świetnie, chcesz ręką zatrzymać kulę?

Nacisnął spust, pistolet odskoczył. Na twarzy Algiego pojawił się wyraz zdumienia. Pete wstał i kontakty tlenownicy docisnął do płytki zasłaniającej otwór jego hełmu. Wyraz zdumienia pozostał na twarzy Algiego jeszcze wtedy, kiedy głowa rozpadła się już na srebrzyste strąki lodu.

Pete skoczył i chwycił pistolet, odbezpieczył go i w mgnieniu oka się obrócił. Algie był sprytny, ale nie na tyle sprytny, żeby wiedzieć, że lufa wojskowej jedenastki działa jako bezpiecznik. Kiedy ją pchnąć, cofa się i nie można wystrzelić, póki nie zwolni się sprężyny. Mo zbliżał się, usta miał otwarte w wyrazie zdumienia. Stojąc na zdrowej nodze Pete wycelował w niego pistolet.

– Stój, Mo! Pomożesz mi wrócić do miasta.

Wielkolud nie słyszał go. W głowie huczała mu tylko jedna myśl.

„Zabił Algiego, zabił Algiego!”.

Pete wystrzelił połowę pocisków z magazynku, nim wielkolud padł na ziemię.

Odwrócił głowę od umierającego. Wzdrygnął się. Działał w samoobronie, ale ta myśl nie usunęła dziwnego skurczu w żołądku. Założył na nogę pas i mocno go skręcił, żeby powstrzymać krwotok. Potem owinął sterylizowanym bandażem z pakietu pierwszej pomocy.

Traktorem wróci na ziemię. Zawiadomi jednostkę wojskową, która zajmie się tymi dwoma. Usiadł za kierownicą traktora i włączył silnik. Penetrator traktora działał wspaniale. Maszyna czołgała się równo w stronę powierzchni. Pete ułożył zranioną nogę wygodnie na brezentowej płachcie i patrzył spokojnie na mijającą go i przepływającą ziemię.

Kiedy traktor wychynął na powierzchnię, padał jeszcze śnieg.

Przełożył Jan Zakrzewski

O autorze

Harry Harrison (ur. 1925) amerykański pisarz science fiction i fantasy, w latach 80. niezwykle popularny w Polsce za sprawą cyklu o Stalowym Szczurze, byłym gangsterze, a następnie niesubordynowanym agencie kosmicznym (16 tomów). Do tego niezwykłą popularnością cieszyła się jego trylogia *Planeta śmierci* oraz powieści o Billu, bohaterze Galaktyki, będące parodią militarnej SF (7 tomów).

Harrison rozpoczął karierę jako rysownik komiksów i ilustrator w czasopiśmie. Debiutował opowiadaniem „Skalny nurek”.

Harrison prezentował w tych utworach niezwykłą sprawność warsztatową, dobry humor i szybką akcję. I wydaje się, że taki był jego pomysł na literaturę.

Ale nie tylko błahą fantastyką się zajmował. Od czasu do czasu publikował znakomite opowiadania, a „Skalny nurek” jest jednym z nich. Z kolei na podstawie jego powieści *Przestrzeni! Przestrzeni!*, o przeludnionym i głodującym świecie przyszłości, powstał głośny film „Zielona pożywka” (Soylent Green). Zajmował się też redagowaniem znakomitych antologii, m.in. we współpracy z Brianem W. Aldissem.

Inne znane serie powieściowe to *Ku gwiazdom* (3 tomy), *Młot i krzyż* (3 tomy, w Polsce w 6 woluminach), *Eden* (3 tomy). W Polsce w latach 90. wydano większość tych powieści, potem zainteresowanie twórczością Harrisona zmalało. Od lat nie wznowiono żadnych jego utworów.

Harry Harrison bardzo aktywnie uczestniczył w życiu fandomu, był chętnie zapraszany na konwenty pisarzem. Należał też do pierwszego klubu SF na świecie – Futurians.

NIKOLAJ GUDANIEC

Arka

Kosmiczne Zoo, zbiorowisko istot z różnych zakątków wszechświata, to dość częsty temat opowiadań – można by z nich zebrać małą antologię. W kategorii rzeczy krótkich i zabawnych Gudaniec zasłużył na wyróżnienie.

Arka

Najważniejsza rzecz na statku, chłopcze, to czystość i pełna równowaga ekologiczna. Tak żeby nikt nikogo nie zżerał, nie krzywdził, żeby nikt nie sprawiał sobie potomstwa, jasne? Jak tylko zauważysz coś takiego, natychmiast wal do mnie, a ja już znajdę na nich sposób. Sam się do takich spraw nie mieszej. Zjeść może i nie zjedzą, ale kalekę mogą z ciebie zrobić.

Usiądź, nie krępuj się. O, na tym worku z paszą. Możesz się do mnie zwracać bez żadnych tam ceremonii – wujaszek Krunk. Zdarzają się, co prawda, gówniarze, którym trzeba natrzeć uszu i ci nazywają mnie starym świstakiem, ale ty chyba do takich nie należysz. Więc wujaszek Krunk i kropka.

W zeszłym miesiącu też mieliśmy praktykanta takiego jak ty. Szturman nie miał dla niego czasu i rzecz jasna, spławiono go do mnie do ładowni. Jako pomocnik był strasznie inteligentny, czyli jak sam rozumiesz, do niczego. Nie, żeby się wykręcał od roboty, ale przez cały czas kombinował, jak by tu nie pracować tylko myśleć. Zamiast samemu umyć podłogi w ładowni, ściągnął, parszywiec, robota z pokładu mieszkalnego. Zwierzyna, jak tylko zobaczyła tego robota, wpadła w normalną histerię. Szczypasy podniosły hałas, smokogłów ze strachu zapaskudził klatkę po sufit, a zębogon z Hanenbazy wyłamał przegrodę, złapał robota i go zeżarł. Potem weterynarz przez dwa dni grzebał mu w brzuchu, żeby odzyskać wyposażenie okrętowe. O, tam siedzi ten zębogon, za terrarium. Nie musisz się go bać, póki jest najedzony nie ma z nim najmniejszych kłopotów.

Więc pamiętaj, żadnych robotów. To tutaj, to jest szczotka ryżowa. Pewnie pierwszy raz widzisz, co? Nie martw się, opanujesz, technika nie jest skomplikowana. Jak bydlę ma zęby, to do klatki nie włącz, zmyj podłogę węzem i koniec. A tego z trzema głowami w ogóle obchodź z daleka, bo pluje płynnym ogniem.

Widzę, że chłopak z ciebie spokojny i pojętny. To dobrze. Słuchaj mnie tylko jak rodzonej matki i żadnych własnych pomysłów. Poprzedniemu praktykantowi zachciało się klatki pomalować. Na oko pomysł słuszny, ale ledwo chłopak wlaź do skunksa olbrzymiego z Tamalty, ten tak go urządził, że proszę siadać. Kto jak kto, ale ja do wszystkiego jestem przyzwyczajony, a i mnie wywracało na drugą stronę, kiedy się zbliżał. Dosłownie pławił się w wodzie kolońskiej i wszystko na nic. Bez maski gazowej ani przystęp. Takie sprawy.

Coś ty tak podskoczył? Spokojnie, to kamieniojad tak ryczy. Nudzi mu się. Siedź spokojnie, porczy sobie z godzinę i przestanie. Jak mawiała moja świętej pamięci staruszka, na każde kichnięcie nie nadążysz zdrowia życzyć.

O czym to ja? Aha. Jestem na Arce od pierwszego dnia, to jest od czasu, kiedy akademik Fusk wymyślił ten program ratowania rzadkich gatunków zwierząt. Była taka planeta Pirytea, na której aż roilo się od najróżniejszej zwierzyny. Badano ją wzdłuż i w poprzek i na wszystkie możliwe sposoby. Na każdego zwierzątko przypadało po jednym profesorze w asyście całej kupy doktorantów, nie licząc studentów z laborantami. Do dziś rozwijałyby tam naukę ku radości nas wszystkich, ale pewnego pięknego dnia zważył się na Piryteę pokaznych rozmiarów asteroid. Planetą zdrowo zatrzęsło i pół kontynentu diabli wzięli. To by jeszcze było pół biedy, ale na dodatek zmieniło się nachylenie osi do ekliptyki, roztopiły się czapy polarne i na Pirytei zdarzył się autentyczny ogólnoswiatowy potop. Wtedy to Fusk przedstawił swój program. Żeby całą florę i faunę zabrać stamtąd i przesiedlić na inną odpowiednią planetę. Akademikowi wszystko jedno, dawno go pożarł ptakojaszczur i jego popiersie stoi w Głównym Kosmoporcie naprzeciwko baru. A my do dzisiaj wozimy różne paskudy – najpierw z Pirytei, potem z innej planety, gdzie zgasło słońce, a potem z następnych.

Weźmy choćby taką Mariandę. Rada Galaktyczna postanowiła całą planetę puścić na rudę. A my mieliśmy ewakuować stamtąd biosferę. Ta biosfera do dzisiaj mi stoi w gardle. Zabraliśmy, powiedzmy, z Mariandy czerwone termity. Zbieraliśmy je, kiedy były w stanie uśpienia. No a w drodze wzięły i obudziły się. Poprzegryzały sobie przejścia, podziurawiły z pół tuzina grodzi, dobrały się do rezerwowego silnika i zżarły tam cały uran. Całe szczęście, że nie zdążyły się dorwać do głównego silnika. Musieliśmy te cholery zamrażać płynnym helem. A potem jeszcze dwa miesiące przesiedzieliśmy w kapitalnym remoncie.

Albo taki Almar. Tam się zdarzyła taka historia, że ty... Chyba słyszałeś? Naprawdę nie? Przecież głośno o tym było w całej Galaktyce.

Co się tak krzywisz? No tak, zapach tu rzeczywiście nie nadzwyczajny, niektórzy na początku mdleją. Masz butelkę, łyknij sobie. Nie pijesz? Szkoda.

Więc na tym Almarze hodowano kapustę. Ach, co to była za wspaniała kapusta, mówię ci, mojego wzrostu. Wszystko szło jak po maśle, póki nie pojawiły się dziesięcionogi. Takie sobie robaki wielkości ołówka. Rozmnożyło się to nieprawdopodobnie, kapustę zje, żadne środki chemiczne nie skutkują. Profesorowie podrapali się w głowę i uradzili rozmnożyć na Almarze szerokodziobe tukany. Jak postanowili, tak zrobili, namnożyli tych tukanów straszną masę i dziesięcionogi zostały załatwione. A razem z nimi błękitne przedziółki. Jak tylko wyginęły przedziółki, zaczęły zdychać z głodu czteroskrzydłe gąski. Zaczęto więc tępić tukany, hodować przedziółki i ratować gąski, bo od ich nawozu zależał rozwój dubabowych zagajników, w których mieszkaly wkrętaki, żyjące w symbiozie z brodawkowcem pelzającym, którym odżywiają się charby. A z charbami nie ma żartów. No i zaczął się cyrk.

Jak mawiała moja stara, nos wyciągniesz, ogon uwięźnie. Kiedy zaczęły zdychać zębodmuchy, trzeba już było przesiedlać całą biosferę. Przylecieliśmy na Arce, rozglądamy się – pusto. Cała planeta łysa, tylko gdzieniegdzie jakieś głodomory kuśtykają po piasku. Nawet połowy ładowni było za dużo na to, co tam zostało przy życiu. Taka wyszła z tego, proszę ciebie, kapusta.

A teraz tak: masz tu szczotkę, szmatę, wiadro. Jakbyś się poczuł słabo, to tam jest ten niebieski kranik. Odkręć sobie i pooddychaj tlenem. Uszy możesz sobie zatkać watą.

Ja będę w sąsiednim sektorze, więc nic się nie bój. Za bardzo się nie opalaj, bo roboty jest tu po uszy. Najważniejsze jest, rzecz jasna, mycie, ale i na zwierzątka miej oko. Nie daj Bóg, żeby nam tu zaczęły romansować. Pamiętam w jednym rejsie dwugłowa pytonica zaszła w ciążę z jeżozwierzem trzciniowym. Dzieci zaczęły się rozmnażać dalej. Prawie codziennie nowa porcja. Cholernie żywotne bydłota, nic ich nie brało. W końcu wymontowaliśmy z wieżyczki działo przeciwmeteorytowe, cała załoga przeciągnęła je do ładowni i wystrzelaliśmy te gadziny. Gdyby nie to, zżarłyby biosferę dwóch planet i mnie na dodatek. Działo teraz tu leży na wszelki wypadek. Bardzo poręczna sztuka, choć rzadko z niej korzystamy. Beze mnie jej nie dotykaj, bo jeden ruch i można zrobić dziurę w pancerzu jak ta lala.

Aha, jeszcze jedno. Trzymaj się, synku, z daleka od tej klatki. Trzymamy tam najbardziej krwiożercze i złośliwe stwory w całej Galaktyce. Wściekle dwunogie żołdaczki. Nic tylko się biją, całą swoją planetę zapaskudziły na amen i zostały raptem trzy ostatnie okazy. Uważaj z nimi. Wczoraj się zagapiłem przy karmieniu, to jeden mi mało co nie oderwał górnej macki.

No dobra, idę. Zagadałem się tu z tobą, a muszę jeszcze chryplaka nakarmić. Za godzinę zajrzę zobaczyć, jak sobie radzisz.

Wujaszek Krunk wstał, wziął w macki worek i odczołgał się do sąsiedniego sektora. Praktykant ujął w kleszcze szczotkę i zabrał się do sprzątnia, starając się nie patrzeć na klatkę z dwunogimi żołdaczkami, które wywijają pięściami i bluzgały potokami przekleństw w swoim nieznanym języku.

Przełożył Lech Jęczmyk

O autorze

Nikołaj Gudaniec (ur. 1957) – poeta i pisarz rosyjski, mieszkający na Łotwie. Ukończył filozofię na uniwersytecie w Rydze. Fantastykę pisze sporadycznie, pierwsze opowiadania: На берегу Стикса, Призовой выстрел, Тайная флейта, Умиращее море, Чудо для других, opublikował dopiero w 1982 roku.

Od 1999 roku jest redaktorem naczelnym magazynu Шпиль. Aktywnie działa w Związku Pisarzy.

BARRINGTON J. BAYLEY

**Statek, który żeglował
po oceanie kosmosu**

Moim zdaniem to jedno z najpiękniejszych opowiadań w całej fantastyce. Jest w nim założenie naukowe lub paranaukowe – nasza atmosfera jest dla innych wodą – ale najważniejszy jest obraz, który pozostaje w pamięci na zawsze.

Statek, który żeglował po oceanie kosmosu

Rim należy do ludzi, którzy by wetknęli głowę do piekła po to tylko, żeby się przekonać, jak tam jest gorąco. Jest krzepko zbudowany, niezbyt wysoki – ale dziś kiedy się spojrzy na niego, te cechy fizyczne po prostu się nie liczą. Zostaje obraz niechlujnego, zapijaczonego wałkonia, który się bez przerwy drapie, ponieważ od lat przestaliśmy się myć i prac garderobę.

Trzeba przyznać, że nieźle się z Rimem urządziliśmy. Siedzimy sobie w statku kosmicznym gdzieś za Neptunem i mamy za zadanie badać zasięg cząstek wysokiej energii, no i tak w ogóle. Czy może raczej jest to zadanie Rima, bo ja nie mam zielonego pojęcia o fizyce. Moja rola polega jedynie na dotrzymaniu mu towarzystwa – żeby nie czuł się samotny.

Może to i śmieszne, ale jestem starym kumplem Rima i jeśli mam być szczery, nigdy jakoś nie miałem na Ziemi szczęścia do pracy, więc jak mi Rim zaproponował takie jedwabne życie, chętnie zamieniłem na nie moją dotychczasową tułaczkę.

Rim jest w tej chwili jednym z najwybitniejszych fizyków naszego systemu i mógłby prowadzić znacznie poważniejsze badania, ale odkąd pobił dyrektora Ośrodka Badań Subnuklearnych Uniwersytetu Londyńskiego, jest to jedyne zajęcie, jakie mu zaoferowano. Mimo to jednak podoba mi się tutaj.

Właściwie jest fajnie. Może nie jak w piekle – na to jest za zimno – ale w kabinach mamy przytulnie i ciepło. Od czasu do czasu Rim zniża się do tego, żeby poświęcić parę godzin na tropienie tych swoich cząstek, czy jak im tam, ale przeważnie obijamy się, popijając i kłócąc się, co czasem prowadzi nawet do bijatyk. Z reguły zwycięża Rim, ale przysięgam, że zanim mnie wykończy, pokażę mu, gdzie raki zimują. Mamy ogromne zapasy piwa, starczą na cały rok, a jak nam się skończą, wrócimy na Ziemię zatankować i znów w kosmos.

Kiedy ostatnim razem byliśmy na Ziemi, zmyli Rimowi głowę za to, że przysyła kiepskie sprawozdania, ale ostatnio naprawdę nie zauważyłem, żeby robił cokolwiek.

I trudno mieć mu to za złe. Takie zajęcie musi być cholernie nudne dla faceta w rodzaju Rima, którego stać na coś więcej.

Czasem, jak już mamy dość siedzenia w środku, wkładamy skafandry i wychodzimy na zewnątrz. Rozsiadamy się wygodnie, pociągamy sobie piwo przez zawory skafandrów i podziwiamy wszechświat. Kosmos to wspaniały widok, zwłaszcza tu, gdzie Słońce robi

wrażenie po prostu bardzo jasnej gwiazdy. Jest zupełnie ciemno, ale nie mgliście, to znaczy widoczność jest bardzo dobra, tyle że w pobliżu nie ma nic do oglądania. Jest zimno i pusto.

Ale nam to z Rimem nie przeszkadza. Obaj mieliśmy już w życiu dość ludzkiego towarzystwa, a jeszcze do tego słyszałem, że na Ziemi mówi się ostatnio o prohibicji.

I właśnie kiedy tak sobie siedzieliśmy pewnego dnia na zewnątrz, stwierdziłem nagle, że coś *widzę*.

Pokazałem to Rimowi. Mały, ciemny przedmiot, zbyt mały i odległy, by można było rozróżnić jakieś kształty; w każdym razie przesłaniał gwiazdy i odbijał ich światło.

– Wiesz co – powiedział z niedowierzaniem Rim – to może być asteroida.

Ten pomysł przypadł mu do gustu. Nigdy dotychczas nie spotkaliśmy jeszcze asteroidy, ale w magazynku mieliśmy jakieś materiały wybuchowe na wypadek, gdyby nam się trafiła. Rim kocha pirotechnikę.

Wgramoliliśmy się z powrotem przez właz, zdjęliśmy hełmy i weszliśmy do sterowni. Nie minęła chwila, a Rim miał go już na monitorze i robił pomiary.

– Porusza się z szybkością trzydziestu mil na godzinę – powiedział włączając dysze manewrowe. – Chodźmy, przyjrzyjmy mu się.

– Trzydzieści mil na godzinę? To chyba niezbyt wielka szybkość, co?

– W stosunku do nas. – Poprzez skołtunione włosy i bokobrody, które zarastały mu twarz, dostrzegłem nieznaczną zmarszczkę na jego czole. – Wydaje mi się, że on leci po tej samej orbicie co my.

– To dlaczego ma w porównaniu z nami różnicę szybkości trzydziestu mil na godzinę? Powinien poruszać się z tą samą szybkością.

Rim nie odpowiedział. Trzymał przy ustach butelkę. Ale kiedy zbliżyliśmy się do asteroidy, zaczął niecierpliwie postukiwać w masometr. Wreszcie grzmotnął w niego brutalnie.

– Hej, co się dzieje? – zawołałem.

– Masometr nie działa – mruknął.

– Jak to nie działa? Musi działać.

– Nie bądź idiotą, przecież ta rzecz musi mieć jakąś masę! W każdym razie jesteśmy już na tyle blisko, że możemy wyleźć na zewnątrz i dokładnie ją sobie obejrzeć.

No i cóż, okazało się, że to wcale nie była asteroida.

Dziwny ten przedmiot mógł mieć jakieś pół mili długości i mniej więcej siedem razy mniejszą szerokość. Pokrywały go biegnące wzdłuż i zachodzące na siebie listwy z jakiegoś ciemnego materiału. Gdybym powiedział, że wyglądało to śmiesznie, użyłbym grzecznego eufemizmu.

Jedno jest pewne: nie potrafiłem ocenić jego *kształtu*. Widziałem tylko, że jest niewątpliwie dłuższy niż szerszy. Za każdym razem, kiedy usiłowałem skupić na nim uwagę, żeby dokonać jego oceny wizualnej, umykał mi jakoś, nie ruszając się właściwie z miejsca. Miałem złudzenie, że jest śliski jak ryba.

I jeszcze jedna zabawna rzecz. W przestrzeni kosmicznej nie istnieje pojęcie „góry” i „dołu”; jest tylko *tu i tam*. A mimo to – niech mnie diabli – ilekroć na niego spojrzałem, odnosiłem wrażenie, że patrzę w górę. I cały czas miałem ochotę wdrapać się na to coś, żeby zobaczyć, co jest na wierzchu. Właściwie to obydwaj mieliśmy ochotę. Włączyliśmy silniczki skafandrowe i okrążyliśmy ten przedmiot, próbując się zorientować, co tu nie gra. Ale wszystko na nic: z każdego miejsca wyglądał tak samo i za każdym razem miałem to kretyńskie uczucie, że patrzymy na niego z dołu i że na wierzchu jest coś ciekawego, co warto zobaczyć. W końcu zdecydowaliśmy się – wylądowaliśmy bezpośrednio na tej rzeczy. Włączyłem radiotelefon i usłyszałem, jak Rim drapie się wewnątrz swego skafandra.

– No więc to nie jest przedmiot pochodzenia naturalnego – zawyrokował. – To dzieło rąk ludzkich.

– O rany – zachichotałem – nigdy bym się tego nie domyślił, gdybyś mi nie powiedział.

– Zamknij się. – Oddalił się wściekły, mrużąc coś pod nosem i pochylony zaczął badać dziwny kadłub. W chwilę później znów usłyszałem jego głos; tym razem zabrzmiał donośnie, przyjacielsko: – Rim znalazł coś interesującego.

– Jakiś dziwny materiał – powiedział. – Nie mogę wydobyć z niego żadnego dźwięku.

– A jakiego dźwięku się spodziewałeś w przestrzeni kosmicznej?

– To znaczy nie widzę, żeby przekazywał drgania, kiedy uderzam w kadłub rękawicą. Nie czuję nawet, żeby moja ręka natrafiała na jakikolwiek opór – chociaż się zatrzymuje, tak jak powinna. I wiesz co? Mimo wszystko nasz masometr działa!

– Wielka mi rzecz! – parsknąłem ironicznie.

Rim wyprostował się i zbliżył do mnie.

– Piwo mi się skończyło. Nie masz przypadkiem?

W milczeniu wręczyłem mu puszkę, słuchając niesamowitych bulgotów, wydobywających się z jego gardła, kiedy ciągnął piwo przez otwór w hełmie i system rurek.

Widocznie suszyło go z podniecenia. W ciągu czterdziestu sekund opróżnił puszkę, cisnął ją w próżnię, zamrugał i mętным spojrzeniem zaczął szacować nasze odkrycie. Miałem wrażenie, że to piwo wycieka mu oczami.

– To jest statek – orzekł. – To nie może być nic innego. A jeżeli to jest statek, to musi być wydrążony w środku. Chciałbym tam zajrzeć.

– Wolałbym raczej, żebyś poprzestał na prześwietleniu go.

– Ach... – Rim osunął się wewnątrz swego skafandra, co przy braku siły ciężkości odpowiada właściwie rzuceniu się na fotel. Miewa momenty chandry i widziałem, że właśnie jeden z nich nadchodzi.

– Zostań tutaj – polecił mi po chwili. – Idę po moją torbę z narzędziami.

Mało mnie nie wystrzelił w kosmos strumieniem gazów ze swoich silniczków, z taką szybkością śmignął do naszego statku. Oczywiście wyobraźni widziałem, jak się tam miota, przeklina i wywraca wszystko do góry nogami. Od sześciu miesięcy nie był w laboratorium i na pewno pozapominał, gdzie co ma. Mimo to jednak zjawił się po jakichś dwudziestu minutach z torbą narzędzi i baterią pomocniczą zawieszoną na szyi.

– Jupiii! Jestem! – wrzasnął pokonując błyskawicznie dziesięciomilową przestrzeń dzielącą go od obcego statku. Zanim znalazłem się w miejscu jego lądowania, zdążył już przyczepić się do kadłuba i montował właśnie świder elektryczny.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytałem.

– Wyborować dziurę.

– Czyś ty zwariował? – zacząłem, po czym zniżyłem głos. – Słuchaj, gdyby ci ludzie chcieli do nas wyjść, już dawno by to zrobili. Trzeba mieć trochę taktu. A poza tym nie możesz przecież po prostu wywiercić dziury w czyimś statku! Możesz im wypuścić całe powietrze!

– Nic im nie będzie – odparł niedbale. – Jeżeli są na tyle mądrzy, że potrafią odbywać podróże kosmiczne, to tym bardziej dadzą sobie radę z niewielką dziurką. Zresztą wierzę wyłącznie po to, żeby się przekonać, z czego zbudowany jest ten kadłub.

Z tymi słowami włączył urządzenie i pochylony nad świdrem przyłożył go do kadłuba.

Przez chwilę przyglądałem się, jak czubek wiertła wchodzi w substancję przypominającą drewno, ale wkrótce ogarnęło mnie niezwykle uczucie i stwierdziłem, że nie mogę dłużej patrzeć.

Okrążyłem statek, bezmyślnie podziwiając jego dziwną pękatą sylwetkę. Nie wiem dlaczego, ale wypatrywałem kilu – którego oczywiście nie było. Naturalnie ulegałem temu samemu dziwnemu złudzeniu, które mówiło mi, że ten statek płynie w pozycji pionowej.

Płynie? No tak. Tak sobie pomyślałem. Można się chyba wyrazić, że coś płynie w przestrzeni kosmicznej.

Miałem właśnie wrócić do Rima, żeby zobaczyć, jak sobie radzi, kiedy moją uwagę przykuł jakiś ruch. Coś ostrego i błyszczącego wyłaniało się z burty statku.

– Rim! – wrzasnąłem przerażony. – Wiertło przechodzi na drugą stronę!

Czubek wiertła znieruchomiał.

– Jak daleko jesteś?

– Będzie z pięćdziesiąt jardów!

Rim zaklął z niedowierzaniem i śmignął w moją stronę. Mało mu oczy nie wylazły na widok metalowego czubka.

– To wiertło ma zaledwie osiem cali długości. Jak mogło wejść na grubość pięćdziesięciu jardów? Idź zobacz – nie, poczekaj!

Dodał gazu i błyskawicznie okrążył statek.

– Wyjmuję wiertło – oznajmił przez radio. – Czy czubek się rusza?

– T... tak – bąknąłem obserwując czubek wiertła, który to wychodził, to się chował. – Zrobiłeś dwie dziury zamiast jednej!

– To niemożliwe! No, złap za swój koniec i poruszaj nim trochę, musimy się upewnić.

Po chwili wahania chwyciłem mocno metalowe wiertło i popychając i pociągając je na przemian pokonywałem opór pochodzący jedynie od Rima. Jego głos ryknął mi w ucho:

– Rękojeść! Lata mi w dłoni!

– Boję się – wyrażał to zarówno mój ton, jak i moje słowa.

– To chodź tu do mnie, ja też się boję!

Byłem zdumiony, że Rim może się czegokolwiek bać, ale ta świadomość tylko dodała mi skrzydeł. Kiedy jednak się do niego zbliżyłem, Rim najwyraźniej zdążył już wziąć się w garść, chociaż w dalszym ciągu pochylony nad świdrem trzymał go w kurczowym uścisku.

– Wiesz, co ja myślę? – szepnęła gapiąc się na mnie. – Że tam w środku nie ma żadnej przestrzeni!

– Jak to, uważasz, że ten statek jest w środku pełny?

– Ależ skąd – potrząsnął głową z rozdrażnieniem. – Słuchaj, pamiętasz, na ile to wiertło wystaje z drugiej strony?

– Na jakieś cztery cale.

– A wiesz, na jaką głębokość je włożyłem? Czterech cali! Czubek wchodzi tutaj i wychodzi natychmiast pięćdziesiąt jardów dalej! Między burtami statku nie ma żadnej odległości! A brak odległości oznacza brak przestrzeni. Wewnątrz tego statku nie ma żadnej przestrzeni.

Na dłuższą chwilę zaległa cisza.

– Wiesz co, wracajmy lepiej – powiedziałem niepewnie. Rim mruknął coś do siebie potrząsając głową, ale wyciągnął świder i wyłączył prąd.

I wtedy nagle świder zaczął się giąć i migotać jak płomień, a nie ciało stałe. Ale to nie wszystko. Ręka Rima, w której trzymał narzędzie, tak samo zaczęła się giąć i migotać, *snuć się* jak smuga dymu w podmuchach wiatru. Na widok nieprawdopodobnych wprost odkształceń własnej ręki Rim dziko wrzasnął.

Teraz już i część jego wyposażenia kosmicznego zachowywała się podobnie. Wyglądało to tak, jakby nagle zaczęło Rima wsysać do otworu, który wyborował.

– Rim, uciekaj! – krzyknąłem, zbyt przerażony, żeby mu pomóc.

Przez chwilę patrzył z niedowierzaniem, jak jego ciało wydłuża się i faluje, a potem włączył silniczki skafandra i zanim się zorientowałem, co się dzieje, obaj, nie zwracając na siebie nawzajem najmniejszej uwagi, gnaliśmy nieprzytomnie w stronę naszego statku. Oślepiiony z pośpiechu, wlałem do środka i stwierdziłem, że Rim już tam na mnie czeka.

– Rim – powiedziałem bez tchu. – Aleś się pospieszył. Nic ci nie jest?

– A co ma mi być! – burknął poirytowany. – Jasne że nic. Przecież to nie mnie zdeformowało, tylko przestrzeń, którą zajmuję.

Przyjrzałem się bliżej jego ciału, ale nie dostrzegłem najmniejszych odkształceń. Był w dalszym ciągu tym samym krępkim, odrażającym Rimem.

Otworzył puszkę i zaczął łąpać piwo, które ciekło mu po brodzie i piersiach. Ja też sobie wzięłem piwa. Było tak cudowne, że bym się w nim chętnie wykąpał, tyle że nie miałem tego w programie.

– Nie rozumiesz, co się stało? – zapytał między jednym a drugim łykiem, rzucając się na leżankę. – Przez ten otwór wlewała się przestrzeń. Tam w środku nie było żadnej przestrzeni. Teraz już wiemy: przestrzeń zachowuje się jak ciecz.

– A ja myślałem, że przestrzeń to jest po prostu nic – odparłem wydając podobne jak on gulgotanie.

– Przestrzeń ma określoną strukturę – stwierdził poważnie. – Kierunki: północ, południe, wschód, zachód, zenit, nadir. Ma także odległość. Rany boskie! – Jego zamglone piwne oczy ożywiły się nagle z podniecenia. Zerwał się z leżanki i włączył wszystkie monitory kamer zewnętrznych. – Popatrz! Cały wszechświat gwiazdny zawarty jest w przestrzeni. Wszystko! Z wyjątkiem... – Jego głos znów przeszedł w bełkot. Wypuścił z ręki pustą puszkę i sięgnął po drugą do jednego z piętrzących się wszędzie kartonów. Powoli znowu opadł na leżankę w ponurej zadumie.

– Jednego nie mogę zrozumieć – zagałem. – A mianowicie dlaczego ta rzecz przypomina mi grecką tryremę.

Byłem szczęśliwy, że znów znalazłem się w naszej przytulnej kabinie. Światło mamy zawsze nastrojowe i jeśli nie liczyć gnijących odpadków jedzenia i smrodu, jest naprawdę bardzo przyjemnie. Najchętniej zapomniałbym w ogóle o spotkaniu z tym obcym ciałem – zakłóciło nam tylko spokój.

– Nie przejmuj się – powiedziałem pocieszająco. – Mieliśmy trudny dzień. Chodź, napijemy się.

Ale Rim nie dał się pocieszyć, więc zaczęliśmy się zalewać w ponurym milczeniu. Nieraz w trakcie tej wyprawy zdarzały nam się takie pijackie wyskoki, zwłaszcza kiedy ogarniały nas wspomnienia naszych niepowodzeń doznanych wśród bliźnich na Ziemi, ale nigdy jeszcze nie widziałem, żeby Rim zalewał się z taką rozpaczą.

W parę godzin później ciężko dysząc zdołał przyjąć pozycję siedzącą.

– Czy ty nie rozumiesz... – powiedział ochryple, z trudem dobierając słowa. – Czy ty nie rozumiesz, na czym polega dowcip z tym statkiem? Przecież on płynie w przestrzeni jak okręt po wodzie. Jest rzeczywiście poza przestrzenią – poza wymiarami. Ale on się na nich unosi i my widzimy tę część, która na skutek ciężaru znajduje się poniżej linii zanurzenia... to znaczy zanurzenia w przestrzeni.

– Ale przecież on nie ma żadnego ciężaru – zaproponowałem niezbyt przytomnie. Mieliśmy już wtedy obaj nieźle w czubie.

– Chodzi o ciężar w *ich* sensie, nie w naszym, idioto. O rany, ale jeśli przestrzeń jest dla nich wodą, to co jest dla nich powietrzem? A my, wiesz, czym dla nich jesteśmy? Rybami w morzu. Które nigdy nie osiągną powierzchni.

Macając na oślep podszedł do mnie, aż dotknął ręką mojego ramienia.

– Wiesz, co ci powiem: nigdy już nam się więcej nie trafi taka okazja.

– Jaka znów okazja?

– Żeby zobaczyć, jak to jest tam, gdzie nie ma przestrzeni. Wchodzę do tego statku.

– Ale przecież nie możesz tego zrobić...

– Jak to nie mogę? Będziesz mi mówił, co mogę, a czego nie mogę? Mnie, Rimowi, Rimowi Wielkiemu? Gdyby nie ja, toby cię tu przecież nie było. Dalej byś się wycierał po rynsztokach na Ziemi.

Nawet w moim pijanym widzie zorientowałem się, że Rim osiągnął stadium rozdrażnienia, po którym zwykle następowało stadium rozczulania się nad sobą. I tak nie mogłem zrobić nic, żeby temu zapobiec, a przynajmniej było to jakieś urozmaicenie. W każdym razie w porównaniu z innymi szalonymi pomysłami, jakie mogły mu w tym stanie strzelić do głowy, ten był oryginalny. Zawierał element ryzyka.

– Zastanów się – zacząłem mu jednak perswadować. – Jakim cudem zamierzasz dostać się na ten statek. Przecież on nie ma żadnych otworów. Gdybyś więcej czasu spędzał w laboratorium...

– Właśnie. W laboratorium! – Z oczu Rima trysnęły wielkie brunatne łzy. – Uniemożliwili mi jakąkolwiek poważniejszą pracę naukową! Zesłali mnie tu, gdzie według nich nic nie będę mógł zrobić...

– Geniusz rzadko kiedy bywa doceniony – usiłowałem go pocieszyć.

– Zobaczysz, Rim zrobi jeszcze odkrycie, które zadziwi wszystkich. Rim zbada istotę przestrzeni. Przekonasz się.

– Ale, stary, tam się naprawdę nie ma jak dostać.

– Nie ma jak! Parę uncji materiału wybuchowego w zupełności wystarczy. Najważniejsze tylko, żebym tam wszedł, zanim wedrze się do środka ta cholerna przestrzeń, i tylko patrzył... patrzył...

Jego głos przeszedł w znajomy bełkot. Zdumiony zerwałem się na nogi. Rim był naprawdę pijany!

– No dobrze, a co z ludźmi, którzy są tam wewnątrz?

Obrzucił mnie wrednym spojrzeniem, jakiego nigdy dotychczas u niego nie widziałem. Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo nienawidzi społeczeństwa za to, że tak się z nim obeszło – mimo że była to przecież jego wina. Teraz postanowił odegrać się na sile, jaką stanowił kodeks moralny tego społeczeństwa.

– Z ludźmi!?! – ryknął. – Odrobina przestrzeni im nie zaszkodzi! To wszystko dla dobra nauki!

Potrząsnąłem głową z całą stanowczością, na jaką mnie było stać.

– Nigdzie nie idziesz.

– I ty będziesz mówił Rimowi, co ma robić, tak? – Pokiwał głową nieprzytomnie i jego pięść wylądowała na moim nosie. Zachwiałem się. Mimo bólu, mimo błyskawic, które przesywały mój mózg, usiłowałem ocenić sytuację, zanim przewróciłem się roznosząc krzesło. Rim nacierał. Odwróciłem się na bok, żeby uniknąć następnego ciosu, i jednocześnie rozglądałem się za czymś, czym mógłbym go uderzyć. Puszka! W zasięgu ręki miałem pełną puszkę. Sięgnąłem po nią, podnosząc się jednocześnie z podłogi. Rim przyuczajony, też zamierzał się na mnie szklaną kolbą z laboratorium.

– Aha, więc idą w ruch narzędzia – warknął i rąbnął nią o krawędź stołu. Tego jeszcze nie było.

– Rim! – krzyknąłem przerażony. – Przecież znamy się od dziecka!

Tylem wycofałem się pod ścianę; z osłupienia puszka wypadła mi z ręki. Rim zbliżał się do mnie z dumą wystawiając wyszczerbione szkło i robiąc takie ruchy, jakby chciał mnie pociąć. W ostatniej chwili cisnął stłuczoną kolbę gdzieś w bok i ulokował na mojej szczęce jeden ze swoich najpotężniejszych ciosów.

I wtedy właśnie opuściłem na jakiś czas naszą kabinę, żeby się przenieść w szczęśliwszej rejony nieświadomości.

Kiedy oprzytomniałem, Rima już nie było. Nie wiem, jak długo mogło to trwać, myślę, że z pięć, dziesięć minut.

Byłem zbyt zamroczony, żeby za nim pójść. Wstałem z jękiem, trochę się nad sobą użaliłem i znów zająłem pozycję leżącą, tym razem jednak na kanapie. Głowa mi pękała, ale chyba nie tylko od piwa.

Po raz pierwszy w życiu poczułem wyrzuty sumienia. Dlaczego – nie rozumiem. To już raczej Rim powinien je mieć, nie ja. A jednak powlokłem się do lustra, przed którym stałem długo, acz chwiejnie, wpatrzony w przerażający widok, jaki sobą przedstawiałem.

– Wyglądasz koszmarnie – rzuciłem rozpaczliwe oskarżenie pod własnym adresem. – Wyglądasz tak samo koszmarnie jak on.

Przez chwilę pocieszałem się, że może nie aż tak, po czym zainteresowałem się, co robi Rim. Włączyłem główny ekran, który ukazał mi obcy statek. Powiększając obraz kilkakrotnie spostrzegłem mojego partnera majstrującego coś w dolnej części rufowej. Nagle zobaczyłem,

jak cofa się błyskawicznie i jak zaraz potem silna eksplozja wyrywa w burcie statku pokazałą dziurę.

Rim natychmiast dał nura w ten otwór, ale w ciągu tamtych paru krótkich sekund, zanim mi zniknął z oczu, zdołałem jeszcze zobaczyć, jak skręca się i wije, niby pod działaniem silnego prądu. Już po chwili jednak przestałem się nim interesować, całkowicie pochłonięty tym, co działo się ze statkiem.

Kiedy mianowicie wdarła się do jego wnętrza przestrzeń zaczął tonąć. To znaczy stawał się jakby większy, wyrazistszy, bardziej majestatyczny. W miarę jak coraz głębiej się zanurzał, wyjaśniała się powoli zagadka jego kształtu, aż wreszcie ukazał się nam, *rybom*, w całej swojej okazałości: z kilem, który jednak był, wygiętą linią dzioba, burtami i rufą. Dostrzegłem nawet wiosło sterowe.

Powoli w gwiazdnym wszechświecie wyłonił się pełny obraz statku kołysanego prądami przestrzeni. Wreszcie, kiedy zatonął już całkowicie, zobaczyłem wszystko dokładnie: odkryty pokład, martwą załogę i wielki kwadrat żagla, a koło niego piękną młodą parę, która tym statkiem płynęła: młodzieńca o twarzy poety – ze złotą obręczą na szyi i krótkim sztyletem, symbolem władzy, u boku i piękność w zwiewnej szacie, z kunsztowną fryzurą, objętych w uścisku. Na ich obliczach śmierć rozlała wyraz pogodnego spokoju. Oczywiście mieli po jakieś dziesięć metrów wzrostu...

W ciągu paru minut statek zaczął się rozpadać. Na widok maleńkiej postaci przedzierającej się przez szczątki zęz automatycznie włączyłem łączność. Usłyszałem chrapliwy oddech Rima. Wszystko odbywało się według programu. Za pomocą silniczków skafandrowych błyskawicznie pokonał niewielką odległość dzielącą go od szlachetnej pary. Na tle ich wdzięcznych postaci przypominał ordynarnego karła.

Po chwili ich zanurzone w przestrzeni ciała też zaczęły się rozpadać; rozplływały się w wirujących drobinkach, krótkich błyskach i spiralach. Aż wreszcie cały statek, nasiąknięty wodą, a raczej przestrzenią, rozleciał się na maleńkie cząstki pogrążając się w niebycie.

– O rany – drżącym głosem wyjąkał Rim. – Jestem mordercą.

W dziesięć minut później na ekranie była już tylko czarna, pusta przestrzeń. Rim wrócił na nasz statek i opryskliwie burknął, że nie dowiedział się dosłownie niczego więcej na temat, jak to jest tam, gdzie nie ma przestrzeni.

Wobec tego obaj sięgnęliśmy po puszki.

Całe sprawozdanie naukowe Rima za ten rok brzmiało: „Natknąłem się na statek żaglowy. Zatopiłem go”. Mam nadzieję, że nie stracimy przez to posady; nie wiem, czy by nam się trafiła druga taka gratka. W każdym razie piwa nam starczy jeszcze na jakieś trzy miesiące, a potem się zobaczy.

Przepraszam, obawiam się, że tego piwa starczy nam najwyżej na dwa miesiące, a może nawet na miesiąc?

Następnego dnia Rim zaśmiewając się powiedział:

– Wiesz, jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić – że są takie istoty, dla których przestrzeń jest ciężką cieczą! Chciałbym zobaczyć ich samoloty.

– Właśnie – odparłem. – A ja jestem ciekaw, co będzie, jak wynajdą łodzie podwodne.

Przełożyła Zofia Uhrynowska-Hanasz

O autorze

Barington J(ohn) Bayley

(1937-2008) brytyjski pisarz science fiction, urodzony w Birmingham. Pracował w Królewskich Siłach Powietrznych. W latach 60. związał się z pismem *New Worlds*, które pod przewodnictwem Michaela Moorcocka przyczyniło się do zmiany jakościowej w SF i powstania zjawiska zwanego Nową Falą. Do końca życia przyjaźnił się z Moorcockiem, który dzisiaj rozporządza, wraz z synem autora, prawami do wszystkich utworów Bayleya. Napisał do pism i antologii kilkadziesiąt znakomitych opowiadań, wiele z nich wciąż jest wymieniane jako kanon brytyjskiej fantastyki, a także 17 powieści. W Polsce znamy tylko trzy: *Kurs na zderzenie* (1973), *Zagłada Chronopolis* (1974) i napisana dla Games Workshop *Oko terroru*.

Bayley używał pseudonimów, m.in. Simon Barclay, John Diamond. W swoich opowiadaniach wprowadzał nowatorskie rozwiązania, niewątpliwie był to jeden z najwybitniejszych twórców krótkiej formy w dziejach science fiction.

TOM JOSEPH

Teoria jednolitego pola

Wiersz Tima Josepha ukazał się w amerykańskim miesięczniku „Analog”, lansującym tradycyjną, tzw. „twardą” science fiction i dalekim od poezji. Ale podobał się tak, że redakcja została zasypana entuzjastycznymi listami od czytelników. „Teoria jednolitego pola” to niezwykle rzadki przykład wiersza autentycznie fantastyczno-naukowego, a może nawet naukowego, gdyż z zasady mieszanka poezji i science fiction nie daje dobrych wyników, bo ujawnia się wtedy romantyczno-poetycki charakter fantastyki i fantastyczny charakter poezji.

Żaden z amerykańskich czytelników nie zwrócił uwagi na podobieństwo wiersza do czegoś, co napisał filozof Karl Popper, ale Tim Joseph ujął to piękniej, a za to dużo można wybaczyć.

Teoria jednolitego pola

Na początku był Arystoteles.

I ciała w stanie spoczynku przejawiały skłonność do pozostania w spoczynku.

A ciała będące w ruchu przejawiały skłonność do przejścia w stan spoczynku.

I wkrótce wszystko znalazło się w stanie spoczynku.

I wtedy Bóg stworzył Newtona.

I przedmioty w stanie spoczynku przejawiały skłonność do pozostania w spoczynku.

Ale przedmioty będące w ruchu przejawiały skłonność do pozostania w ruchu.

I energia była zachowana, i ruch był zachowany i materia była zachowana.

I Bóg ujrzał, że to jest strasznie zachowawcze.

I wtedy Bóg stworzył Einsteina.

I wszystko było względne.

Szybkie rzeczy stały się krótkie,

A proste rzeczy okazały się zakrzywione.

I wszechświat wypełnił się układami inercyjnymi,

I Bóg ujrzał, że to było względnie ogólne, ale część z tego była szczególnie względna.

I wtedy Bóg stworzył Bohra.

I była zasada,

A tą zasadą był kwant

I wszystko zostało skwantowane.

Ale pewne rzeczy nadal pozostały względne.

I Bóg ujrzał, że jest bałagan.

I wtedy Bóg miał zamiar stworzyć Furgesona.

I Furgeson by ujednocził

I upolowałby teorię

I wszystko stałoby się jedno

Ale było to dnia siódmego

I Bóg postanowił odpocząć.

I przedmioty w stanie spoczynku pozostają w spoczynku.

Przełożył Lech Jęczmyk

O autorze

Tim Joseph, amerykański fizyk pracujący w Cornell University nie zajmujący się na co dzień twórczością fantastyczną, ani żadną inną, napisał ten poetycki żart z nudów. Opublikowany w piśmie SF, potem był przedrukowywany m.in. przez „New York Timesa” jako przykład związku nauki z poezją.

BRIAN W. ALDISS

**Trzeźwe odgłosy poranka
w jednym z odległych krajów**

Brian W. Aldiss jest pisarzem niezwykle płodnym, pamiętam, że lata temu wydał swoją bibliografię z okazji setnej publikacji. Jest bardzo angielski, można powiedzieć dystyngowany i nie zarobiłby na życie w amerykańskich „pulpowych” pisemkach. Są autorzy (jak choćby P.K. Dick), którzy przez całe życie piszą jakby tę samą książkę, u Aldissa każdy utwór jest inny, widać, że dla niego literatura to zabawa intelektualna i eksperyment. Tutaj daje nam nostalgiczną, psychologiczną opowieść o więźniu, przypominającą nastrojem rzeczy Coetzee, laureata Nobla z Południowej Afryki. (Już stamtąd uciekł.)

Trzeźwe odgłosy poranka w jednym z odległych krajów

O czwartej nad ranem śledczy wyszedł. Jego pomocnik odpiął zatrzaski z moich nóg i wyłączył dwie lampy łukowe, które dotąd tryskały mi światłem w twarz. Lampy osłabły, zmatowiały, zgasły.

Pomocnik pomógł mi wstać i wyprowadził mnie z pokoju, potem kamiennymi schodami weszliśmy do rozległego holu przesiąkniętego wonią siarki i dalej po nagich drewnianych schodach do mojego pokoju na pierwszym piętrze. Kiedy zostałem sam, dobrnąłem do łóżka i upadłem na posłanie.

Notatka:

W przedrannej godzinie płaza świadome i nieświadome gesty osiągają pełną zgodność.

Przez dłuższą chwilę leżałem tak jak padłem, nogi zwisały mi z łóżka, stopy dotykały podłogi. Twarz miałem obolałą. Opuchlizna rozciągała nieregularne kontury mojej głowy w nieskończoność w sposób niespójny. Jeden rozpalony policzek dotykał wysokiego sufitu, podczas gdy delikatna okolica poniżej powiek obejmowała miejsce, w którym śpiewał ptak. I grała muzyka – nie delikatna, ale twarda – w jakiejś zalanej wodą pieczarze, gdzie biło moje serce. Odcinek czasu, o którym myślałem jako o $2n(x-ja)^2$ przeszedł koło mojego posłania podrygując jak wąż z przetrąconym kręgosłupem. Jego koniec stanowił dla mnie znak, żeby się podnieść i podejść do okna.

Usiadłem w wiklinowym fotelu, trzymając się parapetu i oglądałem przez szybę rozlane kształty ciemności. Drewniany parapet był głęboko osadzony i wytarty od długiego używania jak twarz starego człowieka. Okno miało drewniane wewnętrzne okiennice, przybite do ściany, żeby nie można ich było zamknąć. Niezdrowa niebiesko-zielona farba na nich pokryła się bąblami. Okno składało się z dwóch połówek, które powinny otwierać się na zewnątrz, ale były zabite gwoździami i zakratowane.

Okno przeżyło zmiany pór roku i reżimów; kiedyś zapraszało gości do hotelu, teraz strzegło więźniów. Kiedyś przybywano tu pić cuchnące wody mineralne, teraz stosowano tu ostrzejsze kuracje.

Notatka:

Rozum nakazywał trzymać oczy i okna zamknięte.

Zapewne zasnąłem przy tym oknie. Śledczego już nie było, ale miał on w mojej psychice swoich pomocników, którzy mówili za niego podczas jego nieobecności.

– Wiesz, co trzymam w ręce?

– Nie.

– A na co to wygląda?

– Wygląda na papier.

– A co jest na tym papierze?

– Pismo?

– Czyje pismo?

– Jeżeli pozwoli mi pan spojrzeć, to może uda mi się odpowiedzieć.

– Czyje to pismo?

– Moje.

– To twój dziennik z wczorajszego dnia. Wiesz dobrze, że masz pisać tysiąc słów dziennie. Tu jest tylko dziewięćset sześć słów. Dlaczego?

– Zabrakło mi słów.

– Możemy znów zwolnić twój rytm biologiczny.

– Nie!

– Przeczytaj mi, co napisałeś.

Podał mi kartki i zacząłem brnąć przez swoje roztrzęsione pismo.

Pamięta się różne rzeczy nie wiedząc co się pamięta. Na przykład spotkanie z kimś kogo się kochało. Kogo się kocha. Albo rozstanie. Anonimowa tęsknota żeby poczuć jej drogi uścisk. Jeden uścisk. Jeden drogi uścisk. Na parapecie jest napisane że więzienie to nic takiego może patrząc na ten kawał drewna jestem bardziej wolny niż w domu. Napisałem to wcześniej i mogę myśleć o mojej żonie wyglądając przez tamto inne okno i widząc jak ona rozmawia z jakimś innym mężczyzną. Może to był piekarz płaciliśmy mu raz w tygodniu. Jej nogi w tym małym wyblakłym ogródku z zielonymi krzewami zapomniałem jak się nazywają. Wiły się na jednej ścianie i była to moja droga chwila szczęścia patrzyłem na nią i na wszystko co miałem... do stracenia. Ona w tym olbrzymim mieście musi się utrzymać. Ale czy to nie jest też pusty czas albo odnajdziemy się przez rozłękę. Chcę powiedzieć to jest tylko dzisiaj ale jest przecież inne miejsce o którym wiemy i które jest nie tylko na dzisiaj i gdzie nie ma takich rzeczy jak rozłęką kara i ból. Miejsce gdzie nigdzie nadnaturalne na tym parapecie zamknięcia...

Było to tylko wspomnienie. Upłynął czas. To, co myślałem, że powiedziałem, może powiedziałem wczoraj albo może powiem to dzisiaj. Może na delirycznych obrzeżach tortur pisałem codziennie to samo.

W dzbanku na parapecie było trochę wody. Pociągnąłem łyk, przepuściłem ją przez rumowisko moich zdemolowanych ust.

Notatka:

Pamięć jest zwyrodnieniem umysłu, umysł jest zwyrodnieniem ciała. Te zwyrodnienia są istotą ludzkiego losu i należy z nich robić użytek.

Z nadejściem świtu za oknem zaczęły się formować kształty. Ludzie i rzeczy zaczęły się ruszać. Pod moim oknem kołysała się mętna latarnia, urwana sylaba w nieskończonych językach mroku. Dziwny dreszcz przebiegł mi wzdłuż kręgosłupa. Jeszcze jeden dzień na nieskończonej Ziemi, ludzie wstają z łóżek, zawijają się w ubrania i idą do swojej pracy z oddechem nieświeżym po nocy. Porządek naturalny i społeczny łączy się w jedno. Służba i żołnierze zawsze wstają pierwsi. To muszą być służący, ci co kręcą się pod moim zakratowanym oknem. Za jakąś godzinę przyniosą mi śniadanie, umyją mnie i opatrzą nocne uszkodzenia.

Za szybą zerwał się krótkotrwały przedranny wiatr. Nie przycinane drzewa tworzyły aleję prowadzącą przez zaniedbany ogród do jeziora. Poruszyły się. Ja nie. Trwałem bezwładnie z brodą opartą na szorstkim parapecie.

Moje serce biło. To wystarczało.

Kiedy mogłem znów myśleć, wróciłem do planów ucieczki. Uciekłem z Petrovaradin; mogłem uciec i z Tilich. Dzisiaj ucieknę.

Notatka:

Obrót wokół osi. Codzienna dieta planów.

Coś z zewnętrznego chłodu przeniknęło przez okno i ukoilo pulsującą głowę. Moje zmysły zawędrowały w regiony dla mnie niedostępne. Półludzkie postacie poruszały się w substancji przypominającej światło dzienne. Światłodzień. Bezgłośnie do tłustej rzeki. Ogniska. Przysadziste fortece wspinają się na kamieniste wzgórza. Garnki, kilka psów, niedogotowane mięso, dwie płcie. Zęby, członki, pradawne gesty miłości i wojny, brązowy napierśnik. Postać w długiej szacie śpiewa na klęczkach.

Kiedy ocknąłem się znów, z zewnątrz napływało światło i widać było góry. Miały nadal na ramionach swój śnieżny płaszcz, choć wkrótce na równiny miało przyjść kontynentalne lato. *Trzeźwe odgłosy poranka* w starym uzdrowisku. Matowy odbłask na jeziorze wskazywał, gdzie odbija się niebo. Kiedy mnie tu sprowadzono, jezioro było skute lodem. W zarośniętych ogrodach martwe zeszloroczne liście gnily wśród nowych kwiatów, rozkład i rozwój utożsamione. Wkrótce wyjadą trzej jeźdźcy. Ocknąłem się, żeby ich zobaczyć.

Na szafce przy posłaniu leży papier i pióro. Wreszcie zapragnąłem dokończyć moją dzienną normę słów, moje zadanie. Wziąłem je i przystąpiłem do magicznego aktu, do sporządzania bladej imitacji rzeczywistości za pomocą żonglerki dwudziestoma sześcioma literami.

Napisałem: *Cała sztuka*. Przekreśliłem to. *Wszystkie sztuki*. Tak. *Wszystkie sztuki usiłują opisać jeden świt*.

Czy to prawda? Który świt?

Za moimi horyzontami rozciąga się Jedyne Państwo. Jego ulice pokrywają większą część zamieszkanego świata. Ja jestem z niego. Ono jest ze mnie. Człowiek je stworzył, żeby rządzić ludzkością. Czy możemy zbuntować się przeciwko niemu... czy może tak jest najlepiej? Moja mała rodzina jest jedną komórką. Moje dzieci są tylko dziećmi, mogą być zabite, mogą zabić same. Jedyne Państwo może wybierać. Jakby to ująć? Różne prawdopodobne przyszłości.

Siedemdziesiąt dwa słowa. Odpoczynek Miałem zamiar pisać prawdę, ale wszystkie słowa są kłamliwe, bo mogą przedstawiać tylko jedną z wielu płaszczyzn istnienia. Jak co dzień o świcie rozplakałem się, stając wobec bezmiaru ospałości tego kontynentu.

Notatka:

Jedynie ruch oddaje prawdę

Trzej jeźdźcy śmiało wyruszali w nowy dzień. Usłyszałem ich koniki, zanim ich zobaczyłem. Stajnie mieściły się gdzieś na lewo, niewidoczne dla moich oczu. Kopyta zastukały na dziedzińcu. Potem jeźdźcy znaleźli się w moim polu widzenia i skierowali się w stronę jeziora, ku drodze, która biegła wzdłuż jego brzegu.

Jeźdźcy ubrani byli w baranie czapki, skórzane kurtki i czarne wełniane spodnie. Przez plecy mieli przerzucone krótkie karabinki. Strażnicy. Gdzieś tam na skraju równiny będą pełnić służbę przez cały dzień i wrócą o zmierzchu. Z terenu hotelu można ich zobaczyć jedynie, kiedy wyjeżdżają i wracają. Ich twarze oglądałem tylko wieczorem, były wtedy pozbawione rysów albo oznakowane wyłącznie wąsami i bokobrodami.

Kuchnie, niewidoczne z mojego okna, mieściły się z prawej strony w niskim, oddzielnie stojącym budynku. Nad górami ukazało się słońce i wkrótce usłyszałem kroki służących na długich korytarzach, gdzie utrzymywała się woń siarkowych źródeł, jak zaduch wadliwej kanalizacji. Otwierano inne drzwi i zajmowano się innymi więźniami, ludźmi, których nigdy nie widziałem. Zazgrzytał klucz w moim zamku. Kobiety weszły do przedpokoju, pchnęły podwójne drzwi, wkroczyły z tacami, parującymi ręcznikami i bandażami, z uśmiechem w oczach i na ustach. Stare kobiety, które zacięły się w swojej dobroci. Kolejny dzień w Tilich.

Notatka:

Każdy ma pracę. To jest prawo praw.

Na śniadanie miałem dżem wiśniowy, świeże bułeczki, masło i kawę. Nic z tego nie było syntetyczne, ale już się do tego przyzwyczailem. Jedyne Państwo istniało za krótko, żeby osiągnąć pełną jednolitość. W tej jego części, która jest stanem umysłu, właściwie nic nie istniało.

Po myciu byłem jak zwykle wyczerpany. O tej porze zawsze zapadałem w sen nie budząc się do południa. Ale tego dnia nie miałem zamiaru zasypiać, tego dnia miałem uciec.

W wielkiej wykładanej kamieniem łazience, gdzie za poprzedniego rządu pacjenci zażywali kąpeli i popijali wody mineralne, wisiały na hakach blaszane wiadra przeciwpożarowe. Odkryłem, że ostatni hak był obluzowany. Pracując w tajemnicy przez kilka poranków, kiedy posługaczek nie było w pobliżu, wyciągnąłem hak ze ściany. Dłuższe jego ramię miało około trzydziestu centymetrów długości, był też odpowiednio ciężki. Wiadro schowałem za jedną z wielkich wanien.

Już wcześniej wplotłem w materac ukradziony kawał sznura. Teraz wyciągnąłem go i przywiązałem jeden koniec do haka. Mój nagi pokój był bardzo wysoki. Nad wewnętrznymi drzwiami za czasów uzdrowiska wisiała kotara: wyobrażałem sobie, że była bogata, obfita i aksamitna. Zdjęto ją – nie wiem, jak dawno temu, bo w Tilich czas jest czymś niepewnym. Ale pozostała stara szyna, na której kotara wisiała. Przysuwając łóżko i stając na wyższym oparciu od strony głowy mogłem wyjąć szynę ze ściany; upewniłem się co do tego kilka bolesnych dni wcześniej. Teraz wyciągnąłem ją i złapałem, zanim spadła na podłogę.

Notatka:

Każdy ma pracę. Nie Państwo, ale każdy z osobna powinien decydować o tym, czy ta praca ma sens.

Łóżko wróciło na miejsce. Wyniosłem krzesło do przedpokoju i wdrapałem się na nie z prętem od kotary w rękę. Wysoko nad moją głową w suficie była kłapa. Pchnąłem ją końcem pręta, ale ani drgnęła.

W głowie mi huczało. W ustach coś zaczęło mi się ruszać. Musiałem usiąść, kryjąc twarz w dłoniach. Wszystko to już kiedyś się zdarzyło, prawda? Czy nie była to czynność archetypowa? Zawsze coś było przed kimś zamknięte...

Ta myśl dodała mi siły. Podeszedłem do parapetu, gdzie leżał mój papier. Napisałem na nim: *Zawsze coś było przed kimś zamknięte*. Czy miało to głęboki sens, czy było zupełnie pozbawione znaczenia? Wepchnąłem kartkę do kieszeni i powtórnie wszedłem na krzesło.

Tym razem udało mi się ruszyć kłapę. Z wielkim wysiłkiem odepchnąłem ją, odsłaniając czarny otwór.

Starannie umieściłem na miejscu pręt i odstawiłem krzesło.

Potem stanąłem pod otworem i zakręciłem liną. Hak wyleciał w górę.

Początkowo chybiłem, omal nie rozwalając sobie głowy i strącając płatki tynku, które zaraz skrupulatnie pobierałem do kieszeni. Wreszcie przerzuciłem hak przez otwór nad głową. Trzymał mocno, kiedy szarpnąłem liną.

Teraz czekało mnie najtrudniejsze zadanie. Wspiąć się. Najpierw odpocząłem i napiłem się wody, zwilżyłem też sobie czoło. Potem zacząłem wdrapywać się na linę.

Przez krótką chwilę – $2n(x-ja)^2$ – leżałem z nogami dyndającymi w powietrzu, zanim zebrałem siły, żeby wdrapać się dalej. Ramiona i głowa bolały, ale wciągnąłem za sobą linę i zamknąłem klapę. Była zrobiona z cienkich deszczulek. Opuszczając ją spojrzałem z góry na swój pokój, obcy z tej nowej perspektywy. Dom! Poczułem ukłucie bólu. Tam byłem bezpieczny! Ach te rozstania!

Szpary między dachówkami dawały mi dość światła. W obu kierunkach widziałem jednostajny rytm belek. Owinąwszy się liną poszedłem w lewo, w stronę stajni.

Z uczuciem ciekawości mijałem inne klapy w podłodze. Pod każdą leżał więzień, odzyskując siły po dziennym przydziale kary.

Na końcu strychu zatrzymałem się przy ostatniej klapie, usiadłem i odpocząłem nieco. Potem uniosłem klapę. Wychodziła na górny podest schodów. Wszystko było tam matowo białe lub szare. Po schodach powoli wchodziła służąca, starsza, zgarbiona kobieta w białym fartuchu na czarnej sukni. Powstrzymałem się, żeby jej nie zawołać.

Jak tylko zapanowała cisza, zsunąłem się po linie. Nie mogłem uwolnić haka. Pierwsza osoba, która zobaczy zwisającą z sufitu linę, podniesie alarm. Szybko zbiegłem po szerokich, kręconych schodach.

Notatka:

Nie ma odejścia, jest tylko symbol odejścia. Nasze przyjazdy i odjazdy gubią się w czymś większym.

Na dole rzeczywiście mieściła się stajnia. Moja pokiereszowana twarz zdradziłaby mnie natychmiast jako więźnia. Po dziedzińcu kręcili się jacyś ludzie, ale byli za daleko, żeby zwrócić na mnie uwagę. Stanąłem we wrotach stajni.

Zapach siana, koni i skóry. Nocny patrol jeszcze nie wrócił; w stajni nie było nikogo. Na końcu rzędu pustych boksów stały dwa koniki. W Jedynym Państwie nie było właściwie koni: zwierzęta pociągowe i wierzchowe uzyskiwano drogą syntezy. Prawdziwe konie oglądałem dość często na filmach. Zobaczyłem zawieszane na ścianie siodła, ale nie wiedziałem, jak je przyczepić do zwierzęcia.

Na jednym z siodła leżała barania czapa, jakie noszą strażnicy. Weisnąłem ją na głowę i podszedłem do najbliższego konika. Było to myszate zwierzę z płowym brzuchem i długim ogonem. Przemówiłem do niego, odwiązałem jego kantar od żelaznego pierścienia. Pełne zaufanie! Przez cały czas nasłuchiwałem z zewnątrz okrzyków alarmu.

Wyprowadziłem konika z boksu i wsiadłem na niego z jakiegoś pieńka. Trzymałem się kantara i grzywy. Trąciłem go piętami w brzuch i ruszył żwawo do wyjścia. Wyjechaliśmy na dziedziniec. Odwracając się, poklepałem go po zadzie.

Przyśpieszył. Przemawiałem do niego i przynaglałem go piętami. Przemierzaliśmy dziedziniec. Ktoś mnie okrzyknął, ale przyjaźnie, człowiek z workiem na ramieniu. Pomachałem mu ręką!

Konik rozdał nozdrza i krótkim galopem ruszył ku równinie! Trzymałem się jakoś, przyklejony do jego grzbietu. Przeszedł w pełny galop! Krzyknąłem z podniecenia – rozpierała mnie siła idąca od konia. Czułem jak pracują jego mięśnie, jego drobne nogi migały pod brzuchem, kark wygięty w łuk, głowa do przodu, rozwiana grzywa zasłaniała mi oczy. Wciąż krzychałem! Ziemia pod nami rozmywała się, jak sypiące się ziarno i byliśmy daleko!

Notatka:

Z zielonym błyskiem radości pasożyty pożerają swoich gospodarzy. Jest to ich sposób oddawania czci.

Ach, ta jazda, powietrze gra w płucach moich i wierzchowca! Ruch był wszystkim, rzeczą samą w sobie. Udało mi się przez rozdygotane gałki oczne spojrzeć przed siebie. Przede mną rozciągało się jezioro obrośnięte rudą brodą trzciny. A wzdłuż niego biegła w szpalerze brzoź droga na równinę – dalej nie ma już drzew, może przez sto mil, dalej jest tylko równina, brunatna równina leżąca płasko aż do stóp gór. A na równinie – blisko, coraz bliżej! – trzy czarne podskakujące plamy. Wraca nocny patrol!

Gdyby mi się udało jego uniknąć... Za nimi równina, odwieczna sucha równina, na której stopa, kopyto i koło nigdy nie odcisną trwałego śladu. Zobaczyłem jakiś samotny kształt – szopę lub szopy, zniszczone, dalekie. Posterunek? Opuszczona kopalnia miedzi? Dalej na zachód Czarna Pustynia – wolność najbardziej elementarnego rodzaju, swoboda upadnięcia w końcu twarzą na szorstki piach planety!

Co nie znaczy, że zwątpiłem w swoje motywy w tym nagłym momencie. Wszystkie ucieczki są ucieczkami od siebie, od obowiązków, od przeznaczenia. Wszystkie ucieczki są odmianami niewoli. Narastało we mnie coś, czego najbardziej chciałem uniknąć – prawdziwa wolność!

Pojechałem więc na los szczęścia w stronę trzech jeźdźców.

Notatka:

Zaczyna rozumieć. Ucieka się zawsze tylko przed własnym ja, a to ja można zmienić.

Nie miałem broni. Nie mogłem też kierować swoim wierzchowcem. Wpuściłem z dłoni koniec kantara. Siedziałem tylko na grzbiecie konika i własnym tempem jechaliśmy na spotkanie zbliżających się strażników, którzy zaczęli gwizdać i dawać znaki, a potem pochylili się w siodłach, jadąc jak zrosnięci ze swoimi wierzchowcami, zdejmując broń z pleców. Ja tylko siedziałem bezwładnie.

Wśród rzadkich drzew mój koń ruszył galopem, nie wiem, ze strachu czy z radości. Zaczęłem się ześlizgiwać z jego spoconego grzbietu. Nagle straciłem uchwyt, krzyknąłem i spadłem.

Potoczyłem się wśród kęp szorstkiej trawy. Wstałem. Pobiegłem. Klucząc. Kryjąc się. Skokami. Żywy jak rozpędzony jelen.

W podobnych chwilach niebezpieczeństwa jest się spokojnym w środku. Jest się całością. Cały człowiek działa unisono, jak maszyna, jak jeździec i koń. Nawet, jeżeli wie, że nie ma szans!

Bo tamci trzej z grzotem kopyt walili wprost na mnie. Kierując końmi za pomocą stóp, kolan, całego ciała, z rękami zajętymi bronią. Drzewa były moją ochroną. Biegąc w stronę jeziora, w stronę trzcin, słyszałem wokół siebie świst pocisków. Chroniły mnie brzozy, ich wysmukłe łuszczące się pnie, srebrne, białe, srebrnoszare, czarne. Potykałem się wśród nich, ja i trzej jeźdźcy, złączeni dziwnym rytuałem polowania.

Jeden z nich wysforował się do przodu. Wstrzymał konia, wycelował. Stałem i spojrzałem na niego osłaniając ramionami głowę.

Konfrontacja. Pod baranią czapą prosta linia brwi, oczy pod brwiami. Zacięte usta. Członek plemienia z równin – poznałem to od razu z rysów twarzy. Podczas gdy zręcznym ruchem wymierzył we mnie swoją broń, skoczyłem na niego jak wilk. Strzelił.

Moje palce obsunęły się po kłębie jego konia, odpadły.

Potem tylko oderwane obrazy – nosze z gałęzi, derki pod siodłem i rozmazana faktura ziemi, po której strażnicy wieźli swoją zdobycz z powrotem do smutnego hotelu.

Notatka:

Jak sam mówi, rytuał. Rytuał polowania. Zachowany z czasów dawniejszych niż wynalazek ognia. Podniecająca przygoda wśród drzew. Stara krew gra w prowizorycznych żyłach. Niewiele nas ocalało z prehistorii.

Rozebrany do naga dla oględzin lekarskich. Przewieziony opancerzoną furgonetką z hotelu do izolowanych baraków na zachód od jeziora, gdzie trzymani są więźniowie specjalni. Zmuszony do wypicia jakiegoś gorącego płynu. Narkotyk z pocisku, którym trafił mnie strażnik nie pozostawił trwałych skutków. Byłem słaby, ale głowę miałem jasną, kiedy służące wyszły, pozostawiając mnie na drewnianej, wypolerowanej ławie.

Pomieszczenie było nagie poza dużym biurkiem, za którym siedziało dwóch przyglądających mi się mężczyzn, oraz terminalem komputera na osobnym stoliku.

Twarze obu mężczyzn były mi znane. Jeden to mały, blady człowieczyna z miękkimi rysami i szarymi oczami. Zachowywał się bardzo spokojnie, ale miał zwyczaj nerwowego odchrząkiwania, jakby chciał się za chwilę odezwać. Był tylko świadkiem. Zgodnie z wymogami prawa. Drugi to był mój śledczy. Jego charakter stanowił dziwną mieszankę. Częściowo sadysta, jak przystało człowiekowi jego profesji, ale nie bez wyobraźni – inteligentny osobnik, który lubi zadawać ból.

– Widzę, Sto Osiemdziesiąt, że zabłądziłbyś, gdyby nie strażnicy – powiedział. – Gdzie byś pojechał, gdybyśmy ci pozwolili?

– Nie wiem.

– Do domu?

– Nie wiem.

– Czy może miałeś szalony pomysł, żeby zamieszkać na pustkowiu?

– Nie wiem.

– Może chciałeś spędzić resztę życia wśród koczowników?

– Nie wiem.

Odpowiadałem ze spuszczoną głową, nadal wściekły. Moje ubranie wciąż jeszcze przesycone było silnym zapachem konia.

Notatka:

Ludzie osadzeni w antagonistycznych rolach, wbrew pozorom często współpracują ze sobą.

Na biurku leżała pałka. Widywałem ją już wcześniej. Kiedy ją wziął do ręki, drgnąłem mimo woli, ale nadal odtrącałem jego pytania. Koniec pałki był rozżarzony do czerwoności. Śledczy dotknął nim lekko jednej z blizn na mojej twarzy. Poczulem jak odzywa się we mnie jakiś system nerwów, którego istnienia nie podejrzewałem. Zacząłem drzeć, nie wiem, czy bardziej ze zmęczenia, czy z bólu.

Śledczy wstał i przeszedł się powoli po pokoju z uwagą wpatrując się w kamienne płyty podłogi. Za plecami trzymał pałkę.

– Słuchaj, Sto Osiemdziesiąt, kiedy uciekłeś, wzięłeś ze sobą kawałek papieru, znajdujący się obecnie w naszym posiadaniu. Może świadek zechce przeczytać, co więzień tam napisał?

Świadek wziął z biurka zmiętą kartkę papieru, odchrząknął i zaczął czytać:

– Wszystkie sztuki usiłują opisać jeden świt. Za moimi horyzontami rozciąga się Jedyne Państwo. Jego ulice pokrywają większą część zamieszkanego świata. Ja jestem z niego. Ono jest ze mnie. Człowiek je stworzył, żeby rządzić ludzkością. Czy możerny zbuntować się przeciwko niemu... czy może tak jest najlepiej? Moja mała rodzina jest jedną komórką. Moje

dzieci są tylko dziećmi, mogą być zabite, mogą zabić same. Jedyne Państwo może wybierać różne prawdopodobne przyszłości. Zawsze coś było przed kimś zamknięte.

Umilkł. Śledczy nadal przechadzał się po pokoju.

– Ciąg nie powiązanych myśli – powiedziałem. – Może wszystko mi się pomyliło.

– Kwestionujesz istnienie Państwa?

– Kwestionowałem swoje własne istnienie.

– Masz prawo krytykować Państwo. Istnieje po to, żeby służyć tobie w tym samym stopniu, w jakim ty służysz jemu. Nie jesteś w Tilich jako zdrajca.

Zapadła cisza. Pokój był pomalowany na białą. Cienie były szare. Przypomniałem sobie, jak spadłem z konia i potem biegłem wśród drzew. Bładość drzew, śmiałość rzeczy niekolorowych.

– Sto Osiemdziesiąt, czy pamiętasz, dlaczego tu jesteś?

Nie odpowiedziałem.

– Jesteś tutaj, bo za to zapłaciłeś, zapłaciłeś za miesięczny turnus cierpienia. Czy tak?

Skinąłem głową.

– Dlaczego odczuwałeś taką potrzebę?

– Rozmawialiśmy już na ten temat.

– Dlaczego odczuwałeś taką potrzebę?

– Niektórzy ludzie rodzą się z chromosomem y, który powoduje skłonności przestępcze. Ja urodziłem się z chromosomem K i mam skłonności do poczucia winy.

– Więc ta kara jest dla ciebie kuracją?

– Poprzednio był tu kurort.

Żałosna próba żartu.

Notatka:

Ze wszystkich wielorakich skłonności i cech człowieka jedynie nieliczne – czasem żadne – działają na korzyść jednostki. Nawet poganiacze często bywają poganiani.

– „Wszystkie sztuki usiłują opisać jeden świt”. Co chciałeś przez to powiedzieć?

– Nie jestem pisarzem. Może sobie przypomnę, jak zobaczę jeszcze jeden świt.

Pałka przed oczami.

– Co chciałeś przez to powiedzieć?

– Próbowałem zrozumieć, czym jestem. Czym są ludzie. Czym jest pan.

– I?

– Może... to staromodny pogląd... może całe społeczeństwo jest jakąś psychodramą. Wszyscy coś odgrywamy... Coś, czego nie rozumiemy.

– Coś religijnego?

– Hmm. Nie, antyreligijnego raczej. Antyludzkiego. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale chwyciłem przebłyski tego tutaj...

Długie milczenie. Zapach konia był jak kolor albo twarz widziana dawno temu, może kiedy się stało na szczycie schodów.

– Nie muszę ci chyba przypominać, że zostały ci tylko trzy dni przed powrotem do Miasta?

– Straciłem rachubę czasu. To już tylko trzy dni?

– Czy dlatego próbowałeś ucieczki?

Zwiesiłem głowę. Podeszedł i stanął przede mną. Znowu czułem, że drzę.

– Chciałem pomyśleć... W Mieście nie można pomyśleć, jak się ma pracę i rodzinę...

Notatka:

Myszę, że w tym momencie to Sto Osiemdziesiąt bardziej badał mnie niż ja jego.

– Będziesz musiał wracać do Miasta, chyba że... Wystąpiłeś o ukaranie po raz drugi. Bardzo nieliczni zgłaszają się do powtórnego ukarania.

Z wysiłkiem podniosłem oczy. W uszach rozbrzmiewał mi ogłuszający hałas towarzyszący przebłyskowi zrozumienia.

– Ale pan to zrobił!

Uśmiechnął się.

– Tak, ja tak...

Potem odwrócił się i wyszedł z pokoju. Po drodze krótki gest w stronę świadka. Świadek wstał i wyszedł za nim.

Oparłem się o ścianę i zamknąłem oczy. Cierpienie, umartwienie, czy to jest droga do zrozumienia? Czy ja rozumiałem? Jeżeli tak, to ile? Czy to była propozycja pracy?

Po chwili wstałem i podeszedłem do małego okienka, jednego z dwóch. Wychodziło na pochyły dach, pod którym siedzieli strażnicy. Dalej była już tylko równina, płaska i piaszczysta równina, dominujący element życia w Tilich. W oddali góry. Pozbawione znaczenia. Nieodgadnione. Wieczne. Równie przemijające jak wszystko inne. Możesz wybierać.

Notatka:

Kiedy ktoś zaczyna się zastanawiać, co znaczy „pozbawiony znaczenia” w przeliczeniu na życia ludzi, to dowód, że zaczyna rozumieć, co znaczy życie ludzkie.

Spałem smacznie na tej twardej ławce, póki nie obudziła mnie służąca z obiadem na tacy. Znałem tę kobietę. Miała pomarszczoną twarz i zniszczone ręce. Stawiając tacę powiedziała:

– Masz dziś czerwone wino, Sto Osiemdziesiąt.

– Dziękuję.

– Cieszę się.

Czy rzeczywiście cieszyło ją wykonywanie tej fizycznej pracy? A dlaczego by nie?

Jadłem nie myśląc, wypilem wino. Po skończonym obiedzie wróciłem do okna i patrzyłem na góry. W oddali widziałem jednego z konnych strażników.

Kiedy tak stałem i patrzyłem, wszedł śledczy.

Notatka:

Mowa. Kontakt z człowiekiem. Jedzenie. Wino. Góry. Równina. Wypisz w kolejności od najważniejszego. Możliwe pytanie do następnego badania.

Śledczy nie miał pałki. Nie towarzyszył mu też świadek, ale zobaczyłem, że wchodząc włączył urządzenie rejestrujące. Podeszedł i usiadł na ławce.

– Co wiesz o Jezusie Chrystusie?

– Wiem, że zmarł trzydzieści siedem wieków temu.

– Chciał, żeby ludzie mniej się okłamywali. Założył religię, kiedyś zakazaną, obecnie prawie wymarłą. Wiedziałaś o tym?

– Chyba kiedyś musiałem słyszeć. Zdaje się, że jest o nim jakiś wierszyk.

– W ciągu ostatnich dziesięciu stuleci Jedyne Państwo popełniło wiele błędów. Postęp ludzkości zawsze odbywa się zygzakami. Jeden z tych błędów – niekoniecznie najpoważniejszy – polegał na ignorowaniu różnic między ludźmi. Zostało to naprawione. Kiedyś człowiek z twoim zapotrzebowaniem na karę szukałby jej poprzez działania antyspołeczne, bo nie było innych kanałów, żeby je zaspokoić. Teraz Państwo naprawia winy ze swoich błędów, czy też, powiedzmy, ze skutków krótkowzroczności.

Spojrzał na mnie z ukosa.

– Jeżeli ci powiem, o co chodzi, możesz nie chcieć wracać do domu. Możesz nie chcieć opuścić tego miejsca.

Usiadłem na ławce obok niego.

– Co to takiego? – spytałem, nie patrząc na niego.

– Państwo uznaje, że świadomość człowieka ulega przemianie. Że gatunek ludzki dokonuje skoku. Że wkraczamy w okres, kiedy coraz więcej osobników – a w końcu cały gatunek – pogłębi swoją świadomość.

Nie mogłem znaleźć tego słowa. Po chwili wypowiedziałem je szeptem.

– Nadludzie?

– Nie jest to określenie, którego bym użył. Wiemy, że istnieją różne poziomy świadomości. Nie tylko zresztą świadomości. Pod nią też jest kilka poziomów, które stapiają się w jedną integralną świadomość.

– I Państwo pragnie, żeby osobnicy z taką świadomością byli po jego stronie?

– To Państwo chce być po ich stronie.

Moja świadomość podczas tej rozmowy rozszerzała się w najzupełniej dziwny sposób. Wprawilo mnie to w zachwyty. Jechałem przez te nasze zdania jak przez rzadki las, szukając właściwego tropu. Czy każda rozmowa była pomniejszonym przez odległość odbiciem pradawnych polowań, od których zależało życie? A skoro tak, to czy w tej rozmowie zwierzyna mogła być z krwi i kości? Czy też może wśród słownych refleksów, w tej ulotnej krainie psychicznego polowania, krył się jakiś rzeczywisty nowy cel?

– Czyżbyśmy go znaleźli? Tutaj, w Tilich?

I gdzie jeszcze, w tym samym czasie? Zobaczyłem, że wyczytał w moim spojrzeniu podejrzliwość.

– Kto może zaufać Państwu? – powiedziałem. Rozłożył ręce, on, który prawie nie robi gestów. – Nikt, nawet samo Państwo. Ale w ciągu stuleci zbudowało ono samo dla siebie pewne ograniczenia.

– Które może w każdej chwili obalić...

– Nie zapominajmy, Sto Osiemdziesiąt, że świat przeszedł przez stulecia rozlewu krwi. Od tamtych okropnych czasów Państwo nauczyło się nie wymagać zbyt wielkiej lojalności – lojalność jest najbardziej niebezpieczną ze wszystkich ludzkich cech. Państwo osiągnęło taką dojrzałość – tak sądzę jako jeden z jego sług – że może popierać świadomość większą niż jego własna.

Czyżbyśmy rzeczywiście wydostali się wreszcie z tego psychicznego lasu? Zadając sobie to pytanie wyczuwałem, że odpowiedź na nie kryje się w głębokich warstwach przyszłości. Najpierw należy zadać wiele pytań pomocniczych – polowanie trwało.

– Czy mogę spytać, jaka jest pańska rola w tym wszystkim?

– Skromna. Podobne „kurorty” jak ten istnieją od wielu pokoleń. Zajmują się ludźmi nieprzystosowanymi. Również nieprzystosowani muszą je prowadzić. To jest faktyczna płaszczyzna, na której ty i ja się spotykamy. Dopiero stosunkowo niedawno zdano sobie sprawę, że osobnicy z nową świadomością są z natury nieprzystosowani do społeczeństwa. Dlatego też Państwo wiedziało, gdzie ich szukać... Miało też gotowe szkółki do ich hodowli.

Tworzymy mały, ale stale rosnący zarodek.

Notatka:

Zadawał pytania, ale nie te oczywiste. Sam doszedł do oczywistej odpowiedzi. Od tej chwili uznałem, że Sto Osiemdziesiąt zdał egzamin. Jest tym, za kogo się uważa. Dla porządku załączam resztę jego wypowiedzi wraz z moimi notatkami.

Wstał. Zrobiłem to samo i staliśmy patrząc na siebie. Przypomniał mi się strażnik pędzący wprost na mnie na koniu, mrużąc oczy przed strzałem.

– Zostawię cię teraz samego, Sto Osiemdziesiąt. Masz dużo do przemyślenia. Wkrótce zostaniesz odstawiony z powrotem do hotelu. Nie zapominaj, że jak zawsze masz przedstawić tysiąc słów. Wszystko, co napisałeś dotychczas, zostało dostarczone do twojego pokoju. Do zobaczenia!

Skłonił się sztywno i wyszedł.

Zostałem sam, wpatrzony w masywne drewniane drzwi osadzone w pobielanej kamiennej ścianie. Ten człowiek... czy on też uważał się za jakiegoś nadczłowieka? Czy sądził, że będę z nim współpracował?

Mogłem sobie wyobrazić, jak zmieni się życie, a wraz z nim świat człowieka, kiedy zostaną uznane i wykorzystane nowe, oszałamiające bezmiary świadomości. Ale stare antagonizmy nigdy nie zanikną. Jak ta równina wokół nas nigdy nie wydadzą plonu. Mój śledczy pozostał moim wrogiem, chociaż pomógł mi zrozumieć moje możliwości. Czuć go było torturami i północną siarką. Budził we mnie tylko nienawiść.

Notatka:

Zapomniał na chwilę, że nawet równina przeżywa lato i zimę.

Przyszedł strażnik i odprowadził mnie do hotelu. Padłem na łóżko i natychmiast głęboko zasnąłem.

Notatka:

Jego umysł porządkował całe pokolenia dowodów.

Po przebudzeniu poszedłem do umywalki i ochlapałem sobie wodą głowę. Nadal potłuczoną. Lustro pokazywało odkształcenia w znajomym zarysie twarzy. A oczy? Wiedza jest niewidoczna jak powietrze. Ale mój krok, mój oddech mówiły mi prawdę.

Zapadły ciemności. Z zarośli ogrodu nie pozostało nic. Ale nisko nad horyzontem, na niebie pozbawionym już światła zebrał się osad dnia. Tego dnia! Ciemnoszare niebo, jasnocytrynowa linia światła. Z przeciwnej strony stały oświetlone jeszcze góry. Włączyłem lampę i zacząłem pisać na parapecie. Zacząłem od $2n(x - ja)^2$. Żart wymyślony w gorączy.

Pod spodem napisałem: *Życie było wtłoczone w ramy podręcznika. Teraz wskazówki zostały przyswojone. Odrzućcie książkę. Zmieńcie metafory. Życie i sztuka stają się jednym. Przedstawienie toczy się dalej, ale teraz aktorzy, krytycy i widownia jednoczą się na większej scenie. Dajcie spokój metaforom. Bądźcie nimi.*

Długo siedziałem nad tym wypracowaniem. (Papier nie dawał już odpowiedzi).

Zwaliłem się na łóżko i znów zasnąłem.

Nad ranem zaczęło się przesłuchanie. O drugiej przyszedł mnie obudzić ponury jak zwykle strażnik. Ubrałem się i poszliśmy. Dłgie korytarze były ciche i ciemne, strażnik niósł

latarnię. Jak zawsze przedtem w tym upiornym powtórzeniu, zeszliśmy na dół. Stara, miła woń siarkowych źródeł. W holu skręciliśmy w innym kierunku niż zwykle i zostałem wyprowadzony frontowym wejściem strzeżonym przez uzbrojonego strażnika.

Strażnik trzymał latarnię nad głową. Odruchowo spojrzałem w górę na ledwo widoczne czarne okna z liniami krat.

Poszliśmy do stajni. Ludzie palili tam i spokojnie popijali, grając w kości wokół małego ogniska. Strażnik przekazał mnie jednemu z oficerów, który dał mi gruby płaszcz i futrzaną czapkę. Koń był już osiodłany. Podsadzono mnie na siodło. Stajenny doprowadził mnie do wrót i szyderczo zsalutował.

Ściskając wodze ponagliłem konia i swobodnie przejechaliśmy przez dziedziniec.

Poza osłoną budynków odczułem lodowaty powiew ostrego, nocnego wiatru. Nad głową świecił sierp księżyca. Równina była pozbawiona szczegółów, bezkresna. Jechałem. Wierzchowiec i ja stanowiliśmy jedno.

W taką noc, w taką noc... w niezliczone noce ludzie jechali przed siebie, a ruch uspokajał ich podzielone umysły, jak doba podzielona na dzień i noc. W nowym rodzącym się porządku ruch zachowa swoją wartość.

Notatka:

Ruch. Zmiana. Płynność. Dotąd były zawarte w nieruchomych, wykutych przez człowieka formach. Wkrótce te formy zaczną się poruszać. Nie tylko poznamy siebie. Zrozumiemy, że wszystkie stracone pokolenia nieświadomości rodziły się z ochronnej sztywności. Z ustanowionych barier. Teraz nie boimy się już nieograniczonej wiedzy. Bariery opadają.

Mogłem jechać do końca równiny, jeżeli chciałem. I nigdy już nie wrócić. Nie chciałem. Świadomość, że taka możliwość istnieje, była wystarczająca. Wkrótce wrócę do hotelu wzmocniony symboliką tego galopu (jak tego byli pewni dyrektorzy hotelu). Teraz zrozumiałem, dlaczego napisałem sam do siebie: *Wszystkie sztuki usiłują opisać jeden świt.*

Teraz jechałem na spotkanie tego świtu! Noc i odległość dodawały tajemniczości odgłosowi kopyt mojego konia, który odbijał się echem od grupy budynków szybko rosnących w moich oczach.

Przełożył Lech Jęczmyk

O autorze

Brian W(ilson) Aldiss (ur. 1925), najbardziej znany brytyjski pisarz SF, za zasługi dla literatury odznaczony Orderem Imperium Brytyjskiego. W czasie II wojny światowej służył na Dalekim Wschodzie. Po powrocie do Anglii pracował jako księgarz, w 1954 debiutował powieścią *Starswarm*. Już trzecia jego książka, *Non stop*, opublikowana w 1958 przyniosła mu wielkie uznanie. To historia potomków załogi wielopokoleniowego statku kosmicznego. A wydana w 1962 *Cieplarnia* przyniosła mu nagrodę Hugo. Otrzymał jeszcze nagrodę Nebula za *The Saliva Tree*. Wiele jego utworów było nominowanych do tych nagród, w tym „Człowiek ze swoim czasem”.

Aldiss pisze równie chętnie powieści, co opowiadania. Tu jego dorobek jest olbrzymi. W Polsce opublikowano dwa jego zbiory *The Best: Kto zastąpi człowieka?* oraz *Chwilę zaćmienia*, zawierającą opowiadania, które Aldiss sam wybrał dla polskiego czytelnika jako najbardziej interesujące.

Twórczość Aldissa jest bardzo różnorodna, od science fiction, której jest cały czas wierny (napisał m.in. historię SF, *Billion Year Spree*, wywodząc jej dzieje od *Frankensteina* Mary Shelley), przez powieści głównonurtowe, poezję, krytykę literacką po autobiografię. Wciąż bardzo aktywny zawodowo, także w ruchu fanowskim (odwiedził Polskę dwukrotnie).

Wśród powieści należy wymienić trylogię Helikonii (o planecie w niezwyklej układzie gwiazdowym, na której pory roku trwają całe stulecia: *Wiosna Helikonii*, *Lato Helikonii* i *Zima Helikonii*), *Mroczne lata świetlne* (o niemożności nawiązania kontaktu z cywilizacją, która z powodu swojej fizjologii i tabu jest uważana za zwierzęcą, pomimo wysokiej inteligencji), *Malacjański gobelin* (liryczne arcydzieło o świecie w stanie permanentnej stagnacji), *Siwobrody* (o końcu cywilizacji ludzkiej, która staje się sterylna).

Każda powieść Aldissa jest oryginalna, nie wędruje utartymi ścieżkami

IAN WATSON

Okna

Twórczość Watsona może służyć do studiowania różnic między fantastyką amerykańską a brytyjską. Jego pisarstwo, choć tryska oryginalnymi pomysłami, jest osadzone w brytyjskiej, konserwatywnej kulturze. „Okna” korespondują z klasycznym „Kryształowym jajem” H.G. Wellsa.

Okna

- Skąd się wzięły Okna, Danny?
- Wiadomo, z Marsa.
- Wyprawa Venturera znalazła je na Marsie. Ale, jak przypuszczasz, skąd się tam wzięły?
- Tato, czy mogę dostać Okno na urodziny?
- Jak mi odpowiesz...
- Wiesz, że nikt tego nie wie.
- Spróbuj zgadnąć.
- Może zrobili je Marsjanie.
- Jacy Marsjanie, Danny?
- Może Okna to są Marsjanie!
- To skąd się biorą mali Marsjanie?
- Odłamuje się jedno Okno i ustawia się je w ziemi. Z niego wyrasta drugie Okno pod kątem, e-e-e, czterdziestu pięciu stopni. Potem z drugiego wyrasta trzecie Okno, co tworzy triadę. Triada Okien jest jak wielki pryzmat pusty w środku.
- I co wtedy?
- Nic. Póki się nie oderwie jednego Okna, żeby zacząć od nowa.
- Zatem, żeby Okna się rozmnażały, potrzeba interwencji z zewnątrz.
- Jak z pszczołami zapylającymi kwiaty.
- Niezupełnie. Potrzebna jest istota, która jest ciekawa, zachłanna i ma ręce.
- Albo macki. Albo kleszcze. Może pradawni Marsjanie byli...
- Ośmiornicami? Krabami?
- To głupie!
- Okna też nie mają wielkiego sensu, Danny. Chyba że zostały zostawione na Marsie specjalnie po to, żebyśmy je znaleźli.
- Może wyrosły z marsjańskiej gleby same z siebie, jak olbrzymie kryształy?
- Zaledwie kilka lat temu było tylko sześć triad. Teraz na Ziemi są ich miliony i nadal je rozmnażamy.
- Ogrodnicy też rozsadzają rośliny, żeby je rozmnażać.
- Ale to nie są rośliny. Nie wiemy, co to jest.

– Jeżeli myślisz, tato, że to są najeźdźcy, to jesteś paranoik. Okna nie mogą nic robić bez nas. Nasz nauczyciel mówi, że z tego powodu nie mogą być maszynami von Neumanna.

– Co to za maszyny?

– Takie, które mogą się rozmnażać. Od nazwiska Johna von Neumanna, geniusza od komputerów. Przypuśćmy, że jakaś obca rasa chce opanować Wszechświat. Najprostszym sposobem byłoby rozesłać maszyny von Neumanna do najbliższych układów gwiazdnych. Maszyny te z materiału asteroid budowałyby swoje kopie. Część zostawałaby na miejscu, większość ruszałaby do następnych gwiazd. Te, które by zostały, badałyby swoje układy słoneczne i przesyłałyby informacje do swoich twórców, albo mając wzorce DNA swoich twórców, budowałyby żłobki i odtwarzały ich. Ale Okna tylko stoją. Czy moglibyśmy i my mieć jedno?

– Nie, bo zrobiłyby się z niego trzy.

To jest kwintesencja przynajmniej setki takich rozmów, które Danny ze mną przeprowadził, zanim mój opór wreszcie osłabł. Rząd nasz w swojej mądrości postanowił, że każda osoba prywatna może posiadać Okna, jeżeli tylko wykupi licencję i ma skończone osiemnaście lat, jakby posiadanie Okna było odpowiednikiem prowadzenia samochodu albo kupowania alkoholu. Co prawda, system licencyjny pozwalał rządowi na kontrolowanie liczby Okien w kraju i ich lokalizacji – z wyłączeniem oczywiście, dzikich. Limit wieku, rzekomo dla ochrony wrażliwej młodzieży, był tu dodatkową wymówką, która zresztą nie miała najmniejszego sensu, bo dzieciaki miały aż nadto okazji, żeby gapić się na Okna. Okna były wszędzie. Jestem przekonany, że rząd kierował się głównie chęcią pozyskania dodatkowego pieniądza. Podobno w osiemnastym wieku rząd brytyjski obłożył podatkiem zwykłe szyby okienne. Pamiątką tego są zamurowane okna w różnych starych budynkach. Teraz mieliśmy podatek okienny w nowej formie.

Mnie to nie przeszkadzało. Potrafiłem się oprzeć naleganiom Danny'ego przez lata.

Rzecz jasna początkowo Okna były diablo drogie, rzadkie cuda z Marsa. Po sześciu czy siedmiu latach widziało się Okna na każdym kroku, chętne ludzkie ręce rozmnożyły je i cena ich odpowiednio spadła. Nie sądzę, żeby widziało się zbyt wiele Okien w Mongolii Zewnętrznej albo na Nowej Gwinei. Ale większość miejsc na Ziemi szczyła się bogatym plonem Okien – prywatnych, publicznych, firmowych i innych.

„Tato, kiedy dorosnę, chcę być pomywaczem Okien!” To Danny, w wieku ośmiu lat. W tamtym roku jego matka zginęła w wypadku samochodowym. Danny widział wtedy Okno raz na własne oczy, chociaż w telewizji pokazywano je często i Danny wymyślił sobie, że skoro zwykłe okna trzeba myć, to Okna z Marsa też wymagają mycia.

W pewnym sensie miał rację. W pierwszym okresie niektórzy sprytni biznesmeni zbili fortunę wmawiając ludziom, że mycie marsjańskich Okien wymaga szczególnych umiejętności i środków chemicznych. Teraz właściciele po prostu zlewali je ogrodowym

wężem. Okna nie ulegały zadrapaniom i nie matowiały. Nie były też zbyt kruche, chociaż cegła rzucona z odpowiednią energią mogła rozbić Okno i zniszczyć widok.

Widok...

Pamiętam, jakby to było wczoraj, że pierwszy prawdziwy widok przez marsjańskie Okno zobaczyliśmy z Dannym, kiedy on miał osiem lat.

Owo Okno, które wówczas kosztowało jeszcze tyle co Rolls Royce, było wystawione w domu towarowym Harrodsa i musieliśmy stać w kolejce, żeby do niego podejść.

Wyglądało jak szklana tafla rozmiarów drzwi w mieszkaniu, z pogrubioną podstawą na dole wyrastającą za skrzynki z ziemią. Z jednego boku wyrastało z niego drugie, jeszcze ślepe i nie w pełni uformowane Okno, czerpiąc materiał z gleby zapewne drogą osmozy, a może także z powietrza przesyconego aromatami świeżo palonej kawy, pasztetów z dziczyzny i serów.

Widok w Oknie nie przedstawiał rozciągającego się za nim działu delikatesów, lecz krajobraz księżycowy: kratery i głazy, czarne jak noc cienie i oślepiająco białe równiny pod rozgwieżdżonym niebem. Widok był niezwykle realny. Zdawało się, że można wejść w ten księżycowy krajobraz – tyle że nikt nie potrafi przejść przez Okno.

Ten księżyc zdecydowanie nie był naszym księżycem, bo na niebie wisiały dwa słońca. Jedno małe, oślepiająco błękitne, drugie wielkie, czerwone.

Z jego małą łapką w mojej dłoni krok po kroku przeciskaliśmy się z Dannym przez tłum, obchodząc wokół Okna. Z drugiej strony widok był inny. Pokazywał on łąkę zielonych mchów otoczonych kępami drzewiastych paproci, których liśćmi kołysał wiatr. Cytrynowe oświetlenie, baranki chmur na niebie. Przelatują tłuste włochate owady przypominające ogromne pszczoły.

Okno na obcy świat z obcym życiem.

W miarę jak okna mnożyły się w ciągu następnych lat, przekonaliśmy się o zakresie – i ograniczeniach – dostępnych nam widoków.

Wiele Okien pokazywało planety i księżyce pozbawione życia. Inne pokazywały światy z roślinnością i istotami żywymi. Żadna z tych istot żywych nie zdradzała objawów wysokiej inteligencji. Nigdy nie wypatrzyliśmy oznak cywilizacji, nawet w postaci ruin.

(Czy niektóre Okna pokazywały obce cywilizacje? Czy takie Okna zostały natychmiast przejęte przez władze? Mało prawdopodobne. Nowe widoki pojawiały się nieustannie w nowo wyrosłych Oknach i tajemnicy nie udałoby się utrzymać).

Pewna część Okien ukazywała obrazy Ziemi i ludzi. Bezludne krajobrazy można było przypisać jakimś okolicom w Chinach, Kanadzie, Argentynie lub Australii. Sceny z ludźmi można było umiejscowić dokładnie: winnica we Włoszech, stacja kolejowa w Japonii.

Może po prostu jeszcze nie natrafiliśmy na widok obcej cywilizacji. Może pierwszy taki widok znajdziemy po obejrzeniu pięćdziesięciu milionów Okien, albo po stu milionach. Czy to miała być zachęta? Przynęta mająca nas skłonić do tworzenia coraz to nowych Okien?

Ludzie wciąż rozdzielali triady i osadzali każdą część osobno, żeby je rozmnożyć.

– Zgoda, Danny, kupimy Okno.

Do tego czasu była na Marsie i wróciła druga ekspedycja. Venturer Dwa nie znalazł nowych gniazd Okien ani nic innego, co wywołałoby poruszenie na Ziemi. To prawda, że nie przeczesano drobiazgowo całego Marsa, ale może na naszej bratniej planecie nie było już nic do odkrycia poza skałami, piargami i pustkowiem. Może kiedyś powstanie stała baza ludzi na Marsie, a może nie.

– Gdzie je ustawimy, tato?

– Przy tarasie. Wyrzucimy róże. Ale ograniczymy się do jednej triady, zgoda? Nie będziemy ich rozsadzać.

– Wtedy nie można obejrzyć widoku z drugiej strony.

– Można, tylko trzeba skorzystać z drabiny.

Badania naukowe nad Oknami nie przyniosły, mówiąc oględnie, rewelacji. Nie wiedzieliśmy nic o ich wewnętrznej strukturze, kiedy były całe i demonstrowały widok. Z drugiej strony można je było tłuc i topić – co niszczyło tę strukturę – żeby analizować ich skład chemiczny. Składały się głównie z krzemu i innych pospolitych pierwiastków. Widocznie potrafiły przekształcać materiał z otoczenia w potrzebne im składniki we właściwych proporcjach, co czyniło je zaiste niezwykle ciekawymi przedmiotami, tak niezwykle, że nauka nie wiedziała, co z nimi począć.

Dopóki żyła Ruth, pracowałem jako projektant wyposażenia domowego. (Ruth została zabita przez ciężarówkę z przyczepą, którą zarzuciło na chodnik).

Zacząłem od projektowania kuchni, potem zacząłem robić łazienki. To ja zaprojektowałem Wielorybią Wannę w kształcie kaszalota (tylko mniejszą!). A także wannę krokodyla i wannę hipopotama. Że nie wspomnę o kabinie natryskowej Grota Nimfy. Po śmierci Ruth musiałem się zająć Dannym i pracowałem na zlecenie w domu. Wymyśliłem totemowe kurki z głowami zwierząt lub ludzi jak Hitler, czy Yoko Ono. Projektowałem sedesy w kształcie zwierząt z otwartymi paszczami. Siadało się na skraju paszczy, a na zakończenie opuszczało jęzor. Projektowałem umywalki z holograficznymi nagimi damami pluskającymi się w zbiorniku. Wszystko to zyskiwało popularność wśród ludzi mających dużo pieniędzy. Dlaczego nikt nie pomyślał o tym wcześniej? Bo nikt nie wiedział, że jest zapotrzebowanie na takie rzeczy, póki ja ich nie wymyśliłem. Można było zawsze na mnie liczyć, że wyskoczę z jakąś nową ekstrawagancją.

Może kiedyś ktoś napisze książkę o moich uduziwnionych projektach. Gdybym pisał do niej wstęp, zasugerowałbym, że byłem zwiastunem czegoś, co miało dopiero nadejść, a mianowicie wykorzystania inżynierii genetycznej do tworzenia przedmiotów z mięsa i futra zwierząt – przedmiotów na użytek człowieka: łóżek, które masują i ogrzewają, krzesel dostosowujących się do kształtu siedzącego, sedesów żywiących się odchodami.

Niewykluczone, że mój brak entuzjazmu dla Okien wynikał z podejrzenia, że nas też ktoś wykorzystuje. A w dodatku to, że one same siebie projektowały.

Nasze Okno z jednej strony pokazywało w dzień ożywioną ulicę targową, niewątpliwie arabską, w nocy zaś tę samą ulicę prawie zupełnie opustoszałą. Widok z drugiej strony przedstawiał niezmienną, złocistą pustynię. Słońce tak wolno wędrowało przez niebo, że dzień mógł tam trwać rok.

Urządziliśmy oblewanie Okna.

Wśród wielu gości Danny zaprosił swoją pierwszą w tyciu sympatię imieniem Thea (skrót od Dorothea), pulchną, rudą szesnastolatkę. Ja zaprosiłem swoją aktualną dystygowaną przyjaciółkę, Denise. Denise była trzydziestoletnią popielatowłosą rozwódką z nieco zadartym nosem, zgrabną figurą i ironicznym, zaczepnym spojrzeniem. Byliśmy w łóżku trzy razy w ciągu tyłuż miesięcy. Dwa razy była słodka, raz okropna. Denise nadawała na kilku częstotliwościach zrozumienia i przyjaźni, a jednocześnie na pewnej fali, która nie budziła we mnie najmniejszego zaufania. Było to coś skrycie niszczącego osobowość, jakieś egoistyczne okrucieństwo. Obawiałem się, że przy bardziej długotrwałym związku może to zagłuszyć przyjemniejsze częstotliwości. Teraz jednak była to szczypta niebezpieczeństwa dodająca naszemu związkowi pieprzyku. Denise zmuszała mnie do ciągłego napięcia. (Gdybym się z nią ożenił, mogłaby mnie zamęczyć na śmierć).

Gwoździem naszego przyjęcia wcale nie było nasze nowe Okno. W ostatnich dziesięciu latach ludzie naoglądali się dość Okien. Ośrodkiem zainteresowania była Donna-Jean Scott, geolog z drugiej ekspedycji na Marsa.

D-J była drobną czarnoskórą kobietą z Nowego Orleanu, która błyskawicznie bogaciła się na honorariach z telewizji, prawach do książki, konsultacjach i reklamie. Załoga Venturera Dwa składała się z siedmiu mężczyzn i czterech kobiet. D-J zyskała wielką popularność, kiedy zdradziła, skąd się wzięła ta proporcja – zaproponował ją psycholog-astrolog z Kalifornii, stojący na czele Ośrodka Numerologii Emocjonalnej.

Ściągnąłem ją na przyjęcie przez Sama Jakobsa, szefa londyńskiego oddziału międzynarodowej korporacji, dla którego zaprojektowałem unikalną zwierzęcą łazienkę. D-J reklamowała ostatnio nowy ośrodek turystyczny na Antarktydzie, który firma Sama uruchomiła w ramach ubocznej działalności. Antarktyda i Mars były pod pewnymi względami bardzo do siebie podobne. Oba miejsca były pustynne i piekielnie zimne. Nie

muszę mówić, że czarna skóra znakomicie kontrastowała z bielą lodów, a śnieżne połacie filmowane przez czerwony filtr bardzo przypominały marsjańskie wydmy.

Moje motywy, żeby ściągnąć na przyjęcie Donne-Jean Scott były wielorakie. Po pierwsze, chciałem zrobić przyjemność Danny'emu i podbudować go w oczach przyjaciółki. Po drugie, żeby pohamować jej młodzieńczą zuchwałość – ktoś ze statusem (czy raczej sławą) D-J powinien powściągnąć najbardziej rozwydrzoną pannicę. Po trzecie, żeby dać do zrozumienia Denise, że potrafię zainteresować damę z wielkiego świata. A także dlatego, że będąc na koniec posiadaczem Okna, szukałem gwarancji, potwierdzenia.

Wieczór był słoneczny. Na ruszcie skwierczały kebabcze i bratwursty. Lutnista w średniowiecznym stroju – niezły pomysł – śpiewał ballady. Dwóch wynajętych kelnerów krążyło z tacami zimnego Hocka i cieplejszego burgunda. D-J uprzejmie podziwiała ruchliwy arabski rynek i obcoplanetarną pustynię.

– Czy to Mars? – spytała Thea, wskazując obraz pustyni.

– Nie, kochanie, to nie ten kolor.

– Może to jakaś okolica Marsa, której pani nie odwiedziła? – powiedziała Denise. – Leżała za następną wydumą, ale nasypało się pani piasku do butów i wróciła pani na statek.

– Jeździliśmy pojazdami pustynnymi – pouczyła ją D-J. – A gdyby komuś nasypało się piasku do butów, byłby nieboszczykiem.

– Szkoda, że nie ma tam piramid i wielbłądów – ciągnęła Denise. – To musi być strasznie nudne miejsce, ten Mars. Poza Oknami.

Przypomnienie, że Okna zostały odkryte przez pierwszą wyprawę?

– Nuda, kochanie, to stan duszy. A w miejscu takim jak Mars, nuda zabija.

– Naprawdę jest aż tak źle? – spytała niewinnym głosem Denise. – Chodzi mi o to, że jeżeli człowiek nie ma się na baczności przez cały czas...

– Donna-Jean – wtrąciłem się – byłaś, zdaje się, na miejscu odkrycia pierwszych okien?

– Tak, zajrzeliśmy tam. Nadal stało tam sześć triad, takich samych, jak wtedy. Pamiętacie, że pierwsza wyprawa przywiozła dwie nietknięte triady na Ziemię. Ale przedtem rozebrali jedną, która wypuściła dwie kopie. Patrzcie, wasze Okno też już pączkuje.

I rzeczywiście.

– Czy Okna mogą kiedyś zająć całą Ziemię? – spytała Thea.

D-J roześmiała się.

– Nie, bo to zależy od konsumentów. Musi istnieć jakaś granica nasycenia rynku, podobnie jak dla każdego innego produktu. Należy rozpatrywać modę na Okna jako zjawisko ekologiczne. Po jakimś czasie nisza wypełnia się, tak samo jak w przyrodzie, i zapotrzebowanie spada.

– Czy nie sądzi pani, że to Obcy mogą nas obserwować przez Okna? Że do tego właśnie służą? – odezwał się Danny.

– Wątpię. W jaki sposób ten obraz miałby do nich dotrzeć?

– Za pomocą szybszych od światła cząstek, których nie potrafimy wykryć.

– I na których istnienie nie ma żadnego dowodu. – D-J potrząsnęła głową i wzniosła szklankę z burgundem. – Za wasze nowe Okno i jego potomstwo. Żeby pokazały coś naprawdę fascynującego.

– Nie sądzicie, że Okno jest jak automat do gry? – zauważyła Denise. – Gramy i gramy w nadziei, że kiedyś trafimy na wielką wygraną.

Przyszedł mi do głowy obraz toalet wzorowanych na automatach do gry, w których spuszczałoby się wodę za naciśnięciem dźwigni. Co stary Freud mówił na temat pieniędzy? Że pieniądze są jak fekalia? Że gromadzenie pieniędzy to powrót do dziecięcego syndromu zatrzymywania stolca.

Gdybym zaprojektował toalety wzorowane na automatach do gry, mogłyby trafić do głębokiej podświadomości bogatych nabywców...

Czy też wzbudziłyby w moich klientach niewytłumaczalny lęk przed bankructwem, powodując zatwardzenie?

Wymagało to przemyślenia.

Okno numer dwa wyrosło w ciągu tygodnia. Kiedy tylko osiągnęło pełne rozmiary, ukazały się obrazy. Jeden przedstawiał lodowiec, który mógł się znajdować na Ziemi albo na jakiejś planecie w drugim końcu Galaktyki. Trudno było osądzić; słońce i księżyc wyglądały bardzo podobnie do naszych. Drugie przedstawiało sawannę, zdecydowanie już nie na Ziemi. Pasły się na niej szcudłowate stwory przypominające szare flamingi z głowami gazeli. Co jakiś czas stwory rzucały się do ucieczki, może spłoszone przez jakiegoś skradającego się drapieżnika, a może po prostu, żeby nie wyjść z wprawy.

Danny spędzał długie godziny przyglądając się tym widokom, jakby się czuł właścicielem tej sawanny i tego lodowca.

– Dwie wiśnie – powiedziała Denise, kiedy przyszła następnym razem.

– Nie rozumiem.

– Dwie wiśnie w automacie do gry. Najniższa wygrana.

Objęła mnie w pasie i przytuliła się czule. Może po prostu, żeby nie wyjść z wprawy.

W owym czasie jakaś część mnie uznała, że większość mojej twórczej energii została zmarnowana lub wykorzystana dla celów groteskowych. W tym samym czasie inna część mnie nadal produkowała nowe pomysły w rodzaju toalet w kształcie automatów do gry.

Okna dawały jakby perwersyjne odbicie mojej działalności. Tworzyły coraz to nowe obrazy odległych miejsc... które nie warte były odwiedzin. Nawet, gdyby istniała taka możliwość.

Jedynie naprawdę pociągające widoki przedstawiały Ziemię.

Czyżby to był prawdziwy cel Okien? Zniechęcić nas? Dostarczyć nam mnóstwa pustych obcoplanetarnych krajobrazów, plus garść ziemskich widoków, gdzie nareszcie działo się coś interesującego?

Czyżby Okna były dobrotliwym, choć zagadkowym, dziedzictwem jakiejś wyższej obcej cywilizacji, która znajdowała się w przededniu załamania, a może emigracji do sąsiedniej galaktyki lub osiągnięcia nirwany? Czyżby miały nas ostrzec przed marnowaniem czasu na daremne poszukiwania?

Zawsze uważałem się za pioniera mody. Czyżby mój obecny nastrój miał zarazić całą ludzkość, w miarę jak Okna będą się rozmnażać ukazując nowe pustynne miejsca?

Ale rozważmy też możliwość złośliwego spisku. Czy Okna mogły zostać umieszczone na Marsie po to, żeby nam odebrać ducha? Że w rzeczywistości Wszechświat jest pełen bajecznych światów i cudów, marzeń i przygód, miast i pałaców? A my, po obejrzeniu miliona Okien, nigdy byśmy w to nie uwierzyli.

Możliwe też, że się zwyczajnie starzałem. Danny chyba wolał puste, obce krajobrazy od arabskiego bazaru. Były dla niego bardziej pociągające. To samo z Theą. Może odpowiadało to poczuciu dojmującej pustki wieku dojrzewanego, temu hormonalno-elegijnemu smutkowi, który skłania do pisania marnej poezji.

Z naszego drugiego Okna zaczęło wyrastać trzecie, mające dopełnić triadę.

Ostatnie Okno włączyło obraz pewnego popołudnia, kiedy byłem w domu sam. Wyszedłem do ogródka, żeby zobaczyć, co się tam dzieje.

Ujrzałem smaganą wichrami i oświetloną zimnym blaskiem tundrę. Światło rozsiewał kwartet małych księżyców. Na niebie dominowała jedna wielka konstelacja. Natychmiast pomyślałem o niej jako o „Małpie”. Małpa iskała się z pcheł, czyli mniejszych gwiazd. Może nasze Słońce było jedną z tych pcheł, a może nie.

To urocze i niesamowite: w słoneczne popołudnie stać i oglądać noc na obcej planecie. Tak, urocze. Oto było okno w mój własny mrok.

A jakże olśniewający byłby to widok, gdyby nad tą tundrą wzeszło słońce po zachodzie naszego Słońca! Nie musielibyśmy wtedy zapalać wieczorem lampy na tarasie. Oszczędność elektryczności dzięki nieznanemu gwiazdzie.

Kiedy w godzinę później wrócił Danny z nieodłączną teraz Theą, zachwycili się tundrą w świetle księżyców i wyszczerzoną małpą na krzywych nogach drapiącą się pod pachami, która zajmowała środek nieba.

– A co jest od wewnątrz? – spytał Danny.

– Właśnie, co pokazuje druga strona? – zawtórowała mu Thea.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie zajrzałeś, tato?

– Pomyślałem, że zostawię to wam – skłamałem.

Danny przyniósł z szopy dwa wysokie stopnie.

– Przynieś też drabinę – przynagłała go Thea. – Chcę wejść do środka. Możemy tam wejść oboje.

Drabina plus dwa ciała wciśnięte między trzy płaszczyzny wielkości drzwi?

– Będzie wam tam ciasno – powiedziałem.

– Wcale nie będzie ciasno. Będzie zabawnie – nalegała Thea.

– Jak sobie chcecie.

I Danny poszedł po naszą lekką aluminiową drabinkę.

Czy będą się tam ścisnąć i całować, w przestrzeni między trzema światami?

Przez chwilę wyobraziłem sobie (i natychmiast odrzuciłem) projekt wykorzystania triady Okien jako kabiny natryskowej. Bo któż chciałby wchodzić do kabiny po drabinie?

Ale fakt ten nasunął mi myśl, że nikt nie próbował wprowadzić Okien do wnętrza domów. Oczywiście, trudno wprawić na miejsce zwykłej szyby Okno, które wypuszcza dwa następne. Ale może jest jakieś zastosowanie dla Okien we wnętrzu?

Miejmy nadzieję, że nie takie, jak wykorzystywanie dolnej części nóg słoni jako stojaków na parasole. Elementy stroju i dekoracji wnętrz z martwych zwierząt, zebr, krokodyli, tygrysów, zdecydowanie wyszły z mody. Zostały potępione. Jednak odwieczne pragnienie myśliwego, żeby udekorować swoją jaskinię trofeami polowań, musiało znaleźć ujście. Stąd mój sukces z wannami i toaletami w kształcie zwierząt.

W tym momencie usłyszałem znajomy tryumfalny ryk samochodu Denise. Dojeżdżając na miejsce Denise zawsze dawała gaz do dechy, zanim się zatrzymała. Zupełnie jakby samochód był zakatarzonym dzieckiem, a ona z przesadnym staraniem wycierała mu nos.

Wpuściłem ją i bez pytania nalałem jej Campari z wodą sodową, a sobie whisky. Kątem oka, przez otwarte na taras drzwi, zauważyłem DannyLego, który balansował na stopniach. Ze środka triady wystawał koniec drabinki, ruda głowa właśnie znikająca z pola widzenia.

Dlaczego ludzie piją Campari? Dla mnie miało ono smak płynu do płukania ust. Według mnie Campari z wodą sodową powinno się stosować wyłącznie w gabinetach dentystycznych, jako środek dezynfekcyjno-uspokajający.

Denise i ja trąciliśmy się szklankami.

– Na zdrowie.

– Salute.

Wyraźnie wpadałem w coraz głębszą depresję, tak jak Danny zagłębiał się teraz w ciasny graniastosłup dalekich światów. Wszystko wydawało mi się nieudane i bezwartościowe.

Może najbardziej przygnębiająca w tym wszystkim była niemożliwość przekroczenia granicy światów, nawet jeżeli nie były one warte odwiedzin. W ten sposób drażniły podwójnie. Nagle poczułem nienawiść do Okien, choć prawdopodobnie była to tylko nienawiść do samego siebie.

Krzyk rozciął popołudnie niczym nóż rozcinający ciało.

Wybiegłem z domu, Denise za mną. To nie był krzyk, jaki wydaje ktoś, komu nadepnięto na palce.

– Danny! – zawołałem.

– Thea! – krzyknęła Denise. Widocznie zauważyła, że ruda czupryna też zniknęła. Tylko dlaczego wołała Theę? Czy dlatego, że ja tego zaniedbałem? Zapewne!

Danny pośpiesznie wychodził ze środka triady na schodki, omal ich nie przewracając.

– Tato, na pomoc, tato! – krzyczał. Podbiegłem i podtrzymałem go.

– Co z Theą?

– Nie ma jej, tato. Nie ma. Błysnęło światło, zrobił się przeciąg i... ona przeszła przez Okno! Jest po drugiej stronie!

– Zejdź ze schodków! Puść mnie tam!

Danny pośpiesznie zszedł, a ja stanąłem na górnym schodku, przechyliłem się przez krawędź i zajrzałem do środka.

Złota pustynia. Thea stała rozglądając się w przerażeniu. Oddychała, nie padła otruta i nie straciła przytomności. Machała bez przekonania ręką raz w jedną stronę, raz w drugą. Nie widziała mnie, może nie widziała też Okna. Palilo słońce.

Sawanna. Tam też stała Thea, po kolana w trawie. Kilka tych flamingo-gazeli podskakiwało w tle. Thea stała jak skamieniała, blada, wpatrzona w jeden punkt.

Trzecie Okno...

Jeszcze raz Thea. Tym razem w mieście. Nie było to miasto na Ziemi. Kolumny z różnokolorowych płyt, przebite czarnymi wieżycami, pięły się ku szaremu, pochmurnemu niebu. Płyty przyczipione do wież, jak kwiaty łubinu. Thea stała na poboczu szerokiej brunatnej ulicy, po której poruszały się pojazdy jak mętne banie na miękkich kołach. Thea krzyczała, zbliżały się do niej... istoty. Były to pionowe szare walce, z oczami i jakimiś innymi organami na szczycie, z małymi kaczymi łapami i cienkimi, wiciowatymi rękami. Chodzące robaki obwieszane jakimiś torebkami, pudełkami i gronami srebrzystych kulek.

To była główna wygrana Obcych.

Nagrodę stanowiło natychmiastowe przeniesienie do tego miasta.

A przy okazji na pustynię. I na sawannę.

Przerażająca główna wygrana.

W jaki sposób Thea mogła być jednocześnie w tym mieście i zarazem w dwóch innych miejscach?

Naparłem na Okna. Żeby lepiej widzieć, czy żeby ratować Theę? Sam nie wiem.

Okna rozdzieliły się z trzaskiem. Triada stała się opartymi o siebie trzema oddzielnymi Oknami.

Czym prędzej zszedłem na dół, odstawiłem schodki i ustawiłem Okna w jednym rzędzie, żeby wszyscy mogli zobaczyć Theę w trzech osobach oraz miasto z jego mieszkańcami.

– Dlaczego to zrobiłeś? – wyjąkała Denise.

– Obcy – powiedziałem.

Danny rzucił się na Okno z sawanną, jakby chciał pójść w ślady Thei. Nie mógł.

– Jakim cudem ona jest w trzech miejscach? – spytała osłupiała Denise.

Na pustyni Thea zaczęła wspinać się na wydmy.

Na sawannie udeptywała trawę, jakby chciała sobie przygotować gniazdo, bezpieczne miejsce.

W mieście Obcy tworzyli dyskretny i zaciekawiony krąg wokół Thei. Wywijali i potrząsali w jej stronę swoimi wiciowatymi kończynami.

– Okna się mnożą – powiedziała Denise – i ją też rozmnożyły... Czy któraś z nich jest prawdziwa? Czy inne są tylko jej odbiciami? Wygląda jak żywa we wszystkich trzech.

– To prawda – zgodziłem się. – Tylko dokąd ona pójdzie na pustyni? Albo na sawannie? Na sawannie może znaleźć jedzenie i wodę... ale na pustyni? Mój Boże.

W mieście Thea przestała krzyczeć i tylko trzęsa się ze strachu, wpatrując się w Obcych.

– Rozbiłeś triadę! – powiedział oskarżycielskim tonem Danny. – Rozerwałeś ją. Teraz Thea jest uwięziona po drugiej stronie. Ona nie może wrócić!

– Nic nie rozbijałem. Skąd ci przyszło do głowy, że ona mogłaby wrócić?

– To ja mógłbym pójść za nią, być z nią!

– Na pustyni, żeby tam umrzeć?

– Więc o to chodziło – powiedziała cicho Denise. – Nie chciałeś stracić syna. Ty draniu.

– Ja... wcale nie dlatego. Jak sobie wyobrażasz pójście za nią, Danny?

– Teraz to już niemożliwe – wtrąciła Denise. – Uniemożliwiłeś to.

Obcy rozsunęli się. Podjechał jeden z baniastych pojazdów. Wijące się kończyny zapędziły Theę do środka.

Danny zrobił głęboki wdech, zamknął oczy i rzucił się na Okno z miastem. Jakby zamykając oczy mógł przedostać się na drugą stronę.

Uderzył całym ciężarem ciała w Okno, które się przewróciło. Uderzyło o stalowy brzeg ogrodowego rusztu, Danny rozciągnął się jak długi.

Okno pękło. Obraz zniknął.

Na pustyni i na sawannie Thea odwróciła się gwałtownie, jakby usłyszała nagły huk, albo poczuła, że coś się zrywa. Przez chwilę rozglądała się zaskoczona. Potem na sawannie wróciła do udeptywania trawy, a na pustyni podjęła marsz ku grzbietowi złotej wydmy.

Miasto zniknęło, pęknięta szyba była pusta.

– Ty durniu skończony – powiedziałem do Danny’ego, pomagając mu wstać.

– Durniu? Durniu? – wyrwał się z moich rąk.

– Przez ciebie straciliśmy miasto.

– Chyba chcesz powiedzieć, że straciliśmy ją.

– Tak, tak. To okropne... że stłukłeś Okno. Gdybym ich nie rozdzielił, nie mógłbyś tego zrobić.

Widząc wyraz twarzy Danny'ego poczułem to samo lodowate puste ssanie, jakiego doświadczyłem, kiedy zginęła Ruth. Uczucie, jakbym był wydrążony. Przestraszyłem się, że jednak straciłem syna.

Straciliśmy też przez głupotę miasto Obcych, najważniejsze z miliona Okien. Tylko nas troje je widziało – nas czworo, jeżeli liczyć Theę. Ale jak ją liczyć? Nie było już jej na Ziemi.

A przecież jednak mogłem ją liczyć.

Thea Pierwsza, tam, na pustyni, znikająca za grzbietem wydmy w poszukiwaniu wody i życia.

Thea Druga, na sawannie, też wyruszająca w drogę. Teraz zrozumiałem, dlaczego udeptywała trawę. Żeby zaznaczyć miejsce, w którym przybyła, żeby móc je potem odnaleźć. Ile czasu potrzeba, żeby trawa się podniosła?

Czy każda Thea sądziła, że jest jedyna? Pewnie tak.

Cóż to za zwariowany system transportowy, który produkuje dwie skazane na pewną śmierć kopie podróżnika?

Nigdy dotąd Okna nie przekazywały nic poza obrazami. Czy nigdy już nic innego nie przekażą? Ten jedyny raz Okno pokazało Obcych, a my je zniszczyliśmy.

– Danny! Jak zostało uruchomione Okno? Co wy tam zrobiliście?

Patrzył na mnie z wyrzutem.

– Całowaliście się? Czy robiliście coś więcej? – Nalegałem. – Czy...

– Jesteś brutalny – przerwała mi Denise.

– Staram się ustalić, jak do tego doszło.

– Ona tam umrze – powiedział Danny.

– Może będą ją dobrze traktować w tym mieście – spróbowałem go uspokoić. – Może nawet potrafią ją odesłać.

– Przez stłuczone Okno? – spytała Denise.

– A co z tymi innymi Theami? – dopytywał się mój syn.

– Może to są tylko fantomy? Jak ktoś może się rozdzielić na trzy osoby?

– O ile wiem, Bogu się to raz udało – powiedziała Denise. Uśmiechnąłem się.

– Będziemy musieli zameldować o tym, co się stało.

– Przecież nikt nam nie uwierzy – zaoponowała Denise.

– Musimy, ponieważ biedna Thea zniknęła. Zaginęła. Także dlatego, że zobaczyliśmy pozaziemską cywilizację, do której Okna mogą nas przenieść!

– Jaki mamy na to dowód?

– Jeżeli wszyscy przysięgniemy...

Denise kiwnęła głową w stronę dwóch pozostałych Okien.

– Jedyny dowód właśnie odchodzi.

– Na pewno wróci, jeżeli nie znajdzie...

– Ja bym nie wracał – powiedział Danny. – Szedłbym przed siebie.

Jęknąłem. Dlaczego nie wpadło mi do głowy, żeby skoczyć po aparat? Teraz już za późno. Thea zniknęła za grzbietem wydmy. Na sawannie, w oddali, na pół zasłonięta przez trawy, mogła ujść za każdy rodzaj stworzenia.

Danny rozplakał się. Potem zaczął kląć. Denise dała pokaz pocieszania. Mnie nie pozwolił się nawet dotknąć.

– Posłuchaj! – dorwałem się wreszcie do głosu. – Ona zniknęła, do jasnej cholery! Nie możemy udawać, że Thea wyszła z domu i ktoś ją na przykład porwał. Musimy powiedzieć prawdę jej rodzicom. Musimy wytłumaczyć sprawę policji. Musimy być uczciwi!

Wszystko to było prawdą, o czym Danny i Denise mieli się stopniowo przekonać.

Tak więc złożyliśmy zeznania, choć nie przyznaliśmy się do żadnego przestępstwa. Przyjechali rodzice. Przyjechała policja. Przyjechali rządowi eksperci, żeby zabrać do zbadania stłuczone Okno wraz z dwoma pozostałymi. Przyjechali dziennikarze z kamerzystami. I odjechali.

W ślad za nimi w dwa dni później przyjechała Donna-Jean Scott i skołowany tym wszystkim przez chwilę myślałem, że przyleciała z Marsa.

– Kochanie – powiedziała do mnie w pustym ogródku – tak ci współczuję. Musiałam przyjechać, bo w pewnym sensie to ja inaugurowałam twoje Okno. Czy opowiesz mi szczegółowo, jak się to wszystko stało?

Zrozumiałem, że nie jest to wizyta prywatna. Mimo to opowiedziałem jej wszystko do najdrobniejszych szczegółów. Włącznie z tym, że nie krzyknąłem imienia Thei. Liczyłem na to, że kobieta z Marsa może zrozumieć moje poczucie osamotnienia. Bez wątplenia straciłem Denise, co raczej nie było katastrofą. Gorzej, że straciłem też Danny’ego, choć nadal mieszkaliśmy pod jednym dachem.

– Można by pomyśleć – powiedziała D-J – że podwyższony stan świadomości... Co tu kryć, erotycznej, może uruchomić Okno.

– Danny wyskoczył stamtąd natychmiast – przerwałem jej – i był kompletnie ubrany.

– Nie szkodzi. To nie wyklucza podniecenia. Rzecz w tym, czy to miasto Obcych było już widoczne, kiedy oni weszli do środka. Nie wiesz?

– Na zewnątrz widzieliśmy tundrę.

– Czy jesteś pewien, że miasto robaków było już widoczne wcześniej? To bardzo ważne. Bo jeżeli nie, to może podniecenie dzieciaków wywołało też obraz, nie tylko przeniosło Theę?

– Danny nie był ze mną zbyt rozmowny, jak ci już mówiłem, a eksperci zadali już wystarczająco dużo pytań.

– Wiem. Ale nikt nie wysunął takiego przypuszczenia. Bo wszystko zdarzyło się w mgnieniu oka. Jeżeli pozwolisz, chciałabym porozmawiać z Dannym.

– Proszę bardzo. On cię szanuje. Siedzi teraz na górze i zamartwia się.

W dwadzieścia minut później D-J wróciła z pokoju Danny'ego.

– Z drabiny widać było sawannę – oświadczyła. – To wszystko, co widział. Przyznaje, że był seksualnie podniecony i przepelniony duchem przygody. Thea właśnie się odwracała, Danny stał na najniższym szczeblu i byli do siebie przyciśnięci. Danny chwycił ją za tyłek i wtedy błysnęło. Thea krzyknęła. Danny obejrzał się i ujrzał miasto. Potem powiał wiatr i Thea znalazła się za Oknami.

– Gdyby Danny zszedł z drabiny, on też by przepadł?

– Prawdopodobnie. Podejrzewam, że mamy do czynienia z doświadczeniem powtarzalnym.

– Jak chcesz to zrobić? To Okno jest zniszczone.

– Trzeba wziąć inną nowo utworzoną triadę. Nie podglądać ostatniego Okna. Nie zapuszczać do środka luster. Potem wejść tam z kimś, kto cię podnieca. Popieścić się i odwrócić. Obce miasto może rozbłysnąć i wciągnąć cię. To samo miasto lub jakaś inna cywilizowana okolica.

– Plus dwie inne, po których możesz wędrować aż do śmierci. To ma być system transportowy? To wariactwo.

– Ważne, że działa. Spełnia swoje zadanie. Nie myślę, żeby Okna zaprogramowano na nieskończoną liczbę widoków. Myślę, że każde nowe Okno otrzymuje widok drogą jakiegoś oddziaływania na odległość. I zawsze jest to widok jakiejś planety albo księżyca, prawda? Nigdy pustka kosmiczna. Umysł w stanie pobudzenia może skierować przypadkowe połączenie na świat, w którym też żyją istoty myślące.

– Plus do dwóch innych światów. Kto by chciał brać udział w takim eksperymencie?

– Ja. Byłam już na Marsie. Ciągnie mnie, żeby zobaczyć inny układ gwiazdny, bez względu na to, co z tego wyniknie. Myślę, że trzeba mieć partnera z dużym ładunkiem uczuciowym. Najlepiej kogoś, kto jest osobiście głęboko związany z Oknami.

– Myślisz o Danny'm?

– O tobie, mój drogi. Dużo o tobie wiem. Jesteś przepelniony poczuciem winy i pogardy do siebie, tęsknotą i pożądaniem.

– Czy nie za dużo tych pochlebstw?

Uśmiechnęła się.

– Kiedy się jest zamkniętym z siedmioma facetami w blaszanej puszcze przez dwa lata, człowiek uczy się czytać w ludzkich sercach i przyjmować to, co w nich znajdzie ze zrozumieniem. W przeciwnym razie wszyscy zginą.

– To, co proponujesz, nie wydaje się dobrą receptą na przeżycie.

– Jest czas na walkę o przetrwanie i czas na poświęcenia. Czas ryzyka. Czas pod niebem. Jak chcesz stawiać czoło pogardzie i gniewowi Danny'ego, jeżeli nie spróbujesz pójść w ślady jego dziewczyny?

– Czy po dwóch latach spędzonych w puszczy stałaś się też ekspertem od manipulowania cudzymi uczuciami?

– Możliwe.

– Gdzie miałyby się odbyć ten twój eksperyment?

– Może u Sama Jacobsa? Wyjeżdża w podróż służbową. Zainstalujemy u niego nowe Okno i pozwolimy mu się rozrosnąć.

– Kto to jest „my”?

– Ja i kilku znajomych. Chciałabym, żeby twój syn też był przy tym.

– Żeby mógł zobaczyć, jak odchodzę w obcoplanetarną dal?

– Żeby mógł znów nabrać szacunku do swojego starego.

W wieczór przed wyznaczonym eksperymentem Donna-Jean przyszła do mnie na kolację we dwoje. Prawie mnie uwiodła, jednak nie do końca. Danny’ego nie było już w domu. Został ulokowany u Sama Jacobsa. D-J rozmyślnie doprowadziła mnie do szczytu podniecenia i tam mnie zostawiła. Pokazała mi siebie i odmówiła mi siebie. Gdybym był jaskiniowcem, sięgnąłbym po maczugę, ale przecież nie jesteśmy jaskiniowcami.

– To jest bezwstydnym wyzysk – poskarżyłem się, siląc się na dowcip. (D-J była wówczas prawie naga). – Wyzyskujesz bezwstydnie swoje możliwości.

– Kto tu kogo wyzyskuje, kochanie – zamruczała.

– Ty wyzyskujesz mnie. A twoi szefowie ciebie.

– Zwiększam twój ładunek, kochanie, na wypadek, gdyby to się okazało kluczem do całej sprawy. Nie powinieneś zresztą mówić o wyzyskiwaniu seksu, ty, z twoimi nimfami w natryskach, gołymi pięknosciami w wannie i zwierzęcymi toaletami.

– Przyznaję się do winy – jęknąłem.

– Zwiększaj w sobie też ładunek winy.

– Jesteś niezwykłą kobietą, moja specjalistko od geologii. Zdaje mi się, że zaczynam się w tobie podkochać.

– Zdaje ci się. Ale możesz sobie wyobrazić, że tak jest.

Długo nie mogłem zasnąć tej nocy (samotnie).

Nowo wyrosła triada została umieszczona w małym ogródku na tyłach domu, otoczonym wysokim murem, dość podobnym do mojego ogródka. Do triady przystawiono moje schodki, obok leżała ta sama aluminiowa drabinka. Nie szczędzono pieniędzy ani wysiłku. Koledzy D-J zawiesili wysoko kamery wideo, żeby utrwalić scenę wewnątrz triady i widok w ostatnim Oknie. Na razie nikt nie wiedział, co pokazuje szóste Okno. Nie było świadków na wypadek, gdyby świadomość obserwatorów mogła wpłynąć na przedwczesne uruchomienie Okna. Dlatego też kamery nie były monitorowane.

Zewnętrzne widoki przedstawiały niezemskie bagno z odrażającymi czołgającymi się stworami; żółtą, smaganą falami plażę z palmami kokosowymi w tle i równinę kipiącego błota.

Pokazano mi zapisy pierwszych dwóch widoków wewnętrznych. Zobaczyłem niezemski las żłobkowanych, beczkowształtnych drzew z olbrzymimi parasolowatymi liśćmi i zwisającymi żółtymi owocami. Grunt pokrywały aksamitne fioletowe porosty. Zobaczyłem też skalisty stok z rzadkimi, sztywnymi tworami przypominającymi korale w kształcie jelenich rogów.

Koledzy D-J trzymali się dyskretnie wnętrza domu, uważając, żeby nam nie wchodzić w drogę. Danny był z nimi.

Oba krajobrazy wewnętrzne dawały szansę przeżycia, przynajmniej przez jakiś czas. Gdyby któryś z obrazów przedstawiał pozbawiony atmosfery księżyc albo roztopioną lawę eksperyment zapewne zostałby odwołany.

Zacząłem od powiedzenia Danny'emu, jeszcze w domu, że ruszam na poszukiwanie Thei, potem wyszedłem na zewnątrz, gdzie zostałem ogniście ucałowany przez Donnę-Jean. D-J i ja zostaliśmy zaopatrzeni w mocne buty i spodnie oraz nieprzemakalne kurtki z kapturami, wyposażone w liczne kieszenie pełne przydatnych rzeczy, w tym małe aparaty nadawczo-odbiorcze i pistolety. Oboje mieliśmy też odbłaskowe okulary. Wszystko na koszt zespołu D-J. Był to ekwipunek pozostały po wyprawie marsjańskiej i przygotowany na wypadek, gdyby Venturer Dwa wylądował w amazońskiej dżungli albo w Arktyce. Czuję się idiotycznie stojąc w tym stroju w małym miejskim ogródku.

– Okay, chodźmy. Ja pierwsza, ty gonisz.

D-J weszła na schodki, a ja podałem jej drabinkę tak, żeby mogła wsunąć ją do środka triady. Ustawiając drabinkę na ziemi, a następnie schodząc po niej w głąb, uważała, żeby nie spojrzeć na nowe Okno, jeszcze bez widoku. Ustaliliśmy, że będziemy zwróceni twarzami do beczkowatego lasu, aż do chwili, kiedy się przytulimy i oboje odwrócimy.

– Chodź do mnie – powiedziała cicho. – Woda jest ciepła.

Zacząłem schodzić po drabinie. Pięć szczebli do dołu. Cztery. Trzy. Teraz już robiło się ciasno, czułem jej piersi na swoich udach, potem na plecach. Dwa.

Stałem jedną stopą na ziemi. Na Ziemi.

– Okay – powiedziałem.

– Obie stopy, cwaniaku.

– Obie – zgodziłem się.

– Puść drabinę. Teraz oboje się odwrócimy i ty mnie popieścisz.

Wyglądaliśmy jak para z balu przebierańców, która utknęła w ciasnej szklanej windzie... sytuacja była absurdalna, ale, do licha, czułem podniecenie.

– Jak doliczę do sześciu. Po łacinie to jest sex.

– Bardzo zabawne.

– Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sex.

Z trudem udało nam się odwrócić. Przez kurtkę dotknąłem jej piersi.

Ostatnie Okno było puste, ale tylko przez krótką chwilę. Nagle rozbłysło i widok przedstawiał...

Ku naszemu zaskoczeniu kontakt radiowy przez Okna nie stanowi problemu. Trzeba tylko mieć radia po obu stronach.

Mamy dwa radia w tym skalistym terenie.

Są dwa następne, też nasze, w niezwykłym lesie.

I jeszcze dwa w obcej cywilizacji, do której trafiliśmy, ta „szczęśliwa”, Donna-Jean i ja. (Plus, oczywiście, te, które miał zespół w domu Sama Jacobsa).

Możemy rozmawiać ze sobą i z ludźmi w domu, na Ziemi.

Nasza tryumfująca bliźniacza para z obcej cywilizacji ma masę do opowiadania o tętniącym życiem mieście, w którym wylądowali i o jego jaszczuropolodnych mieszkańcach, którzy nie rozerwali przybyszów na strzępy, ale okazali gościnność i inteligentne zaciekawienie. Ta dwójka uczy się już miejscowego języka.

Druga para naszych bliźniaków bnie po skalistym zboczu bez końca, żywiąc wbrew wszystkiemu nadzieję, że znajdą jakieś bardziej gościnne miejsce. Przynajmniej jest tam chłodno, choć trzeba uważać na parzące promienie białego słońca.

A my? My od dwóch dni wędrujemy wśród beczkowształtnych drzew i zastanawiamy się, kiedy mamy napić się po raz pierwszy wody ze strumienia, spróbować owoców, a nawet ustrzelić kogoś z miniaturowych plamiastych niedźwiadków na mięso.

Dziwne jest mówić do siebie samego przez radio i słuchać swoich własnych odpowiedzi.

– Halo, Donna wśród skał – mówi moja D-J. – Hej, kochanie, jesteś teraz szklaną Madonną!

– Na Marsie było gorzej – nadchodzi odpowiedź ze spierzchniętych warg. – Niedużo. Troszeczkę. I cały czas mamy z górki.

– Jutro rano spróbujemy miejscowej gruszki. Jedno z nas. Wszystko jedno które. Jeżeli jedno z nas się otruje, dni drugiego i tak są policzone.

– My tu możemy jeść miejscowe jedzenie – nadaje D-J z jaszczurczego miasta.

– Niektórzy to mają szczęście – rzuca moja D-J.

Ja nie gadam za dużo z moimi bliźniakami. Nie lubię dźwięku swojego głosu.

Zapada wieczór pod parasolami z liści. Pod stopami puszysty fioletowy mech. Czas na nocny spoczynek. Rozpalimy ognisko z kory i gałęzi, choć nie widzieliśmy żadnych śladów drapieżników. Jakies drapieżniki muszą tu być, bo w przeciwnym razie mininiedźwiadki zadeptałyby las. A może mininiedźwiadki nie są skore do rozmnażania.

– Robimy tu postój, D-J?

– Tak. Koniec rozmów, z Ziemią i resztą. Musimy nazbierać chrustu.

Później, kiedy siedzieliśmy w ciemnościach przy ognisku wsłuchani w odległe nie budzące lęku skrzeki i piski, odezwało się radio.

– Tu Ziemia. Słyszycie nas?

D-J i jej bliźniaczki potwierdzają.

– Z powodu tej historii z radiem doszliśmy do wniosku, że Okna są jednak jakimś rodzajem urządzenia przekąźnikowego. Rodzajem galaktycznej książki telefonicznej. Wyraźnie używaliśmy ich w jakiś kretyński sposób, mnożąc je całymi milionami. Prawdopodobnie zresztą chodzi o przekazywanie sprzętu, nie ludzi. Z powodu tego potrajania. Musi istnieć sposób na przekazywanie rzeczy bez ludzi. Będziemy nad tym pracować. Może gdyby się nam jakoś udało przesłać przez Okno drugie Okno, mielibyście drzwi w obie strony. Nie wiemy na razie, jak zmieścić Okno do wnętrza triady... ale jeżeli wy tam wytrzymacie jeszcze trochę, to jest szansa, że was wyciągniemy.

– Wszystkie trzy kopie? – pyta Donna ze skał.

– Tak, nad tym też trzeba się zastanowić. Może połączycie się w jedno. Może trzy egzemplarze są wysyłane różnymi trasami i łączą się w miejscu przeznaczenia, jak w systemie kontrolnym w przypadku utraty sygnału.

– Mnie osobiście się nie śpieszy – wtrąca mój bliźniak z miasta jaszczurów. – Próbuje zainteresować naszych gospodarzy nowymi rozwiązaniami wewnątrz. Doceniam, że w tym skalnym miejscu D-J i ja mamy naprawdę ciężko...

– To nie żarty – rzuca ta druga Donna. – Cztery, pięć dni i koniec z nami. Jeżeli nie zdarzy się jakiś cud.

– A my tu w lesie – mówi moja D-J – jeszcze nic nie wiemy. Jeżeli to, co zerwiemy i upolujemy nie jest trujące, to chyba uda nam się przetrwać.

Z niedowierzaniem słucham głosu swojego bliźniaka. Jest mną, a jednak nie jest mną. Trudno mi pogodzić się z faktem, że istnieję gdzieś indziej i że ta istniejąca tam osoba jest mną. Albo, że on jest przekonany, że jest prawdziwym mną. A tak przecież jest. Jeżeli Okna potrafią robić kopie ludzi, to czyż ludzie nie są niczym więcej, niż skomplikowanymi maszynami biologicznymi? Możliwe, tylko że takie rozważania to strata czasu.

To dziwne, ale nie mam teraz poczucia daremności... choć przyznaję, że mój bliźniak na tym skalnym zboczu może mieć poczucie śmiertelnej daremności. Siedząc tutaj przy ognisku pod nieziemskimi drzewami czuję się wreszcie dziwnie szczęśliwy. W końcu dokądś przybyłem, choć nie wiem, gdzie to jest. Znalazłem nawet kogoś naprawdę bliskiego. Obejmuję D-J, ona przytula się do mnie.

– Dobranoc, Ziemi – wyłączam radio. – Będziemy się kochać? – proponuję.

– Tak – słyszę w odpowiedzi.

Dzisiaj dotarliśmy do skraju lasu. Zjedliśmy tutejsze gruszki i nie zachorowaliśmy. Przed nami, za płytką rzeką, rozciąga się błękitna łąka z zagajnikiem parasolowatych drzew. Widać też prymitywną wioskę lub obozowisko z plamiastymi mieszkańcami, którzy mają dwie nogi, dwie ręce i guzowate głowy z kępkami włosów. Obserwujemy ich przez lornetę.

– Wyglądają na dość prymitywnych – mruczy D-J.

– Może nie zawsze tacy byli. A może wiele Okien rozregulowało się, odkąd je po raz pierwszy zaprojektowano, miliony lat temu. Może zmienił się klimat. Wyrosły lasy. Przesunęły się pustynie. Wypiętrzyły się góry. Może Okna można przesuwac po krajobrazie w poszukiwaniu właściwego miejsca, tylko my nie wiemy, jak to się robi.

Milion lat temu ci mieszkańcy wioski mogli być jeszcze zwierzętami.

Mogą mieć wyżej rozwiniętych kuzynów o tysiące mil stąd.

W porównaniu ze zwierzętami oni sami sprawiają wrażenie rozwiniętych. Co mamy do stracenia? Spróbujmy.

– Mamy do stracenia siebie, D-J. Bo ja już nie czuję się zagubiony.

Ruszamy więc w bród przez rzekę.

Przełożył Lech Jęczmyk

O autorze

Ian Watson brytyjski pisarz urodzony w 1943 roku, ukończył filologię angielską w Oxfordzie. Dużo podróżował, mieszkał w wielu krajach, m.in. w Ugandzie, Tanzanii, Japonii, gdzie wykładał angielski.

Debiutował opowiadaniem w redagowanym w Ugandzie piśmie *Transition* w 1966 roku. Właściwym debiutem była powieść *A Cat's Eye View*, dla młodego czytelnika (1969). Na polu science fiction debiutem była powieść *The Embedding* (1975), za którą otrzymał Prix Apollo.

W Polsce znany głównie ze znakomitych opowiadań (m.in. ze zbioru *Powolne ptaki*) oraz powieści *Łowca śmierci*, *Podróż Czechowa*, *Magia Króla*, *Magia Królowej*.

Watsona charakteryzuje niepowtarzalny styl, dziwaczne światy jakie tworzy lub niesamowite, czasem groteskowe pomysły są jego znakiem firmowym. Interesuje go tematyka transcendentalna, próba zrozumienia rzeczywistości i natury wszechświata, wszystko oparte na solidnych podstawach naukowych.

Współpracował przy scenariuszu filmu *A.I.*, pisywał powieści z Michaeliem Bishopem, czy Włochem Roberto Quaglia. Odwiedził Polskę jako gość jednego z Polconów.

ROGER ZELAZNY

Auto-da-fé

Tytuł znaczy dosłownie „akt wiary”, tak nazywano publiczny proces o herezję przed sądem inkwizycji. Żelazny zrobił z tego raczej „sąd boży”, walkę gladiatorów jak w Arenie Browna. Mógł to napisać tylko Amerykanin, mieszkaniec cywilizacji, która przesiadła się z konia na samochód.

Auto-da-fé

Nadal pamiętam gorące słońce na piasku Plaza del Autos, krzyki sprzedawców napojów orzeźwiających, rzędy ludzi upakowanych naprzeciwko mnie po słonecznej stronie areny, z ciemnymi okularami jak jamy w błyszczących twarzach.

Nadal pamiętam zapachy i kolory: czerwienie, błękity i żółcienie, wszechobecną woń spalin w powietrzu.

Nadal pamiętam ten dzień, ten dzień ze słońcem na środku nieba i w znaku Barana, płonącym w porze kwitnienia. Przypominam sobie drobne kroczyki pompiarzy, zadarte głowy, wymachujące ręce, oślepiającą biel zębów ujętych w ramy uśmiechniętych ust, chustki jak barwne ogony zwisające z tylnych kieszeni ich kombinezonów; i klaksony – pamiętam ryk tysięcy klaksonów w głośnikach, włączanych i wyłączanych, wyłączanych i włączanych, na okrągło, i jeszcze raz, ryk zakończony jedną roziskrzoną ostatnią nutą, zawieszoną, raniącą ucho i serce swoją bezmierną siłą, swoim patosem.

Potem zapadła cisza.

Widzę to dziś wyraźnie jak owego dnia, tak dawno temu...

Wszedł na arenę i krzyk, który rozbrzmiał, wstrząsnął błękitnym niebem wspartym na filarach z białego marmuru.

– ¡Viva! ¡El mechador! ¡Viva! ¡El mechador!

Pamiętam jego twarz, ciemną, smutną i mądrą.

Miał długą szczękę i długi nos, jego śmiech brzmiał jak ryk wichury, ruchy przypominały muzykę thereminu i werbla. Kombinezon miał błękitny, jedwabny, opięty, szyty złotą nicią i przybrany czarnym galonem. Kurtkę zdobiły naszyte perełki i łuski błyszczące na piersi, na ramionach, na plecach.

Skrzywił usta w uśmiechu człowieka, który zaznał chwały i dźrzy władzę mającą przynieść mu jeszcze większe zaszczyty.

Ruszył wokół areny, nie osłaniając oczu przed słońcem.

Nie musiał. Manolo Stilleto Dos Muertos wznosił się ponad słońce. Był największym *mechadorem*, jakiego widział świat: czarne buty na nogach, tłoki w udach, palce o precyzji mikrometrów, aureola ciemnych kędziorów na głowie i anioł śmierci w prawicy, tam, w środku zaplamionego olejem kręgu prawdy.

Machnął ręką i krzyk zbudził się raz jeszcze.

– Manolo! Manolo! Dos Muertos! Dos Muertos!

Po dwóch latach nieobecności na arenie wybrał ten dzień, rocznicę śmierci i odejścia na emeryturę, by wrócić – miał bowiem we krwi benzynę i metyl, a jego serce było wypolerowaną pompą ujętą w pierścień żądz i odwagi. Dwa razy zginął na arenie i dwa razy medycy przywrócili go do życia. Po drugiej śmierci wycofał się i niektórzy powiadali, że zrobił to, bo poznał smak strachu. Nie mogło to być prawdą.

Machnął ręką i jego imię znów przetoczyło się po trybunach.

Ponownie zagrzmiały klaksony: trzy długie sygnały.

Następnie znowu zapadła cisza. Pompiarz w czerwono-żółtym stroju przyniósł mu pelerynę, zdjął kurtkę.

Cynfoliowa podszewka błysnęła w słońcu, gdy Dos Muertos zawirował peleryną.

Potem rozległo się ostatnie trąbienie.

Wielkie drzwi podniosły się i wsunęły w ścianę.

Mechador udrapował pelerynę na ramieniu i zwrócił się twarzą ku bramie.

Nad nią płonęło czerwone światło, a z ciemności dobiegał pomruk silnika.

Światło zmieniło się na żółte, potem na zielone, i z bramy napłynął dźwięk ostrożnie wrzucanych biegów.

Samochód wjechał powoli na arenę, zatrzymał się, przesunął kawałek do przodu, znów znieruchomiał.

Był to czerwony pontiac. Maskę miał zdartą: silnik jak gniazdo węży, kłębiących się i mnożących za kolistym lśnieniem niewidocznego wentylatora. Skrzydełka anteny obróciły się parę razy dokoła, wreszcie znieruchomiały, skupione na mechadorze i jego pelerynie.

Manolo wybrał na rozgrzewkę ciężką maszynę, niezbyt zwrotną.

Bębny mózgu pontiaka, które nigdy wcześniej nie zarejestrowały człowieka, wirowały.

Potem samochód zyskał świadomość swojego rodzaju i ruszył.

Manolo załopotał peleryną i kopnął w zderzak, gdy auto przemykało z rykiem.

Drzwi wielkiego garażu zamknęły się.

Wóz dotarł na przeciwległą stronę areny i zatrzymał się, zaparkował.

Krzyki pogardy, gwizdy i syki wzniosły się nad widownią.

Lecz pontiac nawet nie drgnął.

Dwaj pompiarze z wiaderkami wyłonili się zza osłony i obrzucili błotem przednią szybę.

Samochód z rykiem rzucił się za tym bliższym, uderzył w ogrodzenie. Potem nagle zawrócił, namierzył mechadora i przypuścił atak.

Dos Muertos wykonał figurę zwaną *veronica*, która uczyniła zeń posąg w srebrzystej spódnicy. Widownia szalała z entuzjazmu.

Pontiac zawrócił i zaszarżował raz jeszcze, i zdumiał mnie talent mechadora, albowiem wydawało się, że jego guziki zadrapały wiśniowy lakier na boku karoserii.

Wóz zatrzymał się, przekręcił koła, ruszył wokół areny.

Tłum ryknął, gdy przemknął obok mechadora i zatoczył koło.

I znów się zatrzymał, może pięćdziesiąt stóp dalej.

Manolo stanął tyłem do niego i pomachał ręką do widzów.

...Znowu wiwaty i skandowanie imienia.

Dał znak komuś za ogrodzeniem.

Pompiarz wysunął się zza osłony i przyniósł na aksamitnej poduszce chromowany klucz nastawny.

Manolo odwrócił się i ruszył w stronę pontiaka.

Samochód stał w miejscu, drżąc, i Manolo strącił kluczem nakrętkę chłodnicy.

Strumień wody strzelił w powietrze wraz z rykiem tłumu. Los Muertos uderzył w przednią część chłodnicy i zabębnił kluczem po błotnikach.

Znów stanął plecami do przeciwnika i znieruchomiał.

Kiedy usłyszał włączane sprzęgło, odwrócił się raz jeszcze. Pontiac przemknął płynnie, lecz mechador zdążył dwukrotnie trzasnąć kluczem w klapę bagażnika.

Samochód przejechał na drugą stronę areny i zaparkował.

Manolo podniósł rękę, dając znak pompiarzowi.

Człowiek z poduszką wyłonił się zza osłony, niosąc śrubokręt o długiej ręczce i krótką pelerynę. Zabrał klucz nastawny i długą pelerynę.

Nad Plaza del Autos zapadła cisza.

Pontiac, jakby wyczuwając koniec, zapuścił silnik i zatrząbił dwa razy. I ruszył.

Na piasku ciemniały plamy wody, która ciekła z chłodnicy. Spaliny ciągnęły za nim jak duch. Rozwinął zawrotną prędkość.

Dos Muertos podniósł pelerynę i wsparł pióro śrubokręta na lewym przedramieniu.

Kiedy wydawało się, że zginie pod kołami, wysunął rękę tak szybko, że oko za nią nie zdążyło, i odsunął się na bok, a silnik zaczął kaszleć.

Pontiac nadal pędził z zabójczą prędkością, skręcił ostro bez przyhamowania, przekoziołkował na dach, zderzył się z ogrodzeniem i stanął w płomieniach. Silnik zakrzuszył się i zgasł.

Plaza zatrzęsała się od wiwatów. Dos Muertos dostał reflektory i rurę wydechową. Podniósł wysoko trofea i wykonał niespieszną rundę honorową wokół areny. Grzmiały klaksony. Jakaś kobieta rzuciła mu plastikowy kwiat, a on posłał pompiarza, który zaniósł jej rurę wydechową i w jego imieniu zaprosił ją na kolację. Tłum zdwoił wiwaty, gdyż Manolo cieszył się sławą wielkiego zdobywcy serc niewieścich, a w czasach mojej młodości nie było to czymś tak niezwykłym jak dzisiaj.

Następny był niebieski chevrolet, i Manolo bawił się nim jak dziecko z kotkiem, prowokując do uderzenia, a potem unieruchamiając na zawsze. Otrzymał oba reflektory. Niebo zachmurzyło się w tym czasie i z dali dobiegało nieśmiałe mamrotanie grzmotu.

Trzeci był czarny jaguar XKE, który wymaga najwyższych umiejętności i sprawia, że chwila prawdy jest bardzo krótka. Tak benzyna, jak krew ciemniała na piasku, nim walka dobiegła końca, bo boczne lusterko sięgnęło dalej niż można by pomyśleć i czerwona krecha naznaczyła klatkę piersiową mechadora. Ale Manolo rozorał układ zapłonowy z takim wdziękiem i maestrią, że zachwycony tłum wylał się na arenę i trzeba było interwencji strażników, którzy pałkami i pikami do poganiania bydła zapędzili ludzi z powrotem na miejsca.

Z pewnością po tym wszystkim nie znalazłby się nikt, kto by powiedział, że Dos Muertos kiedykolwiek zaznał smaku strachu.

Zerwał się chłodny wiatr. Kupiłem napój orzeźwiający i czekałem na koniec.

Ostatni wóz wypadł z bramy, gdy jeszcze płonęło żółte światło. Był to ford kabriolet w musztardowym kolorze. Gdy pierwszy raz przemykał obok mechadora, zatrąbił i włączył wycieraczki. Wszyscy wznieśli okrzyki, bo poznali, że nie brakuje mu ducha.

Potem stanął jak wryty, wrzucił wsteczny i tyłem, z prędkością jakichś czterdziestu mil na godzinę, ruszył w stronę mechadora.

On zszedł mu z drogi, zrzekając się gracji dla własnej korzyści, a ford zahamował ostro, wrzucił niski bieg i znów skoczył do przodu.

Dos Muertos machnął peleryną i peleryna została wydarta mu z rąk. Gdyby nie rzucił się w tył, zostałby potrącony.

Wtedy ktoś krzyknął:

– Zgubił rytm!

Ale Manolo zerwał się na nogi, odzyskał pelerynę i znów stawił mu czoło.

Ludzie do dziś opowiadają o tych pięciu *pas*, które nastąpiły. Nigdy dotąd nie widziano takiego flirtu ze zderzakiem i osłoną chłodnicy! Nigdy w dziejach świata nie było takiego pojedynku między mechadorem a maszyną! Kabriolet ryknął jak dziesięć stuleci aerodynamicznej śmierci i duch St. Detroit zasiadł w fotelu kierowcy, szczerząc zęby, Dos Muertos zaś machnął swoją cynfoliową peleryną, zastraszył go i zawołał o klucz. Ford niańczył przegrzany silnik, podnosił i opuszczał szyby, w górę i w dół, przeczyszczając tłumik z odgłosem spuszczonej wody i mnóstwem czarnego dymu.

Już wtedy padało, cicho i łagodnie, i grzmot przewalił się nad Plaza del Autos. Dopilem napój.

Dos Muertos nigdy dotąd nie użył klucza nastawnego na silniku, tylko na karoserii. Tym razem rzucił. Niektórzy znawcy przedmiotu powiadają, że celował w rozdzielacz; inni mówią, że próbował zniszczyć pompę paliwową.

Tłum wygwizdał go.

Coś lepszego ciekło z forda na piasek. Czerwona smuga jaśniała na brzuchu mechadora. Deszcz padał.

Manolo nie patrzył na tłum. Nie odrywał oczu od samochodu. Wyciągnął prawą rękę, wnętrzem dłoni w górę, i czekał.

Zasapany pompiarz podał mu śrubokręt i pobiegł z powrotem za osłonę.

Manolo przesunął się w bok i czekał.

Ford skoczył na niego i Dos Muertos uderzył.

Rozległy się kolejne gwizdy.

Manolo nie trafił.

Samochód też nie. Zatoczył ciasny krąg wokół mechadora, wlokąc za sobą kłęby dymu z silnika. Manolo potarł rękę, podniósł upuszczony śrubokręt i pelerynę. Tłum gwizdał.

Nim samochód go dopadł, z silnika strzelały płomienie.

Dziś jedni powiadają, że Manolo uderzył i znów chybił, tracąc równowagę. Drudzy twierdzą, że podniósł rękę do ciosu, przestraszył się i cofnął. Jeszcze inni mówią, że na chwilę zrobiło mu się żal dzielnego przeciwnika i to powstrzymało jego dłoń. Ja mówię, że dym był zbyt gęsty, by ktoś mógł mieć pewność, co naprawdę się wydarzyło.

Ale ford skręcił i Manolo upadł, i został poniesiony na silniku płonącym niczym katafalk boga na spotkanie z trzecią śmiercią, gdy razem trzasnęli w ogrodzenie i stanęli w płomieniach.

Dużo rozprawiano o tej ostatniej korridzie, ale faktem jest, że w piasku Plaza szczątki rury wydechowej i reflektorów pogrzebano wraz ze szczątkami mechadora, a wiele znajomych mu kobiet wylało mnóstwo łez. Ja mówię, że Manolo nie znał strachu ni litości, albowiem jego siła równała się rzece rakiet, uda były tłokami, a palce miały precyzję mikrometrów; jego włosy tworzyły czarną aureolę i anioł śmierci jechał na jego prawym ramieniu. Taki człowiek, człowiek, który poznał prawdę, potężniejszy jest od każdej maszyny. Taki człowiek jest ponad wszystkim prócz władzy i chwały.

Teraz jednakże nie żyje, zabity po raz trzeci i ostatni. Jest martwy jak wszyscy inni, którzy zginęli przed zderzakiem, na osłonie chłodnicy, pod kołami. To dobrze, że nie może zostać ożywiony, bo powiadam, że ten ostatni samochód był jego apoteozą i wszystko inne sprawiłoby zawód. Kiedyś ujrzałem źdźbło trawy rosnące w miejscu, gdzie poluzowały się metalowe płyty świata, i zdeptałem je, bo uznałem, że musi czuć się samotne. Częstokroć żałowałem swojego postępu, gdyż zniszczyłem chwałę jego samotności. W taki sam sposób, myślę, człowiek patrzy na życie maszyny, surowo, potem z żalem, i niebiosą ronią nad nim łzy z oczu, które ten żal otworzył w niebie.

Przez całą drogę do domu myślałem o tej sprawie, a kopyta mojego wierzchowca stukwały po ulicach miasta, gdy jechałem w deszczu ku zmierzchowi, tej wiosny.

Przełożyła Maria Gębicka-Frańc

O autorze

Roger Zelazny (1937-1995) amerykański pisarz science fiction i fantasy o dużym dorobku, napisał 50 powieści i blisko 150 opowiadań. Jego ojciec pochodził z Polski, urodził się w Rypinie. Związany z amerykańskim fandomem, publikował w fanzinach, na debiut czekał do 1962 roku. Studiował literaturę, po studiach pracował w ubezpieczeniach. Debiutował w 1962 roku, a już rok później zaczął zgarniać kolegom sprzed nosa najważniejsze wyróżnienia.

Interesowała go w twórczości historia i mitologia. Wykorzystywał w powieściach mitologię indyjską, indiańską, japońską, egipską, grecką, przez co jego styl stał się szybko rozpoznawalny. Krytyka uważa go jednego z głównych piewców Nowej Fali SF.

Zdobył liczne nagrody Hugo i Nebula. Największą popularność przyniósł mu cykl fantasy *Kroniki Amberu*, na który składają się dwa pięcioksięgi i liczne opowiadania.

Ale twórczość SF Zelazny'ego również była bardzo znana, jak choćby powieści *Pan światła*, *Pan snów*, *Umrzeć w Italbarze*, *Oko kota*. W Polsce proza Rogera Zelazny'ego stała się popularna za sprawą kultowej już noweli *Aleja potępienia* (nominacja do Hugo 1967) oraz kilku znakomitych opowiadaniom, do których należą „Róża dla Eklezjastesa” (nominacja do Hugo 1963), „Bramy jego twarzy, lampy jego ust” (Nebula 1965 i nominacja do Hugo), „24 widoki góry Fudzi Hokusai” (Hugo 1985, nominacja do Nebuli), „Wieczna zmarzlina” (Hugo 1986, nominacja do Nebuli) czy „Wariant jednorożca” (nagroda Hugo 1981).

Lubił pisać z innymi autorami, ma na swym koncie powieści napisane wspólnie z Philipem K. Dickiem, Alfredem Besterem, Robertem Sheckleyem i innymi. Opowiadania Zelazny'ego były w Polsce bardzo dobrze znane w latach 90. ubiegłego stulecia, teraz czas najwyższy je przypomnieć i dać poznać nowemu pokoleniu.

Opowiadanie „Auto-da-fé” po raz pierwszy ukazało się w słynnej antologii Harlana Ellisona *Niebezpieczne wizje* w 1967 roku.

TIMOTHY ZAHN

Gambit pionka

Szachy są tak niesamowitą grą, że mogłyby być darem kosmitów, nic więc dziwnego, że niejednokrotnie pociągały autorów science fiction. Umysł człowieka ślizga się w tej grze po granicy swoich możliwości, rodzi się pytanie, czy może się przebić przez ścianę tego ograniczenia.

Gambit pionka

DO: Biuro Dyrektora Rodau 248700, Instytut Badań Obcych Cywilizacji, Clars

NADAWCA: Biuro Dyrektora Eftisa 379214, Instytut Gier, Var4

TEMAT: 30 roczny raport, przekazany 12 Tai 3829

DATA: 4 Mras 3829

Szanowny Panie Rodau,

Wiem, że jest pan przeciwny przysyłaniu uzupełnień po zakończeniu analizy raportu, mam jednak nadzieję, że zrozumie pan moje intencje ze względu na wyjątkowość tego przypadku. W naszym ostatnim rocznym sprawozdaniu jest zawarta jedynie krótka wzmianka o odkrytej przez nas ostatnio rasie – Ludziach. Dane, które od tego czasu zgromadziliśmy, mogą okazać się ważne i sądzę, że pana zainteresują. Załączam film z opracowaniami i wynikami. Zagadkowość tego problemu polega na niepokojącej niezgodności z typowymi wzorami. Jest to rasa na dosyć niskim poziomie, pod pewnymi względami nawet prymitywna. U większości badanych sprowadzenie tutaj przez Transfer wywołało przerażenie, a nawet histerię. Jednakże zdziwiła mnie psychiczna i emocjonalna odporność tego gatunku, niespotykana u innych ras prymitywnych. Prawie każdy z nich opanował strach i przystępował do gry I Stopnia. W czasie gry wykazywali się wyobraźnią, zręcznością i agresywnością, niezwykłą u tak młodego gatunku. Wskazuje to na podobieństwo między Ludźmi a Chianis. Myślę, że właśnie wystąpienie tych analogii odwiodło mnie od odłożenia danych aż do następnego raportu. Ludzie nie stanowią dla nas zagrożenia ze względu na niemożność masowego opuszczania swojej planety. Jednakże, gdyby okazali się chociaż w jednej dwunastej tak niebezpieczni jak Chianis, będziemy musieli działać szybko. W związku z tym proszę o pozwolenie na natychmiastowe przejście do Fazy III (szczegółowy plan w załączniku). Zdaję sobie sprawę, że jest to posunięcie niedozwolone w przypadku gatunków na tym etapie rozwoju, ale uważam za konieczne wypróbowanie zdolności Ludzi w kontekście innych ras o większych zdolnościach. Proszę o jak najszybsze przekazanie mi swojej decyzji.

Łączę wyrazy szacunku

Eftis

DO: Biuro Dyrektora Eftisa 379214, Instytut Gier, Var 4
NADAWCA: Biuro Dyrektora Rodau 248700, IBOC, Clars
TEMAT: Uzupelnienie 30. rocznego raportu
DATA: 34 Forma 3829

Szanowny Panie Eftis,

Dziękuję panu za zwrócenie naszej uwagi na Ludzi. Dobrze wypełnił pan swój obowiązek. Jestem, podobnie jak pan, zainteresowany i zaniepokojony tym gatunkiem i zgadzam się w zupełności z pańską propozycją rozpoczęcia Fazy III. Jak zwykle taśmy z upoważnieniem dotrą zapewne za kilka tygodni, ale – nieoficjalnie – udzielam panu zezwolenia na rozpoczęcie przygotowań. Popieram również pańską sugestię, by przeciwnikiem tych Ludzi była rasa o rozwiniętym systemie komunikacji międzygwiazdnej: Olyt albo Fiwalic. Z pańskiego sprawozdania wynika, że Olyci zaczynają odnosić się z niechęcią do naszych badań, lecz nie powinien się pan tym przejmować, gdyż wyniki badań wykazują jasno, że nie stanowią oni dla nas żadnego zagrożenia. Proszę o dalsze przekazywanie informacji na ten temat, szczególnie jeśli odkryje pan w tej nowej rasie kolejne cechy analogiczne do cech Chianis.

Z poważaniem
Rodau

Lśniaca, nieprzejrzysta mgła, która otaczała go od pięciu minut zniknęła równie nagle jak powstała i Kelly McClain zobaczył, że znajduje się w pokoju, którego nigdy przedtem nie widział! Rozejrzał się. Powoli i ostrożnie. Serce biło mu mocno. Większość strachu wykrzyczał już z siebie w ciągu pierwszych chwil niewoli, ale czuł, że znowu ogarnia go panika. Opanował się z trudem. Jasne było, że nie jest już w swoim biurze w atomowym laboratorium uniwersytetu, ale poddanie się przerażeniu nie sprowadziłoby go tam z powrotem. Siedział w półkolistej wnęcie, zwrócony twarzą w stronę niewielkiego pokoju. Jego własne krzesło i trzy czwarte biurka odbyły wraz z nim tę niezwykłą wycieczkę. Ściany, pozbawione jakichkolwiek ozdób, sufit i podłoga pomieszczenia były zrobione z rudawego metalu. W prawym i lewym jego końcu zauważył płyty, które wyglądały na odsuwane drzwi. Uznał, że niewiele przyjdzie mu z siedzenia cicho w nadziei, iż zniknie ta przedziwna sceneria. Poczul, że znów może utrzymać się na nogach, więc wstał i precyzyjnie przeszedł przez wąską szczelinę między biurkiem a ścianą wnęki. Zwrócił uwagę na to, że biurko jest przecięte równo, prawdopodobnie przez białą mgłę lub coś, co w niej było. Najpierw podszedł do płyty po prawej stronie, ale jeśli to rzeczywiście były drzwi, to i tak nie miał pojęcia jak je otworzyć. Oględziny płyty po lewej stronie również nie dały żadnych rezultatów.

– Hej! – krzyknął. – Czy ktoś mnie słyszy?

Gruby głos odpowiedział mu tak nagle, że aż podskoczył.

– Witaj, Człowieku – usłyszał. – Witaj w Instytucie Gier Stryfkar na Var-4. Mam nadzieję, że podróż odbyła się pomyślnie?

Instytut gier? Kelly przypomniał sobie fragmenty artykułów, które widział w różnych czasopiśmie, wiadomości z ostatnich miesięcy o ludziach porwanych do centrum gier przez istoty pozaziemskie. Dla rozrywki przeglądał niektóre z nich i zauważył podobieństwo między różnymi opowieściami: za każdym razem brano dwoje ludzi i kazano im ze sobą grać w dziwną grę, a potem odsyłano do domu. Wtedy Kelly uważał te wiadomości za typowe sensacyjne bzdury. Sądził, że jest to po prostu kawał.

Tylko jak oni zrobili tę mgłę?

Na razie nie pozostawało mu nic innego, jak tylko włączyć się do zabawy.

– Och, podróż miałem świetną. Chociaż trochę nudną.

– Bardzo szybko przystosowałeś się do naszej sytuacji – powiedział głos i Kelly’emu zdawało się, że wyczuł w nim nutkę zdziwienia. – Nazywam się Slaich, a ty?

– Kelly McClain. Nieźle posługujesz się naszym językiem jak na obcego – a skąd jesteś?

– Ze Stryfu. Nasz komputer tłumaczący jest bardzo dobry i zebraliśmy dane od kilku twoich rodaków.

– Tak, słyszałem o tym. Po co ciągniecie ludzi aż tutaj, gdziekolwiek to *tutaj* jest, żeby grali w jakieś gry? A może to tajemnica?

– Nie. Chcemy się o was czegoś dowiedzieć. Gry są jedną ze stosowanych przez nas metod psychologicznych.

– Dlaczego nie spróbujecie z nami po prostu porozmawiać? Albo dlaczego nas nie odwiedzicie? – Bardzo chciał nadal wierzyć, że jest to tylko żart, ale było to coraz trudniejsze. Ten głos – inny niż głos komputera, ale zupełnie nie przypominający głosu człowieka – wywoływał w nim nieprzyjemne uczucie, że wszystko, co mówi jest prawdą. Czuł jak zimny pot zbiera mu się na czole.

– Rozmowy nie wystarczają do zbadania tego, o co nam chodzi – wyjaśnił rzeczowo Slaich. – A jeśli chodzi o odwiedzenie Ziemi, to Transfer ma ograniczone zdolności, a nie posiadamy statków, które mogłyby pokonać taką odległość. Nie chciałbym polecieć na Ziemię sam.

– Dlaczego? – napięcie Kelly’ego wzrosło maksymalnie, napęniając go szaleńczą odwagą. – Chyba nie wyglądasz aż tak okropnie. Pokaż mi się, natychmiast.

– Dobrze – odparł obcy bez wahania i fragment lśniącej ściany przed Kellym pociemniał. Nagle pojawił się w tym miejscu trójwymiarowy obraz – dwunożna i dwuręczna zjawą z koszmarne snu, Kelly wstrzymał oddech, kiedy niekształtna głowa zwróciła się w jego stronę. Otwór w kształcie litery X zaczął się poruszać.

– No i jak. Kelly? Bardzo się różnię od ludzi?

– Ja... ja... ja... – jękał się Kelly, nie mogąc wydusić z siebie słowa, koncentrując całą wolę na opanowaniu reakcji żołądka. Stojące przed nim stworzenie było prawdziwe – żaden mistrz charakteryzacji nie mógłby zmienić człowieka w coś takiego. A poza tym kolorowe hologramy takich rozmiarów i w takiej ostrości będą możliwe na Ziemi dopiero za kilkadziesiąt lat...

– Przepraszam, zdaje się, że cię przestraszyłem – powiedział Slaich sięgając do małej konsoli, której Kelly przedtem nie zauważył. Widać było jak mięśnie poruszają się w naciskającej guzik sześciopalczastej dłoni. Obraz zniknął i ściana odzyskała swój kolor. – Może chciałbyś coś zjeść i odpocząć – zaproponował gruby głos.

Drzwi po lewej stronie Kelly’ego odsunęły się, odsłaniając niewielki pokój.

– Będziemy mogli zacząć dopiero za kilka godzin. Zawołamy cię.

Kelly, nie mogąc wydobyć z siebie głosu, kiwnął głową i wszedł do pokoju. Drzwi zamknęły się. W połowie pomieszczenia stało przy ścianie normalnie wyglądające łóżko. Kellyemu udało się do niego dotrzeć, zanim nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Długo leżał, cicho łkając, z twarzą wtuloną w poduszkę. Głupio mu było, że zachowuje się jak dziecko – zawsze starał się być twardy i nieugięty – ale gdy chciał się opanować, jego samopoczucie jeszcze bardziej się pogarszało. Wreszcie poddał się, musiał jakoś wyrzucić z siebie napięcie. Po jakimś czasie uspokoił się i znów mógł w miarę logicznie myśleć. Obrócił się na bok, nieświadomie przybierając pozycję embrionu, patrzył na rdzawą ścianę i myślał. Wyglądało na to, że przynajmniej na razie nic mu nie zagraża. Z artykułów wynikało, że obcy rzeczywiście chcieli tylko przeprowadzić swoje badania psychologiczne, a potem odsyłali uczestników do domu. Wszystko, co stało się do tej pory zdawało się to potwierdzać – na pewno zarejestrowali jego reakcje na słowa i nagłe pojawienie się Slaicha. Wstrząsnął się na wspomnienie tej obcej fizjonomii. Poczul kielkującą złość. Nawet jeśli był to test psychologiczny, nigdy nie wybaczy Slaichowi, że nie przygotował go jakoś na ten szok. W każdym razie, najważniejsze jest zachowanie spokoju i granie roli posłusznego przedmiotu badań, tak by móc wrócić do domu bez większych kłopotów. A jeśli uda mu się to zrobić z godnością, tym lepiej. Nie zauważył nawet, kiedy zasnął. Obudził się z przerażeniem na dźwięk czyjegoś głosu.

– Tak?

– Już czas – poinformował go komputer. – Proszę przejść z pokoju odpoczynkowego do sali testów.

Kelly usiadł, rozglądając się dokoła. Jedyne drzwi w tym pokoju to te, którymi wszedł, sala testów musi więc znajdować się za drugimi drzwiami w pokoju z wnęką.

– Skąd jest mój partner? – zapytał kierując się do wyjścia. – Czy zabieracie z Ziemi przypadkowych ludzi?

– Zwykle nastawiamy Transfer na miejsca, gdzie koncentrują się źródła rozszczepieniowe albo termojądrowe, jeśli takie istnieją – odparł Slaich. – Jednakże wyszedłeś z fałszywego założenia. Twoim przeciwnikiem nie będzie Człowiek.

Kelly stanął w drzwiach jak sparaliżowany. Następnym szok.

– Rozumiem. W każdym razie dziękuję za ostrzeżenie. Hm... kim on jest?

– Olyt. Jego gatunek jest na nieco wyższym poziomie niż twój, Olyci założyli potężne dominium ośmiu planet w siedmiu gwiazdnych układach. Badamy ich dokładnie, mimo że najbliższy ich świat znajduje się w odległości trzydziestu lat świetlnych od Instytutu.

Kelly z wysiłkiem ruszył znowu w stronę drugich drzwi.

– Czy z tego wynika, że jesteśmy sąsiadami? Nie powiedziałeś mi jak daleko stąd jest Ziemia.

– Około czterdziestu ośmiu lat świetlnych stąd i trzydziestu sześciu od Olytów. Stosunkowo niedaleko.

Drzwi po przeciwnej stronie pokoju otworzyły się, kiedy Kelly zbliżył się do nich. Skoncentrował się i przeszedł przez próg. Sala gier była mała i dość ciemna, jedyne źródło światła stanowiły jarzące się czerwone konsole. Środek pokoju zajmował stół z dużą, skomplikowaną planszą do gry. Poza tym były tam jeszcze tylko dwa krzesła, jedno przedziwnej konstrukcji. Przed drzwiami, po przeciwnej stronie pokoju stał obcy. Tym razem Kelly był lepiej przygotowany na szok i idąc w stronę stołu odczuwał przede wszystkim ciekawość. Olyt był o pół głowy niższy od niego, jego szczupłe ciało pokrywało coś przypominającego wielkie, białe łuski. Dwie nogi i dwie ręce zaopatrzone były w szpony. Długi pysk był uzbrojony w liczne zęby, czarne oczy osadzone głęboko pod krzaczastymi brwiami. Wyobraźcie sobie białego, bezogoniastego aligatora ubranego w obszerny skórzany worek, берет i szeroki pas... Przy stole stanęli niemal równocześnie. Z bliska plansza okazała się być mniejsza, od obcego dzieliło go niewiele ponad dwie długości rak. Kelly ostrożnie podniósł otwartą dłoń, mając nadzieję, że ten gest zostanie właściwie zrozumiany.

– Witaj. Jestem Kelly McClain, człowiek.

Obcy nie cofnął się, ani nie rzucił Kelly'emu do gardła. Wyciągnął przed siebie rękę, skrzyżowawszy nadgarstki i Kelly zauważył, że mógł chować pazury jak kot. Stwór poruszył ustami wydając dziwne dźwięki. Kilka sekund później niewidoczny głośnik podał tłumaczenie.

– Witam cię. Jestem Tlaymasy z Olytów.

– Usiądźcie, proszę – wydał polecenie Slaich. – Możecie zacząć, jak tylko ustalicie zasady gry.

Kelly otworzył szeroko oczy.

– Jak to?

– Gra nie ma ustalonych reguł. Zanim zaczniecie, musicie sami zdecydować, jaki będzie cel i sposób gry.

Tlaymasy odezwał się znowu:

– O co chodzi?

– Chcemy zbadać wzajemne oddziaływanie Olyta i Człowieka – odparł Slaich. – Z pewnością inni przedstawiciele twojego gatunku opowiadali ci o tym eksperymencie.

Kelly zmarszczył brwi.

– Już kiedyś braliście udział w czymś takim?

– W ciągu ostatnich szesnastu lat stu dwudziestu ośmiu przedstawicieli mojej rasy trafiło tutaj – poinformował go Olyt.

Kelly żałował, że nie potrafi odgadnąć, co oznacza wyraz twarzy obcego. Głos komputera brzmiał obojętnie, ale same słowa kryły w sobie oburzenie.

– Niektórzy mówili o tej grze bez zasad. Jednakże moje pytanie dotyczyło stawki.

– Ach. Jak zwykle tutaj: zwycięzca może wrócić do domu.

Kelly'emu serce zabiło mocniej.

– Chwileczkę. A skąd się wzięła ta zasada?

– Ogólne reguły ustalamy my – odparł stanowczo Slaich.

– Tak, ale... A co będzie z tym, który przegra?

– Zostaje, żeby zagrać z innym przeciwnikiem.

– A jeśli odmówię udziału w grze?

– To jest równoznaczne z przegraną.

Kelly skrzywił się, ale nic nie mógł na to poradzić. Trzeba to załatwić z godnością, pomyślał chłodno i zabrał się do oglądania planszy. Wyglądało na to, że można ją było zastosować do co najmniej kilkunastu różniących się znacznie gier. Była kwadratowa, z dwoma rzędami pięciokolorowych kwadratów dookoła obwodu, w jednym wzór powtarzał się, w drugim pola były ułożone przypadkowo. Wewnątrz była szachownica, z narzuconymi na nią współśrodkowymi kołami i rozchodzącymi się promieniście liniami. Po jednej stronie planszy leżał stos przezroczystych krążków i zestaw podnóżków do nich, po drugiej stronie były pionki różnych rozmiarów, kształtów i kolorów, a także karty, wielostronne kostki i jakiś przyrząd z małym ekranem.

– Wygląda na to, że jesteśmy nieźle wyposażeni – powiedział do Olyta, który również przyglądał się temu zestawowi. – Myślę, że możemy zacząć od wybierania pól. Proponuję czerwone i – czy to jest niebieski? – te kwadraty. – Wskazał na szachownicę.

– Dobrze – zgodził się Tlaymasy. – Teraz musimy ustalić, w co gramy. Czy znasz Cztery Warstwy?

– Nie sądzę, ale może u nas jest coś podobnego. Opisz mi, jak się w to gra.

Tlaymasy zaczął wyjaśniać, demonstrując niektóre ruchy pionkiem w kształcie motyla.

– Myślę, że mogę spróbować – powiedział Kelly. – Oczywiście masz dużą przewagę, bo grałeś w to już przedtem. Zgadzam się pod dwoma warunkami: pierwszy, o ataku na trzecim i czwartym poziomie trzeba uprzedzić jeden ruch wcześniej.

– To wyklucza możliwość zaskoczenia – sprzeciwił się Tlaymasy.

– Właśnie. Ale znasz grę na tyle dobrze, że chyba możesz ustąpić mi w tym jednym, prawda?

– Dobrze. A drugi warunek?

– Najpierw zagramy dla wprawy. Innymi słowy, druga gra zadecyduje, kto poleci do domu. Czy może tak być? – dodał patrząc w górny róg sali.

– Każda zasada, na którą obaj się zgodzicie będzie obowiązująca – odpowiedział Slaich.

Kelly spojrział na swego przeciwnika.

– Tlaymasy?

– Dobrze. Zaczynamy.

Kelly przekonał się, że nie była to trudna gra, chociaż na samym początku popełnił błąd i przez resztę gry musiał się bronić. Nietrudno było rozszyfrować Tlaymasy'ego i pod koniec Kelly potrafił już przewidzieć następny ruch Olyty.

– Interesująca gra – zauważył Kelly, kiedy zebrali figury z planszy i przygotowywali się do drugiej partii. – Czy jest u was popularna?

– Dosyć. W starożytności używano jej do ćwiczenia logicznego myślenia. Jesteś gotowy?

– Tak – odpowiedział Kelly.

Czuł, że zasycha mu w ustach. Tym razem Kelly'emu udało się uniknąć błędów, które popełnił na początku poprzedniej rozgrywki i w miarę jak plansza pokrywała się figurami, jego pozycja stała się równie mocna jak Tlaymasy'ego. Pochylony nad szachownicą walczył o utrzymanie pozycji, starając się przewidzieć każdy następny ruch. W pewnej chwili Tlaymasy popełnił zasadniczy błąd, odsłaniając jedno skrzydło swej armii na podwójny atak. Kelly ruszył pełną parą i w czterech następnych ruchach zagarnął sześć pionków przeciwnika – niszczący cios. Nagły, głośny syk. Kelly aż podskoczył. Podniósł wzrok znad stołu i triumfalny uśmiech zniknął z jego twarzy. Olyt patrzył na niego, w otwartej paszczy widać było rzędy ostrych zębów. Obie ręce miał na stole i Kelly widział wysuwające się i chowające na przemian pazury.

– Uhm... czy coś jest nie w porządku? – zapytał ostrożnie, napięty i przygotowany do obrony.

Przez moment było zupełnie cicho. Potem Tlaymasy zamknął paszczę i schował szpony.

– Zdenerwowałem się moim głupim posunięciem. Już mi przeszło. Grajmy dalej.

Kelly kiwnął głową i ponownie spojrział na planszę, ale jego entuzjazm minął. W ferworze gry niemal zapomniał, że gra o bilet do domu. Nagle okazało się, że może gra również i o życie. Wybuch Tlaymasy'ego uświadomił mu w mało subtelny sposób, że Olyt nie pogodzi się łatwo z przegraną. Gra trwała nadal. Kelly starał się jak mógł, ale nie potrafił się skupić. W dziesięciu ruchach Tlaymasy nadrobił wcześniejszą stratę. Kelly rzucał na niego ukradkowe spojrzenia, zastanawiając się, czy obcy nie zaplanował sobie tego od początku. Z pewnością, sam będąc więźniem na obcej planecie, nie rzuciłby się na niego... a

może? Gdyby, na przykład, honor ważniejszy był dla niego niż życie, a honor ten nie pozwalałby mu przegrać z kimś z innej planety? Na czoło Kelly'ego wystąpiły krople potu. Nie miał dowodu na to, że Tlaymasy rozumuje w ten sposób... ale nie miał też powodu sądzić, że tak nie jest. Odruch obcego na pewno nie należał do serdecznych i przyjacielskich. Nietrudno było mu podjąć decyzję. Ostrożność nigdy nie zaszkodzi – a kilka dodatkowych dni w tym miejscu nie będzie aż tak strasznym przeżyciem. Z premedytacją przeprowadził śmiały atak na siły Tlaymasy'ego, musiałby mieć niezwykle szczęście, żeby mu się powiodło. Niezwykle szczęście rzadko się trafia. Jeszcze siedem ruchów i Tlaymasy wygrał.

– Gra skończona – rozległ się głos Slaicha. – Tlaymasy, wróć do sali Transferu i przygotuj się do opuszczenia Instytutu. Kelly McClain wróć do pokoju odpoczynkowego.

Olyt wstał i skrzyżował nadgarstki pozdrawiając Kelly'ego, po czym odwrócił się i zniknął za drzwiami. Kelly odetchnął z ulgą i ruszył do swojego pokoju.

– Nieźle grałeś, jak na pierwszy raz – dobiegł go głos Slaicha.

– Dziękuję – burknął Kelly. Teraz, kiedy nie miał już przed sobą kłów i szponów Tlaymasy'ego, zaczął się zastanawiać, czy dobrze zrobił rezygnując z wygranej.

– Kiedy mam znowu grać?

– Za około dwadzieścia godzin. Transfer trzeba będzie przestawić po podróży Olyta.

Kelly zatrzymał się w wejściu do pokoju odpoczynkowego.

– Dwadzieścia godzin? – powtórzył. – Chwileczkę...

Zwrócił się w stronę wnęki, w której stało jego biurko – ale zaledwie zrobił dwa kroki, kiedy buchnęły przed nim czerwone iskry.

– Ej! – wrzasnął, gdy uderzyło w niego gorące powietrze. – A to co takiego?

– Nie wolno ci podchodzić do urządzenia transferującego. – Głos Slaicha zabrzmiał ostro.

– Bzdura! Przecież nie będę przez cały dzień dłużał w nosie. Chcę wziąć książki z mojego biurka.

Przez chwilę panowała cisza, a potem Slaich powiedział znowu swoim spokojnym głosem:

– Rozumiem. Myślę, że na to można się zgodzić. Weź je.

Kelly skrzywił się i powoli podszedł do wnęki. Wybuch nie powtórzył się. Otworzył dolną szufladę biurka i wyciągnął trzy książki, które zawsze tam trzymał, żeby poczytać sobie w wolnej chwili. Z drugiej szuflady wziął kilka czasopism i po namyśle jeszcze kilka długopisów i notes. Cofnąwszy się na środek pokoju wyciągnął swój łup.

– Widzisz? Zupełnie nieszkodliwe. Ani jednej bomby neutronowej.

– Wróć do swojego pokoju. – Slaich nie był tym rozbawiony.

Emocje gry sprawiły, że Kelly zapomniał o obiedzie i kolacji.

Teraz jednak pusty żołądek dał mu znać o sobie. Zgodnie z instrukcjami Slaicha zamówił i wziął posiłek z automatu w ścianie. Posiłek był mdły, ale sycący i Kelly czuł jak w miarę jedzenia wraca mu dobry humor. Potem wybrał jedną z książek i wyciągnął się na łóżku. Ale

nie od razu zaczął czytać. Patrzył w sufit i rozmyślał. Nie mógł mieć żadnych wątpliwości, że to co się z nim działo, nie było żartem. Nie mógł teraz mieć nadziei, że uda mu się uciec. Jedyne wyjście z tych pomieszczeń prowadziło przez Transfer, którego mechanizm, ukryty za metalowymi drzwiami pewnie i tak był niezrozumiały. Na to, że Stryfkar zamierzał odesłać go do domu miał tylko słowo Slaicha, a ponieważ dotrzymał słowa danego innym ludziom, Kelly nie miał powodu, by mu nie wierzyć. To prawda, że zasady gry były tym razem inne, ale Tlaymasy sugerował, że Stryfkar już kilka razy przeprowadzał taki eksperyment z Olytami i zwalniał ich zgodnie z planem. A więc pozostawało pytanie, czy Kelly wygra następną grę.

Zmarszczył brwi. Nigdy nie był szczególnie dobrym graczem, często wygrywał w szachy, ale tylko czasami w inne gry, których znał niewiele. A jednak dzisiaj był zadziwiająco bliski wygranej. I to w dodatku w grze z obcym, którego rasa skolonizowała osiem planet. Mogło to być bez znaczenia, oczywiście, Tlaymasy też mógł być kiepskim graczem. Ale musiałby być kompletnym idiotą, żeby zaproponować grę, w której nie był dobry. A poza tym, trzeba zwrócić uwagę na reakcje Slaicha, jasne było, że Stryfkar nie spodziewał się, że Kelly'emu pójdzie tak dobrze. Czy miało to znaczyć, że Kelly, przeciętny gracz, był lepszy od świetnego obcego?!

Jeśli to była prawda, to w zasadzie nie istniał żaden problem. Kimkolwiek będzie jego następny przeciwnik, nie powinien mieć trudności z pokonaniem go, szczególnie jeśli wybierze grę mało znaną obydwu graczom. Gdyby ten nowy nie był Olytem, mogliby wybrać Cztery Warstwy. Łatwo było nauczyć się w nią grać. A swoją drogą będzie mógł wprowadzać ją na rynek po powrocie do domu. Nie zbije na tym fortuny, bo produkcja rozmaitych gier kwitnie, ale zawsze coś niecoś zarobi. Z drugiej strony... po co się tak spieszyć?

Kelly poruszył się niespokojnie, bo wpadł mu do głowy szalony pomysł. Jeśli naprawdę był lepszy niż większość obcych, to wynikało z tego, że mógł wrócić do domu kiedy tylko zechce, po prostu wygrywając którąś z kolejnych gier. Jeśli rzeczywiście tak jest, to dlaczego nie miałby zostać jeszcze tydzień i nauczyć się paru innych gier z innych światów? Im dłużej o tym myślał, tym bardziej mu się ten pomysł podobał. Wiązało się to wprawdzie z pewnym ryzykiem, ale nie da się go uniknąć, jeśli się chce zarobić grubszą forszę. Ryzyko nie mogło być zbyt duże – to w końcu tylko psychologiczny eksperyment.

– Slaich? – zawołał w stronę metalowego sufitu.

– Tak?

– Jeśli przegram w następnej grze, to co się stanie?

– Zostaniesz tutaj, aż wygrasz lub do chwili zakończenia doświadczeń.

Więc nie będzie ukarany lub coś w tym rodzaju, jeśli ciągle będzie przegrywał. Jego zdaniem, Stryfkar wymyślił sobie mało skomplikowany eksperyment. Ludzie, na ich miejscu, prawdopodobnie wykombinowaliby coś bardziej wyszukanego. Czyżby to miało znaczyć, że ludzie byli lepszymi strategami niż rodacy Slaicha? Interesujące pytanie, ale Kelly nie miał na razie zamiaru się tym zajmować. Wystarczyło mu, że znalazł możliwość manewrowania w tej

ściśle określonej sytuacji. Ustalone przez nich zasady były, według niego, stworzone po to, by je naginać do własnych planów. A jeśli już chodzi o zasady... Kelly odłożył książkę, zeskoczył z łóżka i podszedł do rozkładanego stołu. Najpierw obowiązek, potem przyjemność, powiedział sobie stanowczo. Wziął długopis i notes, i zaczął rysować plansze do Czterech Warstw i wypisywał reguły gry.

DO: Biuro Dyrektora Rodanu 248700, IBOC, Clars

NADAWCA: Biuro Dyrektora Eftisa 379214, Instytut Gier, Var-4

TEMAT: Ludzie

DATA: 3 Lysmo 5829

Szanowny Panie Rodau,

Nasze badania ujawniły niepokojące aspekty sprawy Ludzi i jesteśmy coraz mocniej przekonani, że natknęliśmy się na następną rasę Chianis. Szczegóły zostaną przesłane po zakończeniu analizy, ale chciałem poinformować pana o tym, żeby dać panu jak najwięcej czasu na przygotowanie ataku, jeśli uzna pan takie posunięcie za stosowne. Zgodnie z pozwoleniem, rozpoczęliśmy trzecią fazę badań osiem dni temu. Nasz Człowiek grał z przedstawicielami czterech ras: Olyt, Fiwalic, Spromsa i Thim-tra-chee. Za każdym razem wybierano grę ze świata nie należącego do ludzi, z drobnymi modyfikacjami wprowadzanymi przez Człowieka. Tak jak można się było tego spodziewać, Człowiek niezmiennie przegrywał – ale w każdym przypadku miał wyraźną przewagę aż do ostatnich kilku ruchów. Nasz specjalista Slaich 898661 już wcześniej sugerował, że Człowiek może specjalnie przegrywać, ale ponieważ chodzi o jego honor i wolność, Slaich nie potrafi wyjaśnić takiego zachowania, jednakże w rozmowie z l'Lysmo (nagrania załączone) Człowiek sam potwierdził nasze podejrzenie, że motywem może być chęć materialnego zysku. Wykorzystuje nasze badania w celu zapoznania się z grami swoich przeciwników, zamierzając wprowadzić je z korzyścią na rynek w swoim świecie. Z pewnością zauważył pan podobieństwo do psychiki Chianis: żądza korzyści, nawet jeśli wiąże się to z ryzykiem, i założenie, że własne zdolności wystarczą do uwolnienia się, kiedy tylko zechce. Jak wiemy z historii, te właśnie cechy Chianis doprowadziły do ich nieprawdopodobnych podbojów. Należy również podkreślić, że ten Człowiek nie postępuje jak ktoś, kto przeszedł wojskowe lub inne taktyczne szkolenie, trzeba więc uznać go za przeciętnego przedstawiciela rasy. O ile dalsze badania nie ujawnią cech wykluczających rozwój w tym samym, co Chianis kierunku, sądzę że powinniśmy wziąć pod uwagę konieczność jak najszybszego zniszczenia tej rasy. Ze względu na konieczność zbadania maksymalnych zdolności strategicznych rasy i ze względu na niechęć przedmiotu badań do współpracy, jesteśmy zmuszeni wprowadzić silniejszy bodziec. Wyniki dalszych doświadczeń powinny wiele wyjaśnić i zostaną panu wysłane natychmiast.

Z poważaniem

Drzwi odsunęły się i Kelly wszedł do sali testów, patrząc z ciekawością, z kim też przyjdzie mu współzawodniczyć tym razem. Przyćmione czerwone światło wskazywało na to, że znowu będzie to ktoś z planety o czerwonym słońcu i kiedy wzrok Kelly'ego przyzwyczaił się do półmroku, zobaczył, że do stołu podchodzi przypominający aligatora Olyt.

– Witam – powiedział Kelly, wyciągając przed siebie skrzyżowane ręce, tak jak widział przy pierwszej grze. – Jestem Kelly McClain, człowiek.

Olyt pozdrowił go w ten sam sposób

– Jestem ulur Achrae, Olyt.

– Miło mi cię poznać. Co znaczy ulur?

– To jest mój tytuł. Dowodzę siedmioma okrętami wojennymi.

Kelly przełknął ślinę... Wojskowy. Dobrze, że nie spieszyło mu się, żeby wygrać i wrócić do domu.

– Ciekawe. No cóż, zaczynamy?

Achrae usiadł.

– Skończmy szybko tę szaradę.

– Co rozumiesz przez słowo szarada? – zapytał Kelly ostrożnie, zajmując swoje miejsce. Nie był ekspertem, jeśli chodzi o uczucia Olytów, ale mógł przysiąc, że ten był zły.

– Nie zaprzeczaj – warknął obcy. – Widziałem twoje imię w sprawozdaniu i wiem, jak grałeś na polecenie Stryfkaru z innym przedstawicielem mojej rasy. Obserwowałeś go jak królika doświadczalnego, zanim pozwoliłeś mu wygrać i wrócić do domu. Nie podoba się nam sposób w jaki traktujecie nas, zabierając tak...

– Ej! Chwileczkę, ja nie pracuję dla nich. Ludzi też tak zabierają. Myślę, że to jakieś doświadczenia psychologiczne.

Olyt wlepił w niego wściekły wzrok, milcząc przez chwilę.

– Jeśli naprawdę w to wierzysz, to jesteś głupcem – powiedział wreszcie, już spokojniejszy. – No dobrze, zaczynajmy.

– Zanim to zrobicie, muszę powiedzieć wam o ważnej zmianie w regułach – wtrącił się głos Slaicha. – Zagrać w trzy różne gry, nie w jedną, za każdym razem ustalając reguły. Ten, kto wygra dwie lub więcej wróci do domu. Drugi straci życie.

Minęło trochę czasu, zanim dotarło do nich znaczenie jego słów.

– Co? – wrzasnął Kelly. – Nie możecie tego zrobić!

Po drugiej stronie stołu Achrae zasyczał przeciągle. Odsłonięte pazury drapały lekko blat stołu.

– Tak zostało ustalone – odpowiedział obojętnym głosem Slaich. – Zaczynajcie.

Kelly spojrzał bezradnie na Achrae.

– Nie będziemy grali o życie. To barbarzyński pomysł, a my jesteśmy istotami cywilizowanymi.

– Cywilizowanymi. – Niespodziewanie głos Slaicha był pełen pogardy. – Ludzie potrafią wysłać statki zaledwie poza granice atmosfery i ty uważasz się za istotę cywilizowaną? A twój przeciwnik jest niewiele lepszy.

– Rządzimy przestrzenią o średnicy piętnastu lat świetlnych – Achrae przypomniawszy spokojnie Slaichowi.

Kelly doszedł do wniosku, że wprawdzie Olyci szybko wpadali w gniew, ale też równie szybko ten gniew im mijał.

– Te twoje osiem gwiazd to nic w porównaniu z naszymi czterdziestoma.

– Krążą pogłoski, że Chianis mieli zaledwie pięć, kiedy was zaatakowali.

Głośnik zamilkł złowieszczo.

– Kto to są Chianis? – zapytał Kelly. Miał ochotę wyszeptać to pytanie.

– Słyszałem, że była to mała liczebnie, ale brutalna i agresywna rasa, która o mało co nie podbiła Stryfkaru wiele lat temu. Tak przynajmniej mówili nam handlowcy, ale nie wiem czy to prawda.

– Prawda czy nie, uderzyłeś we właściwą strunę – powiedział Kelly. – Jak uważasz, Slaich? Ma rację?

– Macie zacząć zaraz – rozkazał Slaich, ignorując pytanie Kelly'ego.

Kelly spojrzawszy na Achrae, żałując, że nie potrafi odgadnąć wyrazu jego twarzy. Czy Olyci potrafią blefować?

– Powiedziałem, że nie będziemy grali o życie.

W odpowiedzi znajome czerwone iskry buchnęły tuż przed jego twarzą. Instynktownie odepchnął się od stołu, przewracając się wraz z krzesłem do tyłu. Rąbnął się tak, że zobaczył gwiazdy, fiknął koziółka i wylądował na brzuchu na podłodze. Ostrożnie uniósł głowę i zobaczywszy, że czerwony meteor zgasł, z trudem podniósł się na nogi. Achrae stał z dala od stołu w pozycji obronnej.

– Jeśli nie będziecie grać, to zginiecie oboje. – Głos Slaicha był spokojny, niemal obojętny, ale Kellyemu ciarki przeleciały po plecach. Achrae miał rację: to nie było zwykłe doświadczenie psychologiczne. Stryfkar szukał potencjalnego wroga i zarówno Olyci, jak ludzie trafili jakoś na jego listę. Nie mieli żadnej szansy ucieczki. Patrząc na Achrae Kelly bezradnie wzruszył ramionami.

– Wygląda na to, że nie mamy wielkiego wyboru, nieprawdaż?

Olyt powoli wyprostował się.

– Chyba nie.

– Ponieważ te zawody są tak istotne dla nas obojwóch – zaczął Kelly, kiedy ponownie usiedli – proponuję, żebyś ty wybrał pierwszą grę, a ja wprowadzę do niej zmiany. W drugiej

grze odwrotnie. Oczywiście za każdym razem zmiany będzie musiała zaakceptować strona przeciwna.

– To wydaje się uczciwe. A trzecia gra?

– Nie wiem. Omówimy ją później, dobrze?

Opracowanie pierwszej gry, razem z poprawkami, zajęło prawie godzinę. Achrae użył trzech dodatkowych przezroczystych krążków i ich podnóżków do zbudowania trójwymiarowego pola gry: sama gra przypominała Okręt Wojenny z elementami szachów i Monopolu, a nawet pokera. Zadziwiające, ale taka mieszanka była całkiem niezła i gdyby nie wysokość stawki, o którą grali, Kelly z pewnością dobrze by się bawił. Jego wkład w ustalenie zasad polegał na niewielkiej zmianie kształtu pola – co, jak sądził, musiało zmienić ustaloną taktykę przeciwnika – i na wprowadzeniu pojęcia atutu.

– Proponuję też, żebyśmy najpierw zagrali na próbę – powiedział.

Olyt spojrział na niego bacznie ciemnymi oczyma.

– Po co?

– Dlaczego nie? Nigdy w to przedtem nie grałem, ty też nie przy takich zasadach. Dzięki temu prawdziwa gra będzie uczciwa. Bardziej honorowa. Tak samo zrobimy przy drugiej i trzeciej grze.

– Aha, to sprawa honoru? – obcy przekrzywił głowę w prawo. – Dobrze. Zaczynamy.

Nawet ze zmianami gra – Niebieski Marsz, jak nazwał ją Achrae – nie była obca Olytowi i wygrał ją bez trudu. Kelly podejrzewał, że ćwiczenia w Niebieskim Marszu były obowiązkowym zajęciem w akademii wojsk przestrzennych Olytów.

– Czy ten Stryf powiedział prawdę, że nie macie komunikacji międzygwiazdnej? – zapytał Achrae, kiedy ponownie ustawili pionki.

– Co? A, tak – odpowiedział z roztargnieniem Kelly, pochłonięty myślami o posunięciach w następnej grze. – Nie mamy prawie wcale statków kosmicznych.

– Dziwne, bo tak szybko pojmujesz zasady taktyki wojny przestrzennej. – Machnął ręką z ukrytymi pazurami. – I szkoda, bo nie będziecie mogli się bronić, jeśli Stryfkar postanowi was zniszczyć.

– Myślę, że nie, ale po co mieliby to robić? Nie stanowimy dla nich żadnego zagrożenia.

Achrae wskazał na planszę.

– Jeśli jesteś przeciętnym przedstawicielem, to wydaje mi się, że twoi rodacy mają niezwykle zdolności taktyczne i odznaczają się agresywnością. Te cechy czynią z was cennych sprzymierzeńców i niebezpiecznych przeciwników dla każdej kosmicznej rasy.

Kelly wzruszył ramionami.

– W takim razie powinni starać się nas przekonać.

– To mało prawdopodobne. Stryfkar słyną ze swojej dumy i nie uznają żadnych sprzymierzeńców. Sposób, w jaki nas traktują odzwierciedla ich stosunek do obcych.

Kelly zauważył z niepokojem, że w Olycie znowu zaczęła wzbierać wściekłość. Zmiana tematu wydawała się konieczna.

– No tak. Zaczniemy?

Achrae zasyczał po swojemu:

– Dobrze.

Kelly od początku nie miał żadnych szans. Starał się jak mógł, ale widać było, że Olyt potrafi myśleć trójwymiarowo lepiej niż on. Kilka razy stracił pionka tylko dlatego, że nie przyszedł mu do głowy zupełnie oczywisty ruch, który powinien był zrobić. Złany potem próbował opanować się, poświęcać więcej czasu na każde posunięcie. Ale to nic nie pomogło. Achrae nieubłaganie zaciskał pętlę i już było po wszystkim.

Kelly odchylił się do tyłu, oddychając głęboko. W porządku, mówił sobie, mógł spodziewać się, że przegra w grze, w której obcy miał przewagę, bo znał ją lepiej. Ale następna będzie inna, do Kelly'ego będzie należał wybór broni... Achrae przerwał mu rozmyślenia:

– Czy już zdecydowałeś, w co będziemy grali?

– Poczekaj chwilę, dobrze? – burknął Kelly, obrzucając obcego niezbyt przyjemnym spojrzeniem. – Daj mi się zastanowić.

To nie była łatwa sprawa. Kelly najlepszy był w szachach, ale Achrae już udowodnił, że jest świetnym strategiem, przynajmniej w grach wojennych. A więc wybranie szachów byłoby ryzykowne. W grach karcianych wiele zależy od szczęścia, a w tej drugiej grze Kelly powinien zapewnić sobie jak największe szanse wygranej. Gry literowe nie wchodziły w rachubę. Warcaby, to zbyt proste. A może... A może jakaś gra sportowa?

– Slaich? Czy możemy dostać jakiś dodatkowy sprzęt? Potrzebny by mi był dłuższy stół, rakiety i jakieś sprężyste piłeczki.

– Gry, które wymagają sprawności fizycznej ze względu na swój charakter nie mogą być zastosowane w takim współzawodnictwie – odparł Slaich.

– Nie mam nic przeciwko temu – odezwał się Achrae. Kelly spojrzał na niego zdziwiony. – Powiedziałeś, że możemy wybierać gry i zasady, a tym razem wybiera Kelly McClain.

– Zajmujemy się psychologią – odparł Slaich. – Nie interesują nas wasze mięśnie. Macie wybrać grę, do której wystarczy sprzęt, który jest przed wami.

– To poniżające!

– Nie, w porządku, Achrae – wtrącił Kelly, wstydząc się, że zaproponował coś takiego.

– Slaich ma rację, to nie byłoby zupełnie uczciwe. Nie postąpiłem honorowo proponując to. Przepraszam.

– To nie twoja wina – powiedział Olyt. – Wstydzić powinni się ci, którzy nas tu ściągnęli.

– Tak – zgodził się Kelly, spoglądając ponuro na sufit. Obcy dobrze to ujął. Achrae nie był jego wrogiem tylko partnerem w grze. Prawdziwym wrogiem był Stryfkar. Świadomość tego niewiele zmieniła jego sytuację.

Chrząknął.

– Dobrze. Achrae, myślę, że jestem gotów. Ta gra nazywa się szachy...

Olyt szybko pojął zasady i ruchy, tak że Kelly zastanawiał się czy obcy nie mają podobnej gry. Na szczęście, wyglądało na to, że ruchy skoczka są dla niego zupełną nowością i Kelly miał nadzieję, że zmniejszy to trochę taktyczne możliwości partnera. Achrae wysunął propozycję, żeby pionki można było cofać. Kelly zgodził się i zabrali się do gry próbnej. Okazała się trudniejsza, niż Kelly się spodziewał. Ruch pionków w tył sprawiał mu spore kłopoty, głównie dlatego, że jego umysł ciągle eliminował taką możliwość. W ośmiu ruchach stracił obydwu gońców i jednego z cennych skoczków, a królowa Achrae groziła mu w każdej chwili.

– Interesująca gra – zauważył Olyt kilka posunięć później, kiedy Kellyemu udało się uciec przed druzgocącym atakiem. – Czy uczyłeś się tego w specjalnej szkole?

– Nie – odpowiedział Kelly zadowolony z chwili wytchnienia. – Po prostu grałem dla rozrywki z przyjaciółmi. Dlaczego pytasz?

– Zręczność w grze jest odzwierciedleniem zdolności do radzenia sobie z prawdziwym niebezpieczeństwem. Sądząc z twojej gry, masz spore zdolności.

Kelly wzruszył ramionami.

– Myślę, że to nasza cecha narodowa.

– Ciekawe. U nas tego typu umiejętności nabywa się w czasie długiej nauki – Achrae wskazał na szachownicę. – Mamy podobną grę, gdybym nie studiował jej kiedyś, przegrałbym w kilku ruchach.

– Taak – mruknął Kelly. Był prawie pewien, że dotychczasowe sukcesy Achrae nie były wyłącznie wynikiem szczęścia, ale miał cichą nadzieję, że się myli. – Wróćmy do gry, co?

Kelly wygrał w końcu, ale tylko dlatego, że Achrae stracił królową i Kelly’emu udało się wykorzystać ten błąd bez większych strat.

– Czy jesteś gotowy, żeby zacząć właściwą grę? – zapytał Achrae, kiedy sprząтали planszę.

Kelly skinął głową ze ściśniętym gardłem. Tym razem wiele miało zależeć od wyniku.

– Myślę, że tak. Do dzieła.

Rzucając wielostronną kostkę ustalili, że Olyt weźmie białe pionki. Achrae zaczął ruchem spod króla, na co Kelly odpowiedział ruchem, który jak mgliście pamiętał, nazywano obroną sycylijską. Obaj grali ostrożnie: w pierwszych dwudziestu posunięciach odpadły tylko dwa pionki. Spocony mimo klimatyzacji Kelly obserwował jak przeciwnik stopniowo przechodzi do ataku, podczas gdy on sam bronił się jak mógł. Druzgocący atak, obrona i

poszło następnych osiem pionków... a Kelly stracił wieżę. Drżącą ręką odgarniając kosmyk włosów, Kelly oddychał ciężko, przyglądając się szachownicy. Bez wątplenia był w tarapatach. Achrae opanował środek, a jego król był lepiej chroniony. Co gorsza, obcy opanował już ruchy skoczka, a Kelly ciągle miał kłopoty z pionkami. Gdyby Olyt wygrał i tym razem...

– Jesteś zdenerwowany?

Kelly ocknął się i spojrzał na przeciwnika.

– Tylko... – Drżał mu głos. – Tylko trochę.

– Może przerwiemy, będziesz mógł się lepiej skoncentrować – zaproponował Achrae.

Ostatnia rzecz, której sobie życzył Kelly, to litość obcego.

– Nic mi nie jest – odparł niecierpliwie.

– W takim razie, ja chciałbym trochę odpocząć. Czy może tak być?

Kelly patrzył na niego. Znaczenie słów Achrae docierało do niego powoli. Jasne, że Olyt nie potrzebował odpoczynku; jeszcze połowa gry i będzie w domu. Poza tym, Kelly wiedział jak wygląda wytrącony z równowagi Olyt, a u Achrae nie było najmniejszych oznak gniewu. Nie, danie Kelly'emu szansy, żeby się uspokoił, mogło przynieść korzyść tylko człowiekowi... i spojrzawszy Olytowi prosto w oczy Kelly zrozumiał, że Achrae w pełni zdaje sobie z tego sprawę.

– Tak – odezwał się wreszcie Kelly. – Przerwijmy na trochę. Może pół godziny?

– Zgoda. – Achrae wstał i skrzyżował ręce. – Będę gotowy, kiedy tylko zechcesz.

Sufit nad łóżkiem Kelly'ego był zupełnie gładki, bez najmniejszej rysy. Ale pokój odbijał się w nim o wiele gorzej niż można się było spodziewać. Kelly zastanawiał się nad tym, ale tylko przez chwilę. Miał ważniejsze zmartwienia. Może to dziwne, ale szachy przestały już być jego głównym problemem. Prawda, że nie był w najlepszym położeniu, ale odpoczynek doskonale mu zrobił i już wymyślił kilka obiecujących posunięć. Jeśli tylko nie straci głowy, ma dużą szansę zmiany sytuacji. I tu właśnie zaczynał się dylemat... bo jeśli mu się to uda, to nastąpi trzecia gra. Gra, w której albo on, albo Achrae będzie musiał przegrać. Kelly nie chciał umrzeć. Było wiele wzniosłych powodów, dla których powinien żyć, choćby dla tego, że nikt inny na Ziemi nie wiedział, jakie niebezpieczeństwo kryje się za tymi grami – a poza tym po prostu nie chciał umierać. Jakakolwiek by była ta trzecia gra, wiedział, że będzie walczył ze wszystkich sił. Jednakże...

Kelly poruszył się niespokojnie. Achrae również nie zasługiwał na śmierć. I jego zmuszono do tego szalonego pojedynku, a ponadto celowo odrzucił szansę wygranej. Może kierował się nie tyle uczciwością, co sztywnymi zasadami postępowania zgodnie z honorem, tego Kelly nigdy się nie dowie. Ale to nie ma znaczenia. Jeśli wygra w szachy, będzie to zawdzięczał Olytowi. Trzecia gra... Co byłoby najuczciwsze? Wymyślenie gry, w którą żaden z nich przedtem nie grał? Wtedy wrodzone umiejętności Kelly'ego i wyuczone Achrae dawałyby im równe szanse. Z drugiej strony, dla Stryfkaru byłaby to jeszcze jedna możliwość

obserwowania ich sposobu działania, a Kelly nie miał ochoty na współpracę z gnębicielami. Wiedział też, że Achrae myśli podobnie. Ciekawe od jak dawna Stryfkar porwał Olytów i dlaczego pozwalali na to. Kelly uznał, że pewnie nie mieli pojęcia, gdzie znajduje się ten Instytut Gier – zastosowanie Transferu utrudnia trafienie na ślad porywaczy. Ale uniemożliwienie Stryfkarowi zdobycia nowych danych było związane z całkowitym zdaniem się na łut szczęścia, czego Kelly nie mógł zaakceptować. Dźwięk, mimo że się go spodziewał, przestraszył go.

– Już czas – oznajmił bezbarwny głos Slaicha. – Masz wrócić do sali testów.

Kelly skrzywił się, wstał i podszedł do drzwi. Może Achrae coś wymyślił.

– Czy jesteś w lepszym nastroju do gry? – zapytał Achrae, kiedy znów usiedli naprzeciw siebie.

– Tak – kiwnął głową Kelly. – Dziękuję, że zaproponowałeś przerwę. Naprawdę była mi potrzebna.

– Wyczułem, że honor nie pozwala ci prosić o nią. – Obcy wskazał szachownicę. – Teraz twój ruch.

Teraz, kiedy był już opanowany, Kelly bez trudu nadrobił straty i ponownie przeszedł do ataku. Widząc, jak Olyt przywiązuje dużą wagę do królowej, Kelly zastawił pułapkę, wysuwając swoją królową na przynętę. Achrae dał się na to złapać i... Kelly wygrał w pięciu ruchach.

– Świetne posunięcie – powiedział Olyt z podziwem. – Zupełnie się nie spodziewałem tego ataku. Miałem rację: twoje taktyczne umiejętności są niesamowite. Będziecie kiedyś naprawdę wspinałym gwiazdowym mocarstwem.

– Zakładając, że w ogóle kiedyś wyjdziemy poza swoją planetę – odparł Kelly sprzątajac planszę. – Na razie sami jesteśmy pionkami w grze.

– Każdy z was raz wygrał – odezwał się Slaich. – Czas wybrać ostatnią grę.

Kelly przełknął ślinę i spojrzał na Achrae napotyając jego równie pytający wzrok.

– Masz jakiś pomysł? – zapytał.

– Nic konkretnego. Najbardziej uczciwa byłaby gra, w której wygrana zależy od szczęścia. Poza tym, jeszcze nie wiem czego wymaga mój honor.

– To znaczy?

– Czy ja powinienem ocaleć, żeby wrócić do swoich, czy nie powinienem, zostawiając tę możliwość tobie.

– Co za szkoda, że nie możemy wyzwąć Stryfkaru na taki pojedynek – stwierdził kwaśno Kelly.

– To byłoby najlepsze wyjście – zgodził się Achrae. – Ale obawiam się, że nie przyjęliby takiego wyzwania.

Zapadła długa cisza... Kelly'emu nagle przyszedł do głowy pewien pomysł. Ryzykowny na tyle, że mogli obydwaj stracić życie. Ale istniała możliwość, że się uda... a każde inne rozwiązanie skazywało jednego z nich na pewną śmierć. Kelly zacisnął zęby i podjął decyzję.

– Achrae – zaczął ostrożnie – myślę, że znalazłem odpowiednią grę. Czy zaufasz mi na tyle, żeby zgodzić się na nią teraz, zanim wyjaśnię o co chodzi i zagrać bez próby?

Pysk Olyta drżał lekko, kiedy wpatrywał się w człowieka. Przez dłuższą chwilę Kelly słyszał tylko bicie własnego serca. Wreszcie, powoli, Achrae przechylił głowę w prawo.

– Dobrze. Wierzę w twój honor. Zgadza się na te warunki.

– Slaich? Czy nadal obowiązują te same zasady? – zawołał Kelly.

– Oczywiście.

– Dobra. – Kelly wziął głęboki oddech. – W tej grze biorą udział dwa rywalizujące ze sobą królestwa i ziejący ogniem Stwór, który gnębi i jednych, i drugich. Tu jest podziemna jaskinia potwora. – Ustawił czarny pionek na planszy, a potem trzy przezroczyste krążki z podstawkami. – Te dwa królestwa nazywają się Królestwo Gór i Nizinne Miasto. Królestwo Gór jest większe, tu jest jego środek, a tu granica. – Postawił duży czerwony pionek na górnym krążku, a dwa kwadraty dalej dodał pierścien sześciu mniejszych. Przesunął czarny pionek dokładnie pod brzeg pierścienia i wziął duży żółty pionek. – To jest Nizinne Miasto – powiedział, przesuwając go powoli ponad środkowym krążkiem. Przyjrzał się bacznie planszy. Między poziomami było dziesięć centymetrów... umieścił żółty znaczek osiem kwadratów od czerwonego, cztery kwadraty w bok. Nie była to idealna pozycja, ale nie było innej możliwości. – No i wreszcie, to są nasze wojska. – Między dwoma królestwami porozmieszczał po kilkanaście czerwonych i żółtych motyli. – Zwycięstwo oznacza spełnienie dwóch warunków: potwór musi być zabity i siły strony przeciwnej nie mogą znajdować się w pobliżu i zagrażać królestwu. W porządku?

– Tak – odpowiedział Achrae powoli, dokładnie przyglądając się planszy. Po raz któryś z kolei Kelly żałował, że nie potrafi wyczytać nic z wyrazu twarzy Olyta. – Jak oceniane będą wyniki walki?

– Przez porównanie ilości biorących w nich udział wojsk i rzut kostką. – Kelly ustanowił system zasad, które pozwalały na walkę każdej z trzech stron ze sobą i według których tylko wspólne działania obydwu królestw mogły doprowadzić do pokonania potwora. – W jednym ruchu można przesunąć się o dwa kwadraty albo jeden poziom i za każdym razem można ruszyć na całą armię – zakończył. – Masz jakieś pytania?

Achrae wpatrywał się w niego, jakby próbował odgadnąć jego myśli.

– Nie. Kto zaczyna?

– Ja, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Zaczynając od pionków najbliższych królestwa Olyta, Kelly przesunął je od czerwonej figury w stronę czarnej. Achrae zawahał się przez chwilę, ale poszedł za jego przykładem, przesuwając swoją armię w dół. Dwa pionki znalazły się niebezpiecznie blisko pionków

Kelly'ego, ale człowiek zignorował je, ruszając dalej do przodu. Po następnych kilku ruchach chmara żółtych i czerwonych pionków skupiła się wokół czarnej figury. Ziejący ogniem potwór nie miał żadnej szansy.

– A teraz...? – Achrae siedział sztywno, z na wpeł wysuniętymi szponami. Ruch Olyta zniszczył potwora i kolejne posunięcie należało do Kelly'ego... a siły Achrae nadal pomieszane były z siłami człowieka. Trudno sobie wyobrazić słabszą pozycję i Achrae dobrze o tym wiedział. Kelly uśmiechnął się i odchylił do tyłu.

– No cóż, potwór zabity – a twoje siły nie zagrażają mojemu królestwu. Więc sędzę, że wygrałem.

Po drugiej stronie stołu rozległ się przeciągły syk, a pazury Achrae ukazały się w całej okazałości. Kelly wstrzymał oddech i napiął mięśnie w gotowości do skoku. Przecież Achrae z pewnością był na tyle bystry, żeby to zauważyć... i nagle szpony schowały się.

– Ale moje królestwo również nie jest zagrożone – odezwał się Olyt. – W takim razie, ja też wygrałem.

– Naprawdę? – Kelly udał, że jest zdziwiony. – Niech mnie kule biją. Rzeczywiście. Moje gratulacje. – Spojrzał na sufit. – Slaich? Dziwnym zbiegiem okoliczności, obydwaj wygraliśmy trzecią grę, więc myślę, że obydwaj wracamy do domu. Jesteśmy do tego gotowi w każdej chwili.

– Nie. – Monotonny głos Stryfa tym razem zabrzmiał stanowczo.

Kelly zeszywniał.

– Dlaczego nie? Powiedziałeś, że ten kto wygra dwie gry wróci do domu. Sam wprowadziłeś tę regułę.

– Więc ją cofam. Tylko jeden z was może stąd odjechać. Wybierzcie nową grę.

Słowa Slaicha zawisły ciężko w powietrzu, jak wyrok śmierci... Kelly czuł, jak paznokcie wbijają mu się w dłonie. Prawdę mówiąc, nie spodziewał się, żeby obcy pozwolili mu nagiąć zasady na swoją korzyść – już wiedział, że dla nich to nie była gra. A jednak miał nadzieję... teraz nie miał wyboru, musiał zaryzykować. Ostatnie posunięcie.

– Nie będę w nic więcej grał – powiedział bez ogródek. – Dość mam posługiwania się mną w tych waszych zwariowanych poszukiwaniach. Możecie sami wziąć się za łby.

– Nieprzystąpienie do gry jest równoznaczne z przegraną – przypomniał mu Slaich.

– Ładna mi pogróżka – burknął Kelly. – W końcu i tak macie zamiar zniszczyć Ziemię, czyż nie tak? Więc co za różnica, gdzie zginę?

Slaich zwlekał z odpowiedzią.

– Dobrze – odezwał się wreszcie. – Sam dokonałeś wyboru. Achrae, wróć do Transferu...

Obcy wstał powoli. Kelly myślał, że zaprotestuje, wstawi się za nim. Ale Olyt nie powiedział ani słowa. Przez chwilę patrzył na człowieka. Potem, w milczeniu wyciągnął skrzyżowane dłonie i zniknął za drzwiami.

– Wrócisz teraz do pokoju odpoczynkowego – rozkazał mu Slaich.

Kelly westchnął głęboko, wstał i sprzątnął planszę ustawiając wszystko z powrotem na swoim miejscu. A więc i tak wszystko zależeć będzie od szczęścia, pomyślał, czując się nagle znużony. Kości zostały rzucone i pozostało mu tylko czekanie... i nadzieja, że Achraeae zrozumiał.

DO: Biuro Dyrektora Rodau 248700, IBOC, Clars

NADAWCA: Biuro Dyrektora Eftisa 379214, Instytut Gier, Var-4

ATA: 21 Lysmo 3829

XXXXX PILNE XXXXX

Szanowny Panie Rodau,

Jest gorzej niż oczekiwaliśmy, stwierdzam więc oficjalnie, że Ludzkość powinna być zniszczona. Załączone materiały należy dokładnie przestudiować, szczególnie te, które dotyczą trzeciej gry. Przez zastosowanie swych umiejętności w ułożeniu gry, w której i on, i jego przeciwnik mogli wspólnie wygrać, Człowiek wykazał zdolność do współpracy oraz rzadko spotykane przejawy litości. Mimo że nic w ten sposób nie zyskał – i że tego typu postępowanie mogłoby być uznane za wynikające z poczucia obowiązku – nie możemy założyć, że zawsze tak będzie. Należy zwrócić szczególną uwagę na niebezpieczeństwo wiążące się z predyspozycjami Ludzi do współdziałania. Gdyby Chianis potrafili zawierać korzystne sojusze, prawdopodobnie nigdy nie udałoby się ich zatrzymać. Przewidujemy konieczność dokładnej analizy psychofizjologicznej naszego okazu Człowieka dla ułatwienia opracowania strategii sił zbrojnych. Prosimy więc o przysłanie odpowiednich ekspertów i urzędów, gdy tylko to będzie możliwe. Wskazany jest pośpiech, nie jestem bowiem w stanie zagwarantować, że Człowieka będzie można utrzymać przy życiu dłużej niż rok.

Eftis

Pierwszym sygnałem, że długie oczekiwanie się skończyło był dla Kelly'ego dochodzący zza ściany dźwięk przypominający kucie lub wiercenie. Obudziło go to z głębokiego snu, ale nie miał nawet czasu się zdziwić, gdyż drzwi pokoju nagle rozbłysły i wypadły z framugi. W tej samej chwili powietrze zawirowało. Kelly'emu zatkały się uszy, ponieważ ciśnienie powietrza spadło gwałtownie. Ale kiedy próbował zwlec się z łóżka trzy postacie w kombinezonach przedarły się przez szalejący huragan i zanim się zorientował, wpakowały go do ogromnego balonu z syczącym zbiornikiem na dnie.

– Kelly McClain? – z pudełka obok zbiornika powietrza rozległ się metaliczny głos. – Nic ci się nie stało?

Trzej wybawcy przewrócili Kelly'ego na plecy i przenieśli przez zdemolowane drzwi.

– Czuję się świetnie – powiedział do pudełka. – Czy to ty, Achraeae?

Minęło prawie piętnaście sekund, zanim usłyszał odpowiedź, najwyraźniej komputer Olytów nie tłumaczył tak szybko jak Stryfkaru.

– Tak, cieszę się, że żyjesz.

Kelly uśmiechnął się.

– Ja też. Do licha, jak się cieszę, że mnie zrozumiałeś, wcale nie byłem pewien, że złapiesz o co chodzi.

Byli już w sali Transferu i Kelly mógł się rozejrzeć. W suficie było widać wyrwę, ciągnącą się przez co najmniej dwa piętra w skale. Po pokoju krzątało się kilkunastu Olytów w białych, wyglądających na wojskowe, kombinezonach.

– To było genialne. Bałem się, że i mnie mimo wszystko nie pozwolą odejść.

– Ja też się tego bałem, ale wygląda na to, że niepotrzebnie się martwiłiśmy – Kelly znowu się uśmiechnął.

– Jak to dobrze rozmawiać z przyjacielem! Założę się, że Stryfkar nie połapał się jeszcze co zrobiłem. Widzieli tyle różnych gier na tej planszy, że nie przyszło im do głowy, że nam się kojarzy ona z Niebieskim Marszem, naszą wspólną grą. W moim układzie królestw i potwora tylko ty dostrzegłeś symbole naszych planet i tej tutaj i zapamiętałeś przybliżone odległości. Zaryzykowałem i myślę, że mi się udało.

Kelly był teraz pod dziurą i do balonu przymocowano liny.

– Mamy nadzieję, że umiejętność wygrywania w takich sytuacjach należy do cech twojej rasy – powiedział Achraeae.

– Zniszczyliśmy bazę Stryfkaru i przechwyciliśmy wiadomość, że wkrótce przybędzie tu wielka armia. Nawiązaliśmy kontakt z twoimi rodakami, ale jeszcze nie wyrazili zgody na zawarcie przymierza. Może ty będziesz mógł ich przekonać. A przynajmniej mamy nadzieję, że pomożesz nam w opracowaniu planów taktycznych.

Liny napięły się i Kelly uniósł się w górę.

– Jestem pewien, że Ziemia wam pomoże – powiedział poważnym głosem. – A jeśli chodzi o mnie, to zrobię to z przyjemnością.

Stryfkar musi się jeszcze wiele nauczyć o nas, pionkach.

Przełożyła Anna Miklińska

O autorze

Timothy Zahn (ur. 1951) amerykański pisarz science fiction, najbardziej znany za twórczość umiejscowioną w uniwersum Gwiezdnych wojen – powieści: *Dziedzic Imperium*, *Ciemna strona Mocy*, *Ostatni rozkaz*, *Widmo przeszłości*, *Wizja przyszłości*.

Pisywał głównie powieści, poza Star Wars trylogię Blackcollar (w Polsce tylko 2 tomy – *Wyzwolenie*), trylogię Kobra (w Polsce rozmienniona na 6 woluminów), trylogię Conquerors (też przekład tylko dwóch tomów – *Zdobywcy*).

Inne znane w Polsce powieści Zahna to *Triplet*, *Koń wojny*, *Oblawa na Icarusa*, *Zaginiona rasa*.

Pisywał opowiadania rzadko, ale dwa z nich zasługują na uznanie, w dodatku przyniosły mu jedyne w karierze nagrody. Jedno z nich to „Gambit pionka”, nominowane do Hugo w 1982 roku.

THEODORE STURGEON

Powolna rzeźba

Sturgeon snuje jedną ze swoich powolnych opowieści z głęboko ukrytym dramatyзмом. Bohater jest obrażony na cały świat, że nie chciał przyjąć jego daru. I oto ten niecierpliwy człowiek pracuje nad bonsai, nieśpiesznie nadając pożądany kształt drzewu. Uczmy się cierpliwości i powolnego dążenia do celu od przyrody – wydaje się mówić Sturgeon.

Powolna rzeźba

I

Nie wiedziała kim jest, gdy go spotkała, niewiele zresztą osób wiedziało. Krzątał się właśnie w wysoko położonym sadzie koło gruszy. Ziemia pachniała późnym latem i wiatrem – pachniała brązem.

Podniósł oczy na smukłą dziewczynę, mogła mieć ze dwadzieścia pięć lat, na jej nieustraszoną twarz, oczy i włosy w tym samym kolorze, co fascynowało niezwykłością, gdyż włosy były złotorude. Spojrzała na ogorzałego mężczyznę po czterdziestce, na elektroskop listkowy w jego ręce i poczuła się intruzem.

– Och – powiedziała odpowiednim do sytuacji tonem. On jednak skinął głową i powiedział: – Niech pani to potrzyma – w sposób wykluczający jakąkolwiek myśl o natręctwie.

Przyklękła obok niego, trzymając przyrząd dokładnie tak, jak go umieścił w jej ręce. Cofnął się nieco i postukał widelkami strojowymi o kolano.

– Reaguje?

Miał przyjemny głos, ten rodzaj głosu, który zwraca uwagę i którego chętnie się słucha.

Obserwowała delikatne złote listki na szklanej tarczy elektroskopu.

– Rozchylają się.

Znów popukał widelkami, listki rozwarły się szerzej.

– Ile?

– Około 45°, gdy uderza pan widelkami.

– Świetnie, to prawie maksimum tego, co w ogóle można osiągnąć. – Wyciągnął z kieszeni włochatej marynarki woreczek z pyłem kredowym i sypnął niewielką garstkę na ziemię. – Teraz ja odejdę, a pani zostanie na miejscu i będzie mnie informowała o zachowaniu się listków.

Krążył zygzakiem wokół gruszy, stukając raz po raz widelkami, a dziewczyna odczytywała pomiary: dziesięć stopni, trzydzieści, dwadzieścia, zero. A kiedy złote listki rozchylały się maksymalnie – do 40° lub ponad 40° – sypał więcej kredowego proszku. Po zakończeniu tych czynności wokół drzewa powstał nieregularny owal białych kropek. Wyciągnął notes, naszkicował drzewo oraz zarys kropek, po czym wziął z jej rąk elektroskop.

– Czy szukała pani czegoś?

– Nie – odpowiedziała. – Tak.

Uśmiechnął się. Choć trwało to ułamek sekundy, uznała, że jest to na tej twarzy wyraz zaskakujący.

– W języku prawniczym trudno by to nazwać odpowiedzią jednoznaczną.

Spojrzała na wzgórze, metaliczne w blasku zachodzącego słońca. Niewiele na nim było: skały, zielska – pozostałość lata, kilka drzew, sad. Każdy, kto tu przyszedł, miał za sobą daleką drogę.

– Pytanie nie było proste – odpowiedziała próbując się uśmiechnąć i zamiast tego wybuchnęła płaczem.

Zrobiło się jej głupio. Powiedziała mu o tym.

– Dlaczego? – spytał.

Po raz pierwszy miała się zetknąć z tak charakterystycznym dla niego rysem – nieustającym naporem pytań. Denerwujące. To zawsze bywa denerwujące – czasem staje się nie do wytrzymania.

– Bo nie wolno sobie pozwalać na takie publiczne wybuchy uczuć. Inni tego nie robią.

– Pani wolno. Nie znam tych „innych”, o których pani mówi.

– Ja chyba też nie znam... ale uświadomiłam to sobie teraz, gdy pan to powiedział.

– Więc niech pani powie całą prawdę. Nie ma sensu kręcić się w kółko „bo on sobie pomyśli, że ja...” itp. Co pomyślę, to pomyślę, niezależnie od tego, co pani powie. Albo niech pani odejdzie stąd i nie mówi już ani słowa. – Ponieważ jednak nie ruszyła się z miejsca, dodał: – Niech pani spróbuje zdobyć się na szczerłość. Jeśli to istotne – wtedy staje się proste. Jeśli jest proste – tym samym łatwe do wyznania.

– Ja umrę! – wykrzyknęła.

– Ja także.

– Mam guz na piersi.

– Proszę wejść ze mną do domu, zaradzimy coś.

Powiedziawszy to, odwrócił się i poszedł przez sad. Półprzytomna ze strachu, oburzona i zarazem pełna absurdalnej nadziei, z krótkim spazmem zdumionego śmiechu, stała chwilę patrząc, jak odchodzi, po czym nagle spostrzegła (w którym momencie się zdecydowała?), że idzie jego śladem.

Zrównała się z nim na wznoszącym się w górę skraju sadu.

– Czy pan jest lekarzem?

Mogło się zdawać, że nie zauważył ani jej wahania, ani kiedy poszła za nim.

– Nie – odpowiedział nie zatrzymując się. Nadal jakby nie dostrzegał, że dziewczyna przystaje skubiąc dolną wargę i znów spieszy za nim.

– Musiałam chyba zwariować – powiedziała doganiając go na ogrodowej ścieżce.

Mówiła sama do siebie. Chyba to wyczuł, bo nie zareagował. Ogród ożywiały rozczochrane chryzantemy oraz sadzawka, w której dostrzegła uwijającą się parę migotliwych złotych rybek – największych, jakie kiedykolwiek zdarzyło jej się spotkać. A następnie – dom.

Tworzyła go część ogrodu z tarasem obramowanym kolumnadą stykającą się z kamiennymi ścianami. Był usytuowany na stoku wzgórza i zarazem w jego wnętrzu. Dachy ciągnęły się wzdłuż linii horyzontu od frontu i po bokach, zaś jego część oparta była o pionową ścianę skalną. Drzwi, belkowane, nabijane ćwiekami, z dwiema szczelinami na podobieństwo okienek strzelniczych, stały przed nimi otworem (wewnątrz jednak nie było nikogo), a gdy się zamknęły, cisza i poczucie izolacji od świata zewnętrznego były znacznie głębsze, niż zdołałby to sprawić szcęk zasuwy lub zgrzyt rygla.

Oparła się plecami o drzwi i stała obserwując go z perspektywy czegoś, co wyglądało na patio, a przynajmniej na jego część. Był to mały wewnętrzny dziedziniec, pośrodku którego znajdowało się atrium o pięciu oszklonych ścianach, u góry otwartych. Wewnątrz rosło karłowate drzewo, cyprys albo jałowiec, sękaty i powyginany, ukształtowany na wzór japońskiego bonsai.

– Nie wejdzie pani dalej? – zawołał stojąc w otwartych drzwiach po drugiej stronie atrium.

– Bonsai nie może mieć piętnastu stóp wysokości – zauważyła.

– Moje ma.

Przeszła powoli obok, przyglądając się drzewku.

– Jak długo pan je hoduje?

– Połowę mego życia.

Ton jego świadczył o głębokim zadowoleniu. Wypytywanie właściciela bonsai, ile lat liczy sobie jego drzewko jest nietaktem – sugeruje chęć dowiedzenia się, czy jest to wyłącznie jego dzieło, czy też przejął i kontynuuje cudzą koncepcję. Stwarza mimo woli pokusę, aby czyjaś myśl i mrówczą pracę zapisać na własne konto, i staje się niemal obraźliwe w swojej intencji brania kogoś na spytki. Natomiast forma, „jak długo pan je hoduje?” jest taktowna, powściągliwa i nad wyraz uprzejma.

Znów rzuciła okiem na bonsai. Czasem można spotkać takie drzewka na wpół zarzucone, na wpół zapomniane, rosnące w zardzewiałych puszkach w jakiejś niezbyt udanej szkółce, nie sprzedane z powodu zbyt dziwaczych kształtów czy pewnej liczby martwych gałęzi, czy wreszcie zbyt powolnego wzrostu całości lub niektórych fragmentów. Są to okazy wyróżniające się ciekawym kształtem pnia oraz odpornością na przeciwności losu, która sprawia, że rozkwitają, znalazłszy bodaj najmniejszy pretekst do życia. Wiek tego drzewka był znacznie dłuższy niż połowa, a nawet całe życie mężczyzny. Poraziła ją nagła myśl, że to piękno mogłoby zostać nieodwracalnie zniszczone przez ogień, wiewiórki, pędraki lub

termity – przez coś znajdującego się poza wszelkim pojęciem uczciwości, sprawiedliwości czy też szacunku.

Popatrzyła na drzewko. Potem na mężczyznę.

– Idziemy?

– Tak – odpowiedziała i weszli do jego pracowni.

– Niech pani tam usiądzie i odpręż się. To może trochę potrwać.

„Tam” oznaczało duży skórzany fotel obok regału. Książki znajdowały się w zasięgu jej wzroku – prace z zakresu medycyny, techniki, fizyki nuklearnej, chemii, biologii, psychiatrii. Dalej tenis, gimnastyka, szachy, wschodnia gra wojenna „Go” oraz golf. Następnie dramaty, sztuka pisania, „Modern English Usage”, „The American Language” z suplementem, „Rhyming Dictionaries” Wooda i Walkera oraz szereg innych słowników i encyklopedii. Długa półka wypełniona w całości pozycjami biograficznymi.

– Ma pan niezłą bibliotekę.

Odpowiedział jej dość lakonicznie – był w tej chwili pochłonięty pracą i najwyraźniej nie zdradzał chęci do rozmowy.

– Owszem. Być może obejrzy ją pani kiedyś. – Kilka słów, które dały jej asumpt do zastanawiania się, co u licha chciał przez to powiedzieć.

Chyba tylko to – orzekła w duchu – że jest to biblioteka podręczna, niezbędna mu do pracy, a ta prawdziwa znajduje się gdzie indziej. Patrzyła na niego z pełnym lęku nabożnym podziwem.

Śledziła wzrokiem każdą jego czynność. Podobał się jej sposób, w jaki się poruszał – szybko i zdecydowanie. Miał całkowitą pewność tego, co robi. Część przyrządów, którymi się posługiwał, była jej znana – szklany aparat destylacyjny, przyrząd do miareczkowania, wirówka. Były tam również dwie lodówki, z których jedna bynajmniej lodówką nie była, ponieważ termometr na drzwiczkach wskazywał 70° F.

Wszystko to jednak, łącznie z aparaturą, której nie znała, było jedynie martwym sprzętem. Godnym uwagi był człowiek. Człowiek, który fascynował ją tak dalece, że przez cały ten czas nawet nie zainteresowała się książkami.

Wreszcie zakończył serię czynności na stole laboratoryjnym, przekręcił jakieś wyłączniki, wziął wysoki stółek i podszedł do niej. Przysiadł niby ptak na gałęzi. Oparł pięty na poprzeczce i położył brązowe ręce na kolanach.

– Przestraszona.

Wymówił to w trybie twierdzącym.

– Raczej tak.

– Może pani jeszcze stąd odejść.

– Zważywszy alternatywę... – zaczęła męźnie, lecz owa nuta męstwa natychmiast się ulotniła. – To i tak nie ma znaczenia.

– Bardzo mądrze – powiedział niemal z radością. – Pamiętam, jak kiedyś, gdy byłem dzieckiem, w bloku, w którym mieszkaliśmy, wybuchła panika spowodowana pożarem. Wszyscy na oślep pchali się do wyjścia i mój dziesięcioletni brat wybiegł na ulicę z budzikiem w ręku. Budzik był stary, nie chodził od dawna, a jednak ze wszystkich rzeczy, znajdujących się w mieszkaniu, tę właśnie wybrał mój brat. Nigdy nie potrafił wytłumaczyć, co nim kierowało.

– A pan potrafi?

– Czemu wybrał budzik – nie potrafię. Myślę jednak, że wiem, dlaczego działał w tak zdecydowanie irracjonalny sposób. Panika jest bardzo specyficznym stanem. Podobnie jak przerażenie i ucieczka, czy też furia i atakowanie kogoś – panika jest dość prymitywną reakcją na ogromne niebezpieczeństwo. Jest jednym z przejawów woli przetrwania. Jest specyficzna, bowiem wynika z irracjonalnych przesłanek. Czemu odrzucenie logiki bywa mechanizmem warunkującym przetrwanie?

Zastanowiła się nad tym poważnie. Było w tym mężczyźnie coś, co zmuszało do poważnego traktowania jego słów.

– Nie mam pojęcia – powiedziała wreszcie. – Może w pewnych sytuacjach rozsądek nie wystarcza.

– Ma pani pojęcie – głos jego tchnął tak wielką aprobatą, że się zaczerwieniła. – Już pani tego dowiodła. Jeżeli w sytuacji wielkiego zagrożenia usiłuje pani myśleć rozsądnie, a rozsądek nie pomaga – odrzuca go pani. Odrzucanie czegoś, co się nie sprawdza, trudno nazwać głupotą, prawda? No więc ogarnia panią popłoch. Zaczyna pani działać na oślep. Zdecydowana większość tych działań będzie bezużyteczna. Niektóre nawet niebezpieczne. Nie ma to jednak znaczenia – już pani jest w niebezpieczeństwie. Gdy wkracza w grę wola przetrwania, człowiek jest świadomy, że lepsza jedna szansa na milion niż brak jakiegokolwiek szansy. A zatem siedzi pani tu przerażona, mimo że mogłaby pani uciec. Coś panią pcha do ucieczki, a jednak pani zostanie.

Skinęła potakująco głową. A on mówił dalej:

– Odkryła pani u siebie guz. Poszła pani do lekarza, który po przeprowadzonych badaniach zakomunikował pani złe wieści. Być może inny lekarz potwierdził tę diagnozę. Zaczęła pani grzebać w książkach, dowiadując się, co może panią czekać dalej – różnorokie doświadczenia, radykalne albo też wątpliwe wyzdrowienie, długi udręczający proces bycia tym, co medycyna nazywa przypadkiem beznadziejnym. I wtedy ogarnęło panią przerażenie. Robiła pani rzeczy, o które wolałaby pani, bym nie zapytał. Wybrała się pani w jakąś podróż, dokądkolwiek i wylądowała w sposób niezamierzony w moim sadzie. – Rozłożył łagodnie ręce i znów pozwolił im wrócić w senny spokój. – Panika. Przyczyna, która sprawia, że mali chłopcy wybiegają o północy z domu z zepsutym budzikiem w ramionach i która tłumaczy istnienie szarlatanów. – Coś zabrzączało na stole laboratoryjnym, uśmiechnął się do niej przelotnie i wrócił do pracy, rzuciwszy przez ramię: – Co do mnie, nie jestem szarlatanem.

Żeby być uznanym za szarlatana, trzeba pretendować do miana lekarza. Ja nie mam tych pretensji.

Patrzyła, jak włącza, wyłącza, miesza, oblicza, mierzy. Był dyrygentem, a posłuszna mała orkiestra przyrządów wtórowała mu chórem i solo z furkotem, sykiem, gwizdem, pstrykaniem. Chciało jej się śmiać, płakać, krzyżeć. Nie uległa jednak żadnej z tych chęci w obawie, że raz zacząwszy nie potrafi się już pohamować.

Gdy znów się zbliżył, walka już w niej nie szalała, przeszła w stan ciągłych przeciwstawnych napięć, które wprawiły ją w straszliwe odrętwienie. Ujrawszy narzędzie w jego ręku zdołała już tylko szeroko otworzyć oczy. Prawie przestała oddychać.

– Tak, to igła – powiedział żartobliwym tonem. – Długa, błyszcząca, ostra igła. Proszę mi tylko nie mówić, że należy pani do osób, które boją się igły. – Zluzował nieco kabel prowadzący od czarnej obudowy, w której znajdowała się strzykawka, i siadł okrakiem na stołku. – Czy chce pani coś na uspokojenie?

Bała się odezwać. Otoczka dzieląca ją od szaleństwa była napięta do ostateczności.

– Nie radziłbym pani, gdyż to farmakologiczne paskudztwo ma dość złożony skład. Ale jeśli to konieczne...

Zdobyła się na lekki przeczący ruch głową i znów wyczuła płynącą od niego falę aprobaty. Cisnęło się jej na usta tysiące pytań, które chciała, zamierzała, musiała mu zadać. Co zawiera strzykawka? Ilu zabiegom musi się poddać? Na czym będą polegały? Jak długo i gdzie musi pozostać? A przede wszystkim... czy będzie żyła, czy będzie żyła?

II

Jednakże tylko jedno z owych pytań zdawało się go interesować.

– Został tu wykorzystany izotop potasu. Gdybym opowiedział pani wszystko, co wiem o tym i jak do tego doszedłem, zajęłoby to znacznie więcej czasu, niż mamy do dyspozycji. Wyjaśnię to pokrótce. Teoretycznie, każdy atom jest zrównoważony pod względem ładunków elektrycznych – pomijając normalne wyjątki. Tak samo w cząsteczce powinna istnieć równowaga: tyle plusów, tyle minusów, w sumie zero. Przypadkowo stwierdziłem, iż bilans ładunków w zwyrodniałej komórce nie jest równy zero – w każdym razie nie całkiem. Wygląda to tak, jakby na poziomie molekularnym szalała burza submikroskopowa z małymi wyładowaniami, błyskawicami przelatującymi w jedną i w drugą stronę i zmieniającymi znaki. Zakłócenia przeszkadzają w przekazywaniu informacji – powiedział wymachując obudowaną strzykawką – i tu jest pies pogrzebany. Gdy coś zakłóca przekazywanie informacji – zwłaszcza przez mechanizm RNA, który mówi: „Odczytaj ten plan, buduj zgodnie z nim i przestań w odpowiedniej chwili” – gdy informacja ta jest bałamutna, powstają konstrukcje wykoślawione. Pozbawione równowagi. Niemal spełniające wyznaczone im

funkcje i spełniające je niemal dobrze – są to jednak komórki zwyrodniałe i przekazywana przez nie informacja jest jeszcze bardziej spaczona.

Okay. Rzecz drugorzędna, czy burza ta została spowodowana przez wirusy, chemikalia, promieniowanie, uraz fizyczny czy też niepokój – i proszę nie sądzić, że niepokój nie może ich wywołać. Najważniejsze jest doprowadzenie do stanu wykluczającego możliwość takiej burzy. Jeśli się to uda, komórki, które posiadają wielką zdolność regeneracji, same naprawią zło. Systemy biologiczne to nie piłeczki pingpongowe z ładunkami elektrycznymi, czekające na rozplynięcie się ładunku albo rozładowanie poprzez uziemiony kabel. Posiadają pewną elastyczność – nazywam to tolerancją – pozwalającą im pobrać nieco więcej lub nieco mniej ładunku i prawidłowo funkcjonować. Otóż, powiedzmy, że pewna grupa komórek jest zwyrodniała i skupia po stronie dodatniej około stu jednostek więcej. Oddziałuje ona na komórki najbliższe, ale dalsze warstwy pozostają nietknięte.

Gdyby te ostatnie mogły przejąć dodatkowy ładunek, pomóc w odprowadzeniu go – „uleczyłyby” zwyrodniałe komórki z jego nadmiaru. Rozumie pani, o co mi chodzi? Potrafiłyby same uporać się z tą niewielką nadwyżką lub też przekazać ją innym komórkom, te z kolei następnym i tak dalej. Inaczej mówiąc, jeśli napełnię pani organizm środkiem, który zdoła rozprościć ten nadmiernie skupiony po jednej stronie ładunek, normalne procesy fizjologiczne będą mogły przebiegać swobodnie i naprawią szkody wyrządzone przez zwyrodniałe komórki. Ten właśnie środek znajduje się w strzykawce.

Przytrzymał strzykawkę między kolanami, sięgnął do kieszeni fartucha po plastikowe pudełeczko i wyjął z niego nasączony spirytusem wacik. Nie przestając mówić ujął jej zdrętwiałe z przerażenia ramię i zdezynfekował spirytusem zgięcie łokcia.

– Ani przez chwilę nie chciałem sugerować, że ładunki w jądrze atomowym należy identyfikować z prądem stałym. Są to dwie różne rzeczy. Ale istnieje pewna analogia. Mógłbym się tu również posłużyć innym przykładem. Porównać ładunek w zwyrodniałych komórkach do złogów tłuszczu. A mój środek do detergentu, który je rozpuszcza i rozproszcza tak skutecznie, że stają się niewykrywalne. To mi znów nasunęło analogię z prądem elektrycznym poprzez negatywny skutek uboczny – organizmy naszpikowane tym środkiem gromadzą potworną ilość ładunku. Jest to produkt uboczny i z przyczyn, co do których mogę w tej chwili jedynie teoretyzować, wydaje się mieć związek z widmem akustycznym. Widelki strojowe itp. To, czym zabawiałem się, gdy pani nadeszła. Drzewo jest nasycone tym środkiem. Rozrosły się w nim zwyrodniałe komórki. Teraz już ich tam nie ma.

Obdarzył ją krótkim niespodziewanym uśmiechem, podniósł w górę igłę i wypuścił trochę płynu. Drugą ręką ujął jej ramię ugniatając delikatnym, lecz zdecydowanym ruchem. Zniżył igłę i wkuł w żyłę tak zręcznie, że westchnęła głośno – nie dlatego, że ją zabolalo, nie – wręcz przeciwnie. Obserwował z uwagą część szklanego walca wystającą z czarnej obudowy, podczas gdy cofał powolutku tłok, dopóki nie zobaczył strzępiastego kleksa krwi w bezbarwnym płynie. Potem znów równomiernie naciskał tłok. – Proszę się nie ruszać. Przykro

mi, ale zabieg trochę potrwa. Muszę w panią sporo tego wpompować – powiedział tym samym tonem, jakim przed chwilą wygłaszał uwagi na temat widma akustycznego. – Zdrowe biosystemy wytwarzają silne pole elektrostatyczne, chore natomiast – bardzo słabe, lub w ogóle go nie wytwarzają. Za pomocą tak prymitywnego przyrządu jak ten mały elektroskop można stwierdzić, czy w organizmie istnieje grupa zwyrodniałych komórek, a jeśli tak, to gdzie, jakiej wielkości i jak dalece posunął się proces. – Sprawnie, nie poruszając igły w żyłę i równomiernie naciskając tłok, zmienił położenie ręki na obudowanej strzykawce. Zaczynało to być nieprzyjemne – jak ból, którego efektem jest siniec. – Jeśli się pani zastanawia, dlaczego ten moskit ma na sobie obudowę z podłączonym kablem (aczkolwiek mógłbym się założyć, że jest to pani obojętne, wie pani równie dobrze jak ja, iż mówię tyle wyłącznie dlatego, by zająć czymś pani myśli) – wyjaśnię to pani. Jest to po prostu cewka wytwarzająca prąd zmienny o wysokiej częstotliwości. Pole zmienne sprawia, że płyn od samego początku jest magnetycznie i elektrostatycznie neutralny.

Wyciągnął igłę szybko, płynnym ruchem, przyłożył wacik i zgiął jej rękę.

– Pierwszy raz nie usłyszałam po zabiegu... – powiedziała.

– Czego?

– Wysokości honorarium.

Znów fala aprobaty, tym razem ze słowami:

– Podoba mi się pani styl. Jak się pani czuje?

– Jak posiadacz wielkiej uśpionej hysterii, błagający, by jej nie budzić.

Roześmiał się.

– Za chwilę poczuje się pani tak dziwnie, że zabraknie pani czasu na histerię.

Wstał i odłożył strzykawkę z powrotem na stół laboratoryjny, idąc zwił kabeł. Wyłączył pole zmienne i wrócił z dużą szklaną misą oraz kwadratem dykty. Postawił misę do góry dnem na podłodze obok niej i nakrył dyktą.

– Przypominam sobie coś w tym rodzaju – powiedziała. – Kiedy byłam... w szkole średniej. Wytwarzano sztuczne błyskawice za pomocą... zaraz, zaraz... tak, to miało długi pas obracający się na walcach, małe druciki wywołujące tarcie i u góry dużą miedzianą kulę.

– Generator Van de Graaffa.

– Właśnie. I robili z tym różne rzeczy. Pamiętam zwłaszcza, jak stałam na kawałku drewna na misie podobnej do pańskiej, a oni naładowywali mnie za pomocą generatora. Nie odczuwałam nic szczególnego poza tym, że wszystkie włosy na głowie stanęły mi dęba. Cała klasa ryczała ze śmiechu. Wyglądałam jak strach na wróble. Powiedziano mi, że przewodziłam 40 000 V.

– Doskonale. Cieszę się, że pani to pamięta. Tu będzie pewna różnica. Mniej więcej o drugie 40 000.

– Och!

– Proszę się nie martwić. Dopóki jest pani izolowana i dopóki wszystkie uziemione lub względnie uziemione obiekty – na przykład ja – pozostają w pewnej odległości od pani, nie będzie żadnych fajerwerków.

– Czy zamierza pan użyć takiego samego generatora?

– Nie takiego... Zresztą już to zrobiłem. Pani jest tym generatorem.

– Ja... och! – Podniosła rękę spoczywającą na miękkim oparciu fotela i nagle – trzask iskier, lekki zapach ozonu.

– Tak, pani, i to bardziej, niż się spodziewałem – w dodatku szybciej. Proszę wstać.

Zaczęła powoli wstawać. Zakończyła tę czynność z dużą szybkością. Gdy jej ciało oderwało się od fotela, na ułamek sekundy spowiła ją plątanina syczących błękitnobiałych nitek. One, lub też ona sama, pchnęły ją o półtora jarda naprzód. Zszokowana, dosłownie na wpół przytomna, omal nie upadła.

– Niechże się pani trzyma na nogach – powiedział szorstko. Oprzytomniała chwytając oddech. Cofnął się o krok. – Proszę wejść na deskę. Prędko.

Posłuchała go, zrobiła dwa kroki, zostawiając dwa małe ogniste ślady stóp. Zachwiała się na desce. Jej włosy zaczęły się poruszać.

– Co się ze mną dzieje? – krzyknęła.

– Wszystko w porządku – pocieszył ją.

Podszedł do stołu i włączył generator akustyczny, który zawył nisko w przedziale 100-300 Hz. Wzmocnił siłę głosu i pokręcił regulatorem wysokości tonu. Gdy wycie przeszło w wyższą tonację, jej złotorude włosy zaczęły się wić, każdy włoszek szaleńczo usiłował odizolować się od pozostałych. Wzmocnił dźwięk do około 10 KHz, następnie zjechał do niesłyszalnych, wibrujących w brzuchu 11 Hz. Przy ekstremach włosy opadały, a około 1100 Hz stawały dęba, jota w jotę jak u stracha na wróble. Czuła to wyraźnie.

Ustawił dźwięk na mniej więcej znośnym poziomie i wziął elektroskop. Zbliżył się do niej uśmiechnięty.

– Jest pani elektroskopem, wie pani o tym? Jak również żywym generatorem Van de Graaffa. I strachem na wróble.

– Proszę pozwolić mi zejść – wykrztusiła.

– Jeszcze nie teraz. Niech się pani nie rusza. Różnica potencjałów pomiędzy panią a innymi przedmiotami jest tak duża, że jeśli znajdzie się pani w pobliżu czegokolwiek, nastąpi wyładowanie. Nie wyrządzi to pani krzywdy, ponieważ nie jest to prąd elektryczny, ale mogłaby się pani nieco poparzyć i doznać szoku nerwowego. – Wyciągnął elektroskop. Nawet z tej odległości, nawet w swym przerażeniu, dostrzegła, że złote listki są rozchylone. Obszedł ją dokoła, obserwując uważnie listki, przysuwając i odsuwając przyrząd, manipulując nim z obu stron. W pewnej chwili podszedł do generatora i zniżył nieco dźwięk. – Emituje pani tak silne pole, że nie mogę wychwycić odchyień – wyjaśnił i znów podszedł do niej, tym razem nieco bliżej.

– Już nie mogę dłużej... Nie mogę... – szeptała.

Nie słyszał jej lub też nie chciał słyszeć. Zbliżył elektroskop do jej brzucha, potem wyżej, od boku do boku.

– Hop. Tu jesteś – powiedział wesoło, zbliżając przyrząd do jej prawej piersi.

– Co? – zaskowyczała.

– Pani rak. Prawa pierś, nisko, bliżej pachy. – Gwizdnął. – Średniej wielkości. Złośliwy jak diabli.

Zachwiała się i osunęła na ziemię. Ogarnęła ją czarna ciemność, potem cofnęła się gwałtownie w błysku oślepiającej błękitnawej bieli, by znów runąć na nią jak waląca się góra.

Miejsce, gdzie ściana styka się z sufitem. Obca ściana, obcy sufit. Nieznane. Nieważne. Wszystko jedno. Spać.

Miejsce, gdzie ściana stykała się z sufitem. Jakaś przeszkoda. Jego twarz, blisko, ściągnięta, zmęczona – oczy czujne, uparte, przenikliwe. Nieważne. Wszystko jedno.

Spać.

Miejsce, gdzie ściana styka się z sufitem. Nieco niżej promień zachodzącego słońca. Nieco wyżej – rdzawozłotawe chryzantemy w złotozielonym naczyniu. Znów jakaś przeszkoda – jego twarz.

– Słyszysz mnie pani?

Tak, ale nie odpowiadać. Nie poruszać się. Nie mówić.

Spać.

Pokój, ściana, stół, chodzący tam i z powrotem mężczyzna – okno, za nim noc. Chryzantemy, o których można by pomyśleć, że są żywe, pojmujesz jednak, że zostały ścięte i umierają. Czy wiedzą o tym?

– Jak się pani czuje?

Natarczywie, natarczywie.

– Pić.

Chłód i tyk czegoś, co wywołuje bolesny zacisk szczęk. Sok grapefruitowy. Przechylona bezwładnie w tył, wsparta na jego ramieniu, w drugiej jego ręce szklanka. *Och, nie, to nie...*

– Dziękuję. Bardzo dziękuję...

Spróbuj usiąść. Prześcieradło... moje ubranie i...

– Przepraszam – powiedział jakby czytając w jej myślach. – Pewne rzeczy po prostu kolidowały z rajstopami i sukienką mini. Wszystko wyprane i wysuszone czeka na panią w każdej chwili. Tam.

Brazowa wełna, rajstopy i buty na krześle. *Pełen szacunku, cofa się, stawia szklankę obok samotnej karafki na nocnym stoliku.*

– Jakie rzeczy?

– Torsje. Basen – wyjaśnił otwarcie.

Chroniona prześcieradłem, które może ukryć ciało, ale nie zażenowanie.

– Och, tak mi przykro. Och, musiałam...

Potrząsa głową, jego sylwetka kołysze się przed oczami.

– Doznała pani szoku, który jeszcze trwa.

Zawahał się. Po raz pierwszy spostrzegła u niego wahanie. Teraz ona prawie odczytywała cudze myśli. *Czy powinienem jej o tym powiedzieć?* Jasne, że powinien. I zrobił to.

– Nie chciała pani z tego wyjść.

– Wszystko uleciało mi z pamięci.

– Grusza, elektroskop. Zastrzyk, reakcja elektrostatyczna.

– Nie – powiedziała nie pamiętając. Potem, przypomniawszy sobie: – Nie!

– Niech się pani weźmie w garść – rzekł ostro, po czym zobaczyła go przy łóżku, nad sobą, poczuła twardy dotyk rąk na policzkach. – Niech się pani znów nie wymyka. Może pani sobie z tym poradzić. Może pani, gdyż teraz wszystko jest już w porządku, jasne? Wszystko dobrze.

– Powiedział mi pan, że mam raka.

W jej głosie był wyrzut, oskarżenie. Roześmiał się, szczerze się roześmiał.

– To pani twierdziła, że go ma.

– Ale nie byłam pewna.

– To wyjaśnia wszystko – wymówił, jakby uwalniając się od wielkiego ciężaru. – Mój zabieg w żadnym razie nie mógł spowodować trzydniowego szoku. To musiało być coś tkwiącego w pani.

– Trzy dni!

– O Boże! – rzucił cierpko. – Widzę już, że znów będę musiał wysłuchać tyrady. Ani myślę!

– Jakiej tyrady?

– No tej o moim obowiązku wobec ludzkości. Ma ona zazwyczaj dwie fazy oraz liczne wersje. Faza pierwsza dotyczy mojego obowiązku wobec ludzkości i w gruncie rzeczy sprowadza się do faktu, że mogę na tym zbić majątek. Faza druga dotyczy wyłącznie mojego obowiązku wobec ludzkości i tej nie słyszę za często. Pomija ona całkowicie niechęć, jaką ludzkość przejawia wobec akceptowania rzeczy dobrych, o ile nie wypływają one z uznanych i godnych szacunku źródeł. Faza pierwsza jest całkowicie tego świadoma, lecz szuka sposobu obejścia przeszkód.

– Ja nie... – zaczęła, ale przerwał jej.

– Wspomnianym wersjom towarzyszy blask objawienia wypływającego z wiary lub mistycyzmu. Albo też przybiera kształt etyczno-filozoficzny, aby mnie zmusić do ustępstwa, budząc poczucie winy uzupełnione w pewnej mierze litością.

– Ależ ja tylko...

– Pani – rzekł mierząc w nią długim palcem – obrabowała samą siebie z najlepszego przykładu na to wszystko, o czym właśnie mówiłem. Jeśli moje założenia były słuszne – poszła pani do jakiegoś konowala, on zaś stwierdziwszy raka odesłał panią do specjalisty, ten uczynił podobnie odsyłając panią do kolegi na konsultację, następnie ogarnięta paniką trafiła pani w moje ręce i została wyleczona – czy wie pani, jaka byłaby ich reakcja, gdyby pani teraz wróciła i zrelacjonowała im ten cud? „Samoczynna remisja” – oto, co by powiedzieli. Nie tylko zresztą lekarze – ciągnął z gwałtownym nawrotem gniewu, aż zadrżała pod prześcieradłem. – Każda pliszka swój ogon chwali. Pani dietetyk z uznaniem pokiwałaby głową nad swoimi kielkami pszenicy czy też makrobiotycznymi ciasteczkami ryżowymi, ksiądz upadłby na kolana i wzniosł oczy w niebo, a genetyk wygłosiłby swą ulubioną teorię o przeskoku pokoleniowym i zapewniłby panią, że u jej dziadków nastąpiła taka sama remisja, tylko że nic o tym nie wiedzieli.

– Proszę!... – wykrzyknęła, ale nie dał jej dojść do głosu.

– Wie pani, kim jestem? Podwójnym inżynierem – mechanikiem i elektrykiem – mam również dyplom prawnika. Gdyby pani była na tyle głupia, żeby powiedzieć komukolwiek o tym, co tu zaszło (spodziewam się jednak, że jest inaczej, a gdybym się mylił, wiem, jak się bronić), zapewne by mnie wsadzili za praktykę lekarską bez uprawnień. Mogłaby pani oskarżyć mnie o akt przemocy, ponieważ wbiłem igłę w pani ciało, a nawet o kidnaping, jeśli udałoby się pani dowieść, że przeniosłem ją tu z laboratorium. Nikt by nie uwierzył, że wyleczyłem raka. Nie wie pani, kim jestem, prawda?

– Nie, nie znam nawet pańskiego nazwiska.

– I nie zdradzę go pani. Ja też nie wiem, jak się pani nazywa...

– Och, nazywam się...

– Proszę mi nie mówić! Proszę nie mówić! Nie chcę tego słyszeć! Chciałem się zająć pani guzem, więc się zająłem. A teraz chcę, aby pani odeszła z nim razem, jak tylko będzie pani mogła. Czy wyraziłem się dostatecznie jasno?

– Niech pan pozwoli mi się ubrać – powiedziała sztywno – i odejdę natychmiast.

– Bez tyrady?

– Bez. – Gniew jej przerodził się nagle w żal. Dodała: – Zamierzałam tylko wyrazić panu swoją wdzięczność. Czy to nie byłoby na miejscu?

Jego złość również minęła, zbliżył się do łóżka, przykucnął tak, że ich twarze znalazły się na wprost siebie i powiedział łagodnie:

– Owszem, to ładnie z pani strony. Aczkolwiek za jakieś dziesięć dni skończy się ta wdzięczność, gdy wmówią pani „samoczynną remisję”, albo też za pół roku, rok, dwa czy pięć, gdy badania będą stale dawały wynik ujemny.

Wyczuła w tych słowach taki ogrom smutku, że mimo woli dotknęła jego ręki, którą przytrzymał się krawędzi łóżka. Nie cofnął jej, ale też nie widać było, aby ten gest sprawił mu przyjemność.

– Czemu nie wolno mi teraz okazać wdzięczności?

– Byłby to akt wiary – odparł cierpko – a te się już nie zdarzają, jeśli w ogóle kiedykolwiek się zdarzały. – Podniósł się i skierował do drzwi. – Proszę nie odchodzić dziś wieczorem. Jest ciemno, a pani nie zna drogi. Zobaczymy się rano.

Rano zastał drzwi otwarte. Łóżko było zasłane, prześcieradła, poszewki i ręczniki, których używała, starannie złożone na krześle. Dziewczyna zniknęła.

Wyszedł na mały dziedziniec i pogrążył się w kontemplacji bonsai. Wczesne słońce złociło górną poziomą warstwę listowia starego drzewa, nadając powyginanym konarom wyrazistość brązowszarej, rytej w aksamicie płaskorzeźby. Tylko współtowarzysz bonsai w pełni rozumie istniejącą między nimi zależność (są również właściciele bonsai, ale to niższa rasa). Drzewo ma własną osobowość, ponieważ jest istotą żyjącą, a wszystko, co żyje, zmienia się – pragnie się jednak zmieniać w sposób zgodny ze swym życzeniem. Człowiek widzi drzewo, w jego umyśle powstaje wyobrażenie przyszłego kształtu tego drzewa i człowiek zaczyna ową koncepcję realizować. Drzewo natomiast robi tylko to, co może zrobić, i raczej zginie, niż zrobi coś, czego drzewa nie robią, lub zrobi w czasie krótszym, niż drzewa tego wymagają. Stąd też kształtowanie bonsai zawsze jest kompromisem i zawsze współpracą. Człowiek nie jest w stanie sam stworzyć bonsai, samo drzewo też nie jest w stanie tego zrobić. Musi się to odbywać na zasadzie współdziałania i zrozumienia. To wymaga długiego czasu. Człowiek zna swe bonsai na pamięć – każdą gałązkę, każde pęknięcie, każdą igielkę – i często w bezsenną noc lub w wolnej chwili o tysiące mil od domu przypomina sobie tę czy ową linię albo całość, robi dalsze plany. Za pomocą drutu, wody, światła, przykrywając płachtą, sadząc zielska zabierające wodę oraz grube poszycie osłaniające korzenie, człowiek tłumaczy drzewu, czego od niego oczekuje. Jeśli wskazówki są wystarczająco jasne, drzewo zareaguje i będzie posłuszne. Prawie.

Albowiem zawsze będą istniały pewne ściśle indywidualne odchylenia wynikające z godności własnej: „Zgoda, uczynię, co zechcesz, ale po swojemu”. I zawsze drzewo jest gotowe przedstawić człowiekowi jasne i logiczne wyjaśnienie owych odchylenia, najczęściej (niemal z uśmiechem) uświadomi mu, że postępując z głębszym wyczuciem, mógłby ich uniknąć.

Jest to najpowolniejsza rzeźba na świecie i niekiedy powstaje wątpliwość, kto tu właściwie jest rzeźbiarzem – człowiek czy drzewo.

Stał tak może dziesięć minut, obserwując złote odbłaski na górnych gałęziach, następnie podszedłszy do drewnianej rzeźbionej skrzyni wyciągnął z niej zniszczoną drelichową płachtę. Otworzył szklaną ścianę atrium i rozpostarł płótno na korzeniach oraz na ziemi z jednej strony pnia, drugą pozostawiając wolną dla wiatru i wilgoci. Może za jakiś czas –

miesiąc lub dwa – któryś z pędów pnących się ku górze pojmie tę wskazówkę i nierówny przepływ wilgoci przez warstwę miazgi wytrąci go z tego dążenia i przekona, by kontynuował swój bieg horyzontalnie. A może nie – wówczas trzeba będzie użyć drastyczniejszych argumentów, bandaży, drutu. Niewykluczone, że i wtedy drzewo będzie miało coś do powiedzenia na temat słuszności dążenia w górę, że uczyni to w sposób tak przekonujący, iż człowiek odstąpi od swego zamiaru – znaczący, cierpliwy i uwieńczony nagrodą dialog.

– Dzień dobry.

– Tam do licha! – warknął. – Przez panią o mało nie odgryzłem sobie języka. Myślałem, że pani odeszła.

– Bo tak było. – Klęczała w cieniu pod ścianą, zwrócona twarzą do atrium. – Zatrzymałam się jednak, aby pobyc przez chwilę z tym drzewem.

– No i co?

– Dużo myślałam.

– O czym?

– O panu.

– Teraz?

– Niech pan posłucha – zaczęła stanowczym tonem. – Nie pójdę do żadnego lekarza, na żadne badania. Nie chciałam odejść, dopóki panu tego nie powiem i nie upewnię się, że pan mi wierzy.

– Chodźmy coś zjeść.

Zachichotała niemądrze.

– Nie mogę. Nogi mi ścierpły.

Niewiele myśląc wziął ją na rękę i uniósł przez atrium.

Obejmując go za szyję, z twarzą przy jego twarzy, zapytała:

– Wierzy mi pan?

Nie zwolnił kroku i dopiero znalazłszy się w pobliżu drewnianej skrzyni, przystanął i spojrzał jej w oczy.

– Wierzę. Nie wiem, czemu pani podjęła taką decyzję, ale gotów jestem uwierzyć.

Posadził ją na skrzyni i odsunął się nieco.

– To jest akt wiary, o którym pan wspominał – rzekła poważnie. – Sądziłam, że należy się on panu przynajmniej raz w życiu, aby pan już nigdy nie mógł powtórzyć tego, co pan powiedział. – Ostrożnie postukała piętami a kamienną posadzkę. – Au! – Skrzywiła się boleśnie. – Piekielne ciarki!

– Musiała pani dość długo rozmyślać.

– Owszem. Powiedzieć więcej?

– Jasne.

– Jest pan zaciętrzewiony i boi się pan.

Sprawił wrażenie zachwyconego.

– Niech mi pani to wszystko opowie.

– Nie – odrzekła spokojnie. – Niech pan mi opowie. Traktuję to bardzo poważnie. Czemu jest pan taki gniewny?

– Nie jestem.

– Czemu jest pan taki gniewny?

– Powtarzam pani, że nie jestem. Chociaż – dodał dobrodusznie – robi pani wszystko, abym był.

– Jeszcze raz pytam: czemu?

Przypatrywał się jej bardzo – jak się zdawało – długo.

– Naprawdę chce pani wiedzieć?

Skinęła głową.

Zatoczył ręką dokoła.

– Jak pani myśli, skąd się to wszystko wzięło – ten dom, ziemia, aparatura?

Patrzyła na niego wyczekująco.

– System wydalania spalin. – W jego głosie zabrzmiała chrypliwa nuta, którą już zdążyła poznać. – Odprowadza się je z silnika wprawiając w ruch wirowy. Niespalone cząsteczki stałe odkładają się na ściankach tłumika w warstwie waty szklanej, którą można wyjąć i zastąpić świeżą po przejechaniu kilku tysięcy mil. Reszta wydechu zapalana jest przez świecę zapłonową i w ten sposób spala się to, co może być spalone. Ciepło zużywa się do podgrzewania paliwa. Pozostałość znów ruchem wirowym osadza się w ładunku waty wystarczającym na przebieg pięciu tysięcy mil. To, co ostatecznie uchodzi na zewnątrz jest – w każdym razie przy dzisiejszych normach – prawie oczyszczone. A dzięki podgrzewaniu uzyskuje się większą wydajność silnika.

– A więc zarobił pan na tym masę pieniędzy.

– Tak, zarobiłem masę pieniędzy – powtórzył. – Ale wcale nie dlatego, że mój wynalazek posłużył ochronie środowiska. Kupił go firma samochodowa, aby na cztery spusty zamknąć w sejfie. Nie przypadł im do gustu, gdyż zainstalowanie go w nowych samochodach pociągnęłoby za sobą pewne koszty. A ponieważ zwiększa wydajność paliwa, nie podobał się również ich niektórym przyjaciom z przemysłu rafineryjnego. Cóż, trudno – człowiek uczy się na własnych błędach, nigdy więcej już takiego błędu nie popełnię. Ale ma pani rację – jestem człowiekiem gniewnym. Byłem gniewny wówczas, gdy jako młody chłopiec służyłem na tankowcu i kazano nam wyszorować gródz za pomocą szarego mydła i ścierki. Zszedłem na brzeg, kupiłem detergent, który okazał się lepszy, szybciej działający i tańszy, więc pokazałem go bosmanowi i dostałem w pysk za to, że chcę być mądrzejszy. Był wprawdzie wówczas pijany, najgorsze jednak przyszło później, gdy załoga, stare wilki morskie, sprzymierzyła się przeciwko mnie i nazwała „kapusiem”, co na statku jest najbardziej

obraźliwym epitetem. Nie mieściło mi się w głowie, czemu ludzie tak uparcie bronią się przed postępem.

Walczyłem z tym przez całe życie. Mam w mózgu jakiś mechanizm, który nigdy się nie wyłącza, zmuszając mnie do zadawania kolejnych pytań: Dlaczego jest tak i tak? A dlaczego nie miałyby być tak i siak? Każda sytuacja stwarza możliwość dalszych dociekań – i nie powinno się w tym dążeniu ustawać, zwłaszcza gdy człowiek pragnie odpowiedzi, ponieważ każde pytanie przynosi kolejną odpowiedź. A dzisiejsi ludzie po prostu nie chcą zadać następnego pytania.

Dostałem kupę forsy za rzeczy, które w ogóle nie będą służyć ludziom i jeżeli miota mną pasja, to wyłącznie moja wina, przyznaję, bowiem nie mogę się powstrzymać od stawiania dalszych pytań i szukania odpowiedzi. W tym laboratorium znajduje się pół tuzina prawdziwie rewelacyjnych wynalazków, a drugie pół setki – w mojej głowie. Ale czegoż można dokonać w świecie, w którym ludzie raczej się wymordują wzajemnie na pustyni, nawet gdy się im udowodni, że może się ona zamienić w kwitnącą oazę zieloności, w którym miliony płyną na odkrywanie i zagospodarowywanie pól naftowych, mimo tysięcznych argumentów na to, że paliwa kopalne przyniosą nam wszystkim zagładę. Tak, jestem gniewny. Czy nie mam powodów?

Pozwoliła, by echo jego słów rozeszło się po dziedzińcu i uleciało przez górny otwór atrium, odczekała jeszcze chwilę, aż uświadomi sobie, że jest tu z nią, a nie sam ze swoją furią. Uśmiechnął się przepraszająco, gdy to do niego dotarło.

– A może – odezwała się – stawia pan pytanie formułując je w niewłaściwy sposób. Przypuszczam, że ludzie żyjący zgodnie ze starymi maksymami usiłują nie myśleć, znam jednak maksymę wyjątkowo godną uwagi: „Jeśli zadajesz pytanie we właściwy sposób, już otrzymałeś na nie odpowiedź”. – Przerwała, by sprawdzić, czy słucha jej uważnie. Słuchał. Mówiła więc dalej: – Chodzi mi o to, że położywszy rękę na rozpalonym żelazie mógłby pan zadać sobie pytanie: „Co zrobić, by się nie spaliła?”. Odpowiedź jest oczywista, prawda? Jeśli świat stale odrzuca to, co pan ma mu do zaoferowania – istnieje pewien sposób zapytania „dlaczego?”, zawierający odpowiedź.

– Odpowiedź jest prosta – rzekł krótko. – Ludzie są głupi.

– To nie jest właściwa odpowiedź i pan doskonale o tym wie.

– A jak brzmi właściwa?

– Tego nie mogę panu powiedzieć. Wiem tylko, że w przypadku ludzi ważniejszy jest sposób, w jaki się coś robi niż to, co się robi. Jeśli chce pan osiągnąć rezultaty. Przecież wie pan już, jak postępować z bonsai, by zrealizować swoją koncepcję, prawda?

– Niech to diabli!

– Ludzie są również istotami żyjącymi, rozwijającymi się. Nie mam nawet jednej setnej pańskiego doświadczenia, jeśli chodzi o bonsai, ale jestem pewna, że gdy pan przystępuje do ich kształtowania, nieczęsto bywają to drzewka zdrowe, proste, silne. I właśnie z tych

cherlawych, powykręcanych mogą powstać w przyszłości najpiękniejsze. Niech pan o tym pamięta zabierając się do kształtowania ludzkości.

– Wszystko to... Nie wiem, czy roześmiać się pani w nos, czy dzielić pięścią.

Podniosła się. Nie zdawał sobie sprawy, że jest tak wysoka.

– Lepiej już pójde.

– Nie, proszę mówić dalej. To była tylko przenośnia.

– Och, wcale się nie przestraszyłam. Lepiej jednak będzie, gdy sobie pójde.

– Boi się pani zadać następne pytanie? – spytał odgadując jej myśli.

– Okropnie.

– Mimo wszystko proszę je zadać.

– Nie.

– Wobec tego zrobię to za panią. Orzekła pani, że jestem gniewny – i pełen lęku. Chce pani wiedzieć, co mnie napawa lękiem?

– Tak.

– Pani. Śmiertelnie boję się pani.

– Doprawdy?

– Ma pani w sobie coś prowokującego do szczerości – wyznał z trudem. – Wiem, co pani w tej chwili myśli: on się boi bliskiego kontaktu z drugim człowiekiem. Boi się wszystkiego, z czym się nie upora za pomocą śrubokrętu, spektroskopu masy czy tabeli cosinusów i tangensów. Nie umie sobie z tym poradzić.

Ton jego był żartobliwy, ale ręce mu drżały.

– Poradzi pan sobie z tym podlewając jedną stronę – powiedziała miękko – lub wystawiając ją ku słońcu. Niech pan się z tym obchodzi tak, jak gdyby to była istota żyjąca, kobieta czy bonsai. I stanie się to tym, czym pan chce, aby się stało, jeśli pozwoli mu pan być sobą, poświęci pan dla niego swój czas i starania.

– Sądzę, że jest to z pani strony rodzaj oferty. Dlaczego?

– Gdy tam siedziałam przez niemal całą noc – powiedziała – nawiedziła mnie szaleńcza wizja. Jak pan myśli, czy zdarzyło się kiedykolwiek, aby dwa cherlawe, powykręcane drzewa ukształtowały z siebie wzajemnie bonsai?

– Jak masz na imię? – zapytał.

Przełożyła Elżbieta Zychowicz

O autorze

Theodore Sturgeon (1918-1985) amerykański pisarz science fiction, prawdziwe nazwisko to Edward Hamilton Waldo, zmienił je (a przy okazji imię), kiedy jego matka ponownie wyszła za mąż, tym razem za Williama Sturgeona. Debiutował opowiadaniem niefantastycznym w 1938, rok później zadebiutował w *Astounding SF*. Krótka forma prozatorska to było to, w czym Sturgeon się lubował. Używał bardzo poetyckiego języka, uważano go za prawdziwego mistrza krótkiej formy. Po jego śmierci ufundowano nagrodę jego imienia dla najlepszych opowiadań SF. Powieści napisał niewiele, najbardziej znana to *Więcej niż człowiek* (Solaris), za którą otrzymał World Fantasy Award, traktowała o ewolucji człowieka. W Europie uznano ją za literaturę najwyższej próby.

Był jednym z najbardziej poważanych pisarzy SF w środowisku, wielu autorów oddawało mu hołd – np. Heinlein zatytułował jedno ze swoich opowiadań „Waldo”, tym samym słowem określono jeden z gadżetów SF, urządzenie do manipulowania czymś na odległość za pomocą mechanicznych rąk.

Opowiadanie „Powolna rzeźba” otrzymało nagrody Hugo i Nebula.

MICHAEL SWANWICK

Jest tu ktoś z Utah?

Opowiadanie Swanwicka jest taką niby lekką humoreską, ale to bardzo amerykański kawałek. Mieszkając parę miesięcy w Stanach, przestałem się czuć samotny i wyobcowany, kiedy sobie uświadomiłem, że wszyscy moi znajomi są skądś. Nie byłem dużo bardziej obcy od nich. Ten z Chicago, ten z Oregonu, ten z Kanady, a ta z Porto Rico. Może być i ktoś z Marsa.

Jest tu ktoś z Utah?

Przyjechałem do Manayunk wczesnym wieczorem. Zza kanału, z Schuylkill napływała mgła, powoli wpełzając na zbocze. Czerwony neon nad lokalem Keely'ego buczał i potrzaskiwał. Znalazłem miejsce do parkowania pod wiaduktem, nie dalej niż o dwadzieścia jardów.

Lokal Keely'ego to piwiarnia w starym stylu, z tych, co to nadal mają specjalne boczne wejście dla dam. Korzystają z niego starsze kobiety z sąsiedztwa, które siedzą nad swoimi kuflami w tylnej salce, nie ośmielając się wejść od frontu, gdzie piją mężczyźni.

Jest to spokojne miejsce. Bez telewizora nad barem. Z szafą grającą, która jednak milczała, gdyż w poniedziałkowy wieczór ruch jest niewielki. W tyle sali stoi stół bilardowy.

W połowie mojego pierwszego piwa pojawił się ten mały gość. Wetknął głowę przez drzwi, rozejrzał się i wciągnął ją błyskawicznie z powrotem, niczym żółw chowający się do skorupy. Po chwili jego mała okrągła twarz pojawiła się ponownie. Zamrugnął oczami i niespokojnie omiótł wzrokiem półki nad barem. Poszedłem w jego ślady i zobaczyłem tylko zwykły zestaw butelek.

Wreszcie ten mały gość wszedł do baru na dobre, usiadł na stołku obok mnie i zamówił beczkowe. Przez chwilę obaj piliśmy w milczeniu, potem on wskazał głową półki nad barem.

– Nie ma telewizora – powiedział, a kiedy kiwnąłem głową dodał: – Zauważył pan, jak telewizja wciąga człowieka? Choćby starał się ją ignorować, zawsze w końcu zagapi się w ekran.

Był jakiś dziwny. Miał w sobie coś z włóczęgi, jakieś piętno chronicznej biedy i brudu, a jednak ubrany był w modną wiatrówkę, za jaką w śródmieściu trzeba zapłacić przynajmniej dwieście dolarów, a chociaż była znoszona, to widać było, że on sam ją nosił, a nie znalazł lub odkupił.

– To ciekawe – powiedziałem.

Przyjrzał mi się przez chwilę.

– Dobrze, niech pan posłucha. Czy zwrócił pan uwagę, że niektóre wynalazki techniczne są dla nas jakby za dobre? Tak że człowiek zastanawia się, jak one w ogóle mogą istnieć, bo tak do nas nie pasują jak autobus Greyhounda do starożytnego Rzymu?

– Nie – powiedziałem ostrożnie. – Nie mogę powiedzieć, żebym coś takiego zauważył.

– Bo pan nie zwraca uwagi – powiedział gniewnie. – Niech pan tylko weźmie komputery, mamy je od niespełna trzydziestu lat, a już są tak małe, że można je nosić na rękę, jak zegarek. A teraz niech pan to porówna ze swoim samochodem i zada sobie pytanie, dlaczego on ma tylko cztery procent sprawności i rozpada się, zanim pan spłaci ostatnią ratę. Czy chce mi pan wmówić, że obie te rzeczy produkują ci sami ludzie?

– Chyba pan przesadza – powiedziałem uspokajająco. Mały gość ścisnął kufel, aż mu zbieleły kostki palców.

– Żyjemy w kraju, który nie potrafi wyprodukować przyzwoitej baterii słonecznej, kiedy Arabowie przypierają nas do ściany, a umiemy przysyłać w powietrzu obrazy... i to kolorowe. I skąd się to bierze? Telewizja pojawiła się pewnego dnia w stanie całkowicie gotowym. Nie ewoluowała tak jak, powiedzmy, kino.

– Było radio.

– Radio! Radio to ja mogę zrobić z agrafki, gumki do wycierania i kryształka kwarcu. A spotkał pan kiedyś kogoś, kto naprawdę rozumie, jak działa telewizja, kogoś, kto potrafiłby sam ją zbudować?

– No, wie pan...

– A jak się o tym poczyta, to wszystko staje się jeszcze dziwniejsze. Czy pan wie, co ogląda, kiedy pan siedzi przed ekranem telewizora?

– Obrazki.

– Wcale nie. Widzi pan jedną małą plamkę światła. Ta plamka przebiega wszystkie 525 linii pańskiego ekranu sześćdziesiąt razy na sekundę, rozjaśniając się i przygasając, a pański mózg układa sobie z tego obrazki. Naprawdę nie ma żadnego obrazu tylko ta mała plamka światła, która pana jakby hipnotyzuje, rozumie pan? A ponieważ obraz powstaje w pańskiej głowie, to znaczy, że przedostaje się tam poza pańską kontrolą. Dlatego wierzy pan w niego, mimo że zaprzecza pańskim faktycznym obserwacjom.

– Chyba nie ogląda pan zbyt dużo telewizji?

Westchnął i zwiesił nos nad kuflem.

– Oglądałem jak wszyscy. Cztery, może pięć godzin dziennie. Wybrałem się kiedyś na wycieczkę w górę do stanu Wyoming, żeby побыć w samotności i zabrałem telewizor na baterie. Jako coś zupełnie naturalnego.

Drugiego dnia przypadkiem strąciłem go do przepaści. Ale byłem na siebie wściekły! Mało co nie wróciłem do domu. Ale tyle już wydałem na tę wycieczkę, że poszedłem dalej bez telewizora. I wie pan co? Po tygodniu poczułem się znacznie lepiej bez ciągłego jazgotu tego cholernego pudełka. Poprawił mi się wzrok, miałem więcej energii, lepiej mi się myślało. Ale przez cały ten czas znajdowałem się na odludziu. Dopiero kiedy wróciłem do miejsca, gdzie zostawiłem samochód, prawda wyszła na jaw.

– Jaka prawda?

– Po pierwsze, nie byłem wcale w Wyoming, tylko w Ohio.

Nie wytrzymałem i roześmiałem się.

Mały posłał mi gniewne spojrzenie.

– Dobrze, dobrze, ale można się chyba przestraszyć, kiedy się okazuje, że w sklepach, pensjonatach, ośrodkach turystycznych wszyscy rozmawiają tak, jakby byli w Wyoming, ale na ulicach wszyscy są w Ohio. A jeśli się kogoś o to spytało, spoglądał na ciebie nieprzytomnym wzrokiem i odchodził. – Tu mój sąsiad z wyrazem beznadziei utopił wzrok w kuflu. – Po jakimś czasie zauważyłem, że ludzie są nieco bardziej przytomni, jeśli przez kilka godzin nie oglądali telewizji i wtedy mnie olśniło.

– Zrozumiałem, że ktoś manipuluje naszą rzeczywistością dla sobie wiadomych celów i postanowiłem odkryć, co jest grane. Wyciągnąłem swoje oszczędności z banku i wyruszyłem na wędrowną. – Uśmiechnął się z politowaniem. – Na odkrycie Ameryki. Tyle że jej nie znalazłem. Pan dużo podróżuje?

– Jestem komiwojazerem, trochę jeżdżę.

– Czy zauważył pan, jak jakieś dziesięć lat temu jakość życia w Nowym Jorku spadła na łeb na szyję? Przecież kiedyś była to Królowa Miast, Wielkie Jabłko, nie? Jakim cudem tak szybko zeszło na psy? Pojechałem więc do Nowego Jorku, popatrzyłem i wie pan, co zobaczyłem?

– Co takiego? – spytałem.

– Krater. Około mili średnicy i radioaktywny jak diabli. Stałem na skraju i spojrzałem w dół przez obłoki pary, a tam na dnie tylko błękitna poświata. To wszystko, co zostało z Manhattanu.

– Chwileczkę – powiedziałem – byłem tam w zeszłym tygodniu.

Potrząsnął głową bez cienia wątpliwości.

– Nie, to był Newark. Przenieśli tam giełdę i banki, zmienili parę drogowskazów i zahipnotyzowali wszystkich, żeby myśleli, że są w Nowym Jorku..

– E, niech pan da spokój. Miliony ludzi wyjeżdżają i przyjeżdżają do Nowego Jorku każdego dnia. Czegoś takiego nie można zatuszować.

– Można, jeśli rozporządza się telewizją. Niech pan posłucha, widziałem rzeczy, od których mózg się lasuje. Czy wie pan, że w Północnej Dakocie stacjonują chińskie wojska komunistyczne? Cały stan jest pod okupacją! Są tam obozy koncentracyjne, niewolnicza praca i... A Utah? Czy spotkał pan kiedyś kogoś z Utah?

– Nie przypominam sobie...

Kiwnął głową.

– Jasne, że nie! Mój Boże, czego ja się naoglądałem. W zeszłym miesiącu w Los Angeles widziałem, jak prezydent Stanów Zjednoczonych wręczał klucze do miasta Adolfowi Hitlerowi... publicznie, proszę pana! Poza małą grupą wiwatujących nikt nie zwracał na to uwagi.

– To niemożliwe, Reagan by nigdy... – zacząłem.

– Nie mówię o tym podstawionym aktorzynie, a o prawdziwym prezydencie Nixonie. – Umilkł na chwilę i zapatrzył się w piwo. – Hitler był na wózku, w białym garniturze. Wyglądał na pełnego sklerotyka.

– No i co pan robi w tej sprawie? – przerwałem mu. – Bo chyba pan coś robi?

Mały gość opuścił głowę zawstydzony.

– Prawdę mówiąc – przyznał – nie wiem co robić. Nie jestem typem bohatera. Zaglądam do barów i jeżeli znajdę miejsce bez piekielnego telewizora, wdaję się w rozmowy. Tłumaczę ludziom, że gdyby wyrzekli się telewizji na kilka tygodni, odzyskaliby wolność. Może gdyby było nas więcej, moglibyśmy coś wspólnie zrobić.

– Rozumiem. Czy ma pan wielu nawróconych?

– Ani jednego – powiedział z autentycznym przygnębieniem.

– Powiem panu coś, co może panu poprawi humor – oświadczyłem. – Ja rezygnuję z telewizji, od zaraz!

Mały jegomość zajrzał mi głęboko w oczy i była w nim w tym momencie jakaś godność porażki.

– Na pewno nie – powiedział. – Obieca pan, a potem wróci pan do domu albo do swojego pokoju hotelowego i włączy pan telewizor nawet o tym nie myśląc. – Skończył swoje piwo i zostawił na barze ćwierć dolara napiwku. – Ale przynajmniej próbowałem i Bóg mi świadkiem, że to jest wszystko, czego od człowieka można wymagać.

Zsunął się ze swojego stołka.

– Sam – powiedziałem jak gdyby nigdy nic – chciałbym ci coś pokazać.

Odwrócił się zdumiony.

– Skąd pan zna moje...

Wyjąłem z kieszeni aparacik. Był mały, wielkości paczki papierosów i miał dwucalowy ekranik.

– Widziałeś to kiedyś? – spytałem. – Prosto z taśmy produkcyjnej. Za rok wszyscy będą takie mieli. – Pomachałem mu powoli aparatem przed nosem. Usiłował uciec wzrokiem na boki, ale na próżno. Jego oczy przykuła mała poruszająca się plamka.

– Bomba, co? – Uśmiechnąłem się. Miałem wszelkie powody do zadowolenia. Kiedy natrafiłem na jego ślad w Utah, myślałem, że go już nigdy nie znajdę.

Na jego czoło wystąpiły krople potu. Zaciśnął zęby, ale nie mógł oderwać oczu od ekranu.

– Kim wy jesteście? – spytał przez ściśnięte gardło.

– Kim my jesteśmy, Sam? Jesteśmy kimś ważnym. Kimś, kto stoi za korporacjami ponadnarodowymi. Kimś, kto wszystkim kieruje. Głosem, który ci szeptem do ucha: „Co cię obchodzi, kim my jesteśmy?”.

Nie wiedziałem, co z tego do niego dociera, czy szybko mu mętniały, ale ku mojemu zdziwieniu zdołał jeszcze powiedzieć:

– A teraz mnie zabijesz? – Sądząc z tonu było mu to już obojętne.

– Och, Sam – pogłaskałem go po głowie. – Wyobraź sobie, że prowadzisz hodowlę psów i jeden z nich podkopał się pod ogrodzenie, utknął pod siatką i nie może się wydostać. Czy ty byś go za to zabił?

– Nie oczekiwałem odpowiedzi i nie dostałem jej.

– Przecież nie – odpowiedziałem za niego. – Masz – włożyłem mu aparat do ręki. – To prezent dla ciebie.

– Stał półprzytomny, zapatrzony. Wszystkie wątpliwości, lęki i niepokojące wspomnienia powoli odchodziły w niebyt. Już w drzwiach odwróciłem się.

– Pokaż to swoim znajomym – powiedziałem.

Przełożył Lech Jęczmyk

O autorze

Michael Swanwick (ur.1950) amerykański pisarz średniego pokolenia, zadebiutował w 1985 roku powieścią *In the Drift*. Od razu dał się poznać jako twórca bardzo oryginalny, umiejętnie mieszający SF z fantasy. W Polsce znany ze znakomitych opowiadań oraz z powieści *Stacja przyływów* (Nebula) oraz *Córka Żelaznego Smoka* – w tym samym świecie rozgrywa się powieść *The Dragons of Babel*.

Opowiadania przyniosły mu wielką sławę i liczne nagrody. W latach 80. i 90. praktycznie nie ma roku bez opowiadania Swanwicka w nominacjach do Hugo, Locusa, Nebuli czy World Fantasy. Za same opowiadania zdobył już 5 nagród Hugo.

Mieszka w Filadelfii.

DYMITR BILENKIN

Jego Mars

Twórczość Bilenkina ma kilka obliczy. Pisał głównie humoreski i opowiadania o podboju nieprzyjaznego kosmosu. Tutaj mamy przykład kosmosu już ujarzmionego, wspomnianego oczami kogoś, kto pamięta pionierskie czasy. Oczywiście z puentą właściwą Bilenkinowi.

Jego Mars

Wszyscy starali się jak najszybciej wypić eliksir, ktoś jeszcze dojadał kanapkę, z automatu do kawy z sykiem wyrywały się kłęby pary, grała muzyka, „Dziewczynki, dziewczynki, spóźnimy się!” – dobiegło z lewej strony. Zrobiło się tam zamieszanie, wielogłosowy szum na chwilę przycichł, by po chwili zabrzmieć ze zdwojoną siłą. „Pardon” – rozległo się obok, i czyjś łokieć miękko obrócił Silinem. Uderzyło go w twarz marsjańskie słońce, przybladłe za warstwą spektrom. Niczym płomień błysnęły rude włosy dziewczyny stojącej naprzeciwko; prześlizgnęła się po nim obojętnym spojrzeniem i szybko zaszepotała coś na ucho krępemu, o jędrnych policzkach chłopakowi; ten w odpowiedzi kiwał głową melancholijnie. Silin przecisnął się do bufetu i nalał sobie eliksiru. Brązowy płyn zapienił się z sykiem. Wypił gorzko smakujący eliksir i przyszło mu do głowy, że napój ma idiotyczną nazwę. Zgiełk, muzyka, zamieszanie wprawiły w mętlik jego myśli, i nic dziwnego, gdyż wszyscy wokół wiedzieli, czego chcą, a on – nie.

„Wycieczka numer dwa, prosimy do służy! Prosimy do służy wycieczkę numer dwa! Prosimy nie zapomnieć o wypiciu eliksiru! Nie zapomnijcie o wypiciu eliksiru!”

Silinem znów obróciło, ale tym razem podporządkował się ogólnemu ruchowi. Przekłeta akceleracja! W młodości był postawnym mężczyzną, a teraz przed oczyma majaczyły tyły głów tych, którzy mogli być jego synami i córkami. Jedna z wielu drobin piasku w strumieniu sobie podobnych. To było jednak lepsze od samotnego stania bez celu pośród tych, którzy za samotnych się nie uważali.

Przepuszczali pojedynczo. Ledwo człowiek przestępował próg służy, przejście rozbłyskało zielenią – oznaczało to, że turysta zażył eliksir. Przed Silinem szedł młodzieniec w tęczowej, durolowej kurtce – jego przywitał nie zielony, a czerwony sygnał. Młodzieniec potknął się zaskoczony, i jego kurtka przybrała kolor liliowy. Kolejka zaśmiała się. Wtedy na kurtce pojawiły się plamy żółci. Śmiech przybrał na sile. Tylko wyjątkowo zuchwali eleganci nosili kurtki z durolu, zmieniającego kolor w zależności od nastroju właściciela, przez co nierzadko stawiani byli w głupim położeniu. Młodzieniec biegiem pomknął pić eliksir, a Silin wszedł do służy.

Otworzyły się zewnętrzne drzwi i stojący z przodu skrzywili się. Przejawy niezadowolenia szybko jednak ustały. Wszyscy rozglądali się z minami zwycięzców – jakoś

oddychali marsjańskim powietrzem, prawdziwym marsjańskim powietrzem, kwaśnym i na tyle rozrzedzonym, że od częstych i głębokich wdechów wysoko unosiła się pierś.

– Kiedyś nie można tu było wyjść bez skafandra – nie wiadomo po co powiedział Silin.

– Tak, za króla Ćwieczka – dziarsko odezwała się czarnowłosa dziewczyna o turkusowych oczach i parsknęła w dłoń.

„To było za moich czasów!” – chciał powiedzieć Silin, ale zdołał się powstrzymać. W sumie dziewczyna miała rację. Wszystko, co miało miejsce przed jej narodzinami, czy to starożytny Rzym, czy podbój Marsa, znała jedynie ze stereofilmów i podręczników, a nie z własnej pamięci, i jej stosunek do Marsa po prostu musiał być inny niż jego, na to nie można było nic poradzić. Mimo to zrobiło mu się przykro. Wśród tych ludzi był jedynym, dla kogo przeszłość zachowała kolor, zapach i smak. Wspomnienia – bogactwo starców...

Rozsiedli się w miękkich fotelach przestronnego salonu pojazdu, i aerobus, nabierając prędkości, pomknął na poduszce powietrznej. Półsferyczny dach zrobiono ze spektrolu, i podłoga także była ze spektrolu, cały aerobus, prócz zespołu jeźdźnego, był zrobiony z przezroczystego spektrolu, dlatego zdawało się, że nad marsjańską równiną lecą ustawione jeden za drugim fotele, które, niczym żuraw przewodnik, ciągnie na niewidzialnej uwięzi opierzony kaskadowymi sterami silnik.

Oddalający się budynek centrum turystycznego skrzył się niczym kryształowe jajo. Obok trasy, aż po horyzont rosły posadzone w szachowym porządku zmutowane himalajskie sosny. Ciemnobłękitne igliwie przypudrował ceglany nalot pyłu.

– Ciekawe, czy są tu grzyby? – Spytał obdarzony jędrnymi policzkami towarzysz rudowłosej dziewczyny.

– Powinny być – odpowiedziała. – Gdzie jest las, tam są i grzyby.

Zerknęła na Silina, jakby szukała u niego potwierdzenia. Ale Silin niczego nie mógł potwierdzić: na jego Marsie grzybów nie było.

– Z pewnością coś o tym napisano w przewodniku – chłopak zaszeleścił broszurą.

– Popatrzcie tylko, wszystko zazielenione! – krzyknęła w zachwycie jakaś kobieta.

Fioletowe niebo nad głową było takie samo jak przed laty. Czyste, puste, z lekka tknięte mżawką pierzastych obłoków. Roztopiał się w nim maleńki sierp Fobosa, niczym okruch lodu wrzucony do źródła.

W oddali wyłonił się poszczerbiony łańcuch górski. Sąsiad Silina z trzaskiem rozerwał torebkę z migdałami i pełną garścią posłał smakołyki do ust.

– Niech się pan częstuje – powiedział, podsuwając torebkę.

– Dziękuję – odpowiedział Silin. – Nie mam ochoty.

– Taaak – pociągnął w zamyśleniu sąsiad nie przestając przeżuwać. – Jeśli człowiek sobie przypomni, że wcześniej niczego tutaj nie było... Aż się wierzyć nie chce.

– Jak to „nie było”? – spytał Silin. – Było.

– Jak to „było”? – sąsiad z zainteresowaniem spojrzał na Silina. Gdy mówił i przeżuwał, marszczyła mu się skóra podbródka. – Dzięki wykopaliskom wiemy, że na Marsie nigdy nie istniało cokolwiek choćby trochę przypominającego cywilizację.

– Była przyroda. Niech pan da tych swoich migdałów, zmieniłem zdanie.

– Niech pan bierze... A więc przyroda? Przyrodę i teraz mamy. Bardzo lubię prawdziwą przyrodę. To dla niej tutaj przyleciałem. Pozwiedzam trochę, a potem ruszę z namiotem na grzbiet Mitchella. Szkoda, że nie ma tu ryb.

– Są w podlodowcowych morzach.

– Przecież nie będę taszczyć ze sobą instalacji wiertniczych! Ale może zamówić helikopter? Co pan o tym myśli?

– Koniecznie niech pan zamówi. Trzydzieści metrów piasku i tyle samo lodu, a pod nimi stada bezokich ryb. Trafiają się egzemplarze wazące cetnar.

– Żartuje pan ze mnie? Rozumiem teraz. Pan bardzo dobrze zna Marsa. Mam nosa do takich ludzi.

– Co pan! Na Marsie byłem przejazdem.

– Delegacja?

– Coś w tym rodzaju. Dawno temu.

– Szkoda, że się pomyliłem. Mówi pan – dawno temu? Nie załapał się pan zatem na czasy, w których...

– Nie, nie załapałem. To było wcześniej. Albo później. Nie pamiętam.

– Szkoda, wielka szkoda. Opowieści bywałych ludzi są bardzo interesujące. A skąd pan wie o rybach?

– Przeczytałem gdzieś.

– Miejsca pan nie pamięta?

– Nie.

– Przykre. Ale natchnął mnie pan. Popytam w bazie. Jeszcze migdałów?

– Dziękuję.

Sosny skończyły się. Aerobus opisał półokrąg nad brązowym płaskowyżem, i Silinowi ścisnęło się serce. Gdzieś tutaj po raz pierwszy ujrzał Marsa. Z prawej strony, tak jak i teraz, był łańcuch górski, trzy rdzawe, lancetowate szczyty, błękitne lodowe cienie w zapadliskach. Wiatr podnosił małe fontanny czerwonego piasku, zastygały bąble stopionego przy lądowaniu kamiennego podłoża. Szalejąc z radości, wystrzelili w powietrze i obściskiwali się wzajemnie, a potem nagle przycichli i długo, bardzo długo patrzyli na te góry, przesyrywali w dłoniach marsjański piasek, wierząc i nie wierząc, że oto stoją na obcej planecie i że to wcale nie jest sen.

– Zbliżamy się do Pomnika – uroczyście oznajmił automatyczny przewodnik. – Dokładnie tutaj pięćdziesiąt osiem lat temu po raz pierwszy na Marsie wylądował statek kosmiczny...

„To nie był mój statek – pomyślał Silin. – Nasza ekspedycja była trzecia z kolei. Ale lądowaliśmy tutaj, kierując się sygnałami radiolatarni pozostawionymi przez pierwszą. Ciekawe, czy się uchowały?”

Z jakiegoś powodu pragnął, żeby radiolatarnie wciąż tu były!

Aerobus przeskoczył grzbiet, i Silin w pierwszej chwili nie uwierzył własnym oczom. Wydało mu się, że to naprawdę rakieta, i że naprawdę ląduje w ogniu, dymie i wicherach pyłu. Pomnik zrobiony był po mistrzowsku. Wielokolorowy spektrol z absolutną wiernością oddawał i słup gasnącego płomienia, i rozbiegające się od niego czarne kłęby dymu. Płomień ryczał, wyrzucony przezeń piasek bulgotał, rakieta wibrowała, osiadając na gazowej poduszce.

– Pomyśleć tylko, że na takich naftowych maszynkach latali – westchnął sąsiad.

Wszystkie głowy były zwrócone w jedną stronę, wszyscy patrzyli na Pomnik, a przewodnik cierpliwie wyjaśniał, na czym polega jego piękno.

Aerobus osiadł, turyści wysiedli i całą gromadą ruszyli w stronę Pomnika, po drodze wyciągając z futerałów holografy.

Silin został w tyle. Szukał wzrokiem miejsca, gdzie mogły być radiolatarnie.

Nieomal przeszedł obok jednej z nich, gdyż z przyzwyczajenia szukał ich opodal miejsca lądowania. Przeniesiono je jednak bliżej, zapewne po to, by zwiedzający mogli obejrzeć wszystko, nie tracąc czasu na chodzenie.

Silina zdziwiło, że radiolatarnia wyglądała jak nowa. To było niemożliwe, gdyż już wtedy strumienie piasku zdarły z niej ochronny lak, matowiąc go i pozostawiając bruzdy zadrapań. Silin pochylił się i przeczytał informację na tabliczce. „Radiolatarnia, dzięki zamiarom której lądowały pierwsze marsjańskie ekspedycje. Zrekonstruowana w stylu tamtej epoki”.

Wszystko się zgadza. Wtedy była inna epoka. Bohaterowie latali na maszynkach naftowych. Lądowali w ślepo na tych... jak im tam... ach tak! – radiolatarniach! „Zrekonstruowana w stylu tamtej epoki...”

Nagle Silin poczuł ciężar przeżytych dni. Wydawało mu się, że wszystko to wydarzyło się tak niedawno. Rzeczy zawsze były bardziej długowieczne od ludzi. Teraz wszystko było na odwrót. Skończył osiemdziesiąt lat, wciąż żyje, pamięta statki, dawno temu oddane do muzeum, pamięta domy kontenery, których już nie ma, pamięta pola zbóż, wypartych przez syntetyczną żywność. „Ostatni Mohikanin – uśmiechnął się Silin. – Cóż, wszystko się zgadza”.

Dołączył do reszty turystów wpatrujących się w ścianę pamiątkową. W szarym granicie zostały przedstawione postaci tych, którzy zagospodarowywali Marsa, niżej widniały ich nazwiska i daty pierwszych ekspedycji. Krótko wspomniano, co kto zrobił. Był tam także i baryelief przedstawiający Silina. Tak, nie zapomniano o nim. Kamienny Silin spoglądał na żywego Silina z surową obojętnością. Żywy Silin nie czuł wzruszenia. To nie był on, takim

nigdy nie był, z bareliefu spoglądał nie człowiek, lecz surowy bohater, wymyślony przez kogoś ku pamięci dla przyszłych pokoleń.

– Powiadają, że ktoś z nich jeszcze żyje – dotarło do Silina.

– Co ty, oni wszyscy zginęli, jestem pewien...

– Gdzie tam! Berger żyje, Silin żyje, niedawno pokazywali ich w stereowizji...

Silinem wstrząsnął dreszcz. Chciał odejść, ale zauważył, że rudowłosa dziewczyna pochyliła się i położyła u podnóża pamiątkowej budowli bukiet kwiatów.

– Uczciła pani ich pamięć?

Głos go zdradził, i dziewczyna popatrzyła na niego ze zdumieniem.

– A cóż w tym dziwnego? – spytała ostrożnie.

– Znała pani któregoś z nich?

– A któż ich nie zna?

– Na przykład ja.

– Pan? Ale przecież to byli pana współcześni?

– Ci bohaterowie?

– No tak. Pana zdaniem, nie są bohaterami?

– Oczywiście, że nie. Oni po prostu wykonywali swoją pracę, ot i wszystko.

– Praca pracy nierówna. Ja także wykonuję swoją pracę, ale nikt...

– Ma pani charakterystyczną opaleniznę. Pracuje pani w kosmosie?

– Tak, na Io. W obserwatorium.

– I przyleciała pani tutaj odpoczywać. Z Io. Gdy byłem w pani wieku, nawet przez myśl mi nie przeszło, że kiedyś nadejdą czasy, gdy praca na Io stanie się czymś zwyczajnym. Jak i odpoczynek na Marsie.

– Po co mi pan to wszystko opowiada? Chce mnie pan do czegoś przekonać? Do czego?

– Niech pani nie zwraca na mnie uwagi. Wszyscy staruszkowie zrzędzą i chcą nie wiadomo czego. Taki wiek. Niczego im nie brakuje, a mimo to z tęsknotą wspominają dni, gdy niczego nie mieli.

Silin odszedł, odprowadzany zaskoczonym i odrobinę zaniepokojonym spojrzeniem dziewczyny. Wyrzucał sobie, że niepotrzebnie zaczął tę głupią rozmowę. Co chciał powiedzieć? Co? Tak było zawsze. Ludzie ryzykując życiem docierali na biegun, a po kilku dziesięcioleciach nad tym samym biegunem zaczynały regularnie latać komfortowe samoloty, których pasażerowie z ciekawością spoglądali w dół przez iluminatory. Ach, to naprawdę jest ten biegun? Ten tajemniczy punkt kuli ziemskiej? Te lodowce? Gdybym nie wiedział, nie zwróciłbym na nie najmniejszej uwagi! Tuż za niebywałym osiągnięciem, następując mu po piętach, zawsze kroczy zwykłe życie. A zatem to dla tego czegoś ludzie ryzykują życiem? Przeszują dlań granice możliwości?

„Tak – odpowiedział sam sobie Silin – i dla tego także. Ale nie w imię bezgranicznego rozszerzenia powszedniości. A zatem w imię czego? Czy może w całym tym odwiecznym

dążeniu do nowego jest mniej sensu niż w podboju łądu przez morskie zwierzęta czterysta milionów lat temu?

Kosmiczny pesymizm – pomyślał Silin. – Mam kosmiczny pesymizm. A wszystko dlatego, że spotkałem się dziś z pospolitością, która zasłoniła wszystko. I to jest właśnie starość. Każdy krok naprzód, przez nieprzezwyciężone, zmienia życie. Znów nie to! Zmiany dla samych zmian – też mi cel... Ale jest nim, jeżeli tylko ludzie postępują tak, jak postępują. Chcemy, żeby z każdym pokoleniem życie stawało się lepsze. Mądrzejsze. Szczęśliwsze. Tylko to popycha nas do przodu. Tylko to.

Odkrywamy dzieciom nowe horyzonty, one idą dalej, i tak powinno być. Jeśli nagle ludzkość oznajmi, że osiągnęła wszystko, i że nie ma już o czym więcej marzyć, i nie ma niczego, do czego można by dążyć, to będzie znaczyło, że nadeszła jej ostatnia godzina. I nie mam prawa oceniać obecnego Marsa miarą swej młodości. Podobnie zresztą jak i swojej roli w jego zmienianiu. Jak murarz, układający swe cegły, nie ma prawa narzekać nawet wtedy, gdy potomkowie zburzą wzniesiony przezeń dom dla zbudowania innego, lepszego.

A pospolitość? To po prostu bardzo żywotny chwast, ale i on zniknie”.

Spod Pomnika autobus dostarczył wycieczkę do skały „Miedziana bogini”, obok której znajdował się rezerwat marsjańskich eretriumów. Przespacerowali się pomiędzy sinicowymi, nabrzmiałymi dziwnie roślinami, zjedli obiad w restauracji i ruszyli nad Morze Nieszczęść.

– Nie, cokolwiek by mówili, to na Księżycu jest ciekawiej – pólżąc w fotelu, dobrodusznie rozwódził się sąsiad Silina. – „Noc księżycowych kwiatów” – to dopiero cudo! Był pan tam? Nie? Przytulna restauracyjka w kraterze Aristarcha, kuchnia tam niezrównana, ale to jeszcze nic. Trzeba tam trafić w czasie ziemskiej pełni. Siedzisz pod kopułą, wszędzie czarno, a w tej czerni kropki – białe, żółte, czerwone, błękitne, zielone gwiazdy...

– Nie ma zielonych gwiazd.

– Nieważne. A wokół równina, zalana ziemskim światłem! Czuje pan kontrast? Wszystkie myśli jakieś podniosłe, i muzyka cichuteńko przygrywa... I Ziemia świeci. Fantastyka! A potem zaczynają spadać meteoryty. Nieprawdziwe rzecz jasna. Ale tego gościom nie mówią, żeby nie czuli się rozczarowani. Wie pan, jakie to piękne? Podnoszą się fontanny pyłu, światło odbija się w nich perłowo, tak że wyglądają niczym kwiaty... A potem opadają. A na Marsie co? Prawie jak na Ziemi. Nieee, Mars mnie rozczarował...

– Utop się pan zatem.

– Co? Nie rozumiem...

– No, jeśli nawet Mars pana znudził, to po co dalej żyć?

Sąsiad zachichotał z zakłopotaniem, potem się obraził. Rozmowa na tym się zakończyła.

– Zbliżamy się do miejsca, w którym w okresie zagospodarowywania Marsa przyroda rzuciła człowiekowi najsurowsze wyzwanie – powściągliwie przemówił autoprzewodnik. – Nim nauczyliśmy się regulować pogodę planety, było tu prawdziwe gniazdo burz piaszkowych

– korana. Dziś, gdy właśnie minęliśmy stację energetyczną, a przed nami rozciągają się sady Sezoastrisu, trudno uwierzyć, że kiedyś grunt i powietrze nagle zaczynały się tutaj gotować, a huragany ciskały pojazdami terenowymi niczym drobinkami piasku. Ale tak było kiedyś. Tutaj, na tej strasznej równinie, zginęli...

Aerobus unosił się nad bladoróżową równiną, i po raz pierwszy od początku wyprawy wokół roztaczała się pustynia, nienaznaczona ludzką obecnością. Nawet niebo było tu inne – zamglone i nieprzejrzyste. „Pięćdziesiąt lat temu na widok takiego nieba zabrałbym się stąd raz-dwa – pomyślał Silin. – Blackman wtedy nie zdążył uciec. Kiedy znaleźliśmy go po burzy, jeszcze żył, i przyszło odrąbywać mu zmiażdżone nogi, inaczej nie dało się go wyciągnąć”.

– Wyobraźcie sobie przez chwilę – do świadomości Silina dotarł głos przewodnika – że niebo nad wami nagle matowieje w absolutnej ciszy, a na równinie znikają cienie, choć słońce świeci jasno, horyzont zaś oddala się daleko, daleko. Jesteście sami, Mars – pustynia na tysiąc kilometrów wkoło, niczego nie podejrzewacie, ale ogarnia was bezwiedne przerażenie, jakbyście znaleźli się pod szklanym kloszem i ktoś intensywnie się w was wpatrywał. Teraz nic podobnego zdarzyć się nie może, ale wezwijcie na pomoc wyobraźnię, zapomnijcie, że Mars jest zamieszkały. Siedzicie w ciasnym łaziku, naprzeciw biegnie nieskończona pustynia, a na niej powoli topnieją cienie...

Silin o mało nie podskoczył. Zapewne wygląd miał dziki, gdyż ktoś z niepokojem zainteresował się: „Źle się pan czuje?”. Silin jakby nie słyszał. Obok siedzieli ludzie, jednym uchem słuchali przewodnika, rozmawiali, leniwie rozglądali się na boki, ktoś podrzemywał. A cienie stawały się przezroczyste!

Oni tego nie widzieli, a on – widział. Ale to był przecież absurd!

Począł czekać sekundę, chcąc upewnić się, że się myli. Nie mylił się jednak. Horyzont odsuwał się w dal, niebo stawało się szkliste. Głos autoprzewodnika szeleścił i szeleścił, potem przecięła go nagła pauza, brzmiąca w uszach Silina niczym grom.

– Uwaga... – zabrzmiał już inny, nierzeczywiście spokojny głos. – Proszę państwa o uwagę. Na stacji pogodowej miała miejsce niewielka awaria, i, dopóki nie zostanie usunięta, wszyscy powinni zapiąć pasy, gdyż aerobus może dostać się w potok wiatru...

– I co z tego? – spytał sąsiad. – Pomyślałby kto, wiatr...

Zmartwiałym wzrokiem Silin zmierzył długie rzędy foteli. Przezroczysty aerobus, wycieczkowa zabawka, zbyt wytworny, zbyt bezbronny – i w jego stronę... zmierza... korana? Nie!!!

Tak. Wszystko na to wskazywało.

Silin wstał, bokiem, niezauważenie dla innych wślizgnął się do przedziału sterowniczego. Zasunął przegrodę. Fotel wyrósł skądś z podłogi i uprzejmie rozchylił się, zapraszając, by w nim spocząć. Na pulpicie sterowania leniwie pomrugiwały lampki sygnałowe. Silin włączył łączność, teraz był całkiem spokojny, wiedział bowiem, co musi zrobić.

– Halo, centrum! Czy program cyberkierowcy jest przygotowany na koranę? Odbiór.

Pełne oszołomienia milczenie, tak jak oczekiwał. Pauza w pełni wystarczająca, żeby ustalić przeznaczenie dobrego tuzina przełączników, przycisków i wyłączników, rozsianych po pulpicie. Kierował setkami maszyn bardziej złożonymi od tej, powinien pojąć, co do czego służy, i pojął to.

– Kto mówi? – wypalił wreszcie eter. Brzmiał w nim grzechot jakichś mechanizmów.

– Nieważne! Proszę odpowiedzieć na pytanie: czy cyberkierowca jest zaprogramowany na koranę?

– Nie... To znaczy...

Głos utonął w zakłóceniach. Powinien utonąć, Silin spodziewał się tego. Przeraziła go beztroska tych, którzy odpowiadali za bezpieczeństwo lotu. Horyzont ciemniał. Przysiadł, jak pod ciężarem, i nagle z prędkością atomowej eksplozji wzdął się żółto-czarnymi kłębam.

– Przechodzę na ręczne sterowanie! – wykrzyknął Silin.

– ...czeka! – zachrypiało w odpowiedzi. – Przekazuję mik.. k... nie...nie...

Silin wyłączył nieprzydatną już łączność. Wszystko wróciło na swoje miejsca. Znow był sam, znow na Marsie, w jego rękach spoczywało koło sterowe, znow, jak w młodości, stanął do walki z koraną.

Przelotnie zerknął na ekran podglądu kabiny. Twarze raczej zdziwione niż wystraszone – coś znaczy przyzwyczajenie do bezpieczeństwa! Ochryple pomrukuje głośnik, nie da się niczego zrozumieć. Ale pasy zapięli wszyscy.

Maszyna uniosła się niczym winda, i od razu zapomniał o pasażerach. Przeszyty błyskawicami wał korany strzelał w górę i w dół czarnymi strumieniami, i tam, gdzie strumienie stykały się z ziemią, grunt pruł się niczym sparciała tkanina.

Silin skierował maszynę nosem w stronę korany, lekko rzucił nią w dół, do góry, w bok. Nie, nie stracił refleksu. Każda komórka jego ciała pamiętała koranę, wiedziała, co i jak należy robić. Maszyna poddawała się bezwzględnie. Był dla niej niesprawiedliwy – mocna, zwrotna – stare łażiki nie mogłyby się z nią równać. Z taką maszyną jeszcze popatrzymy, kto kogo...

Błękitny od drgających błyskawic szpon korany szarpnął gruntem. Przednią szybę pojazdu ogarnął płynny ogień. Maszyną rzuciło w korkociąg, lecz Silin zdołał ją utrzymać, by poderwać w górę, w górę, w samo centrum kłębiącego się wybuchu, gdzie, jak wiedział, było najbezpieczniej.

„Byle tylko nie zmiażdżyło nas pierwszym uderzeniem!” – przemknęła myśl, a potem już nawet myśli nie zostały, gdyż maszyna ześlizgnęła się do piekła.

Maszyna widowiskowa, wbudowana w korpus aerolotu, miała jasno określony program. Z początku z pomocą hipnopola powinna przekonać turystów o realności korany, a następnie przez głośnik w salonie szybko zażegnać niepokój informacją, że to tylko „marzenia na

jawie”, historyczno-mirażowy spektakl, jedna z atrakcji wycieczki. Postępu Silina jej program nie przewidywał, i maszyna nań nie reagowała.

A ludzie, usłyszawszy nagle w eterze głos Silina, nie od razu doszli do siebie.

Ale nawet wtedy, gdy zorientowali się, o co chodzi, nie wiedzieli, na co się zdecydować. Nikt spośród nich nie podejrzewał wcześniej, że turysta Silin jest tym samym człowiekiem, który kiedyś zdobywał dla ludzkości Marsa. I teraz wszyscy zadawali sobie jedno i to samo pytanie; czy prawda zabije go czy nie zabije?

Przełożył Paweł Laudański

O autorze

Dymitr Bilenkin (1933-1987) rosyjski pisarz SF, z zawodu geolog, razem ze Strugackimi i Bułyczowem należał do Wielkiej Trójki rosyjskich fantastów. Specjalizował się w opowiadaniach, niektóre z nich rozrosły się w cykle, jak ten o przygodach Połynowa, który rozwiązuje najtrudniejsze zagadki galaktyki. Należą do niego takie utwory jak „Desant na Merkurego” i „Kosmiczny bóg”. Był też jednym ze współautorów spółki literackiej publikującej pod nazwiskiem Paweł Bagriak (w Polsce *Komisarz Hard i błękitni ludzie*, Iskry). Do spółki oprócz Bilenkina wchodzili: Walerij Agranowski, Jarosław Gołowanow, Władimir Gubariew, Wiktor Komarow oraz rysownik Paweł Bunin.

W Polsce opublikowano w prasie, fanzinach i antologiach około 50 opowiadań Bilenkina, ale dzisiaj jest on już zapomnianym autorem. A szkoda.

ANDREW WEINER

Nowy człowiek

Opowiadania Weinera są zawsze ciekawe. Może dlatego, że nie zajmuje się pisarstwem zawodowo. W „Nowym człowieku” mamy ciekawą interpretację inwazji na Ziemię. Przez niektórych, a raczej niektóre, jest ona całkowicie do przyjęcia.

Nowy człowiek

Doktor Segal lekko zmarszczył brwi odpinając aparat do mierzenia ciśnienia.

– Coś nie tak? – spytał Lyman.

– Nie – odpowiedział lekarz. – Tak naprawdę jest prawie dobrze. Dół normy. – W jego głosie zakłopotanie walczyło z entuzjazmem. – Nadal musi pan na nie uważać. Ale z pewnością wygląda lepiej.

– To wspaniale – stwierdził Lyman.

Doktor zerknął do swoich notatek. Dokładnie tak, jak pamiętał: ciśnienie krwi Stephena Lymana systematycznie rosło przez kilka ostatnich lat. Jeszcze trzy miesiące temu było dużo powyżej normy. Znając historię choroby pacjenta, rodzinną skłonność do nadciśnienia, gwałtowny charakter i nerwową pracę, doktor Segal spodziewał się, że w niedalekiej przyszłości wystawi mu skierowanie do szpitala.

A teraz ta zaskakująca poprawa.

– Czy pan ćwiczy? – spytał Lymana.

– Nie. Raczej nie.

– Pracuje pan w tym samym miejscu?

– O tak. Ale się nie przemęczam. Powiedziałem sobie: OK, jestem zastępcą prezesa. Nigdy nie będę prezesem ani tej, ani żadnej innej firmy. I teraz, jak o tym myślę, nawet nie chcę być prezesem. Kto by chciał zwałac sobie na głowę coś takiego? Ostatnio więc nie biorę już pracy do domu. Mniej wyjeżdżam. I spędzam więcej czasu z rodziną.

– To wspaniale.

– Początkowo były trochę zszokowane, miały mnie tyle czasu. Nie bardzo wiedziały, jak się zachować. Ale polubiły to.

– A co z panem? – spytał dr Segal. – Jak pan się czuje?

– Cudownie. Jak nowy człowiek

Na ekranie monitora barczysty mężczyzna w niedopasowanym, ciemnoniebieskim garniturze wysiadał ze swojego samochodu, szarej impali rocznik 1992. Sięgnął na tylne siedzenie i wyjął zniszczony, czarny neseser. Zamknął samochód i niosąc teczkę poszedł do wejścia niskiego biurowca.

– Co on tam ma? – spytał inspektor Friedman, przyglądając się walizeczce. – Nerki?

– Wątroby – odpowiedział detektyw McAllison. – Pół tuzina świeżych wątróbek.

– Ile jest teraz warta wątroba?

– W detalu? Trzysta, czterysta tysięcy. Ale Linden mu tyle nie płaci. Najwyżej trzydzieści kawałków.

Po chwili obraz zmienił się. Teraz ekran pokazywał wnętrze biura Lindena. Pośrednik oglądał narządy.

– Ohyda – stwierdził McAllison. Nie wiadomo było, czy ma na myśli Lindena, jego dostawcę czy wątroby.

Linden wyglądał na zadowolonego z towaru. Szeroki uśmiech wypłynął na jego pyzată twarz. Wyciągnął z biurka grubą kopertę i popchnął ją w stronę drugiego mężczyzny.

– Co z tym teraz zrobi? – spytał Friedman.

– Z tą partią? Wywiezie za granicę. – McAllison popatrzył na zegarek. – Kurier jest w drodze na lotnisko. Uprzedzeni celnicy już czekają.

– A co z Lindenem?

– Zwijamy go, jak tylko otrzymamy zgodę.

– Dobrze – powiedział Friedman. Męczyła go ta sprawa, chciał ją jak najszybciej skończyć. Było w niej coś wstrętnego.

Na monitorze muskularny mężczyzna wychodził z pokoju. Friedman sięgnął po pilota i zatrzymał taśmę.

– A co z nim?

– Też zamierzamy go zgarnąć. Pojechaliśmy za nim do jego mieszkania. Wieżowiec w śródmieściu, trzy pokoje wynajęte na nazwisko Mike Kinnock. Nie notowany. Dowiemy się czegoś, kiedy go przymkniemy.

– Jak myślisz, skąd je bierze?

– Organy? Na pewno nie od dobrowolnych dawców. Nerki można jeszcze kupić, jeśli znajdzie się wystarczająco głodnego i głupiego dawcę. Ale nie da się żyć bez wątroby.

– Myślisz, że ich morduje?

– Lub kupuje od ludzi, którzy to robią. Nie widzę innych możliwości.

– Tak, Pete – powiedziała do słuchawki Doris Quince. – W porządku, Pete.

Sheilah Lyman siedziała po drugiej stronie stołu, starając się nie okazać, że słucha.

– Rozumiem, że musisz iść na kolację z tymi ludźmi – mówiła Doris – ale nie lic, że Johnny to zrozumie... Tak, wiem, że to przyjęcie dla rodziców i dzieci, a nie dla ojców i dzieci. Pamiętasz, w zeszłym roku też ja go zabrałam... Dobrze, Pete, wytłumaczę mu. Muszę już kończyć.

Doris rzuciła słuchawkę i odwróciła się w fotelu w stronę Sheilah.

– Dupek – powiedziała dosadnie.

– Znowu wykręcił ci numer?

– Znowu wykręcił mi numer. Miałam zamiar posiedzieć dziś do późna i trochę podgonić robotę – skinęła głową w kierunku stosu papierów na biurku. – Tymczasem muszę zawieźć Johnny’ego na przyjęcie skautów, jeść tłustego, smażonego kurczaka i oglądać pokazy yo-yo.

– Co?

– Przecież mówię, pokazy yo-yo. W wykonaniu zeszłorocznego, regionalnego mistrza yo-yo.

– Pete jest ci winien jeden wolny wieczór.

– Tak naprawdę to już kilkaset. Ale kto to policzy? – prychnęła Doris. – Powiedziałam mu, że rozumiem, iż musi się spotkać w sprawie nowego kontraktu z tymi ludźmi z Japonii. Ale tak naprawdę to nie pojmuję. Już nie. Zupełnie jakby poza nim nie istniał na świecie nikt inny zdolny załatwić tę sprawę. Jakby on był jedynym człowiekiem, który ma ważną pracę. A w końcu kimże jest? Wiceprezesem fabryki płatków śniadaniowych. Gdyby choć od jego decyzji zależało ludzkie życie albo bezpieczeństwo państwa. A on po prostu... produkuje płatki.

– Płatki są smaczne – powiedziała Sheilah. – Płatki są ważne.

– No i zarabia sto kawałków rocznie. Co z tego? Sama wyciągam prawie tyle.

– Naprawdę? – Sheilah uważnie spojrzała na swą przyjaciółkę i koleżankę z pracy. Jako szefowa działu kadr Doris powinna zarabiać więcej niż ona, zwykła kierowniczką. Ale żeby aż tyle? – Nie miałam pojęcia.

– Oczywiście, jeśli włączymy w to ryczałt za samochód i dywidendy z akcji – dodała szybko Doris.

– Oczywiście.

– Przepraszam, Sheilah. Nie powinnam była się tak zachowywać. Ale on czasami doprowadza mnie do szaleństwa. Na czym skończyłyśmy?

– Wydaje mi się, że już skończyłyśmy. Zdecydowałyśmy się powierzyć sprawę bilansu Aramson Associates. Nie są najtańsi, ale sprawdzili się w zeszłym roku.

– Jasne – zgodziła się Doris. – Dłaczegóż by nie. Dajmy zarobić Neilowi Aramsonowi. Odwała dobrą robotę.

– I robi ładne wykresy – dodała Sheilah. – W czterech kolorach.

– Poza tym – przerwała jej Doris – ma ładny tyłek

– Naprawdę? Nie zauważyłam.

– Wspaniały. Wiesz, że zaprosił mnie na kolację? Kilka tygodni temu, kiedy wspomniałam mu o wyjeździe Pete’a. Nawet mogłam wyjść, bo akurat był dzień dyżuru Juanity przy Johnnym. Poza tym miałam ochotę. Chciał mnie zabrać do tej nowej tajskiej restauracji, Adele twierdzi, że jest absolutnie rewelacyjna.

– Miałaś ochotę na jedzenie czy na Neila Aramsona?

– Chyba bardziej na jedzenie – popatrzyła na nią z ukosa. – Kogo teraz pociąga seks?

– Może powinnaś wybrać się tam z Pete’em?

– Żeby wystawił mnie do wiatru dla kolejnego handlarza zbożem? Nie planuję już żadnych wypraw z Peteem, nigdy więcej! Dobrze wiesz, jaki on jest.

Doris zapaliła papierosa, zaciągnęła się i zakasłała.

– Muszę rzucić palenie – ponownie zaciągnęła się dymem.

– Steve rzucił – zauważyła Sheilah.

– Naprawdę? Żartujesz. Nigdy go nie widziałam bez papierosa w ręku. Myślałam, że się z nim urodził. Jak on to zrobił? Akupunktura? Lasery?

– Po prostu przestał. Wyjechał w podróż służbową, a kiedy wrócił, już nie palił. Tak po prostu. Powiedział, że już nie ma ochoty na palenie.

– Nie cierpię ludzi, którzy to robią – rozżłościła się Doris. Zgasiła papierosa. – Pewnie przytył ze dwadzieścia kilo?

– Nie. Ostatnio nawet nieco stracił na wadze.

– Ale jest wściekły.

– Nie. Ma doskonały humor.

– Zaraz, chwileczkę. Steve nigdy nie miał dobrego humoru.

– Och, czasami miewał – zaśmiała się Sheilah. – Ale wiem, o co ci chodzi. Rzecz w tym, że on się zmienił. Nie wybucha już z byle powodu jak kiedyś. Przestał harować jak opętany. Spędza mniej czasu w biurze, a więcej ze mną i Angie. Pracuje w ogródku. Zawsze uśmiecha się do dzieciaków z sąsiedztwa, nawet jeśli podepczą mu róże...

– Przestań. Nie mogę już tego słuchać. Ktoś zamienił twojego męża na telewizyjny ideał, a ty nawet tego nie zauważyłaś.

– To naprawdę Steve. Ale inny. Ten, w którym się zakochałam. On wrócił. Wreszcie...

– Trudno uwierzyć. Sześć miesięcy temu chciałaś się wyprowadzić... – kiedy dowiedziałaś się o tej panience z biura, chciała dodać, ale ugryzła się w język.

– Tak – zgodziła się Sheilah. – Ale obiecał poprawę. I dotrzymał słowa.

Doris spojrzała na przyjaciółkę ze sceptyczną miną. Pomyślała o proszonym obiedzie u Hertzów, kilka miesięcy wcześniej. Steve osaczył ją w kącie biblioteki i zaczął obmacywać. Zanim go odepchnęła, zaproponował jej nockę w motelu na przedmieściach. Nockę, tak to nazwał.

– Czy ludzie naprawdę mogą się tak zmienić? – spytała.

– Steve się zmienił. Zupełnie jakby coś mu się przełączyło w głowie, jakby wreszcie przyjrzał się sobie i nie był zadowolony z tego, co zobaczył. Na przykład sprzedał BMW...

– I kupił mercedesa?

– Nie, jeepa. Chce zwiedzać okolice, zbudować dom na wsi i przeprowadzić się do niego, gdy Angie zacznie studiować w college'u. Planuje odejść na emeryturę po pięćdziesiątce i hodować storczyki.

– Ile lat ma Steve?

– Czterdzieści dwa.

– Męska menopauza. Prawdopodobnie to właśnie to. – Doris zapaliła papierosa. – Nie mogę się już doczekać.

– Fantastyczne – powiedział Friedman zaglądając do pojemnika ustawionego w pokoju Kinnocka. – Absolutnie fantastyczne. W odżywcę pływało pół tuzina małych, ludzkich serc. Każde wielkości paznokcia.

– Jesteś pewien? – spytał McAllisona. – Jesteś pewien, że nie są...

– Prawdziwe? Tak, jesteśmy pewni. Hoduje je. Spójrz – przeszli do następnego pojemnika. Pływały w nim serca rozmiaru ludzkiej pięści.

– Klonowanie – stwierdził Friedman. – Czy nie jest to niemożliwe?

– Jeśli chodzi o ludzkie tkanki, tak. Przy obecnym stanie wiedzy. Przynajmniej według większości naukowców.

– Widać ten facet wie coś, czego oni nie wiedzą. Niedobrze, że nie możemy go o to spytać.

– Mówiłem już, inspektorze. Nie rozumiemy, jak to się stało. W jednej chwili był tutaj, w następnej... puff.

Friedman potrząsnął głową z niesmakiem. Sześciu funkcjonariuszy dowodzonych przez McAllisona weszło do mieszkania. Teraz tych sześciu policjantów opowiada tę samą głupią historyjkę. Podejrzany jakoś zniknął. Rozpłynął się na ich oczach. Rozproszył. W każdym razie uciekł.

Dodatkowi policjanci obstawiali wszystkie wyjścia z budynku. Nikt nie widział wychodzącego Kinnocka.

– Przypuszczam, że jakoś was zahipnotyzował – stwierdził Friedman. – Nigdy nie słyszałem o czymś takim, ale jeśli potrafi klonować ludzkie organy, być może zahipnotyzowanie kilku gliniarzy nie jest dla niego problemem.

– W końcu mamy Lindena.

– Ten facet jest o niebo ważniejszy od Lindena.

Friedman kontynuował oględziny mieszkania.

Łazienka. Czystość, porządek. Wilgotne ręczniki. Żadnego mydła, kosmetyków, maszynki ani kremu do golenia.

Sypialnia. Bez łóżka czy materaca. Tylko kilka pojemników do hodowli. Stół z wysokimi stosami książek. Nie, albumów. Z ilustracjami przedstawiającymi graczy w baseball.

– Cholera. 1925, 1918. To chyba musiało kosztować majątek.

– Zajrzyj do szafy – powiedział McAllison. Friedman otworzył szafę. Trzy koszule, jedno spodnie, marynarka, płaszcz przeciwdeszczowy. I stosy starych komiksów opakowanych w plastikowe torebki.

– Co jeszcze zbiera?

– Płyty. Stare, na czterdzieści pięć obrotów. Są w kuchni, pod licznikiem.

– Dziwne. Nerki za komiksy.

– Może to lokata.

Friedman skierował się do następnej sypialni.

– Co tam jest?

– Więcej jego wyrobów. Kończyny.

– Kończyny?

– Ręce, nogi. Te rzeczy.

Friedman popchnął drzwi i wszedł do pokoju. McAllison cofnął się, jak gdyby nie chciał wejść.

Kolejne hodowlane pojemniki. Friedman podszedł do dużego akwarium, wypełnionego prawie gotowymi, ludzkimi ramionami i popatrzył do środka.

– Czy jest popyt na ręce?

– Widocznie tak.

Friedman popukał w szkło.

– Zbadaj je.

– Co?

– Zbadaj je. Sprawdź, do kogo należą.

– Należą?

– DNA. Hodowle tkanek. Cokolwiek Kinnock użył do hodowli tych rzeczy. Skąd je wziął? Od siebie? Od kogoś innego? Spróbuj pobrać odciski palców.

McAllison niechętnie popatrzył na pływające kończyny.

– Jeszcze jedno. Masz jakieś taśmy wideo z Kinnockiem?

– Powinniśmy mieć. Tak, zainstalowaliśmy w innym budynku kamerę filmującą przez okna. Żeby poznać odwiedzających go gości. Tylko że nikt go nie odwiedzał. Nikt nie wchodził przez drzwi.

– Weź kasetę. Może zobaczymy, w jaki sposób uciekł. Lub coś innego...

– Niby co?

– A skąd do cholery mam wiedzieć?

– Przykro mi, Pete – mówił Lyman. – Chciałbym pójść na ten mecz, ale obiecałem Angie, że ją zabiorę na wrotki.

– Wrotki? – Lyman słyszał przez telefon niedowierzenie w głosie Quince'a. – Musiałem stoczyć w robocie prawdziwą bitwę o bilety na dzisiejszą grę. Larry był tak wdzięczny, że ucałowałby mnie, gdybym mu tylko pozwolił.

– Naprawdę mi przykro, Pete, ale obiecałem.

– Angie zrozumie. To jest decydująca gra dla Jaysów. Boston ma tylko parę punktów przewagi.

– Nie, Pete. Nie przypuszczam, żeby ona zrozumiała.

– Skoro tak twierdzisz...

– Tak. Jestem pewien. Pozdrów ode mnie Larry'ego.

– Może wyskoczmy gdzieś w przyszłym tygodniu? Na kielicha albo coś w tym stylu. Jak kumple. Dawno się nie widzieliśmy.

– Być może – zgodził się Lyman.

Ale wątpił w to. Z jakiegoś powodu nie lubił już Petea Quince'a. I nie rozumiał, jak mógł go kiedykolwiek lubić.

Facet był nudny. Mówił tylko o pracy i sporcie, czasami rzucał żarcik na temat pieniędzy czy seksu. Nigdy nie czytał książek, z wyjątkiem powieści sensacyjnych kartkowanych w poczekalniach lotnisk. Zupełnie nie interesowała go sztuka, polityka, ogrodnictwo, gotowanie czy religia.

W gruncie rzeczy, pomyślał Steve, wolę spędzać więcej czasu z Angie. I Sheilah.

Myśl o Sheilah wywołała na jego twarzy smutny uśmiech. Był tak blisko zniszczenia tego wszystkiego... nawet po tym, jak dał jej słowo. To było jak przymus. Kochał Sheilah, zawsze ją kochał, ale nie wystarczała mu. Nigdy w życiu nic mu nie wystarczało. Zawsze chciał więcej: więcej pieniędzy, więcej władzy, więcej kobiet.

I nagle został uwolniony.

Zdarzyło się to podczas ostatniej podróży służbowej do Chicago. Zaczęła się jak zwykle: flirtowanie z najprzystojniejszą stewardesą, walka z klientem o każdego dolara, koktajl z facetami z firmy, ponowna walka z klientem przy kolacji. I wreszcie dziewczyny z agencji towarzyskiej, które przyjechały na noc.

Nie było to powszechne, ale znowu nic aż tak niezwykłego. Klient daje do zrozumienia, czego wymaga, a potem płaci. W różny sposób. W czym więc problem?

Ta, która przypadła Steve'owi, była bardzo atrakcyjna: rude włosy, duże piersi, długie nogi, prawdopodobnie nie przekroczyła jeszcze dwudziestki. Na imię miała Mary, Marie, a może Louise. Tańczyli w klubie i było naprawdę świetnie. Nawet nie pomyślał o Sheilah, ani o Angie, ani nawet o tym, że po powrocie do domu będzie musiał kłamać! Potem zabrał ją do hotelu, wypili następnego drinka, a potem...

Nagle poczuł, jakby w jego głowie zapaliła się żarówka, zupełnie jak w kreskówkach. I zrozumiał, w końcu zrozumiał wszystko. Jak niszczy swoje życie i co ma zrobić, żeby je naprawić. Najpierw poprosił dziewczynę, żeby wyszła.

Ale to był dopiero początek.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił do miejscowej kwiaciarni.

– Chciałbym wysłać żonie tuzin róż – podał adres. – Podpis: „Kocham. Steve”.

– Czy dołączyć kartę urodzinową? Rocznicową?

– Nie. Bez okazji.

Na ekranie muskularny mężczyzna sprawdzał wskaźnik na jednym z pojemników. Oderwał się od pracy, kiedy do mieszkania wszedł McAllison na czele grupy umundurowanych policjantów. Mężczyzna cofnął się o krok, nieco obrócił i... zniknął.

– Cholera – powiedział Friedman. – Jak on to zrobił?

– Może stał się niewidzialny? – podrzucił McAllison.

– To niemożliwe.

– Skoro pan tak mówi.

– Co jeszcze macie?

– Cztery godziny nagrania z okresu przed nalotem. Jeszcze nie przejrzelśmy kasety, ale nie zapowiada się zbyt ciekawie. Kinnock chodzi tam i z powrotem.

– Puść ją. Od początku, na szybkim podglądzie.

Friedman siedział z oczami utkwionymi w ekran, podczas gdy Kinnock pojawiał się i zniknął w kadrze. Otworzył drzwi od łazienki, pochylił się nad wanną. Wrócił do pokoju zdejmując ubranie.

– Zatrzymaj – powiedział Friedman. – Właśnie tutaj.

McAllison zatrzymał taśmę.

– O Jezu – jęknął.

Nagie ciało Kinnocka było różowe i całkowicie pozbawione owłosienia. I nie miało żadnych widocznych narządów płciowych.

– Myślisz, że jest kobietą? – spytał McAllison.

– Puść. Normalna prędkość.

Patrzyli, jak Kinnock składa ubranie na leżance. Potem sięgnął do gardła i rozpiął swoje ciało.

– O Jezu – ponownie jęknął McAllison.

Coś żółtego, o dłoniach i stopach zakończonych pazurami, wypełzało z otwartej klatki piersiowej Kinnocka.

– To jakaś cholerna jaszczurka – odezwał się McAllison.

Widzieli, jak jaszczuropolodoby stwór skacze na podłogę i chwiejąc się na czterech kończynach wędruje do łazienki, gdzie zniknął w wannie.

– To kosmita – powiedział Friedman. – Cholerny kosmita.

Stephen Lyman oparł głowę na rękach. Jego dłonie spoczywały na powyginanym, metalowym stole w policyjnym pokoju przesłuchań.

– Czy ktoś mi powie – spytał po raz kolejny – o co do cholery chodzi?

Nie oczekiwał odpowiedzi. Nie spodziewasz się odpowiedzi w sennych koszmarach. A to właśnie było to: koszmar.

Dopiero co wszystko szło znakomicie. Był z Angie na torze wrotkarskim, przyglądał się, jak jeździ w kółko, z radością słuchał jej śmiechu. Wyszedł do barku kupić prażoną kukurydzę. Wtedy go aresztowali.

Tak naprawdę to go nie aresztowali. Zabrali go z toru do samochodu, potem na posterunek, ale nie chcieli od niego nic więcej.

Nie pozwolili mu zadzwonić.

– Ale przecież mam do tego prawo, tak? – spytał.

– Normalnie tak – powiedział policjant o nazwisku Friedman, jeden z tych, którzy zadawali mu najwięcej pytań. – Ale nie w tym przypadku – wyglądał na zakłopotanego.

– Muszę zawiadomić żonę.

– Została już poinformowana. Kiedy odwieźliśmy pańską córkę do domu.

– O czym?

– Że pomaga nam pan w dochodzeniu.

– Jakim dochodzeniu?

– Sprawy wagi państwowej – Friedman machnął ręką.

– Myślicie, że jestem szpiegiem?

– Nie. Wcale tak nie uważamy.

Mężczyzna, siedzący po drugiej stronie obok Friedmana, wysoki, krótko ostrzyżony facet, którego przedstawiono jako agenta Jonesa, lekko się skrzywił. Jakby pomyślał, że Friedman wdaje się w nieistotne szczegóły.

– Chcę wezwać mojego adwokata.

– Przykro mi, ale może później.

Nie wyglądało to jak w kryminałach. Tam zawsze mogłeś zadzwonić. I nie poddawali cię pełnym badaniom medycznym, włączając w to analizę krwi, pełne prześwietlenie ciała i zębów. Bez wyjaśnień. W kryminałach zawsze się tłumaczą. Kolejny powód, dla którego musiał to być koszmarny sen.

– Powiecie mi, o co chodzi, czy nie? – spytał unosząc głowę. – Nie, nigdy mi nie powiecie.

Do pokoju przesłuchań wszedł człowiek w białym kitlu i podając Friedmanowi dokumenty, nachylił się i wyszeptał coś do ucha policjanta. Friedman skinął głową. Pochylił się i szepnął coś agentowi Jonesowi. Po czym zwrócił się w stronę Lymana.

– Jeszcze jeden raz, panie Lyman. Nie poznaje pan tego człowieka? – wyciągnął zdjęcie pulchnego, łysego mężczyzny.

– Nie. Już wam mówiłem, nie.

– A tego?

Muskularny mężczyzna o dziwnie martwej twarzy.

– Nie.

– A co pan powie o tym?

Nowa fotografia. Niewyraźny obraz. Coś wyglądające jak wielka jaszczurka, pełznąca po dywanie.

– Widział pan kiedyś coś takiego? – spytał Friedman.

– Nie – potrząsnął głową. – Nie, nigdy nie widziałem czegoś takiego.

– A co pan powie o tym?

Zbliżenie czegoś w rodzaju akwarium. Tyle że wewnątrz nie pływały ryby. To były ludzkie ręce. Ze wstrętem upuścił zdjęcie.

– Co to jest? Co to jest, do diabła?

– Ludzkie ręce – odparł agent Jones – klonowane do sprzedaży na czarnym rynku.

– A co to ma wspólnego ze mną?

– Wszystko – powiedział Jones. – Wszystkie te ręce są klonowane z jednej próbki tkanki. DNA jest identyczne, tak samo odciski palców.

– I?

– Dzięki temu pana znaleźliśmy, panie Lyman. Przez odciski palców. Szczęśliwie mamy w aktach pański komplet. Buntownicza przeszłość, nieprawdaż? – zajrzał do notesu. – Chicago, 1968.

– Chwileczkę – powiedział Lyman. – Te ręce mają moje odciski palców? Jak to możliwe?

– Mamy nadzieję, że pan nam to powie.

– Ktoś musiał ukraść, jak wy to nazwaliście, próbkę tkanki.

– Nie, panie Lyman – odezwał się Friedman potrząsając głową. – Na początku tak myśleliśmy. Ale wygląda na to, że jest to nieco bardziej skomplikowane.

– Nie wierzę w to – powiedziała Sheilah Lyman. – I nigdy nie uwierzę.

– Ale fakty... – zaczął Friedman.

– Że ma niższy poziom cholesterolu? I co z tego? To żaden dowód.

– Tu nie chodzi tylko o cholesterol. I o zmianę ciśnienia krwi czy EKG. Choć już te dane są bardzo znaczące. Miał złamaną lewą nogę w kostce, ślad złamania zniknął...

– Zaleczył się, i co z tego?

– A zniknięcie starej blizny po operacji wyrostka...

– Nigdy nie była wyraźna.

– A to, że odrosły mu dwa wyrwane zęby w górnej szczęce?

– Nie wierzę w to – powtórzyła. – Znam mojego własnego męża. Angie zna swojego ojca. Nigdy nie przekonacie nas... – jej głos załamał się lekko.

– Że człowiek, który żyje z panią od kilku miesięcy, jest oszustem? Rozumiem, że trudno w to uwierzyć. Ale sama pani powiedziała, że ostatnio się zmienił. Stał się miłszy, delikatniejszy.

– Ludzie się zmieniają. Całe życie. To nie oznacza, że zostają zastąpieni przez kosmitów.

– Nie przez kosmitów, pani Lyman. Przez klon. Klon zaprogramowany tak, aby myśleć i zachowywać się jak prawdziwy Stephen Lyman.

– Niedokładnie jak on – wtrąciła Sheilah. – Jeśli to, co pan mówi, jest prawdą.

– Niedokładnie jak on – zgodził się Friedman. – Prawdopodobnie podczas kopiowania wkradł się jakiś błąd. Ale prawie tak samo. Zabrali pani męża i podstawili znakomitą kopię.

– Po co ktokolwiek mógłby potrzebować mojego męża?

– Nie wiemy. I prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy. Kto zgadnie, jak myślą kosmici?

– Co zamierzacie z nim zrobić?

– Z nim?

– Ze Stephenem.

– Tym naszym? Nie wiemy. Z pewnością nie wie nic, co mogłoby być dla nas użyteczne. Zbadaliśmy go kilkakrotnie na wykrywaczu kłamstw i za pomocą środków farmakologicznych. Nie kłamie, jest święcie przekonany, że jest Lymanem.

– Więc go wypuście?

– Przypuszczam, że w końcu tak. Nie możemy go o nic oskarżyć, chyba że chodziłoby o podszywanie się. Ale trudno byłoby tu udowodnić świadome działanie.

– Chcę go z powrotem.

– Słucham?

– Powiedziałam, że chcę go z powrotem.

– Ale on jest oszustem, pani Lyman. Kopia.

– Nie dbam o to. Nie obchodzi mnie, że nie jest moim prawdziwym mężem. Chcę go z powrotem.

Cicho zadzwonił dzwonek. Lyman skrzywił się i nakrył poduszką bolącą głowę. Ostatniej nocy wypił za dużo whisky Glenlivet. Bóg raczy wiedzieć, ile kosztowało go to punktów... Dzwonek odezwał się ponownie, tym razem głośniejsze.

– Wstań i umyj się, Stephen – powiedziała ściana. – Czas na rozmowy.

Lyman jęknął.

– Lepiej się rusz.

Lyman zwłóknął się z łóżka i poszedł do łazienki. Ochlapał wodą twarz, umył zęby.

– Czekamy.

Wrócił do sypialni i sięgnął po szlafrok. Ubierze się później albo wcale nie będzie zwracać sobie tym głowy. Jego gospodarze nie przywiązywali wagi do ubioru.

– Na obiad padlina i kieliszek wina – przypomniała ściana. – Z pieczonymi ziemniakami i kwaśną śmietaną, i *crème brûlée* na deser. Jeśli wyrobisz odpowiednią liczbę punktów. Znow jedziesz na deficycie.

Jak się orientował – a nie było z tym najlepiej – jego gospodarze nie praktykowali systemu ekonomicznego zwanego kapitalizmem. Z wyjątkiem jego osoby. Na nim praktykowali go przez cały czas.

– W przeciwnym wypadku – mówiła ściana – będzie brązowy ryż z jarzynami.

Założył kapelusz na głowę i pchnął drzwi wyjściowe willi. Stał oślepiiony przez ostre światło słoneczne. Pogrzebał w kieszeni szlafroka i wyjął ciemne okulary, po czym ruszył w kierunku basenu, podskakując dzięki zmniejszonej grawitacji. Czasami bawiło go to uczucie lekkości. Kiedy miał kiepski dzień, jak na przykład dzisiaj, sprawiało, że chciało mu się rzygać.

W basenie konwersacyjnym było ich koło tuzina, pływali w błotnistej, zielonej wodzie lub leniwie wylegiwali się na skałach. Lyman przeszedł przez mostek i zajął swoje miejsce wyznaczone na czas rozmów, na małej wyspie pośrodku basenu. Zanurzył stopy w letniej wodzie.

– Ja zacznę – powiedziało tłustawe, jaszczurkopodobne stworzenie, nazywające siebie Freddy.

Zwykle w rozmowach z nim używali prostych amerykańskich imion. Lyman nie był pewien, czy postępowali tak dlatego, że ich prawdziwe imiona były nie do wymówienia, czy dlatego, że w ogóle ich nie mieli.

– Porozmawiajmy o baseballu – powiedział Freddy. – Kto, twoim zdaniem, jest lepszym rozgrywającym? Carl Ripken czy Tony Fernandez?

Jaki łatwy początek. Łatwe dwieście punktów.

– Fernandez – odpowiedział – bez dyskusji. To znaczy, Ripken jest dobry, jasne. Ale nie ma naturalnego talentu, nie jest odpowiednio zbudowany. I nawet jeśli mówimy o uderzeniach, stawiam na Fernandesa przez cały sezon...

Wszystko, co musisz zrobić, mówił sobie Lyman, to naprawdę zabrać się do roboty. Wyduś z tego jak najwięcej punktów i wepchnij je na konto. Zapomnij o steku i czerwonym winie, wyznacz sobie ważniejszy cel. Na przykład: kontakt z innymi ludźmi, pięć tysięcy punktów.

– Pomówmy o Rogues Gallery – odezwał się żółty jaszczurkopodobny stwór, nazywający siebie Barney.

– Słucham?

– Rogues Gallery Flasha – powiedział Barney. – Kto jest twoim ulubieńcem wśród licznych wrogów Flasha?

„Uzasadnij swą odpowiedź”. Obcy nie musiał nawet tego mówić, sugerował to ton jego głosu. Zawsze uzasadniaj odpowiedź.

Cholera, pomyślał Lyman, przypominając sobie o stosie komiksów na nocnej szafce. Zapomniałem o przydzielonych lekturach.

Właściwie to nie zapomniał. Po prostu nie mógł zmusić się, aby je przeczytać.

– Hmm, mój ulubiony łotr. Pozwólcie mi chwilkę pomyśleć. Było ich tak wielu.

– Oczywiście – zgodził się Barney. – Tylu wspaniałych przestępców. Mirror Master, Trickster, Gorilla Grodd, Weather Wizard...

– To ten typ – powiedział Lyman. – Weather Wizard. Facet, który potrafił wywoływać kolorowy śnieg. Był naprawdę dobry.

– Wyjątkowo dobry – przytaknął Barney wystawiając ogon w stronę słońca.

– Ale Captain Cold był lepszy – odezwał się purpurowy stwór nazywany Marlon.

– Nie, nie – wtrącił się Freddy. – Weather Wizard potrafił wszystko to, co Captain Cold i jeszcze więcej...

Kontakt z innym człowiekiem, myślał Lyman przysłuchując się dyskusji kosmitów. Tego potrzebuję. Inaczej dostanę świra, siedząc całe dnie i kłapiąc dziobem w gronie jaszczurek.

Na planecie byli inni ludzie, powiedzieli mu o tym jego gospodarze. Tylko garstka, jak na razie. Jak się orientował, posiadanie własnego człowieka do pogawędek stanowiło rodzaj symbolu zajmowanej pozycji. Niektórzy kosmici czuli się usatysfakcjonowani posiadaniem klonów. Ale jego gospodarze uważali, że nie ma to jak kontakt z prawdziwym człowiekiem.

– Ja interesuję się starymi serialami telewizyjnymi – odezwał się kosmita zwany Timmy.

– Najlepsi byli „Obrońcy” – powiedział Lyman. – Na samo wspomnienie wciąż dostaję gęziej skórki.

Pięć tysięcy punktów. To nie tak wiele, żeby zobaczyć innego człowieka. Być może będzie to kobieta... Ale myśli o kobietach wywołały w nim nieprzyjemne uczucie. Wciąż pamiętał straszną, ostatnią noc na Ziemi, kiedy wrócił do hotelu z tą dziewczyną z agencji towarzyskiej, Laurą czy Larą, czy jak jej tam było na imię. Przygotowali łóżko i rozpiął jej sukienkę. Nie nosiła stanika. Wtedy zauważył, że jej piersi są jakieś dziwne. Nie miały sutek.

I kiedy wciąż się przyglądał jej piersiom, dziewczyna sięgnęła do szyi i rozpięła skórę.

– Co się stało z P.F. Sloanem? – spytał Norman.

– Dobrze pytanie – odparł Lyman. – Myślę, że się wycofał. Ale czy piosenka „Eve of Destruction” nie była wspaniała?

– Najlepsza była „Take Me for What I’m Worth” – powiedział Timmy. – Nagrana przez Searches w 1966 roku.

– „Halloween Mary” – wtrącił Freddy – własne nagranie w 1966.

– W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym – poprawił Marlon.

Nie, zdecydował Lyman, na chwilę zapomnijmy o seksie. I tak wpędził go już w dostatecznie wielkie kłopoty.

Wszystko, czego pragnął, to zwykła rozmowa z innym, normalnym facetem, takim jak on sam. Proste spotkanie, parę drinków, męskie dialogi przy kominku.

Problem w tym, że nie potrafił wyobrazić sobie tematu tej rozmowy.

– Jest pan pewien, że nie będzie bolało? – spytała Doris Quince.

– To zupełnie bezbolesne – odpowiedział przystojny młody człowiek, siedzący na jej kanapie.

– I będzie mu... dobrze?

– O tak. Zapewnimy mu wszystkie możliwe wygody.

Doris podjęła decyzję. Czy raczej potwierdziła decyzję, którą podjęła wcześniej. Jak słusznie stwierdziła Sheilah, istnieją propozycje, których po prostu nie można odrzucić.

– Odlatuje jutro o siódmej rano – powiedziała. – Zatrzyma się w hotelu Hyatt, na przedmieściach. Jeśli nie będzie w towarzystwie ludzi z agencji, najprawdopodobniej znajdzie go pan w barze.

Młody człowiek skinął głową.

– Nie będzie pani żałować – wstał z kanapy.

– To wszystko? – Doris wychyliła się z fotela. – Tylko tyle?

– Tak, to wszystko. Kiedy pani mąż wróci do domu, będzie nowym człowiekiem.

Doris opadła w głąb fotela i wygodnie oparła się o poduszki.

– Nie mogę się już doczekać.

Przełożył Paweł Ziemkiewicz

O autorze

Andrew Weiner (ur. 1949) Urodził się w Londynie, ale mieszka w Toronto i ma obywatelstwo kanadyjskie.

Debiutował młodo, ale od razu w prestiżowej antologii *Again, Dangerous Visions* (1972) Harlana Ellisona, a to o czymś świadczy, bo Ellison nie wpuszczał na swoje łamy wielu bardziej uznanych pisarzy.

Pisarstwo jest jego hobby, najwięcej opowiadań opublikował w latach 80, do dzisiaj ma ich na koncie około czterdziestu. Wiele ukazało się w zbiorze *Distant Signal and Other Stories* z 1989 roku. Opowiadanie tytułowe oraz „Going Native” stały się kanwą scenariusza epizodów serialu „Tales from the Darkside”.

Jedyna jak dotąd jego powieść to *Station Gehenna* (1987).

R. A. LAFFERTY

Dziewięćset prababek

Każdy z nas może zrobić takie doświadczenie: obejrzeć się w myśli za siebie i przypomnieć sobie swoich przodków. Babcię i dziadków pamiętamy, prababcie może widzieliśmy w dzieciństwie, ale już pamiętamy je niewyraźnie. Może z wyblakłych zdjęć. Dawniejszych przodków możemy znać z opowieści, zwłaszcza jeżeli pochodzimy z rodziny szlacheckiej albo dawnej mieszczańskiej. Im głębiej w przeszłość, tym mniejszy mamy z nimi kontakt psychiczny. Niezawodny Lafferty zrobił z tego opowiadanie science fiction.

Dziewięćset prababek

Dobromir Ceran był obiecującym młodym funkcjonariuszem Służby Szczególnego Aspektu, ale jak wszyscy funkcjonariusze tej służby miał jedno denerwujące przyzwyczajenie. Stale zadawał pytanie: Co było na początku?

Wszyscy poza nim mieli imiona zdradzające twardzieli: Crag Ludołamacz, Hucke Wycisk, Berg Grzmot, George Krwiak, Manion Flisak (kiedy Flisak mówi, żeby sływać, to człowiek sływa), Trent Poruta. Oczekiwano od nich twardości, toteż wstępując do służby przybrali sobie nowe, odpowiednie imiona. Tylko Dobromir zachował cywilne imię, ku niezadowoleniu swojego dowódcy, Ludołamacza.

– Jak można zostać bohaterem nazywając się Dobromir! – grzmiał Ludołamacz. – Dlaczego nie Shannon Sztorm? To jest niezłe. Albo Grom Barrelhouse, albo Nevel Majcher? Nawet nie spojrzalesz na spis zalecanych imion.

– Pozostanę przy swoim – odpowiadał zawsze Dobromir i tutaj popełniał błąd. Nowe imię czasami ujawnia w człowieku nową osobowość. Tak było z George'em Krwiakiem. Wprawdzie jego owłosiona pierś była rezultatem przeszczepu, ale w połączeniu z nowym imieniem zrobiło to z niego mężczyznę. Gdyby Dobromir przybrał jakieś bohaterskie imię, to może stałby się zdolny do heroicznych czynów i męskich wybuchów gniewu, zamiast żalonych wahań i przelotnych dąsów.

Siedzieli na dużej asteroidzie o nazwie Proavitus. Niemal słyszało się brzęk potencjalnych zysków, jakie można było z niej wycisnąć. A twardzi mężczyźni z ekspedycji znali swój zawód. Podpisywali wielkie kontrakty na zwojach miejscowego, przypominającego aksamit łyka i na swoich własnych wydrukach komputerowych. Czarowali, nabierali i nieco zastraszały drobnych mieszkańców Proavitusa. Znaleźli tu poważny dwustronny rynek, na którego widok ciekła ślinka, i całą masę osobliwości kwalifikujących się do handlu antykami i artykułami luksusowymi.

– Każdy się tu obłowił prócz ciebie – huczał Ludołamacz po trzech dniach od lądowania. – Ale nawet faceci od Aspektu Szczególnego muszą coś z siebie dawać. Regulamin nakazuje nam brać jednego z waszych, żeby dodać sprawie aspekt kulturalny, chociaż nie musisz się do tego ograniczać. Jesteśmy tu po to, żeby wyciąć z wielkiej tłustej świni kawał szynki, nie robimy z tego tajemnicy. Ale jeżeli okaże się, że świński ogon jest zakręcony w sposób wysoce artystyczny, to tym lepiej. A jak się na dodatek okaże, że z tego zakrętasa wpadnie

nam parę groszy, to jesteśmy cali szczęśliwi. Czy dowiedziałeś się, na przykład, czegoś o tych ich żywych lalkach? Mogą mieć zarówno aspekt kulturalny, jak wartość rynkową.

– Te żywe lalki są chyba częścią czegoś znacznie głębszego – powiedział Dobromir. – Trzeba rozwikłać cały kompleks zagadnień. Kluczem może być twierdzenie miejscowych, że oni nie umierają.

– A ja myślę, że oni umierają i to młodo. Wszyscy, których spotykamy, są młodzi, a ci, którzy nie opuszczają domów, są zaledwie w wieku średnim.

– To gdzie są ich cmentarze?

– Pewnie palą swoich zmarłych.

– To gdzie trzymają urny?

– Może rozrzucają popioły albo spalają szczątki bez śladu. Może nie żywią żadnego szacunku dla swoich przodków.

– Inne dane wskazują, że cała ich kultura opiera się na przesadnym szacunku dla przodków.

– Ty to wyjaśnij. To zadanie w sam raz dla kogoś od szczególnych aspektów.

Dobromir rozmawiał z Nokomą, swoją miejscową odpowiedniczką i tłumaczką. Oboje byli profesjonalistami i rozumieli się w pół słowa. Nokoma prawdopodobnie była płci żeńskiej. U mieszkańców Proavitusa obie płcie odznaczały się pewną nieokreślonością, ale członkowie ekspedycji uważali, że już je potrafią rozróżnić.

– Czy nie masz nic przeciw temu, że zadam ci kilka bezpośrednich pytań? – spytał tego dnia Dobromir na powitanie.

– Jasne, że nie. Jak mam się nauczyć dobrze mówić, jeżeli nie będę rozmawiać?

– Niektórzy mieszkańcy Proavitusa twierdzą, że wy nie umieracie. Czy to prawda, Nokoma?

– Dlaczego nieprawda? Gdyby umierali, nie mogliby mówić, że nie umierają. To żart, to żart. Nie, my nie umieramy. To głupi cudzoziemski zwyczaj, którego nie mamy zamiaru naśladować. Na Proavitusie tylko zwierzęta umierają.

– A nikt z was nie umiera?

– Nie, a kto chciałby być wyjątkiem?

– No to co robicie, kiedy się starzejecie?

– Robimy coraz mniej. Następuje utrata energii. Czy u was jest inaczej?

– Tak samo. Ale dokąd w takim razie idziecie, kiedy jesteście już bardzo, bardzo starzy?

– Nigdzie nie idziemy. Zostajemy w domu. Podróże są dla młodych i tych w sile wieku.

– Spróbujmy z innego końca – powiedział Dobromir. – Gdzie są twoi ojciec i matka?

– Wszędzie po trochu. Oni nie są jeszcze starzy.

– A twoi dziadkowie i babki?

– Niektórzy z nich jeszcze wychodzą. Starsi siedzą w domu.

– Spróbujmy inaczej. Ile masz tych babek i prababek, Nokoma?

– Myślę, że mam w domu jakieś dziewięćset babek. Wiem, że to nie jest wiele, ale jesteśmy stosunkowo młodym odgałęzieniem rodziny. Są w naszym klanie rodziny mające w domu bardzo licznych przodków.

– I wszyscy ci przodkowie są żywi?

– Oczywiście. Po co trzymać nieżywych? Co to byłoby za przodkowie?

Dobromir zaczął podskakiwać z podniecenia.

– Czy mógłbym ich zobaczyć? – zawołał.

– Nie byłoby chyba dobrze, gdybyś zobaczył starszych – ostrzegła Nokoma. – To mogłoby być zbyt duże przeżycie dla kogoś obcego i dlatego wolimy tego unikać. Ale parę dziesiątek z nich możesz, rzecz jasna, zobaczyć.

Wtedy Dobromirowi przyszło do głowy, że jest, być może, na tropie czegoś, czego szukał przez całe życie. Wpadł w euforię oczekiwania.

– Nokoma, to może być klucz do wszystkiego! – zapał. – Jeżeli nikt z was nigdy nie umarł, to znaczy, że żyje cały wasz gatunek od samego początku!

– Jasne. Tak jak przy liczeniu owoców. Jak się żadnego nie odejmie, to się ma wszystkie.

– Ale jeżeli pierwsi przodkowie wciąż żyją, to powinni znać swoje pochodzenie! Powinni wiedzieć, jak się wszystko zaczęło! Czy oni wiedzą? Czy ty wiesz?

– O, nie. Jestem za młoda na Ceremonię.

– A czy ktoś wie?

– Jasne. Wszyscy starzy wiedzą, jak się to zaczęło.

– Jak starzy? Ile pokoleń starsi od ciebie są ci, którzy wiedzą?

– Dziesięć, nie więcej. Kiedy będę miała dziesięć pokoleń potomków, ja też przejdę Ceremonię.

– Co to za Ceremonia?

– Raz do roku starzy ludzie przychodzą do bardzo starych ludzi. Budzą ich i pytają, co było na początku. Bardzo starzy ludzie mówią im, co było na początku. To jest wspaniały moment. Wszyscy ryczą ze śmiechu! Potem bardzo starzy ludzie zasypiają do następnego roku i tak to przechodzi z pokolenia na pokolenie. Na tym polega Ceremonia.

Mieszkańcy Proavitusa nie byli humanoidalni. Tym bardziej nie byli małpami, chociaż nazwa ta zdążyła się już przyjąć w żargonie ekspedycji. Chodzili w pozycji pionowej, odziani w długie przepasane szaty. Zakładano, że pod tymi długimi szatami są istotami dwunogimi, chociaż, jak powiedział Ludołamacz, „z tego, co wiem, równie dobrze mogą poruszać się na kółkach”.

Mieli niesamowicie ruchliwe dłonie, które można by nazwać wszędziepalczastymi. Mogli posługiwać się narzędziami albo używać rąk niczym najbardziej skomplikowanych narzędzi.

George Krwiak wyrażał pogląd, że mieszkańcy Proavitusa chodzą zawsze zamaskowani i że członkowie ekspedycji nigdy nie widzieli ich twarzy. Mówił, że te rzekome twarze są w istocie rytualnymi maskami i że nikt z ludzi nie oglądał nigdy żadnej części ciała tubylca poza ich niezwykle długimi, które może są ich prawdziwymi twarzami.

Członkowie ekspedycji zareagowali okrutną wesołością, kiedy Dobromir usiłował im wytłumaczyć, że stoi na progu wiekopomnego odkrycia.

– Mały Dobromirek nie daje za wygraną ze swoim: „Co było na początku” – szydził Ludołamacz. – Czy nigdy nie przestaniesz się zajmować tym, co było pierwsze, jajko czy kura?

– Wkrótce poznam odpowiedź – upierał się Dobromir. – Mam jedyną w swoim rodzaju szansę. Kiedy się dowiem, skąd się wzięli mieszkańcy Proavitusa, mogę dojść do tego, skąd się wzięło wszystko. Wszyscy mieszkańcy Proavitusa żyją, od pierwszego pokolenia do ostatniego.

– Nie mieści się w głowie, że można być takim naiwniakiem – jęknął Ludołamacz. – Podobno oznaką dojrzałości jest to, że człowiek znosi głupotę z uśmiechem. Mam nadzieję, że nigdy tego nie dożyję.

Jednak w dwa dni później to Ludołamacz szukał Dobromira, żeby porozmawiać z nim właśnie o tym samym. Ludołamacz przemyślał rzecz po swojemu.

– Jesteś facetem od szczególnych aspektów – powiedział – ale gonisz za niewłaściwym aspektem.

– Jak to?

– Nic mnie nie obchodzi, jak się to zaczęło. Ważne, że to może nie mieć końca.

– A ja zamierzam odkryć początek – upierał się Dobromir.

– Czy naprawdę nic nie rozumiesz, baranie? Cóż takiego posiadają ci tubylcy, o czym nie wiemy, czy to dzieło nauki, przyrody, czy ślepego trafu?

– Myślę, że chodzi o ich chemię.

– Otóż to. Chemia organiczna osiągnęła tutaj niebywały poziom. Mieszkańcy Proavitusa mają wszelkiego rodzaju związki pobudzające i powstrzymujące. Mogą wszystko do woli powiększać, zmniejszać, kurczyć i przedłużać. Te istoty wydają mi się dość głupie, jakby robiły te wszystkie rzeczy instynktownie. Ale robią je i to jest ważne. Gdybyśmy je od nich przejęli, zostalibyśmy królami panaceum w całym wszechświecie, bo sami mieszkańcy Proavitusa nie podróżują i mają niewiele zewnętrznych kontaktów. Tymi ich środkami można osiągnąć wszystko. Podejrzewam, że oni potrafią zmniejszać komórki i robić jeszcze parę innych rzeczy.

– Nie potrafią zmniejszać komórek. Opowiada pan nonsensy.

– Nieważne. Przy tych ich sztuczkach to konwencjonalna chemia staje się nonsensem. Mając ich farmakologię człowiek mógłby wyeliminować śmierć. Jeździsz na tym swoim koniku głową do tyłu. Tubylcy mówią, że oni nie umierają.

– Są co do tego przekonani. Gdyby umierali, to oni pierwsi by o tym wiedzieli, jak powiada Nokoma.

– Czyżby te istoty miały poczucie humoru?

– W pewnym sensie.

– Dobromirze, czy naprawdę nie rozumiesz, jaka to wielka sprawa?

– Na razie to ja jeden coś tu rozumiem. Jeżeli mieszkańcy Proavitusa byli, jak utrzymują, nieśmiertelni od zawsze, to pierwsi z nich wciąż jeszcze żyją! Można się więc od nich dowiedzieć, jak powstał ich gatunek, a może jak powstały wszystkie gatunki.

Słyszając to Ludołamacz odegrał zdychającego bizona. Rwał włosy z głowy i omal nie urwał sobie uszu. Tupął, drapał ścianę i ryczał:

– Kogo obchodzi, co było na początku, ty bałwanie! Ważne, że może nie być końca!

Ryczał tak głośno, że wzgórza odpowiadały mu echem „Kogo obchodzi... bałwanie”.

Dobromir udał się do domu Nokomy, ale nie z nią i nie na jej zaproszenie. Poszedł bez niej wiedząc, że nie ma jej w domu. Było to działanie podstępne, ale członkowie ekspedycji przechodzili szkolenie z działań podstępnych.

Liczył na to, że bez pośrednika dowie się najlepiej o dziewięciuset prababkach, o żywych lalkach znanych mu z opowieści. Miał zamiar dowiedzieć się, co starzy ludzie robią, kiedy nie umierają i skąd wzięli się po raz pierwszy na świecie. Choć zjawiał się jak intruz, liczył na wrodzoną uprzejmość mieszkańców Proavitusa.

Dom Nokomy stał w otoczeniu innych na szczycie dużego płaskiego wzgórza, Akropolu Proavitusa. Domy były gliniane, choć starannie wykończone i sprawiały wrażenie, jakby wyrastały ze wzgórza i stanowiły jego część.

Dobromir wspiął się na górę krętą, wyłożoną kamieniami dróżką i wszedł do domu, który Nokoma kiedyś mu pokazała. Wśliznął się do środka ukradkiem i stanął oko w oko z jedną z dziewięciuset babek, przed którą nikt nie musiał się kryć.

Babcia siedziała, była nieduża i uśmiechała się do gościa. Rozmawiali bez większych trudności, choć nie tak płynnie jak z Nokomą, która mogła porozumieć się z Dobromirem w jego własnym języku. Na wezwanie babki pokazał się dziadek, również witając przybysza uśmiechem. Tych dwoje starszków było nieco mniejszego wzrostu niż mieszkańcy Proavitusa w kwiecie wieku. Ale okazali się równie mili i pogodni. Panowała atmosfera pewnej senności, nostalgii, nieco może wypełnionej smutkiem.

– Czy są tutaj osoby starsze od was? – spytał Dobromir wprost.

– Bardzo dużo, bardzo dużo, kto może wiedzieć ile? – odpowiedziała babcia i przywołała prababki i pradziadków starszych i jeszcze mniejszych, dobrze o połowę mniejszych od aktywnych mieszkańców Proavitusa: małych, zaspanych, uśmiechniętych.

Dobromir wiedział już, że tubylcy nie chodzą w maskach. Im byli starsi, tym ciekawsze i bardziej charakterystyczne stawały się ich twarze. Jedyne twarze niedojrzałych, aktywnych mieszkańców Proavitusa mogły budzić wątpliwości. Żadna maska nie potrafiłaby oddać

takiego spokoju i pogody starości. Ten dziwnie pofałdowany materiał to była ich prawdziwa skóra.

Starzy i sympatyczni, słabi i senni, dziesiątki pokoleń aż do najstarszych i najmniejszych.

– Ile lat mają najstarsi? – spytał Dobromir pierwszą babkę.

– My mówimy, że wszyscy są w tym samym wieku, bo wszyscy są wieczni – odpowiedziała babka. – To nieprawda, że wszyscy są w tym samym wieku, ale nieładnie jest pytać, ile kto ma lat.

– Nie wiecie, co to jest homar – mówił Dobromir drżąc na całym ciele – ale jest to stworzenie, które spokojnie gotuje się żywcem, jeżeli wodę podgrzewa się stopniowo. Homar nie wpada w panikę, bo nie wie, od którego momentu gorąco staje się niebezpieczne. Tak samo dzieje się tutaj ze mną. Prześlizguję się z jednego stopnia na drugi i moje zaufanie nie jest wystawione na próbę. Jestem narażony na to, że uwierzę we wszystko na wasz temat, jeżeli będę się tego dowiadywał w małych dawkach, a tak będzie. Wierzę, że jesteście naprawdę tacy, jak jesteście, bo was widzę i dotykam. Cóż, ugotuję się jak homar, zanim się z tego wycofam. Czy są osoby jeszcze starsze od tych, które są tutaj?

Pierwsza babka dała Dobromirowi znak, żeby z nią poszedł. Zeszli pochylnią do starszej części domu, która musiała się mieścić pod ziemią.

Żywe lalki? Stały tutaj rzędami na półkach i siedziały w małych fotelikach w ściennych niszach. Rzeczywiście jak lalki, a było ich kilkaset.

Wiele budziło się na ich wejście. Inne budziły się na głos lub dotyk. Niewiarygodnie stare, ale ich spojrzenia były całkowicie przytomne. Uśmiechały się i przeciągały sennie, nie jak ludzie, ale tak, jak mogłyby się przeciągać bardzo stare szczeniaki. Dobromir zagadywał do nich i rozumieli się zadziwiająco dobrze.

Uwaga, homarze – mówił Dobromir sam do siebie – temperatura wody przekroczyła punkt krytyczny, a ty nie czujesz żadnej różnicy. Jeżeli zawierzysz swoim zmysłom, ugotujesz się żywcem w swoim zaufaniu.

Wiedział teraz, że żywe lalki istnieją naprawdę i że są żywymi przodkami mieszkańców Proavitusy.

Wiele z tych małych istotek natychmiast powtórnie zapadało w sen. Ich chwile przytomności trwały krótko, ale okresy snu też nie były dłuższe. Liczne żyjące mumie przebudziły się po raz drugi w czasie odwiedzin Dobromira odświeżone krótką drzemką i bardzo skore do rozmów.

– Jesteście niewiarygodni! – zawołał Dobromir i wszystkie małe, mniejsze i jeszcze mniejsze istoty uśmiechami lub głośnym śmiechem wyraziły swoją zgodę. No pewnie! Wszystkie dobre istoty wszędzie na świecie są niewiarygodne, a czy kiedykolwiek tyle z nich zebrało się w jednym miejscu? Ale Dobromir był nienasycony. Jeden pokój pełen cudów mu nie wystarczał.

– Muszę się cofnąć najdalej, jak to tylko możliwe! – zawołał podniecony. – Gdzie są ci jeszcze starsi?

– Są starsi i jeszcze starsi, i jeszcze starsi od nich – powiedziała pierwsza babka – i jeszcze trzy razy starsi, ale może mądrze będzie nie chcieć być za mądrym. Widziałeś dosyć. Staruszkowie chcą spać. Wracajmy na górę.

Wyjść stąd? Za nic w świecie. Dobromir zobaczył przejścia i pochylnie wiodące w głąb, do samego serca wzgórza. Wokół niego i pod jego stopami rozpościerały się całe światy komnat. Wędrował przez nie i któż mógłby go powstrzymać? Przecież nie te lalki ani istoty znacznie mniejsze od lalek.

Ludołamacz przyrównał się kiedyś do starego pirata pływającego się w potoku swoich bogactw, ale Dobromir był teraz młodym alchemikiem, który ma lada chwila odkryć Kamień.

Schodził pochylniami w dół poprzez stulecia i tysiąclecia. Atmosfera, którą zauważył na górnych piętrach, tutaj stała się wyraźnym zapachem: sennym, na wpół zapomnianym, uśmiechniętym, smutnym i całkiem mocnym. Tak pachnie czas.

– Czy są tu starsi od ciebie? – pytał Dobromir małą babcię, którą postawił sobie na dłoni.

– Tak starzy i tak mali, że ja mogłabym postawić ich sobie na dłoni – odpowiedziała babcia w języku staroproavitańskim, który Dobromir rozumiał dzięki naukom Nokomy.

Dobromir wędrował przez komnaty z coraz starszymi i mniejszymi istotkami. Teraz był już bez wątpienia ugotowanym homarem. Musiał w to wszystko wierzyć, bo widział to i mógł tego dotknąć. Babka wielkości wróbla mówiła, że tak, że są tu osoby znacznie od niej starsze, a przy tym śmiała się i kiwała główką i robiąc to ukołysała się z powrotem do snu. Dobromir odstawił ją do jej wnęki w przypominającej plaster miodu ścianie mieszczącej tysiące innych, całe zminiaturyzowane pokolenia.

Oczywiście, nie znajdował się już teraz w domu Nokomy, ale w sercu wzgórza pod wszystkimi domami na Proavitusie, wśród przodków wszystkich mieszkańców asteroidy.

– Czy są tu osoby starsze od ciebie? – spytał Dobromir małą babcię, którą postawił sobie na czubku palca.

– Starsze i mniejsze – powiedziała. – Ale jesteś już blisko końca.

Zasnęła i odstawił ją na miejsce. Im byli starsi, tym więcej spali.

Dotarł do litej skały pod korzeniami wzgórza. Szedł korytarzami wrytymi w twardej skale, ale nie mogło ich być zbyt wiele i nie mogły schodzić dużo głębiej. Nagle przestraszył się, że przodkowie staną się tak mali, że nie będzie mógł ich widzieć ani z nimi rozmawiać i przez to nie pozna tajemnicy początku.

Ale czy Nokoma nie wspominała, że wszyscy starzy znali tę tajemnicę? Ależ tak. On jednak chciał ją usłyszeć z ust najstarszego z przodków. Musi się tego dowiedzieć teraz, natychmiast, w ten czy inny sposób.

Kto jest najstarszy? Czy tu jest już koniec? Czy tu jest już początek?

– Zbudźcie się! Zbudźcie się! – zawołał, kiedy przekonał się, że jest w najgłębszej i najstarszej komnacie.

– Czy to Ceremonia? – pytali niektórzy z przebudzonych. Byli mniejsi od myszy, nie więksi od pszczoł, może starsi od jednych i drugich.

– To jest Ceremonia specjalna – powiedział im Dobromir. – Opowiedzcie mi, co było na początku.

Co to był za szmer... zbyt cichy, zbyt rozproszony, żeby go nazwać dźwiękiem? Jak śmiech miliarda bakterii. To była wesołość tych maleństw budzących się do wielkiej uciechy.

– Kto tu jest najstarszy ze wszystkich? – spytał Dobromir, bo ich śmiech go rozpraszał. – Kto jest najstarszy i pierwszy?

– Ja jestem najstarsza, jestem babką wszystkich babek – odpowiedziała jedna wesoło. – Cała reszta to moje dzieci. Czy ty też jesteś z moich dzieci?

– Oczywiście – powiedział Dobromir, wywołując niedowierzający śmiech zgromadzenia.

– Jesteś więc widocznie ostatnim dzieckiem, bo jesteś niepodobny do innych. Jeżeli to prawda, to koniec jest równie śmieszny jak początek.

– A jak było na początku? – drżącym głosem spytał Dobromir. – Ty jesteś pierwsza, czy wiesz, skąd się wzięłaś?

– O, tak – roześmiała się prababka wszystkich babek i odgłosy rozbawienia małych istotek osiągnęły tym razem poziom hałasu.

– Więc jak się to zaczęło? – dopytywał się Dobromir podskakując z podniecenia.

– O, to było takie śmieszne, że nigdy byś nie uwierzył – zaczęła prababka. – Kawał nad kawały!

– Opowiedz mi więc ten kawał. Jeżeli wasz gatunek zaczął się od kawału, to chcę usłyszeć ten kosmiczny kawał.

– Sam go sobie opowiedz – zaświergotała prababka. – Jeżeli jesteś jednym z moich potomków, to jesteś częścią tego kawału. Tak, to jest tak śmieszne, że trudno uwierzyć. Jak dobrze jest obudzić się, pośmiać i znów zasnąć.

Niech to jasny szlag! Znaleźć się tak blisko celu i zostać spławionym przez rozchichotaną pszczołę!

– Nie zasypiaj! Powiedz mi natychmiast, jak się to zaczęło! – zapiszczał Dobromir trzymając prababkę wszystkich babek między dwoma palcami.

– To nie jest Ceremonia! – zaprotestowała starowinka. – Na Ceremonii masz przez trzy dni zgadywać, jak to było, a my śmiejemy się i mówimy „Nie, nie, to było coś dziesięć razy śmieszniejszego. Zgaduj dalej”.

– Ja nie będę zgadywać przez trzy dni! Powiedz mi natychmiast, bo cię zgniotę – zagroził Dobromir drżącym głosem.

– Ja patrzę na ciebie, ty patrzysz na mnie, ciekawe, czy to zrobisz – powiedziała spokojnie najstarsza prababka.

Każdy z ekspedycyjnych twardzieli zrobiłby to bez wahania: zgniótlby ją, potem następnego staruszka i jeszcze następnego, póki tajemnica nie została wyjawiona. Gdyby Dobromir przybrał twardą osobowość i właściwe imię, też by to zrobił. Gdyby był Gromem Barrelhousem, zrobiłby to bez zastanowienia. Ale ktoś, kto nazywa się Dobromir, nie mógł tego zrobić.

– Powiedz mi! – błagał z bólem w głosie. – Przez całe życie próbowałem się dowiedzieć, jak się to zaczęło, jak się cokolwiek zaczęło. A ty to wiesz!

– My wiemy. Och, to było tak śmieszne, kiedy się zaczynało. Wspaniały kawał! Coś tak głupiego, błazeńskiego, groteskowego! Nikt nie potrafił się domyśleć, nikt nie mógł uwierzyć.

– Powiedz mi! Powiedz mi! – histeryzował Dobromir szary na twarzy.

– Nie, nie, ty nie jesteś moim dzieckiem – zanosila się chichotem pierwsza prababka. – To jest za śmieszny kawał, żeby go opowiadać komuś obcemu. Nie możemy obrazić obcego opowiadając mu coś tak śmiesznego, tak nieprawdopodobnego. Obcy mógłby umrzeć. Nie chcę mieć na sumieniu obcego, który umarłby ze śmiechu.

– Powiedz mi! Obraż mnie! Pozwól mi umrzeć ze śmiechu!

Tymczasem Dobromir omal nie umarł z uczucia zawodu, które go zżerało, podczas gdy milion istotek wielkości pszczoły zaśmiewało się, chichotało i szumiało.

– Ależ to była kupa śmiechu z tym początkiem!

I śmiali się, śmiali i nie było temu końca... aż Dobromir Ceran wybuchnął płaczem i śmiechem jednocześnie i poszedł sobie, i wrócił na statek ani na chwilę nie przestając się śmiać. W następnej wyprawie zmienił imię na Piorun i przez dziewięćdziesiąt siedem dni był królem uroczej małej wyspy na planecie M-81, ale to już jest inna i znacznie mniej przyjemna opowieść.

Przełożył Lech Jęczmyk

O autorze

R(aphael) A(loysius) Lafferty (1914-2002) amerykański pisarz, znany z bardzo oryginalnego stylu. Nie ukończył studiów, choć kształcił się korespondencyjnie, pracował w firmie elektrycznej w Tulsa, w Oklahomie, gdzie spędził większość swego życia. W czasie drugiej wojny światowej służył na Pacyfiku. Nigdy się nie ożenił.

Debiutował opowiadaniem „Day of the Glacier” w 1960 roku, a zaraz potem kolejne teksty zaczęły się ukazywać we wszystkich najważniejszych czasopismach SF w Ameryce. Pisał do lat 90. Opowiadania Lafferty’ego były publikowane w licznych antologiach, podsumowaniach opowiadań, w prasie. Sporo opowiadań było nominowanych, ale wyróżniono tylko „Matkę Euremy” (Hugo). Pisał nie tylko fantastykę, ale także powieści historyczne i autobiografię.

Style Lafferty’ego jest bardzo charakterystyczny, bohaterami są zwykli ludzie, akcja rozgrywa się najczęściej współcześnie, choć niekoniecznie w naszej rzeczywistości. Lafferty bardzo zręcznie żonglował metaforą, porównaniem, w swoich opowiadaniach reprezentował czystą rozrywkę, potrafił zaintrygować czytelnika i uwieść go od pierwszego zdania. Przy lekturze ma się wrażenie obcowania z czymś mitycznym.

Jego twórczość była bardzo bogata, nie wszystkie utwory opublikowano. Spadkobiercy ogłaszają chęć sprzedaży całej spuścizny Lafferty’ego, czyli 29 powieści i 225 opowiadań za 70 tysięcy dolarów.

Tak jak bohater opowiadania „Najdłuższy obraz świata” był hobbystą, zbierał stare dokumenty, instrumenty, artefakty – całą kolekcję po śmierci przekazano bibliotece uniwersyteckiej w Tulsa.

URSULA K. LE GUIN

Królowa Zimy

Bardzo lubię opowiadania, z których potem wyrastają całe powieści i sagi. Jest w nich zawarta in nuce, jak w orzechu, mawiali Rzymianie, cała idea wielkiego, dorosłego drzewa. Pani Le Guin stale manipuluje przy płciach, jakby była ze swojej niezadowolona, ale tutaj jest studwudziestoprocentową kobietą. Żaden chłop nie wymyśliłby tego spojrzenia matki na trupa swojej córeczki, która stała się złą i paskudną staruchą.

Królowa Zimy

Kiedy w rzece czasu pojawiają się wiry i historia krąży wokół jakiegoś zatopionego pnia, tak jak w niecodziennej kwestii następstwa tronu w Karhidzie, wówczas wielce pomocne są obrazy: zdjęcia, które można zestawiać porównując rodzica z dzieckiem, starą królową z młodą, zdjęcia, które można przekładać i tasować, aż lata zaczną płynąć normalnie. Bowiem mimo wszystkich cudów momentalnej łączności międzygwiazdnej i podróży z prędkościami podświetlnymi – czasu, jak zauważył ambasador Axt, nie można zawrócić, a śmierci nie można oszukać.

I tak, chociaż najbardziej znane jest ciemne zdjęcie młodej królowej stojącej nad starą królową, która leży martwa w korytarzu oświetlonym tylko łuną płonącego miasta, odłóżmy je na chwilę. Spójrzmy najpierw na młodą królową, chlubę swego narodu, tak mądrą i szczęśliwą, jak to jest tylko możliwe w wieku dwudziestu dwóch lat. Kiedy jednak robiono to zdjęcie, młoda królowa znajdowała się w rozpaczliwej sytuacji. Była brudna, drżąca, a twarz miała nieprzytomną i szaloną, ponieważ straciła to minimum zaufania do świata, które nazywają zdrowiem psychicznym. W myśli powtarzała w kółko, tak jak to robiła od wielu godzin czy może lat:

– Złożę koronę. Złożę koronę. Złożę koronę.

Przed oczami miała czerwone ściany pałacu, wieże i ulice Erhenrangu w padającym śniegu, piękną równinę Niziny Zachodniej, białe szczyty Kargavu i wyrzekała się tego wszystkiego, całego swojego królestwa. – Złożę koronę – powtórzyła w myśli, a potem krzyknęła na cały głos, kiedy postać w czerwono-białym stroju zbliżyła się mówiąc, już nie po raz pierwszy:

– Najjaśniejsza Pani! W Szkole Rzemiosł odkryto spisek na twoje życie.

Odezwało się ciche brzęczenie. Królowa osłoniła głowę ramionami i szepnęła:

– Wyłączcie to, błagam, wyłączcie – ale brzęczenie stawało się coraz wyższe, głośniejsze, bliższe i bardziej bezlitosne, aż stało się tak ostre i przenikliwe, że wdarło się w jej ciało, wyrывało nerwy z ich kanałów i zmuszało kości, żeby tańczyły i dzwoniły w jego rytm. Cała podrygiwała i dygotała, nagi szkielet zawieszony na cienkich, białych nitkach, płakała suchymi łzami i krzyczała: – Macie ich... Macie ich... Oni muszą... Straceni... Zatrzymani... Zatrzymać!

Cisza.

Osunęła się na podłogę – szczękająca zębami, dygocąca kupka. Na jaką podłogę? Nie były to ani czerwone kafle, ani parkiet, ani zachlapany uryną cement, tylko drewniana podłoga pokoju w wieży, małej sypialni, gdzie była bezpieczna, gdzie mogła się nie bać swojej groźnej rodzicielki, zimnej, szalonej, nieczulej królowej, gdzie mogła bawić się w kocią kołyskę z Piry lub siedzieć przy kominku na ciepłych kolanach Borhub, przytulnych i rozległych jak sen. Teraz jednak nie było schronienia, nie było bezpieczeństwa i snu. Ktoś ubrany na czarno przyszedł nawet tutaj, unosił jej głowę, unosił na cienkich, białych nitkach powieki, które ona chciała zamknąć.

– Kto ja jestem?

Spoglądała na nią pusta, czarna maska. Młoda królowa łkając walczyła z sobą, gdyż wiedziała, że wkrótce znowu zacznie się dusić: nie będzie mogła złapać tchu, póki nie wymówi imienia, właściwego imienia. – Gerer! – Mogła oddychać. Wolno jej było oddychać. Zdążyła rozpoznać czarną postać.

– Kto ja jestem? – odezwał się inny, łagodny głos i młoda królowa poddała się natychmiast tej silnej osobowości, która zawsze przynosiła jej sen, spokój, pocieszenie.

– Rebade – szepnęła – powiedz mi, co mam robić...?

– Zaśnij.

Posłuchała. Zapadła w głęboki sen, bez widziadeł, bo prawdziwy. Teraz zwidy przychodziły na jawie. Nierzeczywisty, przerażająco suchy czerwony blask zachodu palił jej otwarte oczy i znów stała na zamkowym balkonie patrząc w dół na pięćdziesiąt tysięcy czarnych dziur, które się otwierały i zamykały. Z dziur wyrwały się rytmiczne erupcje dźwięku, przenikliwe, rytmiczne czkanie. To było jej imię. Wbijano jej w uszy własne imię, jak obelgę, jak szyderstwo. Uderzyła dłońmi o wąską mosiężną poręcz i krzyknęła do nich.

– Ja was uciszę! – ale nie dosłyszała własnego głosu. Słyszała tylko ich, wstrętne ryki tłumu, który z nienawiścią wykrzykiwał jej imię.

– Chodźmy stąd, najjaśniejsza pani – odezwał się łagodny głos i Rebade odciągnęła ją z balkonu w głąb obszernego, czerwonościennego zacisza Sali Posłuchań. Wrzask ucichł jak nożem uciął. Oblicze Rebade wyrażało jak zawsze opanowanie i zrozumienie.

– Co teraz zrobisz, pani? – spytała swoim łagodnym głosem.

– Ja... złożę koronę...

– Nie – przerwała jej Rebade spokojnie. – To nie jest właściwe. Co zrobisz?

Młoda królowa milczała, czując dreszcze. Rebade pomogła jej usiąść na żelaznej ławie, gdyż ściany pociemniały i zbiegły się, zamykając ją w ciasnej celi, jak się to już nieraz zdarzało.

– Wezwiesz...

– Wezwę straż królewską. Każę im strzelać do tłumu. Trzeba tym ludziom dać nauczkę – powiedziała młoda królowa szybko i dobitnie, głosem donośnym i wysokim.

– Bardzo dobrze, najjaśniejsza pani, mądra decyzja! Słusznie. Wszystko skończy się dobrze. Najjaśniejsza pani dobrze robi. Proszę mieć do mnie zaufanie.

– Ufam ci. Zabierz mnie już stąd – szepnęła młoda królowa chwytając Rebade za ramię, lecz jej przyjaciółka zmarszczyła czoło. Widocznie to nie było słuszne. Znowu wypędziła Rebade, a wraz z nią nadzieję. Rebade odchodziła z żalem, ale spokojna, nie bacząc na to, że młoda królowa błagała ją, żeby została, żeby wróciła, bo cichy dźwięk odezwał się znów: szarpiące mózg zawodzące brzęczenie. I już postać w czerwieni i bieli zbliżała się po czerwonej, bezgranicznej posadzce.

– Najjaśniejsza pani! W Szkole Rzemiosł odkryto spisek na twoje życie...

Wzdłuż ulicy Staroportowej aż do samej wody latarnie płonęły grobowym blaskiem. Strażnik Pepenerer podczas swego obchodu spojrzała wzdłuż skośnego snopa światła nie spodziewając się niczego i ujrzała coś zataczającego się w jej kierunku. Pepenerer nie wierzyła w wodnice, ale teraz widziała wodnicę, pokrytą morskim szlamem, chwiejącą się na płetwiastych stopach, kurczowo wciągającą suche powietrze, skomlaącą... Po chwili marynarskie bajdy wywietrzały jej z głowy i zobaczyła pijaczkę, wariatkę albo ofiarę napadu zataczającą się między wilgotnymi, szarymi murami magazynów.

– Hej tam! Stać! – krzyknęła już w biegu. Półnaga pijaczka o dzikim spojrzeniu wydała okrzyk strachu i rzuciła się do ucieczki, ale pośliznęła się na oszronionych kamieniach i upadła jak długa. Pepenerer wyciągnęła broń i użyła półsekundowego ładunku obezwładniającego, żeby pijaczkę nieco uspokoić. Potem kucnęła przy niej, włączyła radio i wezwała wóz.

Obie ręce, rozciągnięte bezwładnie i pokornie na zimnym bruku, były upstrzone śladami po zastrzykach. Więc nie pijaczka, lecz narkomanka. Pepenerer pociągnęła nosem, ale nie poczuła żywicznego zapachu orgrey. Została znarkotyzowana, zatem rabusie lub rytualna zemsta rodowa. Rabusie nie pozostawiliby złotego pierścienia na palcu, ciężkiej, rzeźbionej sztuki przykrywającej prawie cały człon palca. Pepenerer pochyliła się, żeby lepiej się przyjrzeć. Potem spojrzała na zmaltretowaną, nieprzytomną twarz, odcinającą się profilem na tle bruku w świetle latarni. Wyjęła nową ćwierćkoronówkę z sakiewki i spojrzała na lewy profil wybity w jasnym metalu, potem na prawy profil, zarysowany światłocieniem na zimnym kamieniu. Wreszcie, słysząc pomruk elektrycznego wozu skręcającego z Długiej w Staroportową, schowała monetę do sakiewki i mruknęła pod nosem:

– Przeklęta wariatka.

Królowa Argaven była wówczas, jak się okazało, w górach na polowaniu, gdzie spędziła dwa tygodnie; można to było przeczytać we wszystkich biuletynach.

– Widzisz – powiedziała doktor Hoge – możemy być prawie pewni, że dokonano zabiegu na jej umyśle, ale to nam nic nie daje. Mamy zbyt wiele wytrawnych inżynierów dusz w

Karhidzie i w Orgoreyn także. Nie jakichś tam przestępczyń, do których policja mogłaby trafić, ale szacownych mentalistek i lekarek, które mają legalny dostęp do wszystkich leków. Jeżeli zaś chodzi o wyciągnięcie czegoś od niej, to każdy fachowiec potrafi zablokować racjonalny dostęp do wszystkiego, co zrobił. Wszystkie ślady będą zatarte, sygnały wywoławcze głęboko ukryte i po prostu nie będziemy wiedzieć, o co ją pytać. Nie ma sposobu, żeby nie niszcząc jej mózgu przebadać wszystkie jego zakamarki: nawet w hipnozie lub pod działaniem narkotyków nie można odróżnić wszczepionych myśli i uczuć od jej własnych. Może nieziemcy potrafiliby tu coś zrobić, chociaż wątpię, czy ich mentaliści naprawdę robią te wszystkie cuda, które im przypisują. Zresztą to i tak nierealne. Zostaje nam tylko jedna nadzieja.

– Jaka? – spytała pani Gerer flegmatycznie.

– Królowa jest inteligentna i zdecydowana. Na początku, póki jej nie złamali, mogła się zorientować, co z nią robią, i stworzyć sobie jakąś blokadę czy obronę, zabezpieczyć sobie drogę odwrotu...

Głos Hoge brzmiał coraz mniej pewnie, aż wreszcie zawisł w ciszy wysokiej, czerwonej, mrocznej komnaty. Nie doczekała się odpowiedzi od starej Gerer, która stała, cała w czerni, przed ogniem.

Temperatura tego pokoju w królewskim pałacu w Erhenrang wynosiła dwanaście stopni tam, gdzie stała pani Gerer, i pięć stopni w połowie drogi między dwoma wielkimi kominkami. Na zewnątrz padał lekki śnieg, był ciepły wiosenny dzień, zaledwie kilka stopni poniżej zera.

Ognie w obu krańcach komnaty huczały czerwienią i złotem, pożerając kłody grubości uda. Wspaniałość, zgrzebny luksus, krótkotrwały splendor. Kominki, fajerwerki, błyskawice, meteory, wulkany – takie rzeczy cieszyły mieszkańców Karhidu na planecie zwanej Zimą. Mimo to nigdy i nigdzie, poza arktycznymi koloniami powyżej trzydziestego piątego równoleżnika, nie założyli centralnego ogrzewania w żadnym budynku przez wszystkie stulecia swojego Wieku Techniki. Na komfort pozwalali sobie z rzadka, było to coś pożądanego, ale nie szukanego; jak dar, jak radość.

Osobista służka królowej, siedząca przy jej łożu, zwróciła się w stronę lekarki i kanclerki i chociaż nie powiedziała ani słowa, obie natychmiast podeszły. Na szerokim, twardym łożu ze złożonymi kolumnami, obwieszonymi czerwienią zdobionych zasłon i kap, ciało królowej spoczywało prawie na poziomie oczu. Gerer pomyślała o figurze na dziobie okrętu, przez nieruchome, rozległe wody ciemności młoda królowa płynie w mrok, w strach, w lata. Po chwili stara kanclerka przestraszyła się sama, spostrzegłszy, że Argaven ma oczy otwarte i wpatruje się przez na wpół zasłonięte okna w gwiazdy.

Gerer lękała się szaleństwa, kretyństwa, sama nie wiedziała czego. Hoge ją ostrzegła: „Królowa nie będzie zachowywać się normalnie, pani Gerer. Przeżyła trzynaście dni udręki, zastraszania, cierpień fizycznych i manipulacji psychicznych. Może mieć uszkodzenie mózgu,

na pewno wystąpią uboczne i długotrwałe skutki narkotyków”. Jednak ani obawy, ani ostrzeżenie nie uchroniły jej przed szokiem, kiedy jasne, udręczone oczy Argaven zwróciły się ku Gerer i zatrzymały obojętnie na niej przez moment, a potem ją dostrzegły. I Gerer, chociaż nie mogła ujrzeć odbicia czarnej maski, zobaczyła nienawiść, przerażenie, zobaczyła swoją młodą, bezgranicznie ukochaną królową, dławiącą się w szaleńczym strachu, szamoczącą się ze służką, z Hoge i z własnym osłabieniem, żeby uciec stąd, uciec przed Gerer.

Stojąc w zimnym środku komnaty, gdzie podobny do dziobu okrętu szczyt łóżka zasłaniał ją przed królową, Gerer słyszała, jak uspokajają królową, układają ją z powrotem. Głos Argaven był słaby, dziecinny, proszący. Stara królowa, Emran, w ostatnim przystępie szaleństwa też mówiła głosem dziecka.

Wreszcie cisza i tylko huczenie dwóch wielkich kominków.

Korgry, osobista sługa królowej, ziewnęła i przetarła oczy. Hoge odmierzyła coś z ampułki do strzykawki. Gerer stała zrozpaczona. Moje dziecko, moja królowo, co oni z tobą zrobili? Tak wielkie nadzieje, tyle zaufania, stracone, stracone... I ona, która wyglądała jak na wpół obrobiona bryła czarnej skały, twarda, bezwzględna, szczwana wyga dworska, rozpaczała teraz i serce w niej pękało, gdyż miłość do młodej królowej i możliwość służenia jej były dla niej wszystkim na świecie.

– Moje dziecko... – powiedziała Argaven.

Gerer drgnęła, słysząc słowa jakby wyrwane z jej własnego umysłu, lecz Hoge, nie dręczona uczuciem, zrozumiała i odpowiedziała półgłosem:

– Księżniczka Emran ma się dobrze, najjaśniejsza pani. Jest wraz ze swymi ludźmi w zamku Warrever. Utrzymujemy z nią stały kontakt. Wszystko u niej w porządku.

Gerer usłyszała spazmatyczny oddech królowej i podeszła nieco bliżej, choć nadal pozostawała zasłonięta wysokim wezglowiem.

– Czy byłam chora?

– Nadal nie jesteś zdrowa, o pani – odpowiedziała lekarka spokojnie.

– Gdzie...

– W swojej komnacie, w pałacu, w Erhenrangu.

Gerer zbliżyła się o krok i wciąż niewidoczna dla królowej, powiedziała:

– Nie wiemy, gdzie byłaś, pani.

Gładkie oblicze Hoge skrzywił grymas niezadowolenia, ale chociaż jako lekarka miała władzę nad nimi wszystkimi, nie ośmieliła się skierować tego grymasu pod adresem pani kanclerki. Głos Gerer nie denerwował królowej, która zadała jeszcze kilka pytań, logicznych i krótkich, a potem leżała spokojnie. Jeszcze chwila i Korgry, czuwająca przy królowej od czasu, kiedy przyniesiono ją do pałacu (poprzedniej nocy, potajemnie, bocznym wejściem, jak haniebną samobójczynię za poprzedniego panowania, tylko na odwrót), Korgry dopuściła się obrazy majestatu: skulona na wysokim zydłu opuściła głowę na skraj łoża i zasnęła. Zmiana

warty przy drzwiach odbywała się szeptem. Przybywali urzędnicy i szeptem otrzymywali świeży komunikat o stanie zdrowia królowej. Zmożona atakiem febry na polowaniu w górach Kargavu, królowa została przywieziona do Erhenrangu i stan jej zdrowia się poprawia. Nadworna lekarka Hoge rem ir Hogeremme oświadczyła co następuje: itd., itd. – Niech Koło obróci się szczęśliwie dla naszej królowej – mówili z przejęciem ludzie w wiejskich domach, rozpalając święty ogień, na co starsi, siedzący wokół ogniska, dorzucali: – Wszystko z tych jej nocnych wędrówek po mieście, wspinania się na góry i innych szalonych pomysłów – ale radio trzymali włączone, żeby złapać następny komunikat. Gromady ludzi zbierały się na placu przed pałacem, kręcąc się bez celu, wymieniając uwagi, obserwując wchodzących i wychodzących, spoglądając na pusty balkon; wciąż jeszcze było ich kilka setek, stojących cierpliwie na śniegu. Argaven XVII cieszyła się miłością swoich poddanych. Po tępym okrucieństwie rządów królowej Emran, zakończonych w mroku szaleństwa i bankructwa kraju, przysłała ona: niespodziewana, młoda, reprezentacyjna, zmieniająca wszystko; rozsądna, bystra, ale i wspaniałomyślna. Miała w sobie ogień, gest, które podobały się ludziom. Była siłą napędową i ośrodkiem nowego wieku: nareszcie właściwa królowa we właściwym państwie.

– Gerer.

Był to głos królowej i Gerer pośpieszyła sztywnym krokiem przez ciepło i chłód komnaty, przez jasność i cień.

Argaven siedziała. Ramiona jej drżały i oddech wiązał w gardle; oczy płonęły w mroku. Przy jej lewej ręce, tej z sygnetem dynastii Harge, spoczywała twarz śpiącej służki, rozpogodzona, beztroska.

– Gerer – odezwała się królowa wyraźnie, choć z wysiłkiem – zwołaj Radę. Powiedz im, że złożę koronę.

Tak zwyczajnie, tak po prostu. Wszystkie narkotyki, zastraszenie, hipnoza, parahipnoza, stymulacja neuronowa, kojarzenie synaptyczne opisane przez Hoge, żeby uzyskać tak gruboskórny efekt? Ale nie pora na rozważania, trzeba zyskać na czasie.

– Pani, kiedy wrócisz do zdrowia...

– Zwołaj Radę natychmiast, Gerer!

I załamała się jak pęknięty łuk, bełkotała coś w przypiływie gniewu i strachu, który nie znajdował uzasadnienia ani siły, żeby przyoblec się w ciało. Wierna sługa spała przy niej głucha na wszystko.

Na następnym zdjęciu rzeczy mają się jakby lepiej: Widzimy królową Argaven XVII w dobrym zdrowiu i w pięknych szatach, jak kończy obfite śniadanie. Rozmawia z najbliższą dziesiątką spośród czterdziestu czy pięćdziesięciu osób uczestniczących – w różnym charakterze – w śniadaniu (monarchowie często bywają samotni, ale rzadko sami), a wszystkich obejmuje swoją łaskawością. Wygląda, jak wszyscy stwierdzają, zupełnie jak dawniej. Chyba jednak nie jest zupełnie taka sama; czegoś brakuje, młodzieńczej pogody,

pewności siebie, które zastąpiła podobna, ale mniej przekonywająca cecha, może oddalenie. Królowa wynurza się z niego okazując inteligencję i ciepło, ale zawsze wraca do tego mroku, który ją wciąga i czyni ją obojętną: strach, ból, determinacja?

Pan mobil Axt, ambasador pełnomocny Wspólnoty Znanych Światów na planecie Zima, który spędził sześć dni w drodze, usiłując swoim elektrowozem przekraczać szybkość pięćdziesięciu kilometrów na godzinę na trasie z Mishnory w Orgoreyn do Erhenrangu w Karhidzie, przespał śniadanie i przybył do Sali Posłuchań wprawdzie na czas, ale o pustym żołądku. Stara przewodnicząca Rady, krewna królowej Gerer rem ir Verhen, przyjęła niezemca u wejścia do wielkiej sali i przywitała go zawiłą formułą grzecznościową Karhidu. Ambasador odpowiedział najlepiej jak umiał, wyczuwając pod elokwencją Gerer pragnienie przekazania jakichś informacji.

– Słyszałem, że królowa całkowicie wyzdrowiała – powiedział – i mam szczerą nadzieję, że to prawda.

– To nie jest prawda – zaprzeczyła stara kanclerka głosem nagle głuchym i bezbarwnym.
 – Panie Axt, mówię to ufając pańskiej dyskrecji; prawdę zna mniej niż dziesięć osób w całym Karhidzie. Królowa nie wyzdrowiała. Królowa nie była chora.

Axt skinął głową. Oczywiście dotarły do niego plotki.

– Czasami wychodzi samotnie na miasto, nocą, w zwykłej odzieży, spaceruje, rozmawia z ludźmi. Stresy królowania... Ona jest bardzo młoda. – Gerer umilkła na chwilę, walcząc z jakąś tłumioną emocją. – Pewnej nocy, sześć tygodni temu, nie wróciła. Wiadomość o tym przyniesiono mnie i drugiej członkini Rady o świcie. Wiedziałyśmy, że jeżeli ogłosimy o jej zniknięciu, zginie, lecz jeżeli odczekamy pół miesiąca w milczeniu, wróci cała i zdrowa. Milczałyśmy, okłamywałyśmy Radę, wysyłałyśmy fałszywe komunikaty. Trzynastej nocy znaleziono ją błakającą się po mieście. Była narkotyzowana i przeszła pranie mózgu. Dotąd nie wiemy, kto to zrobił. Musimy działać w największej tajemnicy; nie możemy podważyć zaufania ludu do niej i jej własnej wiary w siebie. Sprawa jest trudna: ona nic nie pamięta. Ale co z nią zrobiono, wiemy. Złamano jej wolę i skierowano jej umysł na jeden tor. Jest przekonana, że musi złożyć koronę.

Głos Gerer pozostawał cichy i bezbarwny, ale jej oczy zdradzały udrękę. Odwróciwszy się nagle, ambasador ujrzał odbicie tej udręki w oczach młodej królowej.

– Opóźniasz posłuchanie, kuzynko?

Królowa uśmiechnęła się, ale był w tym uśmiechu sztylet. Stara kanclerka spokojnie przeprosiła, skłoniła się i odeszła, cierpliwa, niezgrabna postać niknąca w perspektywie długiego korytarza.

Argaven wyciągnęła do ambasadora obie ręce w powitaniu równych sobie, gdyż w Karhidzie Wspólnota była uznawana za siostrzane królestwo, choć nikt jej nie oglądał na oczy. Ale jej słowa nie przypominały uprzejmej rozmowy, jakiej Axt oczekiwał. Powiedziała jedynie gniewnym głosem.

– Nareszcie!

– Wyruszyłem natychmiast, gdy otrzymałem wiadomość. Drogi we Wschodnim Orgoreynie i na Nizinie Zachodniej są jeszcze pokryte lodem i nie mogłem jechać szybciej. Ale przybywam z wielką przyjemnością. Z przyjemnością też odjechałem. – Axt uśmiechnął się przy tych słowach, gdyż i on, i młoda królowa czerpali radość z wzajemnej szczerości. Czekał, żeby się dowiedzieć, co kryje się za zaproszeniem Argaven, obserwując nie bez pewnego rozbawienia jej ruchliwą, piękną, hermafrodytyczną twarz.

– „W Orgoreynie lęgną się fanatycy, tak jak w trupie lęgną się robaki”, mawiała jedna z moich przodkiń. Cieszę się, że powietrze Karhidu jest panu miłsze. Proszę tędy. Gerer powiedziała panu, że byłem porwana i tak dalej? Tak. Wszystko odbyło się zgodnie ze starymi regułami. Porwania to u nas sztuka o ustalonych zasadach. Gdyby zrobiła to jedna z grup ksenofobów, którzy myślą, że wasza Wspólnota zamierza ujarzmić Zimę, to mogliby zlekceważyć zasady. Myślę raczej, że był to jeden ze starych klanów, usiłujących za moim pośrednictwem odzyskać władzę, jaką mieli za poprzedniego panowania. Ale jeszcze nie jesteśmy pewni. To dziwne, wiedzieć, że się ich widziało twarzą w twarz i nie móc ich poznać. Kto wie, może widuję ich codziennie? Ale z takiego myślenia nie ma żadnego pożytku. Zatarli wszystkie ślady. Jestem pewna tylko jednego. To nie oni kazali mi złożyć koronę.

Królowa i ambasador szli obok siebie przez długą, niezwykle wysoką komnatę ku podwyższeniu i krzesłom na jej końcu. Okna były tylko wąskimi szczelinami, jak zwykle na tej zimnej planecie; złotawe pasy słonecznego światła padały z nich ukośnie na czerwoną posadzkę, cień i błysk w oczach Axta. Podniósł oczy na twarz młodej królowej w tym ponurym, zmiennym oświetleniu.

– A więc kto? – spytał.

– Ja.

– Kiedy, pani, i dlaczego?

– Kiedy mnie mieli w rękę, kiedy mnie przerabiali tak, żebym tańczyła, jak mi zagrają. A dlaczego? Żeby nie móc tańczyć tak, jak mi zagrają! Proszę pomyśleć, panie Axt, gdyby chcieli się mnie pozbyć, zabiliby mnie. Oni chcieli, żebym żyła, rządziła, była królową. Jako królowa miałam wypełniać rozkazy wyciśnięte w moim mózgu, realizować ich zamierzenia. Jestem ich narzędziem, ich maszyną, która czeka, aż ktoś ją włączy. Jedyny sposób, żeby temu zapobiec, to... wyrzucić maszynę.

Axt zrozumiał natychmiast. Była to podstawowa cecha Wysłannika Wspólnoty; poza tym znał dobrze zwyczaje i sprawy Karhidu, napięcia i walki wewnętrzne tego królestwa, w którym zawsze coś się działo. Mimo wielkiej odległości dzielącej Zimę od reszty ludzkości zarówno w przestrzeni, jak i w fizjologii, jej największy naród, Karhidyjczycy, pozostawali lojalnymi członkami Wspólnoty. Raporty Axta omawiano w centrali Wspólnoty, oddalonej o osiemdziesiąt lat świetlnych; równowaga całości zależy od wszystkich części.

– Ale jeżeli ustąpisz, pani, oni nie będą nawet musieli włączać maszyny – powiedział Axt, kiedy zasiedli w wielkich, sztywnych krzesłach na podwyższeniu przed ogniem.

– Jeżeli oddam władzę swojemu dziecku i wybranemu przez siebie Regentowi?

– A może – zauważył Axt ostrożnie – to oni wybrali Regenta za ciebie, pani?

Królowa zmarszczyła czoło.

– Myślę, że nie – powiedziała.

– O kim myślałaś, pani?

Zapanowało dłuższe milczenie. Axt widział, jak napinają się mięśnie szyi Argaven, która stara wydobyć z siebie słowo, imię, pokonując blokadę, ostry skurcz. Wreszcie zduszonym szeptem wyrzuciła:

– Gerer.

Axt skinął głową zaskoczony. Gerer była Regentką przez rok między śmiercią Emran a wstąpieniem na tron Argaven; ambasador znał jej uczciwość i najwyższe oddanie młodej królowej.

– Gerer nie jest związana z żadną frakcją! – powiedział.

Argaven potrząsnęła głową. Robiła wrażenie wyczerpanej. Po chwili spytała:

– Czy wiedza waszych uczonych mogłaby przekreślić to, co tamci ze mną zrobili?

– Bardzo możliwe. W instytucie na Ollul. Ale gdybym jeszcze dziś wieczorem posłał po specjalistę, przybyłby on tutaj za dwadzieścia cztery lata... Jesteś więc pani pewna, że twoja decyzja abdykacji... – Ale służąca, która weszła bocznymi drzwiami, umieściła przy krześle ambasadora mały stolik zastawiając go owocami, plasterkami chlebowego jabłka, srebrnymi pucharami z piwem. Argaven zauważyła, że jej gość nie zdążył zjeść śniadania. Chociaż jadłospis na Zimie, przeważnie jarzyny i przeważnie nie gotowane, wydawał się Axtowi pozbawiony smaku, tym razem zabrał się do jedzenia z wdzięcznością; a ponieważ poważna rozmowa nie przystoi przy posiłku, Argaven zmieniła temat.

– Kiedyś powiedział pan, że chociaż pan i ja różnimy się, i chociaż nasze ludy różnią się od siebie, to jednak jesteśmy związani więzami krwi. Czy to miał być fakt moralny, czy materialny?

Axt uśmiechnął się na to bardzo karhidyjskie rozróżnienie.

– I jedno, i drugie, pani. Z tego co wiemy, a znamy tylko zakurzony kąć na strychu wszechświata, wszystkie napotkane dotychczas cywilizacje są ludzkie. Ale pokrewieństwo sięga milionów lat wstecz, do prehistorii Hainu, kiedy to starożytni Haińczycy zasiedlili setki światów.

– My nazywamy starożytnymi czasy przed rządami mojej dynastii. Siedemset lat temu!

– My też nazywamy Czasy Okupacji starożytnością, a było to niecałe sześćset lat temu. Czas rozciąga się i kurczy; zmienia się w zależności od obserwatora, od wieku, od gwiazdy; jednego tylko nie może: zawrócić biegu... ani się powtórzyć.

– Dążeniem Wspólnoty jest zatem przywrócenie tej prawdziwie starożytnej jedności; powtórne zebranie wszystkich ludów ze wszystkich światów przy jednym ogniu?

Axt skinął głową żując chlebowe jabłko.

– A przynajmniej ustalenie między nimi pewnej harmonii. Życie lubi poznawać siebie aż do najdalszych swoich granic, a uświadomienie sobie własnej różnorodności jest jego największą przyjemnością. Piękne w nas jest to, co nas różni od innych. Dopiero wszystkie światy z ich różnymi formami, sposobami myślenia i życia utworzyłyby wspaniałą, harmonijną całość.

– Żadna harmonia nie trwa długo – zauważyła młoda królowa.

– Nigdy dotychczas jej nie osiągnięto – odparł ambasador. – Cała przyjemność polega na tym, żeby próbować. – Opróżnił swój puchar i wytarł palce w plecioną serwetkę.

– Była to i moja przyjemność, jako królowej. Teraz już nie.

– Czy...

– To już skończone. Proszę mi wierzyć. Będę tu pana trzymać, dopóki mi pan nie uwierzy. Potrzebna mi jest pańska pomoc. Pan jest figurą, o której tamci gracze zapomnieli! Musi mi pan pomóc. Nie mogę złożyć korony wbrew woli Rady. Oni nie zgodzą się na abdykację, zmuszą mnie do panowania i tym samym do służenia moim wrogom! Jeżeli pan mi nie pomoże, pozostaje mi tylko śmierć. – Mówiła spokojnie i logicznie, ale Axt wiedział, ile kosztuje Karhidyczyka samo wspomnienie o samobójstwie, czynie otaczanym największą pogardą. – Trzeciego wyjścia nie ma – powiedziała młoda królowa.

Ambasador szczerzej otulił się grubym płaszczem; było mu zimno. Było mu zimno, odkąd tu przybył, od siedmiu lat.

– Pani – powiedział – jestem obcy na waszej planecie, rozporządzam garstką współpracowników i niewielkim urządzeniem, które pozwala mi porozumiewać się z innymi nieziemcami w odległych światach. Reprezentuję wielką siłę, ale sam nie mam żadnej. Jak mogę ci pomóc, pani?

– Ma pan statek na wyspie Horden.

– Tak, obawiałem się tego – powiedział ambasador z westchnieniem. – Pani, ten statek może dotrzeć do planety Ollul odległej o dwadzieścia cztery lata świetlne. Czy wiesz, pani, co to oznacza?

– Ucieczkę z mojego czasu, w którym stałam się narzędziem zła.

– Nie ma ucieczki – powiedział Axt z nagłą pasją. – Nie, pani. Wybacz, ale to niemożliwe. Nie mógłbym się zgodzić...

Lodowaty wiosenny deszcz bił o kamienne ściany wieży, wiatr zawodził w załomkach dachu. Pokój był cichy i mroczny. Jedno małe, osłonięte światło płonęło przy drzwiach. Niańka spała, pochrapując cicho w swoim łóżku, dziecko leżało w kołysce buzią w dół, tyłeczkiem do góry. Argaven zatrzymała się przy kołysce. Rozejrzała się po pokoju,

właściwie zobaczyła go, poznała bez patrzenia. Ona też tu sypiała jako małe dziecko. Tu było jej pierwsze królestwo. Tutaj też wykarmiła swoje dziecko, swoją pierworodną, siedziała przy ogniu, podczas gdy małe wargi skubały jej pierś, nuciła maleństwu kołysanki, którymi kiedyś Borhub ją usypiała. Tu było centrum, ośrodek wszystkiego.

Bardzo ostrożnie i łagodnie wsunęła dłoń pod ciepłą, wilgotną, pokrytą puchem główkę dziecka i założyła mu łańcuch, na którym wisiał ciężki pierścień z wrytym herbem panów na Harge. Łańcuch był o wiele za długi i Argaven skróciła go węzłem, bojąc się, że dziecko może się zaplątać i udusić. Uwalniając się od tego lęku usiłowała uśmierzyć wypełniający ją większy lęk i przygnębienie. Schyliła się, aż policzkiem dotknęła policzka dziecka i szepnęła bezgłośnie:

– Emran, muszę cię opuścić, nie mogę cię zabrać ze sobą, musisz za mnie panować. Bądź dobra, Emran, żyj długo, rządz mądrze, bądź dobra, Emran...

Argaven wyprostowała się, odwróciła, wybiegła z pokoju w wieży, ze straconego królestwa.

Znała wiele sposobów na wydostanie się z pałacu tak, żeby nikt nie zauważył. Wybrała najpewniejszy i skierowała się przez jasno oświetlone, smagane mokrym śniegiem ulice do Nowego Portu, zupełnie sama.

Tutaj zdjęcia nie ma: nie widać jej. Jakie oko może obserwować proces o jedną stumilionową procentu wolniejszy od szybkości światła? Argaven nie jest teraz królową, nie jest nawet człowiekiem; jest przekazywana. Trudno bowiem nazwać bratnią istotą kogoś, czyj czas płynie siedemdziesiąt tysięcy razy wolniej niż nasz. Jest bardziej niż samotna. Mogłoby się wydawać, że jej w ogóle nie ma, że istnieje w nie większym stopniu, niż nie przekazana myśl; że zmierza, tak jak myśl, donikąd. A jednak ona podróżuje, podróżuje z prędkością prawie równą, ale nigdy nie osiągającą prędkości światła. Ona sama jest podróżą. Szybka jak myśl. Jej wiek się podwoi, kiedy przybędzie, o niecały dzień starsza, do zakątka przestrzeni zwiniętej wokół drobiny zwanej Ollul, czwartej planety żółtawego słońca. I wszystko to odbywa się w całkowitej ciszy.

Teraz z hukiem, z ogniem, wśród meteorycznych błysków, które zadowolilyby karhidyjskie zamięłowanie do wspaniałości, przemyślny statek schodził do lądowania, żeby usiąść w kłębach ognia dokładnie w tym samym miejscu, z którego wystartował przed pięćdziesięciu pięciu laty. Po chwili wystawiona na spojrzenia, niepokazna, niepewna, młoda królowa wychodzi ze statku i stoi przez chwilę na pochylni osłaniając oczy przed blaskiem obcego, gorącego słońca.

Axt oczywiście uprzedził o jej przybyciu, za pomocą natychmiastowego przekaźnika, dwadzieścia cztery lata albo siedemnaście godzin wcześniej, zależnie od tego, jak na to patrzeć, więc przedstawiciele Wspólnoty byli na miejscu, żeby ją powitać. Ci gracze nie przeocząli w swojej wielkiej grze nawet pionków, a ten Gethenianin był przecież królem.

Wyznaczony urzędnik przez jeden rok z tych dwudziestu czterech uczył się karhidyjskiego, żeby Argaven miała z kim rozmawiać.

– Jakie są wieści z mojego kraju? – spytała od razu na wstępie.

– Pan mobil Axt i jego następcy systematycznie nadsyłali sprawozdania oraz różne osobiste komunikaty dla pana; wszystkie materiały znajdzie pan na swojej kwaterze, panie Harge. W wielkim skrócie, regencja Gerer upłynęła spokojnie; w pierwszych dwóch latach panował zastój gospodarczy, w czasie którego wyludniły się osiedla arktyczne, ale obecnie gospodarka jest ustabilizowana. Pański potomek objął tron w wieku lat osiemnastu i panuje od siedmiu lat.

– Rozumiem – odpowiedział ktoś, kto zeszłej nocy całował tego rocznego potomka.

– Kiedy tylko uzna pan za stosowne, panie Harge, specjaliści z naszego instytutu w Belxit...

– Jak panowie uważacie – odparł pan Harge.

Wkroczyli do jej umysłu bardzo łagodnie, bardzo precyzyjnie otwierając drzwi. Do drzwi zamkniętych mieli subtelne instrumenty, które zawsze znajdowały właściwą kombinację; wówczas usuwali się i puszczali ją przodem. Znaleźli osobę w czerni i nie była to Gerer, oraz dobrą Rebade, która nie była dobra; stali z nią na pałacowym balkonie i wspinali się po urwiskach koszmaru do jej pokoju w wieży; wreszcie ta, która miała być pierwsza, postać w czerni i bieli, zbliżyła się do niej ze słowami:

– Najjaśniejsza pani!... spisek na twoje życie... – i pan Harge ocknął się z okrzykiem straszliwego przerażenia.

– Tak, to był zapalnik. Sygnał uruchamiający dalsze instrukcje i określający przebieg choroby: wszczepionej paranoi. Bardzo piękna robota, muszę przyznać. Proszę, niech pan to wypije, panie Harge. Nie, nie, to tylko woda. Mógłby pan zostać wyjątkowo złośliwym władcą, coraz bardziej ulegającym obsesji zamachów i spisków, coraz bardziej odrywającym się od swego narodu. Nie z dnia na dzień, oczywiście. W tym właśnie całe piękno. Dopiero po kilku latach stałby się pan prawdziwym tyranem; choć niewątpliwie przewidziano jakieś wzmocnienia bodźca po drodze, z chwilą stwierdzenia, że Rebade wślizgnęła... wślizgnęła się w pańskie zaufanie... Tak, teraz widzę, dlaczego Karhid ma tak dobrą opinię w Centrum Wymiany. Przepraszam za obiektywizm, ale podobna cierpliwość i umiejętności to prawdziwa rzadkość... – monologował lekarz, naprawiacz umysłów, owłosiony, szarawy, jednopłciowy osobnik ze świata zwanego Cetian, dając pacjentowi czas na odzyskanie równowagi.

– Zatem postąpiłam słusznie – przemówił na koniec pan Harge.

– Tak jest. Abdykacja, samobójstwo lub ucieczka to były jedyne liczące się decyzje, które mógł pan podjąć z własnej, nieprzymuszonej woli. Liczono na weto pańskiego sumienia przeciwko samobójstwu i weto pańskiej Rady przeciwko abdykacji. Ponieważ jednak sami byli opętani ambicją, zapomnieli o możliwości rezygnacji, zostawiając panu jedno wyjście.

Furtkę, z której skorzystać mógł tylko, wybaczy mi pan dosłowność, człowiek o bardzo silnej psychice. Muszę zainteresować się tą drugą waszą techniką psychologiczną, jak to się nazywa, wróżbiarstwo? Myślałem, że to jakieś okultystyczne bzdury, ale widocznie... No dobrze, spodziewam się, że teraz, kiedy uporządkowaliśmy pana przeszłość, będą chcieli porozmawiać z panem w Centrum Wymiany na temat pańskiej przyszłości.

– Kiedy uzna pan za stosowne – powiedział pan Harge.

Rozmawiała z różnymi ludźmi w tym Centrum Wymiany dla Światów Zachodnich, i kiedy jej zaproponowano pójście do szkoły, zgodziła się chętnie, ponieważ wśród tych łagodnych ludzi, których podstawową cechą wydawał się chłodny, głęboki smutek, nie do odróżnienia od ciepłej, głębokiej radości, była królowa Karhide poczuła się barbarzyńcą, kimś ciemnym i nieokrzesanym.

Zacząła uczyć się na Uniwersytet Wspólnoty. Mieszkała w barakach koło Centrum Wymiany w Vaxtsit wraz z dwiema setkami różnych nieziemców, z których żaden nie był hermafrodytą ani była królową. Nie mając nigdy wielu rzeczy należących tylko do niej, ani zbyt wielu chwil samotności, Argaven nie cierpiała na skutek życia w barakach. Okazało się również, że przebywanie wśród istot jedнопłciowych nie jest tak straszne jak myślała, choć ich stan ciągłego *kemmeru* był dla niej dokuczliwy. Znosiła wszystko bez szemrania, studiując rzetelnie i z energią, lecz jednocześnie z jakimś chłodem, jak ktoś, kto myślami jest daleko. Jedyną niedogodnością był upał, straszliwy upał Ollul, wzrastający czasami do trzydziestu pięciu stopni podczas rozpalonej, nie kończącej się pory roku, kiedy przez dwieście dni nie spadał ani jeden płatek śniegu. Nawet gdy wreszcie przyszła zima, Argaven oblewała się potem, gdyż temperatura na dworze rzadko spadała poniżej dziesięciu stopni, a w barakach panował żar – w każdym razie dla niej, bo inni studenci chodzili stale w grubych swetrach. Spała bez przykrycia, nago i rzucała się niespokojnie śniąc o śniegach Kargavu, zamrzniętym Starym Porcie, o lodzie pokrywającym piwo w zimne poranki, o miłym i przejmującym chłdzie Zimy.

Dowiedziała się wiele. Dowiedziała się już, że jej Ziemię tutaj nazywano Zimą, i że Ollul tutaj nazywano Zimą: takie fakty wywracają wszechświat na nice, jak skarpetkę. Dowiedziała się, że dieta mięsna powoduje u ludzi nie przyzwyczajonych biegunkę. Dowiedziała się, że jedнопłciowi osobnicy, o których usilnie starała się nie myśleć jako o zbrodnicach, sami usilnie starali się nie traktować jej, jak osoby zbrodniczej. Dowiedziała się, że kiedy wymawia Ollul jako Orrur, niektórzy się śmieją. Próbowwała oduczyć się bycia królową. Z chwilą gdy Uniwersytet wziął ją w swoje ręce, nauczyła się wielu rzeczy i oduczyła jeszcze więcej. Dzięki wszystkim maszynom, urządzeniom, doświadczeniom i – co najprostsze i najtrudniejsze – słowom, jakimi rozporządzała Wspólnota, poczuła, czym mogłoby być zrozumienie ducha i historii królestwa, trwającego przeszło milion lat i obejmującego tryliony kilometrów. Kiedy zaczął do niej docierać bezmiar tego królestwa ludzkości oraz ciągle cierpienie i wciąż powtarzające się marnotrawstwo jego historii, zaczęła

również widzieć to, co leżało poza jego granicami w czasie i przestrzeni, wśród nagich skał, płonących słońc i rozjarzonej pustki ciągnącej się bez końca; dostrzegła źródła radości i pogody, niewyczerpane ich zasoby. Poznała wiele różnorodnych faktów, liczb, mitów, eposów, proporcji, stosunków i tak dalej, a poza granicami tego, czego się dowiedziała, ujrzała znów wspaniały bezmiar nieznanego. To rozszerzanie horyzontów było źródłem wielkiego zadowolenia, ale Argaven pozostała nie zaspokojona. Nie zawsze pozwalano jej zagłębiać się tak daleko, jak chciała, w pewne dziedziny, w matematykę, w cetiańską fizykę.

– Późno pan zaczął, panie Harge – mówili. – Musimy budować na istniejących fundamentach. Poza tym chcemy skupić się na przedmiotach, które mogą się panu przydać.

– Przydać? Do czego?

Oni (w danej chwili reprezentował ich etnograf, pan mobil Gist) spojrzeli na nią sardonicznie.

– Czyżby uważał się pan za człowieka bez przyszłości?

– Tak uważam – odparł w nagłym przypiływie gniewu opanowany zazwyczaj pan Harge.

– Król bez królestwa – powiedział Gist z bezbarwnym terrańskim akcentem. – Banita z własnej woli, uznany za zmarłego, ma prawo czuć się trochę niepotrzebny. Ale po co w takim razie zawracaliśmy sobie panem głowę?

– Z dobroci.

– O, dobroć... Choćbyśmy byli nie wiem jak dobrzy, nie możemy zapewnić panu szczęścia. Z wyjątkiem... No cóż, każde marnotrawstwo jest grzechem. Byłby pan bez wątplenia właściwym królem dla Zimy, dla Karhidu, dla celów Wspólnoty. Ma pan poczucie równowagi. Mógłby pan nawet doprowadzić do zjednoczenia planety. Na pewno nie rządziłby pan terrorem i nie prowadził do rozbicia kraju, jak to robi obecny król. Cóż za marnotrawstwo! Niech pan tylko zważy nasze nadzieje i potrzeby, panie Harge, a także swoje kwalifikacje, zanim zacznie pan użalać się nad swoją bezużytecznością. Ma pan przecież przed sobą czterdzieści do pięćdziesięciu lat...

Ostatnie zdjęcie w promieniach obcego słońca: wyprostowana postać nieokreślonej płci, w szarym płaszczu haińskiego kroju stoi spływając potem na zielonym trawniku obok Generalnego Przedstawiciela Wspólnoty na planety zachodnie, stabila Hoalansa z Alb, który może (jeżeli zechce) ingerować w losy czterdziestu światów.

– Nie mogę kazać panu tam wracać – mówi stabil. – Pańskie własne sumienie...

– Dwanaście lat temu zrezygnowałem z królestwa na rzecz sumienia. Dostało, co mu się należało. Starczy tego dobrego – mówi Argaven Harge. Potem nagle wybucha śmiechem, zarażając nim stabila. Rozstają się w zgodzie, jaką starają się zaszczerpić między ludźmi władze Wspólnoty.

Wyspa Horden u południowych wybrzeży Karhidu została oddana Wspólnocie za panowania Argaven XV. Nikt tam nie mieszkał. Co roku nowe pokolenia wodołazów wczołgiwały się na nagie skały, składały i wysiadywały jaja, karmiły młode i prowadziły je gęsiego z powrotem do morza. Ale raz na dziesięć czy dwadzieścia lat ogień osmalał skały, morze wokół wyspy kipiało i wodołazy, które znalazłyby się wówczas na wyspie, musiałyby zginąć. Kiedy morze przestało się gotować, podpłynął kuter ambasadora. Kosmolot przerzucił ażurowy stalowy trap na pokład kutra i dwie osoby wkroczyły nań z dwóch końców, żeby spotkać się pośrodku, w połowie drogi między wodą a lądem, symboliczne spotkanie.

– Ambasador Horrsed? Jestem Harge – powiedział ten, kto wyszedł z kosmolotu, lecz ten z kutra padł już na kolana, wołając głośno po karhidyjsku:

– Bądź pozdrowiona, Argaven z Karhidu!

Powstając ambasador dodał pośpiesznym szeptem:

– Przybywasz, pani, pod własnym imieniem. Wyjaśnię przy pierwszej sposobności.

W dole, za jego plecami, stała na pokładzie kutra spora grupa osób, wpatrujących się z napięciem w nowo przybyłą postać. Wszystkie były Karhidyjkami sądząc z wyglądu; wiele było w podeszłym wieku.

Argaven Harge stała przez minutę, dwie, trzy, wyprostowana i doskonale nieruchoma, chociaż jej szary płaszcz trzepotał na zimnym, morskim wietrze. Potem spojrzała raz na zachód, na matowe słońce, raz na północ, na szary ląd za wodą, wreszcie znów na milczące postacie zebrane w dole na pokładzie. Ruszyła wprost przed siebie tak nagle, że ambasador Horrsed musiał w pośpiechu usunąć się z drogi. Argaven podeszła prosto do jednej ze starszych osób na pokładzie.

– Czy jesteś Ker rem ir Kerheder?

– Tak jest.

– Poznałam cię po suchej ręce, Ker. – Mówiła równym głosem, nie sposób było odgadnąć jej uczuć. – Nie potrafiłabym po sześćdziesięciu latach poznać cię z twarzy. Czy znałam jeszcze kogoś z was? Jestem Argaven.

Milczały. Patrzyły.

Nagle jedna z nich, wysuszona i poryta wiekiem, jak drewno, które przeszło przez ogień, zrobiła krok do przodu.

– Pani, jestem Bannith ze straży pałacowej. Uczyłam cię, ja byłam instruktorem, a ty dzieckiem, małym dzieckiem. – Siwa głowa skłoniła się gwałtownie, w hołdzie, a może, żeby ukryć łzy.

Potem wystąpiła druga, trzecia. Skłaniające się głowy były siwe lub łyse; głosy pozdrawiające królową drżały. Ker z suchą ręką, którą Argaven знаła jako nieśmiałego trzynastoletniego pazia, odezwała się z ogniem do tych, którzy jeszcze stali bez ruchu.

– To jest królowa. Mam oczy, które widziały i widzą teraz. To jest królowa!

Argaven przeszła wzrokiem po wszystkich twarzach, tych pochylonych i nie pochylonych.

– Jestem Argaven – powiedziała. – Byłam królową. Kto teraz rządzi Karhidem?

– Emran – odpowiedział czyjś głos.

– Moje dziecko Emran?

– Tak, pani – odparła stara Bannith. Większość twarzy nie zdradzała żadnych uczuć, lecz Ker swoim pełnym napięciem, drżącym głosem zawołała: – Argaven, Argaven włada Karhidem! Dożyłam do powrotu lepszych dni. Niech żyje królowa!

Jedna z młodszych spojrzała na pozostałe i rzuciła z determinacją.

– Niech tak będzie. Niech żyje królowa! – I wszystkie głowy schyliły się w pokłonie.

Argaven przyjęła ich hołd niewzruszona, lecz gdy tylko znalazła się sam na sam z ambasadorem Horrsedem, spytała:

– Co to ma znaczyć? Co się stało? Dlaczego wprowadzono mnie w błąd? Powiedziano mi, że mam tu przyjechać do pomocy panu, jako przedstawicielowi Wspólnoty...

– To było dwadzieścia cztery lata temu – powiedział ambasador tonem usprawiedliwienia. – Ja jestem tu zaledwie od pięciu lat, o pani. Bardzo źle się dzieje w Karhidzie. Królowa Emran w zeszłym roku zerwała stosunki ze Wspólnotą. Nie wiem, jaki cel miał stabil, kiedy panią tu wysyłał, ale teraz grozi nam utrata Zimy. Dlatego też z Hain zaproponowano, abyśmy wysunęli własną królową.

– Ale ja umarłam – powiedziała Argaven. – Umarłam sześćdziesiąt lat temu!

– Król umarł – powiedział Horrsed. – Niech żyje król.

Zbliżyła się grupa Karhidyjek i Argaven podeszła do burty, odwracając się od ambasadora. Szare fale pieniły się i uciekały po bokach statku. Łąd mieli teraz z lewej strony, szarość z plamami bieli. Dzień był chłodny: początek zimy w epoce lodowcowej. Maszyny kutra mruczały z cicha. Argaven nie słyszała tego pomruku elektrycznego silnika przez dwanaście lat; był to jedyny rodzaj napędu stosowany w powolnym i stabilnym Wieku Techniki w Karhidzie. Odgłos ten sprawiał jej wielką przyjemność.

– Dlaczego płyniemy na wschód? – spytała nie odwracając głowy, jak ktoś przywykły od dziecka, że zawsze otrzyma odpowiedź.

– Udajemy się do Kermu.

– Dlaczego do Kermu?

Jedna z młodszych osób w orszaku pośpieszyła z odpowiedzią.

– Ponieważ ta część kraju podniosła bunt przeciwko... przeciwko królowej Emran. Ja jestem z tamtych stron: Perreth ner Sode.

– Czy Emran jest w Erhenrangu?

– Erhenrang został zajęty przez Orgotów, sześć lat temu. Królowa przebywa na wschód od gór w nowej, a właściwie w starej stolicy, Rer.

– Emran straciła Nizinę Zachodnią? – spytała Argaven odwracając się całą postacią do młodej, krępej szlachcianki. – Straciła Nizinę Zachodnią? Straciła Erhenrang?

Perreth cofnęła się o krok, ale odpowiedziała bez zwłoki.

– Od sześciu lat kryjemy się za górami.

– Orgotowie w Erhenrangu?

– Królowa Emran pięć lat temu podpisała z Orgoreyn traktat oddający im prowincje zachodnie.

– Haniebny traktat, najjaśniejsza pani – wtrąciła stara Ker głosem jeszcze bardziej drżącym i pełnym napięcia niż zwykle. – Traktat głupoty! Emran tańczy tak, jak jej w Orgoreyn zagrają. My wszyscy tutaj jesteśmy buntownikami, wygnańcami. Ambasador też jest na wygnaniu, ukrywa się!

– Nizina Zachodnia – powiedziała Argaven. – Argaven I zdobyła ją dla Karhidu siedemset lat temu... – Spojrzała po otaczających ją twarzach swoim dziwnym, byстрыm, dalekim spojrzeniem. – Emran... – zaczęła i urwała. – Jaką siłą rozporządzacie w Kerm? Czy Pomorze jest z wami?

– Większość klanów Południa i Wschodu jest po naszej stronie.

Argaven umilkła na chwilę.

– Czy Emran miała dzieci?

– Nie wydała ani jednego ze swego łona, najjaśniejsza pani – odpowiedziała Bannith. – Spłodziła sześcioro.

– Wyznaczyła następczynią tronu Girvry Harge rem ir Orek – dodała Perreth.

– Girvry? A cóż to za imię? – powiedziała Argaven. – Królowe Karhidu noszą imiona Emran i Argaven.

Następne zdjęcie jest ciemne, zrobiono je przy blasku ognia, ponieważ elektrownie w Rer są zdewastowane, linie wysokiego napięcia poprzecinane i pół miasta objęte jest pożarem. Pada gęsty śnieg błyskając czerwono przez chwilę, zanim stopi się w powietrzu z cichym sykiem.

Śnieg, lód i oddziały partyzanckie utrzymywały wojska Orgotów na zachód od gór Kargav. Nikt nie pośpieszył na pomoc starej królowej Emran, kiedy kraj powstał przeciwko niej. Jej strażę rozbiegły się, jej stolica płonie i teraz na koniec znalazła się twarzą w twarz z uzurpatorką. Ale zachowała do końca coś z rodzinnej nieokielznanej dumy. Nie zwraca uwagi na buntowników. Patrzy na nich niewidzącymi oczami, leżąc w mrocznym korytarzu, oświetlonym odbłaskiem dalekich pożarów w lustrach, a w dłoni trzyma jeszcze pistolet, z którego się zabiła.

Pochyliwszy się nad ciałem Argaven unosi tę zimną dłoń i zaczyna zdejmować ze zniekształconego wiekiem palca masywny, złoty pierścień. Ale nie robi tego.

– Zatrzymaj go sobie – szepcze – zatrzymaj.

Na moment schyla się jeszcze niżej, jakby szeptała coś do martwego ucha albo chciała przyłożyć policzek do zimnej, pomarszczonej twarzy. Potem prostuje się i stoi przez chwilę, a wreszcie rusza przez mroczne korytarze, mijając okna ukazujące obraz zniszczeń, idzie doprowadzić swój dom do porządku: Argaven, królowa Zimy.

Przełożył Lech Jęczmyk

O autorze

Ursula K. Le Guin (ur. 1929) amerykańska pisarka fantasy i science fiction, urodziła się w Kalifornii w rodzinie antropologa, Alfreda Kroebera i pisarki Theodory Kroeber. Jej ojciec był znanym naukowcem, w Polsce ukazały się jego legendy indiańskie, *Ninawa*, *wieloryb lądowy*. Le Guin dorastała w domu, gdzie o antropologii mówiło się dużo i wychowywano ją w poszanowaniu dla różnorodności kultur. Tło kulturowe jest bardzo widoczne w jej twórczości. Studiowała m.in. we Francji, gdzie poznała swojego męża, historyka Charlesa Le Guin.

Debiutowała w latach 60. i dość szybko zdobyła popularność opowiadaniem i powieściami z serii Ekumena. Drogę do wielkiej kariery zapewniła jej powieść z tego cyklu, *Lewa ręka ciemności*, za którą otrzymała Hugo i Nebulę. Później te nagrody otrzymała jeszcze wielokrotnie.

W historii przyszłości stworzonej przez Le Guin prastara cywilizacja Hain dała początek wszystkim znanym we wszechświecie cywilizacjom. Z czasem dawne kolonie straciły kontakt z metropolią i z sobą nawzajem, rozeszły się kulturowo, a nawet biologicznie. Potem kontakt został ponownie nawiązany i równoprawne cywilizacje utworzyły Wspólnotę. Kontakty są możliwe dzięki statkom poruszającym się z prędkościami świetlnymi (wg Le Guin niemożliwe jest jej przekroczenie i prędkości relatywistyczne stwarzają duży problem dla gwiazdnych podróżników) i ansiblom – aparatom pozwalającym na natychmiastowe porozumienie się na prawie dowolną odległość – wynalezionym przez Sheveka z powieści *Wydzieńczeni*. W powieściach Le Guin najważniejsza jest nie akcja, lecz psychologia bohaterów.

W Polsce jej twórczość jest bardzo dobrze znana, choć opowiadania ukazują się ostatnio rzadko. Znamy cały cykl Ekumena, a także bardzo popularny cykl fantasy Ziemiomorze, zapoczątkowany słynnym *Czarnoksiężnikiem z Archipelagu*.

Do najsłynniejszych jej opowiadań należą te z serii Ekumena, poruszające ważne kwestie społeczne, jak „Dzień przed rewolucją” (Nebula), „Ci, którzy odchodzą z Omelas” (Hugo), „Królowa Zimy” czy „Samotność” (Nebula).

IAN WATSON

W duchu Lukrecjusza

Ian Watson wpada chyba jako pierwszy na genialny pomysł poważnego potraktowania teorii naukowej. Co by było, gdyby świat rzeczywiście działał według teorii aktualnie uznanej za prawdziwą. Poemat Lukrecjusza był w swoim czasie popularnym wykładem naukowego światopoglądu. Watson skłania nas do zastanowienia się nad teoriami, które dziś uważamy za prawdziwe. Znajdujemy też w tym krótkim, a treściwym opowiadaniu myśl o wiecznej sztuce i przemijającej nauce.

Wykorzystywanie matrycy określonego poglądu naukowego jako tła do budowania powieści jest dziś specjalnością Jacka Dukaja.

W duchu Lukrecjusza

Gdy tylko Lukrecjusz, goły jak święty turecki, zmaterializował się w ognisku Pola Roseberry'ego, podbiegł do niego jeden z techników i zarzucił mu na ramiona płaszcz kąpielowy. Drugi technik zaopatrzył starożytnego Rzymianina w parę sandałów.

Ubranie się w prawdziwą togę wymaga co najmniej pół godziny, płaszcz kąpielowy musiał więc na razie wystarczyć.

Potem podszedł Jim Roseberry, żeby powitać czcigodnego gościa i wyjaśnić – po łacinie – sytuację. Jim autentycznie promieniował dobroduszością; czuło się, że można mu ufać. Z tymi jasnymi, błękitnymi oczami, leniwym krokiem i nastroszoną aureolą szpakowatych włosów wyglądał jak przyjaźnie nastawiony miś, który tylko pragnie was uściskać.

– Mistrzu – oświadczył – witaj! Ludzie przyszłości pozdrawiają ciebie, który masz umrzeć. Dzięki naszej nauce porwaliś cię z łoża śmierci, aby uczcić twoją mądrość... – I tak dalej.

Tytus Lukrecjusz Karus słuchał z przekrzywioną głową. Był to niski, chudy jegomość z ondulowanymi, piętrowymi lokami nad szerokim, pobrużdżonym czołem. Nos miał długi i cienki, żywe piwne oczy kryły się pod delikatnymi powiekami.

Nie wyglądał na kogoś umierającego, ale Jim wytłumaczył mi poprzedniego wieczoru, że przy porwaniu umierającego z kontinuum i przedłużeniu jego ostatnich chwil o siedem dni w terażniejszości, Efekt Roseberry'ego skutecznie ożywia delikwenta na czas jego wizyty u nas.

Co do mnie, to początkowo przypuszczałem, że zmartwychwstańcy nie są wcale prawdziwymi ludźmi, ale raczej czymś w rodzaju ektoplazmy, jak duchy na seansach spirytystycznych. Jim zapewnił mnie, że nie – mają autentyczne ciało i krew. I że gdybym była jak on topologiem kontinuum, rozumiałabym dlaczego.

Autentyczne ciało i krew: to poddało mi parę pomysłów na ożywienie programu. Bo, oczywiście, dla nas, ludzi z telewizji, kłopot polegał na tym, że wykłady Laureatów Nagrody Roseberry'ego nie stanowiły, łagodnie mówiąc, bombowego materiału. Naturalnie wiadomość o Efekcie Roseberry'ego i jego fantastycznym zapleczu naukowym wywołała sensację. Ale z kontynuacją programu był kłopot. Charles Darwin okazał się zwyczajnie nieciekawym, co zaś do drugiego zmartwychwstańca, Galileusza... no cóż, tłumaczenie komputerowe w monotonnym języku maszynowym to prawdziwy środek nasenny, a nie mogliśmy oczekiwać, że miliony widzów wypożyczą sobie sprzęt hipnopedyczny, żeby

poznać język starożytny. Jedyne plotki, że Jim myśli o ożywieniu Jezusa Chrystusa skłoniły nas do zakupienia praw telewizyjnych do Lukrecjusza, żeby zachować opcję na następne wskrzeszenia. Bo przecież kogo obchodzi Lukrecjusz i co on ma do powiedzenia światu?

W ten oto sposób wylądowałam jako reżyser tego programu. Jedyne wyjście było skoncentrowanie się na sprawach osobistych, na tygodniu, który ten stary Rzymianin miał spędzić po wykładzie z rodziną Roseberry'ego. Teraz wiedziałam już, że wydobyć osobistego charakteru tej wizyty będzie zależało wyłącznie ode mnie.

Z chwilą, gdy minął pierwszy szok, Lukrecjusz podszedł do całej sprawy wskrzeszenia z godnym podziwu spokojem – choć z mojego punktu widzenia nie byłoby korzystne, gdyby zachowywał taki spokój przez cały tydzień.

Na razie przeszliśmy wszyscy z pokoju wskrzeszeń z płataniną kabli, aparatem matrycy czasoprzestrzennej i innymi cudami do sąsiedniego pomieszczenia z kanapkami, ciasteczkami i colą przed udaniem się na wykład...

...który Muhammed i Carl posłusznie sfilmowali i nagrali. Lukrecjusz stojąc na podium dzielił się z zaproszonym audytorium swoimi poglądami na temat teorii atomów i natury wszechświata. Było jasne, że 99 albo całe 100 procent materiału trzeba będzie wyrzucić. Myślałam z Tonym, który teraz pracował w domu Roseberry'ego, znajdującym się na terenie Instytutu, rozmieszczając w nim automatyczne minikamery i ukryte mikrofony według mojej specyfikacji.

Po chwili zaczęłam obserwować Jima Roseberry'ego i zwróciłam uwagę, jak uśmiecha się do siebie, co jakiś czas słuchając wykładu, jak potakująco kiwa głową.

Pomyślałam, że coś jest z Jimem niezupełnie w porządku...

Później, kiedy rozeszło się audytorium złożone z laureatów Nobla i innych grubych ryb, poszliśmy ścieżką między rododendronami do domu Roseberry'ego, zostawiając za sobą lustrzane szyby i beton Instytutu: tylko Jim, Lukrecjusz i ja. Rzecz jasna, w asyście Carla i Muhammeda, którzy utrwalali każdą bezcenną chwilę.

Lukrecjusz albo nie był przyzwyczajony do naszych nowoczesnych sandałów, albo z opóźnieniem odczuł szok, bo już po chwili potknął się i wpadł na mnie. Skorzystałam z okazji, żeby go wziąć pod rękę.

– Czy to prawda, mistrzu, że oszalałeś po wypiciu napoju miłosnego? – szepnęłam. (Było to coś, co, ku mojej radości, wygrzebała moja asystentka Karen. Nasz Rzymianin podobno umarł w ataku szału nadużywając afrodyzjaków. Niezależnie od tego zawsze był typem maniakalno-depresyjnym, stale przerzucającym się od ekstazy z powodu uroków świata do ponurego przerażenia nieustanną rzezią. Chociaż bardzo starał się zachować filozoficzny spokój).

– Na litość boską! – syknął Jim, usłyszawszy. Lukrecjusz spojrzał na Jima z wyrzutem.

– Czy wciąż jeszcze wierzysz w bogów?

Przez cały czas ścisnął mnie za rękę. Widocznie moje wysokie buty, miniszorty i stanik zrobiły na nim wrażenie. Licho wie, co myślał o Muhammedzie kręcącym się wokół nas z kamerą. Czarny niewolnik z wachlarzem?

Na kolację tego pierwszego wieczoru zostały zaproszone dwie osoby z popołudniowego audytorium: gruby astrofizyk Max Stein oraz Ingrid Langholm, specjalistka od fizyki cząsteczkowej, która przyszła w długiej pomarańczowej sukni z organdyowymi wstawkami dyskretnie odsłaniającymi ciało. Nasza gospodyni, Martha Roseberry, była kobietą zdecydowanie rubensowską: tęgą, różową i upudrowaną. Córka, Harmony, przemądrzała nastolatka, była również pulchna i na dodatek pryszczata z powodu zamięłowania do tłustych racuszków. Obie, matka i córka, wyraźnie traktowały Jima, jak pierwszego po Bogu.

Muhammed i Carl udali się do pobliskiego motelu; Tony został odesłany do kuchni, skąd japońska służąca Machiko donosiła napoje i wyroby filipińskiego kucharza. Za każdym razem, kiedy Machiko wchodziła do pokoju, Lukrecjusz z zadziwieniem obserwował jej wschodnie rysy. Wreszcie między wędzonym łososiem a szparagami spytał, czy to Egipcjanka, na co Jim wybiegł do swojego gabinetu, by wrócić z globusem: jeszcze jednym nowoczesnym cudem, który miał olśnić naszego Rzymianina, na dodatek do światła elektrycznego, telewizji i toalety z bieżącą wodą. Słuchając opowieści Jima o tym, jak to zbadaliśmy i odwzorowaliśmy każdy cal Ziemi, a nawet dotarliśmy na Księżyc, zaczęłam rozumieć, co w nim jest podejrzanego.

Epokowy wynalazek Jima pozwalał wrywać dawnych geniuszy z ich czasów, rzekomo, żeby ich uhonorować i zapewnić, że przyszłe pokolenia doceniają trud ich życia. Ale potem Jim mógł (bardzo grzecznie) wykazać im, gdzie się pomylili albo czego nie zrozumieli. I o ile więcej wiemy teraz. „Brawo, chłopcze, niewiele się pomyliłeś! Byłeś na dobrej drodze, brawo! Ale...”

To dlatego wybierał do wskrzeszania uczonych. Artyści jak Mozart albo Szekspir nie daliby się zbić z tropu; uczonemu można było zaimponować wyższą wiedzą. W ten sposób Jim Roseberry zyskiwał przewagę nad Darwinem, Galileuszem, czy kim tam jeszcze.

Lukrecjusz był wprawdzie poetą, ale jego poezja miała jedynie popularyzować naukę. Był w starożytnym Rzymie kimś w rodzaju Carla Sagana.

Następnie podano beef Strogonoff z pilawem. Max Stein pochłonął trzy porcje, ale Lukrecjusz tylko swoją rozgrzebał.

– Jak ci smakuje jedzenie, mistrzu Lukrecjuszu? – spytała Martha po łacinie. (Wszyscy, oczywiście, spędzili noc pod urządzeniem hipnopedycznym).

– Gorzkie – odpowiedział. – Kwaśne.

Podawała mu solniczkę. Harmony zademonstrowała jej użycie. Lukrecjusz spróbował i skrzywił się.

– Czy szorstkie atomy kaleczą twój język? – spytał Jim z błyskiem rozbawienia w oku.

Na szczęście burgund zyskał uznanie gościa.

Przy deserze (mus cytrynowy i racuch dla Harmony) rozmowa zeszła na elektryki i kwarki oraz Wielki Wybuch. Ingrid Langholm wykazała dużo pomysłowości przy tworzeniu łacińskich słów opisujących, co się dzieje, kiedy rozpada się to, co niepodzielne. Nadeszła kawa i koniak, i Lukrecjusz krzywiąc się zażądał drugiego koniaku. Wciąż jeszcze zachowywał spokój, ale na jak długo? Siedziałam obok niego niewinnie ocierając się nogą o jego płaszcz kąpielowy. (Dzisiaj było za wcześnie. Może następnej nocy...).

Wtedy usłyszałam grzmot. Jim zerwał się i poszedł rozchylić zasłony. Za oknem była czarna, bezksiężycowa noc, bez jednej gwiazdy. Wiatr jakby się nasilał.

– Szykuje się paskudna pogoda – powiedział Jim.

Max spojrzał na zegarek i wstał.

– Czas na mnie! – Wyciągnął rękę do Lukrecjusza. – Naprawdę miło było z tobą rozmawiać, mistrzu!

– Mnie również – powiedziała Ingrid i też wstała.

Lukrecjusz popatrzył na wyciągniętą dłoń Maxa.

– Nie trzeba – powiedział. – Nie czuję potrzeby wymiotowania.

– Boże! – jęknęła Martha.

– Rzymskie uczyty były tak obfite, mamó, że goście zwykle musieli wymiotować między daniami – wyjaśniła Harmony.

– Więc to była uczta? – spytał Lukrecjusz. – Jeżeli tak, to podziwiam jej skromność, jeżeli nie smak.

– Niech mnie diabli! – rzuciła Martha. Przyjęcie dobiegło końca.

Spędziłam okropną noc w jednym z pokoiów gościnnych. Budziła mnie nawracająca burza. Co godzina rozlegały się od nowa grzmoty i światło błyskawic przeciskało się przez zasłony. Prawie bez przerwy wyl upiorny wiatr. Kilkakrotnie zdawało mi się, że słyszę czyjś krzyk lub skrzek sowy. Czułam się jakoś zagrożona i schowałam się z głową pod elektryczną koldrę, mimo że było mi tam za gorąco.

Kiedy wstałam rano, wiatr szalał nadal. Przez niebo pędziły ogromne galeony obłoków, ich żagle piętrzyły się aż gdzieś do stratosfery.

Okno mojej sypialni wychodziło na zagajnik, który oddzielał nas od autostrady. Wśród szarej zieloności dostrzegłam coś jaskrawopomarańczowego.

Nagle wydało mi się, że cała grupa drzew, na które patrzę jakby... ruszyła ku mnie, zrzucając welon za welonem, które frunęły w moją stronę. Odczuwałam zetknięcie z każdą cienką kopią krajobrazu jak fizyczne uderzenie po oczach. To, na co patrzyłam, wysyłało ku mnie swoją powierzchnię. Przez chwilę pomyślałam, że to nawrót halucynacji narkotycznych sprzed lat, ale potem skoncentrowałam się na tej pomarańczowej plamie.

To była Ingrid Langholm na drzewie.

Halucynacja? Chyba jednak nie.

Ubrałam się pośpiesznie i poszłam obudzić Tony'ego i Jima Roseberry'ego. Jeżeli Ingrid spędziła całą noc na drzewie podczas burzy, to niewątpliwie miała po temu jakieś uzasadnienie.

Kiedy wracaliśmy do domu podtrzymując słaniającą się Ingrid w podartej sukni, Martha Roseberry nie zważając na pogodę wyszła nam naprzeciw w szlafroku. Lukrecjusz w swoim płaszczu kąpielowym był tam również.

– Co się stało? – krzyknęła Martha.

– Nawaliło mi przednie koło – jęknęła Ingrid. – Dętka.

– Popsuło się koło w jej rydwaniu – wyjaśnił po łacinie Jim, pamiętając o obowiązkach gospodarza.

– Nie miałam latarki... Chciałam wrócić... i wtedy ten cholerny lew...

– Lew zapędził ją na drzewo i potem kręcił się w pobliżu.

– Lwy boją się piania koguta – zauważył z miną mędrca Lukrecjusz.

– Co? – zdziwiła się Martha.

– Dlatego uciekł o świcie. Świnie nie znoszą pachnideł i majeranku, a lwy boją się koguta. – Lukrecjusz przyglądał się biednej Ingrid z ponurą satysfakcją. Jej wieczorowa suknia była przemoczona i podarta. Makijaż spłynął, włosy opadły jej na twarz mokrymi kosmykami. Wyglądała jak ostatnia gałganiara.

W tym momencie twarz Ingrid oderwała się i popłynęła do mnie, potem jeszcze raz i jeszcze raz. Wyglądało to tak, jakby miała nieskończoną liczbę masek, które kolejno odklejają się i fruną w powietrzu bez straty dla niej. Martha również z niedowierzaniem przetarła oczy.

Tymczasem Jim był pochłonięty wpatrywaniem się w rozszalałe niebo. Drżącą ręką wskazał w górę. Z chmury szczyrzyła się na nas olbrzymia twarz, która zmieniła się w ryczącą paszczę lwa, a potem rozpłynęła się kapiąc jak wosk.

– Widzieliście to?

– Czasami na niebie samoczynnie powstają cienkie błony obrazów – podpowiedział Lukrecjusz.

Jakby tego było mało, dwie sąsiednie jodły nagle stanęły w ogniu. Jim zbliżył się do Lukrecjusza.

– A w takim razie, co jest powodem tego?

– Wiatr pociera drzewo o drzewo. Zapalają się od tarcia.

Nieustanne smagnięcia wiatru wstrząsały atomami mojego ciała i umysłu z taką szybkością, że czułam się, jakbym całą noc nie spała. Traciłam gęstość i potrzebowałam jedzenia, żeby zapełnić ubytki. (Jakaś część mnie pytała inną część „Co też mi przychodzi do głowy? Wstrząsać atomami? Tracić gęstość?”). Moje ręce i nogi drżały. Nie zauważyłam skradającej się w trawie żmii, dopóki Tony nie ostrzegł mnie okrzykiem.

Natychmiast trąciłam mojego ducha, żeby wprawił w ruch moje ciało. (Co ja plotę?). Lukrecjusz od niechcienia splunął na żmiję. Ta w jednej chwili skrzyła się, ugryzła własny ogon i znieruchomiła.

Lukrecjusz zaśmiał się z satysfakcją.

– Na szczęście była z tych, które ludzkie splunięcie zabija.

Chwiałam się na nogach. W piecu zderzających się chmur zbierały się ziarna ognia. Nagle wystrzelił z nich piorun i uderzył w ziemię, całkiem blisko nas.

– Co się tu u diabła dzieje? – krzyknął Tony.

– Muszę szybko coś zjeść – zwróciłam się do Marthy. – Bardzo proszę! Straciłam zbyt wiele atomów i mój duch słabnie.

– Czy zaczęłaś jakąś nową terapię? – spytała Martha z błyskiem zainteresowania.

– Lepiej wejdźmy czym prędzej do środka – poradził Jim.

Jedliśmy wafle z syropem klonowym; gładkie atomy syropu sprawiały chyba przyjemność podniebieniu Lukrecjusza. Wkrótce burza zaczęła się uspokajać.

Jim posyłał mi przez stół złowrogie spojrzenie.

– Co się dzieje? Powiem ci, co się dzieje. Te „błony”, które odrywają się od powierzchni i uderzają o twoje oczy, to sposób, w jaki według naszego przyjaciela działa zmysł wzroku. A my widzimy to tak, jakby to się działo naprawdę. I tak samo jest z całą resztą tych wariactw! Udziela nam się jego widzenie świata. Jakimś cudem to się... uzewnętrznia. I powiem ci dlaczego. Bo go podnieciłaś! Tym, jak jesteś ubrana. Albo raczej rozebrana!

– A cóż złego jest w szortach i staniczku? Co innego, gdybym przyszła tylko pomalowana.

– Obserwowałem cię przy kolacji. Wywołałaś w nim atak gorączki miłosnej.

– Co to takiego? – spytała Harmony.

– Czy musimy o tym mówić przy naszym gościu? – powiedziała uspokajająco Martha.

– A, do diabła z tym. – Mówiłam z głębi siebie. Językiem przycinałam dźwięki w słowa, kształtowałam je wargami. (Przynajmniej tak to odczuwałam). – Do diabła z moim strojem i moralnością! Ważne jest, jak to, co się z nami dzieje, jest możliwe?

– To jest jego wyobrażenie o świecie wzięte dosłownie... i doprowadzone do absurdu... Widocznie jakiś uboczny skutek Efektu Roseberry’ego, którego nie wziąłem pod uwagę. Z Darwinem, a nawet z Galileuszem znajdowaliśmy się generalnie na tej samej długości fali... nowoczesnego światopoglądu naukowego – plółł Jim.

Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu.

– Zamiast więc pouczenia Lukrecjusza, to on dostosowuje rzeczy do swoich niedowarzonych starożytnych poglądów? No wiesz, tego już za dużo!

Jim pobladł.

– Przepraszam. Muszę załatwić kilka telefonów.

Harmony posłała mi mordercze spojrzenie i wybiegła za ojcem. Miałam nadzieję, że ukryte kamery i mikrofony działają i wszystko to nagrywają. Pod nieobecność Jima Ingrid, zawinięta w zapasowy płaszcz kąpielowy, piła kubek za kubkiem gorącej kawy. Po chwili Lukrecjusz odkaslnął, pewnie, żeby oczyścić gardło z kleistych atomów.

– Rzeczywiście, muszę przyznać, że czułem atak miłosnej gorączki. Czy nigdy nie osiągniemy stanu równowagi? Czy nigdy nie damy posłuchu słowom Mistrza?

– Jakiego Mistrza? – spytała Ingrid.

– Epikura.

– Aha.

– A jednak... jeżeli skoncentrować się na wadach kobiety... niezależnie od tego, jak piękna wydawała się z początku... – Spojrzał przeciągle na Ingrid, która po nocy na dworze przypominała utopionego szczura. A ja, ku swojemu rozczarowaniu, zrozumiałam, że ona podziałała na Lukrecjusza bardziej niż ja.

Może to i lepiej! W przeciwnym razie to ja mogłabym wyglądać teraz tak jak ona. A jednak żmija skradała się do mnie... Mogłam sobie niemal wyobrazić jak puchnę i bredzę, a z moich wnętrzności płynie czarna wydzielina... Skąd mi się biorą takie myśli? Nie wolno mi tak myśleć!

Po chwili wrócił Jim, a za nim Harmony.

– Telefon działa. Te małe atomy nadal biegają po drutach. Anomalie mają charakter czysto lokalny. – Usiadł i początkowo unikał mojego wzroku, dlatego że go przejrzałam. – Zastanawiałem się, jaki to ma zasięg.

– Ja też – powiedziała Ingrid. – Gdyby był tu zamiast Lukrecjusza Jezus Chrystus, gdyby to było Jego powtórne przyjście, moglibyśmy odczuwać radość, pokój i prawdziwą miłość. Przez parę dni. W jednym małym zakątku świata.

Wspaniale, pomyślałam. Brawo, Ingrid. Naciśnij ten guzik jeszcze raz. Próbowałam forsować sprawę wskrzeszenia Jezusa, ale ilekroć poruszałam ten temat, Jim zawsze się wykręcał, aż zaczęłam podejrzewać, że sam rozpuszczał plotki na ten temat, żeby wyciągnąć z telewizji grubą forszę dla Instytutu.

Ingrid zaczerwieniła się.

– Modliłam się trochę zeszłej nocy. Stary zwyczaj, dawno zapomniany. Pomogło mi to doczekać do rana.

Może zresztą nie byłoby to wcale takie piękne! Lukrecjusz był ateistą. Czy chcielibyśmy żeby tu latali prawdziwi archaniołowie... i żeby Szatan we własnej osobie pukał do drzwi?

– Jak już powiedziałem – podjął Jim – jest to problem lokalny. Rzeczywistość nieco się rozchwiała w sąsiedztwie naszego przyjaciela. Jest zdecydowanie bardziej plastyczna. Ulega jego wyobraźni, a wyobraźnię zawsze miał silną! Dlaczego tak się dzieje, za wcześnie jeszcze wyrokować. Zastanowimy się nad tym wspólnie w Instytucie. Zaryzykowałbym, że jest to

funkcja tego, jak daleko zapuszczamy się w przeszłość. Widocznie im głębiej sięgamy, tym bardziej naruszamy czasoprzestrzeń. Nie martwcie się, wróci do dawnego kształtu.

– Jak on wróci do domu – zauważyła Harmony, dość ponuro.

– Tymczasem będziemy musieli uważać. Starajcie się go nie denerwować.

– Kto to jest Jezus Chrystus? – spytał Lukrecjusz.

– Hm. To długa historia – powiedział Jim. – Myślę, że można go nazwać nauczycielem. Jak Epikura.

– Był Synem Bożym – wtrąciła Ingrid ze spuszczonej oczami.

– Bóg? – rozzłościł się Lukrecjusz. – To może i ja jestem bogiem, skoro mogę wywoływać burze i pioruny? Przecież wykazałem już przekonująco w swoim poemacie, że to nonsens. Piorun uderza, gdzie chce. Czy urządzenie sobie ze mnie kpiny?

– Ależ skąd – pośpiesznie zapewnił go Jim. – Chodzi o to, że rzeczywistość jest trochę bardziej skomplikowana niż myślałeś, Mistrzu... Spójrzcie – powiedział, siląc się na lekki ton – przejaśnia się. Chodźmy się trochę przewietrzyć. To nam dobrze zrobi. – Przeszedł na chwilę na angielski. – Wezmę na wszelki wypadek strzelbę myśliwską. Będę udawał, że to laska. – A po łacinie: – Chyba nie napotkamy więcej lwów, prawda Mistrzu?

Lukrecjusz poczuł się urażony.

– Nie odpowiadam za czyjeś halucynacje. Widzi się czasem dzikie zwierzęta tam, gdzie ich nie ma, bo umysł jest nieustannie atakowany przez obrazy; a jeżeli ktoś się boi, bo mu się na przykład w nocy popsuł rydwan, i myśli o dzikich bestiach, wówczas umysł wybiera spośród tych obrazów...

– Oczywiście, oczywiście – powiedział Jim. – Nie będziemy myśleć o lwach, prawda? Nikt z nas! Będziemy myśleć tylko o rzeczach przyjemnych, jak kwiaty i poezja. Pójdziemy nad staw, karmić gęsi. To zawsze działa kojąco. Weź trochę racuchów dla ptactwa – zwrócił się do Harmony.

Jim wypchnął nas za drzwi tak gwałtownie, że nie zdążyłam wezwać z motelu Carla i Muhammeda, ale poszedł z nami Tony z minikamerą założoną pośpiesznie na jednym ramieniu i mikrofonem kierunkowym na drugim. Ingrid odłączyła już od nas i Martha kładła ją do łóżka, wyruszyliśmy więc w piątkę: ja, Tony, Lukrecjusz, i Jim z córką.

Wiatr ucichł. Chmury szybko się rozprasały. Kiedy wychodziliśmy z domu, nagle zaświeciło słońce. Pech chciał, że podniosłam wzrok... i błona słonecznego kręgu z siłą uderzyła mnie w twarz. Atomy ognia oparzyły moje gałki oczne.

– Słońce! – wrzasnęłam. – Nie patrzcie w słońce! – Trzeba było całej minuty, zanim odzyskałam wzrok i jeszcze długo oczy mnie zawodziły; rozbiegały się i łzały. Tony przez chwilę mi pomagał, ale go odtrąciłam. Chciałam, żeby filmował, a nie prowadził mnie jak kiedyś Antygona Edypa.

Po drodze do stawu przechodziliśmy przez zagajnik, wilgotny i ciepły. Przesiane przez gałęzie słońce było tu całkiem przyjemne. Coś, co początkowo uznałam za gigantyczną purchawkę wyrastającą z mokrej gleby, nagle pękło i wyrzuciło z siebie małe beczące kozłę. Małeństwo chwiejnie podeszło do pobliskiej narośli, z której zaczął wypływać biały sok. Rozkraczone kozłę chwyciło tę narośl pyszczkiem i chciwie ssało. Rzeczywiście, ssało mleko z piersi ziemi!

Ta narośl była widocznie sutkiem. Co znaczyło, że ta purchawka, teraz rozdarta, była... nie grzybem, lecz zakorzenionym łonem!

Ze zdumieniem przyglądaliśmy się, jak kozłę rośnie w oczach. Wkrótce pasło się radośnie na trującym ciemierniku, który wyrósł w pobliżu.

Lukrecjusz zmarszczył czoło i cmoknął.

– To dziwne. W waszym starym, rozkładającym się świecie gleba powinna rodzić samorzutnie co najwyżej robaki i drobne żyjątka. To jest coś niezwykłego.

– Nieprawdaż? – wtrącił zgryźliwie Jim.

– Jeżeli ziemia może rodzić kozy, to dlaczego nie lwy? – zauważyła Harmony. – O rety, tato, wszystko może nam wyskoczyć spod nóg. Ja się boję. – Jednak jakoś dziwnie nie wyglądała na przestraszoną, raczej na... jak by to powiedzieć... ożywioną.

Lukrecjusz potrząsnął głową.

– Nadal utrzymuję, że lew był halucynacją. Zawsze należy wybierać najrozsądniejsze wyjaśnienie każdego zjawiska. Chociaż w tym przypadku...

– A, zamknij się – warknął Jim pod nosem. Jednak właśnie wtedy (jak sobie później uświadomiłam) sprawiał wrażenie dziwnie zadowolonego.

Szliśmy dalej.

Staw otaczały trawniki. Nasza grupka wciąż jeszcze znajdowała się w cieniu, ale trawnik zalewało jaskrawe światło. Uważałam, żeby nie spojrzeć po raz drugi na słońce, ale zapamiętałam, że wydało mi się odległe zaledwie o kilka mil i wcale przy tym nie większe. Nocny deszcz parował z trawy. W tym momencie widziałam wszystko bardzo wyraźnie.

Nad staw zmierzał klucz kanadyjskich gęsi. W jednej chwili leciały sobie beztrąsco, w następnej spadały jak kamienie z nieba na trawę. Pac, pac. Martwe.

Przez jedną szaloną sekundę myślałam, że to Jim uniósł swoją strzelbę i strącił te gęsi w niewiarygodnym i na dodatek bezgłośnym popisie celności. Ale nie; Jim nadal podpierał się strzelbą, jak starzec laską w zagadce Sfinksa.

– A jaka jest przyczyna tego, Mistrzu? – spytał Jim lodowato. – Lubilem te ptaki.

Lukrecjusz podrapał się w brodę.

– Widocznie wytworzyła się próżnia. Ziemia przegniła na skutek nadmiernych deszczów, a teraz jest chłostana słońcem. W rezultacie unoszą się trujące opary, wypierając powietrze.

– Ależ tak! Że też na to nie wpadłem! Czy może być inne wyjaśnienie?

Lukrecjusz obserwował całe zdarzenie ze spokojem.

– Musimy wierzyć świadectwu naszych zmysłów interpretowanemu przez Rozum. Mam jednak pytanie.

– Pytaj.

Pac, pac, pac. Na trawę spadły trzy kaczki krzyżówki.

– Posługując się Rozumem odkryłem przyczynę zarazy: śmiertelne chmury atomów. Jednak różne powietrze w różnych krajach rodzi charakterystyczne choroby. I tak elefantiasis spotka się tylko w Egipcie, podczas gdy wole jest związane z Attyką. Powiedz mi, jaka jest charakterystyczna choroba tego kraju, Ameryki?

– Głównie rak i choroby serca – zauważył Tony, który, zdawało się, był całkowicie zajęty spadającymi ptakami.

– Jezu, po co mu to mówisz? Mistrzu, przyczyną chorób nie są atomy w powietrzu. To znaczy, najczęściej...

– Może tak jest w okolicy tego lasu – Tony wskazał w górę. – Uwaga, następne ptasie kamikadze.

W tym momencie wzrok mi się zaciął, jakby moje oczy zaatakowały atomy powodujące kataraktę. Usłyszałam krzyk Harmony „Potwór!” potem strzał, a po nim głuchy odgłos.

– Na Mojżesza, zabiłeś go – krzyknął Tony.

Mój wzrok wrócił do normy. Jim stał za strzelbą przy ramieniu. Harmony zasłaniała dłońmi usta w teatralnej pozie przerażenia; racuszki się jej rozsypały. Lukrecjusz leżał na wznak i wyglądał na nieboszczyka.

– Widzieliście tego potwora? – paplała Harmony. – Ział ogniem! Tato nas uratował!

– Jak to uratował? – spytał Tony. – Kula trafiła Lukrecjusza.

– Co za straszny wypadek – mówił Jim. – To okropne. Mam nadzieję, że masz to wszystko na taśmie.

– Oczywiście, że nie! Patrzyłem w tamtą stronę. Żadnego potwora nie widziałem.

– Był podobny do lwa – powiedziała Harmony. – Tylko gorszy. Ział ogniem. Teraz znikł.

– A ty coś widziałaś? – zwrócił się Tony do mnie. – Potrząsnęłam głową.

Miałam bardzo poważne podejrzenie, że Jim Roseberry zabił Tytusa Lukrecjusza Karusa z premedytacją. Z zawiści, że tak przyćmił jego, Jima Roseberry’ego.

Zapewne uważał też, że dokonał zabójstwa doskonałego. No bo jak można być oskarżonym o morderstwo, jeżeli ofiara zmarła przed dwoma tysiącami lat?

Potem nastąpiło zamieszanie. Pośpieszyliśmy do domu, gdzie Jim przez dłuższą chwilę okupował telefon. Gdy tylko stało się to możliwe, wezwał z motelu Carla i Muhammeda. W chwilę później przyjechał rycząc i błyskając Buick z kapitanem i porucznikiem policji, wyprzedzając o zderzak mikrobus telewizji.

Jim widocznie zdążył już gdzieś zadzwonić, zanim zawiadomił o wypadku policję, bo dwaj oficerowie byli pełni szacunku i zrozumienia, i co więcej, jeszcze w drodze nad staw stwierdzali, że sprawa wykracza poza ich kompetencje.

Jim kiwał zatroskany głową i mówił, że ze względów czysto naukowych ciało musi być jak najszybciej dostarczone do Instytutu i poddane dematerializacji, chociaż jako obywatel uważał za swój obowiązek, i tak dalej.

Kiedy doszliśmy nad staw, stali tam już z noszami ludzie z Instytutu. Zadawszy kilka rutynowych pytań kapitan i porucznik dali znak, że można ciało zabrać i odeszli.

Martwy Lukrecjusz odszedł również. Wrócił do swojego czasu, gdzie już i tak był bliski śmierci. Przez co w starożytności nikt nie zauważył żadnej różnicy; może prócz tego, że teraz Lukrecjusz będzie miał dziurę w piersi. Jeżeli rzeczywiście doprowadzony do utraty zmysłów afrodyzjakiem zasztyletował się na śmierć, mogło to nie budzić zdziwienia. A może to morderstwo, popełnione w naszym czasie, stało się przyczyną wersji o samobójstwie? Nawet, jeżeli nikt w przeszłości nie potrafił znaleźć sztyletu, którego przecież nie było...

Dobra robota, Jim!

Tyle że na nic się to nie przydało.

Pierwsza to zauważyłam, kiedy w ślad za ciałem zmierzaliśmy do Instytutu i twarz Jima odkleiła się i kilkakrotnie popłynęła w moją stronę.

– Hej! – krzyknął Carl, patrząc ze strachem na moją twarz. Trąciłam Jima w ramię.

– Czy coś zauważyłeś?

– Chcesz powiedzieć, że efekt się utrzymuje. Hmm, myślałem, że to zniknie po jego śmierci...

– Naprawdę? – Zaczerwienił się.

– Widocznie zaniknie dopiero, kiedy pozbędziemy się ciała. A ty uważaj, co mówisz.

– Nie martw się o mnie.

I tak odprowadziliśmy Lukrecjusza o sześć dni wcześniej niż przewidywaliśmy. Odszedł z sali wskrzeszeń przy akompaniamencie wyładowań elektrycznych i małego uderzenia dźwiękowego. A z naszego programu wyszły nici, pomyślałam.

Ale w drodze powrotnej do domu Roseberry'ego wydało mi się, że słyszę daleki ryk lwa.

– To tylko grzmot – powiedział Jim uspokajająco i spojrzał w niebo.

Stał jak wryty, zbladł. Bo z najbliższej chmury patrzyła znajoma twarz. Usta Lukrecjusza w chmurze otwarły się i bluznęła z nich krew czerwona jak zachód słońca.

A więc jednak efekt nie ustąpił. Utrzymawał się. I chyba wiedziałam dlaczego. To dlatego, że Lukrecjusz umarł tutaj, w teraźniejszości. Jego duch przepełnił już okolicę w sposób aż nadto oczywisty, dzięki Efektowi Roseberry'ego wynikającemu z naruszenia

czasoprzestrzeni. Ponieważ zginął tutaj, wniesione przez niego zmiany zostały tu utrwalone. To, co Jim odesłał w starożytność było tylko kawałem mięsa.

Teren Instytutu był teraz nawiedzony. Meteorologicznie, optycznie, psychologicznie nawiedzony.

Rozpętywały się burze. Drzewa stawały w płomieniach. Ptaki spadały z nieba. W powietrzu unosiły się zwidy. W chmurach pojawiały się twarze. Ludzi ogarniał szal miłosny.

Jedno było pewne: sława Lukrecjusza przetrwała w nowoczesnym świecie. Dzięki Jimowi. Kilka mil kwadratowych miało niewątpliwie charakter Lukrecjański.

Jak na ironię sam Lukrecjusz wyśmiewał się z wiary w życie pozagrobowe. Co stwierdziłam, kiedy przeczytałam po wszystkim „O naturze wszechrzeczy”.

Odkryłam również, że nasz Rzymianin nigdy nie wierzył w ziejące ogniem potwory. „Skoro ogień spala wszystkie znane zwierzęta, nawet lwy – argumentował wielce rozsądnie – to żadne zwierzę nie może ziać ogniem”. W tym miejscu Harmony przesadziła. Co tylko dowodzi, że spiskowała ze swoim tatusiem. Byli niewątpliwie zachwyceni, widząc tę kózkę rodzącą się z łona purchawki.

W jednym miejscu strefa Lukrecjusza wykraczała nieco poza teren Instytutu, obejmując odcinek autostrady stanowej. Ponieważ nie można bezpiecznie prowadzić samochodu, kiedy obrazy biją człowieka po oczach, autostrada stała się praktycznie nie do użytku. Część terenów prywatnych również została objęta czarami. Jim znalazł się więc w tarapatach.

Bynajmniej nie z powodu morderstwa. Jak już powiedziałam, nie można zamordować nieboszczyka, wkrótce jednak musiały go dopaść pozwy sąsiadów, których nieruchomości straciły na wartości. Nie wspominając o zarządzie dróg, zmuszonym do budowy wielce kosztownego objazdu.

Ci pracownicy Instytutu, którzy nie uciekli, zajmowali się badaniem nowego Efektu Roseberry’ego, czyli rzeczywistości chaotycznej. Dość szybko przekonali się, że nawiedzenie blokuje stary Efekt Roseberry’ego, co za tym idzie, w Instytucie nie mogło być dalszych wskrzeszeń.

Pewnego ranka Jim zadzwonił do mnie, do telewizji. Wydawał się przygnębiony.

– Przyszło mi do głowy – powiedział – że moglibyście nakręcić tutaj, w Strefie Roseberry’ego pierwszorzędny horror. (Oczywiście, nie używał nazwy Strefa Lukrecjusza). Mamy tutaj przecież autentyczne fenomeny.

– Myślisz, że ktoś chciałby grać w Strefie, gdzie można zarazić się plagą albo zostać zwęglonym piorunami?

– To zróbcie tutaj zdjęcia plenerowe i zbudujcie scenariusz wokół tutejszych zjawisk, a potem znajdźcie podobne, ale bezpieczne miejsce dla aktorów. – Jego ton był niemal błagalny.

– Czy mi się zdaje, czy słyszę pobrzękiwanie niemal pustej skarbonki?

– Posłuchaj, to wywoła znacznie większe zainteresowanie niż wykłady laureatów. Albo nawet kazanie Jezusa na żywo, czy pokazanie, jak idzie do łazienki.

– Ale teraz nie możemy już zrobić programu z Jezusem. I wcale nie żałuję. Prawdę mówiąc, sama rozkręciłabym kampanię, żeby do tego nie dopuścić. Nie, Jim. Ale pozwól, że dam ci z dobrego serca pewną radę. Uciekaj stamtąd jak najszybciej.

– Co?

– Zwiewaj, póki czas. Wiem, że zamordowałeś Lukrecjusza i jego Strefa też o tym wie. Ona tylko gra na zwłokę.

To prawda. Prędzej czy później Strefa zgotuje Jimowi jakiś paskudny koniec. Gorszy niż wszystkie procesy sądowe. Może coś podobnego, co spotkało Ateńczyków: odrażające wrzody i złośliwe krwotoki złej krwi spływające do genitaliów, przez co jedni mężczyźni mogli ratować życie tylko za cenę samokastracji, podczas gdy inni całkowicie zapominali kim są. Jak opisuje Lukrecjusz w makabrycznym i psychotycznym finale poematu „O naturze wszechrzeczy”.

– Chyba zwariowałaś – powiedział Jim.

Nie, to ty znalazłeś się wśród urzeczywistnionych produktów jego zwariowanego umysłu.

Oczywiście, Jim nie chciał słuchać. Był przecież kustoszem tajemniczego zjawiska natury.

W zasadzie biedny stary Lukrecjusz pragnął w życiu jedynie ciszy i spokoju. Już samo wskrzeszenie go było czymś niemilosierdnym. Ale wskrzesić go, a potem zamordować, to było już szczególne okrucieństwo. Nic dziwnego, że Lukrecjusz umierał w ataku wściekłości. Był wściekły na Jima.

W tydzień później zmija ukąsiła Harmony, która jednak przeżyła na intensywnej terapii, z dala od Strefy.

W dwa tygodnie potem dom Roseberry’ego spłonął od pioruna. Jim przeniósł się do Instytutu.

Nie dalej, jak wczoraj, dowiedziałam się, że Jim zapadł na nieznaną chorobę. Lukrecjańska zaraza nie jest czymś przyjemnym. Ale nie można powiedzieć, że go nie ostrzegałam.

Przełożył Lech Jęczyńsk

ILIA WARSZAWSKI

Kursant Płozkin

Radzieccy pisarze często sięgali po motyw okiełznanego kosmosu. Wszystko jest w nim zdobyte, romantyzm odszedł w przeszłość, jeszcze ze starymi żaglowcami. Tylko ludzki charakter i chęć płatania psikusów nie zniknie nigdy.

Kursant Płoszkin

Kapitan Czigin spojrział na stareńki morski chronometr, wiszący na ścianie obok elektronicznego zegara. Najwyższa pora!

Podszedł do drzwi i dwukrotnie przekręcił klucz w zamku. Tak na wszelki wypadek. Potem z lewej szuflady biurka wyciągnął maszynkę spirytusową, dwa maleńkie, srebrne czajniczki i dwa ozdobione wizerunkami smoków pudełeczka.

Jasna sprawa, otwarty ogień na kosmolocie stanowił naruszenie regulaminu, ale herbata pozostawała herbatą, i żaden prawdziwy koneser nie będzie używał do jej przygotowania jakichś idiotycznych płytek na wolnych neutronach. Cóż, kapitan Czigin mógł sobie pozwolić na takie odstępstwo. Przecież pięćdziesiąt lat pracy w kosmosie powinno dawać jakieś przywileje. Kosmiczny regulamin to przepiękna rzecz, w kosmolocie powinna panować żelazna dyscyplina, inaczej to będzie nie okręt, lecz zwykły chlew, nie można jednak brać jedną miarą kursanta żółtodzioba i starego wilka kosmicznego Czigina. Wysłuchcie tyle, ile wysłużył kapitan Czigin, to zasłużyście na specjalne traktowanie. Koniec tematu.

Herbatę także trzeba umieć przygotować. To, proszę ja was, nie jakaś tam lura, którą serwują na kosmodromach, lecz napój najwyższej klasy, eliksir rzeźkości.

Na początek należy przepłukać czajniczek wodą i postawić go na ogniu. Gdy z szyjki wydobędzie się lekka para, nasypać pierwszą porcję herbaty i znów postawić czajnik na ogniu. Niech tak stoi dziesięć minut. W tym czasie zagotować wodę w drugim czajniczku. Tylko proszę nie zapomnieć włożyć do zimnej wody kawałeczka zielonego liścia. Co, nigdy pan o tym nie słyszał? A to z tego powodu, że pan, dobrodziejku, nie wie, co to jest prawdziwa herbata. Właśnie zielony liść. To on nadaje herbacie jakości. Niech pan spróbuje, a niczego innego nie będzie pan chciał już pić. Teraz niech pan wleje zielony napar do pierwszego czajniczka i znów – na ogień. Tylko teraz trzeba uważać, żeby się nie zagotowało, bo inaczej wszystko przepadnie. Wspaniale! Można zdjąć i przykryć spodeczkiem. Pięć minut – i herbata gotowa. Pić ją należy z maleńkiej porcelanowej filiżanki. Cukier? A któż pije prawdziwą herbatę z cukrem?! W ostateczności – można dodać szczyptę soli.

Kapitan wciągnął czarowny aromat, upił maleńki łyżeczek i powoli przelknął, mrużąc oczy z błogości.

Odstawił filiżankę i wyciągnął z biurka skórzaną teczkę, poślinił serdelkowaty palec i ostrożnie przekartkował zszyte, pożółkłe ze starości stronicy.

Aha, jest!

Ja, kapitan parowca „Żulan”, wskutek skąpego żywienia i niepełnej obsady palaczy zmuszony zostałem do przerwania rejsu, rozpuszczenia załogi i przekazania parowca miejscowym władzom.

Znajduję się obecnie w mieście Colombo, na wyspie Cejlon, i z pierwszym parowcem naszej kompanii wrócę w granice Imperium Rosyjskiego, co wynika z powyższego.

Kapitan odchylił się w fotelu z lekka do tyłu, aby nacieszyć się równymi linijkami pisma.

– „Co wynika z powyższego” – powtórzył ze smakiem, podnosząc filiżankę do ust. – Cóż za styl! „Co wynika z powyższego”!

Ręka kapitana sięgała po czajniczek, gdy ktoś ostrożnie zastukał do drzwi. Kapitan skrzywił się, schował maszynkę spirytusową z powrotem do szuflady, podszedł do drzwi i przekręcił klucz.

– Mogę panu przeszkodzić, mistrzu? – W drzwiach stał pierwszy oficer.

Czigin uśmiechnął się z zadowoleniem. Zwrot „mistrzu”, jak i tytuł „kapitan”, zapożyczone przezeń ze starych ksiąg, wspaniale się przyjęły. Spróbujcie znaleźć choć jednego kosmonautę, do którego zwracają się w podobny sposób! Kapitan – to dla postronnych. Bliższym współpracownikom przysługiwała maleńka poufałość. „Mistrzu”... co tu kryć, nieźle brzmi!

– Proszę wejść. Może filiżankę herbaty?

Pierwszy oficer westchnął. Nie cierpiał ulubionego napitku kapitana, ale odmowa była równoznaczna ze śmiertelną obrazą staruszka.

– Oczywiście, z przyjemnością!

Czigin wyjął z szafeczki drugą filiżankę.

– Co nowego?

– Radiogram z podrzutka. Idzie do nas z kursantami. Dwunastu ludzi.

– Który rocznik?

– Wszyscy z pierwszego. Dwunastu żółtodziobów.

– Przyjmijcie ich z prawej burty.

– Tak jest!

– Co jeszcze?

– Na podrzutku jest też lekarz. Melduje, że wszystko w porządku, medykamenty zdobyte.

– Tak.

Kapitan zamyślił się. Znów pierwszy rok. Szczeniaki. Przy przeciążeniach będą leżeć jak nieżywi, potem, w stanie nieważkości, zarzycą cały statek. Lot testowy, tak zwane „ukosmicznianie kadr”. Kapitan nie cierpiał tego wyrażenia. Ukosmicznianie! Bzdura, a nie ukosmicznianie! Myślałby kto, start ze stałej orbity, wydłużona elipsa wokół Marsa i powrót

na orbitę. Zaserwować by im prawdziwy start i lądowanie na Wenus, to wtedy dowiedzieliby się, coź znaczy „ukosmicznianie”. Połowa od razu złożyłaby podanie o wykreślenie z uczelni. Cóż jednak zrobić, skoro „Aldebaran” już dawno został przeniesiony do klasy 4-E, bez prawa lądowania na planetach. Jeszcze ze dwa lata będzie się go wykorzystywać w charakterze bazy szkoleniowej, a potem...

– Dziękuję, mistrzu, pańska herbata jest rzeczywiście wspaniała.

– Proszę poczekać.

Pierwszy oficer znów usiadł.

– Tak – kapitan rozpiął kołnierzyk munduru – niech się pan sam zajmie kursantami. Najważniejsze, by od razu wdrożyli się do pracy. Nic tak nie demoralizuje młodzieży jak bezczynność. Żadnego pobłażania dla wszelkiego rodzaju niedomagań i temu podobnych. Żelazna dyscyplina i praca leczą wszystkie choroby.

– Będziemy rozbijać na wachty?

– Koniecznie. Po czterech ludzi. Z każdej wachty dwóch dać bosmanowi. I niech się z nimi nie cacka.

– A pozostałych?

– W kabinie nawigacyjnej i maszynowni. Po kolei, codziennie. W połowie rejsu przeprowadzi pan zmianę, bez wolnych dni.

– Bez sensu to wszystko – powiedział pierwszy oficer. – I tak mamy tu kurort.

– Niech się pan zatem postara, żeby nie było kurortu, niech pan ich podkręci jak należy.

– Automatyka, tu nie ma co podkręcać, czasy nie te.

– Nie te – zgodził się kapitan. – Ale gdy spyta pan tych żółtodziobów, co ich zaniósło na uczelnię, odpowiedzą bez wyjątku o romantyce kosmosu, a jaka to teraz romantyka? Za to kiedyś...

– Za naszych czasów – kiwnął pierwszy oficer.

Kapitan uderzył dłonią w stół.

– Ale ja nie o tym! Taki, powiedzmy, mój pradziad, kapitan parowca.

– Czego?

– Parowca. Pływał po morzach.

– Po co? – Twarz pierwszego oficera wyrażała absolutne niezrozumienie.

– No, przewozili różne towary.

– Dziwne. Komu mogło przyjść do głowy targanie towarów morzem, wśród tych wszystkich platform naftowych?

Kapitan wzruszył ramionami.

– Być może było ich wtedy mniej.

– I tak to anachronizm.

– Romantyka – powiedział w zamyśleniu kapitan. – Wtedy ludzie byli inni. Proszę posłuchać.

Otworzył teczkę.

Wspomniany Siergiej Małkow, zwolniony przeze mnie, kapitana parowca „Żulan”, do szpitala morskiego w Cardiff, kieruje się w granice Imperium Rosyjskiego, usatysfakcjonowany ekwiwalentem pieniężnym na dzień przybycia, co potwierdza się autentycznym podpisem moją ręką z dodatkiem Wielkiej Herbowej Pieczęci Generalnego Rosyjskiego Konsulatu w mieście Londynie.

– Taaaak – powiedział pierwszy oficer.

– To mój pradziad, kapitan parowca „Żulan” – z zadowoleniem oznajmił Czigin. – Teczka i chronometr to nasze rodzinne relikwie.

– Pływał po morzu! – chrząknął pierwszy oficer. – Czego by pan nie mówił, to anachronizm!

Kapitan zachmurzył się.

– Niczego pan nie rozumie, pierwszy. To nie to, co dowodzenie kosmolotem. To wymagało czegoś jeszcze. Odwagi, kunsztu. A flota żaglowa? Co za ludzie tam byli?! „Luzować prawy bombrambas!”. Jak się to panu podoba?!

– A co to znaczy?

– No, komenda taka – niepewnie odparł kapitan.

– Nic z tego nie rozumiem – rozłożył ręce pierwszy oficer. – Nie rozumiem, i już! Co za bombram?

– Z tego to i ja wiele nie rozumiem. Wcześniej wszystko wiedziałem – kapitan wystawił rozcapierzoną dłoń – a teraz, proszę wybaczyć, nie rozumiem. Dwa lata temu skierowano mnie na dwumiesięczne kursy dla zgłębnienia tajników tych nowych gwiazdolotów. Wykłady prowadził jeden taki z odstającymi uszami. Po wysłuchaniu pierwszego wykładu spytałem: „A jak to jest, że on jednak leci?” – „Oto – powiada – formuła”. A ja na to: „Na formułach, młody człowieku, latać nie przywykłem. Na wszystkim – mówię – latałem: i na jonowych, i na anihilacyjnych, a na formułach nie miałem przyjemności”.

– Przecież on nie leci – uśmiechnął się pierwszy oficer. – To przestrzeń się zwija.

Czerwona szyja kapitana przybrała malinowy odcień – znak zapowiadający rychłe nadejście sztormu.

– Bzdura! – powiedział, wstając z fotela. – Przestrzeń – to mit, pustka, i zwinąć jej się nie da. To tak, jakby zeżreć samą dziurkę z obwarzanka. Nie, dajcie mi taki statek, żeby i start, i lądowanie – wszystko było, a formuły mi darujcie, proszę uniżenie!

– Mogę odejść? – roztropnie spytał pierwszy oficer.

– Niech pan idzie, a ja odpocznę sobie odrobinę.

Kapitan przepłukał pod kranem oba czajniki, schował pudełeczka z herbatą i, zerknąwszy na chronometr, odsunął zasłonę koi.

Barkentyzna pod pełnymi żaglami szła baksztagiem, zwinnie lawirując pomiędzy wieżami szybów naftowych.

Słone bryzgi opryskiwały opaloną twarz kapitana Czigina, obserwującego w lunecie zbliżający się brzeg.

Wiatr wzmagał się.

– Zwinąć fokmarsel i grotsztaksel! – rozkazał kapitan.

– Jest, zwinąć fokmarsel i grotsztaksel! – Zręczni kursanci rozsypali się po rejach.

– Na wprost – rafa koralowa! – krzyknął obserwator.

Kapitan spojrział przed siebie. Białe bałwany przyboju uderzały wściekle w zdradziecką rafę, do której pozostawało nie więcej niż dwa kable. Decyzja musiała zostać podjęta natychmiast.

– Wszyscy na pokład!

– Jest, wszyscy na pokład! – zameldował bosman.

– Rąbać wanty, rąbać topenanty, maszty za burtę!

Marynarze podwachtę rzucili się z toporami do takielunku.

– Kapitanie, toniemy! – krzyknął młody kursant, wskazując na zbliżający się wał, pokryty białą pianą.

– Niech to diabli porwą, za późno! – Kapitan obrzucił ostatnim spojrzeniem barkentyne. Świetna łajba, ale czy mogła stawić czoło potężnej przyboju?! – Żegnajcie, bracia! Dziękuję za wspaniałą służbę!

Uderzenie! Trzask rozrywanego poszycia, krzyki tonących kursantów, ryk przyboju.

Ogromny wał zalewa wraz z głową, przewraca, oślepia, dusi. Braknie sił!

Kapitan opada na dno. Lecz cóż to? Dźwięki fanfar, łomot bębnow, dzikie okrzyki. Ku niemu płynie tłum nagich, zielonoskórych ludzi.

– Aha, wpadł indyk! – wrzeszczy płynący z przodu starzec z długą zieloną brodą.

„Skąd oni znają moje przezwisko?” – myśli Czigin.

– Wpadł, wpadł! – wrzeszczą zielonoskórzy. – Napiszesz formułę zwiniętej przestrzeni i zostaniesz naszym wodzem. Nie napiszesz – śmierć!

– Śmierć indykowi!

– Do diabła! – Kapitan podniósł głowę z poduszki. – Że też może przyśnić się coś takiego!

Przekręcił się na plecy, próbując zorientować się, skąd dobiegał hałas.

Nagła myśl zmusiła go do zerwania się z koi.

„Kubryk kursancki! Ładnie, gołąbeczki, za chwilę przejdziecie kosmiczny chrzest!”

Kapitan zszedł do przedziału kursantów i zastygł w drzwiach.

Wielki Ti-Ka-Tu, co tam się wyprawiało! Uczta była w pełnym toku. Cały zapas żywności, wydany biednym dzieciątkom przez ich ukochane mamusie na długi kosmiczny rejs, był przez owe dzieciątka unicestwiany z niewyobrażalną wprost prędkością. Jutro dzieciątka będą leżeć na kojach, trzymając się za brzuchy i żadne z nich nie wyjdzie na wachtę. A teraz – płonące, podniecone twarze, usta wymazane konfiturami, wywrzaskujące pod akompaniament elektrycznej harmonii rubaszną piosenkę, tę samą idiotyczną piosenkę o dzielnych chłopcach w kosmosie, której tak nienawidził kapitan Czigin.

Kapitańskie nozdrza podejrzliwie wciągnęły powietrze. Nie, do tego, jak się wydaje, nie doszło, ale jednak...

*Tak zakończymy ten rejs,
I z nadobłocznego portu
Pogładzi nas po główce
Wszechmocny Ti-Ka-Tu.*

*I w nagrodę za cierpienia
Da nam po serze i kielbasie,
Bajkę opowie nam niania,
Z trzecim okiem na nosie,*

– zawzięcie wywrzaskiwał piegowaty młodzieniec, z nogami zwieszonymi z koi.
Gniew kapitana dojrzywał powoli, niczym owoc w promieniach jesiennego słońca.

*Słodki zapach kobiecej skóry,
A pod skórą – próchno,
One nas całują, córy,
Niech całują, ho-ho-ho!*

To było zdecydowanie więcej, niż był zdolny wytrzymać dowódca szkolnego kosmolotu.

– Wróć!!!

Hałas momentalnie ucichł.

– Chłopaki, indyk! – rozległ się czyjś głos z góry.

Kapitan zacisnął pięści. Znów to przezwisko, niech będzie przeklęte! Skąd oni je znają?!

– Starosta, do mnie!

Do przodu wystąpił wychudzony chłopczyzna.

– Ty jesteś starostą?

– Ja.

– Ach tak, kochanieńki – z fałszywą łagodnością powiedział kapitan – po pierwsze, gdy do kubryku wchodzi kapitan, twoim obowiązkiem jest wydać rozkaz „Baczność!”
Zrozumiano?

– Zrozumiano.

– No to wydaj.

– Baczność – pisnął chłopczyna.

Kapitan skrzywił się.

– Nie tak, głośniej!

– Baczność!!

– Nie tak.

– Baczność!!!

Czigin przyjrzał się wyciągniętym niczym struna kursantom.

– Spocznij!

– Spocznij! – niespodziewanym basem krzyknął starosta. Ktoś parsknął śmiechem.

– To po pierwsze – powtórzył kapitan. – Po drugie, na kojach w kubrykach nie siadać, do tego służą burtnice.

– Co takiego? – spytał głos z góry.

– Burtnice.

– A co to takiego?

– Tak nazywają się ławki na statku.

– A...

– Po trzecie, całe jedzenie zdać do kambuza. Tu nie ma nianiek, lewatywy nie będzie komu robić.

Kapitan mógł przysiąc, że dokładnie usłyszał, jak ktoś za jego plecami wypowiedział słowa „zakuta pała”. Odwrócił się gwałtownie, lecz w drzwiach nikogo nie było. Zapewne jednak się przesłyszał.

– Harmonię zdajcie pierwszemu oficerowi.

Cichy szmer przetoczył się po kubryku.

– Proszę o wybaczenie, kapitanie – nieśmiało powiedział starosta. – Nie można by...

– Nie można! – przerwał mu Czigin. – To niedopuszczalne. Wróćcie na Ziemię, dostaniecie swoją harmonię, a tu będziecie pracować. Zrozumiano?

– Zrozumiano – rozległ się czyjś głos. – Wszystko zrozumiano!

– No to wspaniale! Zapamiętajcie, że nieróbstwa na statku nie będę tolerował.

Kapitan obejrzał ponure chłopięce twarze i odwrócił się do drzwi.

– Baczność! – krzyknął starosta.

– Spocznij!

Żeby tak zawsze. Odrobinę stanowczości na samym początku – i te koziorożce będą jeść mu z ręki. Czego by nie mówić, dowodzenie szkolnym okrętem powierzono staremu

Cziginowi nie przypadkiem. Tu przede wszystkim potrzebna jest doświadczona ręka. To nie to samo, co wzory wypisywać, moi panowie!

Chwyciwszy się poręczy, kapitan zerknął przez ramię. Kursanci wkładali jedzenie do wielkiej walizki.

W tej samej chwili, gdy prawa noga władcy „Aldebarana” twardo spoczęła na pierwszym stopniu trapu, na jego głowę spadł miażdżący cios. Postać, która spadła z góry, usiłowała przemknąć się między nogami kapitana, ale od razu została złapana za kołnierz.

– Ktoś ty taki? Nazwisko?! – ryknął Czigin.

– Kursant Płoszkin. – Szare oczy z czarnymi zakręconymi rzęsami z ironią spoglądały na kapitana. Słowo honoru, ten głos gdzieś już Czigin słyszał. Aha! „Chłopaki, indyk!”. A więc to tak!

– Płoszkin, mówisz?!

– Płoszkin.

O błogosławione czasy floty żaglowej! Dziesięć batów byłoby tu w sam raz. Nie, dziesięć batów i doba w schowku na liny. Tego oto trzeba!

– A zatem Płoszkin? – Mocarna dłoń kapitana podniosła za kołnierz wątłe ciało.

– Płoszkin.

– Zatem odnajdziesz bosmana i powiesz mu, że kapitan dał ci pięć służb poza kolejnością.

– To wszystko?

– To na początek – mentorskim tonem powiedział kapitan, opuszczając go na podłogę. – Tylko na początek. A tak w ogóle, Płoszkin, przyjdzie ci odrobić wiele służb poza kolejnością, ale to później, a teraz do roboty!

Otrzymawszy na pożegnanie ojcowskie uderzenie w kark, Płoszkin zanurkował do kubryku.

„Uf, co za dzień!” – kapitan wytarł kraciatą chusteczką spoconą szyję i ruszył na dół, do przedziału maszynowego.

Trzech mechaników odprawiało czary wokół generatora pola grawitacyjnego. Po wyrazie ich twarzy Czigin domyślił się, że i tu nie można spodziewać się niczego dobrego. Poruszając wargami, w milczeniu obserwował, jak tamci obstukują izolację.

– Uszkodzone uzwojenie – powiedział starszy mechanik, zauważywszy kapitana. – Trzeba będzie wymieniać w nieważkości.

– Cztery godziny – powiedział Czigin. – Cztery godziny nieważkości według programu, zdążycie wymienić.

– Nie zdążymy – powiedział drugi. – W żaden sposób nie zdążymy, na dwa dni roboty.

Kapitan już otworzył usta, żeby przypomnieć, że w ciągu dwudziestu dni wymuszonej beczynności na orbicie stacjonarnej wszystko już można było zrobić, ale, rozmyśliwszy się,

machnął ręką i skierował się do windy. Dobrze wiedział, że wszelkie dyskusje z mechanikami są bezcelowe. Zawsze znajdą jakieś usprawiedliwienie i dodatkowe usterki.

– Wyciąg nie działa – powiedział starszy.

– Dlaczego?

Tamten wzruszył ramionami:

– Wie pan przecież, że upłynął termin przeglądu drugiego reaktora wspomagającego.

– A dlaczego nie zaprosił pan inspektora?

– Zapraszałem, ale ten powiedział, że dla takiego starocia szkoda tracić czas. „Trzeba was – mówi – już dawno na żyłtki pociąć”.

– Na żyłtki! – prychnął z oburzeniem kapitan. – Nie temu chłopczkowi decydować, kogo złomować! Jak tylko wrócimy z rejsu, pójdę do Głównej Inspekcji.

– Za miesiąc skończą nam się papiery na silniki – dodał starszy. – W tym przypadku bez remontu kapitalnego się nie obejdzie. W zeszłym roku...

– Dobrze, nie gorzej od pana wiem, co trzeba zrobić!

Był już na górze, gdy usłyszał przepełniony współczuciem głos starszego mechanika:

– Całkiem podupał nasz indyk.

– Też dawno na żyłtki pora – zauważył drugi.

To była ostatnia kropla, która przelała czarę kapitańskiej cierpliwości.

Niestety, dzielny potomek kapitana parowca „Żulan” figurował w oficjalnych dokumentach jako dowodzący samobiezną szkolną kosmiczną bazą, której cała załoga, nie licząc jego samego, składała się z jednego pomocnika, lekarza, trzech samozwańczych mechaników, i jednego pomocnika, naprzemiennie nazywanego a to bosmanem, a to kukiem, w zależności od tego, czy akurat w danym momencie sprzątał pomieszczenia czy też otwierał konserwy w mesie.

Na owego dwulicowego Janusa spadła cała moc kapitańskiego gniewu.

– Bałagan! – wrzasnął, tupiąc nogą. – Skończony bałagan! Poręcze nieczyszczone od ostatniego rejsu! W kubryku kursantów – chlew! Natychmiast wziąć dyżurnych i żeby za dwie godziny wszystko błyszczało jak na parowcu! Jasne?

Oszołomiony kuk postawił na podłodze worek z mąką na bliny i natychmiast zmienił się w dziarskiego bosmana.

– Tak jest! Wziąć dyżurnych kursantów!

Nie, czego by nie mówić, ale dyscyplinę kapitan Czigin utrzymywać potrafił!

– Dobrze – dodał już spokojniejszym tonem. – Weź ich, gołąbeczku, w obroty, tak, żeby nawet godziny nie pozostawali bez roboty. Przy okazji, jest tam taki kursant Płoszkin. Dziś wsoliłem mu pięć służb, akurat starczy na poręcze.

– Pilot podrzutka pyta, czy nie mamy czegoś do przekazania na Ziemię – powiedział pierwszy oficer. – Zamierza odcumować.

– Niech rusza. Chociaż... – kapitan podrapał się po głowie. – Niech go pan zatrzyma na godzinę.

– Po co?

– A tak – burknął Czigin. – Może się przyda. A teraz niech pan poprosi do mnie doktora. Po kilku minutach do kajuty kapitana wszedł lekarz. W ręce trzymał plik wydruków.

– Wzywał mnie pan?

– Tak, kochanieńki, jak tam pana sprawy?

– Wszystko w porządku. Medykamenty otrzymane, karty sanitarne sprawdzone.

Czigin rzucił pełne dezaprobaty spojrzenie na wydruki. Nie dowierzał zbyt tej całej maszynowej diagnostyce.

– Hm... Oto, o co pana poproszę: niech pan ich przebada osobiście. Żeby nie było, jak ostatnim razem: jednego boli brzusek, drugi ma koklusz, trzeciemu pryszczyk pod pachą przeszkadza pracować. Nie potrzebuję tu pasażerów. Niech pan ich przebada i przy najmniejszym choćby podejrzeniu – z powrotem na Ziemię.

– Dobrze, ale...

– Dokładnie tak, jak powiedziałem – powiedział z naciskiem Czigin. – To rozkaz.

– Dobrze – lekarz wzruszył ramionami i wyszedł.

Kapitan, postępując, rozsznurował buty. Tak, niech to diabli! Możecie ile dusza zapagnie ćwiczyć swoje ciała, hartować wolę, ale zawsze ktoś niewidzialny wewnątrz was ze straszliwą skrupulatnością prowadzi rachunek z każdego przeżytego dnia, i koło siedemdziesiątki nieubłaganie przypomni wam, ile lat, godzin i minut zostało dotąd wliczone do waszego rachunku. Tak oto sprawy się mają, i nie ma się co obrażać na staruszka, jeśli dla dobra sprawy przyłoży lekko w ucho jakiemuś smarkatemu leniowi albo zmyje głowę niedbałemu bosmanowi. Porządek powinien być na okręcie, bo okręt bez dyscypliny, jeśli chcecie wiedzieć, zmienia się w przedszkole. Przecież kiedyś, we flocie żaglowej... Czigin wyciągnął rękę, wziął z półki podniszczony tomik w płóciennej obwolucie i przeniósł się w tajemniczy świat portowych tawern, skarbów, morskich sztormów i abordażowych potyczek z piratami, zniewalający, czarujący świat, do którego tak bardzo tęskniła znużona szarą kosmiczną codziennością dusza kapitana. Tymczasem pilot podrzutka, odczekawszy umówioną godzinę i wychyliwszy z pierwszym oficerem po tradycyjnym kieliszku rozcieńczonego spirytusu, ruszył w powrotną drogę, życząc przedstawicielowi dowództwa „Aldebarana” szczęśliwego rejsu.

Była trzecia czterdzieści pięć czasu ziemskiego, gdy pierwszy oficer wyrwał kapitana Czigina z królestwa fantastycznych przygód i przywrócił go szarej rzeczywistości.

– Piętnaście minut do odlotu, mistrzu.

Kapitan westchnął, zatrzasnął książkę i ruszył do sterowni.

„Wszyscy na pokład!” – rzucił w myślach, naciskając guzik sygnału over all.

Po kilku minutach na pulpicie rozbłysła zielona lampa: maszynownia meldowała gotowość silników do uruchomienia.

„Na miejsca, podnieść kotwicę!” – Czigin wprowadził dane lotu do maszyny liczącej i, odczekawszy na sygnał cybernawigatora o zakończeniu obliczeń, ujął mikrofon:

– Kosmos-trzy, kosmos-trzy, ja „Aldebaran”, zgłóście się, jak mnie słyszycie? Odbiór!

Cisza, tylko trzask wyładowań w głośniku. Na ekranie wideofonu nikogo nie ma.

– Kosmos-trzy, kosmos-trzy, tu „Aldebaran”, odbiór!

Znów bez rezultatu.

– Kosmos-trzy, kosmos-trzy – Czigin walnął pięścią w czarne pudełko. – Kosmos-trzy! Ech, do diabła! Ileż to razy prosiłem o radiooperatora, przecież z tym rupieciem... Kosmos-trzy! – Od wybuchu kapitańskiego głosu zamigły lampki na pulpicie. – Kosmos-trzy, tu „Aldebaran”, dlaczego do diabła nie odpowiadacie?! Kosmos-trzy!!!

Nagle na ekranie pojawiła się rozradowana morda dyspozytora.

– Proszę o wybaczenie, kapitanie, ale właśnie radiooperator z transsolarnego rzucił taką anegdotą! Pewien typ... – Obraz znikł, i błękitna powierzchnia ekranu spłynęła czarnymi falami. Gdzieś w pobliżu jeden z tych nowych gwiazdolotów zwijał przestrzeń.

– Kosmos-trzy! – kapitan machnął z rezygnacją ręką. Trzeba było poczekać, dopóki ta diabelska przestrzeń nie zacznie ponownie przepuszczać sygnałów radiowych.

– Dobrze, prawda?! – oblicze dyspozytora znów szczyrzyło zęby na ekranie.

– Tak... – niepewnie powiedział Czigin.

– Co tam u pana, kapitanie?

– Proszę o zezwolenie na start.

– Dokumenty w porządku?

– W porządku.

– Ruszajcie! Tylko, proszę ja was, nie dawajcie gazu od razu na starcie. Poprzednim razem zapaskudziliście mi całe poszycie.

– Trzy g – powiedział Czigin. – Według programu szkolenia przeciążenie trzy g. To absolutne żółtodzioby, te koziorożce, pierwszy rok.

– To odsuńcie się stąd po cichutku o pół miliona kilometrów i dajcie tam waszym koziorożcom choćby i dziesięć g. Bo ja nie mam jak wyczyścić poszycia, praktykantów brak.

– Dobrze – powiedział Czigin. – Nic się pańskiemu poszyciu nie stanie, mam już zadanie w cybernawigatorze. Na razie!

– Szczęśliwego eteru!

„Opuścić rufowy! Opuścić dziobowy! Rozprze opuścić! Mała naprzód!” – kapitan wcisnęła guzik startowy i spojrzał na zegarek.

Nic więcej do roboty w sterowni nie było do samego powrotu. Teraz trzeba pójść i położyć się, póki „Aldebaran” nabiera szybkości. Ociężałe ciało kapitana było nazbyt wyczulone na przeciążenia – fakt, który starannie ukrywał przed członkami załogi.

– Indyk u siebie? – spytał doktor.

Pierwszy oficer przyłożył palec do ust:

– U siebie, ale lepiej niech pan nie wchodzi. Zacznie poić swoją lurą.

Doktor skrzywił się. Nawet sama myśl o kapitańskiej herbacie wzbudzała mimowolny skurcz przewodu pokarmowego. Mimo to... nie, raczej nie da się tego odłożyć. Z niezdecydowaniem złapał klamkę drzwi.

– Coś się stało? – spytał pierwszy oficer.

– A bo strzeliło staremu do głowy zrobić powszechne badanie lekarskie, a mnie podkusiło wypełnić to wariactwo!

Twarz oficera przybrała wyraz zaniepokojenia:

– Infekcja?

– Gorzej! – Machnąwszy ręką doktor otworzył drzwi kajuty. – Pozwoli pan, mistrzu?

– Proszę wejść. Może filiżankę herbaty?

– Dziękuję, ja służbowo.

Kapitan nachmurzył się. Odmówić herbaty, przygotowanej własnoręcznie przez kapitana Cziginą, to...

– Słucham – powiedział sucho.

– Rzecz w tym... – doktor zawahał się. – Rzecz w tym, że kursant Płoszkin odmówił poddania się badaniom lekarskim.

„Aha, znów Płoszkin!” – oczy kapitana zapłonęły drapieżnym blaskiem.

– Dlaczego odmówił?

– On... Ona twierdzi, że jest dziewczyną.

– Kto jest dziewczyną?

– Kursant Płoszkin.

Przez kilka minut kapitan w milczeniu spoglądał na doktora, próbując wyobrazić sobie kursanta Płoszkiną w jedwabnej sukience i z różą we włosach. Tak w jego myślach zawsze wyglądały dziewczyny. Coś tu było nie tak!

– Bzdura – mruknął Czigin. – To niemożliwe. Na uczelnię nie przyjmują dziewczyn.

– Bo ona nie jest kursantem. Kursantem Płoszkinem jest jej brat, który przed odlotem zachorował i został na Ziemi.

– To jak się tu znalazł? – do kapitana zdecydowanie nic nie docierało. – Skoro został na Ziemi, to znaczy, że nie może być tutaj. Co on – jako święty duch się tu objawił?

– On został na Ziemi, a jego siostra – Inessa Płoszkiną – jako kursant Płoszkin jest tu, na statku.

– Co?!! – nagle kapitana olśniło. Te kpiące szare oczy z czarnymi, zakręconymi rzęsami...

– Kursanta Płoszkiną do mesy oficerskiej!!! – ryknął Czigin, rąbiąc ile sił pięścią w stół...

Lekarzowi szkolnego kosmolotu „Aldebaran” za przejawione niedbalstwo, wyrażające się w opóźnionym wykonaniu polecenia kapitana, wymierzyć naganę z ostrzeżeniem, co wynika z powyższego. Kapitan Czigin.

– „Co wynika z powyższego”? – powtórzył na głos kapitan i wyjął z paczki nową kartkę papieru.

Wymienioną Inessę Płoszkinę, spisana przez mnie, kapitana kosmolotu „Aldebaran”, ze stanu załogi, kieruje się...

Kapitan zamyślił się i wsunął ołówek do ust. Łatwo powiedzieć, kieruje się! Podrzutek tu nie doleci. Przekazać lecącemu w przeciwnym kierunku kosmolotowi? Ni czorta, nie ma co liczyć na to, że na trasie szkoleniowej ktokolwiek się pojawi. Powrót będzie równoznaczny z przerwaniem rejsu i stanem się obiektem anegdot, opowiadanych we wszystkich kosmoportach: „A słyszeliście, jaki to numer nasz indyk wykręcił?!”. Nie, to, co należało zrobić z Inessą Płoszkiną, wcale nie wynika z powyższego. Zostawić na statku z kursantami? Niemożliwe! „Niech całują, cha-cha-cha!”. Kapitan pomyślał o swojej wnuczce. Zdecydowanie nie chciałby zobaczyć ją w kubryku pełnym kursantów. Huncwoty, co do jednego, pierwszorzędne huncwoty! „Słodki zapach kobiecej skóry”. Czekaście, dowiecie się od kapitana Czigina, co czym pachnie!

Kapitan objął głowę rękoma.

„Ale się porobiło!”

Przez półotwarte drzwi mesy oficerskiej dobiegały stłumione szlochy.

Czigin zaklął i poderwał się z krzesła.

– Zbieraj rzeczy!

Szlochania stały się głośniejsze.

– Zbieraj rzeczy i przenieś się do mojej kajuty!

– A pan?

W szeroko otwartych, wciąż wilgotnych od łez szarych oczach było tyle potulności i uległości losowi, że kapitan poczuł się nieswojo.

„Niedobrze, nie trzeba było tak na nią krzyżeć, bądź co bądź to dziewczyna”.

– Będę spać na kanapie u pierwszego oficera – burknął, spoglądając pod nogi. – A ty... A pani niech się rozgości. Za chwilę bosman pościeli pani tutaj.

Inessa źle znosiła nieważkość i kapitan Czigin ciskał gromy na głowy mechaników, niecznie spóźniających się z wymianą cewek grawitacyjnych. On sam, nie dowierzając bosmanowi, sprzątał za nią kajutę i poił mocną herbatą w chwilach ataków duszności. Nawet jej prośba, by „nie zaparzać tych wstrętnych zielonych liści” – niesłychane zuchwalstwo,

mogące kosztować innego śmiałka życie – przyjęta została przezeń z dobrodusznym uśmiechem.

– Wie pan – powiedział kiedyś pierwszemu oficerowi – to bardzo miła dziewczyna. Taka cicha i skromna. Opowiedziała mi swoją historię. Ojciec i matka zginęli w wypadku samochodowym. Zupełna sierota, mieszka z bratem.

– Skromna! – prychnął pierwszy oficer. – Skromna, a taki numer wykręciła!

Kapitan zachmurzył się.

– Nic pan nie rozumie. Dziewczynę pociąga romantyka. Podbój dalekich planet i temu podobne. Przecież o czym może teraz marzyć młodzież, jak nie o kosmosie? A ona kocha Stevensona.

– Kogo kocha?

– Stevensona.

– Też kursant?

– Stevenson to wielki pisarz starożytny, pisał morskie opowieści.

– Anachronizm – powiedział pierwszy oficer. – Te pańskie morskie opowieści to anachronizm. Niech pan lepiej powie, co z tą Płoszkiną robić. Nieważkość się skończyła, będziemy wyznaczać ją na wachtę?

– Na wachtę? – kapitan podrapał się swą wielką łapą w tył głowy. – Nie, dlaczego na wachtę? Przecież to pasażerka.

Minęło kilka dni, i Inessa w pełni oswoiła się z kosmolotem. Do jej dyspozycji została oddana cała kapitańska biblioteka, i na podłodze kajuty wały się przeczytane książki przemieszane z papierkami po cukierkach, pochłanianych przez nią z nie mniejszym zapalem od morskich powieści.

Inessa królowała także niepodzielnie w mesie oficerskiej.

Kapitan Czigin własnoręcznie nakładał jej na talerz najapetyczniejsze kawałki i pierwszy po zakończeniu posiłku szarmancko podchodził całować szczupłe paluszki, wypowiadając przy tym niezmienną frazę:

– Podziękujemy naszej miłej gospodyni.

Ale najdziwniejsze było to, że doktor, całe życie nienawidzący szachów, godzinami przesiadywał z pasażerką nad szachownicą, odczuwając niewytłumaczalną satysfakcję z każdej przegranej partii.

Poza tym w romantycznej duszy kapitana szalał dziewięciostopniowy sztorm. Rejs zbliżał się ku końcowi, i myśl o tym, że „Aldebaran” wkrótce zostanie pozbawiony swej gospodyni, zmuszała kapitana do snucia najbardziej fantastycznych planów.

W końcu podjął decyzję.

Tak, niech to diabli, dlaczego by staruszek Czigin nie miałby przysposobić tej wspaniałej dziewczynki?! Wszak rodziców nie ma, a „Aldebaran” na gwałt potrzebuje radiotelegrafisty.

Za jakieś dwa, trzy miesiące, dopóki nie skończy przyspieszonych kursów, kapitan Czigin zdobędzie dla niej etat, możecie być tego absolutnie pewni, moi państwo!

Mimo to życie to bardzo skomplikowana sztuka i człowiek nigdy nie wie, jaki numer może mu jeszcze wywinąć.

Tym razem Wielka Mistyfikatorka stanęła przed kapitanem pod postacią lekarza „Aldebarana”.

Kapitan od razu poczuł, że dzieje się coś niedobrego, gdy tylko ujrzał jego zakłopotaną twarz.

– Proszę powiedzieć, mistrzu – spytał doktor, miętosząc skraj obrusa – czy Regulamin Kosmiczny zezwala kapitanowi kosmolotu udzielić ślubu?

Na mgnienie oka w wyobraźni Czigina przemknęła kusząca wizja: na lewej burcie – szereg kursantów w mundurach defiladowych, na prawej – załoga, Inessa w sukni ślubnej z białym welonem i doktor w surowym czarnym garniturze. A pośrodku on, prawnuk kapitana okrętu parowego „Żulan”, główna postać tego wspaniałego ceremoniału.

Ale to było tylko mgnienie. Setki diabłów, uzbrojonych w rozżarzone do czerwoności widły, zaczęło szarpać kapitańskie serce. Inessa! Stracić tę dziewczynę, gdy wszystko było już przemyślane i zdecydowane! Oddać swoją córkę temu łobuzowi?! Nie ma mowy! Do kapitana nieraz dochodziły słuchy o ziemskich wyczynach eskulapa. Figa! Co jak co, ale z kapitanem Cziginem trzeba jeszcze się liczyć!

– Sądzi pan – spytał lodowato – że Inessa?

– Sądzę, że nie będzie miała nic przeciwko – skromnie opuścił wzrok doktor.

Kapitan zaczął sapać. Sprawa wyglądała gorzej niż sądził.

– Dziewczynie jeszcze za wcześnie na zamążpójście – powiedział, przyglądając się swej włochatej pięści. – Co zaś się tyczy ślubu, to nie widzę jakiegokolwiek możliwości. Zdecydowanie żadnej – powtórzył, otwierając skórzaną teczkę i tym samym dając do zrozumienia, że rozmowa zakończona.

Takie rzeczy w trasie szkoleniowej zdarzają się bardzo rzadko.

Zabłąkana w przestrzeni kosmicznej asteroida powinna była ominąć trajektorię „Aldebarana”. Teraz trudno powiedzieć, dlaczego wiekowe urządzenie decyzyjne kosmolotu trzykrotnie powtórzyło wszystkie obliczenia, nim wydało rozkaz cybernetycznemu nawigatorowi. Istotne było to, że gdy rozkaz wreszcie padł, asteroida znajdowała się już niebezpiecznie blisko. Katastrofie zapobiegnięto włączeniem manewrowego silnika na pełną moc.

Zdarzyło się to przed obiadem.

Dalej wszystko rozwijało się według wiecznych i nieubłaganych praw mechaniki.

Dziesięć technicznych jednostek masy kapitańskiego ciała, wleczonych złożoną w nich inercją, pokonało odległość pięciu metrów i zważyło się na delikatne ciało pasażerki, przyciśniętej do grodzi.

Nim ktokolwiek zdążył połapać się w tym, co się wydarzyło, silnik był już wyłączony, i jedynym świadectwem wydarzenia była rozpostarta na podłodze figurka.

– Doktora! – ryknął kapitan, pochwycając Inessę na ręce. – Doktora!

Jeszcze nie zdążyły ucichnąć grzmoty kapitańskiego głosu, gdy w drzwiach pojawił się lekarz.

– Żywa! – powiedział, ściskając palcami cieniutki nadgarstek oznaczony błękitnymi żyłkami. – Wygląda, że to nic strasznego, przynieście mi z kajuty apteczkę.

Kapitan biegiem rzucił się wypełniać polecenie swego podwładnego.

– Teraz – powiedział doktor, otworzywszy skrzynkę z medykamentami – proszę osoby postronne o wyjście.

„Postronne”! – kapitan westchnął i bez sprzeciwu zamknął za sobą drzwi.

Kapitan Czigin przeżył długie i trudne życie, ale, co tu kryć, tych dziesięć minut oczekiwania było najtrudniejszymi z dotychczasowych długich siedemdziesięciu lat.

– No i co?!

Wygląd doktora nie zapowiadał niczego dobrego. Rozpięty kołnierzyk, potargane włosy, na czole ogromne krople potu. Usiadł na krześle i ze znużeniem machnął ręką.

– Niech pan mówi, co z nią!

– Kapitanie! – doktor wypił prosto z szyjki pół karafki wody. – Kapitanie, ona nie jest dziewczyną!

– Co?! – wydawało się, że jeszcze trochę, i oczy kapitana, opuściwszy wyznaczone im przez naturę miejsce, wyskoczą, aby spopielić wszystko na swej drodze.

– Stłuczenie kręgosłupa, musiałem nałożyć kompres. Ona jest najnormalniejszym chłopakiem, i do tego sukinsynem, jakich mało! Sam mi się do wszystkiego przyznał. Założył się z kursantami, że odbędzie cały rejs w kapitańskiej kajucie, nic nie robiąc. I siostry nie ma, i żaden z niego sierota, ojciec jest jakąś szyczą w kierownictwie. Och, pokpiłszy sprawę, kapitanie!!!

Każdy, kto widziałby w tym momencie kapitana Czigina, zrozumiałby, skąd wzięło się to jakże trafne przezwisko „indyk”. Przez kilka następnych minut policzki kapitana na przemian przybierały wszystkie barwy spektrum: od czerwonego do fioletowego, i gdy w końcu kapitan otworzył usta... Zresztą, nie warto powtarzać wszystkiego, co wypowiedział kapitan Czigin, gdy otworzył usta. Przecież czasy floty żaglowej dawno już minęły.

Przełożył Paweł Ludański

O autorze

Ilja Warszawski (1908-1974) rosyjski autor SF. Ukończył Wyższą Szkołę Morską, pracował jako mechanik i inżynier, a debiutował w 1929 roku opowieściami morskimi. Pierwsze opowiadanie fantastyczne opublikował bardzo późno, bo w 1962 roku. Zdążył opublikować 80 opowiadań. Zmarł w 1974 roku.

Jego twórczość jest dość różnorodna, dominowały jednak opowiadania żartobliwe, wyśmiewające zbytnią wiarę w cybernetykę i robotyzację.

W Polsce opublikowano 37 opowiadań. Większość w antologiach. Był obecny prawie we wszystkich tomach starych *Kroków w nieznanie*.

MAREK S. HUBERATH

„- Wróćcieś Sneogg, wiedziaam...”

Debiutanckie opowiadanie Marka S. Huberatha zaskoczyło wszystkich stylem i opanowaniem warsztatu rzadko spotykanym u debiutanta, a także wspaniałą historią. Pokazało, że polska fantastyka nie ustępuje tej tworzonej za oceanem, w ojczyźnie SF. Ta poruszająca i przygnębiająca opowieść jest przykładem na to, jak za atrakcyjną fabułą można ukryć ważne przesłanie moralne i etyczne. Krakowski autor w następnych opowiadaniach miał nas jeszcze niejedną raz pozytywnie zaskoczyć.

„- Wrócieeś Sneogg, wiedziaam...”

I.

Na podłodze kilka jasnych plam formowało rząddek. Snorg lubił obserwować, jak powoli wędrowały po matowej wykładzinie. Odróżniały się od łagodnej poświaty panującej w Pokoju. Już dawno odkrył, że jasność dociera przez niewielkie okna pod sufitem. Lubiał leżeć na podłodze w tamtym miejscu, by ogrzewało go ciepło wpadającego światła. Teraz też tego zapragnął. Spróbował poruszyć rękoma, ale zdołał tylko bezwładnie zsunąć się z posłania.

– Dags... – wysyczał przez zaciśnięte zęby. Nie mógł poruszać zdrętwiałymi szczękami. – Dags...

Jeden z Dagsów odwrócił głowę od ekranu wizora. Zareagował raczej na łomot spadającego ciała niż na głos Snorga. Moosy cały czas nuciła jakąś melodię, zastępując słowa cichym bełkotem. Dags kilkoma szybkimi susami doskoczył do Snorga. Wymierzył mu policzek. Oba Dagsy miały bardzo silne ręce, zaś z niedorozwiniętych nóg nie korzystały prawie wcale.

– Wie... wie... – wybełkotał Dags i wykonał kilka rytmicznych ruchów ramionami, co oznaczało zapewne, że Snorg będzie mógł poruszać rękoma. Już podłączał do Snorga plątaninę elektrod i czujników. Drugi Dags również się przyczołgał i z całej siły ciągnął Snorga za włosy. Bolało okropnie, ale właśnie to cieszyło go najbardziej.

„Głowa... głowa...”, tłukło się pod czaszką. „Dobrze... jest dobrze”.

Dags zaczął mu wpychać palce do oczu. Snorg szarpnął głową i ryknął z bólu. Pierwszy z Dagsów uderzył drugiego z całej siły, aż tamten spadł i potoczył się po wykładzinie. Z oczu Snorga ciekły łzy, nie widział, czy Dags wkłuł mu w mięśnie wszystkie przewody i czy należycie przykleił wszystkie elektrody. Ufał jednak, że tamten, jak zwykle, zrobi to dobrze. Mógł sobie tylko wyobrażać, jak Dags sprawdza zamocowanie instalacji, przechylając komicznie głowę na bok – oba Dagsy miały oczy osadzone bardzo daleko od siebie i stąd te zabawne ruchy.

– Tavegner...! Opowiedzieć ci bajkę...? – Snorg usłyszał donośny głos Pieckygo. Zawsze podziwiał jego wymowę. Teraz też rozumiał każde słowo, chociaż brak małżowin usznych ograniczał możliwości jego słuchu.

Pieckymu odpowiedział głośny bulgot. Tavegner stale leżał bez ruchu i tylko bulgotem dawał znać o sobie. Ale gdyby Tavegner wstał, byłby z pewnością najwyższy, wyższy od Tib i od Aspe. Tib ciągle stała i tylko dlatego była najwyższa.

„Może i ja byłbym wyższy od niej, gdybym stanął”, pomyślał Snorg.

Cieszyła go myśl, że posiada dzisiaj czucie na całej głowie. To męczenie było małą przysługą wyświadczaną mu co dzień przez Dagsy.

– Piecky, zamknij się! – krzyknęła Moosy. – Potem mu będziesz opowiadał... teraz ja śpiewam.

Dłonie były nieczułe jak kłoce drewna, ale poruszały się zgodnie z jego wolą. Pozrywał z siebie całą płataninę przewodów i rurek. Uszczypnął się mocno w ramię. Było bez czucia.

„Przynajmniej się porusza”, pomyślał. Obejrzał rany i otarcia na ciele. Większość z nich już się goiła. Ale po ostatnim upadku z posłania przybyły dwa nowe skaleczenia. Obrażenia były jego zmorą: chwila nieuwagi, niezręcznie potrącony mebel, i nie wiedząc nawet o tym, Snorg rozrywał sobie skórę. Obsesyjnie obawiał się, że nie zauważy w porę rany i wywiąże się zakażenie. Doczołgał się do wizora. Obok nieruchomo stała Tib, a jeden z Dagsów starał się od dołu ściągnąć z niej ubranie.

„Kto ją ubiera...?”, pomyślał. Codziennie Dagsy robiły to samo i co dzień z rana znów była ubrana. W końcu szara koszula zsunęła się z Tib na podłogę i Dags zaczął wspinać się po jej nodze.

Snorg śledził rozwój wypadków. Stało się to, co zawsze: mały nic nie wskórał. Gdy był już dość wysoko, Tib po prostu zaplotła nogę za nogę. Zrezygowany Dags przykucnął przed wizorem i wlepił wzrok w ekran.

„Nie jest taka głupia”, pomyślał Snorg. „Zawsze w porę zdąży z nogami...”

Tib była już kobietą – Snorg uświadomił sobie to właśnie teraz. Wyglądała dokładnie tak, jak pokazywał ekran wizora podczas którejś z kolejnych lekcji.

„Ma chyba trochę za wąskie biodra i jest za wysoka, a tak to wszystko się zgadza”. Dotąd patrzył na nią jak na mebel, nieruchomą dekorację Pokoju. Wydawała mu się zawsze bardzo wysoka, a rosła jeszcze z perspektywy podłogi. Bardzo chciał kiedyś porozmawiać z Tib. Była jedyną osobą w Pokoju, z którą nie udawało się nawiązać kontaktu. Nawet Tavegner, który leżał nieruchomo jak bryła mięsa i nie potrafił wypowiedzieć ani słowa, miał wiele ciekawych rzeczy do przekazania. Trzeba było tylko umiejętnie z nim rozmawiać: „tak” – pojedynczy bulgot, „nie” – podwójny. Tavegner wypełniał sobą prawie pół Pokoju i długo wszyscy myśleli, że jest taki jak Tib. Dopiero Piecky wpadł na pomysł, jak się z nim dogadać. Najpierw Dagsy odkryły, że reaguje na szturchańce, gdyż lubiły przesiadywać na jego rozległym, ciepłym i miękkim ciele. Piecky w ogóle był bardzo mądry i wymyślił, żeby Tavegner bulgotał „tak” na właściwą literę alfabetu, a kiedy chce skończyć słowo, to jeszcze dwa razy na dodatek. Wtedy wszyscy zgromadzili się wokół niego. Snorg przyniósł pudełko z Pieckym, a Dagsy przywlokły Moosy. Wspólnie składali literę po literze.

„Jestem Tavegner”, powiedział wówczas Tavegner. Potem jeszcze powiedział bardzo wiele innych rzeczy. Mówił, że lubi, gdy Dagsy łążą po nim, dziękował Pieckymu i prosił, żeby go trochę przesunęli, bo słabo widzi ekrany. Ostatnio jednak Tavegner się rozleniwiał: woli, żeby mu zadawać pytania, a on tylko potakuje lub zaprzecza.

Snorg podsunął się do Pieckiego.

– Ty, Piecky, to jesteś mężczyzną czy kobietą...? – zapytał i zaczął rozwijać prześcieradło.

– Odczep się, Snorg... Odwal się, do jasnej cholery... Ja jestem po prostu Piecky... – Małe ciało Pieckiego wrywało się gwałtownie. Snorg odwinął go w końcu do reszty i zaraz z powrotem zaczął zawijać.

– Ty rzeczywiście jesteś Piecky – powiedział.

– Mówię ci to, durniu, już od dłuższego czasu... – Piecky pogardliwie wykrzywił wargi. – Dagsy dawno by już odkryły, gdyby było inaczej.

Piecky miał wspaniałą głowę, większą nawet od głowy Snorga i ukształtowaną niezwykle prawidłowo, znacznie lepiej nawet niż głowy tych, których oglądał na ekranach.

– Masz wspaniałą głowę, Piecky – powiedział Snorg, żeby go trochę udobruchać.

Piecky aż pokraśniał.

– Wiem o tym, a ty masz dość paskudną gębę, chociaż też całkiem prawidłową, gdyby nie te uszy... których nie ma. Jestem dużo mądrzejszy i będę jeszcze długo istniał, gdy was już skasują.

– Co mówisz? – spytał Snorg.

– Nic... Podaj mi ssawkę.

Snorg wyciągnął ze ściany przewód do usuwania wydaliny, podpiął Pieckymu i odsunął się.

Wizor pokazywał drzewa, wiele drzew. Były piękne i kolorowe, poruszały się rytmicznie. Snorg nigdy nie widział drzewa i zawsze marzył, żeby na nim leżeć. Wyobrażał sobie, jak gałęzie ułożą się wokół niego w miękkie, ciepłe posłanie. Wizor zawsze pokazywał rzeczy piękne: rozległe krajobrazy, ludzi zbudowanych prawidłowo; uczył pożytecznych rzeczy. Snorg czuł żal i winę. Żałował, że nie jest tak piękny jak ci inni ludzie, widziani na ekranie wizora i wykonujący różne skomplikowane czynności. Z perspektywy podłogi i własnej niesprawności ci inni wydawali się niemal doskonałymi. Był przekonany, że to jego wina, iż jest taki, jaki jest, a nie taki, jak ludzie z pięknych obrazów ekranu, chociaż nie rozumiał, dlaczego to jego wina. Patrząc na ekran, zapominał o wszystkim. Oczy chłonał widoki i wiedzę, która stamtąd płynęła. Oglądał i poznawał wiele rzeczy, których nigdy w Pokoju nie było i których nigdy by nie zobaczył, gdyby nie wizor.

Na ekranie ukazała się kobieta. Stała nieruchomo. Na jej przykładzie demonstrowano, jakie proporcje ciała powinna mieć poprawnie zbudowana kobieta. Obok ekranu stała nieruchomo Tib i patrzyła przed siebie szklanym wzrokiem. Porównywał jej budowę z tamtą

z ekranu. Tib była łyśa, zupełnie łyśa, nie miała ani jednego włosa na cieie i przez to jej głowa różniła się bardzo od głowy tamtej kobiety, ale Snorg spróbował wyobrazić sobie włosy na jej głowie i wtedy nie było aż tak źle. Miała delikatne małżowiny uszne, lekko odstające i pod światło nieco przeświecające. Tych uszu Snorg zazdrościł jej szczególnie. Na ekranie pojawiły się linie zaznaczające poprawne proporcje ciała. Snorg podczołgał się do Tib, aby sznurkiem zmierzyć jej proporcje. Nie dość, że jej obie ręce miały równą długość, podobnie jak i nogi, a ręce miała krótsze od nóg, to w najdrobniejszych szczegółach jej budowa zgadzała się ze wzorcem. Aby porównać rozmiary jej głowy z resztą ciała, przykłęknął i wyciągnął ręce do góry. Wszystko się idealnie zgadzało – spojrzał na nią z podziwem.

„Ciało ma w pełni poprawne”, pomyślał i uświadomił sobie, że udało mu się ukłęknąć na bezwładnych nogach. Natychmiast upadł.

Szum w uszach świadczył, że upadkowi towarzyszyła utrata przytomności. Gdy szum ucichł, Snorg usłyszał, jak Piecky głośno krzyczy do Moosy.

– Daj spokój! Nie broń się... Skończy i sobie pójdzie – mówił Piecky.

Moosy głośno szlochała.

– Nie znoszę tego... To ohydne zwierzę... Przestań! Zostaw mnie wreszcie...!

Snorg podniósł głowę: jeden z Dagsów wdrapał się do skrzynki z Moosy.

„To powoli robi się nieznośne”, pomyślał. „Nie można się im sprzeciwić... nie można sobie z nimi poradzić”.

Dags przestał głośno sapać i zeskoczył na podłogę.

II.

Piecky miał opowiadać bajkę. Dagsy przymocowały mu rękę, którą mógł wykonywać bardzo ograniczone ruchy. Nieustannie drapał się nią po twarzy.

– To znakomite, to świetne – powtarzał. – Nie umiecie posługiwać się swoimi ciałami.

Kilka uderzeń wymierzonych przez Dagsy szybko doprowadziło go do porządku. Zaczął opowiadać.

– To był piękny sen – Piecky przymknął oczy. – Unosiłem się w powietrzu. Było cudownie... Miałem takie czarne, płaskie skrzydła po bokach, jak pokazują czasem w wizorze. Powietrze poruszało się wraz ze mną. Było cudownie chłodno... – mówił coraz ciszej, jakby do swoich myśli. – Obok leciała Moosy. Jej skrzydła były jaskrawozielone. Miała cztery skrzydła i trzepotała nimi tak, że żalowałem, że jestem tylko Piecky...

Z kąta rozległ się donośny bulgot.

– Tavegner prosi, żebyś opowiadał głośniej – powiedział Snorg, a następny głuchy bulgot to potwierdził.

– Dobrze, będę mówił głośniej – Piecky jakby się otrząsnął. – Pokój stawał się coraz mniejszy i mniejszy – kontynuował – a wszystko wokół coraz bardziej zielone. W dole leciały

oba Dagsy, leciały też tam, gdzie my... i było cudownie, bo niebo, ku któremu leciałem, było wielkim ekranem wizora i widać było coraz wyraźniej ziarenka ekranu. Mogłem poruszać się we wszystkich kierunkach.

Z kąta, gdzie stała skrzynka z Moosy, rozległ się cichy szloch. Snorg przyczołgał się w jej stronę.

– Potrzebujesz czegoś...? – zapytał.

– Chciałam ciebie zawołać, bo gdyby przyszedł któryś z Dagsów, to znowu zrobiłby to, czego nienawidzę. Ułóż mnie obok Pieckygo, dobrze? – poprosiła.

– Wzruszyłaś się jego opowieścią? – zapytał Snorg, przypatrując się Moosy. W odróżnieniu od Pieckygo miała wszystkie kończyny, choć niedorozwinięte i zmarniałe.

– To nie Piecky, to Tavegner – powiedziała przez łyżę. – Gdy Piecky opowiadał, Tavegner prosił, żeby go tłumaczyć po literze... i, wiesz, powiedział...

Snorg pokiwał głową.

– Powiedział, że chce iść na przemiał zamiast Pieckygo.

– Na przemiał? – Snorg nie zrozumiał.

– Piecky to już dawno odkrył – wyjaśniła Moosy. – On uważnie analizuje wszystko, co mówią w wizorach. Wybiorą z nas kilkoro najlepiej... najpoprawniej zbudowanych, a resztę – na przemiał...

– Tak jak pokazują na ekranach i mówią, że to wojna? – upewnił się.

Skinęła głową.

– Połóż mnie obok Pieckygo – przypomniała Moosy. – On zawsze, gdy skończy opowiadać swój piękny sen, jest zupełnie załamany.

Z wielkim wysiłkiem wyciągnął Moosy z pudła i przytasczył do kojca, w którym leżał Piecky, po czym natychmiast musiał ześlizgnąć się z powrotem na podłogę, gdyż Tib zaczęła się zanieczyszczać. Podsunął jej ssawę. Gdy skończyła, z całej siły uchwycił ją za biodra i uniósł się na kolana.

– Nie rób tego tak, dobrze...? – powiedział, patrząc na nią. Tib pochyliła głowę i przyglądała się jego twarzy, wykrzywionej z wysiłku. Przez jej małżowiny uszne właśnie przeświecał promień światła. Wydały mu się niezwykle piękne. Zacisnął odrętwiałe szczęki i uchwycił Tib za ramiona. Wyczuł, że ona mu w tym pomaga, nie odsuwa się do tyłu, lecz z całej siły stara utrzymać prosto, jako jego oparcie. Nadal uporczywie wpatrywała się w jego twarz. W jej uchylonych ustach widać było zęby.

Snorg poczuł się wielki, gigantyczny... Stał. Pierwszy raz stanął na swych sparaliżowanych nogach. Patrzył teraz na nią nawet nieco z góry, na wysoką aż pod niebo Tib.

Inni przerwali swoje rozmowy.

Postanowił zrobić krok. Czuł swoją moc. Nagle ujrzał, jak jedna ze stóp wysuwa się w jej kierunku.

– Tib...! Idę... – to miał być krzyk, a wyszło chrapnięcie czy szloch. Nagle wszystko zakotłosało się, Snorg jak długi runął na plecy.

III.

Pokój miał jeszcze dwóch innych, stałych mieszkańców, z którymi Snorg nie stykał się wcale, gdyż oboje wykorzystywali tę samą aparaturę co on. W czasie gdy on był aktywny, oni spali. Byli to Aspe i Dulf. Aspe kształtem przypominała Tavegnera, chociaż nie dorównywała mu rozmiarami. Piecky mówił, że jest bardzo inteligentna i złośliwa. Wprawdzie nie umiała mówić, ale porozumienie z nią nie nastęczało żadnych problemów. Nie odpinała nigdy sztucznych rąk i uwielbiała robić dziwne psikusy Pieckymu albo Tavegnerowi. Snorg bardzo chciał kiedyś porozumieć się z nią albo z Dulfem, który leżał nieruchomo skręcony w embrion, a jego niezwykle pomarszczona skóra przywołała na myśl zgrzybiałą starość, chociaż był w tym samym wieku co inni, to znaczy zaraz po okresie dojrzewania.

Tib przestała zanieczyszczać Pokój. Nauczyła się podchodzić do Snorga, gdy tylko czuła potrzebę. Snorg, widząc to, z reguły był w stanie zdążyć ze ssawą. Tib reagowała na niego: często przechodziła w tę stronę Pokoju, gdzie właśnie leżał, i stała w pobliżu, patrząc na niego. Była znacznie bardziej aktywna niż dotąd.

– Nie doceniałem cię, Snorg – powiedział kiedyś Piecky. – Jesteś fajny facet. Potrafiłeś nawiązać kontakt z tą chudą – nigdy nie mówił o Tib inaczej niż „ta chuda”. – Mnie się nie udało, chociaż starałem się bardzo. Ty się zmieniłeś, Snorg. Dawniej przypominałeś okrwawione nieustannie zwierzę. Teraz widać myśl na twojej twarzy.

Słowo „zwierzę” oznaczało coś brutalnego, bezmyślnego i potwornie silnego. Czasem wizor ukazywał obrazy prawdziwych zwierząt, które już dawno wymarły. Cieszyła go opinia Pieckogo, wiedział też, dlaczego Piecky tak uważa. Od tamtego dnia Snorg ćwiczył upór i siłę woli. Od momentu, gdy siłą woli zmusił bezwładne nogi do zrobienia pierwszego kroku, wola stała się dla niego sprawą najważniejszą. Potrafił już przejść wiele kroków, chociaż często kończyło się to ryzykownym upadkiem. Wstawał, wspierając się o ciało Tib, ale stąpał już samodzielnie, a ona tylko go przytrzymywała. Po obudzeniu potrafił czasami nawet bez pomocy Dagsów i bez pomocy instalacji odzyskać władzę w rękach.

– Widać wolę na mojej twarzy – odpowiedział Pieckymu.

Piecky leżał z uniesioną głową i patrzył na niego.

– To prawda – przyznał. – Rysy twojej twarzy stwardniały, kąciki ust obniżyły się. Musisz się spieszyć, Snorg. Czuję, że już niedługo będziemy tutaj razem...

Piecky stawiał na swą wiedzę i intelekt. Godzinami tkwił przed klawiaturą jednego z wizorów i jeśli tylko któryś z Dagsów nie odmontował mu dla kawału jego sztucznej ręki, nieustannie pisał na monitorze. Zdobywanie wiedzy i kontakt z maszyną były jego pasją.

Snorg był przekonany, że aby uszczęśliwić Pieckygo, wystarczyło zanieść go przed klawiaturę i ułożyć tak, aby mógł trwać w swojej pozycji przez kilka godzin.

IV.

Snorg postanowił nauczyć Tib mówić. Piecky poradził mu, żeby pozwolił jej wyczuć wibracje strun głosowych na swojej krtani. W tym celu Snorg uchwycił ją za biodra, aby powstać. Zrobił to jednak zbyt gwałtownie i Tib upadła na podłogę. Po raz pierwszy ujrzał ją leżącą. Jeden z Dagsów, korzystając z okazji, błyskawicznie wcisnął się pomiędzy jej rozrzucone bezwładnie nogi. Snorg zamachnął się i mały, trafiony na odlew, aż potoczył się po podłodze, zalany krwią.

– Snorg! – krzyknął Piecky. – Przestań! Zrobisz mi krzywdę.

– To moja krew – powiedział Snorg, oglądając dłoń. – Rozwaliłem sobie rękę o niego.

Tib pozbierała się już i usiadła. Dagsy nie zbliżały się do niej, bacznie obserwując Snorga.

– Swoją drogą dobrze, że mu przyłożyłeś – powiedział Piecky. – Dostał też jakby ode mnie, za Moosy... Robią obaj z moją Moosy, co chcą... i kiedy chcą.

Snorg ujął Tib za rękę i położył jej dłoń na swojej krtani.

– Tib – powiedział, wskazując palcem na nią.

Nadal patrzyła na niego w milczeniu.

– Tib – powtórzył.

Wyglądała na przestraszoną.

Przesunął dłonią po jej twarzy, dotknął różowawego uszka i zdumiał się: Tib nie miała otworu usznego.

– Piecky! – krzyknął, zupełnie już panując nad szczękami. – Jesteś genialny! Ona jest zupełnie głucha! Tylko przez dotyk... Miałaś rację.

Uradowany zaczął z przesadną poprawnością powtarzać jej imię. Za którymś razem jej wargi poruszyły się i wydała stłumiony i głuchy dźwięk: „grhb...” Wstała i kilka razy powtórzyła:

– Gyrdb... ghdb... – mówiła coraz głośniejsze, chodząc po pokoju.

– Obudzi Dulfa – zauważył Piecky.

Snorg przywołał ją gestem. Usiadła. Znow zaczął powtarzać jej imię.

– Wiesz, widziałam dzisiaj z rana, jak Dagsy robią to ze sobą – powiedziała Moosy. Rano oznaczało porę, gdy na podłodze pojawiały się promienie słońca wpadające przez okienka pod sufitem.

– Najpierw jeden to robił na drugim, a potem się zmieniły – dokończyła.

– To się nigdy nie zdarza w ciągu dnia – stwierdził Piecky.

– Może się nas wstydzą?

– Dagsy?! – roześmiał się. – Z takimi niskimi czołami...? To muszą być kretyni.

V.

Tib uczyła się szybko. Wkrótce umiała wymówić swoje imię, imiona Snorga i Pieckygo oraz kilka innych słów. Piecky uważał, że ona ma częściowo upośledzony również wzrok i większość informacji dociera do niej przez dotyk. Przyznawał jednak, że nie jest wcale pewien, czy to fizjologiczny niedorozwój, czy może mózg Tib nie potrafi należycie opracowywać danych napływających przez oczy.

Coraz częściej zaczął budzić się Dulf. Nie zmieniał nigdy pozycji na podłodze, lecz poruszał powiekami i nawet mówił. Jego wymowa była zabawna: jąkał się nieco i miał kłopoty z doborem słów. Snorg chciał dowiedzieć się, jak Dulf potrafi radzić sobie bez pomocy aparatury, ale Dulf nie rozumiał znaczenia słowa „wola” i na razie nie było o czym dyskutować. Dagsy próbowały kiedyś rozprostować Dulfę na podłodze, ale okazało się, że jest zrośnięty w kabłąk. Piecky stwierdził, że jest to niemożliwe i że jedynym wyjaśnieniem może być tylko to, że Dulf jest parą zrośniętych bliźniąt i ma maleńkiego braciszka przyrośniętego w rejonie brzucha.

– Swoją drogą, Snorg... – Piecky uniósł swoją jedyną, sztuczną kończynę znad klawiatury – ...zauważyłeś, jak szybkim zmianom ulega nasze życie? Dotąd myślałem, że rządzi się ono ustalonymi prawami: ty czołgałeś się po ziemi, Tib stała jak kloc, Dulf mówił tylko wtedy, gdy ty byłeś nieruchomy, a teraz...?

– Do czego zmierzasz, Piecky? – zainteresował się Snorg.

– Oczekują nas poważne zmiany, bardzo poważne. Pamiętasz, jak było dawniej, tak całkiem dawno?

Snorg kiwnął głową.

– Dawniej każdy z nas miał przed nosem ekran, który uczył nas wszystkiego i pokazywał, jaki jest świat i jaki powinien być... Każdego z nas oplatała pajęczyna przewodów, które pobudzały nasze mięśnie do działania, nasze organy, cały organizm... Wszystko, żeby nas utrzymać przy życiu.

– Ja nadal czasem korzystam z instalacji, ale jak przez mgłę pamiętam, że kiedyś tak było z nami wszystkimi – wtrącił Snorg.

– Właśnie! – Piecky ożywił się. – Rąbią w nas narkotyki czy inne prochy... Zapominamy... Chociaż może oni chcą, żeby ta wiedza lądowała gdzieś głębiej w nas... w podświadomości.

Snorg zauważył, że Piecky wygląda bardzo źle: na jego wspaniałej twarzy widać było zmęczenie, pod oczyma miał ciemne sińce, był bardzo blady.

– Zbyt dużo czasu spędzasz przed ekranem. Wyglądasz coraz gorzej – powiedział.

Natychmiast zainteresował się Pieckym jeden z Dagsów. Najwyraźniej zamierzał przenieść go w inne miejsce, chociaż na razie tylko lekko gładził go po twarzy i ciągnął za włosy.

Piecky spojrział porozumiewawczo na Snorga.

– Widzisz? – Uśmiechnął się. – One jednak rozumieją wiele. Sam się niedawno przekonałem. Nie wiem, dlaczego obaj chcą uchodzić za kretynów...

Dags wymierzył Pieckemu policzek i odbiegł rozniewany w inną część Pokoju. Piecky uśmiechnął się szerzej.

– Ty, Snorg, myślisz, że ja się bawię...? Że wystarczy posadzić Pieckiego przed ekranem, przymocować mu jego sztuczną rękę i będzie zadowolony, co...?

Snorg miał niewyraźną minę.

– Sneogg – powiedziała Tib. Umiała już wyciągać ssawy ze ścian i nie zanieczyszczała Pokoju, ale jeszcze nie potrafiła poradzić sobie z chowaniem przewodu. Snorg pomógł jej i zaraz wrócił do Pieckiego.

– Dzięki wizorowi dowiedziałem się już wielu rzeczy. Wiesz, Snorg, że takich pokoi jak nasz jest bardzo wiele...? Żyją w nich tacy jak my. Jedni bardziej, inni mniej upośledzeni. Można te pokoje oglądać, bo wszędzie są nie tylko ekrany, ale i kamery... My też jesteśmy nieustannie podglądani. Wydaje mi się, że ich obiektywy są gdzieś w pobliżu sufitu, ale bardzo trudno je wypatrzeć. Wiesz, w jednym z tych pokoi, takim ciemnoniebieskim, żyje taki sam piecky jak ja... Ma na imię Scorp. Porozumieliśmy się: on mnie oglądał na ekranie, a ja jego. Też ma sztuczną rękę...

– Może my nie zasługujemy, żeby żyć tak, jak ci poprawnie zbudowani, których pokazują na ekranach? – spytał Snorg.

Piecky aż fuknął ze złości.

– Przestań...! Już cię zgnoili. Masz poczucie winy. – Od gwałtownych poruszeń rozluźniły się paski przytrzymujące jego sztuczną kończynę. Snorg poprawił jej umocowanie.

Przenikliwe oczy Pieckiego nadal miały błyskawice.

– To oni wywołują w nas poczucie winy...! – wyrzucił z siebie. – Jeszcze nie wiem, po co oni to robią... ale dotrę do tego... Tak jak wyciągnąłem z tych cholernych ekranów znacznie więcej, niż powinienem...

Snorg był zdumiony mocą, która biła od Pieckiego. „Dotąd uważałem, że wola jest moją specjalnością”, pomyślał.

Jego twarz wyrażała zdziwienie, które Piecky odczytał jako niewiarę, gdyż przekonywał go dalej:

– Zwróć uwagę, Snorg: każdy program, każda informacja... jaki człowiek być powinien, ręce... takie i takie... nogi... takie i takie, tak jest poprawnie... A my...? A ja...? Strzępek człowieka...? To moja wina...? Rozumiesz...?! Po co oni nam to stale powtarzają...?

Snorg milczał. Stwierdził, że Piecky jest niezwykle mądry, można od niego nauczyć się patrzeć inaczej i widzieć więcej niż dotąd. Ale obok Snorga usiadła Tib i zaczęła tulić twarz do jego twarzy. To delikatne dotknięcie było czymś, co on lubił najbardziej.

– Boję się, że nie zdążę już dowiedzieć się wszystkiego. Już chyba zbyt mało czasu... – Piecky skończył ciszej, widząc, że Snorg już go nie słucha.

VI.

– Pieckyy...! – zawołała Moosy.

– Przestań... On śpi – upomniał ją Snorg.

– To podejź tu i popatrz na Aspe – powiedziała. – Ona nie oddycha.

Powstanie o własnych siłach kosztowało Snorga kilka sekund straszego napięcia.

Aspe leżała jak zwykle – nieco zgięta, ze zmarniałymi rękami podwiniętymi pod wielką płaską twarz.

Snorg przyjrzał się jej z bliska.

– Ona śpi, jak zwykle.

– Mylisz się, Snorg. Obejrzyj ją uważnie.

Sam nie dał rady odwrócić Aspe twarzą do góry. Na szczęście w pobliżu pojawiły się wścibskie Dagsy. Wspólnymi siłami udało się ją ruszyć. Ciało było zimne i już sztywniało.

– Cholera, miałaś rację... To nastąpiło już dość dawno – powiedział głucho. – Nawet nie zamieniłem z nią jednego słowa. Zawsze spała. Obudzić Pieckyygo?

– Nie. I tak się dowie. Nie rozumiem jej śmierci. To się nie zgadza z tym, co mówi Piecky.

Snorg siedział z twarzą ukrytą w dłoniach. Usłyszał za sobą cichy, bełkotliwy dźwięk i odwrócił się. Tavegner płakał. Łzy, jedna za drugą, ściekały po jego czerwonych policzkach.

– Odwróć mnie na plecy. Skóra na brzuchu pali mnie tak, że chyba dostałam już odleżyn – poprosiła.

– Leżąc na brzuchu, jesteś jakoś zabezpieczona przed Dagsami.

– Dla nich to żaden problem odwrócić mnie na plecy, kiedy im przyjdzie ochota.

Ciało Aspe zniknęło, gdy wszyscy spali, i nikt nie potrafił powiedzieć, jak to zostało wykonane. Widząc, że Piecky zmęczony siedzi nad klawiaturą, Snorg postanowił nawiązać do rozmowy z Moosy. Ułożył Pieckyygo wygodniej i przysiadł się.

– Śmierć Aspe nie przeczy moim spostrzeżeniom – powiedział Piecky. – Prawa, które nami rządzą, działają statystycznie... Po prostu: najpierw nas wszechstronnie badali i wybrali zdolnych do przeżycia... A może po prostu inni zmarli... Potem odrzucili niezdolnych do nauki, takich zupełnych kretynów, a pozostałych uczyli intensywnie, na różne sposoby.

Snorg spojrział na harcujące Dagsy, a potem na Pieckyygo, który odpowiedział mu uśmiechem.

– No właśnie... – ciągnął Piecky – Aspe umarła, bo ich badania nie są dość precyzyjne. A może dalsze przeżycie jest właśnie testem...

– Co dalej? – zapytał Snorg.

Piecky wyrażał całym sobą kompletną bezradność.

– Jestem przekonany, że nic dobrego. W każdym razie sobie nie wróżę nic dobrego – powiedział z wahaniem. – Widzisz, Snorg, udało mi się wejść do systemu informacyjnego, który nas obsługuje. Widziałem różne pokoje. W każdym z nich są ludzie – mówiąc słowo „ludzie”, rzucił szybkie spojrzenie na Snorga – ludzie w naszym wieku lub niewiele młodszy od nas. Gdy bardzo młodzi, to siedzą przed ekranami i ładuje się w nich wiedzę; gdy w naszym wieku, to robią to, co my teraz robimy: żyją, obserwują, komunikują się... Ale jeszcze nie znalazłem pokoju z ludźmi dużo starszymi. Jest jakaś bariera informacyjna... Na bezpośrednie pytania system odpowiada milczeniem. Ale to wszystko się już wkrótce wyjaśni. Czuję to, Snorg.

VII.

W oczy Snorga uderzył silny blask. Przez chwilę nie był w stanie zogniskować wzroku. Uświadomił sobie, że opuścił Pokój. Leżał na czymś twardym w pomieszczeniu, które wydało mu się olbrzymie. Odczuwał osamotnienie, gdyż nie było tu nikogo spośród jego współmieszkańców. W drugim końcu pomieszczenia siedział nieznajomy mężczyzna. Wydał mu się niezwykle stary, choć po prostu był starszy od tych, wśród których Snorg się dotąd obracał. Mężczyzna zauważył przebudzenie Snorga i podszedł, wyciągając rękę.

– Nazywam się Bablyoyannis Knoboblou – powiedział.

Snorg wolno, z wysiłkiem woli gramolił się z posłania.

– Gratuluję, Snorg. Z dniem dzisiejszym stał się pan człowiekiem. Był pan najlepszy... – Snorg tym razem zdążył i uściśnął prawicę tamtego. Bardzo chciał wiedzieć, jaka ta ręka była w dotyku.

– Mam tu świadectwo centrum informacyjnego – tamten podniósł z pulpitu kilka kartek – oraz pozytywną decyzję komisji złożonej z ludzi. Otrzyma pan dowód tożsamości i może wybrać sobie nazwę.

– Cco...? – wybąkał w końcu Snorg.

Tamten sprawiał wrażenie życzliwego urzędnika, który załatwia dość miłą, lecz rutynową sprawę.

– Przeglądałem pańskie wyniki. – Bablyoyannis nadal wpatrywał się w trzymane papiery. – 132 punkty... Nieźle... Ja w swoim teście kiedyś miałem 154... – pochwalił się. – Ten Piecky niebezpiecznie zbliżył się do pana, miał 126 punktów, ale brak kończyn, narządów rozrodczych... To bardzo trudno nadrobić wyłącznie inteligencją. Swoją drogą, to lepiej, że ktoś zbudowany tak jak pan został wytypowany, a nie jakiś tam kadłubek...

„Chciałbym ci rozbić ten twój nadęty pysk, gnojku”, pomyślał Snorg.

– Piecky jest moim przyjacielem – powiedział, czując znajome odrętwienie szczęk

– Lepiej nie mieć przyjaciół, zanim nie zostanie się człowiekiem – zauważył Bablyoyannis. – Chce pan znać ich wyniki? Moosy – 84, Tib – 72, Dulf – 30... Reszta prawie zero: Dagsy – po 18, i ten wór, Tavegner – 12... – Bablyoyannis odpowiedział na swoje pytanie.

Snorg słyszał pogardę w jego głosie i czuł narastającą nienawiść do niego. Wydawało mu się, że mógłby nawet go zabić.

– Co teraz będzie ze mną? – zapytał. Skurcz szczęk nie ustępował.

– Jako człowiek ma pan możliwość wyboru. Wkracza pan w normalne życie w społeczeństwie. Krótkie przeszkolenie... a potem może pan nadal się kształcić lub podjąć pracę. Od dzisiaj uzyskuje pan kredyt finansowy w wysokości czterystu pieniędzy, przysługujący każdemu, kto staje się człowiekiem. Ale osobiście odradzam panu robienie operacji kosmetycznych przed uzyskaniem stałego źródła dochodów. Ostatecznie małżowiny uszne nie są aż tak ważne... – posłał Snorgowi porozumiewawcze spojrzenie. – Później też znajdzie pan coś ekstra. Zawsze jest duży wybór.

Snorg poczuł zimny pot spływający po karku: przed oczyma stanęła mu Tib.

– Co będzie teraz z innymi...? – wydusił w końcu.

– A, tak... to też ma pan prawo wiedzieć – Bablyoyannis był zniecierpliwiony. – Zawsze rodzi się znacznie więcej osobników, niż potem zostaje ludźmi. Oni pójdą na materiał na przeszczepy. Można przecież z nich wybrać niezłe uszy... oczy... wątroby... Chociaż z niektórych nawet tego nie będzie. Taki Tavegner nadaje się chyba wyłącznie jako materiał do kultur tkankowych.

– To nieludzkie – wyrwało się ze ściśniętych ust Snorga.

– Co nieludzkie?! – Bablyoyannis poczerwieniał. – Nieludzkim było rozpoczęcie wojny. Teraz sto procent populacji rodzi się upośledzone fizycznie, a trzy czwarte – psychicznie. I to z reguły rodzi się dzięki sztuczному zapłodnieniu. Pretensje może pan mieć tylko do naszych pradziadów.

Widocznie Snorg nie wyglądał na przekonanego, więc Bablyoyannis wyjaśniał dalej:

– Liczbę narodzin zwiększa się do maksimum po to, żeby rosło prawdopodobieństwo powstania osobników zbliżonych do normalnych – popatrzył badawczo na Snorga. – A inni... To najtańszy sposób wytwarzania materiału. Przecież ci wybrani też nie są zupełnie normalni, prawda Snorg...? Pracuję w tej branży już siedem lat i jestem przekonany, że właśnie ta droga jest jedynie słuszna.

– Pan też nie jest całkowicie poprawny, powłóczy pan lewą nogą, a pańska twarz jest chyba częściowo sparaliżowana, Bablyoyannis.

– Wiem, że to widać – tamten był przygotowany na tę uwagę – ale solidnie pracuję i odłożyłem pieniądze prawie na całą rękę... na przeszczep.

VIII.

Tibsnorg Pieckymoosy rozpoczął pracę w centralnym archiwum materiału biologicznego. Jednocześnie nadal się uczył. Zarobki, które otrzymywał, były dość wysokie, jednak po potrąceniu raty za dotychczasową opiekę zostawało niewiele. Opłata za wyżywienie oraz za mały ciemny pokój pochłaniała resztę poborów tak znacznie, że pozostawała mu kwota symboliczna. Żywił się syntetycznym pożywieniem w zbiorowej stołówce. Było to lepsze niż dotychczasowa kraplówka. W stołówce spotykał ciągle tych samych ludzi i było to nudne, ale stwierdził, że na razie nie stać go na droższą jadłodajnię, do której można było przychodzić o różnych porach. Ze spotykanymi w stołówce ludźmi prawie nie rozmawiał. Wszyscy byli starsi od niego. Kilku przyjeżdżało na posiłki na wózkach, lecz większość przychodziła o własnych siłach. Obserwował ich uważnie i nie spotkał nikogo, kto byłby zbudowany w pełni poprawnie – u każdego dostrzegał defekty.

Tibsnorg miał sporo szczęścia: gdyby osiągnął w testach poniżej 120 punktów, nie mógłby się dalej kształcić. Zależało mu jednak na tym, żeby pracować, obawiał się bowiem wspomnień, które niósłby z sobą wolny czas. Pamiętał jeszcze, dzięki komu potrafił wstać o własnych siłach i przewyciężyć bezwład swego ciała. Obecnie za wszystkie zabiegi musiałby płacić. Jako człowiek miał prawo do prawdy, więc oprócz pięknych obrazów z syntezy przedstawiających krajobrazy i ludzi zbudowanych poprawnie czy istniejące kiedyś zwierzęta, prócz obrazów przedstawiających świat takim, jak miał wyglądać, czy może jak kiedyś wyglądał, Snorg miał także prawo wiedzieć, jak świat wygląda teraz. Co pięć dni, po zakończonej pracy mógł wyjechać na powierzchnię i z wysokiej wieży widokowej oglądać otoczenie. Była to szarobrunatna pustynia, po której nieustannie krążyły szare masywne pojazdy wożące urobek z licznych kopalń. Wiedział, że pojazdami tymi kierują ludzie, którzy nie mogą mieć potomstwa, gdyż tło promieniowania na pustyni było zbyt wysokie. Do stołówki przychodził jeden taki. Wyglądał w pełni poprawnie i zarobki miał trzykrotnie wyższe, a mimo to Tibsnorg nie zamieniłby się z nim. Badania, które Tibsnorg kazał wykonać na sobie za pierwsze zaoszczędzone pieniądze, wykazały, że jest zdolny do rozmnażania, chociaż prawdopodobnie tylko pasywnie, to znaczy przez pobranie nasienia.

Wkrótce opanował zasady pracy z komputerem i nieznacznie awansował. Jego nowe zajęcie polegało na kontrolowaniu decyzji wydzielonego oddziału centrum informacyjnego, dotyczących wyboru odpowiedniego materiału do przeszczepów spośród przechowywanych egzemplarzy. Decyzje centrum były jasne, przejrzyste i logiczne i nie wymagały na ogół poprawek. Za wyszukanie usterki wyznaczono dodatkową nagrodę i Tibsnorg pracował bardzo uważnie. Materiał pobierano zarówno dla szpitali powszechnej służby medycznej, jak i dla osób, które na własny koszt chciały zmniejszyć swoje upośledzenie. Pracy było dużo: codziennie kilkadziesiąt zapotrzebowań i związanych z tym decyzji, z którymi należało się

zapoznać i je przemyśleć. Wkrótce wpadł w rutynę, więc pojawiło się sporo czasu, który wykorzystywał na porozumiewanie się z maszyną i uzyskiwanie różnych informacji.

Pamiętał słowa Pieckygo, który mawiał, że ponieważ informacja jest przywilejem, należy korzystać z niego w miarę możliwości. Dowiedział się, że o tym, czy ktoś zostanie człowiekiem, czy też nie, decyduje zwykle zsumowanie punktów przyznanych przez system na podstawie badań i szacunków. Oznaczało to dość duży margines błędu podejmowanych decyzji. Tymi decyzjami byli ludzie. Dowiedział się też, że to, iż został człowiekiem, zawdzięcza osobiście Bablyoyannisowi, który zmienił decyzję centrum przyznającą człowieczeństwo Pieckymu. W rzeczywistości liczba punktów uzyskanych przez Pieckygo za zdolności intelektualne przewyższała to, co Snorg uzyskał w sumie za sprawność fizyczną, poprawność budowy i intelekt. Gdy ujrzał na ekranie, że za zdolności Tib otrzymała dokładnie zero punktów, zaklął szpetnie.

Zawsze intrygowało go światło dnia wpadające do Pokoju – teraz wiedział już, że była to tylko lampa świecąca widzialnie i także nieco w ultrafiolecie, zapalana i gaszona periodycznie. Pokój znajdował się głęboko pod ziemią. Na powierzchni ujrzał słońce tylko raz – jasnoszarą tarczę przeświecającą przez gęstą mgłę. Obecnie było i tak lepiej, gdyż dawniej, kiedy ziemię stale pokrywały śniegi, słońce nigdy nie przeświecało przez chmury.

IX.

Tibsnorg coraz dokładniej poznawał pracę systemu ewidencji materiału biologicznego. Tib, Piecky i inni otrzymali oznaczenia porządkowe od ATO 44567743 do ATO 44567749, i nie posiadali już imion. Wkrótce też od numeru porządkowego 44567746, czyli od Moosy, pobrano oko, nos i jedną z nerek do przeszczepu kosmetycznego. Tibsnorg wprawdzie wypowiedział się przeciwko wyznaczeniu numeru ATO 44567746 do tej operacji, ale jego opinia została pominięta – zapewne inni rzeczoznawcy głosowali za. Przeżył to boleśnie, nadal bowiem czuł więź z Moosy i innymi.

Następny był Dags z numerem 44567748. Operacja była letalna: pobrano Dagsowi przełyk z żołądkiem, wątrobę, jelita, obie dłonie oraz zewnętrzne narządy rozrodcze, bez gruczołów. To, co pozostało, nie było zdolne do życia i dlatego skórę oraz mięśnie i kości rąk zachowano w magazynie kultur tkankowych, zaś numer 44567748 zdjęto z ewidencji.

Koszt każdego z narządów obliczano na podstawie dotychczasowych kosztów utrzymania osobnika. Najłatwiej było kalkulować dla pobrań materiału kończących się zdjęciem numeru z ewidencji, bo wówczas po prostu dzielono koszty dotychczasowego utrzymania materiału, z odpowiednimi przelicznikami, między wszystkich biorców organów. Przy innych pobraniach stosowano bardzo złożone i niejasne sposoby obliczeń i Tibsnorg podejrzewał, że tylko system orientuje się w nich dokładnie.

„Ciekawe, który numer bym dostał, gdyby nie Bablyoyannis?” zastanawiał się. „Może chociaż obok Tib?”

W stołówce nie siadywał już sam. Nawiązał kontakt z kierowcą, który pracował na maszynach przywożących urobek z kopalni metali. Tamten nazywał się Abraham Dringenboom i był wysokim, zwalistym człowiekiem, bardzo dumnym ze swojej nazwy, wyszperanej gdzieś w bibliotece historycznej. Dringenboom miał niski, tubalny głos i mówił bardzo głośno, co peszyło Tibsnorga, gdyż w stołówce zwykle panowała cisza. Wydawało mu się, że wszyscy patrzą na nich, chociaż faktycznie ich głośna rozmowa nie wzbudzała niczyjzego zainteresowania, a na dodatek wielu spośród obecnych miało słuch upośledzony w większym lub mniejszym stopniu.

– Tibsnorg Pieckymoosy – zadudnił Dringenboom. – Dziwne imiona... Dlaczego wybrałeś sobie właśnie takie?

– Jest we mnie wielu – powiedział cicho Snorg.

– Hram... – mruknął Dringenboom. – Tak to sobie wymyśliłeś... Nie jest dobrze wiązać się zbytnio ze współmieszkańcami swojego Pokoju. Wiesz, dzisiaj podali, że średnia długość życia człowieka osiągnęła już dwadzieścia cztery lata – zmienił temat. – Nie chce mi się w to wierzyć... To zbyt piękne. Myślę, że oni jednak trochę wygładzają dane medyczne, żeby nie psuć naszych humorów.

– Jak oni to obliczają? – zaciekawił się Tibsnorg. – Dla wszystkich osobników, które się rodzą, czy tylko dla ludzi?

– Zgłupiałeś...? Dla ludzi, oczywiście, że dla ludzi, przecież żywy rodzi się ledwie co dziesiąty.

Tibsnorg przypatrywał się Dringenboomowi z uwagą. Tamten wyglądał zupełnie poprawnie. Wprawdzie był ubrany w szarą kurtkę i spodnie, więc ciało nie było widoczne, ale oprócz zoperowanej zajęczej wargi, ukrytej zresztą pod siwiejącym zarostem, nic nie wskazywało na odchylenia od normy.

Jakby śledząc jego myśli, Dringenboom poruszył się.

– Miałem całą skórę na tułowi pokrytą brodawkami na wstrętnych długich szypułkach. To już mi zoperowali... Największa różnica jest w gaciach. – Dringenboom skrzywił się. – Ale się nie martw, Tibsnorg... Kupię sobie takiego... że mi starczy na pięćoro żywych dzieci. Mam już uskładane tysiąc sześćset dwadzieścia pieniędzy – dodał, wyczuwając niewiarę Tibsnorga.

1620 pieniędzy było niewyobrażalnie wielką kwotą: Tibsnorg był w stanie oszczędzić 22,24 pieniądze ze swoich dziesięciodniowych zarobków. To była suma, za którą można by chyba było wykupić całą Tib na własność, oczywiście jako materiał biologiczny. Coraz częściej przed oczyma stawała mu jej smukła, zgrabna sylwetka, okolona burzą kolorowych włosów. Jego sny nieodmiennie wiązały się z Pokojem. Przewijały się w nich postaci jego bliskich, zaś Tib występowała w nich stale.

Tibsnorg wynajął nieco lepszy lokal z widokiem na zewnątrz. Lokale znajdujące się na powierzchni należały do rzadkości. Był zaskoczony, gdyż nowy pokój – wprawdzie nieco mniejszy niż poprzedni i tylko z dwoma wizorami, a nie trzema – kosztował jednak tylko osiem pieniędzy drożej niż poprzedni. Zrozumiał dopiero, gdy dowiedział się, ile wynosi tło promieniowania w lokalach znajdujących się na powierzchni. Okno jednak rekompensowało wiele. Spędzał godziny, wpatrując się w nieprzeniknione, ołowiane chmury nad szarobrunatnymi pustymi wzgórzami. Krawędź lądolodu nie była widoczna z okna, ponieważ znajdowało się ono zbyt nisko ponad powierzchnią terenu. Widać ją było jedynie z wieży widokowej w bardzo jasne dni oraz przez dobrą lunetę.

Krajobraz, chociaż nie tak piękny, jak zsyntetyzowany, ciągnął z nieprzepartą siłą. I chyba dlatego Tibsnorg zgłosił się do pracy jako kierowca transportu zewnętrznego. Nie bez znaczenia były też wysokie zarobki umożliwiające stosunkowo szybkie oszczędzenie większej sumy.

W biurze transportu przyjął go urzędnik w fotelu inwalidzkim. Niknął prawie za biurkiem, jednak w jego wzroku było coś takiego, co skłaniało do ostrożności. Gdy Tibsnorg osobiście wyłożył swoją propozycję, tamten spojrzał badawczo.

– Pan jest neutralny czy płciowy?

– Neutralny – skłamał Tibsnorg, wiedząc, że jest to warunek konieczny do zatrudnienia. Urzędnik uprzejmie pokiwał głową i nieproporcjonalnie drobną dłonią napisał coś na klawiaturze. Spojrzał na ekran i rysy jego twarzy stwardniały. Zanim otworzył usta, wiadomo było, że rozmowa jest skończona.

– Nie można tak szafować swoimi możliwościami, to jest naprawdę wyniszczająca praca.

– Urzędnik odwrócił się tyłem wraz z fotelem, kończąc rozmowę.

Dringenboom o mało nie uderzył Tibsnorga, gdy się o tym dowiedział. Wyszarpnął ze złością z kieszeni kombinezonu swój wskaźnik – mały różowy kawałek tworzywa.

– Patrz, głupcze! – Wskazał masywnym paluchem na płytkę. Gdy Dringenboom się denerwował, nie był w stanie powstrzymać silnego drżenia rąk. Jego palec skakał we wszystkie strony wokół różowego prostokąta.

– Jak się zrobi czerwony, to strzelę w kalendarz... – Jasne oczy Dringenbooma błyszczały na tle jego opalonej twarzy, która teraz była zupełnie czerwona. Zarabiał tak dużo, że mógł sobie pozwolić na opalanie skóry.

– Gdzie się pchasz...? Do piachu?! – dodał rozzłoszczony.

– Stać cię na naświetlanie sztucznym słońcem – powiedział cicho Tibsnorg.

– No to co, durniu...!? Co to warte? Ty możesz mieć bab na pęczki... nawet jeśli ci brakuje w gaciach wszystkiego oprócz gruczołów. Gruczoły są najdroższe... cała reszta, całe mięso nie kosztuje więcej niż sześćset, osiemset pieniędzy.

– Fizycznie jestem w porządku – wybąkał Tibsnorg. – To jest jakiś niedorozwój nerwów obwodowych.

– To jeszcze taniej. Nie opędzisz się od bab. Rozerwą cię na kawałki... Żyć, nie umierać, chłopie.

Tibsnorg chwilę zastanawiał się, czy mu powiedzieć o Tib, ale zrezygnował i na tym rozmowa się urwała.

Ab Dringenboom był jedynym człowiekiem, z którym Tibsnorg utrzymywał stałe kontakty, jeśli nie liczyć zdawkowych słów zamienianych z przypadkowymi towarzyszami przy stole. W porównaniu z Pokojem, prowadził teraz niemal samotniczy tryb życia. Nie szukał kontaktów z innymi ludźmi, żył wspomnieniami. Inne kobiety, spotykane na stołówce lub na korytarzach, nie mogły się równać z Tib: były brzydkie lub ich ułomność zanadto rzucała się w oczy. Zaczął wprawdzie, zgodnie z przepisami, nosić czerwoną naszywkę oznaczającą, że nie jest neutralny, ale nie zmieniło to w najmniejszym stopniu jego zachowania. Stał się może tylko nieco bardziej szorstki dla kobiet, które teraz nagabywały go nieco natarczywiej. Może rzeczywiście, gdyby nosił dwie naszywki oznaczające pełne możliwości, działałoby się to, o czym mówił Dringenboom, ale z jedną raczej miał spokój. Kilka dni później Ab przyniósł ponurą nowinę.

– Mam raka – powiedział głucho, patrząc w talerz z zupą, niesmaczną, śluzowatą, ale posiadającą pełny zestaw witamin i mikroelementów.

– No i co...? Połowa ludności ma raka. – Tibsnorg wzruszył ramionami.

– Jest już w fazie C – dorzucił Dringenboom.

– Masz przecież tysiąc sześćset dwadzieścia pieniędzy, to wyjdiesz z tego... – Snorg nie wydawał się być zbyt przejęty.

– Tysiąc sześćset czterdzieści osiem – poprawił go Dringenboom. – Ale to i tak gówno za mało... Mam takiego, co się cholernie szybko sieje. Na leczenie pójdzie przynajmniej półtora tysiąca... i nigdy sobie nie sprawię kutasa.

Tibsnorga drażniła jego wulgarność.

– Dlaczego dopuścili do fazy C...? To jest bardzo zaawansowany. Możesz zaskarżyć dział medyczny – powiedział.

– Moja wina – mruknął Dringenboom. – Nie robiłem sobie badań, bo kosztują, a chciałem szybciej zebrać pieniądze, zanim mój wskaźnik zdąży zupełnie sczerwieniec.

– Przysługuje ci przecież bezpłatna, podstawowa opieka medyczna, jak każdemu człowiekowi.

– Dziękuję. – Oczy Dringenbooma były matowe i przygasłe, w jego głosie wyczuwało się wyraźnie wadę wymowy wywołaną źle zoperowaną zajęczą wargą. – Zostawią mi mózg, oczy i część systemu nerwowego, a resztę usuną i spalą, bo powiedzą, że jest zbyt zagrożona przez przerzuty. Potem zrobią ze mnie jednostkę sterującą koparką w kopalni albo taśmą produkcyjną.

– Myślę, że oni umieją leczyć go inaczej, niż tylko przez wymienianie chorych organów, ale nie ogłaszają tego ze względów ekonomicznych. Za bardzo spadłoby wtedy

zapotrzebowanie na przeszczepy – powiedziawszy to, Tibsnorg zaczął się zastanawiać: „1648 pieniędzy to prawie wartość całego ciała Tib. A przecież Ab i tak niedługo skończy... Znaczek ma już bardzo ciemny. Ile organów sobie kupi? Dwanaście...? Czternaście...? W końcu i tak utraci ciało”, myślał, „a to dla niego gorsze niż śmierć. Jak zdobyć te pieniądze?”

Dringenboom przypatrywał mu się bez słowa.

X.

Od tego czasu Dringenboom zmienił się. Stał się bardziej skryty i mniej pewny siebie. Gdy Tibsnorg powiedział mu o Tib, przyjął to z niechęcią, ale spokojnie. Uważał, że nie ma to najmniejszego sensu i że Tibsnorg powinien raczej rozglądać się za kobietami spośród ludzi, a nie szukać ich wśród materiału biologicznego. Ostatecznie wartość całej Tib była tak wysoka, że trzeba by oszczędzać na nią chyba przez całe życie, a wcześniej i tak inni wykupią różne części jej ciała.

Zgodził się natomiast zabrać Tibsnorga na przejażdżkę. Ab przewoził swą wielką ciężarówką urobek z dość oddalonej kopalni odkrywkowej. Wóz pokonywał stosunkowo długi dystans zapyloną drogą wiodącą pośród wzgórz pokrytych szarym pyłem unoszonym przez wiatr.

– Wystarczy kilkanaście wdechów tego pyłu. – Dringenboom wyszczerzył zęby zza niesymetrycznych warg.

Tibsnorg spojrział na niego z przestachem.

– Do środka leci przez niezły filtr, tak że starczy na kilkaset tysięcy wdechów – roześmiał się Dringenboom.

Kopalnia odkrywkowa była ruinami dawnego miasta, z których odzyskiwano metale. Gigantyczna koparka wciniała się w pogiętą żelbetową konstrukcję dawnego budynku lub fabryki. Dringenboom czekał w kolejce po urobek. Wreszcie kilka porcji żelbetowych konstrukcji, pyłu i gruzu znalazło się na jego pojeździe.

– Dziennie wykonuję cztery, pięć kursów. Zawsze podają mi z centrum informacyjnego optymalną trasę przejazdu, na której jest najniższy poziom promieniowania. To się lubi często zmieniać... jak wieje wiatr albo jak pada deszcz lub śnieg.

Dringenboom wskazał palcem na ekranik.

– Aktualny poziom tła mierzony jest na bieżąco. Dzisiaj jest niski, ale czasem dzwoni, aż strach jechać... W takie dni płacą nam dwa albo trzy pieniądze premii dodatkowo.

W drodze powrotnej pozwolił Tibsnorgowi trochę poprowadzić ciężarówkę. Sprowadzało się to tylko do wydawania poleceń, gdyż pojazdem sterował bezpośrednio procesor.

– W razie czego komputer i tak doprowadzi ciężarówkę z powrotem – powiedział Dringenboom. – Gdybyś zasłabł albo nagle zmarł. Urobek nie może się zmarnować.

Na jednym ze wzgórz wznosił się osamotniony budynek do połowy przysypany pyłem. Zachował się cały, nawet z dachem, drzwiami i szkłem w oknach.

– Chciałbym mieszkać w tym domku – powiedział Ab – nie w mieście.

– Na powierzchni?

– Twój pokój też jest na powierzchni, Tibsnorg. Widać, da się żyć za odpowiednią osłoną.

XI.

Nadszedł w końcu dzień, który musiał kiedyś nadejść. Tibsnorg wyobrażał go sobie w wielu różnych wariantach, jednak nigdy nie myślał, że ów dzień zastanie go tak nieprzygotowanym.

Pracował jak co dzień przed ekranem wizora. Jego oszczędności wynosiły 48 pieniędzy oraz 320 pieniędzy odłożonego kredytu. Ekran przyniósł kolejną sprawę do decyzji. Rządek zgrabnych zielonych liter i cyfr informował precyzyjnie: od numeru ATO 44567744 zamierzano pobrać ręce, nogi i tułów wraz z szyją dla jednego biorcy, zaś głowę dla innego. Mózg przeznaczono do kasacji, zaś numer miał oczywiście zostać zdjęty z ewidencji.

„Musiała długi czas ciężko pracować na takie ciało...” pomyślał z ironią. „A tej drugiej, zasłużonej spodobała się pewnie w katalogu szczupła twarz i niebieskie oczy, i to bardzo, skoro zdecydowała się na głuchotę. A może dorobiła się już tyle, że i uszy sobie zafunduje od kogoś...”

– Gnojki... cholerne gnojki... – powtarzał, gryząc palce.

Wiedział od dawna, że to nastąpi, a teraz zwlekał z decyzją. Wydawało mu się, że do tej chwili zdąży zebrać więcej pieniędzy. Należało podjąć szybką decyzję w sytuacji, która nastąpiła, a nie którą sobie wymarzył.

– Gnojki... cholerne gnojki... – mruczał.

Poprosił system o czas do namysłu, gdyż rozważa możliwość nabycia całego egzemplarza ATO 44567744 przez jednego biorcę, z uwagi na większą opłacalność takiego postępowania. Zwłoka w decyzji pozwalała nieco zyskać na czasie. Wyłączył kamery, wstał od pulpitu i wyszedł. Chodził już sprawnie i dość szybko. Napięcie woli przed każdym krokiem od dawna stało się nawykiem.

Do magazynu materiału biologicznego nie było daleko. Już wcześniej dowiedział się od systemu, w którym pomieszczeniu jest przechowywana. System podał mu również wszystkie hasła umożliwiające wejście. Ospały wartownik przed masywnymi, metalowymi drzwiami nie stawiał przeszkód. Tibsnorg pocił się ze zdenerwowania. Winda jechała przeraźliwie powoli. W końcu – właściwy poziom. Korytarz z dziesiątkami identycznych drzwi ciągnął się w nieskończoność. Nieustannie czuł wątpliwości, czy postępuje właściwie. To, co zamierzał, było rzeczą niesłychaną. Nareszcie drzwi z numerem ATO 44567. Otworzyły się samoczynnie.

Następny korytarz, wzdłuż którego ścian znajdowały się stanowiska przechowujące materiał biologiczny – dziesiątki osobników różnego wzrostu i o różnym stopniu zniekształcenia. Wszyscy bez odzieży; wszyscy w płataninie przewodów, elektrod. Z początku nerwowo odliczał po kolei, potem zauważył numerację naniesioną na każdym ze stanowisk. Długo trwało, zanim do niej dotarł. Stała z otwartymi oczyma. Ich wzrok spotkał się. Poznała go. Odpięcie przewodów trwało parę chwil, dłużej – odpięcie pasów krępujących jej ręce i nogi.

Natychmiast przywarła do niego, przytulając twarz.

– Wróciees Sneogg, wiedziaam... – powiedziała cicho.

– Szybko, Tib, szybko. – Pociągnął ją za rękę.

Wiedział, że w wyniku systematycznej stymulacji jej mięśnie są w bardzo dobrej kondycji – nikt przecież nie kupiłby atroficznym kończyn.

– Piecky. – Pokazała na drobny kształt owinięty kłębem przewodów. Wspólnie oswobodzili Pieckygo, który natychmiast się zbudził.

– Daj spokój, Snorg. To nie ma sensu – powiedział.

Snorg niósł go na jednej ręce, a Tib ciągnął drugą. Odetchnął dopiero w windzie.

– I co teraz zrobisz? – zapytał Piecky.

Tib cały czas tuliła twarz do Snorga.

– Znam wszystkie hasła systemu – powiedział Snorg. – Liczę na zaskoczenie, mamy może z pięć procent szans.

Na wartowni strażnik spojrzał na nich niedbale. Przez myśl mu nie przeszło, że dwoje z wychodzących są po prostu materiałem. Wprowadził do systemu hasło podane przez Snorga, spojrzał na ekran i skinął głową, żeby przechodzili.

Na zewnątrz magazynu prawie biegli. Snorg zatrzymał mały automatyczny wózek transportowy i wszyscy wsiedli. Do pokoju Dringenbooma było bardzo daleko, nawet pojazdem. Cały czas na korytarzach panowała złowieszcza cisza.

Zastali go w pokoju; spał jeszcze.

Jedno uderzenie i kamera smętnie zawisła na kablu. Mocne szarpnięcie zerwało przewód do reszty.

– Ab! Wstawaj! – Snorg szarpnął go za ramię. – Jestem z Tib. Idziesz z nami?

Dringenboom tarł dłonią zaspane oczy. Spojrzał na nich.

– Nie cierpię tego Ab. Jestem Abraham – powiedział. – Ona jest naprawdę śliczna – dodał, patrząc na Tib. – Nie, nie idę z wami. Weź kartę mojej ciężarówki i daj mi czymś po głowie – mówił dalej – najlepiej tą książką, ale tak, żeby mnie nieco pokrwać... i uciekajcie z miasta, jak najdalej. To jedyna szansa.

– W porządku – powiedział Snorg. – Na dodatek cię związę, będzie lepiej wyglądało.

Trwało to dość długo, gdyż Snorg obawiał się, żeby nie zrobić mu większej krzywdy. W końcu Abraham Dringenboom leżał nieprzytomny i związany na swojej kanapie, a z rozciętej skóry na czole wyciekło mu nawet kilka kropel krwi.

Dojeżdżali już do hali maszyn transportowych, gdy cały korytarz wypełniło wycie syren. Zaczęło się. Co kilka metrów błyskało czerwone światło. Kamery rozmieszczone w korytarzu kręciły się wokoło. Zdażyli wjechać do hali, zanim drzwi zostały zablokowane. Snorg rozpoznał ciężarówkę Dringenbooma. Wcisnął fiszkę w szczelinę przy wejściu; automat zareagował. Wszyscy troje weszli na platformę windy i po chwili byli już w kabinie sterowniczej. Snorg wyprowadził wóz z hali. Dzień był mroczny, a warstwa chmur szczególnie gruba. Uruchomił wizor. Właśnie podawano serwis informacyjny.

„...Zdumiewająca kradzież materiału biologicznego o sumarycznej wartości ponad czterech tysięcy pięciuset pieniędzy! Rzecz niesłychana od niepamiętnych czasów! Trwają intensywne poszukiwania sprawcy, którym jest urzędnik szczebla DG Archiwum Materiału Biologicznego o nazwie Tibsnorg Pieckymoosy. Do akcji została włączona grupa operacyjna sił samoobrony. Jej użycie gwarantuje odzyskanie skradzionego mienia bez żadnego uszczerbku, a także skuteczne ujęcie sprawcy”.

Ekran wypełniały zdjęcia filmowe z kamer stacjonarnych przedstawiające Snorga niosącego Pieckyo oraz Tib idącą obok.

Snorg gwizdnął przez zęby:

– Ta grupa operacyjna to kilkuset piekielnie sprawnych fizycznie facetów, takich wysportowanych zwojów mięśni – powiedział.

– Myślę, że nie mamy żadnych szans. – Piecky oderwał wzrok od ekranu. – Ale wdzięczny ci jestem, że mogłem to zobaczyć. – Wskazał oczyma na okno. – Straciłem już rachubę czasu, stojąc ciągle w tych kablach. Zastryk na spanie... zastryk pobudzający na wstanie... i tak w kółko.

Tib też wpatrywała się bez słowa w okno od chwili, gdy wyjechali z hali ciężarówek.

– Na szczęście naprzeciwko był facet mojego wzrostu i mogliśmy sobie pogadać – mówił dalej Piecky. – Tamten rozmawiał też z Tib, żeby zupełnie nie zgłupiała. Ja nie mogłem do niej mówić, bo nie widziała moich ust, a przecież nie słyszy. I wiesz, ona podobno jest coraz bystrzejsza. Przynajmniej tamten tak mówił.

Snorg podprowadził ciężarówkę do koparki.

Piecky z uwagą przyglądał się, jak potężny chwytak nabiera fragmenty ruin, które kiedyś były katedrą.

– W tym kiedyś mieszkali ludzie? – zapytał.

Snorg skinął głową.

Kolejne fragmenty konstrukcji lądowały w ładowni pojazdu.

– Więc tak mieszkali ludzie przed wojną – powiedział do siebie. – Musieli chyba czuć się bardzo samotnie w takich rozproszonych zabudowaniach...

Ciężarówka została załadowana i Snorg ruszył z powrotem.

– Wracamy? – zapytał zaniepokojony Piecky.

Snorg skinął głową.

– Mam plan – powiedział.

Pojazd pędził z maksymalną prędkością.

– Tib, załóż sobie i Pieckymu maskę – skinął głową w kierunku skrytki.

Ona jednak nie zareagowała, bo mówił, patrząc w kierunku wizora i nie widziała ruchu jego warg.

Powtórzył, patrząc na nią.

Tib wyjęła maski i kombinezony, po czym szybko i z nieoczekiwaną wprawą nałożyła je na siebie i Pieckiego. Snorg sam założył maskę i kombinezon. Zbliżali się do wzgórza, na którym stał samotny, zachowany budynek.

Snorg zatrzymał ciężarówkę. Winda zwiozła ich na poziom gruntu. Licznik niesiony przez Snorga terkotał. Tib niosła Pieckiego na ręku jak niemowlę. Wszyscy mieli na sobie ochronne odzienie wykonane z przezroczystego tworzywa. Piecky był zbyt krótki i dlatego Tib zawinęła go kilkakrotnie w zbywające zwoje tworzywa. Musieli przejść dystans daleko większy niż odległości pokonywane dotąd pieszo. Na dodatek w pyłe sięgającym do pół łydki. Przez pewien czas patrzyli nieruchomo na malejący, masywny kształt ciężarówki, która oddalała się, sterowana automatycznie. Wkrótce zniknęła za horyzontem.

Wyruszyli w drogę. Szli wolno, mozolnie, grzęznąc w sypkim piachu. Długo trwało, zanim złani potem dotarli do ruin. Nieco mniej zmęczona była Tib, której mięśnie, stymulowane elektrycznie w magazynie, były w dobrej kondycji.

W budynku zachował się dach i solidne drewniane drzwi, a nawet furka w ogrodzeniu. Snorg nadal wierzył, że ucieczka się powiedzie, choć Piecky uważał, że opuszczenie ciężarówki było zasadniczym błędem. Twierdził, że należało gnać nią jak najdalej od Miasta i jego grupy operacyjnej. Może zrezygnowałiby z pogoni, gdyby udało się odjechać bardzo daleko. Snorg w duchu przyznawał mu rację, jednakże nie był w stanie zdecydować się na kompletne zerwanie więzi z miastem i przyjął inny plan. Opuściwszy miasto, odczuwał osamotnienie.

Żadne z nich trojga nie zdjęło stroju ochronnego, ponieważ wszędzie było pełno pyłu i nie można go było usunąć.

Tib usiadła i spojrzała na Snorga.

– Byłam pewna, że wóćisz po mnie... – powiedziała powoli.

Uśmiechnął się niewyraźnie.

– To był sen... We śnie opuściłam Pokój. Tyle światła... i ci obcy wokół, tylu ich było... Oni mnie potem Tam ustawili obok Pieckiego... Dobrze, że znów jesteś – mówiła, cały czas obserwując jego usta.

– Jąkała zawsze ma najwięcej do powiedzenia – przerwał jej brutalnie Piecky. – Zaraz pewnie powie o zastrzykach. Rzeczywiście, z boku wysuwała się strzykawka z igłą, ciach i spałeś... ciach i wracała jawa... To było zupełnie jak wyłącznik. I tylko te wózki krążące codziennie wzdłuż rzędu, trójpoziomowe wózki... Zawsze ciągnęli wózek ci sami ludzie w

szarych, jednakowych strojach. I zawsze wieźli kogoś na takim wózku. Wywozili. Rzadko ktoś tam wracał... ale zawsze w bandażach. Z dołu mało co widać. To był zawsze jeden z nas. Trudno się było porozumieć, bo co drugi w szeregu spał, a krzyczeć też się nie dało, bo zaraz szedł zastrzyk. Ale mimo to przekazywaliśmy sobie... tak łańcuszkiem... takim głosem, żeby usłyszeć, ale żeby jeszcze z boku nie wyszła strzykawka. Najgorzej, jak był głuchy po drodze. Potem ci sami w szarych strojach zdejmowali im bandażę... i oni nie mieli rąk... nóg... albo różnie... Najgorzej było, kiedy wózek zwalniał przed tobą. Człowiek myślał, że się zatrzyma. Ci w szarych strojach to nie byli sadyści, tylko te wózki miały takie słabe kółka... Oni starali się prowadzić te wózki jak najrównomierniej. Wiedzieli przecież, co czujemy. Ale czasem kółko się zacierało i wózek zwalniał. Ale ja nie chciałem, żeby w razie czego przywieźli mnie z powrotem. Przecież i tak brakuje mi prawie wszystkiego...

– Na tych wózkach wywozili zawsze trzech ludzi – przerwała mu Tib, która od dłuższego czasu patrzyła na twarz Pieckygo.

– Z powrotem waacało zwykle dwóch, czasem jeen... – Tib, gdy była wzburzona, zaczynała się jąkać. – Pamiętam Moosy, jak wracała. Tylko jedno oko błyszczało spod bandaża, ale to była ona... Colfi mówił, że to ona wóciła... i opowiadał, jak jej potem zdjęli te bandażę.

– Przestań! – znowu przerwał jej Piecky. – Nie chcę tego znowu słuchać, wiem, jak wyglądała wtedy... potem i tak ją wzięli drugi raz... i nie wróciła.

– Moosy? – zdziwił się Snorg. – Tak... oczywiście... to mogło być na innej zmianie. Cholera, to było ryzyko – mówił do siebie. – Ją też mogli. Ale na szczęście to zdarzyło się na mojej zmianie... takie szczęście...

– Jakie szczęście? – zapytała chrapliwie.

– Że jesteś tu ze mną. Nie brałem wcześniej pod uwagę wielu możliwości.

– Ja nie mogłam tak stać. Tylko te dreszcze mięśni, po których byłaam tak zmęczona... i rozmowy z Colfim, bo ust Pieckygo nie mogłam zobaczyć... a reszta: musiaa się kiedyś skończyć obłędem. Nie zdążyłam zwariować, ale gdyby tak dłużej, to na pewno...

Oboje z Pieckym mówili, przerywając sobie nawzajem. Piecky bezceremonialnie wchodził w słowa Tib, a ona dopiero po chwili orientowała się, że on mówi, i milkła. Potem znów ona przerywała Pieckemu i snuła opowieść chrapliwym, załamującym się głosem. Trudno przecież streścić tyle dni w ciągu kilku godzin. Potem Piecky wyłączył się i patrzył na ciężkie brunatne chmury sunące nisko nad głową. Patrzył w skupieniu, a na jego obliczu rysowało się coś jakby zachwyty, coś, co z pewnością zdumiałoby Snorga, gdyby choć raz spojrział na Pieckygo.

– Przestańcie szeleścić tym plastikiem – powiedział w końcu Piecky.

Oboje spojrzeli na niego.

– Słuchaj, Snorg, mówię do ciebie, bo ta chuda i tak stale gapi się w twoją zarozumiałą gębę – kontynuował, a jego dawny ton zabrzmiał tak mile, że Snorg się uśmiechnął.

– Czuję to... wiem, że kiedyś pofrunę wśród tych chmur, wysoko nad ziemią, na skrzydłach... i to będzie najlepsza część mojego życia.

– Może zrobią z ciebie jednostkę sterującą maszyną, bo ciało masz do kitu, ale mózg całkiem, całkiem... Ale najpierw muszą nas złapać, a to nie takie łatwe. Żadna kamera nie widziała, gdzie wysiedliśmy.

– Co by się stało, gdyby nas złapano, a o czym jestem, niestety, przekonany? – Pieckymu nie wystarczyły poprzednie wyjaśnienia.

– Stul się, Pietzky...! – Snorg pierwszy raz słyszał Tib mówiącą takim tonem. – Chyba marzysz o tych zastrzykach, Tam...

– Mówię, co myślę.

– Warto się nad tym zastanowić – powiedział Snorg po chwili namysłu. – Sądzę, że nam dwóm nie grozi zbyt wiele, gdyż jest to sprawa bez precedensu. Każdy z nas by przeżył, chociaż z różnych powodów. Mnie nic by się nie stało, ponieważ prawo do zachowania życia jest fundamentalne dla każdego człowieka. Wydaje mi się nawet więcej... Jedyne słuszne prawo stanowi też, że jeśli już ktoś raz został mianowany człowiekiem, to nie przestanie nim być, więc z pracownika Archiwum Materiału Biologicznego nie stałbym się jednym z magazynowanych egzemplarzy. Piecky też miałby się nieźle... spełniliby jego marzenia: patrzyłby z wysoka i sterował pracą koparki – takie należyte wykorzystanie byłoby konieczne, aby uzasadnić w pełni celowość wielkiego nakładu sił, użytego, aby nas schwytać.

– Dlatego wysiedliśmy? – przerwał mu Piecky.

– Nie dlatego – odpowiedział Snorg po chwili milczenia. – Nie ma dokąd uciec. Oprócz Miasta nie ma niczego. A tutaj...? Ab wie, gdzie jesteśmy, pamięta ten domek, przywiezie nam jedzenie. Ab jest naszą szansą.

Tym razem milczenie przerwała Tib.

– A ja, Sneogg...? Co ze mną...? – Natarczywie wpatrywała się w jego wargi.

– Ciebie, tylko ciebie – zwrócił się twarzą wprost do niej – czekałby tragiczny los... Ciało zapragnęła jedna... głowę i twarz – inna, bogata i pewnie zasłużona kobieta. Ale wolalbym umrzeć, niż dopuścić, by miało się tak stać.

– Więc dzięki tej chudej ujrzałem niebo – powiedział cicho Piecky i przestał się wtrącać. Gapił się na przemierzające się szybko obłoki.

Gdy szary półmrok dnia ustąpił mrokowi nocy, zasnęli przytuleni do siebie, głodni i zmarznięci.

XII.

Zbudzili się o szarym i chłodnym świcie. Tib była nadal rozmowna i błyskotliwa jak nigdy dotąd. Zaskakiwała go. W jego wyobrażeniach była piękna, lecz niezbyt rożgarnięta.

Stwierdził, że oni wszyscy stale rozwijali się umysłowo, nie tylko on sam – mianowany na człowieka, nazwanego Tibsnorg Pieckymoosy.

„Może oni wszyscy, gdyby tylko dać im więcej czasu...?”, pomyślał.

Cały czas oczekiwali na przybycie Dringenbooma. Snorg liczył, że Ab przybędzie swą gigantyczną ciężarówką, dostarczy im pożywienie i wspólnie postanowią, co robić dalej. Był ich szansą. Czekali długo, obserwując sznur przejeżdżających w oddali pojazdów, wiozących urobek do miasta. Głód dokuczał coraz bardziej. Około południa przez chmury przejrzało żółte słońce. Zrobiło się jasno i świetliście. Tib i Snorg stali obok siebie w promieniu światła i patrzyli na cienie, które rzucali. Tak czyste słońce widzieli po raz pierwszy w życiu.

– Czy gdyby zrobili ze mnie układ sterujący maszyny, to mógłbym widywać to częściej?
– zapytał Piecky, zerkając w okno.

– Nie wiem. Może też zostawiliby ci oczy – powiedział Snorg z wahaniem. – Nie zostałeś mianowany człowiekiem, więc traktowaliby twój mózg jako materiał. Prawo do pozostawienia oczu mają jedynie ludzie, którzy utracili ciało w wyniku nieuleczalnej choroby, ale niewykluczone, że zainstalowaliby cię do takiej wielkiej koparki, a tam zostawiają oczy. Z twoim intelektem, kto wie...?

Przerwał mu donośny huk silników, który z pewnością nie pochodził od przejeżdżających ciężarówek. Snorg zbladł, zrozumiał, że Dringenboom nie przywiezie im nigdy jedzenia. Ryk narastał, dało się wyczuć wibracje gruntu. Wokół budynku zaczęły lądować wielowirnikowe, ciężkie maszyny latające grupy operacyjnej.

– Jeden... dwa... trzy – Snorg liczył, czując, jak drętwieją mu szczęki. Tib z całej siły przywarła do niego.

– Oni jednak wracają... Jednak to wszystko nie miało sensu... – wyszeptała, patrząc na lądujące, opancerzone maszyny.

Wokół nich pojawiły się drobne sylwetki w szarych mundurach, hełmach i kamizelkach kuloodpornych. Sprawnie wyskakiwali z maszyn i czołgali się ku budynkowi. Zauważył, że uzbrojeni są w broń automatyczną, a kilku niesie lasery.

„Te wszystkie armaty to na mnie...?”, pomyślał z ironią. „Czy oni chcą burzyć cały dom...?”

Nie starał się nawet liczyć komandosów. Było ich przynajmniej kilkudziesięciu. Błyskawicznie rozlokowywali się wokół.

– Tibsnorg Pieckymoosy...! – rozległo się nagle bardzo głośne wołanie. – Nie masz żadnych szans. Poddaj się. Wydaj skradziony materiał biologiczny. Zostanie to potraktowane jako okoliczność łagodząca. Twój wspólnik Abraham Dringenboom został ujęty.

Tib patrzyła na niego natarczywie, widocznie wyczuła zmianę. Powtórzył jej to, co brzmiało z głośnika, ale tak, by widziała jego usta.

– Tibsnorg Pieckymoosy! – głośnik ponawiał poprzednie wezwanie. Piecky milczał, w jego oczach widać było przerażenie.

– Gnojki... cholerne gnojki... – powtarzał machinalnie Snorg, stojąc nieruchomo na środku pokoju i tuląc Tib.

– Przecież my chcemy tylko żyć – wyszeptała, patrząc na niego.

– ...to potraktowane... – rozlegało się z głośnika, gdy za drzwiami dał się słyszeć ruch. Nagle potężna eksplozja rozbiła drzwi w drzazgi. Dwóch komandosów błyskawicznie wskoczyło do wnętrza i przypadło do podłogi, mierząc do Snorga.

„Mają niezłe ćwiczenia...”, zdążył pomyśleć.

Byli uderzająco sprawni. W ułamku sekundy, w dymiącym jeszcze otworze pojawił się trzeci, z kolorowym skrzydlatym potworem namalowanym na kuloodpornej kamizelce sięgającej poniżej bioder. Stał nieruchomo na rozkraczonych muskularnych nogach, mierząc do Snorga z pistoletu o długiej lufie, trzymanego w obu wyciągniętych rękach. Zamiast nosa miał pojedynczą, czarną jamę, uwstecznione wargi odsłaniały zęby, co w połączeniu z brakiem powiek nadawało jego twarzy trupi wyraz.

„Byłeś pierwszy, gnojku”, pomyślał Snorg. „Za to kupisz sobie nową twarz. Chyba że zaliczą pierwszeństwo tym na podłodze”. Snorg opuścił wzrok na leżących komandosów.

Tamten powiódł oczyma za spojrzeniem Snorga. Kolejni komandosi wskakiwali przez rozbite drzwi do pokoju, natychmiast przywierając do podłogi. Tamten, jakby rozumiejąc myśli Snorga, ponownie omiół wzrokiem leżących żołnierzy. Nagle znieruchomiał, podjął decyzję. Jeszcze przez chwilę, zza przezroczystej, plastikowej przyłbicy mierzył Snorga spojrzeniem pozbawionych powiek, jakby wylupionych oczu.

I chociaż żadne z nich trojga nie poruszyło się ani na milimetr, rozległ się huk wystrzału, a ciało Tib, która w ostatniej chwili zasłoniła Snorga sobą, zwisnęło mu bezwładnie na rękach. Poczuł, że coś dławi mu gardło. Drugiego strzału Snorg już nie usłyszał. Żółty rozbłysk przed jego oczyma zmienił się w rząd jasnych plam i zgasł.

O autorze

Marek S. Huberath (ur. 1954) pseudonim pisarski mieszkającego w Krakowie fizyka, doktora habilitowanego pracującego w Instytucie Fizyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Debiutował w 1987 roku w „Nowej Fantastyce” opowiadaniem „-Wróćcieś, Sneogg, wiedziaam...” którym zwyciężył w konkursie ogłoszonym przez ten miesięcznik.

Zajęty pracą naukową pisze regularnie, ale mało, za to kolejne opowiadania przynoszą mu nagrody i rosnącą popularność: „Kara większa” (Zajdel 1991), „Spokojne, słoneczne miejsce łęgowe”, „Absolutny powiernik Alfreda Dyjaka”.

Za opowiadaniem idą książki, zbiory *Ostatni, którzy wyszli z Raju* (1996), *Druga podobizna w alabastrze* (1997), *Balsam długiego pożegnania* (2006) oraz powieści: *Gniazdo światów* (1999, Nagroda Zajdla), *Miasta pod Skalą* (2005) i *Vatran Auraio* (2011).

GENE WOLFE

Wojna pod choinką

Gene Wolfe to rzadki przypadek autora SF, który prezentuje najwyższą klasę zarówno w powieściach (nagrodzony cykl Księga Nowego Słońca), jak i w krótkich opowiadaniach. „Wojna pod choinką” pisana jest z punktu widzenia zrobotyzowanych zabawek, ale to gorzka historia o współczesnym człowieku. Roboty coraz bardziej przypominają ludzi, ludzie, wyprani z emocji, coraz bardziej przypominają roboty.

Wojna pod choinką

– Wigilia, Komandorze Robin – powiedział Astronauta. – Radzę już iść do łóżka, bo Mikołaj wcale nie przyjdzie.

– Astronauta ma rację, Robinie – powiedziała matka Robina. – Pora powiedzieć dobranoc.

Chłopczyk w niebieskiej piżamce kiwnął głową, nie zmieniając pozycji na dywanie.

– Daj buzi – powiedział Miś Pluszowy. Miś, kolebiąc się śmiesznie, okrążył choinkę i zarzucił Robinowi łapki na szyję. – Musimy iść do łóżeczka. Ja też idę.

Dokładnie to samo powtarzał co wieczór. Matka Robina pokręciła głową, robiąc przy tym komicznie zrozpaczoną minę.

– Posłuchaj no ich, Berto – powiedziała. – Spójrz na niego. Istny mały księżę w otoczeniu dworu. Jak on sobie poradzi, kiedy dorośnie i przestaną go otaczać tranzystorowi dworzanie, którzy go teraz psują od rana do nocy?

Berta, gosposia robot, kiwnęła swoją niemal ludzką głową i odstawiła pogrzebacz na miejsce.

– Święta racja, pani Jackson. Ma pani słuszną rację.

Baletnica ujęła Robina za rękę, tworząc z nim układ arabski. Teraz już Robin wstał. Jego gwardia uformowała szyk i sprezentowała broń.

– A z drugiej strony – powiedziała matka Robina – tak krótko jest się dzieckiem.

Berta ponownie skinęła głową.

– Młodym jest się tylko raz, pani Jackson. Święta racja. Będę mogła poprosić te miłe zabaweczki, żeby mi tu pomogły sprzątać, kiedy on już zaśnie?

Kapitan gwardzystów zaszalutował srebrną szablą, największy Gwardzista uderzył w werbel, a reszta gwardii utworzyła szpaler.

– Misio z nim śpi – powiedziała matka Robina.

– Misia mogę zwolnić. Jest wielu innych do roboty.

Astronauta dotknął klamry swojego pasa antygravitacyjnego i poszybował na wysokość czterech stóp jak pełen gracji barczysty balon. Z Baletnicą po lewej stronie i Misiem po prawej, Robin podreptał w ślad za gwardzistami. Matka Robina zdusiła w popielniczce ostatniego w tym dniu papierosa, mrugnęła do Berty i powiedziała:

– Ja też się chyba położę. Nie musisz mi pomagać przy rozbieraniu. Wystarczy, jak rano zbierzesz rzeczy.

– Tak, psze pani. Jaka to szkoda, że pana Jackson nie ma w domu – a tu akurat Boże Narodzenie i pani przy nadziei, i w ogóle.

– Za tydzień wraca z Brazylii, już ci mówiłam. Coraz gorzej się wysławiasz, Berto. Czy na pewno nie chciałabyś pobyc przez jakiś czas gosposią Francuzką?

– Non, pani Jackson. Jak jestem Francuzką, całkiem się nie mogę opędzić od chłopów.

– Kiedy pan Jackson otrzyma kolejny awans – powiedziała matka Robina – załatwimy sobie szofera. Włoskiego szofera, który już zawsze będzie Włochem.

Kolebiąc się w biodrach, wyszła z pokoju, a Berta odprowadziła ją wzrokiem.

– Do roboty, leniuchy! Popielniczki opróżnić do kominka, wszystkie rzeczy na miejsca! Ja się teraz idę wyłączyć, a jak wrócę, ma tu być porządek, bo inaczej parę zabaw może się przypadkiem popsuć, zobaczycie!

Popatrzyła, jak Piesek wrzuca zawartość największej popielniczki między trzaskające polana, jak Astronauta ulatuje w górę, żeby uporządkować czasopisma na stoliku do kawy, a Baletnica zbiera się do zamiatania przed kominkiem – po czym poleciała gwardzistom:

– Schowajcie się do pudełka! – i wyłączyła się.

W najmniejszej sypialni Miś Pluszowy leżał w objęciach Robina.

– Cicho bądź – powiedział Robin.

– Przecież jestem cicho – powiedział Miś.

– Zawsze, kiedy już prawie zasypiam, zaczynasz piszczeć.

– Wcale że nie – powiedział Miś.

– A właśnie że tak.

– A nie.

– A tak.

– Czasem ty też nie możesz zasnąć tak od razu – powiedział Miś.

– Właśnie. Dzisiaj – zareplikował znaczącym tonem Robin.

Miś wysunął się z jego objęć.

– Zobaczę, czy śnieg pada.

Z łóżka wspiął się na otwartą szufladę, a z otwartej szuflady na blat komody. Śnieg padał.

– Ty masz chyba nie po kolei w obwodach, Misiu – powiedział Robin. Matka Robina mawiała tak czasem do Berty.

Miś nie odpowiedział.

– Oj, Misiu – odezwał się sennie Robin w chwilę później. – Wiem, dlaczego jesteś taki zły: bo jutro są twoje urodziny i myślisz, że nie mam dla ciebie żadnego prezentu.

– A masz? – zapytał Miś.

– Będę miał. Mama pójdzie ze mną do sklepu.

Nie minęło pół minuty, a oddech Robina zmienił się w regularne, ciężkie posapywanie śpiącego dziecka.

Miś siedział na brzegu komody i patrzył na chłopczyka. Nagle szepnął:

– Umiem śpiewać kolędy.

Były to pierwsze słowa, które rok temu wypowiedział do Robina. Rozłożył łapki. „Cicha noc, święta noc”. Przypomniały mu się lampki na choince i wesoły ogień w salonie. Astronauta był co prawda na miejscu, ale za Astronautą nikt specjalnie nie przepadał, ponieważ był on jedyną zabawką umiejącą latać. Baletnica też była na miejscu. Baletnica była nawet niegłupia, tylko... nie mógł sobie przypomnieć właściwego słowa.

Zeskoczył w głąb szuflady na stertę podkoszulków Robina, po czym wgramolił się na krawędź i miękko wylądował na wyłożonej ciemnym dywanem podłodze.

– Ograniczona – przypomniał sobie nagle i powiedział to głośno. – Baletnica jest ograniczona.

Znowu pomyślał o kominku, a zaraz potem o starych zabawkach: o Klockach, które miał Robin przed nadejściem Baletnicy i reszty towarzystwa, o Pajacu, który jeździł na żółtym rowerze, o Grającym Bąku.

Drzwi pokoju Robina były nieco uchylone. Pozostawiano wąską szparę, przez którą sączyło się światło, żeby Robin nie bał się ciemności. Miś co wieczór zwiężał szczelinę po trochu. Teraz niechętnie ją poszerzył. Robin już od tak dawna nie pytał o Pajaca, o Grającego Bąka i o Klock „A”, który opowiadał o abażurach, aligatorach i agrafkach.

W salonie Baletnica rozstawiała Gwardzistów, a Astronauta, tak jak przedtem, stał na gzymsie kominka i nadzorował.

– Ze trzech, czterech możemy posłać za regał – zawołał. – Stąd figę z makiem będą widzieli – burknął Miś.

Baletnica wykręciła piruet i dygnęła, połyskując cekinami.

– Baliśmy się, że już nie przyjdiesz – powiedziała.

– Ustaw po jednym za nogami stolika do kawy – polecił jej Miś. – Musiałem poczekać, aż zaśnie. Teraz słuchajcie, wszyscy, kiedy zawołam „Do ataku!”, musimy na nich ruszyć wszyscy jednocześnie. To bardzo ważne. Jak się uda, spróbujemy to najpierw przećwiczyć.

– Ja będę walił w bęben – oświadczył największy Gwardzista.

– Będziesz walił we wroga, bo inaczej powędrujesz w ogień, a my razem z tobą – pouczył go Miś.

Robin ślizgał się po lodzie. Fiknął nogami do góry – RRRYMS – aż poczuł drzenie w całym ciele. Uniósł głowę i stwierdził, że wcale nie leży na zamrożonej sadzawce w parku. Leżał we własnym łóżku, księżyc świecił prosto w okno, był wieczór wigilijny – nie, była już nawet noc wigilijna – zaraz przyjdzie Święty Mikołaj. Może już przyszedł? Robin nasłuchiwał stukotu kopyt renifera na dachu, ale nie usłyszał nic. Wobec tego nadstawił ucha,

ciekaw, czy Święty Mikołaj nie chrupie przypadkiem ciasteczek pozostawionych przez mamę na kamiennym gzymsie przy kominku. Ale nikt nie chrupał, ani nie młaskał. Wtedy Robin odrzucił kołdrę i zaczął powoli zjeżdżać z łóżka, aż dotknął stopami podłogi. Złocista woń choinki i ognia wsączała się do pokoju. Robin poszedł po cichutku w ślad za zapachem, do holu.

Święty Mikołaj był w pokoju, stał pochylony przy choince! Oczy Robina stawały się coraz większe i coraz bardziej okrągłe, tak okrągłe, jak guziki piżamki. Wtedy Święty Mikołaj wyprostował się i nie był to żaden Święty Mikołaj, tylko matka Robina w nowym, czerwonym szlafroku. Matka Robina była prawie tak gruba jak Święty Mikołaj, a tak śmiesznie sapała, kiedy próbowała wstać, i odpychała się rękami od własnych kolan, że Robin musiał wsadzić palce do buzi, żeby nie parsknąć śmiechem.

A jednak Mikołaj musiał tu być! Pod choinką leżało pełno zabawek – nowych zabawek!

Matka Robina sięgnęła na kamienną półeczkę po ciastko i odgryzła pół. Potem wypila do połowy mleko ze szklanki. Na koniec odwróciła się, żeby wrócić do sypialni, a kiedy przechodziła koło niego, Robin cofnął się w mrok własnego pokoju. Kiedy znów wyrzał ostrożnie zza framugi, zabawki – Nowe Zabawki – zaczynały właśnie ożywać.

Wstawały, otrząsały się i rozglądały dookoła. Może dlatego, że była Wigilia. Może dlatego, że blask ognia uaktywnił ich obwody. Tak czy owak, Klaun otrzepał się i przeciągnął, szmaciana lalka wygładziła szmaciany fartuszek (z wyhaftowanym serduszkiem), a małpka dała wielkiego susa i uwiesiła się na drugiej od dołu gałęzi choinki. Robin wszystko to widział. Miś, ukryty za fotelem ojca Robina, też wszystko widział. Kowboje i Indianie unieśli wieko pudełka, a Rycerz otworzył tekturowe drzwi (które miały wyglądać jak z drewna) w ścianie innego pudełka (które miało wyglądać jak z kamienia), dzięki czemu Smok zerknął mu przez ramię.

– Do ataku! – krzyknął Miś. – Do ataku!

Wyszedł zza fotela na czworakach, jak prawdziwy niedźwiedź, poruszając się sztywno, ale bardzo szybko, podbiegł do Klauna, wyrzwał go łapą w opasły brzuch i powalił na ziemię, po czym podniósł go do góry i cisnął w stronę kominka.

Astronauta spadł jak jastrząb na Małpkę; przez chwilę mocowali się popiskując na siodełku poliestrowego rowerka na trzech kołach.

Baletnica zaatakowała pierwsza, jeszcze przed Misiem, zapierającą dech w piersiach serią szybkich ciosów, ale Szmaciana Lalka pozbierała się z podłogi i już biegła z Baletnicą do ognia. Zadając drugi cios Klaunowi, Miś zobaczył, że dwaj Indianie niosą do kominka gwardzistę – samego Kapitana Gwardzistów! Szabla Kapitana przeszła przez jednego z Indian jak przez masło i musiała uszkodzić jakiś obwód, bo Indianin posuwał się z dużym trudem. Mimo to, już po chwili Kapitan płonął: ogień trawił jego czerwony mundur, wyrzucone w górę ramiona przypominały języki płomieni, czarne oczy błyszczały i siały iskry, srebrzysty metal spływał z niego jak pot i twardniał w popiele, pod kłodami paleniska.

Klaun próbował mocować się z Misiem, ale Miś położył go na łopatki. Smok zatopił kły w lewej tylnej łapie Misia, ale Miś uwolnił się od niego jednym wierzgnięciem. Kotek płonął i płonął. Piesek próbował go wyciągnąć, ale wtedy Małpka pchnęła go w ogień. Miś pomyślał przez moment o wąskich schodkach w dół i o głębokiej, ciemnej piwnicy, gdzie pełno jest pudeł, tobołków i zakamarków. Gdyby tam teraz pobiegł i schował się, Nowe Zabawki może nigdy by go nie znalazły, może nawet nigdy by nie próbowały. Dopiero Robin znalazłby go po latach, pokrytego kurzem.

Baletnica krzyknęła wysokim, śpiewnym głosem, a Miś odwrócił się prosto na uniesiony miecz Rycerza.

Kiedy matka Robina wstała z łóżka w dzień Bożego Narodzenia, Robin już nie spał: siedział z Kowbojami pod choinką i patrzył, jak Indianie tańczą taniec przywołujący deszcz. Małpka siedziała mu na ramieniu, Szmaciana Lalka (zaprogramowana, zgodnie z zapewnieniem producenta, do zainicjowania edukacji seksualnej Robina) na kolanach, a Rycerz i Smok u stóp.

– Jak ci się podobają zabawki od Świętego Mikołaja, Robinie? – zapytała matka Robina.

– Jeden Indianin nie działa.

– Nic się nie przejmuj, skarbie. Wymienimy go. Robinie, muszę ci teraz powiedzieć coś ważnego.

Gospoia robot Berta weszła do pokoju niosąc płatki kukurydziane, mleko i witaminy dla Robina oraz kawę z mlekiem dla matki Robina.

– Gdzie stare zabawki? – zainteresowała się. – To się ma nazywać posprzątany pokój?

– Robinie, twoje zabawki są, naturalnie, tylko zabawkami...

Robin kiwnął głową, myśląc o czymś innym. Z szopy wychodził właśnie czerwony cielak, a za nim jechał na koniu kowboj z lassem.

– Gdzie się podziały tamte stare zabawki, pani Jackson? – ponowiła pytanie Berta.

– Zdaje mi się, że one są zaprogramowane na autodestrukcję – odparła matka Robina. – Wiesz, Robinie, skąd się wzięły twoje nowe zabawki – Rycerz, i smok, i Kowboje? Czarymary – tak. Tak samo, widzisz, dzieje się z ludźmi.

Robin spojrział na nią przerażonymi oczami.

– Te same czary odbędą się niedługo tutaj, w naszym domu.

Przełożyła Jolanta Kozak

O autorze

Gene Wolfe (ur. 1931). Pisarz amerykański, jedna z największych gwiazd światowej fantastyki, piszący charakterystycznym, niepowtarzalnym stylem, nie kłaniający się kolejnym modom czytelniczym, a realizujący własne cele. Z wykształcenia inżynier, długo pracował w zawodzie, póki nie przeszedł na zawodowe pisarstwo.

Twórczość Wolfea jest bardzo bogata, to autor, który znakomicie czuje się jako twórca krótkich opowiadań, ale także pisząc wielotomowe sagi. Jego najbardziej rozpoznawalnym dziełem są Księgi Nowego Słońca, zbliżone nieco klimatem oraz tematem do Umierającej Ziemi Jacka Vance'a – przynajmniej sceneria jest podobna – Układ Słoneczny dożywa końca swoich dni, a z nim i Ziemia. Bohaterem pięcioksięgu jest kat Severian. Na cykl składają się: *Cień kata*, *Pazur Łagodziciela* (Hugo), *Miecz Liktora*, *Cytadela Autarchy* i *Urth Nowego Słońca*.

Pięcioksiąg należy do szeroko zakrojonej serii Urth, na którą składają się jeszcze Księga Długiego Słońca (*Ciemna strona Długiego Słońca*, *Jezioro Długiego Słońca*, *Calde Długiego Słońca* i *Exodus z Długiego Słońca*) oraz Księga Krótkiego Słońca (*Na wodach błękitu*, *W dżunglach zieleni*, *Powrót na whorla*). Choć proza Wolfe'a pełna jest ukrytych znaczeń i czasem eksperymentalna to jest to autor, którego twórczość powinien znać każdy szanujący się czytelnik fantastyki. Jest też pisarzem, który ma chyba najwięcej nominacji do Hugo i Nebuli, ale otrzymał tylko jedną nagrodę Nebula, za opowiadanie „Śmierć doktora Wyspy”.

W Polsce znamy sporo doskonałych opowiadań Wolfea, a także pojedyncze powieści, jak *Miasteczko Castleview*, *Nowojorskie odloty*, *Piąta głowa Cerbera* i doskonały wybór *Śmierć doktora Wyspy* (Nebula, nominacja Hugo). Wydano także dwa tomy z fantastyczno-historycznej trylogii Latro: *Żołnierz z Mgły*, *Żołnierze Arete* – ostatnia część nosi tytuł *Soldier of Sidon* (2006, World Fantasy). Wydano także dylogię *Wizard Knight: Rycerz, Czarnoksiężnik*.

Opowiadanie „Wojna pod choinką” było nominowane do Nebuli.

Krótką historia science fiction

Szkic pierwszy

Narodziny i Złoty Wiek

Mam wielką ochotę wygłosić w tym szkicu herezję. I to niejedną. Chcę odrzucić szeroką wizję fantastyki jako najstarszego gatunku literackiego, wywodzącego swoje pochodzenie od babilońskiego poematu *Gilgamesz*. Nie uważam też za fantastykę, jak chciałoby wielu literaturoznawców i krytyków literatury fantastycznej *Odysei*, *Eneidy*, czy mitu o Dedalu i Ikarze, który jakoby zawiera pierwsze elementy science fiction. Nie jest nią też, w moim przekonaniu, *Prawdziwa historia* Lukiana z Samosaty, choć opisuje podróż na Księżyc.

Badacz literacki, jak wspomniałem w „zstępniaku” do I tomu *Rakietowych szlaków*, musi stosować narzucone metody badawcze. Krytyk musi zaś dokonać rozbioru omawianego utworu na części składowe, odnieść go do kontekstu kulturowego, umiejscowić na mapie literackiej, dociec intencji autora i zinterpretować. Nie raz, nie dwa byłem świadkiem konsternacji pisarza, gdy od krytyka dowiadywał się, o co mu naprawdę chodziło w jego własnym utworze. Cóż, prawdziwa cnota krytyki się nie boi (choć prawdziwy krytyk cnoty też nie), ale klasyfikowanie, szufladkowanie, kategoryzowanie czy dzielenie utworów literackich zawsze prowadziło do sporów, kłótni, nieporozumień. Jakąż długą wojną (toporów wciąż nie zakopano) jest spór o podział generacyjny polskich autorów fantastycznych, dokonany przez Macieja Parowskiego. Jak śmiesznie wyglądał spór Beresia z Sapkowskim: pytany o wątki autobiograficzne w Wiedźmińskiej sadze pisarz odpowiadał twardo, że ich nie ma, a krytyk uparcie twierdził, że są, i basta.

Nie ma jednolitej definicji science fiction, fantasy czy horroru, czyli gatunków stricte fantastycznych, bo nie można zdefiniować, objąć jedną formułą tak obszernej grupy utworów. Ilu krytyków, tyle definicji. Nie ma też zgody – bo nie ma definicji – które utwory zaliczać do fantastyki i kiedy ten gatunek literacki się narodził.

Gdyby się uprzeć, to wszystkie mity, bajki, klechdy, opowieści o herosach i bogach (jak *Gilgamesz*) to czysta fantasy. Ba, idąc dalej tym tropem można powiedzieć, że SF to także fantasy, bo ta była pierwsza, a z chwilą rozwoju nauki wymieniono miecze na lasery, rumaki na statki kosmiczne, a magów na naukowców. Taką opinię wyraża wielu autorów fantasy,

m.in. George R.R. Martin i Andrzej Sapkowski. To nęcąca propozycja, ponieważ obserwatorzy i komentatorzy cywilizacji w ostatnich latach coraz częściej ostrzegają przed nadejściem Nowego Średniowiecza, więc i triumf fantastyki czy weird fiction jest w tym kontekście bardziej zrozumiały.

Długi poród

Wydaje mi się, że nie należy zaliczać do SF utworów pisanych w czasach odległych o stulecie od powstania samego pojęcia. Najważniejszym kryterium klasyfikacji – o ile jest komuś potrzebna, bo dla mnie literatura zawsze była jednością – powinien być sam pisarz, jego świadomość, co tworzy i jaki cel mu przyświeca. Czy Dickens pisząc *Opowieść wigilijną* zaliczyłby ją do fantastyki? Chyba nie. Czy Jonathan Swift opisując niezwykle przygody Guliwera pisał fantastykę, czy satyrę na stosunki polityczne w Anglii? Czy utopiści, jak Tomasz More, Tommaso Campanella, Francis Bacon czy Cyrano de Bergerac uprawiali fantastykę, czy filozofowali na tematy społeczne i polityczne? Czy *Pantagruel* i *Gargantua Rabelaisgo* to romanse satyryczne czy fantastyka? Myślę że nie, a podobne rozszerzanie granic gatunku to nadinterpretacja krytyków. Utopie i antyutopie, a także utwory satyryczne powstawały jako odpowiedź na zapotrzebowanie społeczne, jako protest przeciwko istniejącym stosunkom społecznym, ekonomicznym czy politycznym. Często powstawały też na konkretne zamówienie i były szeroko reklamowane przez stronnictwa opozycyjne wobec władzy, przeciwko której były skierowane. To był osobny gatunek, jeden z elementów składowych literatury.

Podobnie powieść gotycka (pojęcie trochę mylące, bo to literatura XVIII-wieczna, zrodzona z zainteresowania gotykami). Bardzo wielu krytyków i historyków fantastyki, jak Brian W. Aldiss czy James Gunn wywodzą nowoczesną science fiction od *Frankenstein* Mary Wollstonecraft Shelley. Powieść gotycka jest w Polsce doskonale znana dzięki serii Fantastyka Groza Wydawnictwa Literackiego, w której ukazały się takie klasyczne utwory jak *Zamczysko w Otranto* Walpole'a, *Vathek* Beckforda, *Tajemnice zamku Udolpho* Radcliffe'a i wiele innych. Historia o stworze powołanym przez Frankensteina za pomocą nauki nie jest jednak czystą science fiction, jak chcieliby wspomniani badacze, to opowieść o tym, że zabawa w Pana Boga może wypaczyć nasze zamiary i zamienić je w klęskę. Tak więc i powieść gotycką należałoby umieścić w osobnym koszyku; to pokrewne z fantastyką utwory, ale nie sci fi. Były po prostu literaturą swoich czasów, pisane, bo taka była moda i zapotrzebowanie.

Podobnie jest z twórczością Julesa Verne'a. Czy ten francuski autor bestsellerów, powieści wydawanych w dużych nakładach, pisał fantastykę czy po prostu opowieści o niezwykłych przygodach? Twórczość Verne'a też jest oznaką czasów. Za jego życia świat i rozwój cywilizacyjny znacznie przyspieszył. Żaglowce wymieniono na parowce,

zlikwidowano wiele białych plam na mapie świata, wynaleziono elektryczność, plastik, fonograf – Verne nie wymyślił na potrzeby swoich książek nowych wynalazków, on tylko „ulepszał” już istniejące (choćby w teorii), dlatego nie uważam go za pisarza science fiction (pomimo napisania takich powieści jak: *Podróż do wnętrza Ziemi*, *Podróż z Ziemi na Księżyc* i *Wokół Księżycy*), ale za pisarza powieści przygodowych, który przygotował grunt pod nadejście ery SF. Czytelnicy dzięki Verne’owi zostali przygotowani na typ opowieści, który miał nadejść na przełomie XIX i XX wieku.

Poprzez twórczość Francuza, a wcześniej powieść gotycką i utopie zbliżyliśmy się do chwili, którą możemy uznać za narodziny SF. Tamte gatunki literackie powstawały z potrzeby czasów. Co ciekawe, wszystkie one, poza pewnymi aspektami utopii, traktowały o indywidualnych ludziach, nie zajmowały się cywilizacją i ludzkością jako całością.

Rozwój nauki rozpoczęty pod koniec XVIII wieku, stale przyspieszający w następnym stuleciu, doprowadził do tego, że pod koniec XIX wieku technika przestała być zabawką bogatych. Nauka stała się powszechna, a w latach 90. tego wieku powoli odchodził do lamusa wizerunek naukowca, który w pojedynkę, w jakimś baraku, dokonuje przełomowego odkrycia. Produkcja taśmowa w fabrykach wypierała manufaktury rzemieślnicze, z technologią miała do czynienia coraz większa grupa robotników, wytwory techniki dostępne dotąd tylko dla bogatych trafiły pod strzechy. Wielkie znaczenie miała też edukacja, wiek XX to koniec analfabetyzmu. Książki i czasopisma stały się powszechne, a dzięki rozwojowi transportu – kolejowego, kołowego, a następnie lotniczego – trafiły do wszystkich. A wynalazek prasy rotacyjnej umożliwił powstanie czasopisma masowego. Drukowane na odpadowym papierze kosztowało 10 centów i na 192 stronach zawierało opowiadania i powieści w odcinkach, które rozpały wyobraźnię młodych ludzi. Te czasopisma pulpowe były wymysłem amerykańskim, drukowano w nich romansidła, westerny, opowieści detektywistyczne. Pierwszy pulpowy magazyn, *Argosy*, powstał w 1896 roku, a po nim następne. Ich wydawcy, rzutcy, wykształceni ludzie, wciąż poszukiwali nowych tematów i autorów.

I tak dotarliśmy do punktu narodzin Science Fiction. Fundamenty i ściany już są: lawinowy rozwój nauki i techniki, pobudzający wyobraźnię milionów coraz lepiej wykształconych ludzi. Brakowało tylko kogoś, kto otworzy drzwi do krainy wyobraźni.

Tym kimś był Herbert George Wells (1866 – 1946), pisarz, który poszedł o jeden krok dalej od innych prekursorów fantastyki, ale był to krok w siedmiomilowych butach. Utwory Wellsa eksploatowały pola tematyczne charakterystyczne dla SF: podróż w czasie, inwazja obcych, niewidzialność, apokalipsa, podróż kosmiczna, i choć Wells zaczął je publikować przed powstaniem pojęcia sci fi to dał przykład naśladowcom i pobudził wyobraźnię innych pisarzy. Wkrótce podobnych utworów było tyle, że musiały powstać tematyczne czasopisma i pierwsze próby definicji.

Wells był wyjątkowy. Jego warsztat i pomysły wysoko oceniali krytycy i pisarze, w Anglii drukowany był w poważnych wydawnictwach, a jego umiejętność przewidywania, zagładania za zasłonę skrywającą przyszłość była wręcz zdumiewająca. Współcześni mu naukowcy i filozofowie, jak Maxwell, Mendelejew, Pasteur, Hertz, Marconi, Roentgen, Darwin, Bell, Edison i wielu innych odmieniali właśnie świat i wpływali na atmosferę intelektualną. Panował powszechny optymizm, a Wells, czerpiąc z tej atmosfery grał jednak pesymistyczną nutę. Już w pierwszej swojej powieści, od której możemy liczyć powstanie nowożytnej science fiction – *Wehikuł czasu* (1895) przewidział wielkie wojny światowe oraz dekadencję i upadek cywilizacji ludzkiej. W *Wojnie światów* (1898) dał tak przekonujący opis inwazji Marsjan i wojny kosmicznej, że do dzisiaj pobudza twórców. Dość powiedzieć, że audycja radiowa Orsona Wellesa na podstawie tej powieści była tak sugestywna, iż wywołała panikę mieszkańców przekonanych, że naprawdę doszło do inwazji. Dzisiaj ta audycja, dostępna w Internecie i na dvd jest znakomitym świadectwem tamtych czasów. *Wojna światów* po raz pierwszy pokazała też wojnę totalną, mającą wkrótce nadejść zmorę, która odmieni oblicze świata. Inne powieści Wellsa, które kształtowały wyobraźnię czytelników to *Niewidzialny człowiek* (1897), *Gdy śpiący się budzi* (1899) i *Pierwsi ludzie na Księżycu* (1901).

W Ameryce wydawcy magazynów groszowych nie publikowali Wellsa, gdyż jego twórczość wydawana była w książkach i w prestiżowych magazynach typu *Cosmopolitan*, ale zaczęto drukować powieści H. Ridera Haggarda, Edgara Rice Burroughsa, Hugo Gernsbacka. W takich czasopismach drukowano różne historie, redagowano także rubryki z listami od czytelników. Szybko okazało się, że można zacząć wydawać czasopisma tematyczne, bo odbiorcy wyraźnie dzielą się na zwolenników poszczególnych gatunków. I tak oto, pod naciskiem czytelników powstało w końcu 1926 roku pierwsze czasopismo science fiction – *Amazing Stories*. Wydawcą był Hugo Gernsback, znany z opowiadań i powieści *Ralph 124C 41+*. Pierwsze numery zawierały utwory Vernea, Wellsa, Poe'ego, ale Gernsback nie ustawał w wyszukiwaniu młodych twórców, którzy by pisali utwory pod jego pismo. Tak został odkryty E.E. Smith, a także Philip Nowlan, twórca Bucka Rogersa.

Nadszedł Wielki Kryzys, firmę Gernsbacka także dotknął, wkrótce zostało mu tylko jedno pismo, *Wonder Stories*. To w nim Gernsback użył po raz pierwszy terminu Science Fiction. I tak to się zaczęło.

Bez alternatywy i/lub – tylko czasopisma

Od samego początku science fiction sama, a po trosze dzięki Gernsbackowi spychała się do kąta, tworząc getto. Redaktor chciał kontrolować autorów i to, co piszą. Literatura SF powstała w czasopismach i nie wyglądało na to, że z nich wyjdzie na literackie salony. Do połowy lat 40. SF nie ukazywała się w wydawnictwach książkowych. Poza Burroughsem

(powieści z serii Tarzan, Wenus i Pellucidar) i Merrittem, a także filozofem Olafem Stapledonem (*First and last Men*, 1930) czy głównonurtowym pisarzem, Aldousem Huxleyem (*Nowy, wspaniały świat*, 1932) wszystkie utwory powstawały dla czasopism. Magazyny drukowały mnóstwo listów od czytelników, wraz z adresami zwrotnymi, czytelnicy zaczęli ze sobą korespondować, zakładać kluby, tworzyć fanziny, organizować konwenty. Tak narodził się fandom, niespotykana dotąd wspólnota czytelnicza, która szybko stała się wylęgarnią pisarzy – bo któż wie lepiej, co chce czytać odbiorca, jeśli nie czytelnik? A sprawą redaktorów było zrobić z tych amatorów pisarzy. No i drzwi getta zatrzęsły się. Teraz science fiction musiała okrzepnąć, wydać świetnych pisarzy, by dostrzeżono ją na zewnątrz.

Monopol redaktorów

Jak się rzekło, tymi, którzy kształtowali SF w pierwszych latach byli redaktorzy czasopism groszowych. Sukces Gernsbacka zachęcił innych. *Amazing Stories* po kryzysie poprowadził O’Conor Sloane, Farnsworth Wright założył w 1923 *Weird Tales* – początkowo drukowało opowieści grozy, ale w latach 30. wpuściło na łamy SF. Sam Gernsback bardzo przestrzegał, by utwory w jego czasopismach miały odpowiednią, naukową formę. Z kolei *Astounding Stories* (redaktor Harry Bates) potrzebował opowiadań przygodowych i płacił cztery razy więcej (co było zresztą przyczyną upadku pisma), czyli dwa centy za słowo.

Opowiadań sfluowało mnóstwo. Redaktorzy słynęli z ostrych kryteriów, wprowadzali własne, czasem dziwaczne nakazy. Na przykład pierwsza strona tekstu miała zawierać tytuł, nazwisko autora i trzy wersy tekstu. Jeśli te trzy wersy zainteresowały redaktora, wówczas czytał dalej. W innym przypadku maszynopis lądował w koszu.

Gernsback bardzo szybko oddał prowadzenie swojego *Wonder Stories* w ręce redaktorów wywodzących się z fandomu. Zaczęli oni wylawiać z ruchu miłośników fantastyki interesujących pisarzy. Znaleźli wkrótce Johna W. Campbella, który oprócz publikacji opowiadań awansował na szefa *Astounding Stories* (1937) i stał się szybko synonimem nowego redaktora, adiustującego nadsyłane teksty, dyskutującego z pisarzami, tworzącego wrażenie artystycznej atmosfery. Hugo Gernsback powoli usuwał się w cień, chociaż jego imię nosi dzisiaj najważniejsza nagroda świata fantastyki – Hugo Award.

Astounding pod wodzą Campbella cały czas ewoluowało, zmieniało nazwy, ostatecznie pozostało przy nazwie *Analog*. I pojawiała się coraz więcej konkurentów, jak *Galaxy* (redaktor H.L.Gold), czy istniejący do dzisiaj *The Magazine of Fantasy and Science Fiction* (Anthony Boucher i J. Francis McComas) – mamy nawet polską edycję.

Złoty Wiek

Bardzo często myśląc o starej fantastyce, tej klasycznej, dobrej science fiction, mamy na myśli przygodę, dowcip, lekkość stylu, zaskakujące zakończenie. Myślmy wtedy: „nikt tak już nie pisze”. Czy faktycznie tak było? Czy może młodzińcze zauroczenie przyćmiewa nasz krytycyzm? Wydaje się, że i jedno, i drugie. Niewątpliwie autorzy z tego pionierskiego okresu posiadli nieco zapomnianą dziś sztukę: umiejętność przemycenia ciekawego pomysłu, ambitnych treści za pomocą interesującej akcji i przygody. Właśnie za to pamiętamy te opowiadania, często zostają nam w pamięci niektóre sceny, a nie pamiętamy tytułu czy autora. Jak w przypadku zamieszczonego w tym tomie opowiadania Barringtona Bayleya, z obrazem tonącego w kosmosie żaglowca.

Zabawne jest też to, że sami pisarze wzdychają dzisiaj do tamtych czasów, kiedy mogli trochę pobawić się formą. Campbellowska wizja science fiction polegała z grubsza na tym, by dotychczasowy naukowy pomysł ubierany w przygodową historię zyskał psychologiczną głębię postaci, socjologiczne tło, a sam pomysł był polemiczny. W ten sposób Campbell powoli rugował z fantastyki tandeciarnictwo, kosmiczne westerny, głupawe space opery, będące znakiem firmowym czasów Gernsbacka.

Opowiadania, które w latach 30. przeszłyby bez problemu redaktorską ocenę, teraz nie miały szans. Poziom artystyczny SF systematycznie się podnosił.

Fantastyka naukowa – jej twórcy, wydawcy i czytelnicy stworzyli własny świat, doskonale się czuli wewnątrz getta. Wciąż debiutowali nowi pisarze i choć obowiązywał model literacki redaktorów, a przede wszystkim Campbella, to okres pomiędzy 1938 a 1950 rokiem nazwano Złotym Wiekiem SF.

Rozwinęła się też tematyka utworów, na co niemały wpływ miała II wojna światowa i rozwój technologii, jak radar, napęd rakietowy i odrzutowy, bomba atomowa, i okres zimnowojenny, który wszystkim uzmysłowił, jak łatwo jest zniszczyć ludzką cywilizację. Asimov napisał, że ludzie żyją w świecie science fiction – to, co opisywała fantastyka stawało się rzeczywistością. W opowiadaniu „Solution Unsatisfactory” z 1941 roku Heinlein opisał bombę atomową, na trzy lata przed sukcesem tajnego Projektu Manhattan. Fantastyka po II wojnie światowej przestała być grzeczna i optymistyczna, bo choć wojna się skończyła to rozwój sytuacji wcale nie nastrojał do optymizmu.

Okres lat 30. i 40. to debiuty tak znakomitych autorów jak Cyril M. Kornbluth, Stanley Weinbaum czy Henry Kuttner. Ta trójka pisała głównie opowiadania, a łączy ich to, że ich wspaniale rozwijające się kariery przerwała przedwczesna śmierć. Kuttner, wraz ze swoją żoną Catherine L. Moore stworzyli mnóstwo genialnych opowieści, a w czasie wojny wręcz zdominowali czasopisma – wielu pisarzy służyło w wojsku, a ta dwójka pisząc pod licznymi pseudonimami stwarzała wrażenie, że autorów jest więcej. Takie opowiadania jak „Tubylczykom spełły fajle”, „Profesor wchodzi na scenę” czy „Shambleau” to prawdziwe ikony sci fi.

Na gigantów wyrastali Robert A. Heinlein czy Isaac Asimov. Pierwszy stworzył jedną z pierwszych Historii Przyszłości (pionierem był H.G. Wells w *Historii Świata*), a poprzez swoje książki młodzieżowe miał wielki wpływ na popularyzację fantastyki. Z kolei Asimov, twórca słynnego cyklu *Fundacja*, na który składa się kilka wewnętrznych cykli powieściowych i opowiadań, szybko poświęcił się pisaniu książek popularnonaukowych z różnych dziedzin, był częstym gościem stacji TV i radiowych, wręcz nazywano go dobrem narodowym Ameryki.

Swoje trzy grosze dołożył C.S. Lewis *Perelandrą* oraz tacy pisarze, jak William Tenn, Alfred E. Van Vogt, Jack Williamson. Opublikowana w 1949 powieść Georgea Orwella *Rok 1984* była wstrząsającym oskarżeniem totalitaryzmu i zniewolenia jednostki ludzkiej. Opisywana przez Orwella przyszłość była absolutnie przynębiająca i przez wiele lat zabroniona we wszystkich krajach komunistycznych, choć sam Orwell należał do partii komunistycznej. Ci wszyscy pisarze mieli przemożny wpływ na fantastykę, która miała nadejść w latach 50. A to właśnie w tym dziesięcioleciu debiutowali najważniejsi twórcy gatunku.

Nadejście tytanów

Jeśli lata 1938-1950 można nazwać Złotym Wiekiem SF, to lata 50. i początek 60. były wiekiem brylantowym. To wtedy pisarskie talenty pisarzy poprzedniej dekady osiągnęły wyżyny, a wspomogły ich wspaniałe debiuty. W dodatku od końca lat 40. wydawcy zaczęli się interesować wydawaniem fantastyki. Początkowo nie były to poważne oficyny, a niewielkie wydawnictwa zakładane przez fanów, a książki drukowane były na podłym papierze. Najpierw były to antologie, czerpiące pełnymi garściami z opowiadań opublikowanych już w prasie. Najbardziej znane, kultowe już za oceanem, prawdziwe białe kruki to *Adventures in Time and Space* pod red. Raymonda J. Healy'ego i J. Francisa McComasa z 1946 roku oraz *The Best of Science Fiction* Graffa Conklina. Potem zaczęto wydawać powieści znane dotąd z odcinków w czasopismach (w tym słynna *Fundacja* Asimova), wreszcie sięgnięto po nowe powieści.

Fantastyką zainteresowały się poważne wydawnictwa: Random House, Ballantine, Doubleday, Ace Books. Wydania były kieszonkowe, cena nie przekraczała 50 centów (co miało tym samym wpływ na honoraria autorów), z charakterystycznymi okładkami, które jasno mówiły, że mamy do czynienia z SF – były to zwykle sznurowate rakiety, wrzeszczące blondyny ścigane przez mackowate stwory itp. Te tanie książki i możliwość debiutu książkowego powoli przełamywały monopol czasopism. W wydawnictwach o publikacji nie decydowały bowiem autorytety od tego, co jest SF, a co nie.

Czytelnicy wciąż też poszukiwali fantastyki przygodowej. Oto Frederik Pohl, redaktor *Galaxy* stworzył kalkę tego czasopisma, *Worlds of If* mający być warsztatem dla ławki

rezerwowych głównego czasopisma. Tu pisali młodzi gniewni: Robert Silverberg, James Tiptree, Philip K. Dick, C.C. MacApp, Samuel R. Delany, R.A. Lafferty, Harlan Ellison. I nagle, niespodziewanie dla Pohla, to właśnie pismo rezerw zaczęło zgarniać nagrody dla najlepszego czasopisma. I jeszcze jeden paradoks – to właśnie ci autorzy, którzy dla *If* pisali przygodową SF już w latach 60. dokonają w science fiction rewolucji, którą krytycy nazwą Nową Falą.

Na scenie pojawili się tacy giganci jak Poul Anderson, który powalił wszystkich powieścią *Olśnienie*, wieloma świetnymi opowiadaniem, i potrafił przystosować się do wszystkich mód, tworząc wspaniałe utwory przez pięćdziesiąt lat. Rozbłysła gwiazda Alfreda Bestera, który właśnie wtedy napisał swoje dwie najlepsze powieści: *Gwiazdy moim przeznaczeniem* (kapitałną wizję montechristowskiej zemsty w świecie o powszechnej teleportacji) i *Człowieka do przeróbki* (opowieść o morderstwie doskonałym w czasach, gdy policja dysponuje telepatami). Heinlein i Andre Norton przyciągali do fantastyki rzesze młodych czytelników. Jack Vance z *Umierającą Ziemią* oczarował mnóstwo ludzi i zainspirował dziesiątki pisarzy. Arthur C. Clarke właśnie wtedy napisał swoje pierwsze powieści i opowiadanie „Czatownik”, które dało pomysł „2001 Odysei kosmicznej” Stanleya Kubricka. Fritz Leiber napisał *Wielki czas*, który wygrał pierwszą nagrodę Hugo. Kurt Vonnegut zadebiutował *Pianolą*, a kilka lat później opublikował *Syreny z Tytana*.

Clifford D. Simak w kilkunastu opowiadaniach o psach i robotach stworzył genialny zbiór *Miasto*. Jeden z najlepszych twórców opowiadań, Theodore Sturgeon napisał powieść *Więcej niż człowiek* o stworzeniu nowego gatunku człowieka. Ray Bradbury, który – choć pisał fantastykę – zawsze był bardzo wysoko oceniany przez krytykę, opublikował słynne *451 Fahrenheita*, nostalgiczne *Kroniki marsjańskie* czy *Człowieka ilustrowanego*. W szczytowej formie był Robert Sheckley, który pod własnym nazwiskiem i licznymi pseudonimami opublikował koło setki opowiadań oraz parę słabszych powieści, które jednak zainspirowały znanych filmowców.

Pojawiła się tematyka religijna, jak choćby słynny, niesamowity *Kantyk dla Leibowitza* Waltera Millera czy *Kwestia sumienia* Jamesa Blisha o jezucie, który ma nawracać rasę obcych nie znającą grzechu pierworodnego. W Anglii zadebiutował Brian W. Aldiss – *Non stop* ma w Polsce status powieści kultowej, a *Cieplarnia* wciąż należy do powieści chętnie czytanych.

Świat zewnętrzny miał coraz ważniejszy wpływ na tworzoną wtedy science fiction. Wojna w Korei i zaczynający się konflikt w Wietnamie, oraz nadchodzące zmiany kulturowe w Ameryce miały na zawsze odmienić świat. Gordon Dickson zaczął tworzyć swój najslawniejszy cykl o planecie szkolącej najemników, Dorsajach. A Robert A. Heinlein był w szczytowej formie. W okresie zimnej wojny napisał *Władców marionetek*, powieść o inwazji obcych, ale tak naprawdę ostrzegającą przed inwazją Sowietów na Amerykę. A na przełomie dekady dokonał wręcz niemożliwego: napisał *Żołnierzy kosmosu*, powieść postrzeganą jako

gloryfikującą wojnę (choć ma też drugie dno, RAH opisał w niej, pół wieku temu, jak Ameryka się faszyzuje i zamienia w państwo totalitarne, z czym mamy właśnie do czynienia), a jednocześnie pracował nad powieścią *Obcy w obcym kraju*, najbardziej pacyfistyczną powieścią w swoim dorobku. *Obcy* miał wielki wpływ na obyczajowość i na młodzież amerykańską. Historia Valentine'a, dziecka wychowanego przez Marsjan i głoszącego ideologię pokoju, nie wojny, będącą wizją powtórnego przybycia Mesjasza, została biblią pokolenia hippisów i była chyba pierwszym komercyjnym sukcesem wydawniczym science fiction.

Tych sukcesów wkrótce miało być więcej. Nadchodzili i krzepili właśnie pisarze, którzy mieli dokonać rewolucji w science fiction. Nadchodziła Nowa Fala.

Polski ślad

Czy Polacy stali na uboczu tworzącej się science fiction? Czy zauważyli ten nowy gatunek? Jak najbardziej tak. Polska międzywojenna to był kraj, gdzie SF kwitła w najlepszym. Książki Wellsa, Verne'a ukazywały się regularnie, a twórczość tego pierwszego miała znaczny wpływ na polskich autorów. Wellsovskich inspiracji nie krył Antoni Słonimski w swoich dwóch powieściach SF: *Torpeda czasu* (1924) i *Dwa końce czasu* (1937). *Miasto Światłości* Mieczysława Smolarskiego miało rzekomo zainspirować *Nowy, wspaniały świat* Huxleya (przygotowywany był proces w PEN Clubie o plagiat, Huxley nigdy tego nie skomentował, sprawę przerwała wojna), rozważania teozoficzne wymieszane z SF widać w *Mirandzie* Antoniego Langego. Barszczewski, Życki to inni autorzy korzystający w swojej twórczości z rekwizytorni science fiction.

Wojna światowa przerwała na ponad dekadę twórczość SF w Polsce, Polacy byli świadkami realizacji najbardziej pesymistycznych wizji fantastów. Okupacja sowiecka i zadania wyznaczone literatom przez komunistyczne władze także nie sprzyjały takiej twórczości. Niektórzy głosili wręcz, że w powieści fantastycznej nie powinno odchodzić się od realizmu i stanu obecnego nauki. Można by w takim razie stwierdzić, z przymrużeniem oka, że jakakolwiek powieść realistyczna, opisująca kapitalizm, z powszechnością telefonów, telewizji oraz samochodów byłaby dla ówczesnych decydentów powieścią stricte science fiction.

Ale były i jaskółki zmieniającego się stanu rzeczy: powieść Romana Gajdy *Ludzie ery atomowej*, a w 1951 debiut Stanisława Lema, choć i jego powieści były początkowo mieszane z błotem przez wyznawców sierpa i młota.

Odwilż 56 roku była też odwilżą w literaturze fantastycznej. W Ameryce kończył się Złoty Wiek SF, a w Polsce zaczęto drukować jedną po drugiej powieści Lema (*Eden, Inwazja z Aldebarana*), pojawiła się trylogia Krzysztofa Borunia i Andrzeja Trepki (*Zagubiona przyszłość; Proxima; Kosmiczni bracia*), a także antologie polskiej fantastyki, zaczęto

drukować fantastów w *Młodym Techniku*. A przede wszystkim pokazały się przekłady fantastyki zachodniej, ukazując autorom prawdziwe oblicze fantastyki naukowej i dzielącą nas od niej przepaść.

Pierwszym takim oknem na świat były *Rakietowe szlaki* z 1958 roku i *W stronę czwartego wymiaru*. Potem ukazało się sporo wznowień Wellsa, *Piaski Marsa* Arthura C. Clarkea. Posypały się też książki polskie, poza Lemem i wspomnianym Gajdą, kultowa przygodówka *Przez ocean czasu* Bohdana Korewickiego, książki Andrzeja Ostoi, Eugeniusza Morskiego i Adama Hollanka.

Ale jeszcze długo musieliśmy czekać na prawdziwy rozkwit polskiej science fiction.

Wojtek Sedenko